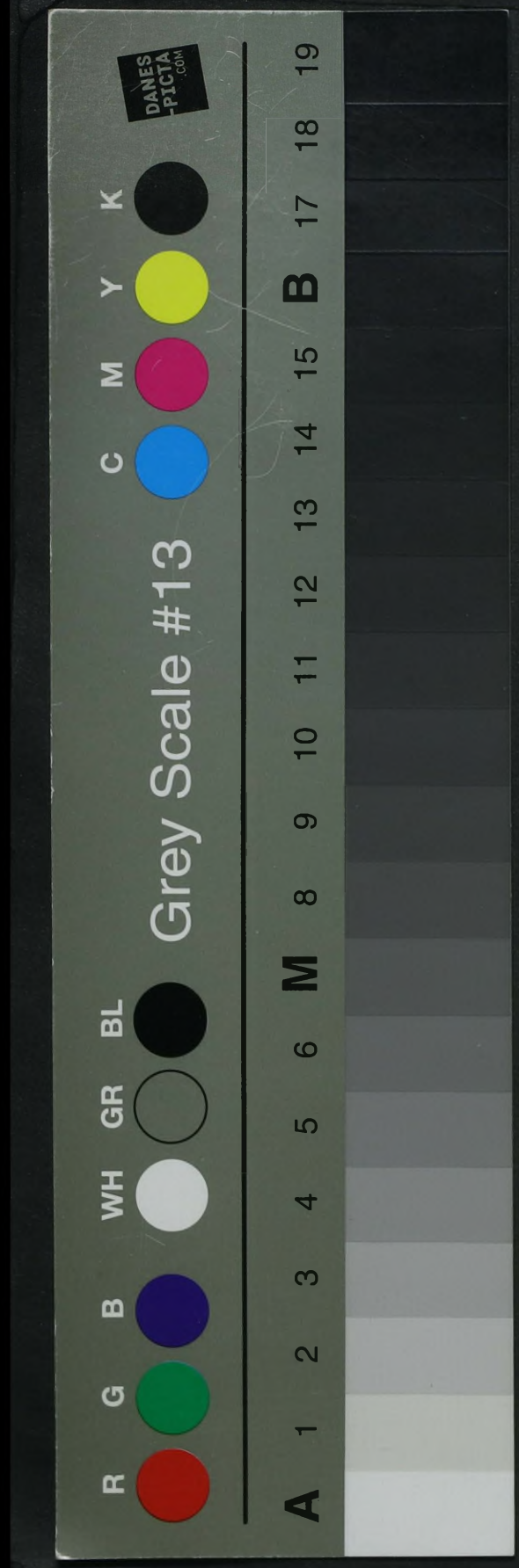
Grey Scale #13
R G B WH GR BL
C M Y K
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9
B 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19
DANES PICTA .COM

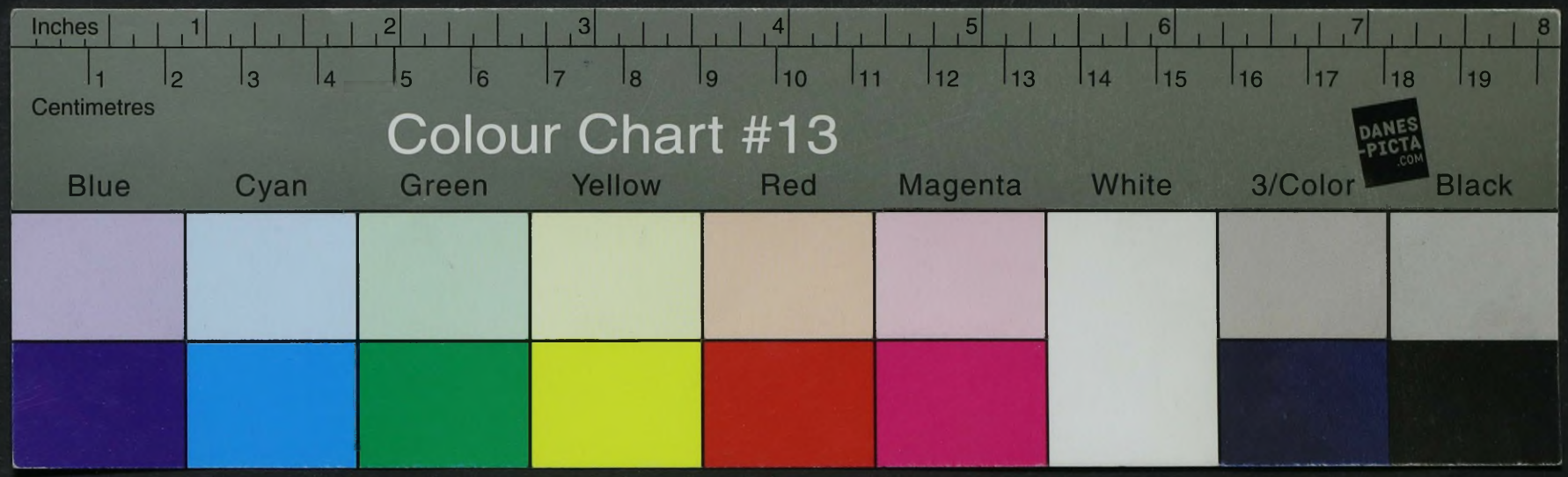
Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES PICTA .COM

Iwan Winarow
Żołnierze
cichego frontu

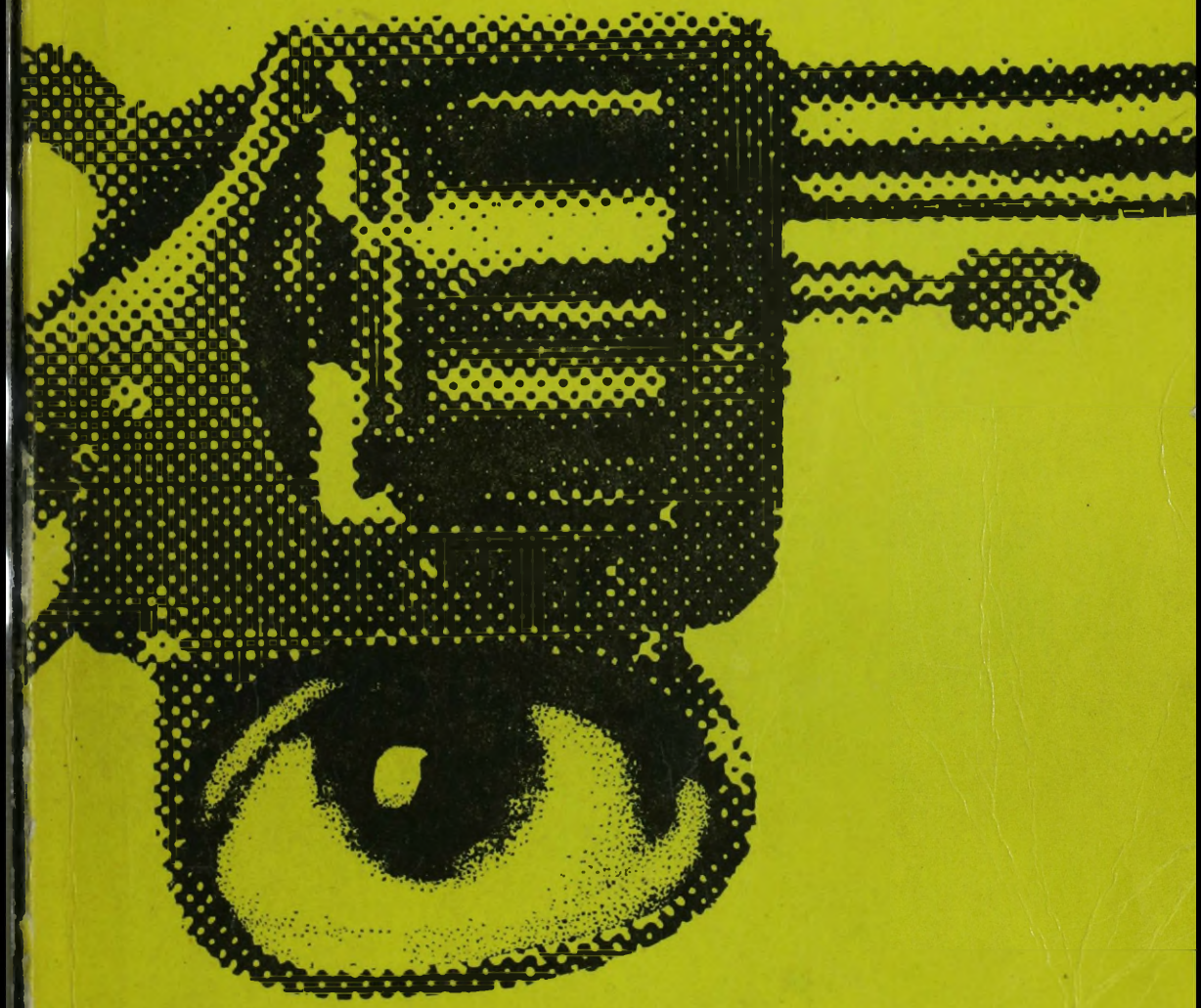

Iwan Winarow

Żołnierze cichego frontu

Iwan Winarow

Żołnierze cichego frontu

Iwan Winarow

Żołnierze cichego frontu

Wspomnienia wywiadowcy

Opracowanie literackie
S. Żelew

Z języka bułgarskiego
przełożyła M. Iliewa

Książka i Wiedza · 1972

Tytuł oryginału

БОЙЦИ НА ТИХИЯ ФРОНТ
Wyd. ИЗДАТЕЛСТВО НА БКП

Sofia 1969

Okładkę projektował

MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Redaktor

BOŻENA WILOCHOWA

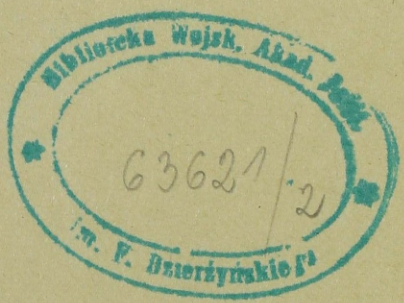

Pawłowi Iwanowiczowi Berzinowi, twórcy i kierownikowi wywiadu radzieckiego, radzieckiemu wywiadowcy, mężnemu obrońcy ojczyzny i bojownikowi o pokój — wspomnienia swoje poświęcam

AUTOR

355(02) : 355.11

Słowo wstępne

Żołnierze cichego frontu.

Takim mianem określa się zwykle tych, którzy niszczą macki wrogiego wywiadu w granicach własnej ojczyzny, i tych, którzy działają na dalekim zapleczu nieprzyjaciela.

Front ten zwie się cichym tylko umownie. I tam kule są prawdziwe. I tam śmierć pozostaje śmiercią i najczęściej ona stanowi nagrodę dla bohatera. I tam są ci, którzy odeszli z szeregów, zaginęli bez wieści, dostali się do niewoli.

Na cichym froncie walczyłem też ja.

W ciągu wielu lat pracowałem w Czwartym Wydziale Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Od pierwszych lat po rewolucji do 1938 roku kierował nim niezrównany wywiadowca radziecki Paweł Iwanowicz Berzin. Płomienny komunista, wspaniały organizator i strateg, Berzin poświęcił wszystkie swe niewyczerpane wprost siły i cały swój świetny talent wywiadowczy sprawie rewolucji. Imię jego spędzało sen z powiek wrogów ustroju radzieckiego, dla których on, zaufany współpracownik Lenina, był istnym postrachem.

Pod opieką Pawła Iwanowicza Berzina wyrosło kilka pokoleń wywiadowców radzieckich, którzy wnieśli nieoceniony wkład do obrony swej ojczyzny przed zdradzieckimi zakusami imperializmu, do obrony pokoju na świecie. Jego to uczniem był światowej sławy wywiadowca, antyfaszysta Richard Sorge. Jego wychowankami są setki innych znanych i bezimiennych, żyjących i poległych w boju wywiadowców radzieckich, zasłużonych dla radzieckiego ustroju, dla ruchu komunistycznego

i sprawy pokoju. Jednym z wychowanków Berzina jestem też ja.

W książce tej spróbuję opowiedzieć o swojej działalności na cichym froncie. Nie o wszystkim i z pominięciem szczegółów — czytelnik sam rozumie, jak delikatny jest ten temat, który skądinąd tak łatwo można przekształcić w sensację.

Opowiem również o skromnym wkładzie, jaki wniosłem do bułgarskiego i międzynarodowego ruchu rewolucyjnego. Albowiem — chcę to zaznaczyć już tutaj — poświęcając swe siły wywiadowi radzieckiemu, zawsze czułem się synem narodu bułgarskiego, bułgarskiej klasy robotniczej, naszej partii Błagojewa i Dymitrowa. Berzin obdarzył mnie swym zaufaniem jako bułgarskiego komunistę — dla niego fakt, że nim byłem, miał ogromne znaczenie. Moja ówczesna działalność wynikała z głębokiego i konsekwentnego internacjonalizmu naszej partii. W owych latach, a i dziś, obrona Kraju Rad — kolebki rewolucji socjalistycznej — była i pozostaje najwyższym obowiązkiem komunistów i wszystkich prawych ludzi na całej kuli ziemskiej.

Część I

W rodzinnym mieście Plewen

1. Miasto chwały bojowej Rosjan i bułgarsko-radzieckiej przyjaźni

Droga życiowa każdego człowieka zależna jest od tysiąca przypadków, lecz wpływa na nią głównie kilka z nich — być może pochodzenie społeczne, talent czy też pociąg w określonym kierunku, być może jakieś ogólniejsze wydarzenia lub wojna, być może atmosfera stron rodzinnych.

W moim życiu, i to w decydującym wieku — młodości, najważniejszą rolę odegrało Plewen, miasto rodzinne.

W owych latach, o których mówię, Plewen było małym, skromnym ośrodkiem rzemieślniczym, nie wyróżniającym się na pozór niczym szczególnym; miało kręte, wąskie i błotniste uliczki, jeden jedyny porządny plac, kilka cerkwi, kilka solidniejszych betonowych budynków i parę większych fabryk, które nikły w morzu małych warsztatów rzemieślniczych i parterowych domków, rozrzuconych w dziewięciu brzydkich dzielnicach wokół Strugi Kajłyskiej u podnóża Kowanłyku. Ze starożytnej trackiej twierdzy Storgozja, wzniesionej nad doliną kajłyską, i ze sporego osiedla słowiano-bułgarskiego, które po zaciętym boju popadło pod jatagan Turków, nie zostało w naszych czasach ani śladu. Historia, przeznaczywszy miastu okrutny los, nie zlitowała się nawet nad kamienną kroniką zabytków.

Lecz mimo iż skromne i prowincjonalne, Plewen w owych latach odznaczało się pewną wyjątkową cechą. Nie, nie chodzi tu o szeroki pierścień otaczających je winnic ani o groty kajłyskie — wilgotne, tajemnicze, niedostępne dla nas, dzieci, ani

też o Strugę Kajłyską z jej rozlewiskami, ani o pobliskie mroczne wąwozy i gaje akacji, gdzie wiosną pełno było śnieżyczek. Oblicze miasta, jego charakter i godność ukształtowało historyczne zwycięstwo, jakie w 1878 roku odniósł tu „Biały Generał" — Skobielew nad potężną armią Osmana-paszy. Zwycięstwo to w znacznym stopniu zadecydowało o dalszym przebiegu i wyniku wojny rosyjsko-tureckiej, kładącej kres wielowiekowej niewoli osmańskiej. Dlatego Plewen jest miastem chwały bojowej Rosjan.

Nie wiem, co odczuwają dzieci z innych stron kraju, gdy na lekcjach historii słuchają o walkach pod Plewen, ale my, pleweńczanie, czuliśmy w piersiach jakąś mglistą i niejasną, lecz szczególną dumę. Niebłaha to rzecz, że twoje miasto rodzinne było miejscem bitwy, gdzie starły się tak potężne siły! A „Biały Generał", który dzięki opanowaniu, umiejętnej strategii i odwadze złamał wielotysięczną armię ciemiężycieli, w naszych oczach był czymś więcej niż zwykłym generałem, więcej nawet niż zwycięzcą; na swym białym koniu, w śnieżnobiałej kurtce, cały pokryty srebrem i złotem szamerunków, Skobielew symbolizował w naszych oczach Rosję, symbolizował Wolność.

Dlatego park Skobielewa był nie tylko miejscem spacerów i zabaw, ale i obiektem czci, zarówno ze strony młodych jak i starych.

Nigdy nie zatrze się w mej pamięci przeżycie z owego odległego dnia w 1903 roku, gdy w Plewen położono kamień węgielny pod mauzoleum. Ojciec mój, przysięgły zwolennik Rosjan, mówił:

— Będziemy budować mauzoleum rosyjskich bohaterów, którzy zginęli za nas, aby te sprzedawczyki, stambołowcy i liberałowie, wiedzieli i pamiętali, że dla nas wolność zaświtała od wschodu, że tak, jak nie istnielibyśmy bez Rosji, tak bez Rosji nie będziemy też mogli istnieć w przyszłości...

„Będziemy budować" — tak mówił mój ojciec, tak mówili wszyscy pleweńczanie, tak mówił cały naród bułgarski, nie

rozpłomieniony jeszcze ogniem partyzanckiej walki, naród, który jak modlitwę wypowiadał słowa starego Wazowa: „Nie ma większej niż Rosja potęgi na świecie".

Mauzoleum pleweńskie było jednym z największych pomników, które komitet ogólnonarodowy, ze starym działaczem bułgarskiego odrodzenia narodowego Stojanem Zaimowem na czele, postanowił wznieść ku czci rosyjskich żołnierzy, poległych w boju o wolność Bułgarii. Wśród innych był jeszcze pomnik wyzwolicieli w Sofii, pomnik na szczycie Szipka, park-muzeum Skobielewa w Plewen oraz muzea wyzwolicieli w miejscowościach: Plewen, Pordim, Gorna Studena i Biała.

Środki na ich budowę gromadzono z dobrowolnych datków ludności całego kraju, a uzupełnić sumę miało państwo. Pomagała również Rosja.

Zgodnie z przewidywaniem mieszkańcy miast, wsi i osiedli nie poskąpili pieniędzy, nie pozostali obojętni wobec szlachetnych zamierzeń. Pleweńczanie znaleźli się wśród najszczodrobliwszych ofiarodawców. Mali i wielcy, biedni i bogaci złożyli swój datek z całego serca. Każdy uważał udział w subskrypcji za sprawę osobistego honoru. Nie wygasł żar odrodzenia narodowego: to przecież z Plewen pochodzili bojownicy oddziałów Filipa Totiu i Christo Botewa, tu przecież Lewski powołał pierwszy komitet rewolucyjny, a w legendarnych ochotniczych drużynach uczestniczących w wojnie wyzwoleńczej walczyli i pleweńczanie.

I oto, gdy w Sofii zaczęły się pierwsze prace, przyszła też kolej na nas.

Tego dnia skromne Plewen jakby urosło, jakby przerosło samo siebie. Oczekiwano, że na uroczystość położenia kamienia węgielnego przybędą znakomici goście aż z Rosji, z Piotrogrodu, oraz osobistości z Sofii. Dorośli, jeszcze bardziej podnieceni niż my, dzieci, porzucili wszystkie inne sprawy i do późna w nocy próbowali odgadnąć, kim też będą wysłannicy z Rosji.

Na uroczystość przybyły wozami, na koniach i pieszo tysiące wieśniaków z okręgu pleweńskiego, nawet z jego odległych krańców — żaden światlejszy obywatel nie chciał opuścić tego święta, by móc potem opowiadać o nim swoim wnu-

kom. Ludność miasta podwoiła się, potroiła nawet. Niemal każdy dom przyjął pod swój dach znajomych i nieznajomych. Ale gości było wielu, wszyscy nie mogli się pomieścić. Rzesze wypełniły „plac z fontanną", gdzie nazajutrz miała odbyć się uroczystość. Wzdłuż murów dawnej siedziby tureckich władz miasta i zrujnowanej na poły łaźni, wśród ruin starego meczetu, gdzie ciągle jeszcze leżały pnie stuletnich wiązów, które ścięto, by oczyścić teren pod mauzoleum (w cieniu tych wiązów owczarze z okolicznych wiosek sprzedawali na świętego Jerzego tradycyjne jagnięta — i my, dzieciaki, nie na żarty się martwiliśmy, gdzie też owczarze będą się zbierać teraz ze swym niezwykłym, beczącym towarem), na ulicach i rynkach, w podwórzach domów i na polanach wokół miasta, i pod Kajłykiem w nocy poprzedzającej święto zapłonęły niezliczone ogniska obozujących, którzy spali pod płótnem namiotów lub wprost pod gołym niebem na derkach i rogożach.

„Spali" — rzekłem? Któż mógłby zasnąć w taką noc, przy dźwiękach kobz i klarnetów, wśród aromatu pieczonych na rożnie mięs, pośród wrzawy rozlegających się pieśni, śmiechów, okrzyków!

A potem nastał pamiętny dla pleweńczan dzień, który pozostawił w mojej pamięci dwa jaskrawe obrazy: powitanie gości i położenie kamienia węgielnego.

Goście z Rosji — były to istotnie znakomite osobistości: książęta, generałowie, wyżsi duchowni — w strojach błyszczących srebrem i złotem — przyjechali bogatymi powozami, ciągnionymi przez silne, żwawe, wypasione konie. Gdy zbliżyli się do miasta, ludność tłumnie zgromadzona przy drodze, ogarnięta entuzjazmem, uczyniła coś, czego nikt nie oczekiwał: wyprzęgła konie i wśród zgiełku, nawoływań i powitalnych okrzyków — sama pociągnęła powozy.

Co spowodowało ten fakt, którego nikt nie ustalał z góry? Komu najpierw przyszła do głowy ta myśl, w czyjej duszy zrodziła się decyzja, by w taki właśnie sposób wyrazić miłość, uznanie, przywiązanie dla wielkiego rosyjskiego narodu — wyzwoliciela Bułgarów?

Później okazało się, że podobne wypadki miały również miejsce i gdzie indziej, dokąd przybyli goście z Rosji. Lud był wszędzie ten sam; wszędzie żywił trwałe uczucie uznania dla wielkiego sąsiada z północy, który jedyny spośród mocarstw, wstrząśnięty dramatem powstania kwietniowego, przybył z pomocą i przyniósł nam wolność. Spontaniczny gest ludu miał pełne wymowy znaczenie...

Goście wysiedli z powozów, stanęli na placu, a różnobarwny tłum, stłoczony naokoło, wybuchnął znów entuzjazmem. Wszyscy ze łzami w oczach krzyczeli: „Hura!" — aż niebo zdawało się drgać nad głowami zgromadzonych. Wojsko i strażnicy, podwójnym kordonem opasujący plac, z trudnością powstrzymywali napierające masy. Każdy chciał być bliżej, aby samemu zobaczyć, ba, nawet dotknąć ręką gości z daleka.

Najszczęśliwsze byłyśmy my, dzieci. Strażnicy przepędzali nas oczywiście, lecz jakże mogli sobie poradzić i z cisnącym się tłumem, i z gromadami ruchliwych jak rtęć malców... Przemykaliśmy się jak myszy przez kordony, wciskaliśmy się między gości, z drżeniem dotykaliśmy powozów i złotem tkanych szat duchownych — ciekawość nasza została całkowicie zaspokojona.

Właściwy naszemu wiekowi wzrost zapewnił nam też największy przywilej — możność obserwowania z bliska kulminacyjnego momentu uroczystości: położenia kamienia węgielnego. Dokonano tego po długich przemowach i jeszcze dłuższych nabożnych pieniach, bo duchowni, zgodnie z wymogami tradycji, musieli, odprawiwszy nabożeństwo, poświęcić miejsce. Najznakomitszy spośród gości, jakiś kniaź, jeśli pomnę, złożył w wykopanych uprzednio fundamentach przyszłego mauzoleum kilka dobrze zakorkowanych butelek oliwy. Umieszczono w niej — jak mówili ze wzruszeniem dorośli — specjalne „orędzie do przyszłych pokoleń" napisane na pergaminie. W istocie były to zwykłe w takich okolicznościach akty erekcyjne, podające datę położenia kamienia węgielnego, informujące o znaczeniu pamiątkowej budowli i wymieniające inicjatorów jej wzniesienia.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

Po złożeniu butelek z „orędziami" ustawiono nad nimi kilka białych kamiennych bloków — i na tym ceremonia się zakończyła.

Ale nie skończyło się święto — przeciwnie, jakby dopiero teraz ożywiło się korowodem tańców, zabrzmiało muzyką i pieśniami, odgłosem wesołych biesiad. Dla gości otoczonych chmarą osobistości z Sofii bankiet urządzono osobno w jakiejś sali, lecz lud ogarnięty świątecznym nastrojem weselił się mimo to z całego serca. Zgromadził się tu bowiem nie z prostej ciekawości: z bezbłędnym wyczuciem pojmował głębokie znaczenie budowy mauzoleum i obecnością swoją nadawał mu rangę rzeczywistej świątyni wdzięczności i przyjaźni wobec wyzwolicieli.

Nie podobało się to jednak wówczas stołecznym dygnitarzom. Zapomniawszy już niedawnej historii narodowej, wzbogaciwszy się, zadufani nowi władcy wraz z bohaterem wiedeńskich kabaretów, carem Ferdynandem, chcieli związać los Bułgarii z Zachodem, odrywając ją od naturalnego sprzymierzeńca, obrońcy i brata.

Powstanie mauzoleum, Muzeum Wyzwolenia i parku Skobielewa w Plewen związane jest z imieniem wybitnego rewolucjonisty, społecznika i nauczyciela ludowego — Stojana Zaimowa.

Pojawił się on w Plewen na długo przed wzniesieniem mauzoleum. Należało zaznajomić się z projektami architektonicznymi, należało poszukać odpowiedniego materiału budowlanego, doświadczonych budowniczych, różnych rzemieślników, utalentowanych artystów, należało wybrać miejsce najodpowiedniejsze do wzniesienia pamiątkowej budowli i urządzenia parku, należało ekshumować szczątki poległych w bojach pod Plewen żołnierzy rosyjskich, by przenieść je właśnie tutaj, należało odnaleźć autentyczne armaty, uniformy, ekwipunek, jaki pozostał z okresu walk pleweńskich u nas lub w Rosji; należało zrobić jeszcze wiele rzeczy przed rozpoczęciem właściwej budowy mauzoleum, muzeum i parku Skobielewa. Tego wszystkiego nie

mogli wykonać zwyczajni urzędnicy, to wymagało bezinteresownego trudu działaczy społecznych i patriotów. Jednym z nich, i to jednym z najaktywniejszych, był Stojan Zaimow.

Pamiętam go, jakby to było dziś — postawny i barczysty, lekko przygarbiony wiekiem, o wyrazistych i władczych rysach twarzy, z przedwcześnie pobielałą, krótko obciętą czupryną, krzaczastymi siwymi brwiami i gęstym jak u starych powstańców wąsem, miał ogromne łagodne oczy, promieniejące bezgraniczną dobrocią i niewyczerpaną energią. Zaimow często bywał w naszym domu u ojca. Jeszcze częściej ojciec bywał u niego, od czasu gdy założono park Skobielewa (w 1907 roku) i Zaimow został tu jako jego dożywotni dyrektor. Wyrażenia „został tu" nie należy rozumieć dosłownie, gdyż do samej śmierci w 1932 roku Stojan Zaimow pełnił funkcję dyrektora wszystkich wojskowo-historycznych muzeów w Bułgarii, ze stałą siedzibą w Plewen.

Stary Zaimow i mój ojciec spotykali się, aby gawędzić nad tradycyjnym dzbanem domowej dojrzałej gamzy, o stałej przedwieczornej porze, gdy słońce kryło się już za winnicami Kowanłyku, a nad miastem, leżącym jak na dłoni u podnóża parku, słał się cichy zmierzch. Były to godziny, gdy park Skobielewa pustoszał i stary Zaimow — niezmordowany przewodnik, zapalony popularyzator, który zjednywał sobie wszystkich odwiedzających muzeum uprzejmością i dobrocią — mógł sobie pozwolić na wytchnienie. Gawędzili albo pod starym wiązem (później Zaimow, czując zbliżający się koniec, wyraził życzenie, by go tam pochowano), albo w skromnym, ukrytym w parku domu dyrektora (przekształconym obecnie w muzeum Stojana i Władimira Zaimowów). Tam, na tle swego gabinetu, Zaimow sprawiał niezwykłe wrażenie na odwiedzających. W pokoju tym połowa ścian pomalowana była na kolory narodowe Bułgarii, druga zaś — Rosji. Siadłszy w miejscu, gdzie zbiegały się kolorowe motywy barw narodowych, Zaimow symbolizował jakby żywe ogniwo między obu bratnimi narodami.

W parku-muzeum imienia Skobielewa również wszystko było głęboko i wnikliwie przemyślane i wykonane z prawdziwym

artyzmem. Stojan Zaimow uczynił z każdego kawałka skały, każdej gałązki bluszczu i bukszpanu, z każdej alejki, każdej relikwii w mauzoleum i muzeum wzruszający, poetyczny i artystyczny symbol jednej wielkiej idei — idei wdzięczności i braterstwa. Nad wszystkim jednak górował (widniejący i dziś) napis wykuty w marmurze nad wejściem do mauzoleum. Słowa te stary Zaimow jakby wydobył wprost z serca narodu:

„Oni, orły północnego nieba, dzieci wielkiej ziemi rosyjskiej, natchnieni humanizmem, wiedzeni geniuszem zwycięstwa, przebyli lasy i pola, morza i rzeki i odważnie stanęli na pięknych wzgórzach, by uderzyć bagnetem w turecką tyranię. Tu, w podbitej od wieków ziemi bułgarskiej, ostrzem swego miecza rozcięli pęta, a armatnimi strzałami skruszyli pięćsetletnią twierdzę niewoli. Ofiarnie przelali krew w walce za wolność i szczęście bułgarskiego ludu, zapomnianego przez czas, carów, bogów i potęgi tego świata, i złożyli kości na bratniej ziemi. W dowód głębokiej czci i ogromnej wdzięczności wyzwolony przez nich naród bułgarski wzniósł im ten pomnik".

Podczas gdy Stojan Zaimow gawędził z moim ojcem, ja bawiłem się z jego synem Władimirem w cichych alejach parku. Działo się to zwykle w okresie letnich wakacji — Władimir był wówczas kadetem w Akademii Wojskowej. Długie godziny wspólnych ciekawych i pomysłowych zabaw upływały zawsze w ciszy, przerywanej tylko naszymi szeptami. Czyż można było krzyczeć i śpiewać obok miejsca spoczynku rosyjskich bohaterów, czyż można było skakać i biegać po ziemi nasiąkłej żołnierską krwią!... Niezwykłe więc były te zabawy, niezwykła i nasza przyjaźń otoczona atmosferą muzealnych eksponatów, względem których czuliśmy bogobojną niemal cześć...

Władimir był o kilka lat starszy ode mnie, lecz nie dostrzegałem w jego zachowaniu ani cienia wyższości, tak często okazywanej dzieciom przez młodzież w jego wieku. Był to zdrowy, zgrabny i ładny chłopiec, podobny do swej matki, obdarzony jakąś szczególną głębią spojrzenia i powściągliwością charakteru, oczytany, spokojny, dobrze ułożony. We wspomnieniach

moich z owych lat widzę go, jak stoi obok jakiegoś muzealnego działa i długo, zajmująco opowiada nam, swoim małym przyjaciołom, o bojach pod Plewen, o krwawej bitwie na Zielonych Wzgórzach, o poległych w Dolinie Martwych dziewięciu tysiącach rosyjskich żołnierzy, o sztuce oblężniczej generała Totlebena, o niesłychanym męstwie generała Skobielewa i o wielkiej ofierze rosyjskich bohaterów, którzy własnym życiem zapłacili za wolność umęczonej Bułgarii...

O tym wszystkim Władimir słyszał pewnie od ojca i czytał, lecz dla niego nie był to tylko zbiór historycznych faktów; on ukochał tę przeszłość, wiedza o niej stała się dla niego głębokim i trwałym przeżyciem. Swym uwielbieniem dla Rosji, mimo iż jeszcze tak młody, Władimir jako syn godny swego ojca umiał natchnąć i innych.

Albowiem Stojan Zaimow był nie tylko słowianofilem i rusofilem; jego stosunek do Rosji graniczył z pietyzmem religijnym. Nie istniała dla niego piękniejsza ziemia, wspanialszy naród, potężniejsze państwo.

Taki sam był też mój ojciec i to stało się przyczyną ich dozgonnej przyjaźni. O tym, jakimi byli fanatykami w swym uwielbieniu dla Rosji, świadczy następująca zabawna historia:

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej na początku tego wieku w ręce japońskie dostał się Port Artur. Rzecz to wszystkim wiadoma i powszechnie znana. W owych latach o upadku tego miasta, który nastąpił po wielkich operacjach morskich i lądowych, donosiły wszystkie gazety. Ale dla mego ojca i dla starego Zaimowa fakt ten w ogóle nie istniał.

Ja, w czasie tej wojny związany już z klubem lewicowych socjaldemokratów, poglądami różniłem się od ojca, zwolennika partii narodowców, i w dyskusjach często wyrzucałem mu:

— Nie uznajesz partii socjaldemokratycznej, nie uznajesz jej znanych wszystkim sukcesów, tak jak nie uznajesz upadku Port Artura!

Powiedziawszy to, uważałem spór za skończony. Ale myliłem się.

— Ech, synu — wzdychał ciężko ojciec i kiwał głową. — Przed waszą partią tyle jest przyszłości, ile prawdy jest w tym

podłym, skośnookim kłamstwie o Port Arturze... Nie! Port Artur nie upadł ani nie mógł upaść! Czy rozumiesz, ty zielona głowo, że Bałkany mogą rozsypać się jak kupa piasku, Dunaj może popłynąć z powrotem na zachód, słońce może się zapaść na dno piekła, ale Rosji nikt nie pokona! Zapamiętaj to sobie. Tak było i tak pozostanie na wieki wieków...

— I zapamiętaj też sobie — dodawał już bez zapalczywości mego ojca, lecz z tym samym niezłomnym przekonaniem Stojan Zaimow — dokąd istnieć będzie na świecie Rosja, dotąd nam, Bułgarom, i wszystkim Słowianom przyświecać będzie nadzieja... Chcę, abyś mi obiecał, synku, że nie pozwolisz nikomu obrażać Rosjan, naszych obrońców...

Oczywiście, w tak przebiegającym sporze nikt nie mógł pokonać obu staruszków; biorąc bowiem za punkt wyjścia konkretny odosobniony fakt, dotyczący jednego portu, przenosili oni rozmowę w sferę uczuć, nieobcych przecież i mnie. W poglądach na Rosję nie różniłem się wszak ani z ojcem, ani ze starym Zaimowem.

Stojan Zaimow — jeden z najbardziej szanowanych ludzi w Plewen i w całym kraju (na krótko przed wybuchem wojen car Ferdynand mianował go ministrem oświaty, lecz Zaimow kategorycznie odmówił przyjęcia stanowiska) — przybył w nasze strony po wielu przeżyciach, i to ciężkich. Bliski towarzysz i współpracownik Christo Botewa, Panajota Wołowa, Benkowskiego, Nikoły Obretenowa, w 1876 roku, kiedy to Centralny Komitet Rewolucyjny w Giurgiu podjął decyzję o powstaniu narodowym i podzielił kraj na cztery okręgi rewolucyjne (tyrnowski, sliweński, wraczański i płowdiwski) został Zaimow wyznaczony na głównego organizatora i naczelnika powstania w okręgu wraczańskim. Od owej chwili całymi dniami bez odpoczynku objeżdżał miasta i wsie w swoim okręgu, tworzył nowe i umacniał istniejące komitety rewolucyjne, podsycał entuzjazm bojowy i wiarę w zwycięstwo nad odwiecznym ciemiężycielem... Po krwawej epopei powstania kwietniowego wywieziono Zaimowa na dożywotnie zesłanie do Diarbekir, skąd powrócił po wyzwoleniu. Lecz i teraz, w wolnej Bułgarii, los

jego był ciężki. Płomienny bojownik z okresu bułgarskiego odrodzenia, zwolennik idei sojuszu z rosyjskim narodem, Zaimow znalazł przysięgłych wrogów w osobach Stambołowa i cara Ferdynanda. Obydwaj ci głosiciele antyrosyjskiej orientacji najpierw zamknęli go w więzieniu, a następnie zmusili, by emigrował.

Ukończywszy studia w Moskiewskim Instytucie Pedagogicznym, Zaimow powrócił z Rosji i ponownie dostał się do więzienia w Płowdiwie. Zwolniony w wyniku protestów społeczeństwa, został okręgowym naczelnikiem, potem dyrektorem Biblioteki Narodowej, a następnie stanął na czele Ogólnonarodowego Komitetu Fundacji Pomników i Muzeów Bohaterów Rosyjskich, poświęcając całą swą energię umacnianiu przyjaźni bułgarsko-rosyjskiej.

Ta nowa praca społeczna przywiodła Zaimowa do Plewen. Doglądał nie tylko budowy, urządzenia i konserwacji mauzoleum i parku Skobielewa w samym Plewen, lecz również pomników i muzeów wznoszonych w okolicznych wsiach: Pordim, Biała i Gorna Studena.

Stojan Zaimow był surowym, lecz równocześnie sprawiedliwym i dbałym ojcem. Dzieci jego — syn i dwie córki — żyły w zgodzie i spokoju. Żona — moskwianka Klaudia Polikarpowna — była łagodną, piękną i cichą kobietą, która zastępowała matkę wszystkim ubogim dzieciom w Plewen. Własne dzieci Zaimow nie tylko wychował na dobrych obywateli kraju, lecz jednocześnie przekazał im swe przywiązanie do Rosji. Owo przywiązanie, które w kilkadziesiąt lat później stało się przyczyną rozstrzelania jego jedynego syna...

Przyjaźń moja z Władimirem Zaimowem urwała się, gdy został on awansowany na junkra; Akademia Wojskowa urządzała już teraz latem ciągłe ćwiczenia obozowe i Władimir nie mógł przyjeżdżać do Plewen. Lecz mimo iż studia oderwały go od starego środowiska, żadna siła nie zdołałaby go i w akademii, i w okresie późniejszym pozbawić cech odziedziczonych po ojcu: Władimir był zawsze prawdziwym patriotą bułgarskim, mężnym żołnierzem i prawym obywatelem.

Mniej więcej trzydzieści lat później, w 1935 i 1936 roku, drogi nasze znów się spotkały. Najpierw Paweł Berzin, a następnie nowy wysłannik wywiadu radzieckiego w Bułgarii, mój współpracownik w okresie uprzedniej działalności w Chinach, poprosili mnie, abym im scharakteryzował niektórych bułgarskich polityków i wojskowych. Część z nich była działaczami obalonego właśnie reżimu 19 maja i tajnego Związku Wojskowego. Wśród wielu nazwisk spostrzegłem jedno, które nagle przywiodło mi na myśl lata młodości i wzruszyło głęboko — Władimir Zaimow.

— Generał, były sekretarz Związku Wojskowego, były komendant szumeńskiego okręgu wojskowego, były inspektor artylerii, lecz obecny przeciwnik monarchii i prawdziwy demokrata! — tak scharakteryzował go mój radziecki towarzysz. — Czy znasz dobrze tego człowieka, Wanko? Czy wyrósł w Plewen, twoim rodzinnym mieście?

Opowiedziałem o życiu młodego Zaimowa, o jego ojcu, o atmosferze sympatii dla Rosji, w jakiej się wychował.

— Czy mogę na niego liczyć?

Cóż mogłem odpowiedzieć? Praca wywiadowcy jest bardzo odpowiedzialna. Przy wyborze przyjaciela możesz popełnić błąd — w najgorszym razie spotka cię rozczarowanie, lecz w wyborze towarzysza broni nie możesz sobie na taką rzecz pozwolić — tam każda zdrada oznacza zaprzepaszczenie sprawy, zgubę. Cóż mogłem doradzić swemu radzieckiemu koledze?

— Wyrósł z dobrego pnia, a niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ale sprawdź, spróbuj, zorientuj się... Trzydzieści lat nie widziałem go na oczy...

Jabłko rzeczywiście niedaleko padło od jabłoni. Generał Władimir Zaimow godnie spełnił swój patriotyczny i internacjonalistyczny obowiązek: w przeddzień wybuchu wojny i w jej pierwszych, najsurowszych latach czynnie wspierał wywiad radziecki, działając w Sofii i w szeregu krajów na hitlerowskim zapleczu. Wydał go, jak wiadomo, prowokator z Pragi. W czerwcu 1942 roku w Sofii, w podziemiach Szkoły Oficerów Rezerwy, „Czerwony Generał" został rozstrzelany. Już po wyzwole-

niu dowiedziałem się, że Zaimow przyjął śmierć dumnie jak prawdziwy żołnierz. Na chwilę przed salwą wykrzyknął:

— Związek Radziecki i Słowiańszczyzna są niezwyciężone! Za mną idą tysiące! Niech żyje wolna Bułgaria!

Kraj Rad oddał hołd Władimirowi Zaimowowi. Otrzymawszy wieść o jego rozstrzelaniu o północy z dnia 1 na 2 czerwca, radio moskiewskie nadało słowa: „Bułgarzy, uczcijcie rozstrzelanego tej nocy wielkiego syna Bułgarii i całej Słowiańszczyzny — generała Władimira Zaimowa!"

Z rozkazu naczelnego dowództwa Armii Czerwonej tejże nocy zamilkł na przeciąg kilku minut ogień armatni wzdłuż całego frontu wschodniego. Zasłużony i niezwykły hołd dla zasłużonego i niezwykłego bohatera...

Zacząłem mówić o Plewen, a opowiedziałem o generale Zaimowie i jego śmierci. Ale Zaimow właśnie z Plewen rozpoczął swoją drogę do bohaterstwa. Zaimow-ojciec kładł na bułgarskiej ziemi fundamenty pod pomniki wdzięczności dla rosyjskiego narodu-wyzwoliciela, Zaimow-syn położył własne życie jako podwalinę przyjaźni bułgarsko-radzieckiej.

I nie przypadkiem ojciec i syn, nierozłączni w swym patriotyzmie, pozostali nierozłączni po śmierci. Prochy obu spoczywają w Plewen, w zielonym cieniu pośród ciszy parku Skobielewa, bo po wyzwoleniu pleweńczanie w miejscu, gdzie wedle ostatniej woli Zaimowa spoczęły jego prochy, złożyli też ciało syna.

I myślę, że wielkość duchowa Zaimowa wyrosła ze specyficznej atmosfery Plewen. Bułgarowi bowiem urodzonemu wśród zabytków tego miasta, oddychającemu w młodości jego powietrzem, chodzącemu po ziemi przesiąkniętej krwią tylu rosyjskich żołnierzy, kołysanemu legendami o rosyjskich bohaterach — tu chyba łatwiej przychodzi, rozejrzawszy się na wszystkie strony świata, zatrzymać wzrok na wschodzie i zrozumieć, gdzie jest bratni kraj i skąd przyszło wyzwolenie.

Tak się miała sprawa z Zaimowem-synem, tak się miała z wieloma moimi współziomkami, wywodzącymi się jak i ja z klasy robotniczej, tak też było ze mną.

2. Na południowy front z 9 dywizją pleweńską

Gdy w 1915 roku powołano mnie do służby „carowi i ojczyźnie", miałem dziewiętnaście lat. Rozpierała mnie energia, wszystko wydawało się proste i oczywiste. Kółka samokształceniowe i odczyty w miejscowym klubie lewicowych socjaldemokratów, liczne książki i popularne broszury, które przewertowałem, nauczyły mnie myśleć i postępować tak, jak myśli i postępuje socjalista. Oczywiście socjalista jeszcze niedojrzały i naiwny, nazbyt zapalczywy i płomienny, by rozumieć skomplikowany, pełen sprzeczności świat i zdawać sobie sprawę ze swego w nim miejsca. Ale miałem pewność, że miejsce dziecka ludu pracującego, jakim byłem, i robotnika jest na froncie walki klasowej z kapitalizmem, a moim credo są idee komunistyczne, najbardziej humanistyczne i najszlachetniejsze, jakie kiedykolwiek wyznawała ludzkość.

Przydzielono mnie do 4 pułku piechoty 9 dywizji pleweńskiej. Po krótkim przeszkoleniu ruszyła ona na zachód, w kierunku Serbii, na wyznaczone pozycje. Gdybym jako socjalista nie był przeciwnikiem wojny imperialistycznej, mógłbym się szczycić swoją dywizją. Imię jej bowiem zapisało się złotymi zgłoskami w historii męstwa bułgarskich żołnierzy. Przed dwoma czy trzema zaledwie laty, w czasie wojny bałkańskiej, dywizja pleweńska walczyła na najcięższym odcinku frontu — pod Odrinem (obecnie Adrianopol).

Odrin! Nazwa tego miasta przyprawiała o drżenie żołnierskie serca, a znani zachodni eksperci wojskowi stwierdzali kategorycznie: „To jest twierdza nie do zdobycia". Obrona Odrinu została przygotowana według wskazówek francuskich i angielskich specjalistów od spraw wojskowych — mnóstwo zasieków, rowów, okopów i schronów, baterii artyleryjskich i gniazd karabinów maszynowych otaczało wieloma pierścieniami miasto. Samą twierdzę wyposażono w najnowocześniejszy sprzęt — dalekonośne działa z Anglii i z zakładów Kruppa, strzelające i szybko, i celnie, i daleko, a przy tym najcięższego kalibru... Tak więc zachodni eksperci mieli podstawy, aby twierdzić, że

Odrinu nie zdobędzie żadna armia, a zwłaszcza taka jak bułgarska, wyekwipowana w pośpiechu, niemal całkowicie zależna od siły pociągowej zwierząt, uzbrojona głównie w przestarzały sprzęt wojskowy, który na Zachodzie stanowił już częściowo eksponaty muzealne. Mieli podstawy, a jednak...

W epopei odrińskiej uczestniczyłem również i ja. Nie jako żołnierz — miałem zaledwie szesnaście lat — ale jako pewnego rodzaju łącznik pleweńskiej organizacji partyjnej. Nie było jeszcze wówczas bułgarskiego Komsomołu i co aktywniejsi młodzi socjaliści, mimo iż nie osiągnęli odpowiedniego wieku, bywali wciągani w szeregi organizacji (nie płacili jednak składek członkowskich). Należałem do niej i ja — jeden z młodych pleweńskich stolarzy, dla których klub partyjny był czymś więcej niż kościół, niż dom, niż szkoła.

Organizacja w Plewen zleciła mnie i memu koledze potajemne dostarczenie żołnierzom frontowym z dywizji pleweńskiej gazet partyjnych zamieszczających artykuły antywojenne. Jeden z towarzyszy, Łukanow, wykorzystał w tym celu naszą podróż do Odrinu, dokąd wysłali nas rodzice i krewni z żywnością i ubraniem dla mego starszego brata Piotra i dla ojca mego kolegi. Obydwaj walczyli tam na froncie.

Wszystko pięknie zapakowaliśmy, a Todor Łukanow sam ukrył w bagażu materiały agitacyjne i wyprawił nas w drogę, życząc wszystkiego najlepszego.

Jechaliśmy koleją prawie tydzień — nikt nie żądał od nas biletów, nikt nie pytał, dokąd jedziemy. Pociągi idące na południe — pełne żołnierzy, żywności, broni, amunicji, środków opatrunkowych — wlokły się w tempie wozów zaprzężonych w bawoły, a na stacjach do znudzenia czekały, aby przepuścić zdążające z przeciwka transporty, które wywoziły z linii frontu chorych i rannych.

Siedzieliśmy z kolegą w wagonie jak myszy pod miotłą. W zamieszaniu nikt nie zwracał na nas uwagi, my zaś patrzyliśmy z nienasyconą ciekawością na wszystko dokoła — na żołnierzy i ich broń, ładownice z nabojami, działa i skrzynie z ciężkimi, lśniącymi pociskami, na nieznane stacje, wsie i miasta Tracji, pola i wysokie ośnieżone szczyty Riły i Rodopów.

I słuchaliśmy. Był luty 1913 roku. Żołnierze nie śpiewali już do ochrypnięcia patriotycznych piosenek, nie nosili przypiętych bukiecików kwiecia ani białych haftowanych chust, nie mówili o wojnie niczym o święcie jak na początku. Głęboka troska zasnuwała ich twarze, a wieści o szerzącej się cholerze przerażały. Gdy mijaliśmy jakiś pociąg idący z południa, pełen rannych i chorych, żołnierze, którzy tam dopiero jechali, milkli i zasępieni unikali wzajemnie swego wzroku. Na początku wojny nikt nie myślał o krwi, która popłynie. Gazety i mówcy wskazywali tylko na szlachetne cele, na nasz obowiązek wobec pozostających nadal w niewoli braci — Bułgarów z Tracji i Macedonii, których kongres berliński oderwał od macierzy mimo układu w San Stefano, wbrew woli Rosji... Wszystko to była prawda, bo któż pierwszy miał wyciągnąć pomocną dłoń, jeśli nie my — tego wymagały ideały naszego odrodzenia, ku temu wzywały płomienie powstania kwietniowego, epopeja antyturecka w 1903 roku i powstanie preobrażeńskie...

Lecz o przelewie krwi i ofiarach nie mówił nikt oprócz lewicowych socjaldemokratów. Jedynie oni trzeźwo nawoływali do opamiętania, rozsądku, realizmu, jedynie oni dostrzegali obliczone na zysk plany dworu i rządzących jednostek, ukrywane za parawanem gromkich mów, jedynie oni uprzedzali, że wojna niczego nie załatwi, że te same siły, które kiedyś rozdarły Bułgarię po układzie w San Stefano, również i teraz przeszkodzą w sprawiedliwym rozwiązaniu problemów narodowościowych, że jedyną drogą jest pokojowe porozumienie państw bałkańskich, że krew i ofiary pójdą na marne...

Teraz, w lutym i marcu 1913 roku, po półrocznej wojnie ostrzeżenia te zaczynały się sprawdzać. Zwycięstwa pod miejscowościami Łozengrad, Bunar Hisar i Liule Burgas były znaczne. Rozsławiły męstwo Bułgarów. Lecz gazety milczały o mogiłach, głodzie i cholerze. Nie milczeli tylko lewicowi socjaldemokraci mimo oszczerstw oficjalnej prasy, mimo prześladowań ze strony władz.

I oto teraz jechaliśmy z kolegą na południe z ważną misją. Brat mój, wówczas zrzeszony w szeregach socjaldemokratów lewicowiec, i inni lewicowcy z dywizji pleweńskiej mieli roz-

kolportować partyjne gazety wśród frontowców. Były to promyki światła pod posępniejącym niebem Bałkanów.

Mimo panującej cholery, mimo błota, mimo przestarzałej broni i braku amunicji, mimo iż przygasł entuzjazm, Odrin — niezdobyta, supernowoczesna, znakomicie uzbrojona twierdza — miał upaść. Stało się tak dzięki męstwu bułgarskiego żołnierza. Wówczas była to sensacja na miarę światową.

Znaleźliśmy się z kolegą na linii frontu pod Odrinem w przededniu decydującego szturmu. Poprzedziła go straszliwa kanonada artyleryjska (atakowała artyleria serbska, która nadeszła z pomocą), a nawet — nalot. Samolot, ów istny cud techniki, nie tylko startował i utrzymał się w powietrzu nad pozycjami nieprzyjaciela i miastem, ale i bombardował. Historycy twierdzili później, że był to pierwszy wypadek użycia samolotu jako bombowca wojskowego. Widziałem wówczas na własne oczy te dwupłatowce z mnóstwem lin i wszelakich przewodów, z pedałami, rurami, kablami, zbiornikami. Obecnie każdy uśmiechnąłby się pobłażliwie na widok tych maszyn (było ich dwie albo trzy), ale wtedy i żołnierze nieprzyjacielscy, i — szczególnie — cywilni mieszkańcy Odrinu odczuwali zabobonną niemal trwogę przed tymi „latającymi smokami". Porucznicy bułgarscy, Toprakczijew i R. Miłkow, pierwsi nasi lotnicy wojskowi, latali tuż nad minaretami Odrinu, nad okopami i redutami, badali pozycje nieprzyjaciela i rzucali wiązki ręcznych granatów, uprzednio je odbezpieczając. Straty poczynione przez nie były minimalne, lecz panika wśród ludności ogromna, a popłoch żołnierzy nieprzyjacielskich — wielki.

Do Odrinu weszliśmy z kolegą razem z taborami dnia 13 marca i pozostaliśmy tam przeszło tydzień. Obejrzeliśmy wszystko: i reduty, i okopy, i place, i meczety. Wbrew oczekiwaniom miasto było prawie nie zniszczone. Wojnę poznawało się głównie po zgłodniałych oczach dzieci i kobiet, po stosach cuchnących, nie wywiezionych śmieci, po tysiącach świeżych mogił i nie pogrzebanych ciał, po pustych sklepach i wyschniętych studniach.

Wojsko nasze wraz z małymi oddziałami serbskimi uczestniczącymi w oblężeniu wkroczyło do twierdzy bez uczucia zajadłości — nie ograbiono żadnego domu, nie ucierpiał żaden z mieszkańców. Ulice mijane przez naszych żołnierzy wypełniał tłum kobiet, dzieci i starców w turbanach, którzy patrzyli na zwycięzców raczej z ciekawością i nadzieją niż ze strachem. I nie bez podstaw: już w pierwszych dniach po wkroczeniu Bułgarzy spontanicznie przyszli z pomocą mieszkańcom miasta. Na wielu placach Odrinu zadymiły kuchnie polowe, do których w długich kolejkach ustawiały się małe Turczęta z blaszankami i cierpliwie czekały, aż wąsaty bułgarski wujek naleje im chochlą gorącej zupy. Oto drugie oblicze tego samego bohatera, który w walkach odrińskich dokonał rzeczy niemożliwej. W sercu jego nie było nienawiści — płonęła tam tylko szczera gotowość ofiary, by wyzwolić ujarzmionych braci.

Lecz obecnie, gdy sławna dywizja pleweńska wyruszała na wojnę, z poprzedniego entuzjazmu bojowego nie zostało ani śladu. Karta historii odwróciła się, przesłaniając epopeję odrińską goryczą klęski poniesionej w niefortunnej wojnie międzysojuszniczej. Jeszcze bardziej przygnębiająco wpłynęło na naród przystąpienie kraju do wojny światowej i sprzymierzenie się z państwami centralnymi. Było to największe, niewybaczalne przestępstwo ze strony Ferdynanda i sprzedajnej burżuazji — rzucono Bułgarię przeciwko naszej wyzwolicielce Rosji!

Droga nasza do Serbii prowadziła przez miasto Ferdynand (obecnie Michajłowgrad) i Kułę. Dywizja wkroczyła na terytorium serbskie bez walki: armia serbska, na którą wojska austro-węgierskie napierały od północnego-zachodu, a bułgarskie od wschodu, wycofała się w głąb własnego terytorium, a następnie została okrętami angielskimi i francuskimi przerzucona na wyspy Adriatyku i do Grecji. We wsiach i miastach na porzuconym obszarze ciągle jeszcze nie było większych zniszczeń — starcia z przednimi oddziałami bułgarskimi nie

trwały tu zbyt długo. Ludność nie została ewakuowana, nie okazywała też widocznego niepokoju, nie zaznała głodu.

Zatrzymaliśmy się na dwa dni w Niszu i dowództwo zakwaterowało większą część żołnierzy u tutejszej ludności. Przyjęła nas ona dobrze, mimo iż przybywaliśmy jako nieprzyjaciele. Serbowie rozumieli, że wciągnięty w wojnę imperialistyczną prosty żołnierz bułgarski nie ponosi winy za przestępstwa względem kraju, dokonywane przez kamarylę dworską, Ferdynanda i chciwą zysków burżuazję.

Krótko trwał postój w Niszu. Trzeciego dnia o świcie dywizja otrzymała rozkaz wymarszu na południe w kierunku Gewgeli.

Lecz Gewgeli to nie był Nisz. Tu już w początkowej fazie wojny oddziały bułgarskie staczały zacięte walki z cofającą się armią serbską. Gewgeli, stacja przy linii kolejowej Skopje—Saloniki, znajdowało się tuż obok granicy z Grecją i stanowiło dla przeciwnika ostatni punkt oporu na własnym terytorium. Lecz trudno było wstrzymać siłę bułgarskiego natarcia, toteż gdy znaleźliśmy się w dolinie gewgelijskiej, Serbowie byli daleko.

Dolina gewgelijska to w istocie część rozległej doliny Wardaru. Ogromna rzeka, która ją przecina, niesie z sobą nie tylko rześką świeżość i urodzaj, lecz sprawia również, że krajobraz jest tu malowniczy. Małe, skromne miasteczko Gewgeli utrzymywało się głównie z hodowli jedwabników, czemu sprzyjały okoliczne gaje morwowe, wśród których znajdowały się nasze pozycje.

Na froncie pod Gewgeli i nad Jeziorem Dojrańskim dywizja pozostała do końca wojny. Walczyły z nami głównie oddziały angielskie, a następnie francuskie. Później, w 1917 roku, w kierunku północno-zachodnim niedaleko od naszych pozycji pojawili się również — jak się dowiedzieliśmy — Rosjanie. Mimo iż należało się tego spodziewać, na prostych żołnierzy podziałało to jak szok. Okropna była sama myśl, że przyjdzie strzelać do swoich wyzwolicieli, i wkrótce doszło do wypadków bratania się żołnierzy, o czym będzie dalej mowa.

Trudna wojna pozycyjna (faza wojny, którą państwa cen-

tralne tak się popisywały) wkrótce się skończyła. W wojnie pozycyjnej prawie nie było ataków i kontrataków, zaskoczenia, zwycięstw, klęsk. Początkowy nacisk armii austro-węgierskich, niemieckich i bułgarskich osłabł z chwilą osiągnięcia masywu Gór Albańskich. Dotyczyło to również zachodniego i południowego frontu europejskiego.

Z początkiem 1917 roku armie niemieckie i austro-węgierskie zaczęły się stopniowo wycofywać z frontu bałkańskiego — siły ententy, opamiętawszy się po pierwszych porażkach, przechodziły na frontach centralnych do powszechnej kontrofensywy. Wzmacniały je świeże posiłki Stanów Zjednoczonych, które — mimo iż w trzecim dopiero roku wojny — wreszcie jednak przystąpiły do walki. (Co za dziwny zbieg okoliczności z utworzeniem drugiego frontu w latach drugiej wojny światowej!). „Dziury" powstałe na froncie na Bałkanach wypełniły wojska bułgarskie. Stopniowo stawało się coraz bardziej widoczne, że rośnie liczba ofiar. Głód i brak ekwipunku dawały się odczuć coraz wyraźniej. Wojna, rozpoczęta fanfarami, przybierała dramatyczny obrót, z czego zdawało sobie sprawę coraz więcej frontowców.

Coraz aktywniejsza stawała się też antywojenna propaganda lewicowych socjaldemokratów. Cenzura wojskowa coraz rzadziej przepuszczała na front „Gazetę Robotniczą"; docierała ona do nas głównie przez tych, którzy wracali z urlopów, i przez kurierów partyjnych. Słowa partii rozwiewały iluzje co do pomyślnego wyniku wojny, śmiało i bezwzględnie demaskowały antynarodową politykę rządu.

Tu należy powiedzieć, iż nasza agitacja antywojenna spotykała się z poparciem służących w dywizji członków i sympatyków Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego. A było ich sporo. Związek ten, powstały, jak wiadomo, w okręgu tyrnowskim i pleweńskim, posiadał w Plewen, a szczególnie w okolicznych wsiach (np. Dybnicite) swoją szeroką bazę. Tutaj pleweńczanin Janko Zabunow, jeden z założycieli związku, nauczyciel w szkole winiarskiej, rozpoczął wydawanie

„Ochrony Rolniczej" — przyszłego organu Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego. Tu w 1899 roku zwołano zjazd założycielski BLZCh. Nowy ruch odrywał masy wiejskie od partii reakcyjnych i sprawiał, że włączały się czynnie do polityki, dzięki żądaniom polepszenia nędznych warunków bytu na wsi przyciągając pod swe pomarańczowe sztandary coraz więcej chłopów. Prestiż związku wzrósł zwłaszcza z chwilą, gdy na jego czele stanął odważny republikanin i demokrata, Aleksander Stambolijski. Większość przywódców związku poparła wprawdzie zamysł przystąpienia do wojny i głosowała za kredytami wojskowymi dla rządu Radosławowa, lecz odbyło się to wbrew woli szerokich mas chłopskich. Któż bowiem silniej niż chłop odczuwa niszczycielską siłę wojny!

Rolnicy należący do związku otrzymywali w dywizji — pocztą, kiedy to było możliwe, lub za pośrednictwem wracających z urlopu — swoją gazetę: „Rolniczy Sztandar", która zamieszczała artykuły antywojenne. Dla zwolenników BLZCh znamienny był przykład przywódcy związku, Stambolijskiego, który już na początku wojny został przez cara Ferdynanda wtrącony z dożywotnim wyrokiem do więzienia za swą śmiałą walkę o zachowanie neutralności kraju.

Wspólna walka przeciwko wojnie, jaką prowadziliśmy na froncie, stanowiła fundament przyszłego sojuszu komunistów i chłopów w okręgu pleweńskim, sojuszu, który miał tam ogromne znaczenie w czasie sławnego powstania czerwcowego. Większość chłopów, naszych towarzyszy broni, z którymi walczyliśmy przeciwko wojnie, stała się później bohaterami tego powstania.

Mocnym bodźcem rewolucjonizującym masy żołnierskie były doniesienia z kraju o głodowych buntach kobiet, z drugiej zaś strony — listy od bliskich, które opisywały samowolę „bohaterów zaplecza" — wszelkich miejscowych kacyków i spekulantów, czarnogiełdziarzy i geszefciarzy. A grabieże dokonywane przez komisje rekwizycyjne dolewały tylko oliwy do ognia. W okopach narastało opozycyjne wrzenie przeciwko wojnie, coraz częstsze były wypadki niewypełnienia rozkazu, wzrastała liczba dezerterów i dobrowolnych jeńców. Polowe sądy wo-

jenne miały coraz więcej roboty, przy czym „robota" ich trwała zwykle krótko i niemal zawsze kończyła się strzałami egzekucji. Miały one miejsce wzdłuż całej linii frontu — na północy, zachodzie, południu. Na śmierć skazywano i w naszej dywizji. Rozstrzelano tu pewnego podoficera, naszego sympatyka; oskarżono go, iż w trakcie wymiany ognia z nieprzyjacielem wypalił do swego dowódcy. Na podstawie tego samego oskarżenia ponieśli wraz z nim śmierć dwaj żołnierze z okręgu pleweńskiego. Egzekucja odbyła się wobec całego pułku, sformowańego w podkowę. Chyba w miesiąc później rozstrzelano siedmiu żołnierzy z innej kompanii. I znowu publicznie — ku przestrodze.

Lecz egzekucje te, obliczone na zastraszenie, wywarły wręcz przeciwny skutek, a osądzeni szli na śmierć spokojnie i z godnością; nie chcieli, by im oczy zawiązywano przepaską, i odmawiali spowiedzi w godzinę zgonu. Tak mogli umierać tylko ludzie głęboko przekonani o słuszności swej sprawy. Dlatego kaźń zwiększała tylko odwagę tych, co pozostawali przy życiu, rozpłomieniała naszą nienawiść do oficerów i zbrodniczych przywódców w Sofii. Tu i ówdzie wybuchały jawne bunty. Aż wreszcie dowództwo zakazało publicznych egzekucji; wykonywano je odtąd cicho i skrycie, gdzieś dalej od linii frontu. Lawina jednak mogła runąć w każdej chwili, brakowało tylko jeszcze ostatniego wstrząsu.

W 1917 roku otrzymałem dwadzieścia dni urlopu. Była to dla mnie ogromna, nieoczekiwana radość. Urlop stanowił „dodatek" do orderu za męstwo, który mi wręczono przed frontem. Dla mnie jednak, lewicowego socjaldemokraty, order — uzyskany w zbrodniczej wojnie — pozbawiony był wszelkiego znaczenia, tylko ów „dodatek" posiadał wartość.

Rzecz miała się następująco:

Pozycje naszej dywizji znajdowały się wprost nad Gewgeli, które leżało u naszych stóp w dolinie Wardaru. Były rzeczywiście dobre, dogodne i do ostrzału, i do ataku. Gdybyśmy tylko mieli siły! Lecz sił mieliśmy tyle, by wytrzymywać na-

tarcia; w drugiej połowie wojny były one coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze.

Pewnej nocy oddziały angielsko-francuskie ponowiły atak. Nasza artyleria w obronie szczególnie ważnych pozycji pułku odpowiedziała przeciwnikowi, lecz nie była w stanie go zatrzymać. Nastąpił paniczny odwrót.

Wtedy grupa żołnierzy z mojej kompanii okopała się na jednym z umocnionych wzniesień. Co nas tam zatrzymało? Oczywiście nie pogarda śmierci ani też niezwykła odwaga. Po prostu widzieliśmy, że za nami pole zalegają trupy tych, którzy się bezładnie cofali, bo na płaskiej i odkrytej równinie dosięga ich ostrzał artyleryjski. Koledzy ulegli moim perswazjom i chroniąc się od pewnej śmierci pozostaliśmy na owym wzniesieniu.

Ratując siebie, uratowaliśmy również pozycję, choć w pierwszej chwili, gdy wśród morza eksplozji dostrzegliśmy tyraliery atakującego nas nieprzyjaciela, myśleliśmy, że koniec z nami. Nasza garstka na kilkukilometrowym odcinku frontu nie mogła ich powstrzymać, dokonałby tego wprawdzie ogień zaporowy, ale nasza artyleria pozbawiona punktów obserwacyjnych była ślepa w mroku nocy, nie wiedziała, gdzie ześrodkować ogień...

I nagle przyszło nam do głowy, by wypuszczając czerwone i białe rakiety skierować we właściwe miejsce ostrzał artyleryjski.

Wyszedłem zza osłony i wypuściłem rakiety. Żeby tego dokonać, przeżyłem koszmar. W powietrzu gwizdały pociski z obu stron. Istny cud, że ocalałem!

Po powrocie między towarzyszy uświadomiłem sobie, że mam pogryzione wargi, ciekła z nich krew...

Później, podczas wręczania orderu, nikt nie zauważył moich pokaleczonych ust — wszyscy patrzyli na udekorowaną za odwagę pierś. Ale ja, słuchając słów dowódcy, czułem, że nic, nawet cały wóz złotych medali, nie może być rekompensatą za grozę przeżytą w czasie niepotrzebnej i zbrodniczej wojny. „Nie puściliśmy Anglików i Francuzów na nasze pozy-

cje — myślałem. — I co z tego? O dzień lub dwa odwlekliśmy godzinę nieuniknionej klęski. Ale ile tysięcy istnień pochłonie przez te dni wojna! Czyż męstwo może mieć teraz jakieś znaczenie?"

Na swój dwudziestodniowy urlop wyruszyłem z pełnym plecakiem. Niosłem listy i broń. Listy przesyłali do swoich bliskich koledzy i ziomkowie z frontu, a broń — kilka pistoletów, naboje, granaty — była podarunkiem dla pleweńskiej organizacji partyjnej. Mieliśmy też po dwa krótkie karabiny austriackie, manlichery, które schowaliśmy pod szynelami. W ten sposób wypełnialiśmy polecenie, jakie Todor Łukanow dawał każdemu z pleweńskich socjaldemokratów idących na front. „Pierwszym obowiązkiem każdego rewolucjonisty — mówił — jest walka przeciwko wojnie imperialistycznej, prowadzona wszelkimi środkami, a drugim — zdobywanie broni do przyszłych bitew z kapitalizmem".

Toteż każdy lewicowiec, przyjeżdżając na urlop do rodzinnego miasta, przywoził ze sobą jakąś broń.

Urlop otrzymało czterech żołnierzy z naszej dywizji. Wszyscy byliśmy socjalistami. Pociąg wiózł nas w głąb kraju beznadziejnie wolno, a jechaliśmy w otwartych wagonach towarowych, wystawieni na chłód, upał i deszcze. Ciągle nas kontrolowano: wszystkim sprawdzano dokumenty, przeszukiwano bagaże. Szukano dezerterów, szukano też broni — prawdopodobnie donosiciele poinformowali władze, że urlopowani frontowcy wywożą ją wraz z amunicją.

By uniknąć wsypy, zawinęliśmy broń i amunicję w szmaty oraz dzienniki rządowe i upchnęliśmy te pakunki po różnych kątach; zamierzaliśmy się ich wyprzeć, gdyby przypadkiem kontrola je wykryła. Ryzyko jednak było duże, bo władze w takich wypadkach, nie zważając na protesty i tłumaczenia, dokonywały bezzwłocznie aresztowań. Resztę załatwiały sądy wojenne. Na szczęście nam się nic takiego nie przytrafiło.

W Plewen powitano nas z niesłychaną radością. Rodziny nie mogły się nacieszyć, że jesteśmy cali i zdrowi, ci zaś, któ-

rzy dostali listy, radowali się z wieści od bliskich, towarzysze z organizacji — z powodu przywiezienia broni i świeżych nowin z frontu, ale najbardziej cieszyliśmy się my. Dwadzieścia dni z dala od frontowego piekła! Dwadzieścia dni wśród krewnych i przyjaciół! Dwadzieścia dni w czystym, miękkim łóżku lub przy zastawionym stole, w ciszy i atmosferze rodzinnego miasta, za którą tak tęskniliśmy! Są to rozkosze, których nie doceniamy w latach pokoju, a których niczym się nie da zastąpić w czasie wojny.

— A więc order za odwagę! — wykrzyknął mój ojciec, gdy zrzuciłem zawszony szynel i na mundurze błysnęło odznaczenie. — No, wcale się nie dziwię! — ciągnął. — Nikt w naszej rodzinie nie był tchórzem...

Spojrzałem na niego uważnie. Co też może mieć na myśli? Bo pochwały były w jego ustach rzadkością...

— Powiedz no, iluś braci Rosjan zabił, że aż cię odznaczyli, ty gałganie?! — ton jego głosu stał się surowy, a wzrok gniewny.

Kochany staruszek! O to więc chodziło...

Roześmiałem się, umyślnie zwlekając z odpowiedzią. Zerwałem z błękitnej wstążeczki order i rzuciłem go na stół.

— Nie strzelałem, tato, do żołnierzy rosyjskich. Na naszym froncie są Anglicy i Francuzi. Łupią tak, że trawa nie porośnie na naszych pozycjach...

Ale ojciec nie rezygnował:

— Dzisiaj Anglicy i Francuzi, a jutro Rosjanie...

— Nie cieszysz się tym, ojcze, że dostałem order... A ucieszyłbyś się, gdyby mnie oddano pod sąd?

— Pod sąd? A czy to ja przestępcę chowałem?! — zawołał wzburzony ojciec.

— Pod sąd wojenny, tato — wyjaśniłem. — Frontowcy, którzy nie chcą strzelać do nieprzyjaciela, stają przed sądem, dostają wyrok śmierci i kulę w łeb...

Ojciec zamilkł, zmieszany nieoczekiwanym obrotem rozmowy.

„Boże! — mówiły jego oczy. — Ależ on ma rację, rację! Mój Boże!"

Cierpiał. Nie zamierzałem jednak go oszczędzać. Kułem żelazo, póki gorące. On, stary narodowiec, musi nareszcie zrozumieć, jaką cenę trzeba obecnie płacić za sympatię do Rosji.

— Rozstrzeliwują i za inne rzeczy, tato — ciągnąłem. — Za znalezione w plecaku odezwy antywojenne albo za broszury czy książki. Także i za „Gazetę Robotniczą", bo występuje przeciwko zbrodniczej klice rządzącej, która wepchnęła Bułgarię w tę rzeź...

Ojciec posępnie milczał, więc mówiłem dalej:

— Ale jeśli znajdą w plecaku „Mir", to co innego — wtedy można nawet i awans dostać...

Celowo wspomniałem organ narodowców „Mir", gdyż mój ojciec nie mógł się obejść bez tej gazety, czytał każdy numer od deski do deski.

— To nie należy do tematu! — huknął ojciec, ugodzony w czułe miejsce. — Twoja „Gazeta Robotnicza" długo jeszcze musi terminować w zawodzie, zanim...

— Chodzi o sprawę, której służy, tato. Partia narodowa poparła politykę Ferdynanda i głosowała za kredytami wojskowymi, a „Mir" i teraz wzywa do nieustępliwości na wojnie, do wierności carowi i ojczyźnie... Właśnie za to otrzymałem order. Więc dlaczego masz do mnie pretensję?

Ojciec siadł zmieszany. Uznał swoją bezradność; nigdy dotąd w naszych sporach nie miałem nad nim takiej przewagi, ale też nigdy dotąd nie postawiłem problemu tak ostro.

— Tato, mam do ciebie tylko jedną prośbę — rzekłem zmieniając ton. — Chcę, abyś przeczytał niektóre z partyjnych materiałów, jakie kolportowaliśmy na froncie.

— I ty je kolportujesz, synu? — otworzył szeroko oczy ojciec.

— A jak myślisz, tato? — spojrzałem na niego przeciągle. — Tchórzostwem jest trzymanie się teraz na uboczu, a ja nie chcę przynieść wstydu rodzinie... Przeczytawszy te materiały, dowiesz się, kto rzeczywiście kocha Bułgarię, Rosję, pokój... Na pewno słyszałeś, tato, że nasi żołnierze na froncie północnym i południowym już bratali się z oddziałami rosyjskimi z przeciwnej strony. Partia zresztą wzywa do bratania się ze

wszystkimi — i z Francuzami, i z Anglikami, z Serbami, Grekami i Rumunami. Bo prawdziwy wróg jest tutaj, na zapleczu. To ci, którzy rozpętali wojnę, ci, którzy popchnęli narody do bratobójstwa...

Nie zdołałem zmienić przekonań politycznych ojca. Był i pozostał narodowcem. Lecz narodowcem szczególnym. Ze starych zasad partii narodowej zachował tylko sympatię wobec Rosji, niechęć do „Szwabów" — i chyba nic więcej. Jeszcze bardziej wyobcował się z „modernizującej się" partii narodowej, gdy miejsce Radosławowa zajął lider demokratów, Malinow, który wiosną 1918 roku stanął na czele nowego gabinetu, kontynuując wojnę wbrew rozsądkowi i wbrew chęci całego narodu.

Gdy jego rząd poparli narodowcy, ojciec mój zerwał po cichu, ale ostatecznie z ową partią, która wolała „Szwabów" od Rosji, co jego zdaniem było podłością. Pozornie zachowywał obojętność, ale ukradkiem zaczął czytywać „Gazetę Robotniczą", którą abonowałem, i milcząco sprzyjał mojej nielegalnej robocie partyjnej.

Opowiadam tyle o ojcu, ponieważ nie był w swej zmianie orientacji politycznej odosobniony. Pierwsza wojna światowa i obie katastrofy narodowe spowodowały też katastrofę w umysłach setek tysięcy uczciwych Bułgarów; oszukani w swych iluzjach, rozczarowani do starych ideałów partyjnych i dawnych przywódców, dostrzegłszy prawdę, niejako naturalną drogą zbliżali się do partii Błagojewa i stawali się jej członkami lub sympatykami. W ten sposób nieliczna organizacja, jaką była przed wojną partia lewicowych socjalistów, po pierwszej wojnie światowej zwielokrotniła swe szeregi i stanowiła w naszym społeczeństwie poważną siłę.

Organizacja w Plewen w 1917 roku ogromnie się przerzedziła — większość towarzyszy była na froncie lub też zmobilizowana do różnych służb na zapleczu armii. Todor Łukanow został aresztowany za działalność antywojenną, jego kancelarię adwokacką na razie zamknięto. Asen Chałaczew (również

adwokat i jeden z głównych współpracowników Todora Łukanowa we władzach pleweńskiej organizacji partyjnej) nie był w dywizji pleweńskiej, ale jako podporucznik rezerwy od samego początku wojny przebywał na froncie. Na froncie byli też Wasil Karawasilew, wówczas student prawa, i nasz wytrwały sympatyk Christo Bojew. Obu po szybkim ukończeniu Szkoły Oficerów Rezerwy w Sofii i nominacji na podporuczników skierowano w ogień. Bojew był w Dywizji Pleweńskiej, a gdzie Karawasilew — nie wiem. Powołany też został Iwan Zonkow — adwokat, nasz aktywny działacz, Christo Zgalewski — szewc, aktywista związku pracowników skórzano-obuwniczych, dr Pejo Beszew, Wasil Wyłczanow Dodew — wówczas student i gorliwy komsomolec, Kosta Pyrwanow-Grubas, metalowiec, aktywista swego związku zawodowego, Iwanczo Angełow — szewc, również działacz związkowy, i wielu innych towarzyszy. W mieście pozostali tylko weterani organizacji pleweńskiej. Sekretarzem był Wasil Tabaczkin, zmobilizowany do szpitala miejskiego, a członkami komitetu miejskiego — Christo Wasilew (odpowiedzialny za pracę związków zawodowych), Todor Łukanow i jego żona Koca Łukanowa — jedna z najczynniejszych społeczniczek i przez wszystkie lata mojej młodości działaczka organizacji miejskiej.

Tylko Christo Wasilew, z zawodu szewc, nie został wysłany na front, mimo iż mobilizacja obejmowała jego rocznik; stale od 1912 roku reprezentował on w zarządzie miejskim pleweńskie związki zawodowe i był członkiem komitetu przewidywań gospodarczych i opieki społecznej. Jego odpowiedzialna praca wymagała wielkiego wysiłku — do niego należała troska o szybkie wyasygnowanie wszystkim zmobilizowanym, rodzinom poległych, wdowom i sierotom wojennym niezwykle skromnej pomocy państwowej, do niego należało trudne do zrealizowania w komitecie — wśród wilczej zgrai miejscowych spekulantów, biurokratów i kacyków — zapewnienie chleba dla pleweńskich biedaków, którzy coraz silniej odczuwali ciężar wojny.

Późną jesienią 1917 roku także i Christo Wasilew — mimo zagwarantowanego prawem immunitetu przedstawiciela bezrobotnych — został zmobilizowany i wysłany na najgorszy odcinek frontu — pod Ohrid; miejscowe władze chciały się pozbyć tego energicznego i upartego obrońcy interesów robotniczych. Christo otrzymał skierowanie do dywizji ohridzkiej, aby służył tam „pod nadzorem i bez broni, jako bułgarski bolszewik". Po Rewolucji Październikowej takich jak on było pełno wzdłuż całego frontu zachodniego i południowego. Tysiące żołnierzy pomówionych o bolszewizm rozbrajano i przeznaczano na froncie do pomocy przy obsłudze karabinów maszynowych, do noszenia pocisków armatnich, zatrudniano ich jako koniuchów lub łączników... Naiwna próba ze strony oficerów i ich panów z zaplecza, by uratować się przed gniewem mas żołnierskich, gdy wyczerpie się cierpliwość!

Oprócz członków organizacji zmobilizowano też wielu naszych sympatyków — robotników, nauczycieli, urzędników, adwokatów, studentów i innych, którzy przed wojną popierali akcje partyjne, uczestniczyli w manifestacjach pierwszomajowych i zgromadzeniach publicznych.

Skoro tylko znalazłem się w klubie, towarzysze otoczyli mnie kołem i musiałem opowiedzieć o wszystkim, co przeżyliśmy od rozpoczęcia wojny, o wszystkich poległych i rannych współtowarzyszach, o nastroju w okopach, o ogromnym zainteresowaniu frontowców każdą ulotką partyjną i „Gazetą Robotniczą", o wzrastającej nienawiści do dowództwa i kliki rządzącej w Sofii. Właśnie wtedy w klubie dowiedziałem się, że wszyscy, którzy przede mną już przyjeżdżali na urlop, zawsze coś przywozili — czy to manlicher, czy to granaty, czy naboje...

Opowiedziałem o faktycznej sytuacji naszych armii na froncie południowym po dwóch latach wojny; słowa moje niewątpliwie różniły się od fanfar z artykułów „Nowin Wojskowych" — oficjalnego organu naczelnego dowództwa, który kolportowano bezpłatnie wśród frontowców i w każdej wolnej

godzinie czytano głośno żołnierzom. Słowa moje różniły się też i od hurapatriotycznych wywodów „Praw Narodowych" — rządowej gazety Wasila Radosławowa, „Radykała", socjaldemokratycznego „Ludu", narodowego „Miru", „Świtu" i „Ojczyzny"...

Potem towarzysze opowiedzieli mi o faktycznej sytuacji na tyłach, która z miesiąca na miesiąc pogarszała się gwałtownie. Różni kacykowie wysysali wszystko, co się dało, nie mogąc się nasycić. Burmistrzowie i poborcy wraz z komisjami rekwizycyjnymi grabili z wiejskich domów, co popadło, jak prawdziwi rozbójnicy. Rekwirowali nie tylko zboże, bydło, drób, ostatnie furmanki — z zaprzęgiem czy bez — lecz również odzież, tkane ręcznie chodniki, kożuchy — że niby wszystko to jest potrzebne dla żołnierzy na froncie, by nie marzli w okopach... Słuchałem i myślałem o naszych podartych kurtkach i szynelach, o chlebie z wyłuskanych i zmielonych kaczanów kukurydzy, o drewniakach, które coraz częściej zastępowały podarte obuwie...

— Ludność im nie wierzy, rozumie się — mówili towarzysze. — Naród od dawna już stracił wiarę we wszystko... Rośnie wzburzenie wśród kobiet, starców, nawet dzieci. Nastroje są jak beczka prochu, trzeba tylko iskry, by nastąpił wybuch...

Pod nieobecność mężczyzn kobiety w Plewen przejawiały szczególną aktywność: brały czynny udział we wszystkich akcjach protestacyjnych organizowanych przez partię i same spontanicznie urządzały wiece oraz demonstracje, wyrażały oburzenie przeciwko bezprawiu komisji rekwizycyjnych, wysyłały do swych bliskich na froncie zuchwałe w tonie listy. Najczynniejsze wśród nich były: Rajna Georgijewa, robotnica z fabryki kauczuku, Mara i Jordanka Karabaszewe, Marijka (Mika) Winarowa (moja starsza siostra), wszystkie trzy z zakładów odzieżowych, i inne. Właśnie tuż przed moim przyjazdem na urlop do Plewen kobiety zorganizowały bunt.

— Żebyś tylko widział gęby naszych władz, białe jak ściana! — opowiadał mi Christo Wasilew, a w głosie jego dźwięczała zrozumiała duma z odwagi kobiet. — Kilkaset kobiet,

które zwołaliśmy ze wszystkich dzielnic, zebrało się pod komitetem opieki, gdzie właśnie odbywało się posiedzenie. Okrzyki, wrzask, walenie w drzwi... Nic nie mogło ich uspokoić. Wołały: „Chleba!", „Zwróćcie nam mężów z frontu!", „Zróbcie wreszcie koniec z tą wojną!" Były to hasła z ulotek, które rozrzuciliśmy po mieście w przeddzień buntu...

Bojąc się, iż mogą siłą wtargnąć do budynku, Stojan Kolarow, najbogatszy młynarz w Plewen i przewodniczący komitetu, wyraził zgodę na przyjęcie ich delegacji. Weszło kilka kobiet. Jedna z nich, duża, silna, jasnowłosa, zbliżyła się do młynarza i krzyknęła: „Panie Kolarow, gdzie jest ta mąka, co to ją bez przerwy mielą w twoich młynach? Od trzech tygodni nie dostałyśmy przydziału! Czy nasze dzieci mają poumierać z głodu?" A Kolarow na to ordynarnie: „Dobrze wiesz, gdzie! Na froncie! Tam gdzie twój mąż! Tam wszystko wysyłamy!" Ale ona tylko na to czekała: „Na froncie, powiadasz, krwiopijco! Oto, co jedzą na froncie nasi mężowie! Nawet pies by tego nie żarł! — i wyjąwszy spod fartucha kawałek starego, spleśniałego podpłomyka z kukurydzy zmieszanej z grubo zmielonymi kaczanami, rzuciła go na stół przed Kolarowem. — Oto, co jedzą frontowcy! Mąż przyjechał wczoraj na urlop i przywiózł mi to właśnie w podarunku..."

Stojan Kolarow i reszta członków komitetu cofnęła się odruchowo, a kobieta wojowniczo wymachiwała rękami: „Żeby cię ziemia pochłonęła razem z twoimi rządami! A jak mąka się nie znajdzie, jak nie przestaniecie jej wysyłać Szwabom i sprzedawać spekulantom, podpalimy i młyny, i wasze domy! Kamień na kamieniu nie zostanie z waszego przeklętego państwa! I dosyć wojny! To jest żądanie ludu!"

Potem, wyszedłszy z budynku, kobiety udały się do piekarń, zabrały stamtąd całą mąkę i z przekleństwami na ustach, wygrażając władzy, rozeszły się do domów... Następnego dnia władze przeprowadziły oczywiście aresztowania, ale kroplą wody ognia nie ugasisz...

Najwyraźniej wojna nie tylko wyostrzyła instynkt macierzyński kobiet, lecz wyzwoliła też w nich świadomość odpowiedzialności społecznej. Dźwigając na swych barkach ciężar

wojny, kobiety rozumiały, iż nie jest ona osobistym nieszczęściem, lecz klęską powszechną, i uświadomione przez partię — nauczyły się jej nienawidzić; jej i tych, którzy ich mężów i synów wysłali na rzeź.

„W ciągu ciężkich lat naród dojrzewa, jakby to były wieki" — powiedział Wazow.

3. Socjaliści pleweńscy — żołnierzami pokoju

W powrotną drogę na front wyruszyłem też z pełnym plecakiem i z pakunkami w obu rękach. W przeddzień wyjazdu w domu był istny jarmark: przychodzili znajomi i nieznajomi, bliscy i znani z widzenia, sąsiedzi z naszej dzielnicy i ludzie z całego Plewen, a każdy miał ze sobą coś dla swego ojca, męża, brata czy syna na froncie. Listy, porządna bielizna, pieczone kurczaki, kołacze, ser, słonina, wędzonka — wszystko, co było w domu, dawano, odjąwszy sobie od ust. Pakowałem, dopóki starczyło miejsca, ale wreszcie musiałem dać za wygraną i zacząłem przyjmować już tylko listy.

Pociąg wiózł mnie znowu na południe, w stronę Gewgeli. I znowu tak samo sapała przeciążona lokomotywa, i znowu tak jak poprzednio musiałem się uważnie rozglądać i nastawiać uszu, bo oprócz podarków dla ziomków z dywizji miałem z sobą rzeczy, za które stawiano pod sąd — odezwy konferencji sztokholmskiej, broszury, gazety i różne materiały agitacyjne, jakie otrzymałem od pleweńskiej organizacji partyjnej. Miałem je rozkolportować w okopach, bo frontowcy byli spragnieni słów prawdy.

Poza tym otrzymałem polecenie nawiązania kontaktu z Asenem Michalewem-Swojakiem z Pawlikeni. Prosili o to towarzysze z organizacji pawlikeńskiej. Powiedzieli mi, że służy w 5 dywizji tyrnowskiej, która zajmowała pozycje w naszym sąsiedztwie, powyżej Gewgeli.

— Nie jest członkiem partii, ale duszą i sercem należy do nas — mówili. — A w dodatku jest telefonistą. Przyda się i wam w waszej robocie...

„W robocie". Wiadomo było, w jakiej robocie może się przydać telefonista! Toż to skarb! Szybka i właściwa informacja polityczna jest bardzo ważna dla żołnierza na froncie.

Towarzysze z Plewen zlecili mi poza tym, bym Asenowi Michalewowi przekazał część materiałów agitacyjnych — okolice Pawlikeni ciągle jeszcze nie miały zapewnionej łączności z socjalistami w 5 dywizji.

Przez dwadzieścia dni mojej nieobecności na froncie nie zaszły żadne zmiany. Oddziały nasze wciąż zajmowały te same stare stanowiska powyżej Gewgeli. Walki pozycyjne wlokły się w nieskończoność, bo bałkański odcinek europejskiego frontu posiadał drugorzędne znaczenie; siły ententy parły za to coraz mocniej na Strasburg i Marnę. Ale i u nas przybywało oddziałów nieprzyjaciela, a ogień artyleryjski był dokładniejszy, mocniejszy i bardziej zajadły; wzrastała siła przeciwnika, przy czym żołnierze ententy byli dobrze ubrani i odżywieni, w tornistrach ich jak w plecakach drobnych burżujów, którzy wyruszyli na wycieczkę, znajdowały się konserwy mięsne, suchary, dżem, nawet czekolada. A u nas?

Wczesną jesienią 1917 roku i tak mieliśmy się stosunkowo nie najgorzej w porównaniu z rokiem następnym. Lecz i wtedy nie wystarczało odzieży, i wtedy żaden z nas nie mógł starego, brudnego i podartego szynela, spodni i butów zamienić na nowe. Połowa z nas w ogóle nie posiadała bielizny. Byliśmy armią istnych gałganiarzy. Głód wprawdzie miał przyjść dopiero później, ale i jesienią 1917 roku nie wystarczało żywności, a błoto i wilgoć w okopach jak pijawki wysysały z nas resztę sił.

Jedzenie, które przywiozłem kolegom, zniknęło w mgnieniu oka. Na pociechę zostały listy. Jakąż wartość miała teraz każda wieść o domu, o dzieciach, o winnicy, o krowie! Radosnych nowin było jednak niewiele. I na tyłach wojna poczyniła ciężkie i bolesne spustoszenia. Wróg na zapleczu, mimo że nosił miano Bułgara, był równie okrutny, chciwy i bezlitosny.

Do tego choroby, nędza i głód szerzyły się w całym kraju i zbierały żniwo wśród słabych, bezbronnych kobiet i dzieci...

— Jak się tam moi miewają? — pytali mnie ziomkowie, gdy już jednym tchem przeczytali listy. — Widziałeś, jaką mam córeczkę? Czy duża urosła?

— Obsiali już pole czy śnieg im przeszkodził?

— Jak tam winnica? A czy wino już fermentuje?

— Czy staruszkowie dobrze się czują? Na ich opiece zostawiłem żonę i dzieci, i pole, i bydło...

Pytania, pytania, pytania — każdy chce się czegoś dowiedzieć. Każdy cierpliwie czeka, aż przyjdzie jego kolej, a potem pyta nawet o to, czego nie mogę wiedzieć. Rozumie to, ale chce się z kimś podzielić swoim niepokojem o dom. Na pół robotnicy, na pół wieśniacy, na pół urzędnicy — wszyscy ci ludzie w głębi duszy są wciąż silnie przywiązani do ziemi, winnicy, inwentarza, a przestrzeń i czas dzielące ich od gospodarstwa uczyniły przywiązanie głębszym i bolesnym. Jak długo jeszcze ci żołnierze zgnębieni hiobowymi wieściami z zaplecza wytrzymywać będą cierpliwie w okopach?

Po kilku dniach towarzysze z nielegalnej partyjnej grupy w pułku rozrzucili we wszystkich oddziałach, na wszystkich stanowiskach odezwy konferencji sztokholmskiej i inne materiały partyjne. Pamiętając historię z manifestami konferencji w Zimmerwaldzie, które przed rokiem rozkolportowaliśmy w dywizji, powodując taki niepokój wśród oficerów, że pociągnął za sobą aresztowania i śledztwo, teraz działaliśmy ostrożniej, ale też szerzej i energiczniej.

Jak wiadomo, na konferencji sztokholmskiej, zwołanej we wrześniu 1917 roku, zimmerwaldzka lewica rewolucyjnych partii socjalistycznych, wśród których była też Bułgarska Rewolucyjna Partia Socjaldemokratyczna (lewicy), uchwaliła historyczny dokument. Wezwanie to — skierowane do międzynarodowego proletariatu — zawierało podstawowe hasła bolszewików przeciwko wojnie. W imieniu naszej partii podpisał je Georgi Kirkow. Wiadomo z historii, iż we wrześniu 1917

roku, gdy Kirkow wrócił ze Sztokholmu do Sofii, odbyła się tu krajowa konferencja partyjna. Wysłuchano na niej referatów Kirkowa i Kołarowa na temat sytuacji międzynarodowej oraz na temat konferencji w Zimmerwaldzie, a następnie głosowano za uchwalonym wezwaniem. Tym historycznym aktem partia nasza ostatecznie wiązała się z rdzeniem przyszłej III Międzynarodówki Komunistycznej.

Wśród materiałów agitacyjnych, które przywiozłem obecnie na front, był też i apel zimmerwaldzki do proletariatu całego świata. Było to wezwanie do walki o pokój, główne zadanie chwili, jak to określała nasza partia.

Część materiałów propagandowych szybko dotarła do dowództwa dywizji, co zresztą przewidywaliśmy, bo miało ono swoje „wtyczki" w poszczególnych oddziałach. Przede wszystkim zatroszczono się o to, by ustalić, w jaki sposób materiały te tutaj dotarły.

Nietrudno się było domyślić, że „buntownicze papiery" przywiezione zostały przez żołnierzy, którzy ostatnio wrócili z urlopów. No i aresztowano mnie. Groźni oficerowie pytali, badali — bezskutecznie. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem, nawet nic nie czytałem, z Plewen przywiozłem tylko listy do ziomków i kolegów, nic poza tym...

Wypuścili mnie następnego dnia, bo w moich rzeczach nic nie znaleźli, nic ze mnie nie wyciągnęli i nie mieli w ręku żadnych dowodów obciążających.

Chyba po tygodniu, gdy atmosfera zelżała, postanowiłem poszukać Asena Michalewa-Swojaka. 5 dywizja tyrnowska, w której służył, zajmowała stanowiska odległe około dwudziestu kilometrów na północny zachód od naszych. Byli okopani na tym samym niewielkim wzniesieniu nad Gewgeli, gdzie i my. Wziąłem konia, ukryłem materiały pod siodłem i któregoś wieczoru cichcem wyruszyłem w drogę. Musiałem dobrze zważać na kierunek — linia frontu była nierówna i mogłem się gdzieś dostać na muszkę naszych karabinów. Musiałem też zwracać uwagę i na coś innego: poruszanie się bez specjalnego zlecenia między poszczególnymi oddziałami traktowano jako próbę dezercji lub szpiegowania na korzyść wro-

ga. Stawiano za to przed sądem. Wprawdzie umówiłem się z moim ziomkiem, koniuchem, który mi dał wierzchowca, że jeśli zajdzie potrzeba, obaj stwierdzimy, że zgubił się koń i ja wyruszyłem na poszukiwanie zwierzęcia. Czy jednak sąd wojenny dałby wiarę tej naiwnej wymówce? W dodatku papiery, które znajdowały się pod siodłem, stanowiły bardzo wymowny dowód...

Cicho i niemal po omacku przebyłem falisty teren i dotarłem do sąsiedniej dywizji. Na szczęście po drodze nikogo nie spotkałem, a pojedyncze wystrzały z nieprzyjacielskich armat, rozdzierające ciemność od strony wrogich pozycji, nie mogły przestraszyć starego frontowca, nad którym już nieraz gwizdały kule.

Łatwo odnalazłem Asena Michalewa, bardzo sympatycznego, śmiałego, a przy tym zawsze spokojnego i pogodnego człowieka; wszystkiemu, co robił, towarzyszyło zawsze godne zazdrości opanowanie i równowaga ducha, jak gdyby w razie wsypy czekał go order za odwagę, a nie kula w łeb. Będąc telefonistą w sztabie, Asen Michalew cieszył się powszechną sympatią żołnierzy i oficerów.

Poznawszy się wzajemnie, zaczęliśmy doszukiwać się wspólnych znajomych. Potem przegryźliśmy coś niecoś, pociągnęliśmy z butelki pleweńskiego wina, które specjalnie na tę okazję przywiozłem, i przekazałem mu pozdrowienia od towarzyszy z pawlikeńskiej organizacji.

— Przysyłają ci również i to — szepnąłem na koniec, wydobywając materiały agitacyjne. — Ty już wiesz, komu i jak je rozdać...

— Iwanie, ależ to dla nas rzecz na wagę złota! — wykrzyknął Asen i dopiero teraz poczułem satysfakcję ze spełnionego zadania; warte jest ryzyka to, co wywołuje tak szczerą wdzięczność towarzysza.

— Materiały docierają tu czasami — mówił. — Przywożą je z urlopu nasi towarzysze, podporucznicy rezerwy. Ale rzadko, rzadko... A żołnierze tak bardzo łakną nowin...

Asen Michalew powiedział mi jeszcze, że tuż przed moim przyjazdem dokonano translokacji na liniach nieprzyjaciela

naprzeciwko stanowisk dywizji tyrnowskiej; przybyli tu żołnierze rosyjscy.

— Nie może być, Asenie! — zawołałem. Mimo iż można było oczekiwać tego całkiem prawdopodobnego faktu, oszołomiła mnie myśl, że Rosjanie są już również i na naszym froncie, że oto zbliża się decydująca chwila, kiedy będziemy mogli zacząć bratać się z nimi.

— Bracie, to fakt! — roześmiał się szeroko Asen i ciągnął: — 5 dywizja nie chciała strzelać do Rosjan. Z ich strony też nie padł w naszym kierunku ani jeden strzał... Były już również wypadki bratania. Towarzysze nasi spotykali się z Rosjanami z tamtej strony frontu. Czekam sposobności, by samemu się tam udać...

Słuchałem zdumiony.

„Mój Boże! — wołało coś we mnie. — Nadchodzi wreszcie koniec!"

I podjęliśmy rzeczową rozmowę.

— Asenie — spytałem. — Może należałoby z braku innych materiałów podsłuchiwać dowódców, co ciekawsze wiadomości zamieszczać w ulotkach i rozrzucać je?

— Robię to, bracie. Ale to za mało. Co innego, kiedy w rękach zaszeleści prawdziwa gazeta, nasza odezwa, nasza proklamacja! Jakbyś grzał się przy ogniu! A żebyś wiedział, Iwanie, jak lśni wtedy wzrok czytającego!...

Wiedziałem to wszystko oczywiście. Ale jakąż radość sprawiła mi wieść, że nastroje panujące w naszej dywizji są powszechne dla całego frontu.

— Wasi, z Pawlikeni, potrzebują i takich rzeczy, Asenie— wskazałem oczami manlicher, wiszący w rogu kabiny telefonicznej. — Wiesz...

— Wiem, bracie — roześmiał się i klepnął mnie po ramieniu. — Nawet już coś im podesłałem przez zaufanych ludzi. Jeśli znajdziesz się w tamtych stronach wcześniej niż ja, powiedz chłopakom, że jeszcze damy...

Pożegnaliśmy się jak bracia. Umówiliśmy się na następne spotkania ze mną lub z łącznikami, naszymi ludźmi, którzy kursowali między obu tymi sąsiednimi odcinkami frontu. Asen

zobowiązał się przekazywać nam treść każdego ważniejszego tajnego rozkazu czy wiadomości, które usłyszy przez telefon, a my mieliśmy mu dostarczać część naszych materiałów agitacyjnych.

Wyruszyłem z powrotem. Minęła już północ. Asen odprowadził mnie do krańcowej flanki dywizji, życząc pomyślnej drogi. Koń, wypoczęty i najedzony, biegł żwawym truchtem dolinami, przez wąwozy i morwowe gaje. I mnie było lekko na duszy — wypełniłem bowiem ważne zlecenie, które otrzymałem w Plewen.

Zbliżałem się już do naszych pozycji, gdy na ostrym zakręcie koń parsknął i spłoszony skoczył do tyłu.

— Stój! Ręce do góry! — wrzasnęło kilka głosów i otoczyła mnie grupa konnych z wycelowaną bronią.

Przeszły mnie ciarki. Patrol wojskowy! Wpadłem w pułapkę, której najbardziej się obawiałem.

— Coś ty za jeden? Skąd jedziesz?

Głos, ostry i surowy, należał do podoficera stojącego na czele patrolu.

Powiedziałem to, co z góry sobie przygotowałem. Podoficer ledwie mnie słuchał.

— Dokumenty! Zejść z konia!

Dokładnie sprawdzili mi papiery, obmacali uprząż, przeszukali starannie mundur. Nic nie znaleźli i jakby się uspokoili, chociaż ciągle nie pozwalali mi nawet drgnąć.

— A więc koń wyszedł sobie na spacer między wojskowymi stanowiskami, a ty, bratku, zawieruszyłeś się aż na piąty kilometr, żeby go szukać w środku nocy... Tak? Nie wyglądasz mi na takiego naiwnego, jakiego udajesz!

Podoficer, wąsacz z byczym karkiem, przeszywał mnie wzrokiem, jakby pragnął rozstrzelać mnie na miejscu. Ale nie miałem wyjścia, kontynuowałem więc swoje:

— Strachliwy koń, panie podoficerze — zasalutowałem służbiście. — Blisko huknął pocisk, a ten zerwał uzdę i...

— Popatrz, popatrz, strachliwy koń! A ty, syneczku, nie bałeś się tak sam pośród nocy szukać go w tych ciemnościach?!

Ależ to wprost bohaterstwo! Chyba cię przedstawię do orderu! — podrwiwał ze mnie upojony swą władzą podoficer.

Był najwyższy czas, aby powiedzieć coś więcej na swoją obronę.

— Nie boję się ciemności, panie podoficerze. Było tak samo ciemno, kiedy przechodziłem na tamtą stronę po jeńca... Przyprowadziłem francuskiego kaprala. A co do orderu — lepiej przedstawić kogoś innego, bo ja niedawno otrzymałem order drugiej klasy za odwagę — rzekłem obojętnie, lecz podoficer w moim tonie wyczuł uszczypliwość.

Wyciągnął szyję, bo to, co usłyszał, wzbudzało bądź co bądź szacunek, ale zaraz podkręcając wąsa wrzasnął:

— Milczeć! Naprzód marsz! I prosto! Bo jak skręcisz, kula w łeb! — Z daleka mi śmierdzisz, psi synu! Alboś francuski szpieg i bolszewik, albo agitator antypaństwowy! — dorzucił przez zęby.

Trzymali mnie w areszcie w Gewgeli przez dwie doby. Ale wypuścili. Żandarmeria sprawdziła zeznania. Mój ziomek potwierdził bajeczkę o zaginionym koniu. Największe znaczenie jednak miał fakt, że nie znaleziono przy mnie nic kompromitującego. Zaważyła również opinia o mnie jako o żołnierzu: schwytany jeniec (miało to miejsce na początku 1916 roku) i order...

Gdy Malinow, przywódca demokratów, objął ster rządów po doktorze Wasilu Radosławowie, sytuacja na froncie przedstawiała się już całkiem beznadziejnie. Był czerwiec 1918 roku. Wiele rzeczy uległo przemianie. Świat przeżył niezwykłe wydarzenie — Rewolucję Październikową. Dziś wszystko wydawało nam się zupełnie inne niż wczoraj. Najgłębsza przemiana bowiem zaszła w duszach żołnierzy. Proklamacja władzy radzieckiej, głosząca pokój bez aneksji i kontrybucji, natychmiastowe przerwanie bezmyślnej rzezi — po prostu zaparło nam dech w piersiach. Pokój! Przecież to było nasze jedyne pragnienie!

O Rewolucji Październikowej, o pierwszych dekretach władzy radzieckiej dowiedzieliśmy się od Asena Michalewa-Swojaka, a wkrótce potem drukowane materiały z głębi kraju dotarły do naszej dywizji za pośrednictwem zakonspirowanych łączników partyjnych. Partia lewicowych socjalistów z uniesieniem powitała narodziny pierwszego w świecie państwa robotników i chłopów, podejmując i jednocześnie rozgłaszając hasła Rewolucji Październikowej. Dzieło bolszewików i Lenina miało znaczenie powszechne, światowe.

Rewolucja Październikowa — jak sam to czytelnik zobaczy — nadała nowy sens również i memu osobistemu życiu, bo w kilka lat później obowiązek partyjny miał mnie zaprowadzić do radzieckiej Rosji, gdzie przeszedłem w służbę sprawie rewolucji i jako oficer wywiadu oraz bułgarski komunista miałem bronić pierwszego na świecie kraju socjalistycznego przed zakusami imperialistów. Ten święty obowiązek pełniłem z wszystkich swych sił.

W materiałach naszej partii, a nawet w okrojonej przez cenzurę coraz częściej ukazującej się z białymi plamami po usuniętych artykułach „Gazecie Robotniczej" było coś nowego — odezwy do frontowców, by poszli śladem rosyjskich bolszewików. „Wymierzmy broń w zaplecze! Prawdziwi wrogowie ojczyzny są w Sofii!"

Zgodnie z dyrektywami przyniesionymi przez łączników zaczęliśmy we wszystkich pułkach dywizji pleweńskiej przekształcać nielegalne komórki partyjne w żołnierskie komitety rewolucyjne. Włączaliśmy do nich chłopów z BLZCh, a nawet bezpartyjnych żołnierzy, o których wiedzieliśmy, że są oddani sprawie.

Agitacja nasza przybierała na sile. Sprzyjała temu opłakana sytuacja — tak na froncie, jak i na tyłach. Bo czyż długo trzeba tłumaczyć staremu frontowcowi, który w czasie surowej zimy 1917—1918 roku musiał walczyć odziany w stary koc zamiast szynela i obuty w drewniaki, że wszystko to nie ma sensu, że nikt o nim nie myśli, a krew jego zmienia się w złoto w kasach geszefciarzy! Ludzie ci, wiedząc, że własnym ciałem osłaniają tron „długonosego", który marzy tylko o wie-

deńskich kabaretach i ma tylko jednego boga — cesarza, gotowi byli ruszyć za nami; w ich duszach już od dawna dojrzał bunt...

Nasza dywizja poniosła krwawe straty. W jej szeregach został ciężko ranny i stracił oko przyszły autor „Września" — Geo Milew, tu, jeszcze w 1916 roku, zginął w bitwie gorący patriota i subtelny liryk, jeden z najbardziej utalentowanych twórców poezji bułgarskiej, porucznik rezerwy — Dimczo Debelianow. I setki innych, znanych i nieznanych, synów narodu bułgarskiego, których kości bielały teraz na zrytych pociskami polach bitewnych... Tak, bunt od dawna już dojrzał...

Agitacją objęliśmy wszystkich żołnierzy ze wszystkich oddziałów i żadne procesy sądowe, żadne pogróżki dowództwa nie były nas w stanie przestraszyć. Oprócz agitacji ustnej imaliśmy się wszelkich innych środków, by rozpowszechniać nasze hasła. Umieszczaliśmy je, gdzie się dało: wycinaliśmy scyzorykami na pniach drzew, wypisywaliśmy ręcznie na marginesach gazet lub na maszynie pisaliśmy ulotki, aby rozrzucić je następnie w okopach, przyczepić do oszalowań umocnień czy zawiesić na krzakach między stanowiskami, malowaliśmy hasła na karoseriach ciężarówek wojskowych i deskach obozowych wozów oraz na lawetach dział. Hasła te głosiły: „Pusty plecak nie strzeże granicy!", „Żądamy natychmiastowego pokoju i powrotu do domu!", „Precz z krwawą monarchią bułgarską!", „Wypędzić z Bułgarii Niemców razem z ich agentem Ferdynandem!", „Niech żyje władza robotniczo-chłopska i żołnierska!" Były one niemal dosłownie przejęte od bolszewików, których sukces stanowił jedyny temat nie kończących się rozmów żołnierzy na froncie. Oficerowie błyskali groźnie oczami, ale stopniowo zaczęli „nie widzieć" wszystkich tych oznak zbliżającego się buntu — złość ich przerodziła się w napięcie i strach. I nie bez powodu. W niektórych oddziałach wojskowe organa sądowe stwierdziły, że znaczna ilość znanych ze służbistości i zacietrzewienia oficerów i podoficerów zginęła od kuli w plecy... W niektórych jednostkach pod namiotami oficerskimi eksplodowały ładunki wybuchowe, podłożone w mroku nocy nieznaną ręką...

Strach oficerów przekształcił się w prawdziwe, choć ukrywane przerażenie, gdy na froncie południowym w 28 i 83 pułku piechoty wybuchły bunty i gdy rozeszła się wieść, że w ostatniej chwili zapobiegnięto im w 31 pułku warneńskim i 7 pułku presławskim. Był to sygnał, że hasła wzywające do oporu objęły cały front południowy, i wówczas — prawdopodobnie na rozkaz Kwatery Głównej — dowództwo pułku zaczęło tworzyć po cichu specjalne grupy „szturmowe", złożone z zaufanych ludzi i mające za zadanie ochraniać oficerów przed gniewem i zemstą żołnierzy... Bali się oni przede wszystkim własnych podkomendnych i to wyraźniej niż wszystko inne świadczyło, że nie ma już armii ani frontu. To był początek końca. Wystarczył już tylko jeden wstrząs, by runęła owa lawina, która we wrześniu 1918 roku ruszyła z frontów i potoczyła się w kierunku Sofii...

Tym wstrząsem okazało się przerwanie frontu. Potężne natarcie artyleryjskie sił ententy pod Dobro Pole odcięło pozycje frontowe od tyłów i żołnierze pozbawieni amunicji wycofali się po trzydniowych heroicznych zmaganiach. Nie był to jednak odwrót podobnych do tych, które już zdarzały się przedtem na niektórych odcinkach frontu. Żołnierze pod Dobro Pole, dokonawszy cudów odwagi i wytrzymałości, nie chcieli się więcej bić. Nie było o co. Nie było o kogo. I zrozumieli, że lepiej będzie obrócić broń przeciwko znienawidzonej klice rządzącej i dworakom w Sofii. Oni nie wycofywali się, oni porzucali okopy, aby ruszyć do walki z wewnętrznymi wrogami ojczyzny.

Od Dobro Pole do Gewgeli jest ze dwieście kilometrów w kierunku północno-zachodnim. Ale jakież znaczenie ma odległość — nowiny rozchodziły się wówczas błyskawicznie.

Po przerwaniu frontu pod Dobro Pole i Dojranem zakotłowało się. Powodem była nie tylko wieść o wyłomie na froncie. Do przerwania frontu doszło i u nas. Siły ententy przewyższające wielokrotnie bronią i masą ludzką nasze rozbiły 34 pułk piechoty strzegący Kaletepe i drogi w kierunku Dojranu i Gewgeli. Wówczas wysłano nasz pułk, aby ponownie zajął

stracone pozycje. Doszło do tragicznej, krwawej bitwy, w której poległy setki nowych ofiar. Walczyliśmy rozpaczliwie, odbiliśmy więcej, niż straciliśmy, jednakże powszechny odpływ ludzi spod Dobro Pole pozbawił wszelkiego znaczenia nasze małe zwycięstwo. W bitwie przeciwnik użył ciężkiej dalekonośnej artylerii, która wprost zorała nasze pozycje i spaliła na nich ostatnią trawkę. Część pocisków wypełniona była gazem trującym; z nadejściem brzasku dostrzegliśmy wokół Jeziora Dojrańskiego i nad Kaletepe ciężką, duszącą mgłę, w której ginęło wszystko, co żywe. Mieliśmy maski przeciwgazowe, które na razie uratowały sytuację, ale na dłuższą metę trudno w nich było wytrzymać, niedoskonała konstrukcja nie pozwalała nie tylko robić w nich cokolwiek, ale nawet się poruszać... Dusiły się też konie.

Dowództwo dywizji (dowódcą naszym był generał Wazow, brat wielkiego poety Iwana Wazowa) natychmiast wydało rozkaz, aby wszyscy wycofali się wraz z taborami na wzgórza, które niczym wysepki ocalenia wznosiły się nad morzem śmiercionośnej mgły.

Mimo wszystko odparliśmy nieprzyjaciela. Wzięliśmy nawet jeńców — Greków i Anglików. Wspaniale umundurowani, z plecakami wypchanymi konserwami, białym chlebem, konfiturami i czekoladą, jeńcy ci patrzyli na nas ze zdumieniem i kpiną w oczach — my byliśmy bowiem w takim stanie, że tylko płakać...

Następnego dnia przeciwnik znowu podjął natarcie. Nikt już nie chciał i nie mógł się bić. Sztab dywizji wycofał się z miejscowości Dedeli, gdzie kwaterował. Jednostki niemieckie, których ciągle nie wysyłano w otwarty bój, gdzie można stracić życie, opróżniły już wojskowe magazyny, zabrały najcenniejsze rzeczy i podążyły na północ; to, czego nie zdołano zabrać, podpalono. Znaleźliśmy się nagle pod podwójnym ostrzałem: z południowego zachodu prażyła nieprzyjacielska artyleria, a z tyłu wybuchały pociski i inna amunicja w płonących porzuconych magazynach... Nasunęło nam to przypuszczenie, że jesteśmy otoczeni, ale wkrótce rzecz się wy-

jaśniła i — mimo iż nie było rozkazu odwrotu — z bronią na ramieniu ruszyliśmy na północ.

Część żołnierzy naszej dywizji udała się w kierunku Kosturno—Strumica. Szosa do Strumicy była zatarasowana przez cofające się tabory, kawalerię i artylerię (piechota kroczyła poboczem; dla piechura dobra jest każda ścieżka, byle wiodła do domu). Tu doszło do jeszcze jednej tragedii. Samoloty ententy — eskadry liczące po dziesięć do dwudziestu maszyn bojowych — nadlatywały jak osy nad zatarasowaną drogę i opuściwszy się na niewielką wysokość bezlitośnie prażyły z karabinów maszynowych. Zginęły setki ludzi...

Inni frontowcy polegli za Strumicą na przedmieściach Berowa. Ci nie padli z rąk lotników ententy, a z rąk swoich. Bo gdy zbliżyliśmy się do Berowa, naprzeciw nam wyszły jednostki kawaleryjskie, stojące w rezerwie na tyłach. Był to 23 i 24 szwadron 1 pułku konnego. Otrzymały one rozkaz powstrzymania „dezerterów"... Straszny był widok Bułgarów zabijających swoich braci — chorych, rannych... Do kawalerzystów przyłączyły się też nieliczne jednostki niemieckie. Ci nikczemni żołnierze z zaplecza, których nikt nie widział na froncie, kosili nas teraz z karabinów maszynowych, wrzeszcząc gardłowo po niemiecku: „Wracać! Wracać!" — jakby mało było jeszcze krwi, którą przez tyle lat przelewaliśmy za kolonialne interesy kajzerowskich Niemiec...

Cofnęliśmy się, ale gniew, straszliwy gniew umęczonych frontowców, pchał do zemsty, do porachunku z tymi z Sofii, którzy za wszystko ponosili winę. My, lewicowi socjaliści i chłopi z komitetów rewolucyjnych, na każdym postoju wzywaliśmy, aby nie słuchać rozkazów dowódców. Oficerowie, śmiertelnie przerażeni ogólną atmosferą buntu, do niczego nie śmieli się wtrącać; wzburzeni żołnierze gotowi byli przy lada spięciu rozstrzelać ich na miejscu.

Właśnie w ciągu tych pełnych napięcia dni, nie wiadomo, w jaki sposób rozeszła się wieść, że wypuszczono z więzienia Stambolijskiego i że wraz z doktorem Rajko Daskałowem wyruszył on naprzeciw cofającym się, by namawiać ich do powrotu w celu utrzymania frontu.

— To kłamstwo! Podłe oszustwo! — protestowali podnieceni zwolennicy Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego. — Aleksander Stambolijski jest w więzieniu! On jest przeciwko wojnie! Nie może chcieć, by trwała dalej! Okłamywali nas dotąd i znowu nas oszukują!...

A jednak to była prawda. Ale nie całkowita. Jak się dowiedzieliśmy później, Aleksander Stambolijski rzeczywiście został zwolniony z więzienia i wysłany wraz z Rajko Daskałowem, by uspokoić zbuntowanych żołnierzy i namówić ich do utrzymania frontu. Dotąd wszystko się zgadzało, reszta była kłamstwem. Stambolijski pozostał wrogiem wojny, lecz uważał, że Bułgaria tylko przy stosunkowo ustabilizowanych frontach będzie mogła zawrzeć pokój na dość korzystnych warunkach. Tak wyglądała prawda.

— Na Sofię! Na Sofię! — słyszało się wezwanie coraz liczniejszych głosów. Ta myśl zawładnęła wszystkimi umysłami. Gdy dotarła do nas wieść o Stambolijskim, niemal natychmiast w kierunku Sofii ruszyły tysiące ludzi z 9 dywizji plewneńskiej, 3 dywizji bałkańskiej i 5 dywizji dunajskiej, z którymi razem cofaliśmy się od frontu dojrańsko-gewgelijskiego. Tam też (jak się o wiele później dowiedziałem od naszych towarzyszy) udał się wraz z innymi podoficer Georgi Damianow z Makocewa, który służył w naszej dywizji. Szczery patriota i republikanin z przekonania, Damianow zebrał kilkuset frontowców i szedł przez Pechczewo, Gorną Dżumaję (Błagojewgrad), Dupnicę (Stanke Dymitrow) i Radomir. Przybyli w przeddzień pojawienia się Rajko Daskałowa i Aleksandra Stambolijskiego. Gdy Daskałow podjął decyzję proklamowania republiki i wyruszył na czele zbuntowanej armii w kierunku Sofii, naznaczył Georgi Damianowa naczelnikiem Sztabu Głównego. Odtąd w godnych epopei bojach pod Władają, Gorną Banią, Bojaną i Kniażewem Georgi Damianow walczył ramię w ramię z Daskałowem aż do chwili wzięcia ich w niewolę. Później, gdy Bułgarski Ludowy Związek Chłopski ustanowił samodzielną władzę polityczną, Georgi Damianow został jego wybitnym działaczem i posłem. Zginął z ręki faszystowskich wywrotowców wkrótce po 9 czerwca 1923 roku.

Tak więc tysiące ludzi z naszej dywizji skierowały się na północ... Jedni szli walczyć o republikę, inni po prostu wracali do domu. Lecz każdy niósł broń; mogła stać się potrzebna w przyszłości.

A my, lewicowi socjaliści z naszego pułku? Co mogliśmy postanowić my wobec nowych okoliczności?

Byliśmy w rozterce. Również i w naszych sercach gorzał gniew i żądza odwetu wobec przestępczej kliki, rządzącej w Sofii. Lecz byliśmy socjalistami, bojownikami podporządkowanymi jednej wielkiej idei, my musieliśmy wiedzieć dokładnie — dokąd, po co, którędy...

Chcieliśmy także iść na Sofię. Poza tym nasi towarzysze mówili, że podobno razem ze Stambolijskim i Daskałowem wypuszczono z więzienia również Georgi Dymitrowa, który obecnie miał się jakoby znajdować w Radomirze. Ale czy to była prawda?...

Głęboko przekonani, że nadeszła już chwila wymagająca od nas przyłączenia się do powstania i — jak wzywała partia — skierowania broni przeciwko Sofii, nie wiedzieliśmy jednak, co należy czynić. Żadne dyrektywy nie nadchodziły drogą telegraficzną, a łącznicy partyjni nie przywozili odezw z głębi kraju. Wyprzedzona przez bieg wydarzeń partia jak gdyby wyczekiwała.

My jednak nie mogliśmy czekać dłużej i w grupie liczącej około dwudziestu socjalistów z pułku, członków rady żołnierskiej, ruszyliśmy na północ.

Wrzesień 1918 roku był mglisty i wilgotny, jakby i niebo obróciło się przeciwko nam. Pogoda nie ma znaczenia dla żołnierza ubranego, obutego i nakarmionego. Czegóż jednak mogliśmy dokonać my w dziurawych butach lub po prostu drewniakach, w zbutwiałych od błota i wilgoci spodniach, kurtkach, szynelach! We wrześniu 1918 roku bułgarska armia przedstawiała żałosny i straszny widok.

Szliśmy, zaciskając ręce na manlicherach, przekonani, że tam, w Radomirze, czekają na nas, że tam wszystko się wy-

jaśni, że tam odnajdziemy swoje miejsce w walce. Przecież wszystko było tak oczywiste, komuniści rosyjscy dali przykład, co należy robić!

Minęliśmy dawne granice Bułgarii, przecięliśmy Ograżden, a następnie wschodnie podnóże Osogowa. Żołnierze, których dogoniliśmy po drodze, uprzedzili nas, żebyśmy ominęli Dupnicę; tamtejszy garnizon pozostał wierny rządowi i rozbrajał każdego, kto znalazł się w mieście. Trzeciego ranka śmiertelnie zmęczeni i głodni znaleźliśmy się w Radomirze. Był to nieprzerwany marsz, niemal bez chwili wytchnienia, w deszczu, który jeszcze bardziej utrudniał sytuację. Po drodze w górach i lasach spotkaliśmy tysiące frontowców idących grupkami lub w pojedynkę. Podobnie jak my opuścili front i unikając głównych dróg podążali w głąb kraju z jedynym celem — by dotrzeć do domu. Spotykaliśmy też powstańców, którzy szli na Sofię, by szukać odwetu. Trafiali się również, choć rzadko, i inni — kryminaliści i włóczędzy, którzy nocą rabowali po wsiach lub napadali na drogach zapóźnionych podróżnych. Wojna, zniszczenia, przeróżne charaktery — jednemu radość, drugiemu smutek...

W Radomirze zjawiliśmy się w trzy dni po proklamowaniu republiki, które miało miejsce 27 września. Gdzieś z północnego wschodu, od Sofii i Władai, dolatywało głuche dudnienie armat. „Co to ma znaczyć?" — zapytywaliśmy się nawzajem zdumieni.

Nocne niebo nad Radomirem jaśniało odblaskiem ogni, które płonęły w ogromnym żołnierskim obozowisku rozłożonym na łąkach między dworcem kolejowym a miastem. Gdzieniegdzie też wybuchły pożary. Paliły się jakieś domy na przedmieściach, płonęły również — jak nam powiedziano — ogołocone magazyny wojskowe. Żołnierze z przeróżnych jednostek (głównie z 2, 5 i 9 dywizji pleweńskiej z frontu zachodniego i południowego) nocowali bezładnie wymieszani w rozbitych naprędce namiotach lub wprost przy ogniskach pod gołym niebem. Prawie wcale nie spotykało się oficerów, którzy albo pouciekali ze zbuntowanych jednostek, albo zmieniwszy mun-

dury ukryli się w masie żołnierskiej, co zapewniało im bezpieczeństwo.

Poszukaliśmy jedzenia. Z tym nie było trudności. Gdy rozbijano magazyny wojskowe z mąką, tłuszczem, cukrem i innymi rzeczami, wielu żołnierzy, wykorzystując zamieszanie, napełniło, czym się dało, torby; mieli nawet toboły pełne ubrań na zmianę, butów, koców czy materiałów. Przy dworcu wąsaci kucharze w mundurach smażyli w kilku saganach z oliwą racuchy, których zapach przyciągał setki zarośniętych frontowców, z hałasem gromadzących się wokoło, by wśród wesołych, ożywionych rozmów oczekiwać swojej kolejki na przysmak. Tu i ówdzie wokół ognisk rozlegały się dźwięki kobz, fujarek, klarnetów, niosły się słowa różnych pieśni i po nich można się było zorientować, skąd pochodzą śpiewacy. Słychać też było pojedyncze odgłosy strzałów, które jednak na nikim nie robiły wrażenia. Panował nastrój cechujący zwycięzców po bitwie lub ludzi, którzy nie wiedzą i nie chcą wiedzieć, co ich czeka jutro...

Rankiem znaleźliśmy w Radomirze wielu towarzyszy, socjalistów, którzy zaznajomili nas z przebiegiem wypadków. Nie potwierdziła się pogłoska o pobycie tutaj Dymitrowa. Najdokładniej było wiadomo, co dzieje się z Christo Bojewem. Będąc na początku wojny słuchaczem w Szkole Oficerów Rezerwy, na front przybył później niż my, jako podporucznik. Obecnie nosił dystynkcje porucznika. Przyprowadził całą kolumnę powstańców z kilku kompanii 2 batalionu, w którym służył w 57 pułku piechoty. Pułk ten miał stanowiska na wysuniętej najdalej na południo-wschód flance naszej dywizji, toteż kolumna po drodze minęła Strumicę, Berowo, Pechczewo i Kjustendił. Składała się z około czterystu żołnierzy w pełnym uzbrojeniu; mieli oni nawet karabiny maszynowe.

Mimo iż Christo Bojew przed wojną nie był członkiem partii, należał do nas duszą i ciałem — i obecnie, gdy trzeba było dokonać wyboru, bez wahania stanął po stronie rewolucji. On to powiedział nam, że Stambolijski i Daskałow rzeczywiście przybyli tutaj w składzie oficjalnej delegacji, na której czele stał minister wojny, generał Sawow. Delegację wysłali Fer-

dynand i Malinow, by uspokoić wzburzonych żołnierzy. Ale zarówno Stambolijski, jak i Daskałow mieli inne zamiary. Gdy Rajko Daskałow zobaczył, jak silna jest żywiołowa fala powstania, stając się wyrazicielem powszechnych życzeń, bez wahania (za zgodą Stambolijskiego) proklamował republikę, ogłosił się głównodowodzącym i następnego dnia — 28 września — poprowadził około dziesięciu tysięcy powstańców na Sofię.

— A więc mamy już nowy rewolucyjny rząd! — wykrzyknęliśmy.

— Ani rewolucyjnego rządu, ani republiki — ostudził nasz entuzjazm Christo. — Rząd Malinowa utrzymał się, bo junkrzy, zmobilizowane naprędce oddziały, a przede wszystkim jednostki niemieckie zastąpiły naszym drogę i rozbiły ich. A nasi byli już blisko, cztery kilometry od Sofii...

— Szedłeś z nimi, Christo?

— Nie. Przybyłem tu poprzedniej nocy, gdy naszych już odparto w Gornej Bani i Kniażewie...

— A teraz?

— Teraz nasi wycofali się do Władai. Świeże jednostki niemieckie oraz junkrzy z karabinami maszynowymi i działami depczą im po piętach. Słyszycie? — i Christo wskazał na północo-wschód, skąd ciągle dobiegały odgłosy gęstego ostrzału artyleryjskiego.

— Ale przecież nasi strzelają...

— Nie nasi — ze smutkiem potrząsnął głową Christo. — Nie mamy artylerii. Chyba że wziąć pod uwagę te dwie lekkie armaty polowe, które weszły do akcji dopiero w chwili wycofywania się...

Zdumieliśmy się:

— Jak to, a to wszystko, co jest tutaj?

Wokół radomirskiego dworca kolejowego, przy którym się zatrzymaliśmy, stały dziesiątki albo i setki dział różnego kalibru — jedne rzędem w pobliżu peronu, inne — rozrzucone i tonące w błocie, jeszcze inne — na platformach wagonów towarowych. W błocie obok szyn połyskiwały lśniące cielska pocisków, pociski zapakowane w skrzynie leżały też obok

dział na platformach. Przy samym dworcu dogasał płonący magazyn i ten materiał wybuchowy chyba cudem tylko nie wyleciał w powietrze.

— Przecież wszystko mamy, Christo! Tylko ładować i strzelać!

Christo znów smutno potrząsnął głową:

— Wszystko mamy, tylko dowództwa nie mamy. Inaczej wyglądałaby sprawa z Sofią, gdybyśmy zastosowali choćby najprostszą strategię wojskową i zachowali dyscyplinę! Tymczasem nasi ruszyli stąd od razu do ataku. Wszyscy sądzili, że Sofia wpadnie nam w ręce sama, jak przejrzały owoc...

— Czy już wszystko stracone?

Christo Bojew, barczysty, ogorzały od słońca wysoki mężczyzna, nie należał do ludzi łatwo popadających w rozpacz, toteż głos jego teraz, choć stanowczy, zabrzmiał spokojnie:

— Według mnie — tak, stracone! Niemcy i junkrzy zajęli już Przełęcz Władajską, a to jest najważniejszy szlak w kierunku Sofii. Ponieśliśmy porażkę. Powstańcy upadli na duchu, stracili już niemal wiarę w zwycięstwo. Ale nim wszystko przepadnie, mamy obowiązek uczynić jeszcze jeden wysiłek. Jest tu jeszcze z dziesięć tysięcy żołnierzy, są działa, karabiny maszynowe, amunicja...

Był 30 września 1918 roku.

Nawiązaliśmy kontakt z lewicowymi socjalistami z radomirskiej rewolucyjnej rady żołnierskiej. Jeden z nich — Anton Iwanow, wysoki, postawny robotnik z radomirskiej parowozowni, był podoficerem, drugi — Stanke Dymitrow, szczupły, średniego wzrostu, z wychudzoną, zdradzającą fizyczne cierpienie twarzą, za działalność antywojenną został przez trybunał wojskowy niedawno zdegradowany do stopnia szeregowca. Anton Iwanow (z którym w późniejszych latach miałem się serdecznie zaprzyjaźnić, prowadząc wspólną działalność rewolucyjną na emigracji) właśnie powrócił z Sofii, dokąd udał się po kryjomu po instrukcje Komitetu Centralnego. Przekazał nam je w lakonicznych słowach, a na zakończenie dodał z hamowanym smutkiem:

— A więc tak, towarzysze. Być może, jutro historia będzie

nam to wyrzucać, ale w chwili obecnej partia zadecydowała tak właśnie...

Instrukcje Komitetu Centralnego partii w związku z powstaniem żołnierskim są znane; mówi o nich historia, a Georgi Dymitrow w czterdzieści lat później na V Zjeździe partii dokonał ich krytycznej oceny. Bułgarska Rewolucyjna Partia Socjaldemokratyczna (lewicy) nie przyswoiła sobie jeszcze umiejętności komunistów rosyjskich, nie doprowadziła do końca powstania, do którego sama wezwała frontowców, nie zdołała przekształcić — za przykładem bolszewików — wojny w rewolucję... Oczywiście partia nie była przeciwna powstaniu. Wręcz odwrotnie. Uważała jednak, że hasło obalenia monarchii i proklamowania republiki jest niezadowalające, i gotowa była stanąć na czele powstania tylko wówczas, gdyby celem jego było ustanowienie w kraju władzy rad. Maksymalizm, jak określił to Wasil Kołarow, dążenie do bardziej rewolucyjnych rozwiązań — zepchnęło partię na skraj toczącego się nurtu wydarzeń...

Podporządkowując się decyzji rady partyjnej, grupa nasza ruszyła z powrotem w okolice Kjustendiłu, gdzie znaleźliśmy swój pułk i bez kłopotów przyłączyliśmy się do jego szeregów. Przerzedzony do połowy dawnego stanu liczebnego, na wpół ogołocony z broni pułk nie był już zdatny do walki. Lecz teraz nie było to nawet konieczne. Biuletyny rozrzucane przez samoloty głosiły, że bułgarska delegacja rządowa z Andrejem Liapczewem na czele podpisała w Salonikach zawieszenie broni. Inaczej mówiąc, jak zresztą sam Liapczew oświadczył później w parlamencie, własnoręcznie podpisał on w Salonikach „wyrok śmierci na swój kraj". Był to haniebny koniec polityki, przeciwko której partia lewicy socjalistycznej walczyła całe sześć lat.

Tu pragnąłbym nawiasem wspomnieć, że w sąsiedztwie naszej dywizji na linii frontu Dobro Pole—Gewgeli—Dojran stacjonowało kilka jednostek wojskowych, w których wpływ lewicowych socjalistów był szczególnie silny. Należały do nich 80 pułk piechoty z 3 dywizji bałkańskiej, 32 pułk (gdzie służył Petko Enew) znany ze swych rewolucyjnych nastrojów, 25 pułk

piechoty (gdzie dowódcą kompanii był Gawriił Genow, dowódcą plutonu Zamfir Popow, a Peter Grigorow — adiutantem pułku) i otoczony legendą 27 pułk czepiński. W innych sąsiednich jednostkach służyli jako dowódcy oficerowie rezerwy: Cwiatko Radojnow, dr Iwan Paszow, Kosta Jankow, Aleksander Karastojanow, dr Stamen Ilijew, Aleksander Atanasow, Ferdynand Kozowski...

O tym dowiedzieliśmy się później. Dowiedzieliśmy się również i tego, że dowództwo obawiało się bardzo ewentualnej translokacji tych jednostek, a zwłaszcza 25 pułku piechoty, w okolice Kjustendiłu i Radomiru, wiedziało bowiem dobrze, iż oficerowie-socjaliści nie tylko mogą przekształcić je w zdyscyplinowane, rewolucyjne oddziały bojowe, lecz również zgrupować wokół siebie pozostałe ustępujące jednostki... Toteż zrobiono wszystko, co możliwe, by pozostawić te oddziały w Salonikach i w Skopje w charakterze zakładników...

Sądzę, że we wrześniu 1918 roku wydarzenia potoczyłyby się zupełnie inaczej, że Komitet Centralny naszej partii zająłby inne stanowisko wobec sensu, charakteru i rewolucyjnych możliwości powstania, gdyby na czele mas żołnierskich na froncie południowym stanął na przykład 25 pułk piechoty i inne jednostki wojskowe, dowodzone przez czerwonych oficerów — zdyscyplinowanych i gotowych sprężyście wykonać wszelkie zadania bojowe i polityczne, jakie by otrzymali...

W późniejszych latach z niektórymi z tych dowódców, na przykład Genowem, Radojnowem, Kozowskim i Grigorowem, wykonywaliśmy wspólnie zadania rewolucyjne w Jugosławii, Austrii, Francji czy Związku Radzieckim. I często wspominaliśmy owe czasy... Powstanie żołnierskie mogło mieć naprawdę zupełnie inne zakończenie...

A Christo Bojew? Dokonał jednak „jeszcze jednego wysiłku". Jak sam później opowiadał, najpierw skierował do wszystkich powstańców odezwę, którą natychmiast odbito w jakiejś radomirskiej drukarni i rozrzucono wśród żołnierzy. Następnie zorganizował batalion z ludzi swoich i tych, którzy przyłączyli się w Radomirze (około pięciuset osób), podzielił go na kompanie i plutony, postarał się o konieczną

broń — ciężkie i lekkie karabiny maszynowe, kilka dział, granaty, karabiny, załadował batalion na pociąg i ruszył.

Nie ujechali daleko. Musieli się zatrzymać koło wsi Cerkiew, front bowiem posuwał się już od Władai do Pernika, Dragowszticy i Rudarców. Nim zdołali wyładować działa, rozgorzała bitwa. Była krótka, lecz zacięta. Gdy siły rządowe otoczyły batalion od północy i południa i zasypały go śmiercionośnym ogniem artyleryjskim, musieli ustąpić. Pouciekali, gdzie oczy poniosły. Christo udał się na wschód w kierunku Plewen, skontaktował się potajemnie ze swoimi, a następnie — również potajemnie — przeprawił się przez Dunaj i dotarł do radzieckiej Rosji. Tam, w dopiero co powstałym państwie robotników i chłopów, Christo służył dalej tej samej sprawie, której poświęcił się w czasie powstania żołnierskiego.

Nasz pułk przez parę dni został w pobliżu Kjustendiłu, by mogły go dogonić pozostałe oddziały dywizji, choć nikt w dowództwie nie wiedział, jakie to są oddziały i w jakim stanie liczebnym. W Kjustendile płynęło już normalne życie jak w czasie pokoju. Wrażenie to pogłębiały gałęzie jabłoni, uginające się pod ciężarem owoców. Przez te parę dni żywiliśmy się ogromnymi soczystymi jabłkami, bo spadały na ziemię i gniły; nie było komu ich zebrać, zwieźć, ułożyć w spichrzach...

W podmiejskich sadach obok opadłych owoców znajdowaliśmy najróżniejsze dokumenty rozgrabione z Kwatery Głównej, mającej siedzibę właśnie w Kjustendile. Jak wiatr mógł przywiać je aż tutaj?

Pamiętam, że grupa ludzi z naszej kompanii zebrała się, aby przeczytać jakiś na pół spalony rozkaz do armii, podpisany przez głównodowodzącego, generała Żekowa. Ogień oszczędził tylko ostatnie dwa ustępy szacownego dokumentu. „Moment szczytowy zobowiązuje wszystkich uczciwych Bułgarów do szczytowego wysiłku — głosił rozkaz. — Wykonajmy go mężnie do końca mimo wszystkich trudów i niedostatków, do ostatniego karabinu, który uchwyćmy mocno, byśmy triumfalnie mogli wyjść z walki i pomyślnie doprowadzić do końca dzieło zjednoczenia naszego sławnego plemienia, zahartowanego przez stulecia bitew..."

I po kilku dalszych zdaniach w tym stylu głównodowodzący kończył: „Pracujmy ofiarnie i z miłością, by podźwignąć uzbrojony naród bułgarski nad przemijające trudy i krzywdy, i niechaj krzepi nas jedna myśl, jedna zasada, jedna wiara — Bułgaria przede wszystkim i nade wszystko!"

„Bułgaria przede wszystkim i nade wszystko!" — pięknie powiedziane. Tak przystało generałowi... Lecz już nie teraz; czas nie był odpowiedni do takich wezwań, a generał Żekow nie miał możliwości ani moralnego prawa do ich wygłaszania. „Bułgaria przede wszystkim..." Lecz gdzież on był w tej właśnie chwili, gdy Bułgaria potrzebowała obrony, gdy prości żołnierze niepotrzebnie ginęli w okopach, podczas gdy Ferdynand jak stary hazardzista przy zielonym stoliku grał, stawiając żywotne interesy kraju na jedną kartę?

Głównodowodzący wydał ów rozkaz 23 czerwca 1918 roku — świadczyła o tym postawiona data — a teraz, na początku października... leczył się w stolicy Austrii. Wyjechał przeszło miesiąc temu. Oficjalny komunikat głosił, że na jego „zapalenie ucha środkowego" konieczna jest operacja w Wiedniu, ale pogłoski krążące wśród żołnierzy były inne... „Zjednoczenie plemienia bułgarskiego"... Przecież takie odezwy dzienniki rządowe zamieszczały od samego początku wojny! Czyżby teraz, gdy zbliżał się kres, głównodowodzący rzeczywiście uważał, że można „pomyślnie doprowadzić do końca dzieło"? Czy myślał tak samo również wówczas, gdy Niemcy wycofały ostatnie swoje wojska z Rosji, aby rzucić je na front zachodni, i gdy już wyczerpały wszystkie swoje rezerwy?...

Ładnie brzmiąca, pompatyczna, fałszywa frazeologia, kryjąca perfidną zdradę Ferdynanda i reakcyjnej burżuazji — początek i koniec naszej tragedii...

Na drugi czy trzeci dzień po naszym przybyciu, ledwie pułk zdołał się zebrać, w Kjustendile zjawili się Niemcy. Były to jednostki 217 dywizji, te same, które walczyły z powstańcami, które zniszczyły pociąg sanitarny koło cukrowni, które pod Władają i Radomirem siały śmierć i zniszczenie wśród cofających się żołnierzy bułgarskich. Gdy powstanie stało się nieuniknione, wezwano je pospiesznie aż z Sewastopola.

Do Kjustendiłu wtargnęło około czterdziestu ciężarówek wojskowych, wyładowanych niemieckimi żołnierzami uzbrojonymi w karabiny maszynowe i działa. „Zwycięzcy!" Nasze wojsko i cała ludność patrzyły na nich z jawną nienawiścią. Oni — bite na wszystkich frontach „Szwaby" — demonstrowali swoją sztukę wojenną wobec małego, ograbionego, zrozpaczonego narodu. Oni, nasi „sojusznicy"...

A więc skończyła się pierwsza wojna światowa. Mieliśmy za sobą jeszcze jedną krwawą kartę naszej historii. Ale katastrofa narodowa i powstanie żołnierskie były lekcją dla narodu. Wśród cierpienia zrozumiał on wiele prawd i wiele pomyłek. Wiedział już teraz dobrze, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. I było to istotne dla przyszłych jego losów, dla przyszłych bezlitosnych walk klasowych, dla przyszłych zwycięstw.

4. Uzbrajanie pleweńskiej organizacji partyjnej

Lenin pisał, że pierwsza wojna światowa otwarła epokę wojen i rewolucji społecznych. Tyczyło się to w pełni i Bułgarii.

Wojna zakończyła się, ale pokój nie nastąpił.

W każdym człowieku z osobna i w świadomości całego narodu dokonała się nieodwracalna przemiana. Byli tacy, którzy to czuli, lecz nie pojmowali, inni, a ci stanowili większość, rozumieli, że należy coś uczynić, by losy Bułgarii potoczyły się nowymi torami, że stare partie i starzy politykierzy muszą za popchnięcie kraju do katastrofy znaleźć się w więzieniu albo w lamusie historii, że naród powinien mieć zapewnione prawo do pracy, do chleba, do szczęścia, że ideały sprawiedliwości społecznej nie są utopią ani czczą iluzją „skowronków" *... Obecnie, w świetle dokonań Rewolucji Październikowej, każdy

* Skowronki — lekceważące określenie, jakie lewicowym socjaldemokratom nadawali ich przeciwnicy polityczni. — *Przyp. tłum.*

rozsądny człowiek jasno mógł sobie zdać z tego wszystkiego sprawę.

Na razie los kraju był ciężki. Nie tylko setki tysięcy poległych na frontach, nie tylko ofiary epidemii i głodu na zapleczu, ale i okupacja, obce wojska — Francuzi, Anglicy, Włosi, ba, nawet Senegalczycy! Okrojono Bułgarię tak, że stała się mniejsza niż przed wojną. Zabrano Południową Dobrudżę, nasz spichlerz, i granica przebiegała tuż za Warną. Z Tracji, Macedonii, Dobrudży, z rubieży zachodnich, ze wszystkich naszych starych ziem ciągnęli teraz w głąb kraju uciekinierzy. Z tłumokami odzieży na plecach, prowadząc za rękę maleńkie dzieci, setki tysięcy biedujących ludzi przybywały — bądź za przyzwoleniem nowych władz, bądź przez zieloną granicę — by szukać ratunku i pocieszenia. Stracili oni rodzinny dom i nie widzieli żadnej nadziei na przyszłość.

Zjawili się również i w Plewen, mimo iż miasto to leżało daleko od granicy.

Głód, panujący po wojnie, pociągnął za sobą groźną epidemię „hiszpanki", która pochłonęła wiele ofiar spośród cudem ocalałych na froncie i powracających teraz żołnierzy, spośród małych dzieci, kobiet i nielicznych starców, którzy zdołali przeżyć niedostatek wojenny. Grypa ta zabrała również moją najstarszą siostrę, Ewlampię.

Nie było co jeść. Pamiętam, sklepy ziały pustką, a na targ w Plewen nikt nie przynosił żywności. Tylko chciwi geszefciarze robili interesy, sprzedając ją po paskarskich cenach.

Na wsi też nie działo się lepiej. Przez kilka lat nikt nie siał i nie zbierał, toteż stodoły były wymiecione do ostatniego ziarnka. Zjedzono nawet zboże przeznaczone na siew, a czego nie zjedzono, zagarnęły komisje rekwizycyjne. Nadeszła zima na przełomie lat 1918—1919, a pól nie obsiano. Znaczyło to, że w następnym roku głód przybierze rozmiary klęski...

Bułgaria wkroczyła wprawdzie w nową epokę, ale wobec poważnych sprzeczności społecznych i klęsk narodowych potrzebne jej było nie lekarstwo, tylko chirurgiczne cięcie, jakie już zrobili bolszewicy w Rosji. Tak sądzili — choć wciąż jeszcze nieśmiało — lewicowi socjaliści bułgarscy.

Nie wiem, w jaki sposób i kiedy zaczęli uzbrajać się komuniści w innych rejonach kraju, ale nasza organizacja partyjna robiła to jeszcze w czasie wojny, bo jak już wspomniałem, my wszyscy, żołnierze-socjaliści z Plewen, przyjeżdżając na urlop za każdym razem przywoziliśmy karabiny, rewolwery (wówczas były niemal wyłącznie bębenkowce), różnego rodzaju granaty i naboje. Ja miałem urlop trzy razy i trzy razy udało mi się przywieźć coś niecoś z „niebezpiecznego bagażu". Chowaliśmy tę broń w domu lub gdzie kto mógł, bo nie przyszedł jeszcze czas, by pomyśleć o wspólnym schowku.

Manlichery i inną broń, którą przywiozłem, ukryłem w różnych zakamarkach mieszkania: pod podłogą w kuchni, na strychu między belkowaniem... Owijałem manlichery w płótno, a następnie wkładałem w konopny worek. W każdym opakowaniu znajdowały się trzy karabiny, a opakowań było kilka. Granaty i naboje chowałem oddzielnie — wszystko dobrze naoliwione, gotowe do użytku, gdy zajdzie potrzeba.

Czy zaopatrywanie się w broń w stosunkowo wczesnym okresie płynęło z własnej inicjatywy organizacji pleweńskiej — niech rozstrzygną historycy. Natomiast wkrótce po zakończeniu wojny otrzymaliśmy z Sofii tajny nakaz: „Zbierajcie broń!" Kierownictwo partii, zdając sobie sprawę z błędów popełnionych podczas powstania żołnierskiego, czyniło krok do ich naprawienia. Rewolucja Październikowa wyraźniej niż wszystko inne dowodziła, że problem władzy dojrzał już do rozstrzygnięcia w całej Europie.

Nowe zadanie dla nas nie było nowością. Todor Łukanow, sekretarz organizacji pleweńskiej i członek KC, zwołał zimą 1920 roku tajne zebranie. Przybyła na nie tylko część członków partii — frontowcy, oficerowie i podoficerowie rezerwy oraz inni co aktywniejsi towarzysze. Łukanow, który właśnie wrócił z narady w Sofii, krótko i rzeczowo scharakteryzował powojenną sytuację w kraju oraz zadania partii, a potem przekazawszy zarządzenie dotyczące broni rzekł:

— Musimy szukać jej wszędzie, gdzie się da. Będziemy ją

konfiskować lub kupować, zależnie od możliwości i poszczególnych przypadków.

Broń — w porządku! Każdy z nas całkowicie się z tym zgadzał. Ale co dalej?

— Czy szykujemy się do objęcia władzy? — zapytał ktoś.

Łukanow nie umiał dać odpowiedzi. Wymowny i rzeczowy przed chwilą, teraz się zająknął:

— Tak, sprawa władzy... Istotnie mamy prawo o to pytać... Ale... Partia nie roztrząsała jeszcze tej kwestii. To zadanie bliskiej przyszłości. Lecz kiedy — nie umiem powiedzieć... Chociaż jest więcej niż pewne, że za komunistami z Rosji i my przystąpimy do rozstrzygnięcia tego problemu...

Niejasność słów Łukanowa była odbiciem niejasności stanowiska partii. Wydała ona zarządzenie odnośnie broni, ale decydujący problem, problem władzy, miała podnieść później, w sierpniu 1923 roku. Może był to rezultat niedojrzałości politycznej i słabej strategii? Może...

Albowiem po straszliwej eksplozji, jaką była Rewolucja Październikowa, przez całą prawie Europę przeszła fala rewolucyjna. Dopiero co zakończyło się sto dni czerwonej republiki węgierskiej Beli Kuna. W Niemczech szalała wojna domowa i wielu spodziewało się, iż tamtejsza klasa robotnicza — zorganizowana, zdyscyplinowana i uświadomiona — stworzy w samym środku Europy nową twierdzę socjalizmu. Naród czeski i słowacki zrzucił nareszcie znienawidzone jarzmo monarchii austro-węgierskiej i wkraczał na drogę samodzielnego rozwoju. Prawdą jest, że ruch ten nosił cechy rewolucji burżuazyjnodemokratycznej — brakło tam dostatecznie potężnej siły politycznej, która by za przykładem bolszewików przekształciła kraj w socjalistyczny — jednak był to już krok, i to jaki — naprzód. Wyzwolona została Polska. Na politycznej mapie Europy pojawiły się cztery państwa bałtyckie — Finlandia, Litwa, Łotwa i Estonia; trzy ostatnie w dwadzieścia lat później miały wejść do rodziny republik Kraju Rad. Ważne wydarzenia wstrząsały też zachodnimi sąsiadami Bułgarii — Serbią, Chorwacją i Słowenią, które jednoczyły się w jedno południowosłowiańskie królestwo, mające się przekształcić

w Jugosławię. Turcja, nasz sąsiad południowo-wschodni, ciągle pozostawała pod władzą sułtana, lecz i ten kraj miał dokonać przełomu w swym historycznym rozwoju: Kemal Atatürk przejawi wkrótce ambicję wyprowadzenia go z wiekowego zacofania i z wdzięcznością przyjmie bezinteresowną pomoc od radzieckiej Rosji.

Tak, cała Europa drżała od wstrząsów rewolucji, a optymiści wśród nas widzieli już powszechne zwycięstwo idei komunistycznych! Równocześnie jednak międzynarodowa reakcja, śmiertelnie przestraszona triumfem bolszewików i spływającą na Zachód falą rewolucyjną, przedsięwzięła już krwawą interwencję wojskową przeciwko radzieckiej Rosji.

Dokąd zaszłaby Europa, gdyby broń przeznaczona dla wzajemnego wyniszczania się narodów zwrócona została przeciwko klasie ciemiężycieli!

Na naradzie, w której uczestniczył wysłannik z Sofii, Anton Nediałkow, omówiliśmy problem, skąd będziemy zdobywać broń.

— Przede wszystkim musimy się zorientować, ile jest tego, co przynieśliśmy z frontu — powiedział Wasil Karawasilew. — Może nie wszystko jest odpowiednio przechowywane. Musimy urządzić wspólne tajne składy w suchych i bezpiecznych miejscach; od czasu do czasu broń trzeba będzie oliwić, inaczej się zmarnuje...

Miał rację. Niektórzy zakopali manlichery i granaty na podwórzu lub w winnicy. Oczywiście naoliwione, zawinięte w papier i konopne worki, lecz groźbę stanowiła tam wilgoć, a o nowym oliwieniu w tych warunkach nawet mowy być nie mogło.

— Rozumie się — dodał Karawasilew — że nie musimy zaraz przygotowywać wspólnych schowków, smar będzie chronił broń jeszcze jakiś miesiąc lub dwa. Ale nową musimy gromadzić już teraz, niezwłocznie. Zastanówmy się razem — jak?

Każdy z nas miał jakąś koncepcję. Wojna skończyła się niedawno, wielu byłych frontowców i powstańców, nie myśląc nawet o rewolucji, przyniosło do domu to pistolet, to granat, to paczkę nabojów. Dowództwo, przerażone buntem, nie upominało się zbyt ostro o broń ani nie karało za jej brak. A przecież trudno powiedzieć, że rozpływała się ona w powietrzu...

Niektórzy oficerowie i podoficerowie, będący obecnie w rezerwie, sprzedawali, i to tanio, pistolety, których zwrotu nikt od nich po wojnie nie zażądał. Należało je kupić za pieniądze partyjne.

Lecz najbardziej liczyliśmy na broń z magazynów koszarowych.

Bułgaria, zwyciężona i okupowana przez siły sojusznicze ententy, została całkowicie rozbrojona; był to jeden z warunków układu w Neuilly. Dywizje i pułki, powróciwszy do swych garnizonów, zostały zdemobilizowane i rozpuszczone, a złożoną broń, nie inwentaryzując jej, zgromadzono w przeróżnych wojskowych i państwowych magazynach.

Naród przyjął owo rozbrojenie obojętnie — broń przyczyniła się przecież do jego tragedii — ale ludzie będący u władzy lub w wojsku patrzyli na nie z przerażeniem. Jeszcze przed poniżającą ceremonią w Neuilly w listopadzie 1919 roku, gdy tylko zaczęła się konfiskata broni, po kryjomu podjęli kroki, aby ją chociaż w części uratować. Mówię „po kryjomu", gdyż ententa, przystąpiwszy do rozbrajania, skierowała do wszystkich miast i miasteczek garnizonowych w całym kraju — również do Plewen — swoje komisje wojskowe. Z początku określano je jako „obserwacyjne" — pilnowały, by broń leżała w składach — lecz jutro mogły się przekształcić w likwidacyjne.

Owo „jutro" należało uprzedzić. I wojskowi nie tracąc czasu zabrali się do dzieła.

Przede wszystkim postarali się o schowki. Potrzebne były duże, wygodne, suche i co najważniejsze — dobrze ukryte pomieszczenia, gdzie można by trzymać nie tylko tysiące ka-

rabinów i pistoletów, nie tylko miliony paczek z nabojami i granatami, lecz również armaty z nieodzownymi pociskami.

W koszarach pleweńskich mieliśmy swoich ludzi i za ich pośrednictwem dowiadywaliśmy się o wszystkich niemal poszukiwaniach, dokonywanych przez wojskowych. Były one rzeczywiście energiczne i zakrojone na szeroką skalę. Miejsc stosownych na tajne składy szukano wokół Plewen w winnicach należących do oficerów lub ludzi pewnych; skrupulatnie badano liczne pieczary Kajłyku, które można by później ewentualnie zamurować; wynajdywano w mieście należące do zaufanych osób domy, gdzie na strychach lub w piwnicach można by ukryć broń bez dokonywania przebudowy, która zwracałaby uwagę postronnych; rozglądano się za mogącymi posłużyć jako tajne schowki budkami dróżniczymi, magazynami dworcowymi, a nawet krytymi wagonami towarowymi; szukano chwilowo nieużytecznych, a ukrytych przed wścibskim okiem, składów państwowych...

Cały ten wywiad został przeprowadzony w krótkim czasie, po czym — przy zachowaniu jak najdalej posuniętej ostrożności — wojskowi przystąpili do właściwej akcji.

O ile jednak władze były w stanie zachować swe poczynania w tajemnicy przed komisjami, o których pisałem, o tyle wobec nas było to niemożliwe. Pleweńska organizacja partyjna obserwowała je nieustannie za pośrednictwem swych bystrych „oczu i uszu". Zajęli się tym ci nasi członkowie, którzy uczestniczyli we wspomnianej uprzednio tajnej naradzie. Początkowo podzieliliśmy się według dzielnic na trzy (czy może cztery — dokładnie już nie pamiętam) „piątki", z których każda miała swego dowódcę. Za całokształt pracy tej naszej organizacji wojskowej (nazywam ją tylko umownie wojskową, ponieważ właściwa partyjna organizacja wojskowa w Plewen i gdzie indziej powstała, jak wiadomo, po reakcyjnej prowokacji w dniu 24 maja 1921 roku) odpowiadał Wasil Karawasilew.

Ja byłem odpowiedzialny za „piątkę", do której należeli Kosta Pyrwanow-Grubas, Ilija Kałfow, Asen Iwanow Nanow, Wyrban Angełow. Skład mojej i innych „piątek" nie był oczywiście stały. Z różnych przyczyn część ludzi odchodziła, a na

ich miejsce przybywali inni, ale o ile pamiętam, wymienieni towarzysze pozostali członkami naszej organizacji wojskowej aż do powstania czerwcowego w 1923 roku. W różnych okresach, wówczas i później, do mojej „piątki" należeli także: Pyrwan Marinow, bracia Nikoła i Pyrwan Rajkowowie, Kolio Wenkow i jego córka Canka Kolewa z IX dzielnicy oraz inni. Kosta Pyrwanow był aktywistą niezwykle czynnego związku metalowców w Plewen; Ilija Kjuczukow — szewc, i Asen Iwanow Nanow — stolarz, również zaliczali się do rdzenia pleweńskiej organizacji partyjnej. Kolio Wenkow, kapitan rezerwy, uczestnik i bohater trzech ostatnich wojen, był zahartowanym bojownikiem, bezgranicznie oddanym sprawie towarzyszem, który wychował swe dzieci w duchu wierności dla idei socjalistycznej.

Canka Kolewa, jego córka, jedyna kobieta w naszej organizacji wojskowej, była nauczycielką w gimnazjum pleweńskim. Do organizacji wstąpiła w 1920 roku i z początku prowadziła aktywną działalność oświatową. Mając ukończony fakultet fizyczno-matematyczny w Sofii, Canka, wykształcona i kulturalna młoda kobieta, wygłaszała interesujące pogadanki popularnonaukowe najpierw dla robotników ze związku drukarzy, a następnie i dla całej organizacji. Zgrabna, z kasztanowatymi włosami, o żywym spojrzeniu i inteligentnej twarzy, Canka wywierała zadziwiający wpływ na proste kobiety, które umiała zainteresować sprawą nauki i samokształcenia.

Wkrótce okazało się, że jest również odważna. Gdy zaszła tego potrzeba, porzuciła działalność oświatową i zaczęła mimo ryzyka pracować w nielegalnej organizacji wojskowej.

Myśl tę podsunęliśmy jej razem z Wasilem Karawasilewem. Nie dlatego, oczywiście, że do tej „męskiej" roboty brakło przedstawicieli płci „silniejszej", tylko że gdy zastanawialiśmy się nad sposobami obserwacji, przyszło nam do głowy, iż kobieta mogłaby być niezastąpionym pomocnikiem. Na przykład „zakochana para" ukryta w mroku ulicy może wiele zobaczyć, nie budząc podejrzeń.

Taką „zakochaną parą" zostaliśmy ja i Canka, bo bez waha-

nia przyjęła tę rolę, gdy Karawasilew wtajemniczył ją w nasz plan.

— Dziękuję ci, Canko — uścisnął jej rękę Wasil. — Wiedziałem, że nie odmówisz, a jednak... Ryzykowna historia...

— Miłość warta jest wszelkiego ryzyka, Wasko — zaśmiała się ta dzielna dziewczyna, wchodząc już w rolę „zakochanej". — Zresztą wybrałeś mi ładnego chłopaka!... Ale powiedz, Wasko — spoważniała — czy ty sam gotów jesteś ryzykować?

Karawasilew milczał, nie pojmując, co oznaczają jej słowa. Dawno już wziął na siebie ryzyko związane z robotą rewolucyjną. Zrezygnowawszy z kariery adwokackiej, z łatwych dróg bogacenia się, poświęcił swe życie walce klasowej.

— Nie, nie chodzi o to, o czym myślisz — wyjaśniła Canka. — Chcę tylko wiedzieć, jak zareagujesz, gdy po mieście rozejdą się plotki, że „Canka chodzi z Wankiem"...

Karawasilew wybuchnął zaraźliwym śmiechem, a w oczach zamigotała mu ogromna radość. Canka, jego ukochana, myśląc zarówno o sprawie, jak i o swoim uczuciu, z zadziwiającą kobiecą umiejętnością godziła dwie na pozór sprzeczne rzeczy. Oboje kochali się, lecz nie wyznali sobie jeszcze tego, bo skąpiliśmy sobie wówczas miłości, obrawszy za główny cel walkę o naszą ideę. A stanowili niezwykłą parę. Canka była piękna jak dziewczyna z ludowej ballady. Takie jak ona kobiety widzi się w myślach ze sztandarem w dłoni wiodące mężnych do walki. Wasil w niczym jej nie ustępował. O pół głowy wyższy ode mnie, zgrabny, szeroki w ramionach, o matowej cerze i gęstych kędzierzawych włosach, z pociągłą inteligentną twarzą i wysokim czołem pokrytym siecią drobnych niebieskawych żyłek, z ogromnymi oczami, które mogły być i surowe, i łagodne, z silnie zarysowaną brodą zdradzającą niezłomną wolę — był w stanie zburzyć spokój każdej piękności. Ale ten urodziwy mężczyzna poświęcił życie ideałom komunistycznym i zupełnie nie myślał o swojej pociągającej powierzchowności; aż do dnia jego tragicznej śmierci, która nastąpiła jesienią 1924 roku, Canka była jego czystą, młodzieńczą miłością, pierwszą i ostatnią.

Nasze „randki" z Canką odbywały się przez kilka tygodni — tyle, ile trwała akcja wojskowych, po kryjomu gromadzących broń. A śpieszyli się oni, gdyż układ w Neuilly już podpisano i po całym kraju rozpełzły się liczne komisje kontrolne, złożone z oficerów francuskich, angielskich, włoskich, a nawet japońskich. Komisje owe, którym pomagały różne podejrzane typy zarówno w mieście, jak na wsi, starannie przeliczały, spisywały i konfiskowały całą broń znajdującą się w koszarowych prochowniach. Wzięła się też do roboty komisja, którą przysłano do Plewen.

Koszary pleweńskie wznosiły się w południowej części miasta (wówczas było to przedmieście) w sąsiedztwie Strugi Kajłyskiej. Dom moich rodziców stał akurat naprzeciwko, ale na drugim brzegu rzeki. Od strony wody koszary ogrodzone były (tak jak i dziś) kamiennym murem postawionym jeszcze za czasów tureckich. Mur ten był tak wysoki i gruby, że mógł nawet wytrzymać oblężenie, lecz tu i ówdzie deszcz i śnieg wypłukały spoiwo i z czasem w tych miejscach powstały wyrwy, przez które można się było łatwo przecisnąć. Ileż to razy przełaziliśmy tamtędy w dzieciństwie!

Swoje spacery z Canką odbywaliśmy na ściśle wyznaczonej trasie. Wieczorem prawdziwe zakochane pary mijały naszą dzielnicę, idąc na spacer wzdłuż rzeki w stronę Kajłyku, my jednak krążyliśmy dokoła koszar. Pamiętam, że noce były piękne, wiatr niósł ze wzgórz zapach kwiecia i świeżej trawy, a korony drzew roiły się od skrzydlatych śpiewaków, których głosy przepełniały wzruszeniem każde młode serce. Nie zwracaliśmy jednak na to wszystko uwagi. Szliśmy trzymając się pod ręce, potem zatrzymywaliśmy się w cieniu akacji w pobliżu bramy koszar, lecz prawie nie rozmawialiśmy z sobą; cali zamienialiśmy się w słuch i wzrok. Księżycowe noce nastrajały do miłości i tkliwości, ale rewolucja była ważniejsza. Czuwaliśmy więc, by naszej uwadze nie uszła chwila, gdy brama koszar (najczęściej tylne wejście) uchyli się cicho i usłyszymy turkot jednego lub dwu ciągniętych przez silne wojskowe konie wozów uginających się pod przykrytym brezentem ciężarem. Woźnicami byli najczęściej oficerowie lub podoficero-

wie w żołnierskich mundurach. Jechali sami — wykradający broń obawiali się, że inaczej mogą wzbudzić podejrzenia.

Trzymając się pod ręce, ruszaliśmy z Canką w ślad za wozami. Konie szły wolno, leniwie, woźnice siedzieli na koźle obojętnie, jak gdyby wieźli kukurydzę. To również ułatwiało nasze zadanie. Śledziliśmy transport dotąd, dopóki wozy nie skręciły w jakąś ciemną uliczkę i nie zniknęły w jeszcze ciemniejszym podwórzu za wrotami, które następnie dokładnie zamykały czyjeś niewidoczne ręce. Tutaj urywała się obserwacja, ale to wystarczało; teraz potrzebny był nam tylko adres jeszcze jednego z wielu tajnych składów broni. O reszcie mieliśmy pomyśleć później...

Niepostrzeżenie wracaliśmy na poprzednie miejsce i w ten sposób udawało się nam „przeeskortować" kilka takich wozów. Nie było wypadku, by w ciągu jednej nocy do tego samego domu przyjechało więcej niż jeden lub dwa — wojskowi wszystko starannie przemyśleli — ale zdarzało się, że do domu, wyśledzonego już przez nas, wóz zajeżdżał znowu którejś z następnych nocy. Dlatego też Karawasilew postanowił włączyć do pracy nowych ludzi. Rzadziej śledzili oni wozy, za to częściej czatowali na ukrytym posterunku koło znanych nam już domów. W akcji tej brali udział: Kosta Pyrwanow-Grubas, brat Asena Chałaczewa — Boris, Christo Wasilew, Wyrban Angełow i inni.

Nasze „randki" z Canką kończyły się zwykle późno po północy, gdy prawdziwe zakochane pary dawno już wróciły do domów, a od bramy koszar nie dolatywał żaden hałas. Trzeba było przespać się chociaż trochę, bo nadchodzący dzień niósł z sobą zwykłe obowiązki. Canka jako nauczycielka musiała przed pierwszym dzwonkiem zjawić się w gimnazjum, ja — w stolarni, gdzie pracowałem przy wykonywaniu mebli. Wieczorem szliśmy oboje do klubu partyjnego — robił to bez nakazu każdy pleweński komunista. Canka wygłaszała tam zwykle pogadankę lub referat na tematy oświatowe, a ja pełniłem obowiązki sekretarza i kasjera związku stolarzy liczącego wielu członków, śpiewałem jako solista w amatorskim chórze naszego klubu i uczestniczyłem w imprezach kółka sportowego „Spar-

tak", w którym cieszyłem się sławą dobrego lekkoatlety i — tancerza. Do niedawna tylko to stanowiło naszą działalność partyjną, ale obecnie praca społeczna i związkowa w coraz większym stopniu stawała się dla tysięcy komunistów alibi wobec władz; teraz wykonywaliśmy ją również i dlatego, że pod jej płaszczykiem działała nasza nielegalna organizacja wojskowa.

Gdy po zakończeniu narad i zebrań klub pustoszał i Plewen układało się do snu, obydwoje z Canką, odprowadzani przez Karawasilewa, znowu wyruszaliśmy na nasz nocny posterunek...

Praca wywiadowcza, która nieco później miała się przekształcić w moją główną działalność dla dobra rewolucji, przydała się i teraz. Wkrótce organizacja partyjna wiedziała o kilkudziesięciu tajnych schowkach z wszelką bronią z wyjątkiem armat, bo w Plewen przechowywano tylko karabiny maszynowe, pistolety, granaty, naboje (pułk artyleryjski stacjonował w Sewlijewie).

W połowie maja 1919 roku wyjechaliśmy do Sofii z grupą liczącą około trzydziestu ludzi. Sześciu z nich stanowiło delegację na kolejny XXII Zjazd, który miał się przekształcić w historyczny założycielski I Zjazd Bułgarskiej Partii Komunistycznej. W skład delegacji wchodzili: Asen Chałaczew, Christo Gradinarow, Petkow, Wasil Tabaczkin, Christo Wasilew i Wasil Karawasilew. Delegatem naszym był też jeden z twórców pleweńskiej organizacji partyjnej i członek KC — Todor Łukanow. Inni towarzysze z grupy pleweńskiej byli gośćmi zjazdu, a część z nas stanowiła ochronę zbrojną. Ochronę taką wysłał też szereg innych okręgowych organizacji partyjnych, w których działalność wojskowa opierała się na solidnych podstawach.

Czuję się w obowiązku powiedzieć kilka słów o zjeździe założycielskim, bo było to w życiu partii niezwykle ważne wydarzenie powodujące przełom również i w działalności organizacji pleweńskiej.

W drugiej połowie maja 1919 roku w sali teatru „Renesans" w Sofii zebrało się sześćset trzydziestu sześciu delegatów z całego kraju. Nasza delegacja zajmowała jedno z najlepszych miejsc na parterze, być może dlatego, że organizacja pleweńska była jedną z najsilniejszych w Bułgarii. W jej skład wchodziło sześć organizacji miejskich (Plewen, Łowecz, Trojan, Sewlijewo, Swisztow i Nikopol) oraz dziesiątki wiejskich organizacji partyjnych.

Gdy nie pełniłem dyżuru w służbie ochrony zjazdu, siadałem w czasie posiedzeń zawsze obok Wasila Karawasilewa i dzieliłem się z nim uwagami na temat referatów i wypowiedzi. Dyskutowaliśmy nad ważniejszymi fragmentami sprawozdania KC, wygłoszonego przez Dimitra Błagojewa, zastanawialiśmy się nad obszernym i wspaniale uargumentowanym referatem Wasila Kołarowa na temat sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, komentowaliśmy zasadnicze tezy referatu dotyczącego nowych zadań, nowego programu i organizacji partii, wygłoszonego przez Christo Kabakczijewa... Wszystkie przemówienia, referaty i wypowiedzi spotykały się z ogromnym zainteresowaniem, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że dzięki podjętym decyzjom I Zjazd zamyka jedną i otwiera następną epokę w życiu partii. Sprawozdanie KC i wystąpienie Błagojewa zostało przyjęte burzliwymi i długo nie milknącymi owacjami. Szczególny entuzjazm wzbudziły słowa, którymi uzasadnił on konieczność przemianowania partii, a które podaję, tak jak je zapamiętałem.

— Miano: partia socjaldemokratyczna — zostało już skompromitowane przez zdradę II Międzynarodówki — powiedział Błagojew. — Nasza partia będzie się więc nazywać komunistyczna, gdyż celem jej jest stworzenie bezklasowego społeczeństwa komunistycznego. Przejmując doświadczenia komunistów, partia nasza bez wątpienia zrealizuje wcześniej czy później ten najwyższy cel!

Były to słowa prorocze.

Następnie zjazd uchwalił deklarację programową partii, włączając do niej zasadniczo nowe tezy: zlikwidowanie kapitalizmu drogą powstania zbrojnego, wprowadzenie władzy rad ja-

ko formy dyktatury proletariatu oraz ogłoszenie naszej partii współzałożycielką i nierozłączną częścią III Międzynarodówki. Pod koniec obrad zjazd zaakceptował też wszystkie decyzje I Kongresu Międzynarodówki.

Zjazd podjął decyzję, by przy dotychczas istniejącym Komitecie Centralnym utworzyć radę złożoną z przedstawicieli wszystkich okręgów w kraju; powołano również komitety okręgowe, w których skład weszli członkowie komitetu miasta okręgowego oraz przedstawiciele partyjnych organizacji powiatowych, miejskich i wiejskich z całego okręgu.

W wolnych wnioskach Wasil Kołarow, sekretarz partii, zaproponował, aby wystosować do niestrudzonego twórcy i organizatora partii, współpracownika Błagojewa, Georgi Kirkowa-Mistrza, pismo z życzeniami zdrowia. Kirkow złożony ciężką chorobą nie mógł wziąć udziału w obradach, lecz przysłał pozdrowienia, których wszyscy delegaci wysłuchali ze wzruszeniem. Głęboko wstrząsnął nami fakt, że z szeregów może odejść jeden z najlepszych synów partii i narodu bułgarskiego, ten, który wraz z Błagojewem uczestniczył we wszystkich decydujących starciach klasowych i dzięki swemu bystremu umysłowi oraz niezwykłym umiejętnościom trafienia do słuchaczy ugruntował rolę naszej partii.

Zjazd zaaprobował wniosek Kołarowa.

Bolesna strata, która nastąpiła w trzy miesiące później, dotknęła zwłaszcza nas — komunistów pleweńskich. Kirkow pochodził z Plewen. Pleweńska organizacja komsomolska nosiła jego imię — i uważaliśmy go, słusznie czy niesłusznie, za naszego, choć za swego uważano go również w Sliwen, Perniku, Warnie, Burgas i wszędzie, bo Georgi Kirkow wszędzie rzucał, jak mądry, cierpliwy siewca, ziarno idei socjalistycznych, które już dawało plon. Toteż śmierć jego była stratą dla całej naszej partii.

Z Sofii wróciliśmy pełni radości. Decyzje I Zjazdu sprawiły, że zwycięstwo wydawało się bliskie. Osiągnięte już przez ko-

munistów rosyjskich, jak promień latarni morskiej wskazywało drogę rewolucjonistom całego świata.

Po zjeździe założycielskim okręgowe organizacje partyjne powstały wszędzie, a więc i w Plewen. Na sekretarza wybraliśmy Wasila Karawasilewa.

Był to wielki, ale zasłużony zaszczyt. Wasil, choć nie pochodził z Plewen (jako macedoński Bułgar przybył tu wraz ze swą rodziną po tragedii antytureckiego powstania w 1903 roku), tak się zżył z naszym miastem, że nikt nie pamiętał już nawet o tym. Był swój tak jak wszyscy tutaj. Wybór jego spotkał się z jednomyślną aprobatą całej organizacji.

Karawasilew cieszył się świetną opinią Komitetu Centralnego. Natychmiast po zamknięciu obrad zjazdu wezwano go na osobiste spotkanie z sekretarzem partii — Wasilem Kołarowem. Jak nam później powiedział, Komitet Centralny zarządził tworzenie okręgowych komisji kierujących nielegalną działalnością partyjną, której głównym celem ma być niezwłoczne rozpoczęcie zbrojeń.

— Przecież my w Plewen już to robimy! — wykrzyknęliśmy, słysząc te słowa. — A może Komitet Centralny będzie rozdzielał broń zakupioną ze środków partyjnych?

— Komitet nie posiada banku ani arsenałów. Z Sofii otrzymamy tylko informacje o niektórych tajnych rządowych składach broni. I dyrektywy. Wkrótce przyjadą do nas instruktorzy...

Niedługo po utworzeniu okręgowej organizacji pleweńskiej odbyło się zamknięte zebranie, któremu przewodniczył Karawasilew. Powołano na nim kierownictwo wojskowej organizacji partyjnej. Odpowiedzialnym za działalność wojskową na szczeblu okręgu został Asen Chałaczew, porucznik rezerwy z ostatniej wojny, człowiek o dużym wykształceniu, bojowy komunista cieszący się uznaniem całego pleweńskiego proletariatu. W skład miejskiego kierownictwa wojskowego weszli: Iwan Zonkow, wójt II komuny pleweńskiej, Ilija Kjuczukow-Czeladnik, Kosta Pyrwanow-Grubas i ja. Najbliższymi współpra-

cownikami kierownictwa wojskowej organizacji partyjnej stali się: Canka Kolewa i jej ojciec Kolio Wenkow, Atanas Kacamunski, Karlo Łukanow, najstarszy syn Todora Łukanowa, Cwetan Rajkow, Asen Iwanow Nanow, Drumi Uzunow, Iwan Angełow, Atanas Gyrkow, Christo Gradinarow, Atanas Linkow — metalowiec, Paweł Łambow — metalowiec, Georgi Pawłow-Goniu — stolarz, Cwetan Cwetanow i inni. Aktywnym współpracownikiem organizacji wojskowej był też sekretarz pleweńskiego Komsomołu Wasil Wyłczanow Dodew, lecz niezbyt długo, gdyż wyjechał studiować zagranicą, oraz Wasil Cakow Jotow, wówczas jeszcze bardzo młody sekretarz komsomolskiej komórki w gimnazjum pleweńskim. Obydwaj ci młodzi ludzie mieli później na emigracji stać się moimi cennymi współpracownikami w działalności wywiadowczej w Wiedniu i Pradze, a w dwadzieścia lat później, w sierpniu 1941 roku, na mój wniosek weszli w skład „podwodnej" grupy Cwiatko Radojnowa, która wróciła walczyć do kraju. Zginęli rozstrzelani w podziemiach Szkoły Oficerów Rezerwy.

Trzon organizacji wojskowej nadal stanowiły „piątki", ale po zjeździe założycielskim było ich już więcej niż cztery czy pięć, a w przeddzień przewrotu 9 czerwca liczba ich we wszystkich dzielnicach miasta wynosiła trzydzieści. Utworzyliśmy też „dziesiątki". Była to już poważna siła bojowa.

We wspomnieniach swoich mówię głównie o uzbrajaniu, ale nie znaczy to, że na nim kończyła się działalność partyjnej organizacji wojskowej. Przeciwnie. Oprócz ważnego zadania gromadzenia broni mieliśmy także obowiązek szybkiego wyszkolenia wojskowego członków partii — robiliśmy to przy każdej okazji: na wycieczkach, przy winobraniu itp. — zdobywania wiadomości o ukrytej broni państwowej i o nastrojach w koszarach oraz zjednywania sobie sympatyków wśród żołnierzy. Naszym zadaniem była również ochrona manifestacji pierwszomajowych, wieców, zebrań i spotkań oraz praca agitacyjna prowadząca do rozprzężenia w jednostkach wojskowych Wrangełowa i w ogóle wspomaganie działalności Związku Powrotu do Ojczyzny — także i w tej dziedzinie organizacja odniosła znaczne sukcesy.

Na czele tak partyjnej, jak i wojskowej działalności w okręgu pozostawał stale Wasil Karawasilew, którego los sprzągł się z losem organizacji pleweńskiej.

— A więc, bierzmy się do roboty! — tymi słowy otworzył on kolejne posiedzenie komisji wojskowej. — Wywiad nasz dostarczył już koniecznych informacji. Pozostaje rzecz najważniejsza: przystąpić do konfiskowania broni z kryjówek wojskowych. I sami musimy przygotować schowki. Pomyślmy więc już teraz — gdzie...

Propozycji było wiele — nad tym problemem wszyscy zastanawiali się już od dawna. Jedni proponowali schowki w swoich domach, przedstawiając dokładne plany urządzenia bezpiecznych kryjówek, inni — miejsca w winnicach u siebie lub u krewnych, jeszcze inni — w opuszczonych stodołach.

— Proponuję, abyśmy sprawdzili też możliwość ukrycia broni na Kajłyku — wtrącił Asen Chałaczew. — A poza tym nie zapomnijcie i o moim domu...

Natychmiast przystąpiliśmy do oględzin wszystkich zaproponowanych obiektów. Kajłyk przetrząsnęliśmy razem z Kostą „Grubasem". Obejrzeliśmy dokładnie cały labirynt naturalnych pieczar, bagna i rozlewiska nad małym strumieniem, uważnie przebadaliśmy dotknięte erozją masywy skalne po obu stronach doliny, obeszliśmy gaje akacjowe, krzewy bzu i gąszcza zarośli jeżynowych — istne wylęgarnie żmij. Tu, w miejscu naszych zabaw dziecinnych, natura ofiarowywała nam rozliczne kryjówki.

Naszkicowaliśmy mapę najodpowiedniejszych na schowki pieczar i szczelin skalnych i przekazaliśmy ją Karawasilewowi.

— Nie znaleźliście gdzie przypadkiem kryjówek wojskowych? — spytał.

— Ani jednej.

Właściwie natknęliśmy się na otwór wykopany w jednym z bocznych odgałęzień Wielkiej Pieczary (w pieczarze tej obecnie urządzono malowniczą restaurację „Peszterata"), ale i tam nic nie znaleźliśmy.

— To dziwne — rzekł jakby do siebie Wasil. — Dlaczego

właściwie wojskowi nie wykorzystali do swoich celów Kajłyku?

Rzeczywiście, dlaczego nie ukryli broni w pieczarach, tak wygodnych do tego z powodu licznych rozgałęzień, w których nie postała ludzka noga? Długo nad tym myśleliśmy, ale nie mogliśmy znaleźć żadnych przyczyn z wyjątkiem jednej: obawy przed zgubnym wpływem wilgoci.

To powstrzymało również i nas. Postanowiliśmy zostawić Kajłyk w rezerwie, jeśli zabraknie miejsca w innych kryjówkach.

Ale miejsca wystarczyło. Urządziliśmy łącznie sześć czy siedem (dokładnie nie pamiętam) schowków.

Pierwszy z nich zrobiliśmy u Canki Kolewej. Na tej małej posesji w IX dzielnicy, tuż przy parku Skobielewa, oprócz parterowego domku znajdował się na krańcu podwórza nieduży składzik. Jak w większości ówczesnych domów w Plewen przeznaczony był na węgiel, drzewo i zapasy zimowe. Aby urządzić schowek, wykopaliśmy w nim pod podłogą jamę półtorametrowej głębokości.

Robiliśmy to oczywiście nocą, a wykopaną ziemię rozsypywaliśmy w ogródku warzywnym pod nieobecność domowników, gdy wszyscy pracowali w winnicy. Kiedy pogoda się zepsuła i rodzina Canki nieoczekiwanie powróciła, nie przeszkodziło nam to, ponieważ wszyscy jej członkowie byli naszymi ludźmi. Ojciec, Kolio Wenkow, należał do partyjnej organizacji wojskowej, bracia, Boris i Wasil, uczestniczyli później wraz z nim w powstaniu 9 czerwca. A jeśli chodzi o matkę, to — co oczywiste — godna była swych odważnych dzieci i męża; dopóki kopaliśmy schowek, siedziała w ogródku i obserwowała ulicę, czy nie kręci się po niej jakiś podejrzany osobnik.

Podczas nocnej pracy staraliśmy się zachowywać jak najciszej, jednakże któregoś ranka sąsiadka zapytała Kolewą:

— Coście tam robili, że aż cały dom trząsł się w nocy?

Kolewa nic dotychczas nie ukrywała przed sąsiadką, toteż odpowiedziała niepewnie:

— Kolio rąbał drzewo. Jutro mam prać, a jego nie będzie, bo idzie do winnicy...

Nie byliśmy pewni, czy sąsiadka uwierzyła, przerwaliśmy więc kopanie. Zamierzaliśmy wprawdzie zrobić schowek głębszy i szerszy, ale rozsądek nakazywał zaprzestać pracy. Oszalowaliśmy jamę deskami i konopnymi workami, po czym nakryliśmy ją i zamaskowaliśmy ziemią.

Ale nigdy tam broni nie umieściliśmy, przechowywaliśmy tylko amunicję. Pamiętam, że było dwadzieścia jeden kasetek z kilkoma tysiącami nabojów karabinowych. Nie opakowywaliśmy ich dodatkowo, bo kasetki były fabryczne, metalowe, a poza tym ściany kryjówki miały oszalowanie z desek.

Niestety, naboje ukryte w domu Canki Kolewej nie posłużyły przeciwko wrogowi. W czasie powstania 9 czerwca, gdy broń była potrzebna, Canka siedziała w więzieniu, ja przebywałem w Związku Radzieckim, a nikt z bliskich Canki nie wiedział dokładnie, gdzie jest zakopany ten cenny ładunek. Kasetki z nabojami — nie zniszczone przez wilgoć — wydobyliśmy dopiero po wyzwoleniu w 1944 roku; obecnie część z nich umieszczona jest w pleweńskim Muzeum Ruchu Rewolucyjnego.

Drugą kryjówkę zrobiliśmy w winnicy należącej do Kolewów. Kolew, który na początku wojny był podoficerem, a w chwili jej zakończenia przeszedł w stopniu kapitana do rezerwy, miał w pobliżu parku Skobielewa winnicę wielkości około jednej trzeciej hektara i kawałek pola. W winnicy tej Kolio Wenkow, tak jak wszyscy prawie pleweńczanie, zbudował mały letni domek, aby w okresie winobrania można było przenocować na miejscu lub ukryć się przed nagłym deszczem. W wykopanej tam właśnie kryjówce chowaliśmy karabiny.

Nie było przeszkód, aby schowek urządzić również w piwnicy mojego domu. Wykonałem całą robotę szybko i niepostrzeżenie. Wiedziała o tym tylko moja starsza siostra, Marijka, choć przed ojcem także nie potrzebowałem się kryć; nie prowadził już ze mną sporów na tematy polityczne i milcząco ułatwiał mi działalność partyjną, mimo iż nie zdawał sobie sprawy, na czym ona w istocie polega.

W moim domowym schowku gromadziliśmy karabiny. Jak już wspomniałem, kilka ich paczek — każda po trzy sztuki —

starannie owiniętych płótnem i zabezpieczonych grubą warstwą smaru, umieściłem również za belkowaniem strychu.

Kryjówkę na karabiny zrobiliśmy też w winnicy Christo Wasilewa.

Wraz z postępującymi naprzód pracami przy urządzaniu tych składów przychodziły nam do głowy nowe pomysły. Pewnego dnia Christo Wasilew zaproponował, by schowek umieścić w budującym się właśnie domu Nikoły Totewa. Można to było zrobić w tajemnicy, bo Totew, z zawodu murarz, sam stawiał dom i ewentualni pomocnicy nikogo nie mogli zdziwić. Totew zgodził się — i w ten sposób w IX dzielnicy (przyszłej twierdzy powstania 9 czerwca) mieliśmy łącznie cztery kryjówki na broń i naboje.

Ledwie zakończyliśmy urządzanie schowka w domu Totewa, gdy jeszcze jeden z naszych towarzyszy, stolarz Ilija Karadżow, zaczął budować dom w III dzielnicy na parceli przy małej uliczce Chana Asparucha pod numerem 20. Bez chwili wahania wyraził zgodę, gdy zaproponowaliśmy mu urządzenie magazynu, gdzie mogłyby być przechowywane również i karabiny maszynowe.

Karadżow, zwykły robotnik, nie mógł sobie wprawdzie pozwolić na wybudowanie jakiegoś pałacu, ale i to, co zamierzał postawić — dwa pokoiki z kuchnią — było wystarczające dla naszych celów. Wraz z Wasilem Karawasilewem i Asenem Chałaczewem zastanawialiśmy się przez czas dłuższy, gdzie by umieścić ową kryjówkę. Ślęczeliśmy nad planem domu, obliczaliśmy rozmiary każdego z pomieszczeń, rozważając jego strony dodatnie i braki. Wreszcie wybraliśmy przeznaczoną na pokój gościnny izbę od strony ulicy.

— W prowincjonalnym domu pokój gościnny jest najrzadziej odwiedzanym pomieszczeniem — powiedział Chałaczew. — A więc najlepiej pod nim...

Tak też zrobiliśmy.

Szybko zaczęliśmy i szybko skończyliśmy. Podczas gdy Karadżow wznosił ściany, my z Asenem Nanowem kopaliśmy pod

przyszłym pokojem gościnnym pomieszczenie o rozmiarach dwa na trzy metry i głębokości wzrostu człowieka. Przypadkowy przechodzień nie mógł dopatrzyć się w tym niczego podejrzanego wobec wyjaśnienia, że kopiemy piwnicę. Na wszelki wypadek jednak Ilija wysłał rodziców i młodszego brata do winnicy, bo im mniej świadków, tym lepiej.

Prawdziwą piwnicę wykopaliśmy pod pokojem, sąsiadującym z gościnnym. W ścianie oddzielającej od niej schowek zostawiliśmy mały otwór — blisko czterdzieści na czterdzieści centymetrów — i zamaskowaliśmy go półkami, na których Karadżow natychmiast ułożył przeróżne jarzyny i postawił słoiki z przetworami na zimę. Część półek, zasłaniająca wejście do kryjówki, była ruchoma.

Wszystko wykonaliśmy w ciągu piętnastu dni, nim Karadżow zdążył otynkować ściany swego nowego domu. W robocie „górniczej" pomagali mi Asen i Karadżow, ale część stolarską, to znaczy półki, zrobiłem sam po kryjomu w naszym warsztacie.

Gdy wszystko było gotowe, zaprosiłem Karawasilewa, by obejrzał nasze dzieło.

Wprowadziwszy go do piwnicy domu Karadżowa, powiedziałem:

— Wiesz, z której strony jest kryjówka, spróbuj więc znaleźć wejście.

Spojrzał na mnie z uśmiechem i zaczął szukać. Szukał długo i bezskutecznie. O wejściu nie rozmawialiśmy przedtem, ten problem sam rozwiązałem, toteż Wasko wzruszył wreszcie bezradnie ramionami. Ale niepowodzenie mogło go tylko cieszyć i rzeczywiście widziałem zadowolenie malujące się na jego twarzy.

Odsunąłem zasuwkę, która mocno przytrzymywała ruchome półki w całości konstrukcji, i odchyliłem część regału razem ze słoikami. Wejście stało otworem i bez trudu wśliznęliśmy się do środka. Zapaliłem świeczkę i w jej chybotliwym blasku Karawasilew obejrzał kryjówkę.

— Ależ tu nie tylko karabiny maszynowe, ale i działa można by schować! — wykrzyknął.

W schowku tym zmagazynowaliśmy karabiny, naboje i dwa ciężkie karabiny maszynowe. Maszynowe! Ileż warta jest ta broń w czasie rewolucji! Dowódca naszego plutonu, Aleksander Aleksandrow, oficer rezerwy, nauczyciel gimnastyki w gimnazjum i instruktor sportowy „Spartaka", smarował je regularnie, aby, gdy zajdzie potrzeba, działały dobrze. Niestety, żaden z nich nie wszedł do akcji; w czasie powstania 9 czerwca miejsce zostało zdradzone, magazyn wykryty i władze zabrały broń.

Równocześnie z urządzaniem naszych schowków rozpoczęliśmy „ekspropriację" broni z tajnych magazynów wojskowych. W ciągu paru tygodni zdołaliśmy zabrać z nich około stu karabinów różnych rodzajów, tysiące nabojów, setki granatów, osiem ciężkich karabinów maszynowych wraz z dziesiątkami taśm z nabojami.

Dwa z tych karabinów zabraliśmy z magazynu mieszczącego się w domu pułkownika Christowa, dokąd zawiodły nas wozy, które śledziliśmy przedtem z Canką. Po krótkiej naradzie z Karawasilewem uzgodniliśmy plan działania, oparty na tym, że dowódca pułku piechoty miał młodą, lubiącą się stroić żonę, która często coś sobie szyła u modnego krawca, naszego towarzysza, Genko Taczewa. Postanowiliśmy działać nie nocą, a w ciągu dnia, w czasie gdy krawiec robił przymiarkę pani pułkownikowej. Miał przeciągać to, jak mógł najdłużej.

Gdy więc pani pułkownikowa ubrana w nowe stroje z zadowoleniem przeglądała się w lustrze, my uważnie badaliśmy piwnicę, co wkrótce zostało uwieńczone rezultatem. Za ogromnymi beczkami z kiszoną kapustą pod stosem starych rzeczy znaleźliśmy dwie ciężkie skrzynie z poszukiwaną bronią. Karabiny były rozebrane na części, ale starannie naoliwione, wraz z wszystkimi częściami, zamkami, zapasowymi taśmami itd.

Wynieśliśmy je cichutko i załadowaliśmy na wóz, z którym czekał Pyrwan Marinow w pobliżu wejścia od ulicy. Następnie przykryliśmy broń zakupionymi na rynku strąkami czerwonej papryki i odwieźliśmy ją do VIII dzielnicy, do domu Malty

Gyłybowej. Malta jak i Canka była nauczycielką całą duszą oddaną sprawie. Ukryła niebezpieczny ładunek w piwnicy swego domu, skąd po tygodniu przetransportowaliśmy go do kryjówki u Karadżowa. Robotę wykonaliśmy cicho, nie pozostawiając za sobą śladów. Triumfowaliśmy.

Ledwie ochłonęliśmy po pierwszym sukcesie, a już Karawasilew postawił przed nami nowe zadanie. Towarzysze z naddunajskiej wsi Muselijewo zawiadomili go, że znaleźli w pobliżu miejsce z ukrytą bronią i zdołali stamtąd wynieść kilka karabinów maszynowych. Prosili o przysłanie ludzi, którzy by zabrali je do Plewen.

— Ruszajcie, chłopcy, i — powodzenia! — powiedział Wasil do mnie i Kosty Pyrwanowa.

Udaliśmy się więc pewnego wieczoru wczesną jesienią na wskazane miejsce.

Również i teraz pomagał nam Pyrwan Marinow. Ale tym razem zaprzągł do swego wozu inne konie, duże i silne, specjalnie pożyczone do tego celu. W ciągu jednej nocy mieliśmy odbyć drogę tam i z powrotem; własne koniki Pyrwana nie dałyby rady.

Do Muselijewa leżącego jakieś trzydzieści kilometrów od Plewen przybyliśmy tuż przed północą. Pyrwan zdrowo poganiał i wóz mocno turkotał w ciszy nocnej. Spieszyliśmy się z pustym wozem, aby z pełnym wracać stępa, bo wtedy trzeba będzie jechać cicho, nie zwracając niczyjej uwagi.

We wsi czekał na nas odpowiedzialny za miejscową „piątkę" partyjną — Petko Łaczew. Karawasilew uprzedził go, kiedy i o której godzinie przyjedziemy. Petko, młody, zdrowy mężczyzna, zajął się końmi. Dawszy im wody, uwiązał je przy żłobie, by odpoczęły i podjadły. Potem i nas posadził przy stole.

— Przekąście, towarzysze. Człowiek głodny i spragniony do niczego się nie nadaje — uśmiechnął się i podsunął nam suchą kiełbasę, jajka na twardo oraz dzbanek wina. — Kawał drogi się tłukliście i jeszcze podróż przed wami...

Podczas posiłku opowiedział pokrótce o dokonanej „operacji". Blisko wsi, tuż nad brzegiem Dunaju, w jakichś starych, na pół zniszczonych umocnieniach wojskowi schowali karabiny

zwykłe i maszynowe. Aby nie wzbudzić podejrzeń, pozostawili w Muselijewie nie bułgarskiego żołnierza, tylko jakiegoś białogwardzistę. Ten jednakże okazał się uczciwym Rosjaninem uprowadzonym swego czasu przez oddziały Denikina, toteż wkrótce po przybyciu do Muselijewa, poznawszy miejscowych ludzi, sam poszukał kontaktu z organizacją partyjną i nawiązawszy go ułatwił zabranie czterech karabinów maszynowych z tajnego magazynu, po czym ponownie go zamknął i starannie zamaskował.

— Karabiny zupełnie nowe! Z zamkami i wszystkimi częściami! I do każdego po dziesięć taśm — cały majątek! — oczy Petka błyszczały, gdy to mówił.

Wypiliśmy za pomyślność naszej przyszłej rewolucji socjalistycznej, załadowaliśmy broń i zaczęliśmy się zbierać w powrotną drogę. Petko przykrył skrzynki łuskaną kukurydzą, która lśniła w mroku nocnym jak stare złoto.

Pożegnaliśmy się serdecznie i pojechaliśmy.

(Z Petko Łaczewem miałem się spotkać wiele lat później, ale nie w Muselijewie ani w Plewen, a w Moskwie. Był to rok 1933. Za zgodą Pawła Iwanowicza Berzina wysłałem do Petka tajnym kanałem partyjnym list z zaproszeniem, by przyjechał do mnie do Moskwy, i pieniądze na drogę. Petko przybył do Moskwy dopiero za kilka miesięcy, jechał bowiem przez Pragę, Berlin i Warszawę dla zmylenia śladów. Cieszył się niewypowiedzianie, że może oddychać powietrzem pierwszego w świecie socjalistycznego państwa. Pozostał w Związku Radzieckim przez cztery miesiące, ukończył tu odpowiednią szkołę i powrócił do kraju tą samą drogą, którą przyjechał. Po wyzwoleniu, gdy i ja po dziesięcioleciach służby dla rewolucji na wielu południkach kuli ziemskiej znalazłem się w ojczyźnie, chciałem odszukać Petka. Niestety, nie spotkaliśmy się już; w latach antyfaszystowskiego oporu zginął jako partyzant śmiercią bohatera).

Broń otrzymaliśmy również w pleweńskiej wsi Jasen, gdzie istniała silna komórka partyjna. Jej założyciel i sekretarz, ostrzelany w buntach na froncie i w powstaniu żołnierskim Georgi Conew-Doktor, zameldował Asenowi Chałaczewowi, że

wojskowi ukryli broń w obelisku pomnika, wzniesionego we wsi ku czci poległych za wolność Bułgarii żołnierzy rosyjskich... Trzeba przyznać, że wykazali pomysłowość, ale też i brak czujności; nasi wszystko wypatrzyli i pewnej ciemnej nocy lwia część karabinów z tego schowka została przerzucona do pleweńskich kryjówek.

5. Pomoc dla radzieckiej Rosji

Któregoś wiosennego wieczoru w 1920 roku Wasil Karawasilew po zebraniu partyjnym powiedział do mnie szeptem:

— Przyjechał towarzysz z Sofii. Nowe zadania! Przyjdź do mnie do domu koło dwunastej i uważaj, żeby cię nikt nie widział.

O północy zastukałem w umówiony sposób do okna (Wasil mieszkał w VII dzielnicy); w domu oprócz gospodarza i Asena Chałaczewa przebywał jeszcze ktoś trzeci. Od razu go poznałem: był to Anton Nediałkow, członek Centralnej Komisji Wojskowej, który już przedtem przyjeżdżał do Plewen. Tym razem przybył nie po to, aby sprawdzić, jak nam idzie robota, lecz aby się zapoznać z doświadczeniami pleweńskiej organizacji wojskowej. Przekazał nam też niepokojącą informację: zgodnie z zarządzeniem sojuszniczej komisji kontrolnej nasz rząd zaczął wysyłać broń dla białogwardzistów Denikina i Wrangla. Ładunki w zaplombowanych wagonach szły południową i północną magistralą kolejową. Komitet Centralny polecał konfiskować broń z tych transportów, aby przyczynić się do pokrzyżowania kontrrewolucyjnych planów białogwardzistów, a jednocześnie uzupełnić uzbrojenie naszej partii.

— Akcję trzeba zacząć natychmiast — powiedział Nediałkow. — Wywiad partyjny doniósł nam, że z portów w Warnie i Burgas odpłynęło już kilka okrętów z bronią...

Wyjaśnił następnie, że nie ma w tym winy rządu Stambolijskiego; wspierał on białogwardzistów wbrew swojej woli, jeszcze w 1918 roku bowiem koalicyjny rząd Todorowa podpi-

sał ze zwycięskimi państwami tajną umowę na dostarczenie dwudziestu tysięcy karabinów dla armii Denikina. Karabiny owe wraz z amunicją załadowano wiosną 1919 roku na statki „Ararat", „Bentau" i „Boris", które z Warny odpłynęły w kierunku Krymu. Pod koniec tego samego roku odpłynęły na Krym dwa dalsze statki, zabierając około czterdziestu pięciu tysięcy karabinów, a w styczniu 1920 roku wywieziono tamże jeszcze pięćdziesiąt tysięcy karabinów i około pięćdziesięciu milionów nabojów. W jednym z ostatnich swych rejsów „Boris" przewoził na Krym haubice górskie i polowe oraz amunicję.

— Trwa to do tej pory — mówił Nediałkow. — Według naszych informacji statki „Boris" i „Kirił" kursują wciąż między Warną a Krymem. Wywieziono już niemal całą prochownię 2 pułku iskyrskiego, 11 sliwenskiego, 10 rodopskiego, 5 batalionu...

— To znaczy, że i broni z koszar pleweńskich nie wywozi się po to, by ją zniszczyć, jak zapewnia komisja! — wykrzyknęli Chałaczew i Karawasilew.

— Przeznacza się ją do zabijania robotników i chłopów rosyjskich... Ale robi się to w absolutnej tajemnicy. Na dokumentach frachtowych wypisuje się fałszywe dane. Fałszuje się też kolejowe listy przewozowe. Część broni, której załadunku nie otoczono tajemnicą, miała rzekomo zostać zatopiona na otwartym morzu... Jednak wywiad partyjny przy pomocy tragarzy portowych w Warnie i Burgas wybadał, co się święci...

Anton Nediałkow odjechał tak samo cicho, jak przybył.

Zadanie, jakie otrzymaliśmy, stało się dla pleweńskiej organizacji partyjnej próbą umiejętności działania.

Anton Nediałkow przed przyjazdem do Plewen odwiedził Czerwony Brzeg, bo istniały tam lepsze warunki do tajnego konfiskowania broni — przy stacji Humata pociągi zwykle ledwie się wloką pod górę i przeprowadzenie takiej operacji jest łatwiejsze — ale nie było tam jeszcze komórki partyjnej, dostatecznie silnej do podjęcia tak ważnej akcji.

— Komitet okręgowy zlecił to zadanie twojej „piątce" — powiedział do mnie Wasil Karawasilew po spotkaniu z członkiem Centralnej Komisji Wojskowej. — Pomyślcie nad tym i jak najszybciej przedstawcie plan działania... I jeszcze jedno — dorzucił. — Pomoże wam nasz towarzysz, kolejarz z pleweńskiego dworca. On poinformuje dokładnie, kiedy, jakimi pociągami i w których konkretnie wagonach będzie przewożona broń... Ma się rozumieć, trzeba też urządzić nowe kryjówki...

W skład mojej „piątki" wchodzili wówczas Kosta Pyrwanow, Ilija Kjuczukow-Czeladnik, Asen Iwanow Nanow, Christo Zgalewski i ja. Oczy im się zaświeciły, gdy powiedziałem o nowym zadaniu. Spodziewałem się tego, ale ogarnęła mnie wdzięczność; cóż może być cenniejszego od przyjaciół, na których zawsze można liczyć!

Plan opracowaliśmy w ciągu trzech dni. Omówiliśmy wszystko i obejrzeliśmy teren: zbadaliśmy linię kolejową na odcinku około trzydziestu kilometrów przed i za dworcem w Plewen. Obliczyliśmy pojemność gotowych kryjówek i wybraliśmy w przydrożnych krzakach miejsce na tymczasowy schowek. Postaraliśmy się również o niezbędne narzędzia.

— Przygotowałem meldunek — szepnąłem Karawasilewowi trzeciej nocy, kiedy otworzył mi drzwi na umówione pukanie.

— W samą porę, Wanko. Otrzymaliśmy właśnie z Sofii informacje o wysyłce broni. Pojutrze w nocy (tu wymienił dokładną datę i godzinę) pociąg zatrzyma się na chwilę na dworcu w Plewen, a potem wyruszy do Warny... A teraz mów!

— A więc — zacząłem — będziemy czekać na spadzistym zboczu za stacją Griwica. Od momentu, gdy pociąg wyruszy stamtąd, do chwili, gdy osiągnąwszy wyżynę dzielącą go od Pordimu zacznie przyspieszać biegu, mamy do dyspozycji prawie piętnaście minut. Przez ten czas rozplombujemy wagony i wyrzucimy skrzynki z bronią w zarośla ciągnące się wzdłuż nasypu kolejowego. Tam, w miejscu dokładnie określonym, będą na nas czekać ludzie z wozem. Broń ukryjemy chwilowo w niedostępnym gąszczu blisko torów i będziemy ją wywozić po trochu...

— W porządku! — Karawasilew kiwnął z aprobatą głową. — Tylko czy taka nocna jazda tam i z powrotem między Plewen i Griwicą nie zwróci niczyjej uwagi? A może zamierzacie schować broń na Kajłyku?

— Ani w Plewen, ani na Kajłyku. Pewnie, że takie jeżdżenie mogłoby wzbudzić podejrzenia. Broń postanowiliśmy schować w Pordimie.

— W Pordimie! — wykrzyknął Karawasilew. — Niezła myśl! Mieszka tam nasz człowiek, na którym w pełni możemy polegać. Zobaczymy, co się do zrobić!

Następnego dnia wybraliśmy się razem z Karawasilewem do Pordimu. Jest to trzecia wieś, za Griwicą i Zgalewem, leżąca wzdłuż linii kolejowej między Plewen a stacją Lewski. Duża, bogata, otoczona rozległymi winnicami. Bogatą ma też historię. Podczas oblężenia Plewen w czasie wojny wyzwoleńczej mieściła się tu rosyjska kwatera główna oraz sztab rumuńskiego króla Karola. Te dwa domy, które stary Stojan Zaimow przekształcił w muzea, stanowiły nie tylko ozdobę wsi, ale i dumę jej mieszkańców. Po katastrofie wojennej w 1918 roku w Pordimie powstała silna organizacja partyjna. Na jej czele stanął Iwan Bożinow, nauczyciel miejscowej szkoły, człowiek na owe czasy wykształcony i cieszący się ogromnym prestiżem w całej wsi. Był nawet sołtysem. Właśnie do niego skierował się Wasil.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Bożinow, mężczyzna liczący sobie wówczas lat około trzydziestu, przyjął nas serdecznie, z gotowością spełnienia partyjnego zadania.

Przesiedzieliśmy w Pordimie do wieczora, a gdy się ściemniło, wozem Bożinowa udaliśmy się na miejsce przy torach, gdzie według planu mieliśmy zrzucać, ładować i wywozić broń. Było to z dziesięć kilometrów od wsi — bagatelka dla silnych koni Bożinowa.

Obejrzeliśmy jeszcze raz tymczasową kryjówkę w przydrożnym gąszczu i sprawdziliśmy z zegarkiem w ręku, ile czasu trwa jazda wozem do Pordimu i z powrotem...

Żegnając się pod Plewen, dokąd odwiózł nas Bożinow, umówiliśmy się na spotkanie następnej nocy. Bożinow miał zwer-

bować do pomocy kogoś z pordimskiej organizacji partyjnej oraz przygotować we wsi schowki na broń.

— Nie zadawajcie sobie trudu z solidnym ich wykonaniem — powiedział na pożegnanie Karawasilew. — Broń poleży tam najwyżej miesiąc...

Zdziwiłem się. Na razie milczałem, lecz gdy Bożinow odjechał, spytałem Wasila, dlaczego tak krótko. Czy przerzucimy ją do Plewen?

— Nie — odrzekł. — Ta broń w ogóle nie przejdzie przez Plewen. Część wyślemy do Łowecza, Trojanu, Sewlijewa, Swisztowu i Czerwonego Brzegu, reszta pozostanie do dyspozycji Komitetu Centralnego. Będziemy nią uzbrajać inne organizacje okręgowe.

„Skoro broń mamy przekazywać innym — pomyślałem — to Komitet Centralny pewnie sądzi, że organizacja z Plewen już dosyć zmagazynowała w swoich kryjówkach". Dosyć? Wiedziałem o każdym karabinie, każdym granacie i każdej skrzynce nabojów, schowanych w mieście i w winnicach, cieszyłem się nimi jak drogocennym skarbem, a ilość ich ciągle wydawała mi się niewystarczająca (jak skąpcowi ilość pieniędzy). Sądziłem, że jest ich mało, za mało. Że jutro, gdy i my rozpoczniemy rewolucję, żołnierze nasi zostaną bez karabinów, bez granatów, bez nabojów...

Zbliżała się północ, ciemno było choć oko wykol, ale obydwaj z Kostą „Grubasem" coraz częściej zwracaliśmy głowy w stronę, z której powinien się był ukazać księżyc. Czy aby pociąg zdąży, nim księżyc wzejdzie? Przecież to ogromnie ważne, żeby tej pierwszej nocy wszystko się udało!

Staliśmy pod kępą akacji, jakieś dziesięć kroków od torów, cali obróceni w słuch. Oczekiwaliśmy na gwizd lokomotywy. Zbliżając się do Griwicy, parowóz zwykle gwiżdże przeciągle, jakby nabierał sił do pokonania zbocza. Nasłuchiwaliśmy więc i wpatrywaliśmy się w majaczącą blado tarczę kieszonkowego zegarka Kosty.

Strzałka sekundnika dokonuje ponownego okrążenia wokół

swojej osi; według rozkładu jazdy pociąg powinien już nadejść, a tu — jak nie ma, tak nie ma. Przelatują nam przez głowę niespokojne myśli:

„A może wsypa? Może władze coś przewąchały, aresztowały kolejarza, a ten wszystko wydał? Ale to pewny człowiek. Karawasilew ma o nim jak najlepsze zdanie i nawet dziwi się, że wyszedł obronną ręką ze strajku kolejarzy, w którym brał aktywny udział! A może jednak?"

Kolejarz podał Wasilowi dzień i godzinę nadejścia pociągu, jak również numery trzech wagonów, które miały być doczepione między dziesiątką innych identycznych, by nie zwracały niczyjej uwagi. Dane te przekazali z Sofii nasi ludzie; pracownicy stacji w Plewen, maszyniści i palacze w ogóle nie wiedzieli, co się przewozi ze stolicy nad morze. Świadomi tego byli tylko jadący na początku i na końcu składu dwaj hamulcowi, ludzie więcej niż pewni; o to postarała się już organizacja partyjna w Sofii.

Pociągu ani widu, ani słychu, a księżyc już rozjaśnia wschodni kraniec nieba. Zacisnąłem zęby. Najpierw spóźnienie pociągu, a teraz to... Księżyc za parę minut zrobi z nocy jasny dzień!

I gdy już w myślach decydowałem, że trzeba zrezygnować i co prędzej uciekać z tego miejsca, rozległ się gwizd parowozu.

— Kosta, jedzie, jedzie, jedzie! — omal nie wrzasnąłem, błogosławiąc w duchu dobrego towarzysza, owego kolejarza, którego przed chwilą podejrzewałem bezpodstawnie.

Nastawiliśmy uszu. Sapanie lokomotywy dobiegało coraz wyraźniej. Za pięć minut pociąg dotrze do Griwicy, znowu zagwiżdże — i wtedy zobaczymy światła. W jednej ręce ściskałem stalowe obcęgi, w drugiej ołowiane plomby, które po zabraniu broni miały nam posłużyć do ponownego zaplombowania wagonów; obcęgi i plomby dał nam właśnie ów kolejarz...

Dwoje gorejących, żółtych oczu zaświeciło w mroku od strony Griwicy i w chwilę potem znów doleciał do nas gwizd lokomotywy. Ciężko sapiąc, buchając obłokami pary i dymu, minęła powoli griwicką stację, by zacząć się wspinać pod górę,

coraz wolniej i wolniej. Oto zrównała się już z nami. Wyraźnie widzieliśmy maszynistę, a przy nim palacza z nagim torsem szufla po szufli rzucającego węgiel w rozwartą paszczę pieca. Widzieliśmy ich, lecz sami wśród pni kwitnących akacji byliśmy niewidoczni.

Parowóz przejechał i teraz mijały nas powoli wagony towarowe — skład był długi — niektóre szły chyba puste po ładunek do warneńskiego portu. Na lory w ogóle nie zwracaliśmy uwagi, interesowały nas tylko wagony kryte. Gdy parowóz nieco się oddalił, wyszliśmy z ukrycia, zbliżając się do torów, by nie przegapić właściwych.

Są! Te same! Z numerami podanymi przez zaufanego kolejarza, zaplombowane — i tak jak przypuszczaliśmy, bez żadnych znaków szczególnych.

— Kosta, ja do pierwszego, ty do drugiego! — zawołałem cicho poprzez zgrzyt kół toczących się po szynach.

Dalej wszystko odbyło się tak, jak zaplanowaliśmy.

Wskoczyłem na stopień i jedną ręką trzymając się uchwytu, drugą manipulowałem obcęgami. W parę sekund wagon był rozpieczętowany. Wsunąłem obcęgi do kieszeni i nacisnąłem drzwi. Były dwuskrzydłowe, ciężkie — i otwarcie ich przynajmniej na tyle, bym się mógł wśliznąć do środka, wymagało ogromnego wysiłku. Wchodząc, obejrzałem się. Kosta, widząc to, przyjaźnie pomachał mi ręką.

Najpierw odsunąłem do końca drzwi, co poszło już łatwo. Blask księżyca rozjaśnił wnętrze wagonu, ale niedostatecznie. W smudze światła elektrycznej latarki obejrzałem wszystkie kąty. Wagon niemal do sufitu wypełniały drewniane skrzynki, ustawione porządnie jedna na drugiej. Było ich kilka rodzajów, różniły się wielkością. Nie miały żadnych znaków. Mogły zawierać cokolwiek bądź i bez uprzedzenia nikt by nie odgadł, co się w nich naprawdę znajduje.

Dźwignąłem jedną z mniejszych — płaską, wąską i długą. „Karabiny" — pomyślałem. — Dźwignąłem drugą — większą i cięższą. „Karabiny maszynowe albo granaty" — zdecydowałem i sięgnąłem po trzecią, wielkości artyleryjskiego jaszczyka. Chociaż byłem bardzo silny, to jednak nie udało mi się

jej nawet poruszyć. „Z pewnością miotacze min albo lekkie działa polowe" — myślałem z żalem, bo ta broń miała się dostać w łapy białogwardzistów!... Zabrałem się do roboty. Wyciągałem lżejsze skrzynki z głębi wagonu i szykując je do wyrzucenia kładłem przy samych drzwiach. Z trudem przygotowałem trzy i zadyszany wyjrzałem na zewnątrz. Lokomotywa sapała, wspinając się wolno pod górę w kierunku Zgalewa. Chyba sto, może dwieście metrów dzieliło ją od małego lasku, gdzie czekali nasi ludzie. Trzeba się było spieszyć.

Rozejrzałem się. Uderzył mnie majestat księżycowej nocy; była spokojna i cicha. Zeskoczyłem na nasyp, obok mnie przesunął się wagon, w którym Kosta przygotował już, co trzeba. Gdy zbliżył się następny, wskoczyłem na stopień i powtórzyłem całą operację. Teraz wszystko szło mi już łatwiej. I tutaj były takie same skrzynki, tak samo porządnie ułożone aż do sufitu. Znów przysunąłem do drzwi dwie czy trzy, zeskoczyłem na nasyp i dopędziłem swój pierwszy wagon. Gdy znalazłem się w środku, pociąg zbliżał się właśnie do lasku. Nie dojrzałem nikogo z naszych, ale byłem pewny, że są tam na dole i czekają.

Wytężając całą siłę mięśni, zacząłem podnosić skrzynki i rzucać je z takim rozmachem, by upadły poza nasyp. Jedna, druga, trzecia...

W trzecim wagonie pomógł mi to zrobić Kosta, który uporał się już ze swoim.

Gdy wyrzuciliśmy skrzynki, zaczęliśmy z powrotem plombować wagony. Było to trudniejsze niż rozpieczętowanie, ale jakoś poszło. Zaufany kolejarz powiedział nam, jak wykonać to szybko i dobrze.

Następnie zeskoczyliśmy ze stopni i czekaliśmy, aż pociąg przejedzie. W budce ostatniego wagonu dojrzeliśmy nieruchomą postać hamulcowego, nieznanego, lecz niezawodnego współuczestnika naszej akcji. Czerwona latarnia zawieszona z tyłu pociągu kołysała się lekko i powoli nikła w ciemnościach.

Udało się! Odetchnęliśmy i dopiero teraz poczuliśmy ogromne zmęczenie. Nie było jednak czasu na odpoczynek. Rozglądając się, pospieszyliśmy tam, gdzie czekali na nas towarzysze.

Byli na umówionym miejscu i nie tracili czasu, część skrzynek przenieśli już w krzaki. Pomogliśmy im przenieść resztę. Przy robocie uwijało się trzech pozostałych ludzi z mojej „piątki" — Ilija Kjuczukow, Asen Iwanow Nanow i Christo Zgalewski, a także dwóch mężczyzn z Pordimu. Jednego z nich, Iwana Bożinowa, znałem.

Gdy cały ładunek — w sumie z dziesięć skrzynek — znalazł się już w prowizorycznej kryjówce, Bożinow poszedł po wóz, ten sam, którym już jechaliśmy. I konie były te same. Aby nie parskały i nie rżały, Bożinow przewiązał im pyski. Przepaski miał zdjąć dopiero, gdy wóz wyjedzie na drogę i skieruje się do wsi.

Z zadowoleniem myślałem, że poważna robota wykonywana wspólnie z energicznymi i przewidującymi ludźmi daje wiele satysfakcji. „Skoro pomyślał o tym, by konie były cicho — rozważałem — z pewnością przygotował też dobre kryjówki. A jeśli wszystko będzie szło dalej równie bezbłędnie, to Pordim wkrótce stanie się naszą niezwyciężoną placówką..."

Załadowaliśmy na wóz część skrzynek, a Bożinow przykrył je starannie starymi workami i liśćmi kukurydzy. Cicho ruszył w drogę. Pojechał ze swoim ziomkiem z Pordimu. Obaj byli uzbrojeni.

Wrócili niemal dokładnie według naszych przewidywań. Bożinow trzymał się ściśle „rozkładu jazdy". Powtórnie naładowaliśmy wóz i znowu obaj pojechali do wsi. Raz jeszcze powtórzyliśmy wyprawę, ale zaczęło świtać, więc resztę skrzynek zostawiliśmy w gąszczu, starannie je zamaskowawszy. Dwaj moi ludzie pełnili straż nie opodal kryjówki. Mieli pistolety, ale wolno im było je użyć tylko w ostateczności. Na nic by się nie zdała cała robota, gdyby w tym miejscu doszło do jakiegoś incydentu.

Przed odjazdem otworzyliśmy kilka skrzynek. Płaskie i długie istotnie zawierały karabiny. Były to manlichery w fabrycznym opakowaniu, naoliwione i zupełnie nowe, zdolne podbić każde męskie serce. Troskliwie ułożone po dziesięć sztuk

w każdej skrzynce, połyskiwały matowo w świetle księżyca. Druga skrzynka zawierała pistolety różnych marek, stare, ale zdatne do użytku. W trzeciej były granaty. Nie natrafiliśmy na karabiny maszynowe ani naboje, ale i tak zdobyliśmy — jak na pierwszy raz — dużo. Zdawaliśmy sobie sprawę, że akcja dopiero się zaczyna...

— Rozkaz wykonany, Wasko! — zameldowałem po żołniersku Karawasilewowi. — Obliczenia nasze wskazują, że wyrwaliśmy z łap Wrangla z pięćdziesiąt karabinów, trzydzieści pistoletów i chyba sto granatów!

— Wspaniale, Wanko! — Karawasilew uściskał mnie mocno, po męsku, a oczy jego zapłonęły radością.

Chciał wiedzieć, jak nam poszło, więc opowiedziałem mu dokładnie o akcji, która od początku do końca przebiegła zgodnie z planem, wyraziłem podziw dla ścisłości informacji kolejarza i pochwaliłem nienaganną robotę Bożinowa oraz reszty. Karawasilew widział moje zadowolenie z wykonanego zadania, ale zorientował się, że coś mnie jeszcze gnębi.

— No, co tam? — zmrużył oczy. — Nie cieszysz się, że akcja się udała?

— Cieszę się, Wasko — potrząsnąłem głową. — Sam wiesz, jak zawsze się cieszyłem z dwóch czy trzech karabinów zdobytych ze schowków wojskowych, a cóż dopiero z kilkudziesięciu...

— Więc?... — zdziwił się Karawasilew szczerze.

— Tak sobie myślę... Zabraliśmy część broni. Ale reszta jedzie dalej, do portu...

Karawasilew nie odpowiedział. Jego wyrazista twarz posmutniała i wyczułem, że ogarniają go niespokojne myśli, które podzielałem.

Wreszcie przerwał milczenie:

— Ta broń nie uratuje białych, Wanko, tego jestem pewien! Nie pomogą im też interwenci. Lud, który zakosztował wolności, nie pozwoli się na powrót uciemiężyć nigdy i nikomu. Ani carowi, ani kniaziom, ani obszarnikom... Wierzę

w partię i naród Lenina... I mnie jest ciężko — ciągnął — że z tej broni będzie się strzelać do naszych. Ale dlatego właśnie Komitet Centralny kazał ją konfiskować! Tak, w tej chwili tylko jej cząstkę... Lecz cóż począć, skoro więcej nie możemy na razie zabrać. Mamy przeciwko sobie nie tylko własny aparat państwowy, ale przede wszystkim ententę. Dzieje się to z jej woli. Stambolijski jest przyjacielem radzieckiej Rosji, nie wysłałby Wranglowi i Denikinowi nawet złamanego karabinu. Jednakże broń pokonanej Bułgarii należy do mocarstw zachodnich...

— Mimo wszystko, Wasko, wydaje mi się, że moglibyśmy więcej...

— Będziemy mogli, zgadzam się. Urządzimy nowe kryjówki, zmobilizujemy nowe „piątki"...

— Mam na myśli co innego, Wasko — przerwałem mu. — Co byś powiedział, gdybyśmy spróbowali w ogóle przeszkodzić temu, by pociągi przewoziły broń?

— Nie rozumiem...

— Co byś powiedział, gdyby tak zerwać tory? Wysadzić je!

Ta myśl przyszła mi do głowy dziś rano, gdy po akcji wracaliśmy z Kostą Pyrwanowem i Christo Zgalewskim. Nic im nie powiedziałem, chciałem bowiem najpierw omówić z Karawasilewem celowość takiego przedsięwzięcia. Czytałem i słyszałem o wysadzaniu torów, ale nie wiedziałem, jak się właściwie taką rzecz robi.

— Myślę, że moglibyśmy nie tylko zerwać tory — zreperują je za parę dni — trzeba wysadzić w powietrze most. Na przykład na rzece Wit koło fabryki cementu...

Most ten, długi i cały skonstruowany z żelaza jeszcze w końcu ubiegłego wieku dla usprawnienia ruchu na północnej magistrali kolejowej, był w swoim czasie jedną z największych budowli tego typu w kraju. Sądziłem, że gdyby udało się go zniszczyć, łączność z Warną zostałaby przerwana na całe tygodnie lub miesiące.

— Co do mnie, to gorąco popieram tę myśl! — Karawasilew skoczył na równe nogi. — Ale czekaj! Muszę ją przedłożyć

Komitetowi Centralnemu. Tu chodzi o coś szczególnego. Gdyby na przeciąg paru tygodni udało się nam przerwać dostawy broni dla białych, byłaby to istotnie wielka rzecz...

Na zgodę Sofii w sprawie mostu czekaliśmy, nie przerywając konfiskowania broni z podążających nad morze pociągów. Nie potrzebowaliśmy do tego nowych „piątek"; pokaźna liczba uczestników akcji mogła zwiększyć ryzyko wsypy, ponadto doświadczenie pozwoliło nam usprawnić poszczególne czynności. Niekiedy rozpieczętowywaliśmy wagony od razu, gdy pociąg wyruszał z Plewen, aby nie tracić czasu w chwili, kiedy dojeżdżał do wiadomego lasku. Iwan Bożinow postarał się o jeszcze jeden wóz i dobre konie (czasami przyjeżdżał także ze swoim wozem Pyrwan Marinow), by nic nie zostawało na następną noc w prowizorycznej kryjówce. Z Pordimu przybyło jeszcze dwóch ludzi; Bożinow był ich zupełnie pewien. Powiększyliśmy też skrytkę w tej wsi tak, aby mogła pomieścić cały zapas broni, a stał się on rzeczywiście pokaźny. Trudno mi powiedzieć, ile setek karabinów i pistoletów, ile tysięcy granatów i nabojów udało się nam wydostać z wagonów kolejowych. Broń ta była zwykle nowa, a jeśli nawet nie, to w pełni zdatna do użytku — naoliwiona, z zamkami i innymi niezbędnymi częściami; w potrzebie można się nią było posłużyć w każdej chwili.

Po ukryciu broni w schowku musieliśmy pomyśleć o przetransportowaniu jej do określonych stacji kolejowych, aby stamtąd trafiła do miast i wsi wskazanych przez Antona Nediałkowa kierującego wówczas robotą wojskową w całej północnej Bułgarii. Broń przekazywaliśmy tym towarzyszom, którzy zwykle jeździli określoną trasą kolejową, niekiedy zaś innym, przybywającym z wozem i końmi na wskazane miejsca po odebranie tego, co było dla nich przeznaczone. Broń dostało i Tyrnowo, i Ruse, i Wraca, i Szumen, i Sofia...

Dla nas też zostało. Przez jakiś czas uzupełnialiśmy jeszcze swoje zapasy, aż Wasil Karawasilew stwierdził, że mamy wystarczającą ilość broni. I rzeczywiście, w przeddzień powsta-

nia 9 czerwca pleweńska organizacja partyjna była jedną z najlepiej uzbrojonych w kraju: niemal na każdego komunistę przypadał karabin lub pistolet; mieliśmy także karabiny maszynowe, granaty i dostateczną ilość nabojów do ogólnej dyspozycji.

Postaraliśmy się również o działa.

Nie, nie z wagonów — to byłoby niemożliwe. Postaraliśmy się o nie w zupełnie inny sposób. A mianowicie...

Pewnego razu wybraliśmy się z Karawasilewem do Pordimu, aby się zobaczyć z Bożinowem, otrzymaliśmy bowiem z Sofii świeżą informację o nowych wagonach z bronią. Ponieważ nie zastaliśmy Bożinowa w domu, poszliśmy do wiejskiego muzeum nie dlatego, by je zwiedzić — miejsca poświęcone braterstwu broni poznaliśmy jeszcze na szkolnej ławie — zainteresowanie nasze miało charakter czysto wojskowy. Chcieliśmy sprawdzić, czy w razie potrzeby nie udałoby się wykorzystać części broni, stanowiącej eksponaty. Nie chodziło nam o karabiny — było ich pod dostatkiem — i nie o broń maszynową, bo i tę mieliśmy; w dodatku ten rodzaj broni w okresie wojny wyzwoleńczej posiadał jeszcze prymitywną konstrukcję z ciężkim artyleryjskim podwoziem, byłby więc nieprzydatny w warunkach rewolucji, no i brakłoby nam odpowiednich nabojów. Chcieliśmy sprawdzić (i przeliczyć), ile szabli i jataganów tureckich, ile kawaleryjskich pik, siodeł i uprzęży można by wykorzystać, gdy wybije godzina walki.

Obejrzeliśmy wszystko i zrezygnowaliśmy z zamiaru. Wprawdzie piki i szable, uprzęże i siodła oraz tureckie jatagany nadawały się do użytku, ale gdy tak staliśmy, przyglądając się im, zdaliśmy sobie nagle sprawę z niewłaściwości naszego pomysłu. Ta broń już odegrała swoją rolę, obecnie siła jej tkwiła nie w wartości użytkowej, nie w ostrzach i metalu; dłoń uczciwego Bułgara zawahałaby się przed dotknięciem relikwii wojny wyzwoleńczej...

Obejrzeliśmy również przekształconą w muzeum kwaterę rumuńskiego króla. Przed wyjściem zajrzeliśmy jeszcze do podziemia.

— Nie ma tam nic szczególnego — uprzedził nas kustosz. — — Tylko dwie zardzewiałe armaty...

Miał rację, ale te dwa samotne działa były dobrze zachowane, lśniące i czyste, bez śladu rdzy, jakby przed chwilą wyszły z fabryki.

— Pordimianie, którzy służyli w artylerii — rzekł, widząc nasze zainteresowanie, kustosz — mówią, że dział tej samej marki i tego samego typu używano również podczas wojny światowej...

Jak przyciągnięci magnesem zbliżyliśmy się do armat. Na lufach wyraźnie widniał napis „Krupp" i kaliber — „76 mm". Prawda! Takie działa znajdowały się i pod Gewgeli na naszej pozycji! Mogło to znaczyć, że niemiecki koncern zbrojeniowy Kruppa produkował ten typ jeszcze w czasie wojny światowej, ale mogło znaczyć również, że kajzerowskie Niemcy uzbroiły swego małego „sojusznika" bałkańskiego w eksponaty muzealne...

Spojrzeliśmy z Wasilem na siebie, bo ta sama myśl zaświtała nam w głowach: „Tak czy owak, skoro te działa strzelały jeszcze kilka lat temu, to i teraz można znaleźć do nich pociski".

Podczas gdy kustosz w utartej formie wygłaszał informację o bitwie pod Griwicą i oblężeniu Plewen, dokładnie obejrzeliśmy każdy szczegół: lufy i celowniki, lawety i jaszczyki. Wszystko było w porządku. Należało tylko znaleźć zamki, a potem zaprząc czwórkę koni i ruszać do boju...

Z muzeum wyszliśmy niesłychanie podnieceni. Żeby tylko znaleźć zamki i pociski, a organizacja pleweńska będzie miała również i artylerię!

— Pociski? — podchwycił natychmiast Bożinow, gdy podzieliliśmy się z nim swoim odkryciem. — Znajdą się! W okolicach Pordimu wojskowi pochowali tego całe wagony. Wiem o kilku kryjówkach w młynach lub szopach z żarnami. Znam też paru miejscowych śmiałków, którzy ofiarowali na ten cel swoje domy.

— A zamki?

— I zamki, ma się rozumieć. Będziemy szukać i mam nadzieję...

Wkrótce potem Iwan Bożinow zameldował, że jest już kilkadziesiąt pocisków. Niedługo i z Sewlijewa, gdzie Karawasilew zasięgał też informacji, bo tamtejsi członkowie partii wiedzieli o tajnych składach, nadeszła radosna wieść — znaleźli. Bożinow postarał się również o zaprzęg artyleryjski. Wtedy pomyśleliśmy i o obsłudze dział. To było najprostsze. Ten typ broni znało dobrze dziewięciu ludzi z Pordimu, którzy w czasie wojny służyli w sewlijewskim pułku artyleryjskim, wchodzącym w skład 9 dywizji pleweńskiej. Teraz gotowi byli stawić się na każde wezwanie.

Todor Łukanow na wieść o armatach szczerze się ucieszył.

— Mamy piechotę z pełnym uzbrojeniem, mamy karabiny maszynowe, mamy już działa! Pozostaje zdobyć jeszcze samoloty — i Plewen będzie mogło wypowiedzieć władzy prawdziwą wojnę!

Przykazał nam jednak stanowczo, byśmy utrzymali tajemnicę, zanim on nie poinformuje Komitetu Centralnego o nowej zdobyczy.

— Gratulacje od KC! — zwrócił się do nas Łukanow w jakieś trzy tygodnie później po kolejnym pobycie w Sofii. — Pozdrawiają was serdecznie i Todor Atanasow, i Kosta Jankow, i sam Wasil Kołarow. Tylko tak dalej śmiało, aż do zwycięstwa socjalistycznej rewolucji!

Wraz z gratulacjami Todor Łukanow przekazał nam też polecenie komitetu, by oba działa pozostawiono do dyspozycji ośrodka wojskowego przy KC i by użyto ich tylko na rozkaz komitetu.

Wszystko było gotowe: działa zaopatrzone w zamki miały również obsługę; mianowano nawet dowódcę plutonu artyleryjskiego, podporządkowanego bezpośrednio Iwanowi Bożinowowi. Nie wiadomo, jaki obrót przybrałoby w Plewen powstanie 9 czerwca 1923 roku, gdyby armaty weszły do akcji. Wszystko jednak zostało wstrzymane kategorycznym rozkazem KC i fatalną depeszą nakazującą neutralność; zatkała ona

lufy naszych dział i zmusiła zbuntowane Plewen do złożenia broni w chwili, gdy władza znajdowała się faktycznie w naszych rękach...

6. Nie wykonane zadanie

Zgodę na wysadzenie w powietrze mostu kolejowego otrzymaliśmy z Sofii pod koniec 1920 roku.

Nim nadszedł wyczekiwany sygnał, przeszło miesiąc spędziłem w stolicy, bo pleweńska organizacja partyjna wysłała mnie w grupie sześciu aktywistów, którzy mieli ukończyć kurs w szkole partyjnej przy Komitecie Centralnym.

Centralna Szkoła Partyjna powstała 1 listopada 1920 roku i działała do przewrotu 9 czerwca. Utworzenie jej stanowiło konsekwencję deklaracji programowej I Zjazdu. Zadaniem szkoły było przygotowanie kadry kierującej lokalnymi organizacjami partyjnymi przez podniesienie poziomu wiedzy teoretycznej słuchaczy i wdrożenie ich do samodzielnego studiowania dzieł klasyków marksizmu-leninizmu. W pierwszym roku jej działalności miały odbyć się trzy kursy, z których każdy trwał cztery miesiące.

Naukę rozpocząłem 1 grudnia. Wśród moich współtowarzyszy z grupy pleweńskiej był znany już czytelnikowi Petko S. Łaczew z wiejskiej organizacji partyjnej w Muselijewie. Obecność jego na kursie wynikała ze specjalnego zarządzenia KC, by okręgi, do których należał i nasz, gdzie wpływ partii na wsiach był szczególnie duży, skierowały do szkoły również i wiejskich działaczy partyjnych.

Cztery tygodnie spędziłem w Sofii wśród nie znanych mi, lecz wypróbowanych towarzyszy. Niemal wszyscy byli równie młodzi jak ja (wydaje mi się, że był to warunek przyjęcia do szkoły; wyznaczono nawet granicę wieku) i jak ja pełni zapału, niecierpliwiący się, by co rychlej wybiła godzina rewolucji socjalistycznej. Zajęcia odbywały się w Domu Par-

tii, w pobliżu mostu Lwów. Ciągle jeszcze pamiętam przemówienie Błagojewa, które zainaugurowało wykłady.

— Zwycięstwo rewolucji socjalistycznej możliwe jest tylko pod kierownictwem silnej, dobrze zorganizowanej i zdyscyplinowanej partii komunistycznej — mówił. — Komuniści muszą być nie tylko godnymi bojownikami oraz przywódcami klasy robotniczej i ludu pracującego, lecz świecić również przykładem osobistej kultury i postępować zgodnie z moralnością. Złym komunistą jest ten, kto nie studiuje głęboko i wnikliwie wielkiej nauki Marksa i Engelsa, kto nie korzysta z doświadczeń zwycięskiej Rewolucji Październikowej...

Kończąc, Błagojew wyraził życzenie, by skromna szkoła, która nie może jeszcze pomieścić wszystkich pragnących wiedzy, jutro, gdy zdobędziemy władzę, przekształciła się w prawdziwą komunistyczną akademię bułgarskiej republiki radzieckiej.

Przemówienie Błagojewa wzbudziło szalony entuzjazm. Nie tylko biliśmy brawo i skandowaliśmy aż do ochrypnięcia, ale na koniec zaintonowaliśmy jeszcze „Wspólną pieśń" Kirkowa i „Międzynarodówkę". Błagojew, któremu na widok naszego uniesienia łzy stanęły w oczach, śpiewał razem z nami, śpiewał też Wasil Kołarow, sekretarz partii, który wygłosił referat po Błagojewie.

Poważnie wzięliśmy się do pracy. Szło nam opornie, bo wielu z nas dawno już opuściło szkolną ławę i odzwyczaiło się od nauki. Jednakże dobrze przemyślany program kursu ułatwiał zadanie. Zajęcia zaczynały się o dziewiątej rano i trwały do pierwszej po południu. Słuchaliśmy czterech wykładów dziennie. Lektorami byli: Wasil Kołarow, Georgi Dymitrow, Christo Kabakczijew, Todor Łukanow, Todor Petrow, Enju Markowski, dr Naim Isakow, Iwan Deczew i inni. Raz czy dwa miał też wykład Iwan Nediałkow-Szablin, pierwszy reprezentant naszej partii w Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki. Wykłady jego przenosiły nas w atmosferę Kraju Rad. Pamiętam, z jakim ogromnym zainteresowaniem zadawaliśmy mu najróżniejsze pytania i z jak wielką ciekawością słuchaliśmy, gdy w odpowiedzi długo i szeroko opowiadał

o wszystkim, co widział w ojczyźnie Lenina. Ogromne wrażenie wywierały na nas również prelekcje Christo Kabakczijewa, redaktora „Gazety Robotniczej", członka KC i jednego z teoretyków partii, który kilka razy w tygodniu wykładał problemy naukowego socjalizmu. Niepowtarzalnym i pełnym temperamentu mówcą był Georgi Dymitrow, którego ja, stary działacz związkowy, dobrze znałem, gdyż niejednokrotnie stykałem się z nim w Plewen; Dymitrow zapoznawał nas głównie z problemami ruchu związkowego.

Program obejmował następujące przedmioty: historię ruchu robotniczego, historię współczesnych rewolucji, ekonomię Bułgarii i możliwości uspołecznienia środków produkcji, historię I, II i III Międzynarodówki oraz różnych prądów w międzynarodowym ruchu robotniczym, wiadomości dotyczące partii politycznych w kraju oraz nowy program i taktykę Bułgarskiej Partii Komunistycznej.

W czasie kursu poważnie uzupełniłem swoje wiadomości polityczne i teoretyczne, co wówczas — w okresie powstawania III Międzynarodówki i aktywizacji pseudomarksistowskiej socjaldemokracji europejskiej — było absolutnie niezbędne dla każdego komunisty.

Oprócz wykładów, których słuchaliśmy przed południem, szczególnie efektywne okazały się seminaria popołudniowe; niektórzy z uczestników kursu wygłaszali na nich krótkie referaty na temat omawianych problemów, a reszta dyskutowała nad nimi pod przewodnictwem odpowiedniego lektora, który na zakończenie reasumował przebieg dyskusji i udzielał odpowiedzi na pytania.

Niezwykle pożyteczne były też nasze spotkania z sofijską organizacją partyjną. Stolica podzielona była wówczas na kilka dużych sekcji, z których najaktywniejsze były organizacje w dzielnicy Łozenec i Juczbunar. Bywaliśmy tam na zebraniach, słuchaliśmy referatów i chodziliśmy na występy doskonałego amatorskiego chóru im. Georgi Kirkowa, który dawał bogate programy literacko-muzyczne, zaczytywaliśmy się także w książkach z biblioteki KC.

Kurs nasz zakończył się walnym zebraniem, na którym ponownie spotkaliśmy się z sekretarzem partii. Świetny mówca, Wasil Kołarow był w szkole jednym z najlepszych wykładowców.

— Do wykształcenia marksistowskiego musimy podchodzić nie tylko jako do sprawy kultury, ale głównie jako do sprawy rewolucji — powiedział, wzywając nas do samodzielnego pogłębiania wiadomości zdobytych w szkole, do śledzenia rozwoju teorii rewolucyjnej, do rozpowszechniania nauki marksistowskiej wśród szerokich mas partyjnych i robotniczych.

W przeddzień mego wyjazdu z Sofii Todor Łukanow zaprowadził mnie do gabinetu Kołarowa.

— Zna ciebie, obserwował, jak się uczysz na kursie, i chce teraz osobiście porozmawiać z tobą na pewne tematy — rzekł przedtem.

Zmieszałem się. Sekretarz partii chce rozmawiać ze mną? Sprawy, które zamierza poruszyć, mogą dotyczyć tylko konkretów, na przykład wojskowej działalności organizacji pleweńskiej albo mnie osobiście. Było tak, jak sądziłem.

Gdy weszliśmy, Wasil Kołarow energicznie wstał zza ogromnego biurka pokrytego papierami i podał mi rękę.

— Cieszę się, że was widzę, młody towarzyszu — powiedział z uśmiechem i zaprosił nas obu, byśmy siedli przy małym stoliku.

— Zadowoleni jesteście z wiedzy zdobytej w szkole? Czy zauważyliście jakieś cenne elementy w pracy sofijskiej organizacji partyjnej? Czy macie jakieś nie wyjaśnione problemy? Znaleźliście w bibliotece interesujące was książki?

Ku mojemu wzruszeniu Wasil Kołarow poświęcił mi tyle uwagi, jak gdybym był niesłychanie ważną personą. Pochlebiało mi to oczywiście, ale też i wprawiło w zakłopotanie — każde moje słowo i gest zdradzały ogromną różnicę między mną, szeregowym bojownikiem partii, a jej pierwszym sekretarzem, człowiekiem o ogromnej kulturze, łatwości wysłowienia i wielostronnym doświadczeniu rewolucyjnym. Jednakże Kołarow, starając się rozproszyć moje poczucie dystansu, rozmawiał ze mną jak równy z równym.

Wyraziłem całkowite zadowolenie ze zdobytych w szkole wiadomości, stwierdziłem, że nie mam nie wyjaśnionych problemów i że wracam do Plewen gotów spełnić wszelkie polecenia partyjne.

— Nawet wysadzać mosty kolejowe, nieprawdaż? — rzekł z uśmiechem Kołarow.

Drgnąłem. Czyżby wiedział o naszym zamiarze? Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, że sekretarz partii musi znać poczynania ośrodka wojskowego.

— Towarzysz Nediałkow zameldował o waszej propozycji — ciągnął Kołarow. — Komitet Centralny gratuluje wam wykazanej inicjatywy. Zawiadomiliśmy już Karawasilewa. Tylko jeden warunek! — podkreślił. — Należy wysadzić most z pociągiem towarowym, tak by nie ucierpiał żaden niewinny człowiek...

— Myśmy tak właśnie planowali, towarzyszu sekretarzu — odrzekłem. — Zamierzaliśmy nawet wysadzić nie zwykły pociąg towarowy, a wiozący transport broni...

— Wspaniale! — powiedział z zadowoleniem Kołarow. — Konfiskata broni z wagonów to rodzaj pomocy dla komunistów rosyjskich, ale zatrzymanie transportu dla Wrangla i Denikina będzie czymś o wiele istotniejszym... Oczywiście nie wyobrażajmy sobie, że reakcyjna Europa pozostawi białogwardyjskie armie na dłuższy czas bez broni. Istnieją i inne drogi na Krym i do Odessy. W dodatku Morze Czarne roi się od jednostek angielskich i francuskich. Ale jeśli nawet o jeden dzień opóźnimy dostawę broni i amunicji dla białych, będzie to bez wątpienia pomoc dla Kraju Rad. A w chwili obecnej jest to nasz główny internacjonalistyczny obowiązek!

Żegnając się, Wasil Kołarow przekazał pozdrowienia dla Wasila Karawasilewa i całej okręgowej organizacji w Plewen.

— Urodziłem się w Szumen — rzekł, jakby się usprawiedliwiając — ale w okręgu pleweńskim zaczęła się moja działalność socjalistyczna...

O tym wszyscy w Plewen wiedzieli. W latach 1895—1897 Wasil Kołarow, wówczas nauczyciel w trzyklasowej szkole w Nikopolu, nie tylko rozwinął wśród tamtejszej ludności pio-

nierską działalność kulturalno-oświatową, lecz także założył w tej zaniedbanej i zacofanej okolicy pierwszą socjaldemokratyczną organizację. Opuścił Nikopol, dopiero gdy władze szkolne zwolniły go z pracy za „agitację antypaństwową".

Przed powrotem do Plewen odbyłem jeszcze rozmowę z Antonem Nediałkowem. Ten wykształcony działacz partyjny i doświadczony wojskowy (w czasie wojny walczył na froncie jako oficer) nie orientował się jednak w sprawach saperskich. To, co mi powiedział, wiedziałem już przedtem; były to tylko ogólne i nie usystematyzowane wiadomości o akcjach dywersyjnych tego rodzaju.

— W niczym więcej nie możemy wam być teraz pomocni — usprawiedliwiał się Nediałkow. — Niechaj wasze kierownictwo samo znajdzie na miejscu odpowiednich ludzi i środki.

I oto z Kostą „Grubasem", obaj uzbrojeni w pistolety, przyczajeni w bezlistnych krzewach bzu przy moście na rzece Wit czekamy na rezultat przygotowanej akcji. Most jest już zaminowany.

Nie było się kogo poradzić, ile dynamitu i jak należy podłożyć pod szyny. Karawasilew, Chałaczew i Zonkow wiedzieli tyle, co my, to jest — prawie nic. Oparłszy się więc na doświadczeniach frontowych, napełniliśmy dynamitem niedużą drewnianą skrzynkę po nabojach i umieściliśmy ją pod kolejowymi podkładami mniej więcej pośrodku mostu. Prymitywna spłonka miała wywołać wybuch ładunku w momencie, gdy lokomotywa dotrze na to miejsce. A dalej wszystko pójdzie tak, jak opisuje się w książkach: most zwali się do rzeki, a wraz z nim z piekielnym hukiem zsuną się w przepaść wszystkie wagony... Ciężka, ogromna konstrukcja o długości około pięćdziesięciu metrów, rozdarta eksplozją, miesiącami będzie leżała potem w wodach Witu...

Tak to sobie wyobrażaliśmy — i z góry cieszyliśmy się z odniesionego sukcesu. Noc była pochmurna, styczniowy śnieg skrzypiał pod nogami. Widoczny z daleka wierzchołek pomnika bohaterów rosyjskich przykryty był śnieżnym kołpakiem. Głu-

cho huczały maszyny w starej fabryce cementu „Lew", przytulonej nie opodal mostu do zbocza wzgórza.

Na torach kolejowych nie było nikogo — ani przypadkowego przechodnia, ani żadnego z robotników — kto żyw, schował się w domu przed mrozem. Liczyliśmy na to. Dwie poprzednie noce spędziliśmy z Kostą na obserwacji mostu, by sprawdzić dokładnie, o której godzinie przechodzi tędy dróżnik. Od znajomego kolejarza otrzymaliśmy rozkład jazdy pociągów. Z Sofii zawiadomiono nas o kolejnym transporcie broni. Wywiad wstępny przeprowadzony więc został drobiazgowo, teraz pozostawało tylko zrealizować zadanie.

Czekaliśmy. Jak przed kilku miesiącami tak i teraz niecierpliwie spoglądaliśmy na wskazówki zegarka. Czas jakby stanął w miejscu, wszystko zakrzepło w zimnie. Czekaliśmy. Wpatrywaliśmy się w mrok, skąd pojawić się miały światła lokomotywy. Potem doleci gwizdek oznajmiający, iż pociąg jest już na stacji w Plewen.

Światła parowozu rozbłysły w oddali z prawie godzinnym opóźnieniem. „Tyle czasu? Dlaczego?" — denerwowaliśmy się, skąpani w pocie mimo styczniowego mrozu.

Pociąg zbliżał się niezwykle wolno. Dziwne... Dwie doby obserwacji utwierdziły nas w przekonaniu, że pociągi towarowe przejeżdżają zwykle most z przeciętną szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Czemu ten ledwie się wlecze?

Parowóz z sapaniem i zgrzytem dotarł wreszcie do mostu — i tak samo wolno, jakby po omacku, zbliżył się do miejsca, gdzie podłożyliśmy ładunek.

Spod kół bluznęły ogniste płomienie, oblewając wszystko srebrzystożółtym blaskim. Huk detonacji doleciał w kilka sekund potem i sczezł, odbijając się jeszcze echem od skalistego łożyska Witu.

Zerwaliśmy się na równe nogi, by wydać okrzyk radości, ale głos uwiązł nam w gardle. Most stał jak przedtem, cały i nie uszkodzony. Cały i nie uszkodzony był też parowóz, który jak koń zatrzymał się przed miejscem wybuchu...

Fiasko! Haniebne fiasko! Spoglądaliśmy z Kostą na żelazną konstrukcję mostu oczami pełnymi łez wściekłości. Zgrzyta-

łem zębami i gotów byłem z rozpaczy wyć jak wilk. Młody byłem jeszcze i nie zaznałem dotąd goryczy zawodu, nie wiedziałem, co to przegrana, nie zdarzyło mi się nic takiego, co nauczyłoby mnie ponosić porażki. Była to pierwsza życiowa lekcja, że nie tylko należy w razie konieczności walczyć, ale trzeba również umieć wycofać się, gdy nie ma innego wyjścia...

Wróciliśmy na przełaj przez winnice Kowanłyku, minęliśmy park Skobielewa i cicho wśliznąwszy się do domu ułożyliśmy się do snu. Myśl o niepowodzeniu nie pozwalała jednak zasnąć, toteż obaj przewracaliśmy się w łóżkach niespokojnie z boku na bok do rana.

Następnego dnia nasz towarzysz*, ów kolejarz z plewieńskiego dworca, opowiedział nam o rezultatach akcji. Parowóz zdołał przejechać przez miejsce wybuchu niemal bez uszkodzeń; tylko pierwszy wagon wyskoczył z szyn, które nawet nie zostały zerwane, przesunęły się zaledwie na podkładach. Awarię usunięto w pół dnia, podniesiono wagon lewarami i cały skład pociągu ruszył w dalszą drogę do Warny...

W mieście nikt nie usłyszał o wydarzeniu; postarały się już o to władze, które — jak i państwa ententy — nie bez podstaw obawiały się rozruchów; doszłoby do nich niewątpliwie, gdyby społeczeństwo dowiedziało się, co i dokąd wiozą zaplombowane wagony. Odtąd jednak na moście stał uzbrojony wartownik.

A my boleliśmy z powodu porażki, która dotknęła nas bardziej niż osobiste nieszczęście.

W tydzień później z Sofii przyjechał Anton Nediałkow, do Komitetu Centralnego dotarła bowiem wieść o nieudanym

* Niestety, nie pamiętam nazwiska tego pełnego poświęcenia członka partii, choć odegrał on wielką rolę w naszym rewolucyjnym ruchu. Wkrótce po zakończeniu akcji zdobywania broni z wagonów władze, nie wiadomo, jakim sposobem, dowiedziały się, iż brał on w tym udział, i zlikwidowały go bez sądu i wyroku. Po prostu pewnego rana znaleziono go koło starego dworca zakłutego nożami przez „nieznanych sprawców". Plewieńska organizacja partyjna zorganizowała mu publiczny pogrzeb. — *Przyp. aut.*

przedsięwzięciu. Zamiast czynić nam wyrzuty, Nediałkow zaczął nas pocieszać:

— To nie wasza wina. Ententa liczy się z możliwością sabotaży na naszych liniach kolejowych i podejmuje już odpowiednie kroki zapobiegawcze. Dlatego właśnie pociąg celowo posuwał się bardzo wolno... Z tą samą szybkością jeżdżą do Burgas transporty broni na południowej magistrali.

Choć Nediałkow tak tłumaczył niepowodzenie, wiedzieliśmy, że wynikło i z naszej winy. Powinniśmy byli podłożyć o wiele większy ładunek dynamitu, zaminować obydwie szyny, podłożyć również ładunek na moście, aby — jeśli pierwszy zawiedzie — przynajmniej drugi zrobił swoje. Powinniśmy byli zrobić jeszcze wiele rzeczy; dynamitu mieliśmy pod dostatkiem, a odwagi aż nadto. Brak nam było tylko doświadczenia.

7. Podziemna drukarnia

Wiosną 1921 roku Todor Łukanow wezwał mnie do siebie do domu. Mieszkał wówczas z rodziną w tej samej co i ja VIII dzielnicy. Przyjaźniłem się z jego synami Karlem, Albertem i Andrejem. Łukanow miał również dwie córki, jedna z nich, Wela, przyjaźniła się z moją młodszą siostrą, Todorką.

Imię Todora Łukanowa, który zginął w czasie powstania wrześniowego, weszło do kronik naszej partii. W okresie, o którym opowiadam, był to powszechnie szanowany przywódca partyjny na skalę narodową. Łukanow i jego żona, Koca, zasłużyli się również ogromnie i samemu Plewen przy tworzeniu oraz umacnianiu organizacji partyjnej, w jej przygotowaniu bojowym i uzbrojeniu, co sprawiło, że w roku 1921 i 1922 komuna pleweńska odniosła zwycięstwo. Ich dziełem w dużej mierze było wychowanie w okręgu pleweńskim kilku pokoleń komunistów, którzy godnie bronili naszej sprawy w powstaniu 9 czerwca 1923 roku i w późniejszych latach walki z faszyzmem.

— Jak się masz, górniku — powitał mnie serdecznie Łukanow na progu swego przytulnego domu. Bacznie obejrzał podwórze, po czym dodał:

— Jestem w mieszkaniu sam, nie chciałbym, żeby ktoś znalazł się w pobliżu...

Górnikiem nazywali mnie teraz czasem Karawasilew i Chałaczew, robiąc aluzję do mojej roboty przy kopaniu podziemnych kryjówek. Lecz co miał na myśli Łukanow? Nie miałem jednak czasu, aby się nad tym zastanowić.

— Wiesz, Wanko — mówił. — Wkraczamy w niespokojną epokę. Okoliczności zmuszą nas zapewne do prowadzenia pracy w ścisłej konspiracji. Pierwszym tego sygnałem była konieczność utworzenia organizacji wojskowej. Ale sama broń nie jest jedynym środkiem do przeprowadzenia rewolucji socjalistycznej...

Głos jego był cichy, jakby się obawiał, że i tu ściany mają uszy. Rozumiałem tę ostrożność. Komitet Centralny polecił wszystkim okręgowym organizacjom partyjnym, aby zainstalowały dla swoich potrzeb nielegalne drukarnie, gotowe do rozpoczęcia pracy w odpowiedniej chwili.

— Nie spodziewamy się, że chwila ta nastąpi już za rządów partii chłopskiej, mimo zadrażnień między naszymi partiami — mówił Łukanow. — Ale istniejąca sytuacja grozi przewrotem. Reakcja i panowie wojskowi podnoszą głowę. Car nienawidzi Stambolijskiego, a ententa odnosi się z nie ukrywaną antypatią do obecnego gabinetu.

Krótko mówiąc, nasza organizacja w myśl decyzji KC chciała urządzić nielegalną drukarnię. W jaki sposób i gdzie — miałem zaproponować właśnie ja.

Decyzję podjęliśmy po dokładnym omówieniu sprawy z Karawasilewem i Chałaczewem. Drukarnię trzeba zrobić pod ziemią w starym domu rodziców Chałaczewa. Obecnie mieszkała tam jego matka, chora siostra i młodszy, nieżonaty brat Boris, również członek partii. Asen mieszkał z żoną gdzie indziej.

Dziś stary dom Chałaczewów już nie istnieje, współczesne budownictwo zmieniło oblicze Plewen. Niewielki ten domek,

składający się z pokoju, kuchni i przedsionka, miał też — jak wszystkie domy pleweńskie — piwnicę (gdzieżby indziej dojrzewało wino!). Piwnica była wystarczająco przestronna (pod całym domem) i wysoka, zdolna pomieścić wino z kilku zbiorów. Ale to należało do przeszłości, teraz w ogromnych kadziach harcowały myszy.

Stary dom Chałaczewów miał też i inne zalety, które sprawiły, że wybór nasz padł na to właśnie miejsce. Stał w głębi ogromnego podwórza, porosłego starymi rozłożystymi drzewami owocowymi, pod którymi pełno było grządek z kwiatami, znajdowała się tam i pergola obrośnięta winną latoroślą — wszysko to osłaniało dom od ulicy i stanowiło gwarancję spokojnej i bezpiecznej pracy. Kobiet zamieszkujących tu łatwo się było pozbyć, wysławszy je na parę dni do winnicy, a Boris, nasz towarzysz, mógł pomagać w robocie.

— Chyba tutaj, Wanko — powiedział Boris, gdy obejrzeliśmy piwnicę. — Wyniesiemy parę beczek i będzie świetna kryjówka...

Można było zrobić i tak; gdybyśmy nawet odgrodzili połowę pomieszczenia, zostałoby jeszcze dużo miejsca dla potrzeb domu. Ale obie kobiety od razu zauważyłyby zmianę. Nie obawialiśmy się ich oczywiście. Lecz tajemnica, o której wiedzą niewtajemniczeni, nie jest już tajemnicą. Trzeba się też było liczyć z tym, że zmianę zauważą sąsiedzi i zaczną wypytywać o przyczynę.

— Nie, Borisie — zaprzeczyłem cicho. — Piwnica powinna zostać w takim stanie, w jakim jest; może beczki kiedyś znów napełni wino...

— No to gdzie, Wanko? Nie mam pojęcia!...

— Pod ziemią. Będziemy kopać obok domu.

Boris ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Kryjówkę wykopiemy obok piwnicy, być może nawet na tej samej głębokości. Obliczymy to później...

— Ale sam przecież mówiłeś, że potrzebne jest duże pomieszczenie, więc gdzie będziemy wyrzucać wykopaną ziemię?

I o tym już pomyślałem. Piwnica była bardzo głęboka, strop znajdował się prawie na tej wysokości, co sufit zwykłej izby, aby łatwo mogły pomieścić się w niej ogromne kadzie z winem.

— Będziemy uklepywać wykopaną ziemię na polepie piwnicy...

Wykonaliśmy przybliżone obliczenie. Podziemna kryjówka powinna mieć rozmiary dwa i pół na trzy metry i wysokość około dwóch metrów. Znaczyło to, że należy wykopać prawie piętnaście metrów sześciennych ziemi. Zmierzyliśmy powierzchnię piwnicy — wynosiła prawie sześćdziesiąt metrów kwadratowych, po ubiciu wykopanej ziemi wysokość pomieszczenia zmniejszyłaby się więc jakieś trzydzieści centymetrów, co wcale nie przeszkadzałoby swobodnie poruszać się tutaj.

— W domu to od razu zauważą — stwierdził Boris.

— Toteż nie będziesz się upierał, że im się tylko tak zdaje. Coś wymyślimy dla wyjaśnienia. Może powiemy, że piwnica podmokła i dlatego narzuciłeś warstwę ziemi...

— Porozmawiałem z Łukanowem i Karawasilewem (Chałaczew był w tym czasie pochłonięty robotą w pleweńskiej gminie, przekształconej w komunę). Szczegółowo opisałem im miejsce i plan. Zainteresowali się, którędy będzie się wchodzić. To był rzeczywiście trudny problem, ponieważ ściany piwnicy wyłożone były ogromnymi ciosanymi kamieniami. Ale miałem pewien pomysł...

— Będziemy wchodzić nie przez piwnicę, a przez studnię — zaproponowałem. — Wprawdzie to nieco uciążliwe, szczególnie dla tęgich, ale konspiracja zapewniona.

Obmyśliłem to starannie. Zamierzałem zrobić kryjówkę między piwnicą a stojącą obok domu Chałaczewów starą studnią o głębokości około dziesięciu metrów, ze spróchniałym żurawiem i odrobiną wody na dnie. Od czasu, gdy założono wodociąg miejski, nikt już z niej nie korzystał, wystarczyło więc na głębokości około dwóch metrów od powierzchni wykopać prowadzący do kryjówki tunel o średnicy osiemdziesięciu centymetrów i wejście ze studni do niego zamaskować drzwiczkami pokrytymi oszlifowanymi, przycementowanymi ka-

mieniami. Studnia służyłaby także jako wywietrznik dla ukrytego pomieszczenia.

Łukanow i Karawasilew nic już nie mogli dodać, pomyśleliśmy więc nad tym, kogo by jeszcze wciągnąć do pomocy; wybór padł na Asena Nanowa, z którym wykopaliśmy już kilka schowków na broń.

Robota trwała dziesięć dni, a właściwie nocy. Kopaliśmy od zmierzchu do świtu, a potem każdy z nas mył się i szedł do swojej pracy zawodowej. Było to konieczne ze względu na konspirację.

Najpierw, aby zrobić miejsce, odsunęliśmy w kąt piwnicy jedną z ogromnych beczek. Wykruszyliśmy kamienie ze ściany i zaczęliśmy robić wykop w kierunku studni. Ziemia była żółta, gliniasta; szło lekko. Kopaliśmy na zmianę we trzech, przy czym Boris często wychodził obserwować podwórze.

Robota doszła wkrótce do tego punktu, w którym oprócz silnych muskułów potrzebna była i wiedza górnicza. Strop pomieszczenia trzeba było co pół metra starannie umacniać deskami i podpierać stemplami, by metrowa warstwa ziemi nad nim nie zwaliła nam się na głowy.

Jeszcze w trakcie kopania postarałem się o drzwiczki i o ich zamaskowanie. Zrobiłem je na miarę i z dobrego drzewa w naszym warsztacie stolarskim, zamaskował je zaś ociosanymi kamieniami na miejscu nasz towarzysz, kamieniarz z zawodu. Przeciągnęliśmy też do środka przewód elektryczny.

Nim zamurowaliśmy ponownie ścianę piwnicy, Łukanow postarał się o maszynę drukarską. Sprowadziła ją dla nas z Sofii — w częściach, przesłanych wśród innych przedmiotów — partyjna spółdzielnia „Wyzwolenie". Drukarnia była całkiem nowa, niemieckiej produkcji; na metalowych częściach widniał wytłoczony napis: „«Kobalt», Drezno". Była to maszyna nożna typu zwanego „amerykanka", a dostarczono ją wraz ze wszystkimi częściami składowymi i przyborami: kilkoma kasetami czcionek, farbą, wałkami korektorskimi itd. Dowiedzieliśmy się później, że Komitet Centralny zamówił w Wiedniu i za pośrednictwem wymienionej spółdzielni dostarczył około dwudziestu takich maszyn do Sofii i innych

miejsc całego kraju, gdzie zmontowano je dla celów przyszłej działalności nielegalnej.

Któregoś wieczoru, gdy wszystko już było gotowe, zaprosiliśmy Karawasilewa i Chałaczewa „na inspekcję".

Boris stał na wszelki wypadek na podwórzu na straży, ja zaś odsunąłem pokrywę studni i ześliznąłem się w jej czeluść, przytrzymując się rękami i opierając stopy na wystających kamieniach cembrowiny. Wasil świecił mi latarką. Na głębokości wzrostu człowieka pchnąłem drzwiczki w ścianie i wsunąłem się do poziomego tunelu, wiodącego do kryjówki. Wyjrzałem — Karawasilew i Chałaczew z podziwem obserwowali moją wyprawę w dół, choć byli o wszystkim z góry uprzedzeni.

— Schodźcie! — zawołałem do nich i na wszelki wypadek wysunąłem z tunelu deskę, opierając ją o przeciwległą ścianę studni. Wsunęli się za mną przez tunel i weszli do kryjówki. Nie oświetliłem jej umyślnie, aby potem zrobić im niespodziankę, przekręcając nagle kontakt. Byli zaskoczeni bardziej, niż przypuszczałem. Obydwaj widzieli już w Plewen różne kryjówki, ale taką jak ta — po raz pierwszy.

— Ależ to nie kryjówka, a istna kancelaria adwokacka, przytulniejsza od mojej! — wykrzyknął Chałaczew, oglądając wnętrze i dotykając wszystkiego. Również twarz Karawasilewa wyrażała głębokie zadowolenie, choć nie lubił szafować pochwałami.

A kryjówka rzeczywiście była niczego sobie. Heblowane deski pokrywały ściany, sufit i podłogę, w jednym rogu zrobione było posłanie i stoliczek, żeby pracujący tutaj mógł odpocząć i zjeść. Na posłaniu leżał gruby wełniany kilim z samodziału.

Mimo iż było nas trzech, nie cierpieliśmy na brak miejsca, wystarczyło też powietrza, bo przez drzwiczki napływał ze studni chłodny powiew. Pachniało sosnowymi deskami i farbą drukarską. Maszyna była już z grubsza zmontowana, resztę miał zrobić później drukarz, członek organizacji pleweńskiej.

— Już prawie gotowa — wskazałem na „amerykankę". —

Jeszcze kilka drobiazgów i możemy drukować. Dajcie tylko znać...

— Teraz mamy jeszcze gdzie drukować i gazety, i odezwy, i broszury — uśmiechnął się w odpowiedzi Karawasilew. — To nam będzie potrzebne jutro, gdy tam — wskazał palcem w górę — na jasny świat wypełzną ciemne żywioły... A tu może być również wspaniała kryjówka dla ludzi.

Któż mógł wtedy przypuszczać, że zaledwie parę miesięcy później pierwszym, który poszuka tu schronienia, będzie on sam... W kwietniu 1921 roku — wkrótce po nieudanej akcji na most kolejowy — komisja kontrolna ententy i władze dokonały próby zlikwidowania Karawasilewa. Prawdopodobnie wróg wywąchał, kto kryje się za uzbrajaniem pleweńskiej organizacji partyjnej, za akcjami na liniach kolejowych, kto wysłał ludzi, by wysadzili most, słowem — kto kieruje właściwą robotą tutejszych komunistów. Zrobiono obławę i aresztowano Karawasilewa na zebraniu partyjnym. Wioząc go pod konwojem, planowano zamordować gdzieś koło Jasenu czy Disewicy „podczas próby ucieczki". Ale Wasil zdołał wywieść w pole eskortujących go żołnierzy i rzeczywiście uciekł. Ukrywany i wspomagany przez członków wiejskich organizacji partyjnych dotarł po kilku dniach do Plewen i znalazł schronienie właśnie w starym domu Chałaczewów. Wkrótce potem Komitet Centralny zorganizował jego nielegalny wyjazd z kraju. Przez Zgalewo i Pordim Wasil ukradkiem dotarł pociągiem do Warny — do Gornej Oriachowicy towarzyszył mu Karlo Łukanow, stamtąd zaś Boris Bogdanow — a następnie tajemnym szlakiem wyjechał do radzieckiej Rosji.

8. Aresztowanie, więzienie, ucieczka

Wkrótce skończyło się konfiskowanie z transportów kolejowych broni przeznaczonej dla Denikina i Wrangla, bowiem telegrafy rozgłosiły na cztery strony świata wieść, że biało-

gwardyjskie armie obu tych niesławnych osobistości zostały przez czerwonych przyparte do morza i ratując własną skórę salwowały się ucieczką na francuskich i angielskich okrętach do Turcji.

Ta radosna nowina ucieszyła cały bułgarski proletariat i wszystkich bułgarskich komunistów, szczególnie zaś tych, którzy uczestniczyli w akcjach konfiskowania broni, jakie — o czym się później dowiedzieliśmy — organizowane były nie tylko w Plewen.

W grudniu 1919 roku komuniści z Burgas — kolejarze i robotnicy z cukrowni w Kajalij — odczepili cały wagon z bronią, którą rozdzielili między siebie.

Wagon pełen broni dla białogwardzistów opróżniono też w Nowej Zagorze, a jego zawartość według oficjalnego komunikatu „została rozgrabiona przez nieznanych sprawców".

Jesienią 1920 roku tragarze portowi w Burgas rozpieczętowali ukradkiem wagon z bronią i część jej zabrali, a następnie odmówili ładowania transportów przeznaczonych dla białych.

Podczas rozładunku skrzyń z bronią w rosyjskim porcie Poti ludzie Wrangla stwierdzili, że niektóre z nich są wypełnione ziemią. Sprawdzono potem, że transport płynął z Warny, a „przestępstwo" było dziełem warneńskich komunistów...

I my w Plewen zdążyliśmy jeszcze zabrać sporo karabinów, pistoletów i karabinów maszynowych z ostatnich przesyłek broni, zagrabionej przez ententę z bułgarskich arsenałów wojskowych i wywożonej do Rosji. Zdobycz ta — jak i przedtem — oddana została do dyspozycji Sofii, aby nasz Komitet Centralny dokonał jej podziału.

(Część owej broni, jakiej nie zdołaliśmy zabrać z transportów, zobaczyliśmy później w rękach tych białogwardzistów, którzy usunięci w latach 1921—1922 z Turcji — znaleźli pod naciskiem państw ententy chwilowe schronienie w naszym kraju. Widocznie żadna broń nie była w stanie pomóc kontrrewolucji).

Na krótko przed zakończeniem owych akcji z Sofii przybyli dwaj Rosjanie ubrani w białogwardyjskie mundury. Towa-

rzyszył im członek naszego KC. Rosjanie przedstawili się jako biali, którzy zrozumieli, iż powołaniem ich jest praca dla ojczyzny. Nie naszą sprawą było ich wypytywać, ale wiedzieliśmy, że nie są tymi, za których pragną uchodzić. Komitet Centralny polecił, by ktoś z Plewen towarzyszył im do Warny i służył pomocą dotąd, dopóki nie wykonają swojej misji. Zadanie to zlecono mnie.

W Warnie zatrzymaliśmy się w domach członków partii i nasi goście spotkali się z Dimitrem Kondowem, Grigorem Czoczewem, Andrejem Penewem, Błagojem Kasabowem oraz innymi działaczami partyjnymi. Ponadto cały tydzień poświęcili na wyprawy do urządzonych wokół miasta specjalnych obozów, gdzie ulokowani byli białogwardziści, oraz na rozmowy z przeróżnymi ludźmi, przede wszystkim z tragarzami portowymi. Chcieli się zorientować, jaka jest liczebność i skład jednostek białogwardyjskich, oraz w tym, jak i kiedy ładuje się na statki broń i czy rzeczywiście transporty te, podobno przeznaczone do zatopienia, idą na dno morza.

Gdy zorientowali się szczegółowo we wszystkim, odjechali, tak jak przybyli — znów przez Sofię. W rozmowach byli lakoniczni, dyskretni i rzeczowi. I chociaż ukrywali prawdziwy cel swego przybycia, nie udało im się powściągnąć zniewalającej serdeczności rosyjskiej.

Jesienią 1921 roku zostałem aresztowany. Właśnie zakończyliśmy akcję pomocy dla głodującego Powołża, Krymu i Ukrainy (uczestniczył w niej cały okręg pleweński; nawet ci, którzy nie mieli prawie nic, podzielili się ostatkiem jak z bratem w nieszczęściu); właśnie zgodnie z poleceniem KC rozpoczęliśmy w jednostkach białogwardyjskich agitację, mającą spowodować wśród żołnierzy rozprzężenie, a w konsekwencji przyłączenie się ich do sprawy Rewolucji Październikowej i powrót do kraju (tu przyszedł nam z pomocą towarzysz wysłany z Moskwy; przybył przebrany za białogwardzistę, lecz w tajemnicy zatrzymał się u Christo Wasilewa, a potem w domu nauczycielki, Malty Gyłybowej); właśnie

wyprawiliśmy z Plewen pierwszą grupę żołnierzy armii Wrangla, w liczbie dwustu, pragnących wrócić do radzieckiej Rosji; właśnie odczuliśmy ulgę na wieść o tym, że Wasil Karawasilew szczęśliwie odpłynął łódką do Odessy i nawet przesłał (przez Iwana Nediałkowa-Szablina) pozdrowienie dla pleweńskiej organizacji partyjnej — i właśnie, gdy się to wszystko działo, doszło do wsypy moich ludzi z „piątki". Wynikła ona z naszej niewybaczalnej naiwności.

Wyrban Angełow namówił pewnego żołnierza z koszar pleweńskich, by wyniósł parę karabinów. Żołnierz, skądinąd uczciwy i dobrze mi znany człowiek, nie miał w tym żadnego doświadczenia i nie zapytał — skąd. A potem zamiast wziąć je z magazynu, zabrał trzy z ustawionych w kozłach, choć absolutnie to wykluczaliśmy. Gdy tej samej nocy Wyrban przekazał mi broń i powiedział, skąd ona pochodzi, kolana ugięły się pode mną.

— Dlaczego właśnie z kozła? — krzyknąłem. — Przecież dowództwo już jutro zauważy, że brakuje trzech sztuk!

Stało się. Niemal fizycznie wyczuwałem zbliżające się niebezpieczeństwo. Ale błąd był nie do odrobienia, należało przynajmniej schować gdzieś te nieszczęsne karabiny. Jeszcze tej samej nocy skomunikowałem się z Canką Kolewą i tak jak kiedyś, wziąwszy się pod ręce, odbyliśmy wspólny spacer — trzy razy od mojego do jej domu. Tam, na podwórzu, ojciec Canki, Kolio Wenkow, ustawił akurat stertę świeżego siana, w której ukryłem chwilowo broń, zanim się ją przeniesie w bezpieczniejsze miejsce...

Po trzech czy czterech dniach przyszli po mnie do domu feldfebel i dwaj żołnierze z bagnetami na karabinach. Zostałem aresztowany.

Śledztwo zaczęło się już tej samej nocy. Prowadził je porucznik piechoty na mansardzie w sztabie pułku.

— Czy to ty namówiłeś żołnierza, by ukradł broń z kozłów?

Zaprzeczyłem oczywiście; nie znam żadnego żołnierza z koszar, z nikim nie rozmawiałem o karabinach, bo w ogóle mnie nie interesują.

— Lepiej się przyznaj! Żołnierz i tak wszystko wyśpiewał!

Zaprzeczyłem ponownie. Nie zajmuję się takimi rzeczami, pewnie ów żołnierz pomylił mnie z kimś innym. Mówiłem spokojnie, choć z wewnętrznym napięciem. Ten mój spokój doprowadził porucznika do szału:

— Nie chcesz się przyznać, co? Przeklęty komunista! Sprzedajecie Bułgarię bolszewikom, ale nie masz odwagi przyznać się do tego! Zdrajcy ojczyzny! Czerwona bolszewicka hołota!

Przyjrzałem mu się. Był chyba w moim wieku, może trochę starszy, ale miał delikatną twarz burżuja i wypielęgnowane dłonie. „Ciekawe, czy był na wojnie? — zadawałem sobie pytanie. — A może walczył w Sofii, po drugiej stronie barykady? Pewnie, na pewno tak, bo inni oficerowie, ci z rezerwy, po wojnie poszli do cywila, a w wojsku zostali tylko najwierniejsi monarchii i szowiniści..."

— Panie poruczniku, przez trzy lata walczyłem na froncie w dywizji pleweńskiej, gdzie i pan służył, dostałem nawet order za odwagę! — równo odmierzałem słowa, ale twardy ton mego głosu sprawił, że oficer wstał. — Przelewałem krew za Bułgarię, nie pozwolę, by mnie nazywano zdrajcą i...

Przerwał mi.

— Bić go! — wrzasnął. — Bić! Bić! — darł się histerycznie i wtedy zorientowałem się, że oprócz nas dwóch są tu jeszcze dwaj inni. Mieli w ręku baty, na nogach podkute buciory, a w oczach żadnego zmiłowania...

Zaczęli mnie katować, potem wkładali mi nogi do lodowatej wody i znów bili, aż pot zalewał im twarze. A moje nogi robiły się coraz bardziej purpurowe, jakby je ktoś obsypywał żarem. Porucznik obserwował, jak się nade mną znęcają, i nerwowo palił jeden papieros za drugim. Najwyraźniej był to histeryk, nie sadysta. Milczałem, zagryzłszy do krwi wargi, nie chciałem okazać słabości przed tym nędznikiem, który niewart był złamanego grosza w porównaniu z każdym starym frontowcem. Nerwy miałem jak postronki, zdrowy byłem jak rydz, ciało — jeden kłąb elastycznych stawów i mięśni; wydawało mi się, że nie wyrwą z moich ust jęku, choćby mieli mnie pociąć na kawałki...

Przestali na chwilę, by odpocząć, a porucznik, nie wytrzymawszy, wyszedł z pokoju.

Wówczas przyjrzałem się swoim oprawcom. Jednego — wielkiego i silnego jak niedźwiedź feldfebla — nie widziałem nigdy, ale drugiego poznałem od razu. Był to starszy szeregowiec Toma, dobrze znany w naszej dzielnicy dobosz pułkowej orkiestry. Chorowity, słaby, przygarbiony, trzy ćwierci do śmierci, chyba w moim wieku, mieszkał z ojcem w na pół rozwalonej nędznej chacie.

Spojrzałem na niego i coś mnie ścisnęło za serce. Zapomniałem, gdzie jestem i co ze mną robią, porażony myślą, że tacy nędzarze stają przeciwko nam i wysługują się burżuazji przy najbrudniejszej robocie...

W tym momencie wrócił porucznik. Wepchnął do pokoju żołnierza, którego włączyliśmy do naszej „piątki", aby współdziałał przy zdobywaniu broni. Miał związane ręce i twarz opuchniętą od razów.

— Czy on ci kazał wziąć karabiny?

Oficer zadał pytanie syczącym głosem, w którym brzmiała pogróżka, ale żołnierza nie trzeba było już straszyć, skapitulował.

— On... Winarow... On wydaje rozporządzenia...

Mówiąc to, nie miał odwagi popatrzyć mi w oczy.

— Mylisz się, przyjacielu — zaoponowałem życzliwym głosem (czułem, że mimo wszystko muszę mu przyjść z pomocą, by uratować i siebie, i jego). — Rzeczywiście jestem Winarow, ale nigdy z nikim nie rozmawiałem o broni...

Konfrontacja się skończyła. Żołnierza wyprowadzono i kaci ponownie przystąpili do dzieła. Porucznik znowu wyszedł, wyraźnie zawodziły go nerwy.

Ból był teraz bez porównania większy, wprost nie do wytrzymania, bo stopy napuchły mi i krew tryskała za każdym uderzeniem. Bił feldfebel, ale i Toma przykładał się do tego; skąd się brało tyle siły w tym skurczonym, wygłodzonym ciele?

Gdy na mgnienie oka przerwali, by odpocząć, przezwyciężając nieznośny ból zwróciłem się do Tomy:

— Słuchaj, znamy się z sąsiedztwa. Wiesz, że jestem działaczem związkowym. Znasz mego brata, sekretarza ministra Obowa. Znasz mego ojca, Coło Winarowa; ma winnicę na Kowanłyku i pola, i łąki, które puszcza w dzierżawę... Ale ja jestem komunistą. Nasza partia walczy za takich biedaków jak ty, jak pan feldfebel... Ledwie wegetujecie, burżuazja podrzuca wam tylko okruchy...

— Milcz! Milcz! — ryknął feldfebel, kopnął mnie buciorem w krocze i wypadł za drzwi.

— Popatrz tylko na niego, Toma — skorzystałem z niespodziewanej przerwy. — Otrzymuje trochę większy kęs niż ty, a już całkiem zmienił się w bydlę...

Spróbowałem wstać, lecz silny cios pięści zwalił mnie na ziemię. Odwróciłem głowę. Toma patrzył na mnie, zmrużywszy powieki. Oczy jego wyrażały bardziej przestrach niż nienawiść; wyczytałem w nich, że daleki jest od zrozumienia prawdy. Ten lumpenproletariusz był dla nas nieodwołalnie stracony. Nie mógł pojąć nie tylko wielkiej idei, ale i zwykłych ludzkich słów.

— Leż, bo zatłukę! — ryknął, a dolna szczęka zadrżała mu najwyraźniej ze strachu przede mną, choć byłem związany i skatowany.

W chwilę później rozległ się tupot butów; wbiegli feldfebel z porucznikiem.

— Więc nie tylko się nie przyznajesz, ale jeszcze masz czelność prowadzić czerwoną agitację, tu, w areszcie! Ty przeklęty psie bolszewicki! Bić go! Bić, aż się przyzna albo niech zdechnie nareszcie!

Feldfebel i dobosz nie dawali się prosić. Coraz gęstsze razy padały coraz bardziej zaciekle, jakby obaj zdawali w obecności zwierzchnika egzamin z prawomyślności. A gdy feldfebel stracił już siły, wlazł na stół i całym ciężarem skoczył mi na twarz i piersi...

Poczułem, że wylewają na mnie miednicę zimnej wody i oprzytomniałem. Twarz miałem całą we krwi i krew spływała mi po ubraniu. Coś mnie dusiło w gardle, w uszach dzwoniło przeciągle. Feldfebel klął wściekle i ciężko dyszał,

a Toma bezmyślnie rzucał się z kąta w kąt, ogłupiały od szatańskiego dzieła...

Dobosza Tomę spotkałem po dwudziestu czterech latach. Po zwycięstwie, na początku 1945 roku, zostałem dowódcą 9 dywizji pleweńskiej. Zgodnie z tradycją miałem przyjmować, pułk po pułku, powierzoną mi jednostkę. Zlustrowałem najpierw pułk piechoty, ustawiony w kwadrat na ogromnym koszarowym dziedzińcu. Z kilku tysięcy gardeł dobywało się niemilknące „hura-a-a!" uroczystego powitania. Przechodziłem obok żołnierzy, kompania po kompanii, aż wreszcie zatrzymałem się przed wyprostowanymi na baczność członkami dętej orkiestry pułku. Nie zasalutowałem od razu jak przed innymi oddziałami. Obszedłem szereg po szeregu, przypatrywałem się żołnierzom, aż znalazłem tego, którego szukałem — Tomę. Nadal był taki cherlawy, ale wysechł jeszcze bardziej, chuda twarz pomarszczyła się jak u starca, ostry nos sterczał z niej jak dziób... Stary dobosz orkiestry... Zatrzymałem się przed nim i wzrokiem poszukałem jego oczu.

I on mnie poznał. Z pewnością wiedział, że nie uniknie tego spotkania, ale teraz, gdy znalazłem się przed nim, pomyślał chyba, że nadeszła godzina porachunku. Widać to było z wyrazu jego twarzy, zamarłej z przerażenia, widać to było z paralitycznego drżenia rąk, którego nie był w stanie opanować.

— Czołem, żołnierze! — pozdrowiłem orkiestrę, z oczami utkwionymi w twarzy starego znajomego.

— Czołem, obywatelu generale! — odhuknęli zgodnie, tylko Toma milczał. Otworzył nawet usta, by odezwać się jak wszyscy, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Przeszedłem. Widziałem wyraźnie, że jeśli zostanę przy nim jeszcze sekundę, nie wytrzyma i upadnie. Choć to dziwne, nie czułem ani krzty nienawiści czy chęci odwetu. Jakiż mógł być odwet? Ten strzęp człowieka tysiąckrotnie zapłacił za swoje „bohaterstwo" sprzed lat przerażeniem przeżytym w ciągu tych ostatnich kilku minut.

„Co się z nim stało potem?" — zapyta może czytelnik.

Nic. Toma pozostał — na co specjalnie nalegałem — doboszem orkiestry, mimo iż carscy oficerowie, których zastałem

w pułku, prześcigając się w okazywaniu mi względów, proponowali niezwłoczne zwolnienie go i oddanie pod sąd...

— Niech zostanie! Niech wali w bęben! — powiedziałem. „Niechaj — pomyślałem sobie — umrze śmiercią naturalną; jeśli jest w nim choć odrobina sumienia, nie da mu ona spokoju, bo przeszedł przez życie ślepy i głuchy na prawdę".

Śledztwo nie trwało długo; aresztowano również Cankę Kolewą — wojskowi, nie wiadomo skąd, dowiedzieli się, że mi pomagała, nie mieli jednak na to żadnych dowodów oprócz owych trzech karabinów, znalezionych w stogu siana na podwórzu jej domu. W tym stanie rzeczy musiałem zmienić dotychczasowe zeznania; stwierdziłem, iż rzeczywiście namówiłem żołnierza, by zabrał karabiny, i ukryłem je w sianie, a Canka nie ma z tym nic wspólnego. Obstawałem przy umówionej z Canką bajeczce, iż spacery nasze nie miały żadnego związku z bronią; jesteśmy po prostu zaręczeni...

Toteż Canka, która dzielnie przetrwała śledztwo, wykazując nieugiętość większą niż niektórzy mężczyźni, została oczyszczona z wszelkich zarzutów.

Proces przebiegał zgodnie z naszymi przypuszczeniami.

Obrońcami byli Asen Chałaczew, który — pracując w organizacji wojskowej okręgu partyjnego i w komunie pleweńskiej — nie zajmował się praktyką adwokacką i bronił tylko komunistów, oraz Karlo Łukanow, świeżo upieczony prawnik, którego pierwszym i ostatnim klientem byłem ja, bo podobnie jak i inni partyjni adwokaci porzucił dla sprawy rewolucji to intratne wówczas zajęcie.

Na rozprawę przybył też wezwany przez mego ojca, darzący go szacunkiem towarzysz broni z partyzantki i podobnie jak on narodowiec, pleweński adwokat dr Iwan Biżew, który uczynił wiele, by mnie uratować przed wyrokiem. Ujął się również za mną brat matki, wuj Dimitr Solarow, duchowny.

I ojciec, i Biżew niemal codziennie przychodzili do więzienia, nalegając, abym wyraził zgodę na złagodzenie warunków mego pobytu tutaj i na obronę przez Biżewa. Kochałem ojca,

byłem mu wdzięczny za tyle troski, ale wobec swych przekonań politycznych nie mogłem iść na kompromis — w owych latach nie do pomyślenia było, by komunista wystąpił gdziekolwiek, nawet jako obrońca w sądzie, obok przedstawiciela burżuazji — i ojciec to zrozumiał.

Ale mimo iż kategorycznie odrzuciłem propozycję dra Bižewa, zjawił się on na procesie i wygłosił tak płomienną mowę obrończą, że sąd składający się między innymi z jego towarzyszy broni z partyzantki zupełnie oniemiał...

Mowy Chałaczewa i Łukanowa były powściągliwe, uargumentowane i całkowicie przepojone duchem walki o wyznawaną ideę; były godne obrońców komunistów — takich jak oni właśnie — i odpowiadały sytuacji, w jakiej znalazł się oskarżony komunista, taki jak ja.

Można rzec, iż wyrok otrzymałem łagodny — osiem lat. Były to jeszcze stosunkowo idylliczne czasy. Po powstaniu wrześniowym podobne „przestępstwo" sądzono według okrutnej ustawy o ochronie państwa i wydawano surowe wyroki.

Siedziałem w więzieniu przeszło rok, potem uciekłem.

Na razie najbardziej gnębił mnie fakt, że opuszczam szeregi towarzyszy w chwili, gdy szykuje się rewolucja (w tych latach mówiliśmy i myśleliśmy o tym bezustannie). Gnębiło mnie również, że straciłem głos i słuch; buciory feldfebla, którymi skoczył mi na twarz i pierś, spowodowały uszkodzenie strun głosowych i już nigdy nie miałem odzyskać swego barytonu, a w prawym uchu dzwoniło mi nieustannie, mimo iż minęło wiele miesięcy (cierpię na to i dziś). Śpiew był dla mnie dotąd nie tylko rozrywką, ale i potrzebą, a nie nadawałem się już do naszego chóru amatorskiego. Z chwilą gdy znalazłem się w więzieniu, musiałem się też pożegnać z myślą o wyjeździe do Wiednia, a tak się z niego cieszyłem.

W owych latach, gdy w Bułgarii, a i gdzie indziej na świecie, sport nie był tak popularny jak dziś, przy pleweńskiej organizacji partyjnej działało towarzystwo sportowe „Spartak". Byłem jego członkiem i jednym z aktywistów. Przygotowywaliśmy nie tylko popisy gimnastyczne, prezentowane podczas zgromadzeń publicznych, manifestacji pierwszomajo-

wych i wesołych spotkań koleżeńskich, ale również, przeprowadzając ćwiczenia czysto wojskowe, dbając o wszechstronny rozwój fizyczny i wyrobienie szybkiego refleksu, staraliśmy się swych członków wychowywać na przyszłych bojowników rewolucji. Oczywiście uprawialiśmy również sporty. Byli wśród nas biegacze, miotacze kulą, oszczepnicy, skoczkowie. Ja uprawiałem skoki o tyczce i skoki wzwyż. Nie chwaląc się, skakałem nieźle i uważano mnie za mistrza Plewen w skoku o tyczce, a odnosiłem też zwycięstwa na zawodach organizowanych w innych okręgach kraju.

Latem 1921 roku, tuż przed moim aresztowaniem, „Spartak" zorganizował zawody, aby wyłonić zespół bułgarski, który miał reprezentować następnego roku naszą partię na mistrzostwach europejskich w Wiedniu. Jako reprezentant dyscypliny skoku o tyczce wszedłem w skład tej drużyny.

Ale nic z tego nie wyszło.

Początkowo odsiadywałem wyrok w starym więzieniu pleweńskim (znajdowało się w miejscu, gdzie obecnie wznosi się budynek okręgowej rady narodowej), ale po paru miesiącach przewieziono mnie do Szumen, bo administracja więzienia, nie wiadomo dlaczego, zaczęła podejrzewać, że mam zamiar uciec. Było w tym nieco prawdy; tajne polecenie partii nakazywało wszystkim uwięzionym komunistom próbować ucieczki („Rewolucja stuka do naszych drzwi"). Miałem więc powody do tego, jeśli dołożyć i mistrzostwa w Wiedniu...

Administracja jednakże była szybsza; przewieziono mnie do Szumen, zakuwając w dodatku w kajdany. Nigdy przedtem nie byłem w tym mieście, ale komuniści nie muszą się znać osobiście, by móc wzajemnie liczyć na siebie. Toteż już po paru dniach mego pobytu w tamtejszym więzieniu miejscowi towarzysze przyszli na widzenie ze mną. Najpierw zjawił się, aby ofiarować mi swoje usługi, Jordan Tiutiundżijew, adwokat-komunista (po paru latach, już na emigracji, ożenił się z córką Todora Łukanowa, Welą). Następnie pojawili się i inni. Znaleźli sposoby dostarczenia mi partyjnej literatury, gazet, żywności i pieniędzy. Ucieczka stąd wszelako okazała

się niemożliwa, gdyż więzienie było solidnie zbudowane i pilnie strzeżone.

W czasie odsiadywania wyroku dowiadywałem się o wielu wydarzeniach, które akurat wstrząsały Europą. Były one dobre i złe, i znamienne. W Turcji rozpoczęła się już rewolucja Kemala Atatürka, we Włoszech legion Mussoliniego zakończył swój „wielki marsz" na Rzym ustanowieniem pierwszej w Europie dyktatury faszystowskiej; rewolucja w Niemczech zakończyła się klęską i śmiercią dwojga jej wielkich przywódców — Karola Liebknechta i Róży Luksemburg; lecz rozeszła się również wieść, która przesłaniała wszystko: oto młody Kraj Rad nie tylko przyparł do morza białogwardzistów, lecz również z niesłychanym bohaterstwem pokonał najemne armie interwentów, które wtargnęły do kraju ze wschodu, z północy i z południa. Ojczyzna rewolucji socjalistycznej została uratowana i było to wydarzenie wielkie i niesłychanie radosne dla wszystkich komunistów na świecie.

Za to w Bułgarii działo się źle. Ludowcy odparli wprawdzie w pierwszym starciu czarne siły reakcji i militarystów, gotujące przewrót. Gdy przywódcy „bloku konstytucyjnego" zwołali w Tyrnowie zjazd, mający na celu spisek, chłopi dali im lekcję. Przy pomocy partii pozbawili broni białogwardyjskie armie i usunęli emisariuszy Denikina, Wrangla i Kutiepowa. Do więzienia w Szumen dotarła wieść o wydarzeniach na pleweńskiej wsi Dolni Dybnik, gdzie dawnych skompromitowanych przywódców partii, przygotowujących pucz, wyciągnięto z pociągu, ogolono im brody i niewiele brakowało, by padli ofiarą gniewu mas chłopskich z okręgu pleweńskiego.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby owo zwycięstwo nad reakcją nie oszołomiło przywódców chłopskich. Lecz sukces ten zamiast ich otrzeźwić i pozwolić dostrzec prawdziwe niebezpieczeństwo spowodował w efekcie utworzenie frontu przeciw komunistom, bo podsunął im zgubną myśl, że obecnie jedynie komuniści zagrażają ich władzy...

A tymczasem gdy komuniści i chłopi byli zajęci wzajemnym zwalczaniem się, reakcja knuła już nowy spisek, i ten drugi,

zawiązany w ścisłej konspiracji, miał się okazać dla Bułgarii fatalny.

Pod koniec 1922 roku rząd chłopski, wzmagając nagonkę i represje wobec komunistów, wprowadził też znacznie ostrzejsze warunki dla więźniów o takich poglądach. Przekonałem się o tym osobiście, zauważywszy wzmożoną obserwację swojej osoby. Chłopi, ludzie naszego — jakkolwiek by było — pokroju, bali się, lecz nie tych, którzy im naprawdę zagrażali...

Pewnego mroźnego grudniowego dnia zawieziono mnie pod konwojem do Plewen. Administracja więzienna powiadomiła mnie lakonicznie, że wystąpię tam jako świadek w sądzie. Nie raczyli nawet powiedzieć, kim jest oskarżony, w którego sprawie mam świadczyć. Nie miało to jednak dla mnie żadnego znaczenia, gdyż wezwanie do sądu było tylko obmyślonym przez towarzyszy z Plewen ułatwieniem mi ucieczki. „Uciekaj przy pierwszej sposobności" — tak brzmiały ich słowa przekazane mi przez adwokata Jordana Tiutiundżijewa.

W pociągu nie miałem odpowiedniej okazji. Policjant wykazywał godną pochwały postawę służbową. Ale w czasie kilkugodzinnej jazdy w przedziale aresztanckim znaleźliśmy jednak wspólny język. Okazało się, że pochodzi z pleweńskiej wsi Uczindol (teraz Todorowo) i należy do BLZCh. Jest biedniakiem obarczonym liczną rodziną i wstąpił do służby państwowej widząc w tym jedyne wyjście z nędzy. Wtedy wdałem się z nim w rozmowę, delikatnie i stopniowo drążąc jego świadomość, a gdy zorientowałem się, że to, co mówię, znajduje u niego posłuch, zacząłem działać odważniej. Powiedziałem mu tak po prostu, po ludzku, o co w istocie walczą komuniści i co grozi władzy chłopskiej, jeśli obie nasze bratnie partie skoczą sobie do gardeł... Policjant starał się zachować nakazany ustawą dystans między sobą a aresztantem i próbował nie dać po sobie poznać, że go przekonałem. Ale łatwo to było spostrzec, bo nie tylko słuchał, co mówię, ale zadawał też i pytania, zaś na jednej ze stacji poszedł nawet kupić

mnie i sobie coś do zjedzenia za pieniądze, które mu wręczyłem. W ten sposób powoli otwierałem sobie furtkę do ucieczki.

Dojechaliśmy do Plewen. Kiedyś dworzec tutejszy znajdował się w odległości około trzech kilometrów od północnego przedmieścia i przebycie owej drogi stanowiło nielada wysiłek dla podróżnych obciążonych bagażami. Toteż przy skromnym budynku stacyjnym na jeszcze skromniejszym placu zawsze czekał w pogotowiu rój dorożek, z których korzystał prawie każdy z przyjezdnych.

Rozejrzałem się i ja za dorożką. Jedna z nich, podjechawszy, zatrzymała się przed nami i tak silna była pokusa, że policjant już stawiał nogę na stopniu, lecz w ostatniej chwili, przypomniawszy sobie regulamin, odprawił dorożkarza.

— Nie, nie — wymamrotał, jakby przepraszając. — Ktoś gotów nas zobaczyć, doniesie i stracę zajęcie...

Ruszyliśmy do miasta pieszo. Powstała już jednak między nami atmosfera zaufania i nie chciał mnie traktować jak aresztanta — nie konwojował pod karabinem, idąc zgodnie z regulaminem pięć kroków z tyłu. Szedł obok. Jego zawód nie zdołał jeszcze zabić w nim naturalnego humanitaryzmu bułgarskiego wieśniaka.

Sprawa w sądzie zajęła nam około godziny. Tak jak przypuszczałem, sądzony towarzysz nie miał ze mną nic wspólnego. Zeznawałem tak, aby przyjść mu z pomocą — i na tym skończyła się moja rola świadka. Nie byłem już potrzebny w mieście, ale w myśl przepisu policyjnego wyjechać mogliśmy dopiero na drugi dzień. Noc miałem spędzić w tutejszym więzieniu, dokąd mnie też policjant poprowadził.

Ja jednakże przygotowałem już sobie plan działania.

— Panie władzo — zatrzymałem go. — Tak po ludzku obchodził się pan dotąd ze mną. Mam jeszcze jedną prośbę. Tutaj blisko, dwa kroki od sądu, jest kancelaria mojego adwokata, Asena Chałaczewa. Chciałbym wejść tam tylko na minutkę i spytać, jak idzie sprawa apelacji... Bardzo pana proszę...

Policjant wahał się dość długo, zanim przemówił, przezwyciężając chyba nurtujące go podejrzenie:

— No, dobrze, chodźmy...

Zatrzymaliśmy się przed kancelarią Chałaczewa. Mój „anioł stróż" popatrzył na wywieszkę przed wejściem i gnębiące go wątpliwości całkiem się rozwiały. Puścił mnie do środka samego, wyglądał, jakby myślał: „No, idź, dowiedz się. Poczekam tu na ciebie".

I podczas gdy on stanął na straży przed kancelarią — bo jakkolwiek by było, miał obowiązek mnie dozorować — ja, w duchu żegnając się z nim za zawsze, wszedłem do znajomego budynku. Kancelaria Chałaczewa mieściła się w starym parterowym domu w bezpośrednim sąsiedztwie klubu partyjnego. Nie zwlekając zastukałem do drzwi, Chałaczewa akurat nie zastałem, ale też nie był mi w tej chwili potrzebny. Jego kolega, z którym korzystali z jednej kancelarii, miał klienta, jakiegoś ubogiego starca. Przeprosiłem i cofnąłem się. „No, Wanko — pomyślałem sobie — lepszej okazji nie będzie!" W korytarzyku przed kancelarią wisiało na wieszaku mizerne paletko staruszka i jego równie wyszarzana czapka. Włożywszy je, zostawiłem swoje rzeczy (były nowe, na tej zamianie biedak tylko skorzystał) i wyszedłem przez znane mi tylne wyjście z budynku; prowadziło ono na wewnętrzne podwórko. Na szczęście nikogo tam akurat nie było. Lekko przeskoczyłem niewysokie ogrodzenie (było się przecież mistrzem Plewen w skoku wzwyż), po czym jeszcze parę płotów — i znalazłem się wkrótce na drugim końcu dzielnicy. Postawiłem kołnierz palta i małą uliczką skierowałem się ku mieszkaniu Malty Gyłybowej.

Była w domu. Przyjęła mnie, nakarmiła, ukryła, a na drugi dzień za pośrednictwem sióstr Szejtanowych zawiadomiła Karlo Łukanowa i innych towarzyszy z organizacji o mojej udanej ucieczce.

A co się działo przez ten czas z policjantem?

Czekał długo przed wejściem do kancelarii, przestępując z nogi na nogę i co chwila spozierając na drzwi. Wreszcie stracił cierpliwość, wszedł i zastukał. Moje palto i czapka, wiszące w korytarzu, uspokoiły go. Ale nie na długo...

I co dalej?

Nie uczynił nic, by zaalarmować miejscową policję o mojej ucieczce; pojechał po prostu do Szumen i zameldował, że zniknąłem po drodze. Oczywiście wyrzucono go ze służby i chłop znów wrócił na wieś do domu.

Gdy później dowiedziałem się o tym wszystkim, uradowałem się. Stracił wprawdzie pracę, ale odnalazł siebie, wrócił do swoich, tam, gdzie było właściwe miejsce dla takiego człowieka, odznaczającego się dobrocią i ufnością. Opuściły mnie więc odczuwane w czasie ucieczki wyrzuty sumienia, że zawiodłem cudze zaufanie.

Tego samego dnia późnym wieczorem przed dom Malty zajechała furmanka Pyrwana Marinowa. Oprócz Pyrwana z wozu zlazł ktoś drugi, ubrany w wielki kożuch i futrzaną czapkę nasuniętą na czoło. „Któż to może być?" — zdziwiłem się. Ale gdy nieznajomy stanął w kręgu światła i zdjął czapkę, poznałem Kostę Pyrwanowa.

Uściskaliśmy się.

— Kosta, coś się wystroił jak na scenę, bracie? — zapytałem wiernego druha, zdziwiony jego wyglądem.

— To nie ja, ale ty będziesz aktorem — odparł wesoło Kosta i wtedy zrozumiałem, w czym rzecz; pomysłowo to zorganizowali.

— Masz pozdrowienia od Chałaczewa, od Zonkowa i Karlo Łukanowa — powiedział Kosta. — Teraz nie przyjdą, bo możliwe, że są pod obserwacją policji, która po ich śladach zamierza wytropić zbiega...

Nikt z nas jeszcze wówczas nie wiedział, że mój policjant, nie złożywszy tutaj meldunku, spokojnie wrócił sobie do Szumen.

Chałaczew i Zonkow, wówczas wójt komuny pleweńskiej, a także pozostali towarzysze z komitetu zdecydowali niezwłocznie przerzucić mnie do Pordimu i ukryć u Iwana Bożinowa, gdzie miałem czekać na dalsze polecenia. Zajęli się tym Kosta i Pyrwan Marinow.

Wychodząc z domu Malty Gyłybowej nie wiedziałem, że opuszczam rodzinne miasto na przeciąg dwudziestu przeszło

lat. Tej grudniowej nocy los mój potoczył się nowym torem. Ale tu zostawiłem drogich, wiernych towarzyszy, swoich bliskich i ulubione miejsca: Kajłyk, park Skobielewa, mauzoleum, zielone podmiejskie wzgórza, gdzie upłynęło moje dzieciństwo i młodość. I choć w ciągu następnych dwóch dziesiątków lat zdeptałem wiele ziem, w sercu nosiłem stale nie tylko pamięć o towarzyszach i krewnych, lecz również obraz ojczystej ziemi, złote ziarno myśli o niej; był to głos krwi, który zamiera dopiero wtedy, gdy przestaje bić serce.

Wóz Marinowa krótko stał przed domem Malty. Gdy ruszył, znów było na nim dwóch ludzi. Na koźle przy Pyrwanie siedział wieśniak w wielkim kożuchu i futrzanej czapce na głowie. Tylko że pod tym kryłem się ja. Kosta został u Malty...

Przez trzy dni byłem gościem Bożinowa. Potem w nocy przyjechał po mnie Kosta furmanką Pyrwana. Przywiózł mi ubranie, żywność i pieniądze oraz dalsze polecenia komitetu okręgowego. Miałem w towarzystwie Kosty wyruszyć natychmiast pociągiem do Warny. Tam miejscowi towarzysze zajmą się resztą...

— Czyżby do Kraju Rad, Kosto?! — zadrżałem z radości, nie śmiejąc jeszcze uwierzyć we własne przypuszczenia.

— Właśnie tam, Wanko! — uśmiechnął się szeroko Kosta, a ja uściskałem go mocno.

Kraj Rad! Nawet dziś, gdy raz lub dwa na rok jakby przyciągany magnetyczną siłą jadę do Związku Radzieckiego, by spotkać starych towarzyszy broni, ujrzeć Moskwę i Kreml, popatrzeć na niezmierzone rosyjskie pola i wiekowe milczące lasy, nawet teraz doświadczam nie dającego się wyrazić promiennego, podniosłego uczucia. A wówczas? Wówczas Rosja radziecka, kolebka socjalistycznej rewolucji, pierwsze wolne państwo robotników i chłopów było dla nas, milionów komunistów na całym świecie, ziemią obiecaną, piękną jak najpiękniejszy sen, ziemią naszych marzeń. Mimo iż oddaleni od niej o tysiące kilometrów, żyliśmy jej troskami, kłopotami i radościami, śledziliśmy każde dziejące się tam wydarzenie. Serca

nasze biły jednym rytmem z sercami ludzi radzieckich, oczy nasze zwrócone były na Moskwę i Lenina, wodza, który doprowadził do zwycięstwa Rewolucję Październikową. Od dnia, w którym powstał Kraj Rad, my, komuniści, zrozumieliśmy, że to dzieło rosyjskiego i światowego ruchu rewolucyjnego będzie istnieć dotąd, dokąd ruch ten nie przestanie się rozwijać, a dokąd istnieć będzie ten kraj, będzie też rozwijał się i zwyciężał światowy ruch rewolucyjny. I prawda owa z upływem lat wciąż się potwierdza.

Część II

W Kraju Rad

1. Droga przez Morze Czarne

W latach po pierwszej wojnie światowej Warna była bodaj jedyną „furtką" umożliwiającą nielegalne kontakty krajów bałkańskich, a przede wszystkim Bułgarii, z radziecką Rosją. Stąd łódkami lub motorówkami, czasem zaś kutrem lub po prostu żaglówką odpływali przez wody Morza Czarnego na północ i wracali potem konspiracyjni działacze komunistyczni ze wszystkich bałkańskich, a często i innych europejskich partii komunistycznych, a wśród nich delegaci na kongresy i plena III Międzynarodówki, kurierzy partyjni i przeróżni inni wysłannicy, którzy nie mogli udać się do czerwonej Rosji koleją. Również przez Warnę nasza partia i partie pozostałych krajów bałkańskich otrzymywały z Kraju Rad pocztę Międzynarodówki i literaturę rewolucyjną, która w owych latach była równie cenna jak broń.

Nielegalna łączność morzem działała bez zarzutu, mimo że czasy były niełatwe. Małe pływające jednostki podejmowały ogromne ryzyko i musiały pokonać wiele przeszkód, by dotrzeć do radzieckiego brzegu; trzeba było umknąć i bułgarskim strażom granicznym, i flocie białogwardyjskiej, krążącej po morzu, trzeba było przedrzeć się przez „zaporę" z okrętów mocarstw zachodnich, pragnących nie przepuścić ani jednego statku w tamtą stronę lub z powrotem. Chodziło im o ustrzeżenie świata od „zarazy" bolszewickiej oraz o zduszenie młodego Kraju Rad, zanim okrzepnie. Daremnie.

W latach 1921—1922 Warna otrzymała do wykonania jeszcze jedno ważne zadanie o charakterze internacjonalistycznym. Gdy kraj nasz stał się bazą białogwardyjskich armii Denikina,

Wrangla i Kutiepowa, miasto to za pośrednictwem morskich kurierów uprzedzało na czas o nowych ekspedycjach, broni i amunicji wysyłanej z Bułgarii na terytorium radzieckie; uprzedzało, a często samo unieszkodliwiało najaktywniejszych kontrrewolucjonistów, sabotowało przewóz broni, pomagało w jej konfiskowaniu... Wszystko to było dziełem warneńskiej organizacji partyjnej, na której czele stali wówczas Dimitr Popow, Dimitr Kondow i Geno Giumiuszew. W nielegalnej wojskowej robocie, a szczególnie w realizowaniu przerzutów przez morze uczestniczyła liczna grupa oddanych sprawie rewolucjonistów, z których większość — wówczas lub później — znalazła śmierć na tym niebezpiecznym posterunku. Znałem spośród nich osobiście Andreja Penewa i Błagoja Kasabowa, kierującego wówczas tą działalnością w całym okręgu. Znałem Grigora Czoczewa, odpowiedzialnego za regularne działanie łączności morskiej, Bojana Papanczewa, aktywistę organizacji, a później kuriera KC między Sofią a Moskwą, Żeczo Giumiuszewa, również kuriera KC. Wśród tych ludzi był też Christo Bojew, który już wiele razy, pokonując nieprzeliczone przeszkody, podróżował naszą drogą morską z ważnymi poleceniami Międzynarodówki i władz radzieckich.

Od maja 1922 roku partia nasza miała własny statek, służący łączności między Bułgarią a brzegiem radzieckim. Był to „Iwan Wazow", własność fikcyjnego towarzystwa akcyjnego „Matejew, Kremakow i S-ka", z siedzibą w Burgas. Statek został kupiony przez Christo Bojewa, który specjalnie po to wrócił w 1921 roku nielegalnie do kraju, a następnie udawszy się do Stambułu, gdzie Stany Zjednoczone ogłosiły właśnie przetarg na swoje trzy wybrakowane okręty wojenne, nabył jeden niszczyciel z silnymi motorami i w niezłym stanie. Po generalnym remoncie, który trwał do połowy 1922 roku, statek w rzeczywistości należący do partii, ale zarejestrowany jako własność rzeczonej spółki, rozpoczął regularne rejsy między Burgas i ZSRR. Dostarczał do radzieckich brzegów cenne informacje na temat zamierzeń wranglowców i państw imperialistycznych, przewoził ukrywających się członków partii, delegatów na kongresy Międzynarodówki oraz rosyjskich żołnierzy

z armii Denikina i Wrangla, którzy wyrazili chęć powrotu do ojczyzny. Przesyłano nim również żywność dla głodującego Krymu, Ukrainy i Powołża. W rejsy powrotne „Iwan Wazow" zabierał różnorodne materiały i ogromne ilości nielegalnej literatury, tak potrzebnej bułgarskiemu ruchowi rewolucyjnemu. W ten sposób przez cały rok, aż do faszystowskiego przewrotu w dniu 9 czerwca, pełnił bez przerwy rewolucyjny obowiązek obrony Kraju Rad przed jego zewnętrznymi wrogami. Pod koniec 1923 roku został fikcyjnie sprzedany i odpłynął do portu w Odessie.

Warna była nie tylko niesłychanie ważną placówką partii i „furtką" umożliwiającą kontakty z ZSRR oraz Międzynarodówką. Należało się spodziewać, że zbiorą się tu również siły reakcji bułgarskiej i międzynarodowej, białogwardyjscy emisariusze z supertajnymi poleceniami, rezydenci angielskiej i francuskiej centrali szpiegowskiej na Bałkanach, liczne komisje utworzone w oparciu o układ rozejmowy czy jednostki wojskowe ententy — i tak się stało. Przyczyna jest jasna: Warna to port, z którego blisko do Odessy, a więc była strategicznie najwygodniejszym miejscem do koncentracji sił przeciwko ZSRR.

Oceniając właściwie znaczenie Warny, reakcja bułgarska skierowała tu swoje wypróbowane sługi — oficerów, policjantów, pracowników wywiadu, administratorów, mających „przykrócić cugli" miejscowej organizacji komunistycznej i „oczyszczać miasto ze zbolszewizowanych elementów". Po przewrocie 9 czerwca srożyła się tu policja morska, specjalne formacje powołane w celu uniemożliwienia kontaktów naszej partii z Krajem Rad. I choć państwa ententy zabrały Bułgarii flotę w ramach odszkodowań wojennych, okazały się szczególnie hojne dla owej policji morskiej: dostarczyły jej szybkich kutrów i łodzi motorowych, które — dobrze uzbrojone i zaopatrzone w silne reflektory — pilnie patrolowały nocą wybrzeże...

Aby uzupełnić obraz Warny w owym okresie, trzeba jeszcze przypomnieć, że z tutejszego portu wysyłano do ZSRR statki z ładunkiem żywności dla głodującego Powołża, a także — iż w pobliżu miasta władze skupiły tysiące żołnierzy białogwar-

dyjskich pragnących powrócić do ojczyzny. Zorganizowano dwa strzeżone obozy przejściowe: przy „Kwarantannie" i za klasztorem Św. Konstantyna nie opodal sanatorium dla dzieci. Obok byłych białogwardzistów przebywali w nich również żołnierze rosyjscy, którzy po rewolucji lutowej, a głównie po październikowej, zbiegli z jednostek ententy i dotarli do Bułgarii z nadzieją, że stąd przedostaną się do Rosji. Była to pokaźna ilość ludzi zdecydowanych nie czekać ani dnia dłużej na powrót do ojczyzny borykającej się z trudnościami i bardziej niż kiedykolwiek potrzebującej pomocy swych oddanych synów. Jak wiadomo, znaczna ich część zrozumiała swój uprzedni błąd w wyniku aktywnej pracy politycznej, prowadzonej wśród nich przez naszą partię.

Uważani do niedawna za przyszłą siłę uderzeniową państw imperialistycznych w wyprawie przygotowywanej przeciwko Krajowi Rad, obecnie zostali uznani przez władze za „rozsadników dżumy". Lecz cóż można było z nimi począć? Zabijać? Tak, zabijano ich. Bez wieści zginęły dziesiątki aktywnych działaczy ruchu reemigracyjnego, innych zaś białogwardyjskie sądy doraźne po prostu skazywały pod różnymi pretekstami na rozstrzelanie...

W Warnie aż kipiało od gorączkowej rewolucyjnej atmosfery, w której kadry partyjne szybko rosły i nabierały wartości bojowej i która sprawiała, że miasto było dla partii oparciem w jej walce w obronie Kraju Rad. W związku z tym należy jeszcze docenić fakt, że po zawieruchach wojennych gmina warneńska stała się jedną z pierwszych dużych komun miejskich w kraju.

W celu utrzymywania kontaktów z Międzynarodówką, z ZSRR i partiami komunistycznymi innych krajów już w 1919 roku Komitet Centralny utworzył swoją bazę w Warnie; łącznością kierował tam członek KC — Nikoła Penew, a całością pracy nielegalnej bazy — doświadczony warneński komunista Grigor Czoczew-Biliarow, o którym już wspomniałem. Jego najważniejszym pomocnikiem był znany w Warnie Andrej Penew, a stałym kurierem między bazą a Międzynarodówką, a także Komunistyczną Partią Rumunii — również miejscowy

komunista, Boris Bonczew. Jako łącznicy i współpracownicy do roboty w bazie warneńskiej wciągnięci zostali do roku 1925 (oprócz już wymienionych) także Todor Dimow, Michaił Widow — „Senegalczyk", Iwan Czerkezow, Stefan Pałauzow, Kirił Chałaczew, Atanas Łowdżijew — „Nauczyciel", paru ludzi z warneńskiej straży pożarnej i inni. Do 1923 roku kontakty z Międzynarodówką realizowano za pomocą niewielkich motorówek żaglowych: „Wiara", „Zorza" i „Ratownik". Wszyscy niemal członkowie ich załóg byli to Lipowanie — rybacy. Czasami, choć rzadko, korzystano też z pomocy innych Lipowan, którzy mieli zwykłe łodzie wiosłowe. Najlepsza była załoga „Ratownika", która przez pewien czas pracowała dla potrzeb warneńskiego akwarium i miała wobec władz alibi, że krążąc wzdłuż brzegów poszukuje rzadkich gatunków ryb czarnomorskich; oczywiście faktycznie ludzie ci pływali z tajnymi zleceniami partii, a ich motorówka mogła zabrać nawet piętnaście osób.

W Warnie zatrzymałem się na parę dni. Nie ukrywałem się, było to zbyteczne, gdyż nikt mnie tutaj nie znał. Dimitr Kondow, któremu dostarczyłem list od Todora Łukanowa, natychmiast zajął się przygotowaniami do mego wyjazdu. Skontaktował mnie z Błagojem Kasabowem, Żeczo Giumiuszewem i Bojanem Papanczewem, których pamiętałem sprzed roku ze swego pobytu w Warnie, gdy towarzyszyłem dwóm Rosjanom, owym „białogwardzistom". Starzy znajomi ułatwili mi teraz zdobycie odzieży i żywności koniecznej na drogę. Czwartego dnia o zmierzchu spotkałem się z Papanczewem i Giumiuszewem pod miastem w pobliżu miejscowości Gałata; byliśmy gotowi do drogi.

Nim łódka oderwała się od bezludnego brzegu i pchana wiosłami skierowała się na pełne morze, zapadła ciemna grudniowa noc. Wiosłowało trzech nie znanych mi mężczyzn z załogi, a my — nasza trójka i dwóch towarzyszy z Płowdiwu, również z polecenia KC udających się do radzieckiej Rosji — siedzieliśmy w milczeniu przed małym kubrykiem i obserwowaliśmy

oddalające się z wolna światła miasta. Gdy ostrożnie okrążając punkt graniczny wypłynęliśmy z zatoki, wioślarze zapalili motor. Łódka szybko ruszyła naprzód i już żegnaliśmy się z Warną... Niestety po godzinie drogi motor się zepsuł. Nie udało się go naprawić i około północy, gdy powiał wiatr, załoga wciągnęła żagle i wróciliśmy znowu w to samo miejsce w Gałacie, skąd latarnia morska w nieprzeniknionych ciemnościach wskazywała drogę.

— Nie martw się — uspokoił mnie nazajutrz Dimitr Kondow, gdy zjawiłem się przed nim w budynku gminy (Warna była wówczas komuną, a Kondow jej wójtem). — Mamy inne łódki. Za parę dni bądźcie znów gotowi...

Ale ku radzieckim brzegom wyruszyliśmy nie łódką, a statkiem.

Akurat w tym tygodniu około czterystu byłych żołnierzy z armii Wrangla miało wracać do ojczyzny. Dzięki agitacji naszej partii już dziesięć tysięcy Rosjan wyraziło życzenie powrotu. Władze wydały im specjalne zaświadczenia, zezwalające na wyjazd. Miał ich zabrać radziecki parostatek transportowy, stojący w warneńskim porcie z ładunkiem pszenicy.

Organizacja raz dwa załatwiła naszej trójce — Bojanowi, Żeczo i mnie — odpowiednie dokumenty, stwierdzające, że jesteśmy powracającymi białogwardzistami. Przebrani w odpowiednie mundury, któregoś ranka znaleźliśmy się w porcie wmieszani w tłum Rosjan. Nie miałem żadnego własnego bagażu, ale i ja, i Żeczo z Bojanem umyślnie przygotowaliśmy sobie walizki i pakunki. Ukryliśmy w nich książki oraz materiały archiwalne i inne, należące do Wasila Kołarowa, który jesienią 1922 roku został wybrany generalnym sekretarzem Międzynarodówki i z całą rodziną wyjechał nielegalnie do Moskwy. Ponieważ nie wziął bagażu, a poczta do ZSRR wówczas nie odchodziła, nie było innego sposobu dostarczenia mu tam rzeczy osobistych, a przede wszystkim książek i notatek.

W porcie ustawiono nas w długim szeregu. Z początku bardzo uważnie i podejrzliwie sprawdzano dokumenty, a nawet zadawano wyjeżdżającym grubiańskie pytania, lecz gdy proceder się przedłużał i prowadzący go oficerowie (bułgarscy

i z komisji kontrolnych ententy) całkiem zsinieli z zimna, kontrola stała się pobieżna...

Załoga statku powitała wracających jak rodzonych braci. Przygotowano przyjęcie, wznoszono toasty, śpiewano stare pieśni rosyjskie i marsze rewolucyjne, do upadłego tańczono kozaka. Nieszczęśnicy, którzy sprzedali ostatnie ubranie i buty, by móc przeżyć, którzy cierpieli głód i chłód, przelewając krew pod hańbiącymi białymi sztandarami sprzedajnych carskich generałów, dopiero teraz odkrywali ciepło prawdziwego braterstwa, dopiero teraz w pełni pojmowali swą winę wobec matki-ojczyzny i żałowali swej pomyłki jak małe dzieci, wcale się z tym nie kryjąc. Żal ten jednak nie wynikał z rozpaczy, tylko ze skruchy... Wracający wiedzieli, że ojczyzna im wybaczy i ofiaruje miejsce w ludzkich sercach i kącik na swych niezmierzonych obszarach. Bez tej nadziei nie mogliby istnieć...

A nadzieja przerodziła się w pewność, gdy statek zarzucił kotwicę w Noworosyjsku i powitano ich tam z otwartymi ramionami. Odbyła się uroczystość z muzyką, mowami i wręczeniem kwiatów... Widziałem, jak marnotrawni synowie, czyniąc ze łzami w oczach znak krzyża, całowali rodzinną ziemię, jakby składając jej przysięgę na wierność. I nam się ścisnęły gardła, bo taki widok nie pozwalał pozostać człowiekowi obojętnym. Obraz ten utkwił mi w pamięci na całe życie, stał się pełną znaczenia lekcją: Choćby ci groziła głuchota i ślepota, choćbyś musiał ponieść najstraszliwszą śmierć, nie podnoś ręki na własną ojczyznę!

Przedstawiliśmy dokumenty radzieckim władzom granicznym. Już w porcie ujrzeliśmy towarzyszy z okręgowego komitetu partii bolszewików. Wyszli po nas i powitali jak swoich, zwłaszcza Bojana i Żeczo, którzy bywali już w Odessie. Na naszą prośbę jeszcze tego samego dnia skontaktowano nas telegraficznie z Wasilem Kołarowem. Powitał nas serdecznie i kazał natychmiast przyjeżdżać do siebie. Następnego dnia udaliśmy się więc w trójkę do Moskwy.

Pociąg jak łódka zagubiona na oceanie przemierzał bezkresne równiny przez pięć, a może sześć dni — nie wiem, bo całkiem straciłem rachubę czasu wśród tych lasów i pól. Pociągi

rosyjskie różnią się od naszych, są szersze, wygodniejsze; każdy przedział — obliczony na cztery lub sześć osób — ma też miejsca do spania. Inaczej podróż byłaby niemożliwa przy tych gigantycznych odległościach.

Wraz z nami jechali Rosjanie, Ukraińcy, Tatarzy z Krymu, Gruzini i Ormianie, była to bowiem główna linia kolejowa, łącząca Moskwę z Kaukazem. Władza radziecka wciąż jeszcze borykała się z trudnościami; poznać to można było już choćby po stanie wagonów: okna powybijane, skórzane części wyposażenia powycinane (pewnie na podeszwy), miękkie siedzenia poszarpane. Choć panowała zima, pociągu nie ogrzewano i wagony nie miały oświetlenia.

Z początku chłód nie dawał się nam zbytnio we znaki, bo zima na Kaukazie łagodniejsza jest od naszej, ale gdy dotarliśmy na Ukrainę i za Rostowem pociąg skręcił na północ ku Moskwie, styczniowy mróz ściął wszystko lodem. Gwałtowny wiatr stepowy przypuścił do wagonów szturm, zasypując je tumanami śniegu. Wysiłki, by zatkać wybite okna papierem, częściami ubrania lub kocami, nie zdały się na nic. Konduktor próbował nam pomóc i gorąca herbata, którą Bóg wie jakim sposobem gotował, stała się dla nas istnym błogosławieństwem. Piliśmy ją bez cukru, bo w owych latach był on na wagę złota.

Pociąg zatrzymywał się często i stał całymi godzinami na mniejszych lub większych stacjach, a że po drogach buszowały bandy, dolatywało do nas wtedy echo gwałtownej strzelaniny.

Konduktor informował półgłosem:

— Banda Machno albo Petlury...

Tak, były to ciężkie lata. Władza radziecka, odparłszy w zaciętej walce najemne armie imperialistycznej interwencji, usiłowała przezwyciężyć chaos gospodarczy, spowodowany wewnętrzną kontrrewolucją, doprowadzić do porządku administrację, zapewnić zaopatrzenie w żywność, zachwiane wskutek niesłychanej suszy na Powołżu i Ukrainie, oczyścić lasy i stepy z panoszących się tam band anarchistów, wyprowadzić okręt rewolucji, ostrzelany i osmalony w ogniu straszliwych starć, na pewny brzeg.

W owych czasach Moskwa nie wyglądała tak jak dzisiejsza ogromna i wspaniała stolica Związku Radzieckiego. Jest to zupełnie zrozumiałe: miała za sobą dopiero parę lat rewolucji, a były to lata niewypowiedzianych cierpień i tytanicznego trudu. Brakło czasu na budowę, przebudowę czy rozbudowę, bo cały wysiłek ludu zmierzał do utrzymania zdobytej władzy. Był to dopiero pierwszy rok nowej polityki ekonomicznej (NEP), ogłoszonej przez Lenina, ale kryzys gospodarczy już zelżał, na rynku znów pokazały się produkty żywnościowe, odzież, obuwie, różne przedmioty użytku domowego. Życie, trzeszcząc i zgrzytając, powoli zaczynało toczyć się nowymi torami naprzód. Wielu jednak było niedowiarków, którzy otwarcie wypowiadali swe wątpliwości na temat NEP-u, a jeszcze więcej ukrytych wrogów i sabotażystów, zwolenników obalonego ustroju, zakonspirowanych agentów kontrrewolucji i imperializmu, którzy działali bądź cichaczem, za pomocą noża i trucizny, bądź jawnie, wzniecając pożary i powodując wybuchy, z szatańską złością przyjmując każdy sukces władzy radzieckiej.

Były to rzeczywiście ciężkie lata. Jednakże naród radziecki, który dał sobie radę z jawną interwencją i wściekłym szturmem kontrrewolucji, pokonał i te przeszkody. Naród ten miał potężną i mądrą partię, miał Lenina, którego sława obiegła świat, zyskując mu przywiązanie milionów proletariuszy, którzy powiązali z nim wszystkie swoje nadzieje. Ten naród, który z taką odwagą podjął dzieło rewolucji, nie zamierzał zatrzymać się w pół drogi.

2. Berzin, twórca wywiadu radzieckiego

Żeczo Giumiuszew i Bojan Papanczew z łatwością dawali sobie radę w ruchliwym mieście, choć mnie się zdawało, że pozostawiony sam sobie zabłąkałbym się niechybnie w ludzkim wirze. Przespawszy noc w jakimś hotelu robotniczym, zaraz

następnego dnia rano udaliśmy się do siedziby Międzynarodówki. Obaj moi towarzysze nie tracąc czasu zajęli się swoimi sprawami, mnie zaś zatrzymał u siebie przedstawiciel naszej partii w Międzynarodówce Stanimir Sapunow. Nie znałem go; był to starszy już, siwowłosy człowiek, który wyemigrował po jakiejś wsypie w Widyniu, gdzie był jednym z działaczy kierownictwa. (Nie dowiedziałem się później o nim nic więcej, nie wiem nawet, czy rzeczywiście tak się nazywał, gdyż wszyscy emigranci polityczni przybywający na dłużej lub krócej do ZSRR występowali pod pseudonimem. Było to konieczne dla ich późniejszego bezpieczeństwa po powrocie do własnych krajów).

Opowiedziałem Sapunowowi o sobie. Zadał mi szereg pytań dotyczących mego dotychczasowego życia i działalności. Odpowiedziałem na nie szczegółowo, a następnie wyraziłem życzenie, bym mógł pracować.

— Pracować! W Kraju Rad jest dostatecznie dużo rąk do pracy! Może...

— Bardzo o to proszę, towarzyszu Sapunow! Później na pewno będę się uczyć; mam niedostateczne wykształcenie i czuję, że muszę je uzupełnić. Myślę jednak, że wpierw powinienem sobie na to zasłużyć. Chciałbym pracować w swoim zawodzie w jakiejś moskiewskiej fabryce.

Stanimir Sapunow miał dość dużo kłopotu ze spełnieniem mego życzenia. Nie dlatego, by w stolicy nie było odpowiedniej fabryki, musiał jednak przekonać o słuszności mego stanowiska innych działaczy partyjnych, którzy myśleli podobnie jak on. Tylko Kołarow zgodził się ze mną całkowicie.

Wasila Kołarowa zobaczyłem wieczorem po rozmowie z Sapunowem. On to zawiadomił go o przybyciu naszej trójki, co spowodowało natychmiastowe zaproszenie do hotelu „Lux", gdzie Kołarow mieszkał. Z łatwością odnalazłem ten budynek, mieszczący się na bulwarze, któremu obecnie nadano nazwę Gorkiego, w pobliżu Domu Rad i Kremla. Ekskluzywny przed rewolucją hotel „Lux", teraz przekształcony został na dom dla kierowniczych kadr Międzynarodówki. Kołarow zajmował tam wraz z rodziną dwa pokoje. W porównaniu z dzisiejszy-

mi wymogami było to pomieszczenie dla czteroosobowej rodziny bardzo skromne, ale w owych latach Moskwa przeżywała niesłychany kryzys mieszkaniowy w związku z dwu- i trzykrotnym przyrostem ludności. Cwetana Nikołajewa, żoną Kołarowa, uczyniła z tego małego wnętrza czyste, przyjemne i przytulne gniazdko. Połowę pokoju gościnnego przystosowała tak, że stanowiła gabinet. Jedną ścianę zajmowała tam biblioteka wypełniona książkami w języku bułgarskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim i włoskim, bo Kołarow władał nimi wszystkimi. Pozostałe ściany ozdobione były obrazami olejnymi, z których część malował sam gospodarz.

Powitał mnie on tak serdecznie, że nieśmiałość, jaka owładnęła mną, gdy szedłem do niego, zniknęła w jednej chwili. Przyjął mnie jak młodszego brata po długim niewidzeniu, przedstawił żonie i dwóm swoim synom — Petrowi i Nikołajowi. Stół, nakryty gościnnie na pięć osób, czekał na mnie, usiedliśmy więc do kolacji. Znalazła się i butelka francuskiego wina, bo gospodarz wrócił właśnie z Francji, gdzie jako przedstawiciel Kominternu uczestniczył w konferencji partyjnej KPF.

Po kolacji usiedliśmy obaj z Kołarowem w jego gabinecie i tu do północy opowiadałem o Bułgarii, o sytuacji naszej partii, o stosunku do niej rządu, o działalności starych partii, które zgrupowały się w Demokratycznym Porozumieniu, aby przeprowadzić swoje szatańskie plany. Na życzenie Kołarowa opowiedziałem też szczegółowo o Plewen, o naszych akcjach zbrojeniowych, o broni z pociągów, o „piątkach", o organizacji wojskowej. Słuchał, a potem znów zadawał pytania; ogromnie interesował się każdym faktem, każdym posunięciem, sukcesem czy niepowodzeniem organizacji pleweńskiej. Rozumiałem go. Jako sekretarz partii pragnął wiedzieć dokładnie, jak pracuje i przygotowuje się do przyszłych bitew klasowych jedna z większych organizacji okręgowych w kraju, jako sekretarz Kominternu zaś interesował się ilością i jakością sił, które walczą pod sztandarami Międzynarodówki.

Mówiłem, odpowiadałem, a także na jego życzenie wysnuwałem i precyzowałem swoje przypuszczenia co do przyszłe-

go rozwoju walki klasowej w kraju, Kołarow zaś od czasu do czasu zapisywał coś w notatniku.

Miał wówczas zaledwie czterdzieści sześć lat, ale włosy na skroniach całkiem mu już posiwiały i zaczynał łysieć. Pod jego oczami widniały cienie od niewyspania, czoło miał poorane zmarszczkami — łatwo było sobie wyobrazić, ile trosk spoczywa na jego barkach — jednakże zielonkawoniebieskie oczy Kołarowa lśniły wciąż młodzieńczo, pełne życia. Zdumiewało mnie, ile faktów, nazwisk i wydarzeń związanych z organizacją pleweńską pamięta. Zachował w pamięci nawet naszą rozmowę w jego gabinecie w Sofii po ukończeniu przeze mnie szkoły partyjnej i wszystko, co dotyczyło nieudanego sabotażu na moście kolejowym.

— Muszę ci powiedzieć — rzekł w końcu — że tutaj też wiedzą o związanej z konfiskatą broni działalności organizacji pleweńskiej, o twoim aresztowaniu i pobycie w więzieniu...

— Kto tu może o tym wiedzieć?

— Ludzie w Sztabie Generalnym Armii Czerwonej...

Byłem szczerze zdziwiony. Co wspólnego miała nasza robota w Plewen z Armią Czerwoną? I cóż takiego zrobiliśmy, że dowiedziano się o tym aż tutaj, w Sztabie Generalnym? Czy aby się nie przesłyszałem?...

Zdumienie moje nie uszło oczywiście uwagi Kołarowa.

— Nie dziw się tak — powiedział z uśmiechem. — Każda akcja wymierzona przeciwko poczynaniom białogwardzistów, każdy czyn przeciw zakusom imperialistycznej interwencji, bez względu na to, w jakim zakątku świata dokonany, uważany jest przez ludzi radzieckich za pomoc dla ich kraju. I bardzo sobie ją cenią, cenią też swych przyjaciół — komunistów i uczciwych ludzi na całej kuli ziemskiej, którzy zrobili coś dla sprawy obrony Kraju Rad. Wiedzą więc i o tobie...

Czytelnik łatwo zrozumie mój stan ducha — odczuwałem zadowolenie, że ludzie radzieccy doceniają nasze wysiłki, ale jednocześnie nie mogłem wyjść ze zdumienia, nie rozumiałem jeszcze bowiem wielu spraw i nie kojarzyłem ich we wzajemnym związku.

— Towarzysze wiedzieli tu o twoim aresztowaniu, ale nie wiedzieli jeszcze o twojej ucieczce — ciągnął Kołarow. — Teraz chcą cię poznać osobiście. Jutro (tu podał mi dokładną godzinę) pójdziesz do Czwartego Wydziału w Sztabie Generalnym. Spotkanie jest umówione. Przyjmie cię osobiście Paweł Iwanowicz Berzin.

Czwarty Wydział (wywiadowczy) przy Sztabie Generalnym Armii Czerwonej mieścił się wówczas w niewielkim budynku w sąsiedztwie Placu Czerwonego. Strzeżono go pilnie, były to bowiem lata bezwzględnej walki z nie dobitym jeszcze wrogiem.

Przy wejściu do budynku czekał na mnie oficer. Podałem nazwisko i wprowadził mnie do środka. Szedłem nieśmiało; upłynęło zaledwie parę dni od chwili, gdy znalazłem się na radzieckim brzegu, a wydarzyło się już tyle nieoczekiwanych rzeczy, że ciągle żyłem jak w oszołomieniu.

Najpierw przyjęła mnie sekretarka naczelnika wydziału. Była to młoda Rosjanka, szczupła i zgrabna, z krótko ostrzyżonymi jasnokasztanowymi włosami. Podaliśmy sobie ręce. Zapoznając się, nie przypuszczaliśmy, że z Natalią Zwonariową — obecnie pułkownikiem rezerwy — w ciągu przeszło dwudziestu lat będziemy towarzyszami walki na tym samym froncie.

— Paweł Iwanowicz czeka na was — uśmiechnęła się do mnie pogodnie Zwonariowa i otworzyła szczelnie zamknięte, grubo obite drzwi gabinetu.

Sądzę, że czytelnik mi wybaczy, iż w tym miejscu przerwę tok mego opowiadania, by przedstawić krótko Pawła Iwanowicza Berzina, największego wywiadowcę radzieckiego, nieocenionego i niezastąpionego twórcę radzieckiego wywiadu wojskowego. To, co o nim powiem, było wiadome do niedawna tylko najbliższym jego współtowarzyszom i — oczywiście — kierownictwu partyjnemu, dopóki bowiem wywiadowca działa, musi go otaczać absolutna tajemnica; im mniej o nim wiadomo, tym większa jest gwarancja jego powodzenia, tym mniejsze ryzyko wsypy i niebezpieczeństwo utraty życia.

Naczelnik ośrodka wywiadowczego nazywał się naprawdę

Jan Karłowicz Berzin i był z pochodzenia Łotyszem. Urodził się dokładnie dwadzieścia siedem lat przed Rewolucją Październikową w rodzinie biednego łotewskiego chłopa. Ojciec jego nie tylko nie posiadał ziemi czy nawet domu, lecz nie miał w ogóle nic, nie był nawet panem swego własnego losu. Prawo pańszczyźniane zostało wprawdzie zniesione jeszcze w końcu ubiegłego wieku, ale w tym zapomnianym przez wszystkich zakątku ziemi obszarnicy — bałtyccy Niemcy — byli wciąż władcami bezspornymi i absolutnymi.

Mały Jan przejawiał zdolności, pociągały go książki. Gdy nauczył się czytać, czytał o wiele więcej niż jego rówieśnicy, co skłoniło jego ojca, by mimo straszliwej nędzy wysłać syna do Ryskiego Instytutu Nauczycielskiego. Jan nie zdołał go ukończyć; ostre starcia rewolucyjne w Rydze spowodowały przysłanie oddziałów kozackich i zamknięcie instytutu przez carat. Berzin wrócił do domu, lecz z tego okresu oprócz zdobytej wiedzy wyniósł płomień idei rewolucyjnych, który na zawsze zachowa w sercu. W jego stronach rodzinnych działał wówczas śmiały oddział partyzantów zwanych „Braćmi po Orężu", stanowiący postrach obszarników, policji i miejscowej administracji. Jan wstąpił do tego oddziału. Nie miał wówczas jeszcze czternastu lat, lecz odznaczał się inteligencją, rozwagą i opanowaniem dorosłego. Dlatego po wydarzeniach lutowych 1905 roku został przyjęty w szeregi partii socjaldemokratycznej. Tak więc już jako piętnastoletni chłopak rozpoczął walkę na śmierć i życie przeciwko policyjnemu reżimowi carskiego samodzierżawia. Wkrótce nadszedł czas pierwszej próby: oddział partyzancki dostał się w okrążenie znacznych sił kozackich i Jana wraz z kilkoma towarzyszami schwytano. Uratował go młodzieńczy wiek; otrzymał pięćdziesiąt batów i został wypuszczony na wolność, podczas gdy jego towarzyszy rozstrzelano.

Po raz drugi dostał się w ręce wroga w roku 1906, gdy przybył ze specjalnym zadaniem partyjnym do Rygi. Wykonując polecenie, wpadł w policyjną pułapkę. Zaczął się ostrzeliwać, zabił jednego z policjantów i uciekł. Pogoń dopadła go nad rzeką. Jan nie wahając się skoczył w lodowaty nurt. Do pły-

nącego zaczęto z brzegu strzelać z karabinu maszynowego. Z trzema ranami, ostatnim wysiłkiem dotarł na drugą stronę, ale stracił przytomność z upływu krwi i został ujęty. Trybunał wojskowy skazał go na śmierć przez rozstrzelanie. Jan przez kilka tygodni w celi skazańców czekał na nadejście plutonu egzekucyjnego. Doczekał się zmiany wyroku śmierci na dożywocie, ponieważ nie był pełnoletni.

Już w 1909 roku opuścił więzienie i natychmiast podjął propagandę rewolucyjną wśród robotników i chłopów. Ponownie schwytany, został zesłany dożywotnio na Syberię.

Syberia jest straszna dla człowieka małego duchem, ale nie dla rewolucjonisty, który życie swe poświęcił sprawie. Janowi udaje się zbiec z zesłania. Pod przybranym nazwiskiem wrócił do Petersburga i w 1916 roku zaczął pracować jako metalowiec w fabryce. Ale właściwe jego powołanie dawno już się skrystalizowało — był rewolucjonistą. Toteż gdy w lutym 1917 roku podniosła się pierwsza fala rewolucji, Jan wraz z kolektywem robotniczym na ulicach Petersburga wziął udział w starciach z policją i wiernymi samodzierżawiu junkrami. W październiku, już jako członek wyborskiego komitetu okręgowego partii bolszewików, Jan uczestniczył w godnym epopei szturmie na Pałac Zimowy. Zdobycie tej twierdzy znienawidzonego ustroju jest dopiero początkiem ciężkich zmagań. Wróg wewnętrzny i zewnętrzny, ukryty i jawny, ale zawsze bezczelny, okrutny i bezwzględny, wciąż próbował obalić młodą władzę. Wtedy to znalazł się ów człowiek o czystych rękach i płomiennym sercu — Feliks Dzierżyński, który jako przewodniczący Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem zgrupował wokół siebie zahartowanych bolszewików, gotowych oddać ostatnie tchnienie za sprawę rewolucji; podjęli oni bardzo niebezpieczną, skomplikowaną i odpowiedzialną pracę. Berzin, który dał się szybko poznać Dzierżyńskiemu, otrzymał odpowiedzialne zadania, a natychmiast po rozgromieniu białych, jeszcze w 1921 roku, Dzierżyński skierował Berzina (który przybrał imię Paweł Iwanowicz) do Czwartego Wydziału przy Sztabie Generalnym Armii Czerwonej jako zastępcę naczelnika. Wkrótce Berzin został tam

naczelnikiem, a miał dopiero trzydzieści trzy lata! Gdyby Dzierżyński naśladował zachodnie imperialistyczne ośrodki wywiadowcze, na tak odpowiedzialnym stanowisku umieściłby kogoś w poważniejszym wieku i z wieloletnim doświadczeniem. Nie na darmo jednak rewolucja zwyciężyła i przystępowała do wykuwania swoich kadr w rozżarzonej kuźni walki. Dzierżyński nie mógł wybierać ludzi, musiał ich odkrywać. Jego bezbłędne wyczucie i tym razem go nie zawiodło: Berzin spełnił pokładane w nim nadzieje. Wydział wywiadowczy przy Sztabie Generalnym, mając ogromny teren działania, zaczął zdobywać pierwsze sukcesy i w Europie, i na Dalekim Wschodzie, i w świecie arabskim, i w Indochinach. Po dyplomacji radzieckiej, która rozpoczęła już polityczny dialog ze światem, obecnie i wywiad radziecki, kierowany z talentem, zaczyna nadspodziewanie pomyślnie obezwładniać machinacje wszechpotężnych do niedawna wywiadów imperialistycznych, zapobiegać ich perfidnym planom, przenikać do największych tajemnic imperialistycznej machiny wojennej, nie gardzącej żadną metodą, by zniszczyć młode państwo radzieckie. Bolszewicy — dotąd bohaterowie walk na barykadach i owiani legendą śmiałkowie otwartego szturmu — obecnie zaczęli siać postrach w szeregach swych śmiertelnych wrogów, umiejętnie walcząc na cichym froncie. Jakże wiele ważnych zadań wykonał ośrodek wywiadowczy przy Sztabie Generalnym, pod kierownictwem zahartowanego w bojach komunisty, Pawła Iwanowicza Berzina, broniąc ustroju radzieckiego!

Berzin jako strateg wykazał zadziwiające cechy. Należała do nich umiejętność subtelnego analizowania każdej sytuacji i talent wymierzenia druzgocącego ciosu tam, gdzie wróg się najmniej spodziewał. Ale Paweł Iwanowicz przede wszystkim troszczył się o dobór i przygotowanie rokujących nadzieję kadr, a z początku nie dysponował wieloma ludźmi; wszystko musiał organizować od podstaw. Przede wszystkim zwrócił uwagę na pracowników fabryk i na przedstawicieli inteligencji robotniczej, wykazujących ideowość i bezgraniczne oddanie partii bolszewickiej. Znalazł takich wśród uczestników

walki z caratem, bohaterów Rewolucji Październikowej i wojny domowej.

Nowe kadry, które musiały uczyć się w toku samej pracy, Berzin zaczął wychowywać w duchu prawdziwego internacjonalizmu. Umiał natchnąć tych ludzi odwagą i nauczyć samodzielności w rozwiązywaniu problemów wynikłych w praktyce.

Już podczas wykonywania pierwszych zadań Berzin wykazał cenną umiejętność dostrzegania sedna najbardziej nawet zawikłanego problemu, a przy niepowodzeniach potrafił zachować spokój i opanowanie, zawsze zaś umiał natchnąć swych współpracowników bezcennym poczuciem wiary w ich własne siły.

Właśnie tę cechę Berzina chciałbym szczególnie podkreślić, gdyż wydaje mi się, że właśnie ona — po wnikliwym przygotowaniu ludzi i dokładnym zorientowaniu ich w sytuacji — była generalnym warunkiem, bez którego nie można myśleć nawet o realizacji jakiegokolwiek zadania na głębokim zapleczu wroga.

Tę główną cechę i pozostałe rysy osobowości Berzina niejednokrotnie zauważałem w wieloletniej z nim współpracy. Tej współpracy, która stała się źródłem największych sukcesów i radości w moim życiu.

Gdy znalazłem się w otwartych drzwiach, Paweł Iwanowicz Berzin wstał i z wyciągniętymi na powitanie rękami wyszedł na środek swego przestronnego gabinetu. Był wysoki i postawny, miał na sobie bryczesy, rubaszkę ściągniętą pasem i długie czarne buty. Jego stopy tonęły w miękkim dywanie.

— Witamy was serdecznie w Moskwie, drogi Iwanie Cołowiczu, jesteśmy szczerze radzi, że widzimy was w naszym kraju!

Mocno, po męsku, uścisnął mi rękę. Towarzyszył temu ciepły uśmiech.

„Patrzcie, wie dokładnie, jak się nazywam!" — myślałem, kiedy spoglądał na mnie swymi jasnymi oczyma tak serdecz-

nie, otwarcie i przyjaźnie, że aż zniewalał do odpowiedzenia mu tym samym.

— Macie mi wiele do opowiadania — rzekł, usadowiwszy mnie w miękkim fotelu obok własnego. — Niewiele wiemy o waszej pomyślnej ucieczce, a niemal nic o tym, jak dostaliście się tutaj...

Mówił wolno, najwyraźniej dlatego, by mnie wybawić z kłopotu; nie znałem wówczas rosyjskiego, ale prawie wszystko rozumiałem (teraz sądzę, że umiał nawiązać kontakt nie tylko słowami, ale i za pomocą spojrzenia, mimiki, intonacji oraz gestów).

Słuchając, co mówi, patrzyłem na niego, na mundur opinający barki, na pagony z połyskującymi dwoma małymi metalowymi rombami (w okresie do 1942 roku dystynkcje w Armii Radzieckiej uległy zmianie; w latach, które opisuję, dwa romby odpowiadały randze generała dywizji). Berzin należał do tego typu mężczyzn, których wygląd wiąże się ściśle z wrażeniem siły. Miał szerokie czoło, jasne brwi nad spokojnymi niebieskimi oczami, prosty rzymski nos, masywną brodę — twarz jego tchnęła harmonią, znamionowała zdecydowanie i równowagę ducha. Jasne, krótko po żołniersku ostrzyżone włosy podkreślały jego wygląd człowieka czynu.

Krótko zrelacjonowałem to, co go interesowało. Mówiłem wolno, ale spoglądając na niego cały czas miałem wrażenie, że wysławiam się nie dość jasno i rzeczowo, że mnie nie rozumie. Myliłem się jednak, Berzin słuchał uważnie i co chwila zadawał mi pytania.

— Proszę mówić swobodnie, tylko trochę wolniej — uspokoił mnie po chwili. — Rozumiem prawie wszystko, umiem nawet trochę po bułgarsku. Zainteresowałem się waszym językiem, przekonawszy się, jak wielkiego przyjaciela na Bałkanach mamy w waszym narodzie i partii... Wiadomo nam o powstaniu żołnierskim — kontynuował. — Słyszeliśmy o Republice Radomirskiej, wiemy o krwawych starciach pod Sofią. Sam Włodzimierz Iljicz wysoko ocenił bohaterstwo waszych rewolucjonistów. Bolszewicy uważają komunistów bułgarskich za swoich wiernych towarzyszy broni...

Łatwo sobie wyobrazić, jak dalece pochlebiały mi słowa Berzina. Przybyć z kraju tak małego, że uchodzi uwagi na globusie, tu, do wielkiego Kraju Rad, kraju Lenina, i usłyszeć, że Rosjanie, którzy pierwsi rozżarzyli płomień rewolucji, uważają bułgarskich komunistów za swoich wiernych towarzyszy broni — to musi wzruszyć!

— Szczególnie cenimy pomoc, której wasza partia udzieliła nam w ostatnich latach — podjął Berzin. — Zboże przysłane przez was dla głodującego Powołża to piękny, braterski gest...

— Ależ, Pawle Iwanowiczu! — pozwoliłem sobie przerwać mu. — Cóż to znaczy wobec tylu żołnierzy rosyjskich, którzy oddali życie za wolność Bułgarii?

Berzin pokiwał głową.

— Znaczy wiele, mój drogi przyjacielu... Naród rosyjski bardziej niż kiedykolwiek pojmuje teraz wartość prawdziwej przyjaźni, teraz, gdy dokoła gromadzą się hieny i wilki, gotowe rozszarpać nas na kawałki... Ale Kraj Rad jest wam wdzięczny i za inną jeszcze pomoc — mówił, a moje zainteresowanie wciąż wzrastało. — Partia wasza znacznie się przyczyniła do rozpadu białogwardyjskich armii na bułgarskim terytorium; zrobiła wiele, uświadamiając uczciwych Rosjan, pociągniętych w przepaść przez białych generałów, co do istoty rewolucji i sabotując dowóz broni dla białogwardzistów...

Ostatnie słowa sprawiły, iż oblał mnie rumieniec wstydu. Przypomniało mi się bowiem „wysadzenie" mostu na Wicie. Toteż zaprotestowałem niepewnie:

— Nie zawsze, Pawle Iwanowiczu... Nie zawsze te nasze sabotaże były udane...

— A czy działania komunistów rosyjskich zawsze były udane i bezbłędne? — przerwał mi Berzin, odgadłszy, co miałem na myśli. — Nie udały się wam niektóre akcje, ale spisaliście się dzielnie, konfiskując broń z wagonów i wynosząc ją z magazynów wojskowych. Chwaty!

Słuchałem jego słów i wydawało mi się, że chwali jakiś inny naród, inną partię komunistyczną. Czyżby rzeczywiście nasz skromny udział w walce miał tak wysoką cenę? A może Berzin teraz tak jak zwykle w późniejszej wspólnej pracy ce-

lowo podkreślał wartość czynu, choćby błahego, by natchnąć ludzi energią i wiarą we własne siły, by przelać w nich część własnego rewolucyjnego optymizmu? Dlatego również nigdy nie przesadzał w negatywnej ocenie błędu...

„Chyba rzeczywiście bolszewicy cenią wysoko naszą partię — myślałem wówczas — skoro sam Lenin stawia ją za przykład innym partiom w Europie i skoro na jego wniosek nasz sekretarz został wybrany generalnym sekretarzem Międzynarodówki".

W dalszym ciągu rozmowy szczegółowo opisałem (Berzin bardzo chciał się o tym dowiedzieć) nasze akcje na liniach kolejowych. Zdumiewała go, czego nie ukrywał, sprawna organizacja całej roboty, poczynając od Sofii, skąd otrzymywaliśmy informacje o zaplombowanych wagonach, do samej „ekspropriacji", przewozu, ukrywania i centralnego rozdziału broni.

— To jest możliwe — stwierdził — tylko w wypadku istnienia sprężystej partii, której członkowie są wysoce świadomi i zdyscyplinowani.

Wiele faktów, o których mówiłem, było dobrze znanych Berzinowi, lecz mimo to nalegał, bym o nich opowiedział — interesował go mój punkt widzenia, moja ocena zorganizowania i wykonania akcji, moja analiza popełnionych błędów... Po jakimś czasie wydało mi się, że Berzin nie tyle pragnie zapoznać się z działalnością pleweńskiej organizacji, ile ocenić moją wartość jako żołnierza, bojownika i konspiratora... Później zauważyłem, iż rzeczywiście charakterystyczne dla Berzina było dążenie nie tylko do tego, by osobiście znać każdego swego pracownika, ale i by wyrobić sobie dokładną opinię o jego zdolnościach, konkretnych możliwościach i skłonnościach charakteru. Na tej podstawie kierował go potem w takie miejsce i wyznaczał takie zadanie, które maksymalnie odpowiadało jego przygotowaniu. Między innymi ta cecha pracy Berzina z góry zapewniała radzieckiemu wywiadowi świetne sukcesy.

— Będziemy jeszcze nieraz rozmawiać, mój drogi przyjacielu — powiedział, gdy skończyłem relację. — Muszę jednak już teraz stwierdzić, że my tu, w wydziale, wysoko cenimy

pomoc i współpracę bułgarskich rewolucjonistów. Cieszę się, że i wy również znajdujecie się wśród naszych pracowników...

Nie zrozumiałem. Spostrzegłszy moje zdziwienie, wyjaśnił, iż ośrodek zaliczył mnie do grupy swoich współpracowników za granicą jeszcze w połowie 1922 roku. Owi dwaj „białogwardziści", którymi opiekowałem się w Plewen i którym towarzyszyłem następnie do Warny, byli pracownikami Berzina. Po powrocie do Moskwy złożyli raport o tej dziedzinie działalności naszej partii, która miała na celu krzyżowanie planów białogwardzistów, opowiedzieli też o nielegalnej robocie organizacji pleweńskiej, a także pozytywnie ocenili mój w niej udział; odtąd moje nazwisko figurowało w tutejszym spisie.

Teraz Berzin zaproponował mi przystąpienie do pracy w wydziale.

— Proszę mi na razie nie odpowiadać: „tak" lub „nie", bo tu nie chodzi o wykonanie jednego zadania ani o angażowanie się na jakiś okres czasu; tu chodzi o całe życie, o wybranie sobie losu wywiadowcy. W naszym mniemaniu przeszliście już konieczny egzamin praktyczny. Reszta, to jest sztuka wywiadowcza, przyjdzie w miarę zdobywania doświadczenia. Dla nas istotne jest to, że macie ręce robotnika, serce komunisty i że jesteście oddani Krajowi Rad...

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Potem Berzin wezwał swych pomocników i współpracowników, aby mnie z nimi zapoznać. O jednym z nich, Griszy Salninie, będzie jeszcze mowa w tych wspomnieniach. Kierował on odcinkiem, na którym miałem pracować. Wykonywaliśmy z nim później za granicą poważne i ryzykowne zadania. Po dłuższej ogólnej rozmowie rozstaliśmy się z tym, że wkrótce dam odpowiedź.

Jeszcze tego samego wieczoru udałem się do mieszkania Kołarowa w „Luxie". Zastałem tam Wasila Karawasilewa, z którym bezskutecznie próbowałem się spotkać zaraz po przybyciu do Moskwy, bo jako słuchacz akademii wojskowej wyjechał w tym właśnie czasie z miasta na ćwiczenia zimowe.

Karawasilew miał na sobie piękny mundur akademii, w którym wyglądał całkiem jak młody gruziński książę, zwinny i urodziwy. Uściskaliśmy się serdecznie i podczas gdy Kołarow

kończył pracę w swym małym gabinecie, opowiedzieliśmy sobie wzajemnie o przeżyciach z dwóch ostatnich lat. Miałem chyba więcej do relacjonowania; Wasil był lakoniczny. Po przybyciu do Moskwy wstąpił na polecenie KC naszej partii do akademii wojskowej („Mamy oficerów wychowanych w carskiej Szkole Oficerów Rezerwy, ale nie mamy czerwonych dowódców, którzy jutro będą musieli poprowadzić rewolucyjne masy..."). Razem z nim studiował na akademii Bojan Byłgaranow; mieszkali nawet w jednym pokoju. Na akademii byli również komuniści bułgarscy: Dimitr Georgijew i Kuzman Stojkow, były wójt komuny nowozagorskiej. Wasil na prośbę Kołarowa odwiedzał go przy każdej nadarzającej się sposobności.

Gdy się już nagadaliśmy, a Kołarow skończył pracować, opowiedziałem o spotkaniu z Berzinem, o jego ocenie naszej partii i o jego propozycji dla mnie. Czułem się mały, słaby i niezdolny do trudnej pracy wywiadowcy, takiej, jak ją sobie wyobrażałem.

Opowiedziałem otwarcie o wszystkich swoich zastrzeżeniach.

— Skończyłeś, Wanko? — zaśmiał się głośno Karawasilew i spojrzał na Kołarowa, który również sprawiał wrażenie rozbawionego. — Muszę przyznać, że gdy wstępowałem na akademię, gnębiły mnie te same mniej więcej wątpliwości. „Czego tu szukasz, Wasilu, wśród bohaterów rewolucji?" — pytałem sam siebie, gdy spoglądałem na kolegów. Byli to sławni dowódcy Czerwonej Armii z Petersburga i Carycyna, z Kijowa i Odessy, prawdziwi czapajewcy, którzy pisali nową strategię nie atramentem, a krwią... I zwyciężali, na złość wszystkim wypróbowanym regułom starej sztuki wojennej... „Czego szukasz, Wasilu, wśród nich?" — pytałem ponownie sam siebie i rzeczywiście czułem się jak chłopaczek wśród dorosłych mężczyzn, którzy z niejednego pieca już chleb jedli...

— A teraz, Wasko? — spytałem.

— A teraz jest mniej więcej tak jak na początku! — uśmiechnął się Karawasilew. — Musiałem jednak zdobyć się na przezwyciężenie kompleksu niższości. Stopniowo wyparła go

ogromna radość, że mogę uczyć się sztuki wojennej jednocześnie w teorii i w praktyce. Bo moi koledzy to w gruncie rzeczy dyplomowani przez życie generałowie...

— Pojmuję wasz stan ducha — przyłączył się do rozmowy Wasil Kołarow. — Jest on w pełni usprawiedliwiony... Bo mimo wybitnej nawet inteligencji tu każdy z naszych ludzi będzie się czuć jak uczeń, który znalazł się na uniwersytecie. Nic dziwnego. Partia bolszewicka zgromadziła kolosalne doświadczenie; właśnie w oparciu o nie wszystkie partie komunistyczne na świecie będą budować, rozwijać i stosować w swych krajach współczesną rewolucyjną teorię i praktykę. Historia wysoko oceniła komunistów rosyjskich. Dowodem tego — zwycięstwo Rewolucji Październikowej, największy sukces w walce proletariatu wszystkich narodów... A co się tyczy ciebie, Wanko — zwrócił się do mnie — zawsze musisz pamiętać o jednym: jesteś bułgarskim komunistą, a każdego bułgarskiego komunistę cechuje proletariacki internacjonalizm. Przyjmij propozycję Pawła Iwanowicza jako dowód ogromnego zaufania wobec naszej partii i wobec ciebie. Zaufanie to już sobie zdobyłeś, ale zachowasz je tylko walcząc bez wytchnienia, wypełniając każde nowe zadanie...

Dałem Berzinowi odpowiedź twierdzącą, ale poprosiłem go o zwłokę przeznaczoną na naukę. Chciałem uzupełnić wykształcenie ogólne, którego brak odczuwałem. Berzin zgodził się od razu, jakby już sam o tym myślał.

— Mam jednak przedtem ogromną prośbę do was, Pawle Iwanowiczu — spojrzałem na niego.

Berzin kiwnął głową, gotów przychylić się do niej.

— Chciałbym sobie zasłużyć na prawo do nauki. Chciałbym jakiś czas popracować w którejś z moskiewskich fabryk... Nie zrobiłem jeszcze nic dla radzieckiej władzy, by tak po prostu jak darmozjad zasiąść do stołu...

Trudno opisać, jak Berzin zareagował na moje słowa! Oniemiał, ze zdumienia otworzył szeroko oczy. Wyglądał, jakby zetknął się z trudną do rozwiązania zagadką. Potem stopniowo

wzrok jego zaczął nabierać wyrazu wesołości, aż wreszcie rozległ się jego głośny, zaraźliwy śmiech. Speszyłem się. Czyżbym palnął jakieś głupstwo?

Berzin natychmiast wyczuł moje zmieszanie i objął mnie ramieniem.

— Wybaczcie mi ten wybuch wesołości, ale ostatnio tak rzadko mam okazję do śmiechu... Zresztą w prośbie waszej nie ma nic zabawnego, ale zmusiła mnie nagle do spojrzenia na sprawę z innej strony, a wtedy przedstawia się ona nieoczekiwanie ciekawie... Oczywiście, znajdziemy wam odpowiednią pracę; doświadczeni majstrowie zawsze są mile widziani w naszych fabrykach. Tylko nie dajcie się całkiem pochłonąć robocie, Iwanie Cołowiczu — spoważniał znowu. — Majstrów do fabryk zawsze znajdziemy. Trudniej o majstrów na naszym froncie, a potrzebujemy ich bardzo. Wy jeszcze nie zaliczacie się do nich, ale ufam, że wkrótce... Zresztą pracujcie, uczcie się, ale pamiętajcie: czekamy na was...

Słowa Berzina mogły schlebiać miłości własnej i chyba tak właśnie na mnie podziałały, ale nie odstąpiłem od powziętej decyzji. Byłem robotnikiem. We krwi miałem umiłowanie pracy i ono właśnie chroniło mnie zawsze przed przesadną oceną własnych możliwości.

Rozpocząłem robotę w jednej z dużych moskiewskich wytwórni mebli, boazerii i instrumentów muzycznych. Gdy poznano moje umiejętności, otrzymałem dobre stanowisko. Wraz z pracą otrzymałem mieszkanie przy Cwietnym Bulwarze — jednej z najładniejszych ulic Moskwy.

Już w kwietniu, mimo że jeszcze nie chciałem odrywać się od pracy, kolektyw fabryczny zaproponował, bym został słuchaczem trzyletniej Wyższej Szkoły Partyjnej. (Czy nie zainicjował tego dyskretnie Paweł Berzin?). Myśl tę popierał również Wasil Kołarow, który wydał mi wymaganą do tego opinię.

Szkoła owa, nazywana wówczas również uniwersytetem swierdłowskim, była sławna; przygotowywano tam rekrutujące

się wyłącznie z proletariatu kierownicze kadry partii bolszewickiej. Komisja egzaminacyjna, złożona ze starych komunistów, w wyborze kandydatów kierowała się nie tylko stopniem ich wykształcenia, lecz także poziomem wiedzy politycznej. Zadawano mi więc na egzaminie wstępnym pytania dotyczące walk w II Międzynarodówce, różnic poglądów na konferencjach w Zimmerwaldzie i Sztokholmie, postanowień III Międzynarodówki oraz charakterystycznych cech powojennej sytuacji politycznej w Europie. Odpowiadałem zwięźle, rzeczowo, jak przystało na lewicowego socjalistę. Egzamin zdałem, zagadnienia te bowiem omawiano z nami w Szkole Partyjnej w Sofii, były one też przedmiotem dyskusji na wszystkich zebraniach partyjnych w Plewen oraz gorących sporów z prawicowymi socjalistami, a także rozpatrywano je szczegółowo na łamach „Gazety Robotniczej", stanowiącej codzienną lekturę każdego bułgarskiego komunisty. Bułgarscy lewicowi socjaliści — co stwierdziła nawet III Międzynarodówka — w owych latach ustępowali tylko partii bolszewików pod względem aktywności kolportażu literatury rewolucyjnej, uświadomienia politycznego i teoretycznego przygotowania kadr.

Kiedy więc zostałem przyjęty i członkowie komisji gratulowali mi, dumą napawały mnie słowa tych siwowłosych komunistów, wyrażające jak najlepszą opinię o naszej partii, o jej sile rewolucyjnej, o jej nieustępliwej walce przeciw wojnie, przeciw wszelkim rewizjonistom i socjal-sprzedawczykom, o jej pomocy dla Rewolucji Październikowej, o umiejętności uświadamiania pracujących mas i przygotowywania ich do rewolucji...

3. Pleweńskie powstanie czerwcowe— triumf i dramat

O wojskowym przewrocie faszystowskim dokonanym w dniu 9 czerwca dowiedzieliśmy się z doniesień prasowych. Dzienniki moskiewskie, podając tę informację za korespondentami

zachodnimi z Sofii i Belgradu, lakonicznie stwierdziły, że rząd Stambolijskiego został obalony, a władzę objął nowy gabinet z Aleksandrem Cankowem na czele.

W stolicy ZSRR przebywało wówczas około pięćdziesięciu bułgarskich komunistów. Byli to przedstawiciele naszej partii w Kominternie, emigranci polityczni, ludzie przysłani tu, by uczyć się w różnych szkołach partyjnych i akademiach wojskowych, oraz nielegalni kurierzy partyjni. Wieść o przewrocie, na którą, być może, miliony rosyjskich czytelników prasy nie zwróciły nawet uwagi (tyle innych ważnych rzeczy działo się na świecie), nami wstrząsnęła bardzo. Wszystko inne przestało mieć znaczenie: i nauka, i zajęcia wojskowe, i praca partyjna. A ponieważ partia nasza od dawna mówiła o niemożności uniknięcia takiego przewrotu i czyniła przygotowania do wystąpienia zbrojnego, myśleliśmy, że oto nadeszła chwila, która zadecyduje o ustanowieniu władzy rad w Bułgarii.

Wieczorem zebraliśmy się w pokoju naszego przedstawicielstwa w Kominternie. Panował nastrój gorączkowego podniecenia i niepokoju. Wypytywaliśmy się wzajemnie o dalsze wieści, komentowaliśmy lakoniczne informacje gazet, debatowaliśmy i wysuwaliśmy przypuszczenia co do rozwoju sytuacji. Oczekiwaliśmy Wasila Kołarowa, który z racji zajmowanego stanowiska pierwszy powinien otrzymać wszelkie nowe doniesienia z Bułgarii. Nadszedł wreszcie, zdenerwowany i niespokojny.

— Nic wam nie umiem powiedzieć, towarzysze, bo sam nic nie wiem — wzruszył ramionami na nasze pytania. — Towarzysze radzieccy zwrócili się do mnie o napisanie artykułu na temat wydarzeń w Bułgarii. Przekazałem go już prasie (ukazał się 11 czerwca w „Prawdzie", a następnie 12 czerwca w „Izwiestiach"), nie ma w nim jednak żadnych nowych informacji. Oczywiście nie napisałem, że partia nasza poprowadziła masy pracujące do walki z zamachowcami, czy to przy współudziale związku chłopskiego, czy też samodzielnie, ale podkreśliłem, że tylko partia komunistyczna cieszy się takim auto-

rytetem wśród mas, iż mogłaby na ich czele stanąć do walki o rząd robotniczo-chłopski...

Teraz posypały się pytania wypływające ze zrozumienia ogromu odpowiedzialności spadającej w takiej chwili na barki wszystkich bułgarskich komunistów i całej partii, z KC na czele:

— Ale czy partia rozpoczęła już walkę?

— Jakie konkretne kroki przeciwko faszystom podjął Komitet Centralny?

— Czy zamachowcy wszędzie już przejęli władzę?

— Czy pomarańczowa gwardia (chłopska) stawiła opór?

Na żadne jednak Kołarow nie mógł dać odpowiedzi. Sam pragnął się dowiedzieć, co się właściwie dzieje w kraju, tym bardziej że na dzień 12 czerwca (co prasa radziecka podała już wcześniej) zwołane zostało plenum Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki i generalny sekretarz, będący jednocześnie sekretarzem Bułgarskiej Partii Komunistycznej, musiał powiadomić kierowniczy organ bratnich partii, co uczyniła i co zamierza robić dalej BPK wobec oczywistego faktu zamachu faszystowskiego.

W tym okresie Kołarow utrzymywał bezpośrednią łączność radiową z Komitetem Centralnym w Sofii. Lecz nawet i stamtąd mimo nalegań nie można było otrzymać dokładnych i wyczerpujących informacji. Byliśmy zdezorientowani. Co się dzieje w Bułgarii? A może łączność została zerwana, dlatego że nasi walczą? Przecież przed kilku zaledwie miesiącami mimo zadrażnień z rządem chłopskim nasza partia oświadczyła oficjalnie, że chcąc dokonać przewrotu reakcja kapitalistyczna będzie musiała przejść po trupach komunistów! A może były to tylko pogróżki? Ale przecież w ciągu ostatniego roku nasza partia, mobilizując naród, zademonstrowała rzeczywiście ogromną, realną siłę, zdolną zlikwidować wszelką próbę przewrotu! Czyżby teraz zwinęła sztandary, czyżby przymknęła oczy na niebezpieczeństwo zagrażające nie tylko rządowi chłopskiemu, lecz również wszystkiemu, co demokratyczne w kraju, głównie zaś komunistom?...

Ciężar przeciągającej się niepewności stawał się nie do zniesienia, toteż 14 czerwca wieczorem — dowiedziawszy się, że plenum Międzynarodówki zakończyło obrady — zjawiliśmy się większą grupą w mieszkaniu Kołarowa. Pośród wielu okien hotelu „Lux" tylko jedno świeciło do białego rana. Było to okno gabinetu sekretarza, gdzie oprócz gospodarza zebrali się Wasil Karawasilew, Bojan Byłgaranow, Dimitr Georgijew, Kuzman Stojkow i parę innych osób, których nazwisk nie pamiętam.

— Wydarzyło się coś niezrozumiałego! — oświadczył Wasil Kołarow. — Komitet Centralny zachował się wobec przewrotu biernie. Ogłosił neutralność, twierdząc, że chodzi tu o walkę między dwiema burżuazjami — wiejską i miejską...

Byliśmy zdumieni. Czyżby zdarzyło się to właśnie, o czym każdy z nas myślał ze strachem, a co jednocześnie odpychał od siebie z niesmakiem i wzgardą?

— Ale to nie wszystko — ciągnął Kołarow, spoglądając na mnie i Karawasilewa. — Dopiero dziś nadeszła wiadomość, że organizacja pleweńska ogłosiła powstanie. Jednakże w wyniku interwencji KC przerwano je w chwili, gdy nasi przejmowali już władzę w swoje ręce...

Patrzyliśmy na siebie z Wasko, nie wiedząc, czy triumfować, czy boleć nad tym.

— Nasi powstali! No i co? Co się stało?

Spojrzenie Kołarowa wyrażało niewypowiedziany żal, gdy mówił o tym, co mu właśnie dziś, 14 czerwca, przekazano drogą radiową z Sofii. Powstanie wybuchło w wiejskich ośrodkach okręgu pleweńskiego; tam na jego czele stanął minister rolnictwa Obow, przebywający akurat w Plewen (Obow pochodził stamtąd, mieszkał w naszej VIII dzielnicy, a pod miastem miał majątek ziemski). Jednocześnie za broń chwycili robotnicy w samym mieście. Wszyscy komuniści otrzymali ją z partyjnych schowków. Dzielnica po dzielnicy przechodziła w ich ręce. Wróg ustępował i tylko godziny dzieliły go od całkowitej kapitulacji. Wtedy nadeszła z Sofii fatalna depesza: „Nie występujcie ani na korzyść, ani na niekorzyść jednej czy

też drugiej strony..." Z Moskwy Kołarow natychmiast wysłał telegram polecający poprzeć powstanie pleweńskie *.

— I co wtedy? — zawołaliśmy obaj z Karawasilewem; przeżywaliśmy to bardziej boleśnie niż reszta.

— Wtedy... — Kołarow zawahał się, a potem chłodno poinformował: — Komitet Centralny nadal uporczywie trzyma się swego stanowiska. Komuniści pleweńscy wycofali się z zajętych pozycji. W tej sytuacji zamachowcy stosunkowo łatwo pokonali masy chłopskie, które dotarły już pod samo miasto...

Wszystko to dziś należy do historii. Powstanie czerwcowe pleweńskich komunistów stanowiło wysokiej próby świadectwo ich dojrzałości rewolucyjnej i zdolności prowadzenia walki. Klęska była wynikiem doktrynerskiego ograniczenia kierownictwa nie nadążającego za rewolucyjnością mas partyjnych, które wznieciły walkę nie tylko w Plewen, lecz i w Karłowie, Białej Słatinie, w miejscowości Harmanli, w okręgu szumeńskim i warneńskim...

Wtedy była to gorzka teraźniejszość. Siedzieliśmy w milczeniu w małym gabinecie Kołarowa, przybici smutną nowiną. Ból i żal wypełniał serca, a przeczucie złej przyszłości opanowało umysły, pogrążając nas w rozterce.

Tylko Kołarow zachowywał spokój. Błędne posunięcie KC zaniepokoiło go głęboko, lecz nie wprawiło w pesymizm. Nie był ani zdezorientowany, ani załamany.

— Powiem wam coś ważnego — przerwał po chwili milczenie. — Powstanie czerwcowe wprawdzie upadło, lecz nie za-

---

* Oto jego treść: „Moskwa, 14 czerwca 1923 roku. Zaniepokojeni jesteśmy wiadomością, że chcecie powstrzymać walkę w Plewen przeciwko nowemu rządowi. Czy wiadomość ta jest prawdziwa? O ile możemy ocenić fakty stąd, sytuacja wymaga wspólnego i zdecydowanego działania nawet ze Stambolijskim. W przeciwnym wypadku obecny rząd umocni swoją pozycję i rozgromi komunistów. Rozważcie poważnie sytuację, przypomnijcie sobie taktykę bolszewików w czasie buntu korniłowskiego i działajcie bez wahania. Kołarow". (Kontrrewolucyjny bunt korniłowski wybuchł, jak wiadomo, we wrześniu 1917 roku; wówczas bolszewicy, właściwie oceniając, które niebezpieczeństwo jest w owej chwili najgroźniejsze, natychmiast poparli rząd Kiereńskiego w celu stłumienia buntu). — *Przyp. aut.*

kończyło się klęską. Komuniści wycofali się dobrowolnie. To dowodzi, że nasza partia jest w stanie nie tylko bronić demokracji w kraju, lecz również rozpocząć walkę zbrojną o władzę robotniczo-chłopską. Konieczne jest tylko właściwe pokierowanie nią. W związku z tym będę musiał udać się do Bułgarii...

Słysząc to, wszyscy odruchowo wstaliśmy. Czuliśmy, że nadchodzi czas zdecydowanego działania.

— Wy wszyscy pojedziecie ze mną — wzrok Kołarowa jak na przeglądzie wojskowym spoczął po kolei na każdym z nas. — Z nami wyruszą i inni towarzysze spośród aktualnie przebywających w Moskwie lub gdzie indziej w Kraju Rad. Siły nasze potrzebne są tam, w ojczyźnie. Jeśli teraz pozwolimy umocnić się monarcho-faszyzmowi, jutro już będzie za późno; za dzisiejszy błąd jutro możemy zapłacić krwią...

Wyprostowaliśmy się po żołniersku.

— Przygotujcie się niezwłocznie. Pojutrze jedziemy koleją na Krym. Wy czterej — Kołarow zwrócił się do Karawasilewa, Byłgaranowa, Stojkowa i Georgijewa — możecie już nie wracać do akademii wojskowej; wszystko załatwiłem. I ty, Wanko — rzekł do mnie — możesz nie pokazywać się już w szkole, towarzysze zostali uprzedzeni... A więc do ataku! — uśmiechnął się, jakby chciał dodać nam ducha. — Gdy zwyciężymy, będziemy studiować dalej na własnych bułgarskich akademiach i uniwersytetach partyjnych...

Karawasilew i Byłgaranow, którzy już w Moskwie wiedzieli, że stosując w praktyce zdobyte umiejętności mają uczestniczyć w przygotowaniu strony technicznej powstania, wyruszyli na Krym wraz z Kołarowem 16 czerwca i po trzech dniach przybyli do Sewastopola.

Stamtąd jednak nie udało się wypłynąć od razu, ponieważ na morzu szalał sztorm. Okazało się również, że dowodzący sewastopolską bazą łączności między BPK a Kominternem Grigor Czoczew musi dopiero wezwać łódź motorową z Odessy, gdzie robotą kierował wówczas Bojan Papanczew. Mimo burzy do Sewastopola przybyła niezwłocznie sławna już łódź „Ra-

townik", od dawna kursująca dla nas po Morzu Czarnym. Właścicielem tej motorówki był Gawrił Jerszow, kapitanem Iwan Carikow, marynarzem Nikołaj Popow (wszyscy trzej Lipowanie z podwarneńskiej wsi kozackiej, leżącej nad Jeziorem Gebedżeńskim), a motorowym mieszkaniec Sewastopola, Grisza. Jako jego pomocnik i współpracownik udającej się do kraju grupy na pokładzie łodzi znalazł się jeszcze warneński komunista Boris Bonczew, popłynąć miał również kurier Kominternu Żeczo Giumiuszew. Łódź była spora (około dwunastu metrów długości i trzy tony wyporności), mimo to załoga prosiła o przesunięcie terminu podróży z powodu niepogody. Wasil Kołarow nie zgadzał się jednak; bez względu na ryzyko chciał jak najprędzej znaleźć się w Bułgarii, by zawrócić partię z drogi mogącej ją doprowadzić do katastrofy. Ale gdy późną nocą łódź wyruszyła i znalazła się na otwartym morzu, Kołarow przekonał się, że pogoda rzeczywiście uniemożliwia podróż. Zawrócono, jednakże nikt nie wysiadł na brzeg, by móc wyruszyć niezwłocznie, gdy tylko morze trochę się uspokoi. Wypłynęli po dwudziestu czterech godzinach. Jeszcze szalał sztorm i żaden statek ani łódź nie śmiała opuścić przystani, ale ta grupa ludzi nie mogła już dłużej czekać.

Płynęli trzy doby. Wszystkich oprócz kapitana Carikowa nękała choroba morska. Najgorzej znosili ją nieprzywykli do podróży morzem Kołarow, Karawasilew i Byłgaranow. Nie bacząc na to, Kołarow zagłębił się w prace Lenina traktujące o rewolucji proletariackiej, aby w oparciu o nie skrystalizować ostatecznie ideologiczne podstawy działania w tej decydującej chwili i stamtąd zaczerpnąć argumenty obalające fałszywe stanowisko KC, by członkowie jego nie tylko zrozumieli błąd tkwiący w neutralności, ale i poprowadzili partię do zbrojnej walki o władzę robotniczo-chłopską...

W myśl polecenia Kołarowa miałem wyruszyć za nimi drugą łodzią, również z Sewastopola. Przedtem jednak musiałem zobaczyć się z Berzinem, a następnie poczekać na kilku towarzyszy, których wezwano z głębi Kraju Rad do spiesznego

powrotu, aby wzięli udział w przygotowaniach do powstania zbrojnego w Bułgarii. Musiałem też zabrać ze sobą przenośną stację nadawczą (nieodzowną do podtrzymywania łączności między Warną i Sewastopolem) oraz broń. Na prośbę Wasila Kołarowa jedno i drugie dostarczyli radzieccy towarzysze. Bo czyż władza radziecka mogła pozostać obojętna wobec prób zrzucenia monarcho-faszystowskiego jarzma podjętych przez jakąkolwiek partię czy naród!

W Sewastopolu wszystko szło jak w zegarku. Kierujący łącznością Grigor Czoczew, z którym w latach późniejszych miałem konspiracyjnie współpracować, ułatwił mi zadanie. Ludzie, na których czekałem, zjawili się na czas, radiostacja i broń były już załadowane na łódź — i którejś nocy wyruszyliśmy. Po owym strasznym sztormie, jaki przed paroma dniami zmusił Kołarowa do odwleczenia wyjazdu, nie zostało śladu, morze było teraz spokojne i ciche, jakby odpoczywało. Droga kutrem do Warny trwa zależnie od pogody trzy do pięciu dni, toteż spodziewaliśmy się ujrzeć ojczysty brzeg po trzech dniach.

Rzeczywiście podróż minęła bez najmniejszego defektu silnika (zresztą łódź nasza, jak wszystkie z tej nielegalnej flotylli, miała na wszelki wypadek żagle), bez niepożądanego spotkania na pełnym morzu lub u brzegów Bułgarii, bez najmniejszej straty czasu.

Do naszego brzegu zbliżyliśmy się po południu, ale nie chcieliśmy lądować przed nadejściem nocy — tu musieliśmy już bardzo uważać na mogące nas dostrzec łodzie patroli granicznych i łódki rybackie, które wypływały na połów, bo i wśród rybaków mógł się znaleźć jakiś agent.

O zmroku prowadzona przez doświadczonego sternika łódź ominęła z daleka Zatokę Warneńską i pozostawiwszy za sobą latarnię morską skręciła, by ukryć się w cieniu cypla Gałata. Lekko, cicho i sprawnie przybiła do brzegu i oparła się dziobem o piasek.

W umówionym uprzednio z Kołarowem miejscu czekali na nas działacze organizacji warneńskiej. Jednego z nich, Błagoja Kasabowa, znałem; uściskaliśmy się serdecznie.

— Tamci przybyli? — spytałem o grupę Kołarowa.

— Tak. Niewiele brakowało, żeby zginęli w czasie sztormu...

— A łódź?

— Już wróciła. Zabrała paru naszych ludzi * poszukiwanych przez policję...

— Muszę się zobaczyć z Kołarowem.

— Uprzedził nas o tym...

Miejscowi towarzysze zabrali się wraz z przybyłymi do rozładowywania łodzi, a ja z Kasabowem wyruszyłem do miasta. Łódź zatrzymała się w pobliżu wąwozu Paszadere, więc udaliśmy się tam przez las. Na przesiece czekał wóz. Siedliśmy nań i furman ruszył bez słowa, nie czekając na żadne polecenie.

— A co z łodzią? — spytałem. — Czy ktoś niepowołany nie zauważy jej jutro z rana?

Niepokoiłem się, bo latem brzask wcześnie rozjaśnia niebo.

— Wszystko obmyśliliśmy dokładnie — uspokoił mnie Kasabow. — Zostanie rozładowana przed świtem i jeszcze po ciemku wróci na morze. O zmierzchu znów przybije do brzegu — i tak będziemy postępować, dopóki nie odpłynie...

Nie pytałem, na kogo łódź czeka i czemu nie wraca zaraz; troska o to należała już do innych.

Tej lipcowej nocy Warna była cicha jak wymarłe miasto. Tylko od strony portu dolatywało skrzypienie lin okrętowych i gwizdały manewrujące parowozy. Ale koszary milczały. Wojskowi wraz z reakcyjnymi partiami dokonali już swego szatańskiego dzieła, wsunęli chwilowo miecz do pochwy, by jutro wydobyć go z tym większą złością i okrucieństwem.

Woźnica minął obóz emigrantów rosyjskich przy Kwarantannie, przeciął kanał Jeziora Gebedżeńskiego i wysadził nas gdzieś na przedmieściu, by zniknąć wraz z wozem w dzielnicy robotniczej, my zaś z Kasabowem ruszyliśmy pieszo do śródmieścia. Zatrzymaliśmy się w cieniu drzewa na małej cichej

* Byli to: Michaił Widow — „Senegalczyk", rewolucjonista z Dobrudży, i jego żona, a także Michaił Łazarow-Zantopulo i Christo Genczew, o którym jeszcze będzie mowa. — *Przyp. aut.*

uliczce w pobliżu parku Morskiego. Ulica, jak i całe miasto, była bezludna. Wynurzyliśmy się z cienia listowia i Kasabow pchnął żelazną furtkę wiodącą do dużego, ładnego domu. Dokąd mnie prowadził?

Kilkakrotnie zastukał cicho do jednego z bocznych okien milczącego domostwa. Któreś drzwi uchyliły się bezszelestnie. Weszliśmy. Ktoś przekręcił za nami klucz w zamku i zapalił światło. Nieznajoma kobieta o miłej powierzchowności i szlachetnych rysach twarzy przywitała nas gościnnie, z uśmiechem na ustach i poprowadziła bez słowa w głąb domu.

Było to mieszkanie znanego warneńskiego adwokata, komunisty Georgi Żeliazkowa, a nieznajoma — jego żona Wera.

W jednym z pokojów zgromadzeni wokół dużego stołu naradzali się Wasil Kołarow, Nikoła Penew — członek KC BPK i kierownik łączności partii z zagranicą, Geno Petrow Giumiuszew — brat Żeczo Giumiuszewa, znany warneński przywódca partyjny i związkowy, Dimitr Popow — kierownik warneńskiej organizacji okręgowej, Dimitr Kondow — wójt komuny warneńskiej, Wasil Karawasilew oraz Georgi Żeliazkow — gospodarz domu. W pokoju było jasno, ale okna miały spuszczone żaluzje i zasłony. Kłęby dymu z papierosów, unoszące się nad głowami zgromadzonych, świadczyły, że narada trwa już przez czas dłuższy.

— Towarzyszu Kołarow, pierwsze polecenie wykonane. Łódź z przewidzianym ładunkiem i oczekiwanymi ludźmi jest tutaj! — rzekłem i po złożeniu tego raportu przywitałem się serdecznie ze wszystkimi.

— Oby i dalej wszystko szło tak jak dotychczas — uśmiechnął się Kołarow. Zauważyłem, że oczy ma zaczerwienione od bezsenności.

Opowiedziałem pokrótce o przebiegu podróży, a gdy Popow, Kondow, Petrow i Penew jeden po drugim cicho opuścili nad ranem dom, Kołarow zlecił mi nowe zadanie:

— Wrócisz tą samą łodzią, którą przyjechałeś. Zwróciliśmy się do towarzyszy radzieckich o broń. Teraz trzeba ją tu dostarczyć i ty się tym zajmiesz. Organizacja warneńska dysponuje pewną ilością karabinów, granatów, rewolwerów i naboi,

ale potrzeba nam więcej. Musimy mieć także broń dla organizacji w głębi kraju... Uzurpatorzy dysponują obecnie aparatem państwowym, policją, uzbrojoną armią i oficerami rezerwy. Mają po swojej stronie państwa ententy... Sile musimy przeciwstawić siłę...

Nie próbowałem się sprzeciwiać. Zdawałem sobie z tego sprawę, że rewolucjonista nie wybiera, idzie tam, gdzie jego obecność jest nieodzowna. A jednak w chwili, gdy Kołarow zlecał nowe zadanie, zrobiło mi się żal. Chciałem zostać w kraju, wrócić w rodzinne strony i tam — ramię w ramię z towarzyszami z Plewen — bić się o robotniczo-chłopską władzę. Walka o proletariacką sprawę wszędzie jest zaszczytna, lecz o ileż chętniej toczy się ją pod znanym niebem, wśród bliskich ludzi, na ziemi, z której się wyrosło... Ale rewolucja wszędzie jest ta sama, a przysięga złożona jej obowiązuje...

Nim wyruszyłem z powrotem, poprosiłem Karawasilewa, który musiał już teraz, na początku lipca, znać dokładniej przebieg powstania w Plewen, by mi powiedział, czy rzeczywiście wszystko wyglądało tak tragicznie, jak nam to przedstawiono w Moskwie.

— Z grubsza biorąc wszystko odbyło się właśnie tak, jak nam powiedziano, niestety...

I jeszcze raz opowiedział mi o triumfie i klęsce:

— Masy chłopskie w okręgu pleweńskim powstały już wieczorem 9 czerwca, a na ich czele stanął Conju Matew i major Georgi Koczew. Imponująca siła przeszło dwudziestu tysięcy ludzi ze wszystkich stron zbliżała się ku Plewen. Nie mieli jednak broni, tylko strzelby myśliwskie, parę karabinów z okresu powstania żołnierskiego, widły i drągi.

— Ale przecież BLZCh mógł ich uzbroić.

Wasil potrząsnął głową. Istotnie, rządy sprawował jeszcze Bułgarski Ludowy Związek Chłopski, teoretycznie więc dysponował bronią. Jednakże w chwili uderzenia wojskowi nie dopuścili władzy cywilnej do arsenałów. Pochowana zaś w całym okręgu broń nie miała zamków...

Za to pleweńska organizacja partyjna stanęła na barykadach

dobrze uzbrojona, zorganizowana, zdyscyplinowana i gotowa zrealizować plany sztabu powstańczego.

Sztab składał się z trzech ludzi. Byli to Asen Chałaczew, Iwan Zonkow i Christo Gradinarow. Na pomocników i łączników z poszczególnymi dzielnicami miasta zostali wybrani Kosta Pyrwanow, Ilija Kjuczukow i Atanas Kacamunski. Przywódcami wojskowymi dzielnicowych organizacji partyjnych byli oficerowie rezerwy: Atanas Gyrkow (IV dzielnica), Drumi Uzunow (VII dzielnica), Iwan Angełow (VI dzielnica), Kolio Wenkow i Atanas Kacamunski (IX dzielnica), Christo Cwetkow (V dzielnica), a także Cwetan Cwetanow, Christo Wasilew, Dragoj Wankow, Christo Zgalewski i Paweł Łambow, sekretarz organizacji komsomolskiej. W powstaniu uczestniczyła cała organizacja pleweńska, z kobietami włącznie.

W dniu przewrotu faszyści, nie napotkawszy w mieście najmniejszego oporu ze strony władz chłopskich, szybko zajęli wszystkie posterunki, gmachy publiczne, główne ulice i place. Około południa, umocniwszy swoje pozycje, zaczęli gromadzić w strategicznych punktach wokół Plewen duże grupy, złożone z zaufanych sobie ludzi, złotych młodzieńców i wszelakich mętów węszących łup. Uzbrojonymi oddziałami cywilów dowodzili stojący po stronie zamachowców oficerowie rezerwy; objęli oni władzę w mieście i wokół Plewen ustawiono gniazda ciężkich karabinów maszynowych, gotowych na rozkaz skosić wszystko, co żywe. Na pozycje pod miastem skierowano też zmobilizowanych siłą mieszkańców Plewen, którzy nie orientowali się w polityce. Po ulicach krążyły wzmocnione patrole.

Z chwilą gdy wokół miasta zaczęły gromadzić się gotowe do walki masy chłopskie, poczynania spiskowców stały się gwałtowne i gorączkowe. Tymczasem i nasi dowiedzieli się o tym za pośrednictwem Atanasa Kacamunskiego, Moni Aronowa, Sławi Iwanowa i innych, wysłanych natychmiast po zamachu na wsie dla nawiązania kontaktów z przywódcami stowarzyszeń chłopskich w celu wspólnej akcji przeciw zamachowcom oraz zmobilizowania wiejskich organizacji partyjnych w Byrkaczu, Pordimie, Starosielcach, Wyłczitrynie, Jasenie i innych

ośrodkach. Misja się powiodła i w Plewen powstał zjednoczony front komunistów i chłopstwa.

Wywrotowcy nie ograniczyli się jednak do umocnienia strategicznych punktów, blokujących drogi do miasta. Wiedząc, iż groźniejszy dla nich jest opór komunistów w samym Plewen, zajęli klub partyjny i rozpoczęli aresztowania wśród działaczy. Nie mieli jednak odwagi tknąć przywódców, gdyż tym samym zaktywizowaliby drugi front — wewnętrzny.

W pierwszym dniu przewrotu zamachowcy dysponowali siłą przeszło tysiąca dwustu ludzi, nie licząc batalionu 4 pułku piechoty w mieście (zgodnie z klauzulą układu pokojowego pułk zmniejszono tak, że został z niego tylko batalion), mającego czterystu pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy, dysponującego kompanią ciężkich karabinów maszynowych i nieograniczoną ilością amunicji. Zamachowcy zabrali nawet z parku Skobielewa jedno z ciężkich dział i ustawili je przy placu Wolności obok mauzoleum. (Prawdopodobnie zabrakło im czasu na sprowadzenie artylerii z Sewlijewa).

W miejscowym kierownictwie partyjnym zdania były podzielone. Większość wraz z sekretarzem Wasilem Tabaczkinem nalegała, by dowiedzieć się, jakie jest wobec bieżących wydarzeń stanowisko KC, ale szeregowi komuniści jednomyślnie zadecydowali o walce przeciwko faszystowskim uzurpatorom. Powstanie w mieście rozpoczęło się rano 11 czerwca biciem w dzwony cerkiewne.

Ośrodkiem kierowniczym była IX dzielnica przekształcona przez pleweńską organizację partyjną w twierdzę. Sztab ulokował się w gminie (Plewen było jeszcze komuną!). Młodzieżowy oddział bojowy, składający się z członków „Spartaka", zajął wyznaczone przez dowództwo miejsce pod Kowanłykiem, gdzie powiewał już czerwony sztandar. Oddziałem dowodził nauczyciel gimnastyki, Aleksander Aleksandrow, który obsługiwał też karabin maszynowy. Drugi oddział pod dowództwem Pawła Łambowa zajął park Skobielewa i umocnił się przed głównym wejściem. Był tam też Asen Iwanow Nanow. Jego oddział dysponował dwoma karabinami maszynowymi z naszych schow-

ków i broń ta siała panikę w szeregach zmobilizowanych cywilów, próbujących atakować od strony miasta.

Przed sztabem IX dzielnicy zebrało się około czterystu uzbrojonych powstańców. Był z nimi wojskowy przywódca dzielnicy, Kolio Wenkow, w swoim oficerskim mundurze. Cała dzielnica znajdowała się w naszych rękach, skonfiskowano wszystką broń z domów zamachowców. Entuzjazm sięgał szczytu, komuniści tylko czekali na sygnał, by ruszyć na koszary i połączywszy się tam z siłami pozostałych dzielnic zdobyć ostatnie punkty oporu wroga...

Trzeba powiedzieć i o kobietach z IX dzielnicy, które znalazły się w pierwszych szeregach. Była tam między innymi Radka Kaczarmazowa, była N. Stefanowa, która uszyła czerwony sztandar, była Penka Cwetanowa, rozdająca broń i amunicję, i Mara Beszewą, która pod pieluszkami swej malutkiej córeczki Wiary roznosiła poszczególnym oddziałom w mieście polecenia sztabu...

Również i w IV dzielnicy powstanie rozwinęło się pomyślnie. Atanas Gyrkow z grupą towarzyszy rozbroił kilka patroli wojskowych. Do walki rwały się spontanicznie i inne dzielnice. Nasi, rozbrajając patrole, zajmując posterunki policji i sięgając do otwartych kryjówek przeciwnika, zdobyli jeszcze sporo mauzerów.

I gdy uzbrojeni powstańcy, łącznie około dwóch tysięcy osób, szykowali się już do opanowania koszar pułku piechoty, gmachu zarządu okręgowego i placówki pocztowo-telekomunikacyjnej, a tym samym do całkowitego przejęcia władzy w swoje ręce, nadeszło fatalne polecenie, aby zająć neutralne stanowisko... Członkowie sztabu zastosowali się do niego. Wtedy uzurpatorzy uwięzili ich podstępem w koszarach...

— No, a działa w Pordimie, Wasko?

— Były w pogotowiu! I łatwo sobie wyobrazić, jaki wpływ na rozwój wypadków miałoby ich użycie. Ale pamiętasz, Wanko, że oddano je do dyspozycji KC...

Potem wydarzenia przyjęły tragiczny obrót.

Już 11 czerwca w nocy uzurpatorzy, otrzymawszy posiłki z Sofii (kilka ciężkozbrojnych kompanii i artylerię) oraz z Wra-

ca (cały garnizon wraczański), zlikwidowali pod Griwicą chłopski front, dowodzony przez majora Georgi Koczewa, pod Jasen i Dolną Mitropolią — przez Penju Simeonowa, Maczo Pepelja i sekretarza Towarzystwa Dybnickiego, Iliję Beszkowa (w przyszłości znakomitego karykaturzystę). Z chłopstwem ramię w ramię walczyli ci członkowie wiejskich organizacji komunistycznych, do których nie dotarły polecenia KC. Instynkt klasowy zdecydował tu bezbłędnie — wróg jest wspólny, wspólna więc musi być walka... Masy chłopskie nadal nie miały broni. Znaleziono wprawdzie na bocznicy wagon pełen karabinów, ale bez zamków, odkryto we wsi Mieczka całą baterię dział — również bez zamków (przed tygodniem wojskowi wywieźli je do Plewen). Karabiny w dwóch wagonach stojących na stacji Gawrene (Miłkowica) też nie miały zamków... Jak tu iść na dobrze uzbrojonego wroga z gołymi rękami? A jednak ruszyli. W pewnym momencie nikopolsko-swisztowska kompania wojsk pogranicza z porucznikiem Ganewem otwarła ogień na tyły powstańców. Opuściwszy posterunek graniczny, carski oficer spieszył uzurpatorom na pomoc; ponad patriotyzm przeniósł służbę interesom własnej klasy...

Klęska stała się nieunikniona.

12 czerwca rozpoczęto aresztowania. W piwnicach pleweńskich koszar zamykano powstańców, komunistów i chłopów. W mieście aresztowano około tysiąca dwustu osób, na wsiach prawie tysiąc osiemset. Gdy nie starczyło pomieszczeń koszarowych, więźniów zaczęto zamykać w gmachu zarządu okręgowego i na posterunkach policji. Stosunek do komunistów i chłopów był jednaki, tych bojowników antyfaszyzmu na zawsze zjednoczył wspólny front przeciw wrogowi.

Oprócz przywódców powstania wśród aresztowanych znalazło się wielu dzielnicowych dowódców wojskowych i aktywistów. Byli tam: Kolio Wenkow, Atanas Gyrkow, Asen Iwanow Nanow, Kosta Pyrwanow, Christo Zgalewski, Nikoła Rajkow, Cwetan Rajkow, Iwan Karaiwanow, ale wielu zdołało się ukryć i zakonspirować.

Piątego czy szóstego dnia po aresztowaniu zginął „podczas

próby ucieczki" storturowany Asen Chałaczew. Nieludzkim torturom poddano też pozostałych więźniów.

— Nadal ich męczą — rzekł ponuro Karawasilew. — Komitet Centralny skierował tam naszych adwokatów, by bronili aresztowanych. Pierwsi zgłosili się Boris Hadżisotirow i Najden Kirow. Nie dopuszczono ich jednak dotąd do więźniów.

Rewolucja, do której z takim samozaparciem, stanowczością i zdyscyplinowaniem przygotowywała się pleweńska organizacja partyjna, zakończyła się klęską. Klęska ta — można rzec — przyszła od wewnątrz, wyniknęła z błędu KC. Boris Hadżisotirow i pozostali partyjni adwokaci mieli wkrótce wyjednać „ochronę prawa" i wiele ludzi uratować od śmierci. Jednakże Plewen długo jeszcze nosiło ślady porażki. Ta zdyscyplinowana organizacja, jedna z najsilniejszych i najliczniejszych w kraju, musiała stracić wiele czasu, by ponownie stanąć na nogi i znów wznieść szkarłatny sztandar walki, nasiąknięty krwią jeszcze jednego komunisty — Asena Chałaczewa.

Wasil Karawasilew pozostał na polecenie Kołarowa w Warnie jako okręgowy organizator wojskowy kierujący przygotowaniem do powstania zbrojnego organizacji warneńskiej. Bojan Byłgaranow, mający wkrótce otrzymać od KC odpowiedzialne zadania partyjne, udał się w głąb kraju, by wziąć udział w przygotowaniach do powstania. Niezadługo przybyć mieli z ZSRR drogą morską Kuzman Stojkow, Dimitr Georgijew i paru innych wypróbowanych komunistów.

Dowiedziałem się od Karawasilewa, że po upadku powstania w Plewen przybyli do Warny zmuszeni do ukrywania się pleweńscy przywódcy i aktywiści — Paweł Łambow, Georgi Pawłow i Atanas Linkow. Oddawszy się do dyspozycji warneńskiego komitetu okręgowego, ci trzej pleweńczanie mieli wziąć bezpośredni udział i w przygotowaniu, i w walkach powstania wrześniowego w tym okręgu, a następnie wraz z Karawasilewem ruszyć nieznanymi drogami emigracji politycznej.

Późną nocą nasza łódź udała się w drogę powrotną. Gdy żegnałem się z Karawasilewem, dławił mnie ból. Towarzysze wal-

ki w rodzinnym mieście znajdowali się w nieszczęściu. Jedyną pociechę stanowiła myśl, że to jeszcze nie koniec, że w najbliższych miesiącach wszystkie organizacje partyjne w całym kraju rozpoczną — tym razem zjednoczone pod wspólnym kierownictwem — bezkompromisową walkę, a wówczas wszystkie przeżyte cierpienia wynagrodzi stokrotnie radość zwycięstwa.

4. Broń przez morze

Już przeszło rok przewoziliśmy broń przez morze. Rok nie kończący się, tragiczny, lecz pełen chwały. Jeszcze zanim wybuchło powstanie wrześniowe, zdołaliśmy dostarczyć kutrem parę transportów, które przejęli, by następnie rozesłać po okręgu i całym kraju, zawiadomieni przez Karawasilewa ludzie z organizacji warneńskiej i burgaskiej. Później, gdy powstanie wybuchło i upadło, na jakiś czas przerwaliśmy potajemne rejsy. Musieliśmy się zorientować, czy po bezlitosnej rzezi partia w ogóle jeszcze egzystuje. Wiadomości nadchodzące z kraju, choć smutne, mówiły o bohaterstwie. Krwią spłynęły równiny i góry, krew powstańców zrumieniła wody Maricy, Ogosty i Iskyru, jęknęła Tracja, zamilkła Gorna Gnojnica po pogromach podobnych rzeziom dokonywanym przez janczarów, Dunaj pociemniał od setek ciał utopionych bojowników. Partia bułgarskich komunistów przeszła ciężką i okrutną próbę odwagi. Kierowana przez KC z Wasilem Kołarowem i Georgi Dymitrowem na czele, pierwsza w Europie stawiła ofensywie faszyzmu opór zbrojny. Nie wywalczyła zwycięstwa — wróg był silny, podstępny, krwiożerczy — ale przetrwała, zdobyła doświadczenie, przeszła lekcję, przyciągnęła tysiące nowych bojowników, którzy zrozumieli, pod czyim sztandarem trzeba walczyć.

Wśród ustępującej już nocy kroczymy ku przystani we trzech — Grisza Salnin, Christo Genczew i ja. Kryjemy głowy

w wysokie kołnierze swoich kurtek. Jest niby lato, a zimno. Od morza dmie wilgotny, przenikliwy wiatr. Idziemy, wpatrując się w daleki południowy horyzont: czy towarzysze z wojskowej służby meteorologicznej aby się nie pomylili? W tej poprzedzającej świt chwili niebo jest czyste, tak jakby nie groziła zmiana pogody, ale nikt nie może przewidzieć, co nas spotka na pełnym morzu. Nie na darmo nosi ono nazwę — Czarne...

Na przystani nie ma ludzi. Liczne statki, małe i duże, kutry, żaglówki i łodzie stoją prawie nieruchomo przy betonowych nabrzeżach. Lekko tylko kołyszą je fale. Nie widać ani marynarzy, ani tragarzy, ani pracowników z magazynów handlowych. Tylko straże wyłaniają się z gęstego mroku jak zjawy i przechodząc odmierzonym krokiem wzdłuż okrętów wojennych znikają w strzeżonej strefie portu.

Mimo że poruszamy się żywo, przenika nas ostry chłód poranka. Oto i kutry. Jest ich dwa. Dotychczas tajne rejsy do bułgarskiego brzegu odbywał tylko jeden. Przyczyna tego, że teraz wyruszymy dwoma, tkwi w trybie nowej wojskowej roboty organizacyjnej po tamtej stronie morza. Trwają gorączkowe przygotowania do nowego powstania, rozbite organizacje partyjne w całym kraju znów dźwigają się na nogi i znów grupy bojowe — po pięciu i dziesięciu ludzi — prowadzą szkolenie nowicjuszy, przygotowują kryjówki, tworzą nową strukturę. Znów załopocą uratowane z pogromu sztandary. Porzeba jednak broni... Jeszcze i jeszcze... W przeciwnym razie powtórzy się tragedia z września 1923 roku. Emigranci polityczni, którzy znaleźli w Jugosławii schronienie przed bezlitosnymi represjami władz, teraz ponownie przekraczają granicę, by zorganizować pracę pozbawionych kierownictwa komórek partyjnych, by w tajnych składach górskich przygotować broń do nowej walki.

Tamci przybywają z Jugosławii, my od strony morza.

Młode państwo radzieckie, ledwie odparłszy białogwardzistów i przeróżnych interwentów ze wschodu, północy i południa, ledwie obroniwszy swe prawo do istnienia, dopiero co stanąwszy o własnych siłach — wyciąga pomocną dłoń.

Broń znalazła się od razu. Oglądając ją, o mało nie krzyknąłem ze zdumienia, była bowiem odebrana rozbitym armiom Denikina i Wrangla, ta sama, którą państwa ententy zgodnie z układem pokojowym skonfiskowały naszej armii i zamiast w myśl tego układu zniszczyć ją — przetopić lub wrzucić do morza — wysłały kontrrewolucjonistom. Poznałem skrzynie, które skrycie przewożono zapieczętowanymi wagonami. Teraz część tej broni wróci tam, skąd wywieziono ją podstępnie z próżną nadzieją, iż uratuje przegniły ustrój. Otrzymaliśmy też broń nową — angielską, francuską, niemiecką i czeską — trofeum zdobyte na pokonanych interwentach.

Przy pomocy radzieckich towarzyszy zorganizowaliśmy szybko mały warsztat stolarski. Pod moim kierunkiem (byłem przecież stolarzem!) doświadczeni majstrzy wykonali solidne skrzynie do przewiezienia broni. Za wzór posłużyły nam ocalałe przypadkiem opakowania fabryczne, w których ją tutaj przysłano. Zrobiliśmy kilkaset nowych skrzyń w czterech czy pięciu rodzajach — na karabiny, pistolety, karabiny maszynowe, granaty i amunicję. Skrzynie musiały mieć taką wagę, by dwóch ludzi mogło je swobodnie unieść. Po obu stronach zaopatrzyliśmy je w uchwyty z powrozów.

Warsztat działał oczywiście w największej tajemnicy. Nikt niepowołany nie powinien wiedzieć, co się tu robi i dlaczego. Sewastopol, jeden z ważniejszych portów wojskowych i strategicznych punktów ZSRR, był śledzony przez wywiad imperialistyczny i zapewne kręciło się tu sporo szpiegów.

Troszczyliśmy się nie tylko o solidne zapakowanie broni, nie zapomnieliśmy też o próbnym strzelaniu, przeglądzie technicznym i nasmarowaniu jej; każda sztuka musiała dobrze działać. Braliśmy również pod uwagę ewentualną konieczność przetrzymania cennego ładunku pod wodą, nim można go będzie wynieść na brzeg. Dlatego nie tylko grubo smarowaliśmy, ale by uniknąć ryzyka zniszczenia broni, starannie zawijaliśmy ją w przetłuszczony papier i płótno. Kilka tak zabezpieczonych karabinów zatopiliśmy próbnie w morzu, by je wyciągnąć za tydzień; woda nawet nie przeniknęła do metalu. I jeszcze coś wzięliśmy pod uwagę: Do każdej skrzyni z karabinami ręczny-

mi i maszynowymi oraz z pistoletami pakowaliśmy również odpowiednią ilość amunicji, aby broń można było użyć, nie tracąc czasu na szukanie odpowiedniego kalibru i rodzaju nabojów.

Dotąd odbyliśmy dziesięć rejsów z bronią. Przewieźliśmy ciężkie karabiny maszynowe marki „Schwarz-Lose" (niemieckie) i lekkie marki „Levis" (angielskie). Granaty były głównie francuskie, żeliwne z zewnętrznymi nacięciami. Część broni stanowiły automatyczne karabiny francuskie oraz nagany.

Wchodzimy na pomost wiodący z nabrzeża do kutrów. Ich pozornie niezgrabne kadłuby kołyszą się lekko. Z małej kajuty wysuwa się stary szyper, Turek, imieniem Zekirija.

— Dzień dobry — witamy go po turecku, a on w odpowiedzi kłania się lekko z godnością.

— Czy wszystko gotowe?

— Tak — odpowiada szyper, ale choć oczy jego wyrażają spokój, dłuższą chwilę przypatruje się nam, wreszcie wskazuje głową na morze i dodaje: — Nie podoba mi się i wiatr, i niebo...

— Nam też, Zekirija — przytakuję. — Ale wiesz, że nie ma rady. Niech się dzieje wola Allacha...

W odpowiedzi stary Turek znów się kłania i wyszeptawszy coś bezdźwięcznie — odchodzi.

Tylko ja z nim rozmawiałem, Grisza Salnin i Christo Genczew milczeli, a szyper, który widział ich po raz pierwszy, nie zwracał na nich uwagi.

Stary wilk morski! Raz już płynąłem z nim do naszych brzegów (z zasady za każdym rejsem zmienialiśmy kuter i załogę) i miałem okazję ocenić jego zalety. Był bystry i nieugięty, załoga podporządkowywała się mu bez słowa sprzeciwu. I nie bez powodu. Stary wyga dobrze znał swoje niebezpieczne rzemiosło.

„Rzemiosło" — rzekłem?

No tak, o ile kontrabanda jest rzemiosłem! Oba kutry, które mają dziś wyruszyć, jak i cała dwudziestka starych i nie całkiem starych, lecz solidnych łodzi, jakie przetrwały liczne sztormy czarnomorskie i stały teraz spokojnie w głębi portu —

należała do schwytanych ostatnio przez straże radzieckie przemytników, w większości Turków, poza tym Tatarów, Greków lub Rumunów. Przemycali oni trudno dostępne w tych ciężkich latach na ogołoconym rynku radzieckim towary, sprzedawane następnie po bajońskich cenach. Jak się łatwo domyślić, musieli odsiedzieć wyrok lub trafiali do radzieckich obozów roboczo-wychowawczych. Po odbyciu kary niektórzy godzili się przewieźć na bułgarski brzeg pewną ilość paczek, inni zaś nawet pozostawali na stałe w służbie władzy radzieckiej. Starzy przemytnicy! Z pewnością domyślali się, co zawierają owe paczki, szczególnie skrzynki, niewielkie, ciężkie, solidne, troskliwie układane przez nas pośrodku ładowni. Ale udawali głuchych i ślepych. Była to mądrość nieodłączna od ich „rzemiosła". Powiedziano im, że to zboże, różne materiały i broszury dla nielegalnych partii bałkańskich i to im wystarczało; o nic nie pytali...

Szyper przyprowadził trzech członków swojej załogi.

— Zekirija, ty z jednym ze swoich ludzi zostaniesz tu ze mną i z nim — rzekłem, wskazując na Griszę Salnina. — Popłyniemy większym kutrem na przedzie. Na mniejszym będzie on — położyłem rękę na ramieniu Christo Genczewa — i dwóch twoich. Będą się trzymać około kilometra za nami...

Stary skinął głową, wydał po turecku komendę — i dwaj majtkowie zręcznie przeskoczyli na drugi kuter, stojący obok. Za nimi podążył Christo. Prześladowany jako komunista, po 9 czerwca opuścił on rodzinne miasto Pirdop i wyemigrowawszy do ZSRR poświęcił się całkowicie służbie łączności partyjnej z zagranicą. Ze mną płynął już po raz trzeci. Wspaniały charakter!

Nie żegnaliśmy się teraz, nie było potrzeby, umówiliśmy się bowiem, iż oba kutry nie będą się rozdzielały, by móc w razie potrzeby udzielić sobie pomocy.

Brzeg już od dawna stopił się z północnym horyzontem. Na bezchmurnym letnim niebie lśniło słońce. Kurs był ściśle wyznaczony, silnik pracował równomiernie, żywności i paliwa

mieliśmy tyle, by starczyło i na powrót. Kuter nie różnił się od przemytniczych. Griszka zmienił rubaszkę na roboczy drelich, dałem mu nawet czerwony przybrudzony fez z „wyłysiałym" frędzelkiem, taki sam, jakie nosili nasi Turcy. Oczywiście, obaj mieliśmy przebrać się tylko w wypadku niebezpieczeństwa; dotąd wszystko szło dobrze, chodziliśmy więc po pokładzie z gołymi głowami i na poły rozebrani.

— Wanko — szepnął Salnin, gdy stary szyper zajął się sterem. — Czy kuter jest przygotowany do wysadzenia, jeżeli zajdzie potrzeba?

— Oczywiście! — W samym środku ładowni między skrzynkami... W ciągu kilku minut może pójść na dno — odparłem zdziwiony, spojrzawszy bacznie na Griszę. Czemu ma wątpliwości? Przecież tak umówiliśmy się z Berzinem i przestrzegałem tego skrupulatnie. Przed każdym rejsem, nim zostały załadowane ostatnie skrzynki z bronią, osobiście podłączałem w ładowni minę, która miała zatopić kuter, gdybyśmy musieli go opuścić na morzu w wyniku niepożądanego spotkania. Załoga niczego nie podejrzewała.

— Nie, nie myślałem, żeś o tym zapomniał — w oczach Griszy błysnęły iskierki wesołości. — Tylko nie wiem, co robią te dwie maszynki na pokładzie — i wskazał głową najpierw w stronę dziobu, a potem rufy.

Uśmiechnąłem się. Oku współpracownika Berzina nie mogło ujść, że rzucony pozornie niedbale bezkształtny stos lin, płócien i przyborów żeglarskich maskuje dwa ciężkie karabiny maszynowe umieszczone po obu stronach kutra.

— Przepraszam, zapomniałem zameldować! — salutuję żartobliwie i obaj śmiejemy się głośno. — To z konieczności. Puszczam czasami seryjkę, gdy spotykamy piratów... Karabinów ręcznych się nie boją. Ale jak zaterkocze maksym, uciekają, gdzie pieprz rośnie...

— A po co aż dwa? Zwykle płyniesz sam, a tylko ty umiesz się z nimi obchodzić.

— Żeby nie zmieniać taśm: jedna do ataku, a druga do obrony podczas ucieczki... Ale oczywiście tylko gdy mam do czynienia z piratami — dodaję poważniejąc. — Na wypadek po-

ważnego spotkania ładunek tam, na dole, jest podłączony i czeka...

Grisza objął mnie ramieniem i uczucie tej samej serdecznej bliskości, której doznałem przy pierwszym spotkaniu z Berzinem, ogarnęło mnie falą ciepła.

— Dobrze to obmyśliłeś, Wanko. Oby jednak nie musiało zaterkotać w drodze. Spłoszymy wprawdzie drobną zwierzynę, ale ani się obejrzymy, jak zwalą się nam na kark większe drapieżniki...

— Oby nie — powtórzyłem, ale obaj wiedzieliśmy, że tędy nie pływają ani większe drapieżniki w postaci okrętów wojennych pod banderami różnych państw imperialistycznych, ani statki pasażerskie, ani handlowe. Mieliśmy dokładną mapę dróg morskich, prześledzone zostały wszystkie przypuszczalne trasy wrogich okrętów. Wiedzieliśmy też z doświadczenia, że na tych wodach spotyka się tylko małe drapieżce — kutry przemytnicze, piratów drobnego kalibru, czasem jakąś białogwardyjską motorówkę z tych, które ostatnio krążyły po morzu między Bułgarią czy Rumunią a radzieckim brzegiem, przerzucając nań broń, pieniądze i materiały propagandowe dla band kontrrewolucyjnych. Dla takich łodzi oba nasze maksymy stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ponieważ musieliśmy oszczędzać paliwo, szyper wciągnął żagle, skoro tylko wiatr się wzmógł. Był sprzyjający, ale zatrwożyła mnie jego siła. Grisza również się zaniepokoił. Poznałem to po jego zasępieniu i spojrzeniach, jakie rzucał na południe, gdzie horyzont zasnuł się ciemnym pasem z wolna, lecz wyraźnie narastających chmur, które zdawały się wchłaniać błękit nieba. Milczeliśmy wobec tej groźby. Jak przystało marynarzom, stawimy czoło burzy...

Niepokój ogarnął też szypra — spostrzegłem na jego twarzy napięcie, a w ruchach niezwykłą jak na niego energię. Mimo swego wieku mocno zaciskał liny, sprawnie zwijał niepotrzebne żagle, zgarniał z pokładu wszystko, co wiatr i fale mogły unieść ze sobą.

Przede wszystkim staraliśmy się zmniejszyć odległość między obu kutrami, potem zeszliśmy z Griszą do ładowni, by

sprawdzić, jak ustawione są skrzynki, bo źle rozłożony ładunek przy wysokiej fali może spowodować zatonięcie kutra. Następnie pomogliśmy szyprowi i majtkowi wszystko uporządkować. Grisza pracował sprawnie, skoordynowanymi ruchami, jakby robił to już setki razy.

Nie można było uciec przed burzą, zbliżała się szybko, niebo od południowego wschodu groźnie zaciągnęło się chmurami, dalekie błyskawice przecinały je gwałtownie jak ogniste miecze. Burza na razie oskrzydlała nas, ale najdalej za godzinę dopędzi kutry, a wówczas trzeba będzie — według słów starego szypra — zostawić wszystko miłosierdziu Allacha...

Ukryliśmy się w zaciszu kajuty pokładowej. Grisza zapalił papierosa, ja również. Ciasno, nisko, stare deski burty skrzypiały, jakby żaliły się przed nadchodzącą próbą.

— Sprawiasz wrażenie doświadczonego marynarza — stwierdziłem po długim milczeniu, podczas którego wsłuchiwaliśmy się w odgłosy potężniejącego sztormu. — A wiem, że nim nie jesteś i chyba nie pochodzisz znad morza?

— Co do pierwszego, zgoda! — uśmiechnął się Grisza. — Ale mylisz się co do drugiego. Jestem z Rygi, znad Bałtyku...

O Griszy Salninie wiedziałem to, co wie się zwykle o towarzyszu broni — jeśli tak rzec można — z tej samej linii frontu. Niewiele, lecz i to graniczyło z nieprawdopodobieństwem. On sam prawie nie mówił o swojej przeszłości; była to żelazna zasada obowiązująca każdego wywiadowcę. Wspominał tylko o faktach, które już w taki czy inny sposób zyskały rozgłos, a do tego były przesadzone lub zniekształcone. Bardzo nie lubił uchodzić za bohatera, a już szczególnie na cudzy rachunek, toteż chcąc nie chcąc opowiedział mi to i owo o sobie. Dla pracowników Berzina rozmowy takie były nie tylko przyjemnością, ale i bojową szkołą sztuki zwiadowczej.

Oto czego się z nich dowiedziałem: Grisza Salnin (którego prawdziwe nazwisko brzmiało Kristian Salnin, potem Christofor Intowicz Salnin, lecz występował też w różnych okresach w rozmaitych krajach na paru kontynentach pod wieloma innymi) urodził się na Łotwie w 1885 roku. Ledwo ukończył lat czternaście, jako dziecko proletariatu stanął do walki z wro-

giem. W 1905 roku znalazł się w szeregach powstańców ryskich i na barykadach imię jego otoczyła sława. Nie tylko uczestniczył w walkach ulicznych, lecz także zorganizował niezwykle śmiałą ucieczkę znanych rewolucjonistów łotewskich z więzienia w Rydze. Sam Lenin gratulował mu udanej akcji. Służba rewolucji zawiodła go następnie do Genewy, potem do Petersburga, Baku, Hamburga, Londynu, Berlina, Brukseli... Wykonywanie tajnych poleceń wymagało ogromnej siły woli, odwagi, bystrości, wyjątkowej inteligencji i głębokiej wiary w sprawę proletariatu... Dokonał całego szeregu nieprawdopodobnych wyczynów. Kilkakrotnie wpadał w ręce carskiej ochrany i kilkakroć uciekał dzięki odwadze i zdumiewającej pomysłowości. W latach 1912—1917 wysłany został do USA. Powierzono mu specjalne zadanie w łotewskiej sekcji Partii Socjalistycznej, zagrożonej wówczas przez intrygi mienszewików. W Bostonie dotarła do niego wieść o rewolucji lutowej i Grisza niezwłocznie ruszył przez Pacyfik do Japonii, a stamtąd do Rosji. Ale we Władywostoku czekało na niego polecenie, by ponownie wrócił do USA w celu nawiązania zerwanych chwilowo kontaktów między Rosją i Ameryką. Mimo iż serce ciągnęło go do Moskwy, Petersburga i Rygi, gdzie dojrzewały rozstrzygające wydarzenia, Grisza nie wahał się ani chwili.

Niezwykła, błyskawicznie obiegająca świat wieść o Rewolucji Październikowej zastała go na oceanie. Trzy następne lata spędził poza krajem rodzinnym. Dopiero w 1920 roku przez San Francisco, Szanghaj i Pekin dotarł ponownie do Władywostoku. Podróż, wciąż podróż, tajna ryzykowna podróż... Wreszcie znów znalazł się w Petersburgu, wśród swoich. Towarzysze na Łotwie nalegali, by pozostał przy „spokojnej" rewolucyjnej robocie w Rydze, ale Paweł Iwanowicz Berzin zaproponował mu wtedy współpracę. Ludzie Berzina to nie zasiedziali urzędnicy. Ich miejscem działania były wszystkie zakątki naszej planety, wszystkie kraje i kontynenty, gdzie trzeba niszczyć macki międzynarodowej kontrrewolucji, gdzie trzeba zapobiegać podstępnym knowaniom światowego imperializmu przeciwko ZSRR i pokojowi na świecie. I znów drogi wiodły Salnina przez Władywostok, Szanghaj, Istambuł, Moskwę.

Toteż gdy w małej umęczonej Bułgarii lud gotował się do śmiertelnej walki z faszyzmem, Grisza Salnin wyruszył w nową podróż. Na prośbę naszej partii płynął do Bułgarii, by wesprzeć sprawę przyszłego powstania, zobaczyć, czego już dokonano, ocenić okiem doświadczonego rewolucjonisty, czy wysiłki nasze idą po właściwej linii...

— Grisza, czy po raz pierwszy jedziesz do nas?

— Tak, ale znam twój kraj, Wanko — odpowiada jak zwykle lekko zacinając się Grisza, co jednak nigdy nie krępuje ani jego, ani rozmówców. — Znam go, gdyż znam wielu twoich rodaków. I muszę ci powiedzieć, a nie bierz tego za czczy komplement, że komuniści bułgarscy są jednymi z najodważniejszych bojowników światowego ruchu rewolucyjnego. To zresztą nie tylko mój pogląd; znasz przecież opinię Berzina...

— Odważni bojownicy, ale nie zdołali dokonać rewolucji — rzucam bez uśmiechu, z goryczą, czyniąc aluzję do porażki w czerwcu i wrześniu 1923 roku.

— I my, rosyjscy rewolucjoniści, ponosiliśmy porażki — łagodzi Salnin. — Pamiętasz rok 1905. Wiele krwi i wiele bezowocnych ofiar... Gdyby jednak nie rok 1905, nie nastąpiłby 1917... I wasza partia wyciągnie wnioski z własnych błędów, nabierze doświadczenia i wywalczy zwycięstwo. Wierzę w to...

Słowa jego rozgrzały mi serce. Jakżebym pragnął, by mogli je usłyszeć ci spośród bułgarskich emigrantów, którzy nie wierząc we własne siły uważają powstanie za szaleństwo...

W kajucie nagle zrobiło się ciemno, straszliwy huk wypełnił przestrzeń pomiędzy wodą a niebem i kuter wpadł zrazu w uścisk burzy. Szyper zwinął wszystkie żagle i to był ostatni obronny gest z jego strony. Potem wraz z pomocnikiem uklękli i oddając swój los w ręce Allacha jęli miarowo bić pokłony. Aby wyprowadzić ich z tego transu, musiałem wydać ostrą komendę. Grisza przejął ster i starał się utrzymać kurs wprost na biegnące fale. A były ogromne i silne. Uderzywszy z boku, łatwo mogły rozbić kuter. Walcząc z burzą, uważaliśmy, by nie wypaść za burtę, bo stamtąd nikt by nas już nie uratował. Chmury były gęste, niskie i czarne, zdawało się, że wraz z nimi

nadciągnęła noc. Zniknął w jej mroku mniejszy kuter. Dokąd zapędzą go fale i wiatr?

Następnego dnia morze dalej szalało. Przypadkiem, prawie cudem, odnaleźliśmy drugi kuter i postanowiliśmy poszukać schronienia w najbliższej przystani tureckiej. Nie było innego wyjścia. Wobec tamtejszych władz mieliśmy wystąpić jako załoga zabłąkanego wśród sztormu tureckiego kutra rybackiego. Ryzyko? Niezbyt wielkie. Wszyscy trzej posiadaliśmy tureckie paszporty, ja znałem turecki, a Grisza i Christo mieli w czasie postoju nie wychodzić z ładowni. Jeśliby władze portowe zaczęły coś podejrzewać, zamierzaliśmy dać im łapówkę, a w ostatecznym wypadku wysadzić kutry w powietrze i uciec na Strandżę, miasteczko portowe bowiem leżało u podnóża góry...

Port Ijneada, ku któremu zbliżaliśmy się wolno i ostrożnie, roił się od mnóstwa stateczków, żaglówek, kutrów. Większość załóg podobnie jak my poszukała schronienia w przystani. Uciekając przed sztormem zarzuciły tu kotwicę, by znaleźć ratunek i odpocząć, usunąć uszkodzenia, sprawdzić silniki, uzupełnić paliwo, zapasy wody i żywności. Wraz z nami zawinęło tu parę innych kutrów, tak że mogliśmy przybić niepostrzeżenie w tym tłoku. Nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Udałem się razem z szyprem do przystani i załatwiliśmy wszystko raz dwa. Dokupiliśmy paliwa i żywności i od miejscowych szyprów dowiedzieliśmy się, jaka jest sytuacja w miasteczku i na pobliskim wybrzeżu. Gdy po dwóch dniach sztorm ucichł, wypłynęliśmy.

Dotąd wszystko szło gładko. Pomyślnie zakończyła się walka z burzą, szczęśliwie opuściliśmy port i udało nam się dostać na wody eksterytorialne. Ale byłem zaniepokojony, bo towarzysze w Warnie zostali drogą radiową uprzedzeni o rejsie i dniu naszego przybycia; Błagoj Kasabow miał natychmiast wysłać ludzi do Burgas, by zawiadomić o nas tamtejszą organizację. Tymczasem sztorm nie pozwolił nam zjawić się na umówiony termin. W takich wypadkach towarzysze czekają zwykle przez parę dni, ale czy tym razem uczynią to samo?

Teraz mamy przybić nie do Paszadere pod Gałata, lecz wpłynąć do północnej zatoki koło Neseberu, ponieważ przed niespeł-

na miesiącem podczas jednego z kolejnych rejsów wydarzyła się pewna nieprzyjemność, z której również wypływał mój obecny niepokój.

Nie była to wsypa, tylko awaria. I nie na pełnym morzu, a tuż przy brzegu. Około północy, gdy kuter pod żaglami (by nie ściągnąć uwagi patroli granicznych) wpłynął do małej zatoczki przy Paszadere, szyper postanowił włączyć silnik, by zmniejszyć grożącą rozbiciem o skały szybkość, jaką wiatr nadał łodzi. Nie udało mu się. Tylny bieg silnika nie zaskoczył i kuter wpadł na podwodne głazy. Dziób uniósł się wysoko nad powierzchnię, ładunek zaś zsunął się ku rufie, przechylając jednocześnie burtę tak, że tylko szczęśliwy traf uratował nas od wywrócenia. Ale i bez tego sytuacja przedstawiała się kiepsko. Wprawdzie do brzegu było całkiem blisko i załoga bez trudu mogła tam dopłynąć, ale co z kutrem? Nazajutrz na pewno zauważą go patrole graniczne regularnie lustrujące wybrzeże. I co wtedy?

Zeszliśmy na brzeg we trzech. Żeczo Giumiuszew, ja i przewożący pocztę Kominternu dla BPK Christo Kukumjawkow zwany przez towarzyszy „Kukuto". Czekał na nas Todor Dimow z organizacji warneńskiej.

Kutra w żaden sposób nie udało się ściągnąć ze skał, mimo że szyper wzywał Boga i przeklinał szatana; nie miało też sensu zatopienie łodzi, ponieważ było tu bardzo płytko. Podjęliśmy więc szybką decyzję, bo pozostawało tylko jedno wyjście: wyładować wszystko i zatrzeć wszelkie ślady zdradzające pochodzenie łodzi. A na morzu i u wybrzeży dochodzi przecież do przeróżnych awarii oraz katastrof naszych i cudzych jednostek pływających...

Jak postanowiliśmy, tak też zrobiliśmy. W ciągu kilku godzin wytężonej pracy, przy której wszyscy nie szczędziliśmy sił, udało się nam wyładować skrzynki z bronią, a następnie jak najstaranniej usunąć z kutra kompromitujące rzeczy. Potem przenieśliśmy broń do tymczasowej kryjówki w jaskini znajdującej się trzydzieści kroków od brzegu.

Nim zajaśniał świt, robota była skończona i skrytka dokładnie zamaskowana. Zatoczka nie nadawała się zbytnio na przy-

stań, toteż nie zaglądali tu rybacy, a wąwóz — porośnięty gęstym lasem, pnączami, jeżynowym gąszczem i wszelakimi krzewami — był niemal niedostępny i nie kusił nikogo, nawet turystów.

Jeszcze raz przeszukaliśmy kuter i — uważnie rozejrzawszy się dokoła — uspokojeni udaliśmy się na brzeg. „Kukuto" i trzej ludzie z załogi kutra ukryli się w lesie na Paszadere, by obserwować okolicę, a my we trzech, z Giumiuszewem i Dimowem, ruszyliśmy do Warny.

Warneńską okręgową organizacją wojskową dowodził wówczas Błagoj Kasabow (Wasil Karawasilew wyemigrował tuż po powstaniu wrześniowym). Podlegał on bezpośrednio Bojanowi Byłgaranowowi, dowódcy warneńskiego partyjnego rejonu wojskowego, do którego należały: Ruse, Szumen, Eskidżumaja (Tyrgowiszte), Popowo, Razgrad i Warna.

Od Byłgaranowa więc towarzysze z organizacji warneńskiej otrzymali polecenie, by niezwłocznie zabrać broń z tymczasowej kryjówki. Zajęło się tym kilku ludzi: Błagoj Kasabow, Nedełczo Manew kierujący uzbrojeniem rejonu, Rangeł Chranow i Stojczo Dimitrow (syn Dimitra Stojczewa)...

Stały schowek, dokąd mieli przenieść broń, znajdował się w odległości chyba trzech kilometrów nad wąwozem Paszadere, obok warzywnika Dimitra Stojczewa. Warzywnik ten kupiono za partyjne pieniądze, jego ogrodnik (do niedawna rewolucjonista macedoński) był naszym człowiekiem, a kryjówkę, głęboką i przestronną, wykopano w lesie przy samym warzywniku i dobrze zabezpieczono ją przed wilgocią. Członkowie organizacji wojskowej nocą przenosili do niej skrzynki z jaskini nad morzem. Ale i tu broń nie miała leżeć długo. Z polecenia Sofii przewożono ją furmankami na wskazane stacje niedaleko Prowadii, na trasie Sofia—Warna, dokąd przyjeżdżali ludzie z różnych organizacji w kraju, aby zabrać przydzielone im karabiny, pistolety i granaty.

Robota ta była obmyślona istotnie bez zarzutu, organizacja wojskowa przy komitecie rejonowym i okręgowym działała energicznie, dokładnie i z dużym rozmachem. Kutry nasze przybijały często nie tylko do Paszadere, ale i do ujścia Kam-

czji, jak również do brzegów zatoczek w Złotych Piaskach i Kraniewie. Najwygodniejsze jednak było miejsce przy Paszadere, a szczególnie koło Kamczji. W owych latach granica z Rumunią przebiegała przy samym Kraniewie i pilnie strzeżono brzegu na północ od Warny. W ujściu Kamczji natomiast naprzeciw nam wypływały łódki Lipowan; jedna, dwie, trzy, stosownie do potrzeb. Owi cisi, łagodni i spokojni ludzie, wypędzeni dawno temu z carskiej Rosji na skutek prześladowań religijnych, żyjący w Bułgarii skromnie z rybołówstwa, byli wspaniałymi pomocnikami w naszej pracy. Czy to przerzucając broń z kutra na ląd w głąb lasów Łągozy, a następnie zawożąc ją furmankami w kierunku Warny (by nasi ludzie mogli odebrać ładunek i umieścić go w kryjówce nad Paszadere), czy też przemierzając na swych długich, lekkich i szybkich łodziach Morze Czarne, aby odwieźć kogoś nielegalnie do ZSRR, Lipowanie zawsze spełniali polecenia partii cicho, bez pozy, bez chęci zysku...

Broń została przeniesiona do stałej kryjówki w ciągu dwóch nocy. (Transport skrzynek z cennym ładunkiem odbywał się zwykle pod ochroną naszych ludzi, rozstawionych wzdłuż trzykilometrowej trasy od brzegu do warzywnika, tym razem obyło się bez niej). Wszystko zrobiono po cichu i przygoda skończyłaby się pomyślnie, gdyby nie pewien fatalny przypadek... Jeden z przenoszących broń towarzyszy, warneński komunista Todor Dimow, kierujący wówczas nielegalną bazą łączności z Kominternem, zgubił dowód osobisty. Zgubił go na samym brzegu obok tymczasowej kryjówki...

Patrol, zauważywszy kuter, jeszcze tego samego dnia dokonał na nim rewizji, bo podejrzenie wzbudził fakt, że przy łodzi nie kręcą się ludzie. Żołnierze następnie przetrząsnęli brzeg i znaleźli dowód Dimowa. W dziesięć dni później zaczęło się...

Ale w czasie naszego pobytu w Warnie Dimowa jeszcze nie aresztowano. Zdawało się, że władze nie wiedziały o niczym; miejscowi towarzysze byli jednak poważnie zaniepokojeni...

Tymczasem ja, wypełniwszy swoją misję w Warnie, ruszyłem z powrotem bez bliższych wiadomości o wsypie. Wracałem sam, bez Żeczo, który udał się do Sofii. Tym razem droga mo-

ja wiodła nie do Paszadere; potrzebna nam była pomoc burgaskach Lipowan, zwróciliśmy się więc z prośbą do Lipowan osiedlonych pod Bunardżikiem nad północną zatoką neseberską, we wsiach Bania i Sweti Włas. Był przy tym obecny towarzysz z organizacji warneńskiej, utrzymujący z nimi kontakt. Spotkaliśmy się też tutaj z okręgowym organizatorem wojskowym w Burgas, Janko Andonowem, oraz z dowódcą powstania wrześniowego w Karabunar, Todorem Grudowem, który stworzył właśnie w górach oddział partyzancki. Andonow i Grudow prosili o broń.

Lipowanie, nie tracąc czasu, tej samej nocy zabrali nas łodzią. Od brzegu odpłynęliśmy pchani wiosłami, a na pełnym morzu wciągnięto żagle. Dął pomyślny wiatr i nie po trzech, a już po dwóch dobach znaleźliśmy się w Sewastopolu. Towarzysze radzieccy nie wierzyli własnym oczom. „Jak to, tym kajakiem przez morze? Przecież ta skorupka może pójść na dno przy najmniejszej nawet fali!" Nie wiem, czy mieli rację, a i Lipowanie nie wdawali się w zbyteczne dyskusje; uśmiechnięci i spokojni, kiwali tylko głowami. Nawet nie chcieli odpocząć. Serdecznie pożegnani przez nas, od razu udali się w drogę powrotną. Cicho, spokojnie, skromnie... Pieniędzy nie chcieli, zresztą ich oddania dla sprawy nie można było opłacić pieniędzmi. Przyjmowali tylko nieco żywności czy odzieży: jakiś koc, kawałek skóry na buty albo kożuch...

W Sewastopolu natychmiast zameldowałem o wypadku z kutrem. Nie dotarła tu jeszcze wieść o wsypie. Mimo to postanowiliśmy na wszelki wypadek wyładować tym razem broń w północnej zatoce neseberskiej. Choć rzadziej, ale i tam woziliśmy ładunki. Również i tam mieliśmy kryjówki w górach, skąd towarzysze z okręgowej organizacji burgaskiej wywozili broń furmankami w głąb kraju. Nawiązano łączność radiową z Warną i w parę dni później wraz z Griszą Salninem i Christo Genczewem wyruszyliśmy dwoma kutrami w drogę...

Ale nękały mnie wątpliwości. Czy wypadek z kutrem pod Paszadere spowodował w końcu jakieś reperkusje, czy nie? Czy aresztowano Todora Dimowa? Czy nieszczęśliwy przypadek nie urósł do rozmiarów wsypy?...

Była czarna i nieprzenikniona noc, gdy okrążywszy z daleka Zatokę Burgaską, Pomorie i Neseber zatrzymaliśmy się wreszcie naprzeciwko latarni morskiej na przylądku Emine. Odczekaliśmy jakiś czas i koło północy, zgasiwszy silniki, ruszyliśmy pod żaglami wprost na północną zatokę neseberską. Obecnie znajduje się tam uzdrowisko Słoneczny Brzeg, jedno z najpiękniejszych na bułgarskim wybrzeżu, ofiarowujące latem wypoczynek setkom tysięcy Bułgarów i cudzoziemców. Wówczas zatoka była dzika i bezludna. Z dziobu płynącego na przedzie większego kutra wpatrywałem się przez lornetkę w czarną linię brzegu. Tam, gdzie zatoka dotyka milczących wydm, powinienem zobaczyć nikłe światełka, zapalające się i gasnące w krótkich odstępach czasu. Będzie to sygnał towarzyszy współpracujących z organizacją wojskową. Zrobiło się jaśniej. Księżyc, choć nie osiągnął pełni, mógł nas zdradzić, oświetlając morze. Lecz nie mieliśmy wyboru.

Gdy kuter wpływał do zatoki, spostrzegłem przez lornetkę umówiony sygnał. Trzykrotny. Dłuższa pauza i znów sygnał. Trzy błyski latarki elektrycznej i znowu przerwa. Potem sygnał...

— Grisza — szepcę do Salnina, który również wpatruje się w brzeg. — Są tam. Wprost przed nami!

Grisza spogląda przez lornetkę we wskazanym kierunku. Sygnał powtarza się i Salnin kiwa głową:

— Tak, to oni. Zaczynamy...

Dalej wszystko odbyło się szybko, sprawnie i w absolutnej ciszy. Nie wolno nam zamącić spokoju, w jakim pogrążona jest zatoka. Odpowiedzieliśmy sygnałami i gdy z brzegu potwierdzono ich otrzymanie, spuściliśmy na wodę dwie łodzie wiosłowe. Ostrożnie — ze sprawnością nie wymagającą rozkazów — wzięliśmy się wszyscy za przeładunek broni. Wkrótce pierwsza łódka popychana wiosłami przez Christo Genczewa i Turka z jego kutra odbiła od burty i ruszyła w kierunku brzegu. Po pół godzinie wróciła. Druga łódka, już załadowana, rusza nie tracąc czasu. W niej płyniemy obaj z Griszą. Przy wiosłach siedzi nasz stary szyper.

Łódź mknie bezszelestnie; stary i w wiosłowaniu wykazuje rzadką umiejętność. Niepostrzeżenie robi się płytko i łódź ociera się dziobem o piasek. Kilka par silnych rąk pomaga nam wysiąść i wraz z Griszą wpadamy w objęcia towarzyszy. Większość z nich znam, wychodzili po mnie już kilkakrotnie. Trzej z nich to Lipowanie, którzy przyjechali furmanką, by pomóc. Przedstawiam ich Griszy, który zdążył już zmienić roboczy drelich na przyzwoity garnitur. Szczupły, wzrostu nieco więcej niż średniego, swoim wyglądem i zachowaniem nie zdradza w ogóle, kim właściwie jest i jak ważne sprawy wiążą się z jego osobą.

Jeden z oczekujących, którego nie znałem, podszedł do nas i rzekł, że ma zająć się towarzyszem, który przypłynie kutrem, to znaczy Griszą; wysłano go z płowdiwskiego rejonu wojskowo-partyjnego. (Później dowiedziałem się, że był to Jonko Panow).

— Zatem nie traćmy czasu — rzekłem i zauważyłem, że Grisza, gotów do drogi, trzyma już swój niewielki bagaż.

Ucałowaliśmy się, po czym Grisza pożegnał starego szypra i obaj z wysłannikiem rejonu płowdiwskiego zniknęli w ciemnościach.

Wyładunek broni trwał całą noc. Posługiwaliśmy się łódką przywiązaną do kutra liną, aby — jeśli się coś przydarzy — można ją było szybko przyciągnąć i uciekać na pełne morze. Udało się nam opróżnić tylko mniejszy kuter. Towarzysze zdołali zabrać prawie cały ładunek do górskich kryjówek. Tylko część skrzynek została i trzeba je było schować w przybrzeżnych krzakach. Większy kuter postanowiliśmy opróżnić następnej nocy. Nim nadszedł świt, odpłynęliśmy na morze.

Dzień minął nam w ruchu. Kutry pływały poza linią widoczności z brzegu, trzymając się z daleka od trasy statków, które — choć rzadko — kursowały jednak między Warną i Burgas. Dla ewentualnych obserwatorów stanowiliśmy po prostu dwukutrową flotyllę rybacką.

Następnej nocy znów zbliżyliśmy się do wybrzeży i, zgasiwszy silniki, wolno wpłynęliśmy do zatoki. Wszystko wyglądało tak jak ubiegłej nocy. Nie było sygnałów świetlnych, ale

nie wypatrywałem ich, bo przebieg akcji został z góry uzgodniony.

Spokojny, że wszystko w porządku, wydałem odpowiednie polecenia i po kilku minutach pierwsza łódka z Christo Genczewem odpłynęła do brzegu. Drugą, którą natychmiast zaczęliśmy ładować, miałem poprowadzić ja.

Ale już czyhano na nas...

Minuta, dwie, pięć — pierwsza łódka powinna dobić do brzegu i wyładować skrzynki. Nie patrzę, bo i tak nic bym nie dojrzał w czerni nocy (księżyc nie wzeszedł jeszcze), ale wytężam słuch. Cisza.

I nagle ciszę tę rozrywa trzask. Salwa karabinowa z południa, chyba z neseberskiego przesmyku. Nie, nie strzelają do nas. Prawdopodobnie ostrzeliwują łódkę. W chwilę później słychać drugą salwę, tym razem od północy. A potem rozlega się nieprzerwana strzelanina w kierunku, w którym odpłynęła łódź. Zapalają się również rakiety.

Wsypa! Niewątpliwie zasadzka! Czekali na nas... Wiedzieli, gdzie czekać z bronią gotową do strzału.

Szyper zbliża się do mnie i — choć pozornie spokojny — mówi z ukrytym napięciem:

— Zabierajmy drugą łódź i zanim nas spostrzegą, uciekajmy.

— Tak, weźmy drugą łódź — zgadzam się. — Ale na pierwszą musimy poczekać. Jeśli jej nie schwytali, wróci.

Gorączkowo przerzucamy skrzynki z powrotem na kuter i zabieramy pustą łódkę. Czekamy. Ciężkie, męczące minuty. Co się dzieje z tamtymi? Może już ich schwytano? Jeśli wróg nas wykrył, to urządził zasadzkę nie tylko z obu stron zatoki, ale i na miejscu umówionego spotkania na brzegu. W niczym nie możemy pomóc naszym... Gdyby tak jak poprzedniej nocy łódź była uwiązana, moglibyśmy spróbować ich ściągnąć, ale dziś się to nie udało. Wczoraj mniejszy kuter, mając małe zanurzenie, mógł podpłynąć blisko. Większemu kil w tym przeszkadza, stoimy więc chyba o pół kilometra od brzegu; mała łódka nie uciągnęłaby tak długiej liny...

Nabrawszy pewności, że nasi z łódki nie wrócą, rozkazuję staremu:

— Wolno do tyłu! Silnik!

Sam zaś biegnę na rufę, zrywam płótno z karabinu maszynowego i podczas gdy kuter kierując się na pełne morze z wolna nabiera szybkości, strzelam. Najpierw na cel biorę ową zasadzkę z południa, na przesmyku.

Noc bulgoce jak wrzący kocioł. Ostrzeliwuję połową taśmy południowe skrzydło zasadzki, a następnie północne.

Celuję tam, skąd błyskają ogniki wystrzałów karabinowych. Po mojej interwencji strzelanina szybko cichnie. Może uratuje to naszych od kul wroga... Przestaję strzelać i przygotowuję drugi karabin na wypadek, gdyby i na morzu czekała zasadzka. Przy wyjściu z zatoki zatrzymujemy się na parę minut. Teraz już oczekuję rzeczy niemożliwej: a mianowicie, że Christo mimo wszystko wymknie się jakoś. Gdy tracę ostatecznie nadzieję, kuter wypływa na morze.

Dajemy całą naprzód, rozwijamy również żagle i płyniemy na pełne wody, gdzie czeka na nas mniejszy kuter.

Morze jest spokojne. Co też się dzieje na brzegu z naszymi?

Nie ma już sensu czekać dłużej. Po mojej serii z karabinu maszynowego naszym śladem przypuszczalnie ruszyła morska policja.

Bierzemy kurs na północ, w kierunku Krymu.

O przebiegu wydarzeń tej sierpniowej nocy na brzegu zatoki pod Neseberem dowiedzieliśmy się od Żeczo Giumiuszewa, który wkrótce dotarł do Sewastopola. Wsypa była wynikiem czystego przypadku. Trzej chłopcy — letnicy z Neseberu — postanowili odbyć romantyczną wyprawę wzdłuż brzegu aż do Obzoru. Po drodze spostrzegli ukryte w krzakach skrzynki. Nie wiedzieli, co zawierają, bo nie mogli ich otworzyć gołymi rękami bez łomu. Uznali, że to pewnie przemycone towary, w owych latach bowiem na Morzu Czarnym ożywiona była kontrabanda. Zameldowali więc o swoim odkryciu na posterunku granicznym...

Dalej wszystko poszło szybko i w całkowitej tajemnicy. Policja morska zabrała broń i urządziła zasadzkę w trzech miej-

scach na brzegu: tam, gdzie były skrzynki, i po obu stronach zatoki. Rozumowano logicznie, że właściciel skrzyń nie pozostawi ich na tym miejscu. A dalszy ciąg jest już znany czytelnikowi.

Ile broni wpadło w ręce wroga, dowiedziałem się dopiero po wyzwoleniu ze spisanego swego czasu i załączonego do akt procesu protokołu. Opiewa on, że policja morska znalazła ciężki karabin maszynowy „Schwarz-Lose" z dwunastoma taśmami, osiem lekkich karabinów maszynowych „Levis" i sto pięćdziesiąt magazynków, dziewięćdziesiąt pięć manlicherów i dziewięć tysięcy sto dwadzieścia nabojów do nich, czternaście automatycznych karabinów francuskich i pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt nabojów, ponadto jeszcze dwadzieścia jeden tysięcy sześćset nabojów do francuskich karabinów, sto pięćdziesiąt naganów z czterdziestu i pół tysiącem nabojów oraz osiemset siedemdziesiąt dziewięć francuskich granatów.

A co się stało z Christo Genczewem i resztą towarzyszy? Policja schwytała oczekujących nas na brzegu (a z nimi Lipowanina Aloszę), po czym czekała na mającą przypłynąć łódź. Ale dzięki temu, że za wcześnie zaczęto strzelać z zasadzki, Christo i towarzyszący mu Turek zdołali zatopić transportowane skrzynki, nim łódź przybiła do brzegu. Christo otrzymał postrzał w nogę.

Proces przeciwko towarzyszom z organizacji warneńskiej (a także członkom organizacji w Burgas, których aresztowano z nimi) był głośny i zakrojony na szeroką skalę. Policja wykryła broń nie tylko w zatoce neseberskiej, lecz również w tymczasowym schowku przy Paszadere oraz w stałej kryjówce obok warzywnika Dimitra Stojczewa. Wprawdzie uprzedzeni o zbliżającym się niebezpieczeństwie członkowie organizacji wojskowej zdołali usunąć większość zgromadzonych tam skrzynek, lecz znaczna ich część wpadła w ręce wroga. Policja aresztowała szereg aktywistów i współpracowników warneńskiej organizacji partyjnej.

W marcu 1925 roku zakończono śledztwo i oskarżono trzydzieści osób, między którymi znaleźli się: Grigor Czoczew, Peter Żitarow, Błagoj Kasabow, Jordan Tiutiundżijew (nie

mający z bronią nic wspólnego), Żeczo Giumiuszew, Andrej Penew, Christo Genczew, Dimitr Stojczew, Todor Dimow i Lipowanin Alosza. Część oskarżonych zdołała ukryć się w porę, a potem wyemigrowała do ZSRR.

Warneński prokurator wojskowy, powołując się na ustawę o ochronie państwa, domagał się dla wszystkich kary najwyższej. Od śmierci uratowała ich interwencja społeczeństwa.

Wśród zaocznie sądzonych i skazanych byłem i ja.

A Grisza Salnin dotarł szczęśliwie do Burgas i wkrótce pod opieką członków partii przybył do Sofii. Potem jeździł po całym kraju, wypełniając zadania, dla których znalazł się w Bułgarii. Po paru miesiącach, gdy zakończył swą akcję i wrócił pomyślnie do ZSRR, zobaczyłem się z nim w Moskwie.

5. Cudzoziemiec we własnej ojczyźnie

Nim z pierwszym swoim zadaniem wyruszyłem za granicę, Paweł Iwanowicz Berzin zaproponował mi, bym ukończył specjalną szkołę przy Czwartym Wydziale.

— Nie zdołałeś skończyć studiów na uniwersytecie swierdłowskim, Wanko — pokiwał głową z uśmiechem. — Oby teraz nic się nie wydarzyło...

I do końca szkolenia nic się nie wydarzyło. Kurs trwał stosunkowo krótko — pięć miesięcy. Program zajęć, ograniczony w czasie, był maksymalnie skondensowany. Poznawaliśmy ABC skomplikowanej sztuki wywiadowczej. Uczyliśmy się również języków. Zapoznawaliśmy się z wszelkimi rodzajami broni palnej. Studiowaliśmy geografię. Wykładowcami różnych dyscyplin byli pracownicy wydziału, którzy wiedzę swą zdobyli we wrzącym kotle żywej praktyki.

Szkoła była specyficzna, typowo berzinowska. Ludzi jednej narodowości łączono w grupy, a szkolenie każdego kursu odbywało się w innym mieście. My znaleźliśmy się w odległym

od Moskwy o blisko trzysta kilometrów na wschód Tambowie, a starostą naszego kursu zostałem ja. W czasie ustalania składu osobowego kursu Berzin zwrócił się do mnie, bym zaproponował nazwiska tych Bułgarów, którzy w przyszłości powinni znaleźć się w szeregach pracowników wydziału. Oczywiście nie przesądzało to decyzji, która zależała od ich zgody, i istotnie niewielu z nich wstąpiło potem na niełatwą drogę służby wywiadowczej. Ale profesjonalny rewolucjonista powinien przejść szkolenie bojowe, któż może wiedzieć bowiem, jakie zadanie postawi go jutro twarzą w twarz wobec wroga.

Miałem wysunąć kandydatury ludzi, których znam osobiście lub za których mogę gwarantować. W rezultacie na kurs zostali przyjęci: Paweł Łambow (sekretarz pleweńskiego Komsomołu do czasów powstania czerwcowego), Atanas Linkow, Georgi Pawłow, Wasil Cakow Jotow, Wasil Brymbarow, Andrej Łukanow, najmłodszy syn Todora Łukanowa (wszyscy z Plewen, emigranci polityczni po upadku powstania czerwcowego lub wrześniowego), Andrej Jurukow („Wiktor") i Georgi Ognianow (również emigranci polityczni z Plewen), Peter Michajłow z Sofii i inni. Andrej Łukanow ukończył później medycynę i został profesorem. Wasil Cakow wrócił łodzią podwodną z Cwiatko Radojnowem w sierpniu 1941 roku do Bułgarii i został tam rozstrzelany. Andrej Jurukow, późniejszy członek KC, zginął w latach trzydziestych pod Sofią. Atanas Linkow ukończył szkołę lotniczą, jako doświadczony pilot oblatywał nowe maszyny, zginął w katastrofie lotniczej pod Moskwą w 1929 roku. Wasil Brymbarow został inżynierem i odniósł duże sukcesy w dziedzinie nauk technicznych. Georgi Pawłow przez długie lata pracował w Kominternie, wrócił na jakiś czas do kraju, po czym znów wyemigrował do Związku Radzieckiego, gdzie poświęcił się pracy związkowej i administracyjnej; zmarł jako wiceminister transportu. Paweł Łambow wrócił do kraju i padł tuż przed wyzwoleniem na posterunku bojowym. Peter Michajłow i Georgi Ognianow, znalazłszy się w kraju, prowadzili nielegalną działalność, a następnie — zaaresztowani przez wroga — długie lata przeby-

li w więzieniu. (Muszę dodać, że wyżej wspomniane kursy ukończyło przeszło stu bułgarskich komunistów, którzy wyemigrowali lub zostali wysłani do Związku Radzieckiego).

Zajęcia nasze trwały po czternaście godzin na dobę. Staraliśmy się wyciągnąć maksymalną korzyść z kontaktu z wykładowcami, mistrzami w sztuce wywiadowczej. Z każdego przedmiotu obowiązywał egzamin. W wyniku egzaminów końcowych uczestnikom naszego kursu przyznano najwyższą ocenę. Otrzymaliśmy też od kierownictwa szkoły dyplom uznania za wykazaną pilność w zdobywaniu umiejętności i za nienaganną dyscyplinę.

Berzin niewątpliwie miał co do absolwentów kursu swoje plany, ale przedstawicielstwo bułgarskie w Kominternie ponownie wystąpiło ze swymi potrzebami wielkiej wagi i na jakiś czas oddelegowano mnie do jego dyspozycji. Objechawszy całą Bułgarię wzdłuż i wszerz wrócił właśnie do Moskwy Grisza Salnin. Z podróży wyniósł jak najlepsze mniemanie o narodzie bułgarskim i naszej partii, ale był poważnie zaniepokojony. Ten doświadczony i zahartowany w rewolucyjnych walkach komunista spełniając powierzoną sobie misję zauważył szkodliwość poczynań ośrodka wojskowego partii, który od połowy 1924 roku stosował zgubną taktykę odpowiadania na terror władz terrorem. Wysnuwszy słuszny wniosek o fatalnym końcu takiej taktyki, Grisza wrócił wcześniej, niż oczekiwano, by donieść o niebezpieczeństwie.

Tuż przed jego powrotem z Sofii dotarła do nas jeszcze jedna bardzo smutna wiadomość: zabito Wasila Karawasilewa. Po powstaniu wrześniowym przybył on ponownie do ZSRR, lecz wiosną 1924 roku wezwano go znów do kraju. Tym razem udał się do Bułgarii drogą lądową przez Wiedeń. Komitet Centralny, oceniwszy wysoko jego zdolności wojskowe i organizacyjne, wciągnął Karawasilewa do pracy w ośrodku wojskowym. Jednakże policja wpadła na jego ślad, aresztowała i w drugiej połowie września 1924 roku zamęczyła w bestialski sposób.

Po śmierci Asena Chałaczewa była to już druga dotkliwa

strata. Faszyści bułgarscy wyrwali z naszych szeregów jednego z najbardziej uzdolnionych, odważnych i godnych szacunku komunistów pleweńskich.

Jak wiadomo z historii, plenum Międzynarodówki obradujące w styczniu i lutym 1925 roku zaleciło Bułgarskiej Partii Komunistycznej, by zrezygnowała z kursu obliczonego na zbrojne powstanie. W związku z tym oraz z prośbą o pomoc do Moskwy przybył sekretarz organizacyjny naszej partii — Stanke Dymitrow. Wkrótce po zakończeniu obrad, znając już podjęte decyzje, Stanke Dymitrow udał się do kraju, by w KC, którego działalności ośrodek wojskowy nadawał kierunek prowadzący do nieuniknionego pogromu komunistów, przywrócić normalną atmosferę.

Stanke Dymitrowa w pełni popierali Wasil Kołarow i Georgi Dymitrow (on i Gawriił Genow tworzyli w owym czasie Komitet Zagraniczny BPK) oraz wszyscy bardziej doświadczeni i dojrzali komuniści bułgarscy, którzy przewidując zbliżający się dramat nie mieli możliwości przeciwdziałania mu w jakikolwiek sposób.

Gdy Wasil Kołarow dawał mi nowe polecenie, czułem, że jest tak samo niespokojny i pełen napięcia jak w czerwcu 1923 roku po otrzymaniu wiadomości o neutralnej linii KC. Od tego czasu upłynęło półtora roku wypełnione doniosłymi wydarzeniami w życiu naszej partii. Odbiły się one na wyglądzie Kołarowa. W tym krótkim okresie trzeba było przezwyciężyć dwa śmiertelne niebezpieczeństwa zagrażające BPK. Pierwsze z nich zażegnano; drugie jak miecz Damoklesa zawisło obecnie nad tysiącami członków partii, nad sprzymierzonymi we wspólnym froncie z nimi chłopami, nad wszystkimi demokratami i uczciwymi Bułgarami nienawidzącymi krwawych rządów Cankowa.

— Tak, to prawda, w czasie powstania faszyści wybili tysiące, a po nim jeszcze dziesiątki najlepszych naszych ludzi — powiedział Kołarow. — Śmierć Wyłczo Iwanowa, Jako Dorosjewa, Weli Piskowej, Dimo Hadżidimowa, Charałampiego

Stojanowa, Todora Straszimirowa, Christo Gjulemetowa stanowi dla partii nieodżałowaną stratę... Ale linia obrana przez ośrodek wojskowy jest zgubna, szkodliwa, fatalna. Kosta Jankow i inni, zaślepieni swoją akcją odwetową, nie widzą, że wystawiają kadry komunistów na niebezpieczeństwo całkowitego wyniszczenia...

Słowa co chwilà zamierały Kołarowowi na wargach. Milknął, jakby wsłuchiwał się w dolatujące z dalekiej ojczyzny echo nowej salwy, wytaczającej krew z jeszcze jednego towarzysza broni...

— Jedyną właściwą reakcją na wzmagający się terror władz jest zorganizowanie biernego oporu. Należy niezwłocznie zrezygnować z kursu obliczonego na zbrojne powstanie. Trzeba natychmiast ściągnąć z gór oddziały partyzanckie i przerzucić je za granicę. Partia musi związać się mocno z masami, niejako okopać się w nich i dopiero przy sprzyjających warunkach ponownie ruszyć do ataku...

Moskwa—Warszawa—Praga—Wiedeń. Wyruszyłem najkrótszą drogą do Austrii, by stamtąd, nie zwracając niczyjej uwagi, dotrzeć do Sofii, gdzie miałem współdziałać przy wycofywaniu się partii z polityki zbrojnej walki. Jechałem sam, lecz wiedziałem, że do kraju wraca wiele ludzi z identycznym zadaniem. Spośród tych, których znałem osobiście, do Bułgarii udawali się: Georgi Michajłow z Kneży, działacze pleweńscy — Georgi Pawłow, Paweł Łambow, Christo Pakow — i wielu innych. Największe nadzieje pokładano oczywiście w Stanke Dymitrowie, który wyruszył do kraju wiosną, również przez Wiedeń. Tam, w Bułgarii, mieliśmy pracować pod jego kierownictwem.

Granicę przekroczyłem jako zwykły podróżny jadący pierwszą klasą „Orient-expressu", który kursował z Hamburga przez Berlin, Wiedeń, Belgrad, Sofię do Istambułu. Nie miałem kłopotów z kontrolą celną i paszportową, posiadałem bowiem odpowiednie dokumenty i nie wiozłem nic, co by mogło za-

interesować władze. Według paszportu byłem kupcem narodowości serbskiej.

„Orient-express" nie zatrzymywał się między Dragomanem a Sofią. Na sofijskim dworcu przywitał nas tłum przeróżnych handlarzy, tragarzy i dorożkarzy natarczywie proponujących swoje usługi. Nie miałem wątpliwości, że wśród nich kręcą się szpicle.

Tragarza nie potrzebowałem, ale przydałaby mi się dorożka. Toteż w chwilę później z małomównym starym dorożkarzem, który zaciął batem chudego, wymęczonego konia, ruszyliśmy Bulwarem Marii Luizy (obecnie Bulwar Georgi Dymitrowa). Zacząłem rozmowę, nie obawiając się, że dorożkarz jest agentem; będący na usługach władz mieli zwykle wypasione konie, a sami byli młodzi, gadatliwi i drażniąco wścibscy.

— Co tu słychać, przyjacielu? — spytałem. — Jeździłem za interesami po całej Europie i nie czytałem naszych gazet... Czy bandyci grasują jeszcze po górach?

Dorożkarz zmierzył mnie przeciągłym, ale na pozór nic nie mówiącym spojrzeniem. Długo milczał, gryząc wąsy. Wreszcie się odezwał:

— Nie wiem, kogo pan nazywa bandytami, ale bandyci, owszem, grasują...

— Komunistów, oczywiście! To oni dokonują wszystkich tych gwałtów... Oni strzelają na ulicach...

Stary nadal nie spieszył się z odpowiedzią:

— Strzelają, ma pan rację... Ale trzy razy więcej strzelają do nich... Przedwczoraj nad Rzeką Władajską znowu zabili jednego. Zabójcę owszem aresztowano; wprowadzono na posterunek jednymi drzwiami, a wypuszczono drugimi...

Umilkłem. Stary obudził we mnie sympatię i nie miałem sumienia prowokować go dalszymi pytaniami. Porządny, uczciwy człek, który nie mając nic do stracenia odważył się powiedzieć to, co myśli, by zamknąć usta jakiemuś wzbogaconemu parweniuszowi, za jakiego mnie wziął. A ciekawość moja została już zaspokojona. Chciałem się bowiem tylko zorientować, czy od czasu mego wyjazdu z Moskwy nie wydarzyło się w kraju nic nowego. Ale nic. Wszystko idzie „normalnie", to

jest — nadal toczy się z tą samą szybkością prosto w przepaść...

Dorożka minęła dawny Dom Partii i serce mi się ścisnęło. Wróg po 1923 roku jakby na ironię umieścił w tym gmachu dyrekcję policji. Stąd nie tylko padają rozkazy likwidowania komunistów i wszystkich postępowych ludzi, tutaj również faszyści znęcają się nad nimi, torturują ich i pozbawiają życia. Budynek, z którego do niedawna promieniowało światło wielkiej idei, przekształcił się w twierdzę krwawych rządów faszystowskich...

— Tutaj, przyjacielu — zwracam się do dorożkarza, gdy przejechawszy most Lwów, docieramy do narożnego hotelu „Belle Vue".

Podaję mu pieniądze i spozieram w oczy. Stary patrzy na banknot i sięga, by mi wydać resztę.

— Nie trzeba — mówię, niedbale machnąwszy ręką. — Bądź zdrów...

Dorożkarz spogląda na mnie i nie wyrzekłszy ni słowa, nawet nie odpowiedziawszy na moje pożegnanie, zacina konia...

Nie mam do niego żalu. Przeciwnie: posępny nastrój, jaki mnie ogarnął na widok splugawionego Domu Partii, ustępuje miejsca wewnętrznemu ciepłu na wspomnienie nieprzekupnej postawy starego. I powtarzam sobie w duchu znane słowa: „Można strzelać do narodu, lecz zwyciężyć go — niepodobna..."

Był kwiecień 1925 roku.

W Sofii panował nieustanny niepokój. Niemal codziennie na ulicach wybuchała strzelanina. Ponieważ dokonywano krwawych porachunków, większość działaczy partyjnych zakonspirowała się tak, że niezwykle trudno było ich odnaleźć. Toteż nie zdołałem jeszcze nawiązać kontaktu z ludźmi, których adresy otrzymałem w Moskwie i w Wiedniu, gdy dokonano zamachu w cerkwi „Święta Niedziela".

Tego dnia, 16 kwietnia, tuż przed południem w czasie odprawiania nabożeństwa żałobnego za zastrzelonego generała Georgijewa, komendanta wojskowego Sofii, kopuła cerkwi ru-

nęła z piekielnym hukiem. Była to awanturnicza akcja ośrodka wojskowego. Ostatnia...

Rezultaty jej są znane. Będący u władzy faszyści zyskali pretekst do urzeczywistnienia od dawna opracowanego szatańskiego planu całkowitego wyniszczenia tysięcy bułgarskich komunistów, sprzymierzonych z nimi chłopów i postępowych działaczy. Jeszcze przed zamachem przygotowano „czarne listy". Teraz skorzystano z nich — i natychmiast tej samej nocy z 16 na 17 kwietnia rozpoczął się nie notowany dotąd krwawy pogrom.

Już w kilka godzin po wypadku Sofię zalały tysiące policjantów i żołnierzy, większość w hełmach i z ciężkim uzbrojeniem. Zablokowano okolice zburzonej cerkwi, zamknięto wszystkie sąsiednie ulice, okrążono podmiejskie dzielnice proletariackie, a w całym kraju ogłoszono stan wyjątkowy. Rozpoczęły się szczegółowe rewizje. W każdym prywatnym mieszkaniu, w każdym budynku użyteczności publicznej niby to poszukiwano zamachowców, a w istocie dokonywano aresztowań tysięcy niewinnych ludzi. Zapłakało miasto. Jęczał cały kraj. Na prowincji władze nie próbowały nawet tłumaczyć, że szukają zamachowców; tam brutalnie wyciągano ludzi z domów i rozstrzeliwano bez żadnych wyroków sądowych... Nad Bułgarią zawisła długa, nie kończąca się noc białego terroru.

Nie było czasu na wahanie. Następnego dnia po zamachu zwinąłem manatki. Zanim uczyniliśmy cokolwiek, by zapobiec straszliwemu nieszczęściu, misję naszą spotkało niepowodzenie.

Gościnnie powitany w Bułgarii, spotkałem się też z serdecznym pożegnaniem — pieniądze z łatwością wywoływały uśmiech na twarzy każdego hotelarza. Kłopot nastręczała tylko konieczność natychmiastowej decyzji, którędy opuścić Bułgarię. Powrót przez Dragoman nie był wskazany; któryś z tamtejszych inspektorów policji mógł mnie zapamiętać. Droga przez Ruse również groziła niebezpieczeństwem — wiedziałem od towarzyszy, że na tym najważniejszym na północy punkcie granicznym policja wykazuje szczególną czujność. Zdecydo-

wałem się na Łom, niewielki port na Dunaju, skąd zwykle wysyłano przeznaczone dla środkowej Europy towary handlowe. Tam policja zapewne nie będzie zbyt pedantyczna wobec podróżnego, zwłaszcza mającego zagraniczny paszport kupca-eksportera w kieszeni...

Sofijski dworzec kolejowy obstawiony był i przez policję mundurową, i przez tajniaków. Legitymowano każdego wyjeżdżającego ze stolicy, podejrzliwie wertując dokumenty i zaglądając w twarze. Ale mój paszport, wydany w Wiedniu, elegancka powierzchowność i obojętne zachowanie łatwo otworzyły mi drogę do wagonu. Pociąg ruszył. Mimo że linia kolejowa była jedną z mniej ważnych, wagony roiły się od agentów i policjantów, którzy bez żadnych ceregieli wysadzali na najbliższej stacji każdego podróżnego, który budził ich podejrzenia czy wątpliwości.

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności pociąg, którym jechałem, przybył do Łomu niemal równocześnie z regularnie kursującym parostatkiem austriackiego towarzystwa żeglugowego, które w owych latach obsługiwało prawie cały dolny i środkowy bieg Dunaju. Policja graniczna i celnicy również i tu nie robili mi żadnych wstrętów, toteż natychmiast wsiadłem na wiedeński statek. Gdy wciągnięto trap, zawyła syrena i ruszyliśmy pod prąd, z piersi wyrwało mi się westchnienie ulgi.

6. Drogi ratunku

Wiedeń w owych latach był nie tylko stolicą Austrii, ale również skupiskiem wielu tysięcy emigrantów politycznych wszelkich odcieni i różnych narodowości. Znajdowały się tu też przebrzmiałe znakomitości białogwardyjskie — pułkownicy i generałowie bez armii, książęta, księżne, hrabiowie i dygnitarze bez dworu, wypłakujący swój żal po zniszczonym przez czerwonych świecie i wciąż jeszcze żywiący błogie iluzje, że sprawy przybiorą inny obrót, że „potworna niesprawiedliwość"

zostanie „naprawiona", bolszewicy zlikwidowani, a życie w Rosji wróci w dawne koleiny, którymi toczyło się „tak szczęśliwie i z błogosławieństwem bożym". Owe niedobitki starego świata okupowały luksusowe hotele, ucztowały do późnej nocy w najdroższych restauracjach, bawiły się w kabaretach. Ciągle jeszcze nie brakło im złota i pieniędzy, zabranych w chwili ucieczki za granicę lub złożonych przedtem w szwajcarskich bankach. „Ich rosyjskie posiadłości": fabryki, kopalnie, tysiące hektarów ziemi — kusiły chciwych finansistów zachodnich, którzy kupowali je za pół darmo. I jedni, i drudzy mieli nadzieję, że owe majątki wrócą do dawnych właścicieli... Ale Wiedeń — stara cesarska stolica, która widziała już upadek wielu władców i potęg, wiele grabieżczych wypraw i zrabowanych majętności — patrzył na to raz jeszcze z kamienną obojętnością. Współczuł o tyle, o ile mógł na tym zyskać.

Ten sam stosunek — hotelarza i kupca — miał Wiedeń również i do przebywających tu dłużej lub krócej działaczy różnych europejskich ruchów rewolucyjnych. Każdy, kto miał w kieszeni wypchany portfel i przestrzegał konwenansów, mógł korzystać z gościnności tego miasta. Można powiedzieć, że pieniądze i konwenanse były w owych latach elementami wiedeńskiego herbu.

W Wiedniu znalazło wówczas schronienie również wielu bułgarskich emigrantów politycznych, którzy opuścili kraj po dwóch krwawych pogromach: we wrześniu 1923 roku i w kwietniu 1925 roku. Większość z nich przybyła z Jugosławii, gdzie po powstaniu wrześniowym znalazła się znaczna część emigrantów bułgarskich. Z Jugosławii przyjechali tu także obaj przywódcy powstania — Wasil Kołarow i Georgi Dymitrow, którzy utworzyli w Wiedniu Komitet Zagraniczny (późniejsze Biuro Zagraniczne) KC BPK i zaczęli wydawać nielegalną „Gazetę Robotniczą", wysyłaną do kraju tajnymi kanałami partyjnymi. Tu również wydali w wielu językach demaskatorską broszurę: „Krwawe zbrodnie rządu burżuazyjno-nacjonalistycznego", by rozkolportować ją po całej Europie.

Wasila Kołarowa znalazłem pod starym adresem przypadkowo, bo choć wraz z Georgi Dymitrowem pracował w Komi-

tecie Zagranicznym jako generalny sekretarz Międzynarodówki, bezustannie podróżował, odwiedzając Moskwę i szereg innych stolic w Europie. Dlatego faktycznym przedstawicielem Komitetu Zagranicznego był Dymitrow.

Mój przyjazd do Wiednia nie był dla Kołarowa niespodzianką.

— Teraz będziesz pracował tutaj — rzekł do mnie. — Większość ocalałych kadr partyjnych przekroczyła granicę i znajduje się w Jugosławii. Musimy dołożyć wszelkich starań, by tych ludzi uratować. Stanowią oni żelazny fundusz partii...

Ratować ich trzeba było przez Międzynarodową Organizację Pomocy Rewolucjonistom, której siedziba mieściła się w Moskwie.

Walka o ich ocalenie zaczęła się zaraz po upadku powstania wrześniowego. Gdy Wasil Kołarow i Georgi Dymitrow przeszli granicę i zatrzymali się w Niszu, natychmiast wysłali depesze do Kominternu i MOPR-u, by organizacje te zwróciły się do wszystkich postępowych ludzi na świecie z prośbą o uratowanie przed ekstradycją zbiegłych z kraju i ukrywających się za granicą powstańców, o materialną pomoc dla nich i o ocalenie ich pozostałych w Bułgarii rodzin przed bestialską zemstą srożących się band faszystowskich. Kołarow i Dymitrow wysłali także pisma i depesze do rządów Rumunii, Grecji i Turcji, do organizacji demokratycznych i znanych działaczy społecznych w tych krajach, nalegając usilnie, aby wstrzymano dalszą ekstradycję bułgarskich powstańców, którzy znaleźli się na terytoriach owych państw, oraz by okazano im pomoc; niezwłocznie również poinformowali o wydarzeniach w Bułgarii szereg najpoczytniejszych gazet europejskich i największe agencje prasowe i zwrócili się do nich, aby zamieściły protesty przeciw krwawym zbrodniom dokonywanym na narodzie. Poza tym obaj przywódcy szukali poparcia europejskich organizacji obrony praw człowieka i obywatela, jak również apelowali do sumienia wszystkich uczciwych i nieprzekupnych ludzi na świecie o udzielenie pomocy Bułgarom.

W wyniku tych energicznych poczynań przez Europę przeszła fala protestów. Wielu wybitnych uczonych, pisarzy i spo-

łeczników wystąpiło przeciwko szalejącemu w Bułgarii terrorowi. W szeregu miast Europy zorganizowano demonstracje, wiece, zebrania. Najpotężniejszy był spontaniczny protest społeczeństwa radzieckiego, które zdecydowanie poparło sprawę powstania w Bułgarii, zaznaczając, że masy pracujące w naszym kraju nie są osamotnione, że stoją za nimi wszystkie narody wielomilionowego państwa radzieckiego...

Kampania protestacyjna przyniosła wyniki.

Rządy Grecji i Rumunii, mimo iż nie otworzyły oficjalnie granic, wydały swym władzom granicznym rozporządzenie, by nie zamykały drogi szukającym azylu politycznego Bułgarom. Również i Turcja, która dotychczas natychmiast wydawała każdego emigranta bułgarskiego schwytanego na swoim terytorium, złagodziła stosunek do powstańców, którzy przekroczyli jej granicę.

Następnie Kołarow i Dymitrow zatroszczyli się o to, by wszystkich bułgarskich emigrantów politycznych zgrupować w Jugosławii, gdzie władze odnosiły się do nich stosunkowo najprzychylniej. Zgromadzeni w Niszu uchodźcy otrzymali tymczasową pracę, z pomocą środków nadesłanych przez MOPR urządzono hotele robotnicze, warsztaty i stołówki, zakupiono odzież i obuwie, zorganizowano pomoc lekarską... Najwięcej pieniędzy, żywności i odzieży nadesłały dla bułgarskich emigrantów różne organizacje radzieckie. W Związku Radzieckim odczuwało się wprawdzie brak artykułów spożywczych, ludzie ciągle jeszcze nie dojadali, nie mieli dostatecznej ilości opału, ubrań i obuwia, ale gdy trzeba było pomóc, nie ociągali się z tym ani chwili.

Jak wiadomo, bułgarska emigracja polityczna w Jugosławii stanowiła jedną z głównych sił uderzeniowych partii w nowym powstaniu zbrojnym, postanowionym na konferencji witoszańskiej w maju 1924 roku. Setki znanych działaczy partyjnych i przywódców powstańczych znów wróciło do kraju, by odbudować zniszczone komórki partyjne, by organizować i zbroić szeregi członków partii, przygotowując je do nowej walki.

Komitet Zagraniczny, prowadząc działalność wojskowo-organizacyjną i polityczną, nie zapomniał o dostawach broni. W tym samym czasie, gdy my odbywaliśmy rejsy na kutrach, do Bułgarii przywieziono kilkoma drogami większą ilość broni z północy, zachodu i południa. Z północy nadeszła broń austriacka, kupiona przez Komitet Zagraniczny w Wiedniu i wysłana do kraju wraz ze zwykłymi towarami statkami żeglugi dunajskiej. Z południa broń dostarczyli uczestnicy lewicowego ruchu w Macedonii Egejskiej, na którego czele stał Wasil Manolew, wierny niegdyś współtowarzysz Jane Sandanskiego i prawa ręka Todora Panicy. Z zachodu, z Jugosławii, przenieśli broń przez granicę powracający nielegalnie do kraju bułgarscy emigranci polityczni.

Latem i jesienią 1924 roku do Bułgarii przedostali się liczni działacze BPK, aby przygotować okręgi partyjne do nowego powstania. Część z nich miała stanąć na czele roboty wojskowo-organizacyjnej, inni przybyli, aby pokierować pracą polityczną, jeszcze inni — jak Jordan Kiskinow, Todor Grudow i Georgi Złatkow — by utworzyć w górach oddziały partyzanckie.

Wraz z komunistami powrócili do kraju, by wziąć udział w przygotowaniach do powstania, lewicowi chłopi ze zjednoczonego frontu i federaliści macedońscy, z Todorem Panicą na czele. Ci ostatni rozwinęli działalność rewolucyjną głównie w rejonie Pirinu.

Rozpoczęła się intesywna praca konspiracyjna.

Jednakże przygotowania do nowego powstania zbrojnego, choć dokonywane w najgłębszej tajemnicy, nie uszły uwagi rządów sąsiednich państw. Pierwsza zareagowała Jugosławia, gdzie upadł koalicyjny rząd Dawidowicza, a jego miejsce zajął reakcyjny reżim Paszicza. Zaraz potem królewsko-czokojski rząd Rumunii uprzedził oficjalnie, że „nie pozostanie bierny, jeśli wydarzenia w Bułgarii przybiorą obrót korzystny dla bolszewików". A pogróżki reakcji rumuńskiej nie były czcze; wszyscy dobrze pamiętali interwencję wojskową Rumunii przeciwko republice węgierskiej w 1919 roku.

Nie rokowało to sukcesu przygotowywanemu atakowi. Nie tylko jednak jawne pogróżki obu państw ościennych pogarszały polityczne warunki powstania. W 1924 roku burżuazja zdołała przeciwstawić się powojennej fali rewolucyjnej w Europie i w następstwie pojawiły się oczywiste oznaki pewnej stabilizacji kapitalizmu. Rozsądek nakazywał zmianę strategii. Toteż Biuro Zagraniczne, w związku z decyzją plenum Międzynarodówki z lutego 1925 roku, specjalnie zaleciło Komitetowi Centralnemu, by odstąpił od zamiaru powstania. Zaleceniu temu towarzyszyło niezwłocznie zarządzenie Georgi Dymitrowa, skierowane do wszystkich nielegalnych działaczy w kraju, aby przerwali robotę wojskowo-organizacyjną i przekroczywszy granicę, znów udali się do Jugosławii.

Jednocześnie Kołarow i Dymitrow, obawiając się awanturniczych poczynań ośrodka wojskowego, wysłali do Bułgarii znaczną grupę działaczy partyjnych (mnie w ich liczbie), by pod kierownictwem Stanke Dymitrowa pchnęli działalność partii na nowe tory; przygotowywanie powstania zbrojnego należało odłożyć do czasu, gdy nastąpią bardziej sprzyjające okoliczności...

Tak rozwijały się wypadki do chwili kwietniowego zamachu w Sofii, który dał faszystowskim władzom pretekst do bezwzględnego rozprawienia się z partią, do wytrącenia z jej szeregów wielu cennych bojowników.

Wobec szalejącego w Bułgarii białego terroru oraz wrogiego stosunku reżimu Paszicza w Jugosławii do naszych uchodźców obecne zadanie kierownictwa partyjnego polegało na tym, by uratować ocalałe z pogromu kadry.

Realizować to zadanie miałem również i ja.

Nielegalny kanał Belgrad—Maribor—Wiedeń, który od kwietnia 1925 roku stał się prawdziwym kanałem ratunku, został zorganizowany z początkiem 1924 roku. Właściwie był to już istniejący kanał Komunistycznej Partii Jugosławii, służący zagranicznej łączności. Partia bułgarska korzystała z niego, ale kiedy stał się przeciążony, co zwiększało niebezpieczeństwo,

stopniowo utworzyła swój własny. Przerzucaniem ludzi przez kanał partyjny kierowali Dimitr Łambrew, Iwan Petrow i Iwan Krekmanow. Obok głównego działały pomniejsze kanały, utworzone przez bułgarskich emigrantów politycznych. Biegły one przez inne punkty granicy jugosłowiańsko-austriackiej. Jeden z nich znajdował się w Grazu i obsługiwany, był między innymi przez studiujących na tamtejszym uniewersytecie młodych bułgarskich komunistów Nikołę Wyłkowa, Cwetana Kristanowa, Toszo Nikołowa, Pawła Tagarowa, Zdrawko Micowa, Petko Caczewa i innych. Kanały służyły do przerzucania środków zapewnionych przez MOPR, gazet partyjnych i nielegalnej literatury; przedostawali się nimi również działacze i kurierzy partyjni, utrzymujący łączność z Kominternem.

Oczywiście, te tajne drogi nie byłyby potrzebne, gdyby nie wrogi stosunek reakcyjnych reżimów państw bałkańskich do ruchu rewolucyjnego i jego przedstawicieli. Kanały owe zorganizowaliśmy z konieczności.

Od kwietnia 1925 roku nabrały one dla partii zasadniczego znaczenia. Trzeba było przerzucić przez nie z Jugosławii setki oddanych sprawie bojowników, „żelazny fundusz partii" — jak ich trafnie określił Wasil Kołarow, w 1925 roku bowiem reakcyjny serbski reżim Paszicza przedsięwziął bardzo surowe kroki przeciw emigracji bułgarskiej; wszystkich emigrantów internowano w głębi Serbii. Subotica, Nowi Sad, Indżija, Nowi Beczej, Wyrszac, Gorni Milanowac, Weliki Beczkerek, Welika Kikinda — oto miejscowości, gdzie powstały dla nich obozy. Największe znajdowały się w Nowym Sadzie oraz w Indżiji. Ale miejscowości te, położone na trasie kolejowej Sofia—Belgrad—Wiedeń, stały się ważnymi ogniwami nielegalnego kanału partyjnego.

Po ekstradycji z Jugosławii oskarżonego przez policję Żiki Łazicza o „działalność szpiegowską" Gawriły Genowa, emigracją kierowali tu Georgi Michajłow, Chaim Pizanti i Kuzman Stojkow. Mimo iż policja serbska niesłychanie brutalnie tłumiła wszelkie przejawy nielegalnej działalności, kontakty między obozami emigrantów a kierownictwem partii za granicą nie ustały nawet na jeden dzień. Ludzie nasi regularnie otrzymy-

wali miesięczną pomoc z MOPR-u, broszury, gazety, listy od Georgi Dymitrowa i pisma Międzynarodówki. Zaczęła nielegalnie ukazywać się powielana gazeta „Słowo Bułgarskich Emigrantów Politycznych", podtrzymując na duchu ludzi, neutralizując budzące się chwilami nastroje defetystyczne, oportunistyczne czy ultralewicowe oraz skupiając kadry wokół wrześniowego kierownictwa partii, z Kołarowem i Dymitrowem na czele.

Jesienią 1925 roku reakcja przeszła do ataku nie tylko w Bułgarii, ale i we wszystkich państwach bałkańskich, w których panował reżim monarcho-faszystowski. Terror dotknął nie tylko partie komunistyczne, ale i wszystkie ruchy lewicowe w tych krajach. Śmierć groziła wszystkim postępowym działaczom, ludziom sztuki i nauki oraz społecznikom. W wyniku procesów, na których deptano elementarną literę prawa, albo i bez procesów zginęły setki i tysiące ludzi; wydawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać tych krwawych represji.

Wówczas — na wezwanie emigrantów politycznych z krajów bałkańskich — wielu wybitnych ludzi w Europie ponownie zabrało głos w obronie ofiar. Na czele tej grupy postępowych intelektualistów i społeczników stanął znany pisarz francuski Henri Barbusse. Do niego to zwrócił się Georgi Dymitrow, prosząc o naoczne sprawdzenie, jak wygląda sytuacja w krajach bałkańskich, by zabierając głos w obronie niewinnych, mógł przekonywająco przedstawić ją europejskiej i światowej opinii publicznej.

Jesienią 1925 roku Barbusse utworzył Komitet Obrony Ofiar Faszyzmu i Białego Terroru w Krajach Bałkańskich i stanął na jego czele. W skład komitetu wszedł Jean Villar. Uzyskawszy poparcie postępowej części społeczeństwa europejskiego, członkowie komitetu udali się do Bułgarii, Rumunii i Jugosławii i mimo iż policja tych krajów robiła im trudności, naocznie przekonali się o cierpieniach ich obywateli. Komitet podjął aktywną działalność w obronie ofiar białego terroru. Henri Barbusse napisał wstrząsającą książkę dokumentalną, zatytułowaną „Oprawcy", a Jean Villar opublikował pracę: „O tym, co

widziałem w Bułgarii", demaskującą bułgarski faszyzm i pełną sympatii dla narodu bułgarskiego. Przetłumaczone szybko na niemal wszystkie języki europejskie, obie te książki zyskały wielką popularność i przyczyniły się do walki przeciw faszyzmowi.

Osłabnięcie światowego ruchu rewolucyjnego, jakie nastąpiło w latach dwudziestych, dotyczyło też naszej partii i wymagało przegrupowania sił oraz strategicznego przekształcenia zadań. W kwietniu 1925 roku w związku ze stosowanym przez policję Żiki Łazicza terrorem, represjami i wyniszczeniem fizycznym emigrantów Biuro Zagraniczne uznało, że przebywanie ich w Jugosławii nie ma już sensu. Rozpoczęto więc przerzucanie ich przez granicę jugosłowiańsko-austriacką.

Zgodnie z planem opracowanym przez Georgi Dymitrowa i kierownictwo emigracji najpierw należało przerzucić chorych i starych. MOPR zapewnił im w Moskwie warunki do wypoczynku i leczenia. Następnie do Związku Radzieckiego mieli zostać wysłani działacze partyjni i aktywiści komsomolscy, których kierowano do szkół partyjnych, akademii wojskowych i innych uczelni, aby przygotowali się do przyszłej działalności rewolucyjnej we własnym kraju. Oczywiście do ZSRR trzeba było też przerzucić wszystkich wybitnych działaczy partyjnych, którym pobyt w Jugosławii czy w innym kraju kapitalistycznym zagrażał śmiercią. Pozostała część emigrantów politycznych została podzielona na dwie grupy: tych, których (w wyniku protestów europejskiej opini publicznej) objęła amnestia faszystowskiego rządu, i tych, których nie amnestionowano. Pierwsi mieli wrócić do kraju i włączyć się do nielegalnej działalności partii, drugich należało rozesłać do różnych zakątków Europy, aby pracowali dla potrzeb Biura Zagranicznego. Podobne kroki podjęło wobec swojej emigracji belgradzkie przedstawicielstwo Zjednoczonego Frontu Chłopskiego.

Przerzucanie emigrantów miało być dokonywane, oczywiście, nielegalnymi kanałami. Techniczną stroną przedsięwzięcia

kierowali na terytorium jugosłowiańskim Asen Grekow i Iwan Krekmanow, ale szczegółami funkcjonowania kanału zajmowało się wielu innych aktywistów partyjnych, jak również bułgarscy studenci-komuniści uczący się w Grazu i Wiedniu.

Czuję się w obowiązku stwierdzić tu, że w owych latach studenci-komuniści i antyfaszyści uczący się w różnych kapitalistycznych krajach Europy jak najaktywniej uczestniczyli w pracy Biura Zagranicznego. Działo się tak zwłaszcza po powstaniu wrześniowym, gdy walka z faszyzmem przybrała bardzo ostre formy. Szczególnie silne grupy partyjne wśród studentów powstały w Wiedniu, Grazu, Pradze, Bratysławie, Brnie, Berlinie, Monachium, Dreźnie, Lipsku, Paryżu, Montpellier, Nancy, Grenoble. Oprócz normalnej pracy politycznej studenckie grupy partyjne wykonywały również szereg ściśle tajnych zadań, dostarczały kurierów partyjnych, ich członkowie opiekowali się w drodze działaczami, nielegalnie przekraczającymi granice itd. Gdy potrzeba było ludzi obsługujących przerzuty emigrantów z Jugosławii, organizacje studenckie niezwłocznie włączyły się do akcji.

Kierownictwo emigracji wysłało kilku wypróbowanych ludzi do pomocy Grekowowi i Krekmanowowi. Wśród nich znaleźli się: Stefan Bojuklijew — aktywny działacz organizacji partyjnej w Ichtiman i uczestnik powstania wrześniowego, Georgi Baszikarow — bojownik z oddziału partyzanckiego Kiskinowa-Ciporkowa, Kirył Mitew-Kabza — jeden z przywódców powstania wrześniowego w Łom, Aleksander Wasilew — działacz organizacji partyjnej w Karłowie i Kałofer — wójt komuny sopockiej. Dla zamaskowania swej działalności Baszikarow i Wasilew otworzyli sklepiki warzywne, a pozostali trzej zapisali się na uniwersytet w Zagrzebiu.

Kierownictwo emigracji przede wszystkim poszukało dla bułgarskich komunistów legalnych lub półlegalnych dróg wyjazdu z Jugosławii. Początkowo szło to dość gładko. Iwan Petrow, członek kierownictwa emigracyjnego, na podstawie dokumentów stwierdzających, że wiele naszych ludzi posiada mienie w Austrii, zdołał zorganizować im normalny wyjazd przez punkt graniczny. Wkrótce jednak policja przewąchała,

w czym rzecz, i kierownictwo emigracji musiało się uciec głównie do przerzutów kanałami.

Wspominałem już, że początkowo użyto do tego przede wszystkim istniejącego kanału Komunistycznej Partii Jugosławii. Prowadził on z Zagrzebia przez Maribor do granicy, a poza nią do Grazu lub Wiednia. Zwykle emigranci przybywali pięcio- lub sześcioosobową grupą pod określony adres w Zagrzebiu lub Mariborze, a następnie pod opieką kuriera partyjnego (Bułgara, Jugosłowianina lub Austriaka) nielegalnie przekraczali granicę; KPJ po obu jej stronach miała swoich współpracowników, okazujących cenną pomoc w czasie akcji.

Później, gdy ilość wyjeżdżających znacznie się zwiększyła i stary kanał okazał się za ciasny, kierownictwo emigracji utworzyło jeszcze jedną czy dwie ścieżki, wiodące z Ljubljany do austriackiego miasta Klagenfurt.

W owych latach przekraczanie granicy jugosłowiańsko-austriackiej nie przedstawiało szczególnych trudności. Wprawdzie policja odmawiała wydawania paszportów bułgarskim emigrantom politycznym, lecz jednocześnie przymykała oczy na fakt ich „odpływu" z Jugosławii. Władze tutejsze miały aż nadto kłopotów z własnymi komunistami. Tylko w niektórych punktach uważnie pilnowano granicy, a patrole chodziły dość rzadko między nimi. Po austriackiej stronie — z wyjątkiem głównych przejść — również niemal nie było posterunków. Władze austriackie ciągle jeszcze nie bardzo interesowały się tym, kto wkracza na ich terytorium. Schwytawszy kogoś bez dokumentów, policja nie prowadziła śledztwa, a tym bardziej nie dochodziło do procesu. Po prostu odwożono niepożądanego cudzoziemca pod strażą do granicy i kazano mu przejść na drugą stronę (do Jugosławii, Czechosłowacji, Węgier, Szwajcarii, Niemiec lub Francji — zgodnie z wyrażonym życzeniem). Rządy w Austrii były wówczas stosunkowo tolerancyjne w porównaniu z resztą europejskich krajów kapitalistycznych, dlatego właśnie Georgi Dymitrow wybrał ten kraj na siedzibę Biura Zagranicznego BPK, a następnie również na siedzibę bałkańskiego ośrodka rewolucyjnego oraz zachodnioeuropejskiego biura Międzynarodówki.

Jednakże ten idylliczny stosunek władz do różnych zagranicznych organizacji rewolucyjnych działających na terenie Austrii trwał dość krótko, bo tylko do bohaterskiego powstania wiedeńskich mas pracujących w lipcu 1927 roku. Burżuazja austriacka stłumiła je krwawo, co świadczyło, że nie ma ona zamiaru odstąpić ani o krok od swoich klasowych interesów.

Kierowałem przyjmującą towarzyszy przybyłych z Jugosławii i przekazującą ich dalej grupą dwudziestu bułgarskich komunistów i antyfaszystów studiujących w owym czasie na uniwersytetach Wiednia i Grazu lub przebywających tu na emigracji. Byli to Stefan Todorow — „Wójt", komunista z rejonu Biała Słatina, studiujący na politechnice wiedeńskiej, Dimitr Manołow, komunista z tyrnowskiej wsi Małyk Cziflik, student weterynarii Wasil Wyłczanow Dodew, przywódca pleweńskiego Komsomołu kończący w Wiedniu studia rozpoczęte we Włoszech, oraz studenci medycyny: Georgi Popow, Alberto Łukanow, syn Todora Łukanowa, kierownik bułgarskiej organizacji studenckiej w Grazu, Cwetan Kristanow, komunista z Pirdop, Boris Wrabewski, komunista z Tetewen, a także studenci innych wydziałów: Pyrwan Kuzmanow, Dimitr Hadżijew i jeszcze kilku. Wszyscy oni pracowali z ogromnym samozaparciem aż do chwili przerzucenia ostatniego człowieka.

Zadanie nasze rozpoczynało się zwykle w chwili przybycia na umówione miejsce w Austrii emigrantów przekraczających granicę, aby się udać do ZSRR. Miejscami tymi były domy komunistów austriackich lub postępowych Bułgarów, którzy osiedlili się tutaj na stałe. Władze nie indagowały emigrantów, gdy udało im się niepostrzeżenie przedostać na terytorium austriackie, toteż łatwo docierali oni do Wiednia, gdzie czekałem na nich ja lub któryś z moich współpracowników.

W wielu wypadkach jednak okoliczności zmuszały nas do organizowania przerzutu już od obozu emigracyjnego w Jugosławii. W tym celu wysyłałem tam z odpowiednim paszportem któregoś ze studentów-komunistów z Wiednia lub Grazu. Sam jeździłem również. Późną jesienią 1925 roku byłem w Jugosławii dwukrotnie: raz w Belgradzie, gdzie zobaczyłem się

z tamtejszym przedstawicielem naszej emigracji Iwanem Petrowem, a drugi raz — w Suboticy.

Miejscami pierwszych konspiracyjnych spotkań z nowo przybyłymi do Wiednia emigrantami nie były mieszkania wynajęte pod przybranymi nazwiskami przez naszych ludzi ani ciche zakątki parków, ani podmiejskie okolice, które rzeczywiście mogły zapewnić konieczną dyskrecję, ale charakterystyczne dla tej starej stolicy wielkiej (wówczas już byłej) Monarchii Austro-Węgierskiej kawiarnie.

Kawiarnie wiedeńskie całkowicie odbiegają od wyobrażeń Bułgara o tego rodzaju lokalach. W owych latach człowiek mógł tam przyszedłszy rano spędzić w miłym zaciszu wiele godzin aż do wieczora. Student mógł się tam spokojnie przygotować do egzaminów, panie mogły szydełkować, emeryt — przejrzeć wszystkie wydania około dwudziestu dzienników (niektóre gazety ukazywały się dwa lub trzy razy dziennie). Przed południem piło się tam kawę lub herbatę, w porze obiadu można było zamówić coś w kuchni lub skoczyć do domu umilić swą krótką obecnością posiłek rodzinny i na resztę dnia znów wrócić do kawiarni. Gość mógł jeść niewiele, nawet bardzo mało; właściciel nigdy by sobie nie pozwolił na to, by go wyprosić. Atmosfera tych lokali była bardzo przyjemna, panowała w nich idealna czystość i niezmącony spokój, jakiego człowiek nie znajdował w sławnych ze swego komfortu i nastroju wiedeńskich restauracjach. W niektórych kawiarniach pianista cicho wygrywał miłe dla ucha melodie, gdzie indziej można było pograć w bilard. Nikt nie przejawiał tam zbędnej ciekawości, nikt nie podsłuchiwał cudzych rozmów. Rzec można, iż w owym okresie wiedeńska kawiarnia stanowiła swego rodzaju uzupełnienie domu i w tamtejszych średnio zamożnych rodzinach przyjął się powszechnie zwyczaj zapraszania gości do... kawiarni.

Oto dlaczego kawiarnie wiedeńskie (oczywiście nie te luksusowe na Ringu) zapewniały w owych latach dobre warunki do konspiracji. Rozumie się, że na spotkania z emigrantami umawialiśmy się za każdym razem w innym lokalu.

Nawiązawszy kontakt ze mną lub którymś z moich współpracowników, emigranci udawali się przez Pragę i Warszawę do ZSRR. Każdy z nich otrzymywał przedtem kompletne ubranie (na ten cel MOPR przysłał z Moskwy pokaźne sumy); zakupu dokonywaliśmy wspólnie z podróżnym, który ze sklepu z konfekcją wychodził już przebrany. Następnie dostarczałem każdemu odpowiedni dokument, bilet kolejowy do Moskwy i paczkę z żywnością na drogę. Dokumentem otrzymywanym przez większość emigrantów było zaświadczenie stwierdzające „prawo powrotu do kraju". Czytelnik domyśla się z pewnością, że tego rodzaju pisma Czerwony Krzyż wydawał wówczas wielu prawdziwym reemigrantom (byłym białogwardzistom, jeńcom wojennym itp.) oczekującym w Austrii na powrót do ZSRR. Na podstawie podobnych dokumentów wyjechaliśmy kiedyś wraz z Żeczo Giumiuszewem i Bojanem Papanczewem do ZSRR przez Warnę.

Na prośbę Biura Zagranicznego władze radzieckie bez zastrzeżeń zgodziły się udzielić prawa obywatelstwa wszystkim wypędzonym komunistom bułgarskim. W taki to sposób Kraj Rad stał się drugą ojczyzną dla nich i dla tysięcy innych emigrantów politycznych ze wszystkich krańców świata.

W ciągu sześciu miesięcy — do końca 1925 roku — przez Wiedeń do Moskwy udało się kilkuset bułgarskich uchodźców politycznych. Wyjazd ich z Jugosławii i przerzuty na wschód odbywały się bez przeszkód. Zginął tylko jeden człowiek — austriacki komunista, który przez zieloną granicę udawał się do Mariboru, by przekazać tam pieniądze z MOPR-u, a w powrotnej drodze zaopiekować się grupą emigrantów bułgarskich. Uległ on nieszczęśliwemu wypadkowi. W ciemnościach stoczył się do skalistej przepaści i zginął na miejscu... W parę dni później znaleźli go wysłani na poszukiwania towarzysze.

Ucierpieli też ludzie obsługujący od strony technicznej wiodące z Jugosławii kanały. Aresztowani zostali Asen Grekow, Kirył Mitew i Iwan Krekmanow. Aresztowano również „handlarzy warzyw": Georgi Baszikarowa i Aleksandra Wasilewa. Wszyscy oni jednak po krótkim pobycie na odwachach policyjnych w Zagrzebiu i Belgradzie ulegli tajnej ekstradycji do

Austrii. Najgorszy los spotkał Stefana Bojuklijewa. Zamknięto go w najokrutniejszym wówczas jugosłowiańskim więzieniu — twierdzy Gławniacza w Belgradzie — i trzymano tam w strasznych warunkach przeszło dwa lata. Potem poddano go torturom na „śledztwie". Nie załamał się. Po jego ekstradycji do Austrii towarzysze w Wiedniu powitali go niczym zmartwychwstałego.

Część III

W Chinach z misją Blüchera

1. Internacjonalistyczne zadania bojowe

Moskwa, grudzień 1925 roku. Idę ulicą przysypaną skrzypiącym pod stopami śniegiem, mijają mnie spiesznie zajęci swymi sprawami moskwianie w czapkach-uszankach na głowach, opatuleni w swe najcieplejsze ubrania (jest trzydziestostopniowy mróz), a nad ceglastoczerwonymi murami Kremla oślepiająco świeci zimowe słońce. Świeci, lecz nie grzeje.

I mnie również przenika chłód. Jego źródłem nie jest jednak zima; w swym ciemnozielonym mundurze Armii Czerwonej, z głęboko naciągniętą furażerką ozdobioną pięcioramienną gwiazdą, w wysokich zimowych butach niemal nie czuję mrozu. Chłód płynie z mego serca.

To uczucie owładnęło mną jeszcze w czasie strasznych dni kwietniowych dwudziestego piątego roku, gdy pod wrogimi ciosami rwały się szeregi naszej partii. Ten sam chłód przenikał mnie potem, gdy pomagałem bułgarskim emigrantom w wyjazdach przez Wiedeń. Przepędzeni z własnej ziemi, bojownicy ci mieli znaleźć drugą ojczyznę w kraju Lenina, lecz to nie zmniejszało bólu, bo tam, w umiłowanej ojczyźnie, między Dunajem a Rodopami, między Morzem Czarnym a Niszawą szalał biały terror, gnili w więzieniach lub ginęli bez sądu i wyroku najlepsi towarzysze walki, bracia, którzy do końca pozostali wierni rewolucji. Żal po nich ściskał wszystkie serca. I moje...

A oto budynek Czwartego Wydziału przy Sztabie Generalnym Czerwonej Armii — „Czekoladowy Dom", jak nazywali go pracownicy wydziału, ponieważ jego fasada oblicowana by-

ła ciemnoczerwonymi wypalanymi cegłami. Strażnik przy wejściu z uśmiechem skinął mi głową.

Gdy otwarłem drzwi, sekretarka Berzina, Natasza Zwonariowa, wstała od biurka, podbiegła i uścisnęła mnie serdecznie jak brata. Jej zachowanie wypływało tyleż z rosyjskiej wylewności, co i ze specyficznej atmosfery, jaka panowała wśród pracowników naszego ośrodka. Mimo iż byłem wśród nich stosunkowo niedawno, wielokrotnie już zetknąłem się z uczuciem braterstwa, łączącym tych skierowanych przez partię na cichy front ludzi. Wkrótce miałem się przekonać, że nasza niebezpieczna praca byłaby nie do pomyślenia bez tej solidarności i bezgranicznego oddania towarzyszom.

— Paweł Iwanowicz czeka na ciebie, Wanko, od kilku dni! — w słowach Nataszy kryła się nie wymówka, a niepokój. — Co się z tobą dzieje?

Po powrocie z Wiednia rzeczywiście zwlekałem z pójściem do Berzina. Znalazłem się na rozdrożu; poniesiona klęska przygnębiła mnie i wprowadziła zamęt w myślach. Ale jak to wyjaśnić Nataszy? Mimo iż ubrana w nową szarozieloną bluzę oficerską i wysokie wojskowe buty, Natasza nie przestaje być kobietą, a czuję, że ze swego bólu mogę się zwierzyć tylko mężczyźnie. Dziewczyna jednak spogląda na mnie wyczekująco pełnymi niepokoju oczyma.

— Wszystko w porządku, kurowałem się po prostu z małej grypy wiedeńskiej... — próbuję żartować, choć wobec znanej mi kobiecej intuicji Nataszy ten lekki ton dźwięczy nieprzekonywająco.

— Oby Paweł Iwanowicz wykurował cię ostatecznie — niewesoło kiwa głową Natasza. — Ale wiesz, że i lekarz nic nie wskóra bez pomocy pacjenta...

Otworzywszy dźwiękochłonne drzwi znika w gabinecie Berzina i zjawiwszy się po chwili nie mówi zwykłych w tych okolicznościach słów: „Paweł Iwanowicz czeka na ciebie", tylko uśmiecha się serdecznie, gdy przechodzę obok niej. Droga Natasza! Rozumie, że moja „grypa" jest szczególna, że nie lekarstwa tu potrzebne, a mocny uścisk dłoni Berzina.

— Z całego serca gratuluję, Wanko! — wita mnie Paweł Iwanowicz, stając jak zwykle pośrodku swego obszernego gabinetu i jak zwykle silnie, aż do bólu, ściskając mi dłoń. — Serdeczne gratulacje! I witaj w domu! — przygarnia mnie mocno ramieniem.

Wypuszczam jego rękę ze swojej i spozieram na niego. Jego szczere szaroniebieskie oczy patrzą jak zawsze serdecznie. Nie ma w nich cienia ironii. Więc skąd te gratulacje? Gratuluje się zwycięzcom, a chwalenie zwyciężonego jest niemal zawsze naigrawaniem się. Lecz w oczach Berzina nie ma drwiny...

— Wybaczcie, Pawle Iwanowiczu, zupełnie nie pojmuję... — mówię, z trudem formułując słowa. — Proszę mnie nie oszczędzać... Przygotowany jestem na zarzuty... Wiem, że na nie zasłużyłem... My, komuniści bułgarscy, okazaliśmy się złymi rewolucjonistami.

— Złymi rewolucjonistami, powiadasz? Tak? No, i co dalej?

Berzin wciąż patrzy na mnie, ale teraz uśmiech na jego twarzy zmienia się w wyczekiwanie. Mówię więc... O błędach z czerwca 1923 roku, o klęsce wrześniowej tegoż roku, o pogromie kwietniowym w roku dwudziestym piątym... Mówię i o niepowodzeniu z bronią... Opowiadam o nie kończącym się potoku Bułgarów zmuszonych opuścić kraj... Mówię też o strumieniach krwi, które popłynęły przez naszą ziemię.

Wyczekiwanie w oczach Berzina ustępuje stopniowo współczuciu i tak charakterystycznemu dla niego zrozumieniu. Słucha, nie przerywając i nie spuszczając ze mnie wzroku, słucha tak, jak tylko on umiał słuchać bolesnych słów, płynących wprost z serca.

Podzieliłem się z nim swą udręką. Kończę:

— Pawle Iwanowiczu, proszę wykreślić mnie z szeregów pracowników ośrodka. Znajdziecie ludzi rozumniejszych, z większym doświadczeniem, mających więcej szans...

Szef długo chodzi tam i z powrotem po gabinecie, wreszcie staje przede mną i szuka wzrokiem mego spojrzenia.

— Pewien jestem, że zrozumiemy się łatwo w niewielu słowach. Jak komuniści i jak mężczyźni! — mówi wolno i z na-

ciskiem. — Po pierwsze: wasza partia okazała się partią wspaniałych rewolucjonistów. Wszystko, co mi o niej powiedziałeś, dowodzi, że walczyła do końca, że nie złożyła broni mimo krwawych ofiar, że jest wiele warta. O waszym powstaniu wrześniowym następne pokolenia będą mówić z dumą: „Bułgarscy robotnicy i chłopi pierwsi w Europie przeciwstawili się faszyzmowi". A to czyn godny i bohaterski...

Umilkł, a po chwili nie odwracając ode mnie wzroku podjął:

— Po drugie: fiasko z bronią. Znam wszystkie szczegóły. Wiadoma mi jest przyczyna. Wiem, jakie były skutki. Nie było w tym twojej winy. Nic wielkiego się nie stało. Przepadła pewna ilość broni, ale ludzie nie ucierpieli. Proces warneński nie zakończył się wyrokami śmierci... A niepowodzenia mogą nas spotkać i w przyszłości. Nie jesteśmy przecież biernymi obserwatorami, każdy nasz krok to walka. Nie sądźmy, iż bogowie sprzyjają tylko nam. Tym bardziej — tu w oczach Berzina znów pojawił się uśmiech — że wypowiedzieliśmy wojnę nie tylko wstecznictwu, ale i bogom, którzy od wieków godzą się z nim wielkodusznie... I po trzecie: emigranci. Ciężko jest człowiekowi opuszczać ojczyznę, ale przygnębiające jest to tylko wówczas, gdy odchodzi całkowicie pokonany. A bułgarska partia wciąż walczy. Emigranci to nie biedacy, którzy szukają ocalenia; wszyscy oni powrócą do kraju, by stoczyć nowy, ostatni bój. Nie, ci ludzie nie zasłużyli ani na wyrzuty, ani na współczucie... Jako dzielnym bojownikom należy im się uznanie...

Berzin mówił i słowa jego były jak orzeźwiający napój, który zaspokoił moje pragnienie.

Zauważył to i umilkł. Już nie potrzebowałem pociechy. Gdy zachwiałem się, podał mi rękę, przywracając równowagę. Teraz mogłem znów kroczyć sam; a przede mną była długa droga...

— Natasza — wesołym głosem wezwał Zwonariową. — Wanko i ja zgłodnieliśmy i chce nam się pić. Mamy straszną ochotę na herbatę i coś do jedzenia...

Dziewczyna wyszła uśmiechnięta (zorientowała się od razu, że już wszystko w porządku), a Berzin, ująwszy mnie pod rę-

kę, zaprowadził do foteli przy małym okrągłym stoliczku, przy którym zwykle prowadziliśmy rozmowy. I jakby smutek sprzed paru chwil nie istniał, jakbyśmy dopiero zaczynali, rzekł:

— A więc, przejdźmy do rzeczy, Wanko! — a potem spojrzawszy mi w oczy dodał wolno i wyraźnie: — Szykuj się w podróż do Chin.

Drgnąłem.

— Do Chin? Czy się nie przesłyszałem, Pawle Iwanowiczu?

— Nie! — Berzin rozbawiony moim zdumieniem nie spuszczał ze mnie wzroku. — Do Chin. Do kraju, który jest obecnie obiektem wilczych apetytów wszystkich potęg kolonialnych. Do kraju Sun Jat-sena. Kraju pierwszej w Azji rewolucji narodowowyzwoleńczej, która upadnie, jeśli nie podamy jej pomocnej ręki...

Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego. Myślałem, że będę mógł kontynuować studia na uniwersytecie swierdłowskim; zamierzałem nawet poprosić o to Berzina. Przecież przerwę w nauce nazwano „okresową"... I w jednej chwili wszystkie zamiary obróciły się w niwecz. Słowa szefa nie mogły podlegać dyskusji; to rozkaz.

— Chiny są ogromne, Pawle Iwanowiczu — rzekłem cicho. — Nawet sobie nie potrafię ich wyobrazić. Skomplikowane warunki, całkiem nieznany naród i język... Z trudem mógłbym...

— Rozumiem cię — przerwał mi jak zwykle Berzin. — Ogromny kraj, czterystumilionowy naród, dziesiątki grup narodowościowych, setki języków, miliony żołnierzy i dziesiątki nienawidzących się wzajemnie armii, mrowie generałów, z których każdy kłania się innemu bogu... Istotnie, trudno jest tam pracować. Rewolucja chińska śmiertelnie przestraszyła imperializm światowy, który obecnie wszystkie swe wysiłki skupił na tym, by ją zlikwidować. Działa za pomocą wszelkich dostępnych środków, wysyła przeróżnych „specjalistów" i prowokatorów, sypie garściami złota... A chińskiemu kolosowi — ledwo dźwignął się na nogi — znów zagraża upadek. Pomocy oczekuje tam blisko pół miliarda ludzi napadniętych przez imperialistyczne hieny...

O twoich zaletach nie musimy mówić — podjął po chwili. — Zdobyłeś doświadczenie, przesiąknięty jesteś rewolucyjnymi tradycjami waszej partii, zapoznałeś się z istotą naszej pracy... Spodziewam się, że w Chinach będziesz działał tak jak dotychczas... Nawet jeszcze lepiej: z większą rozwagą i cierpliwością, bardziej dojrzale. Zachodnie ośrodki wywiadowcze, amerykański, angielski i francuski, działają tam i jawnie, i skrycie, na wszystkich szczeblach i wszelkimi metodami, w Hongkongu i w Pekinie. Japończycy również mają w tym poważny udział. Łatwo ulegli złudzeniu, że Chiny są wyłącznie terenem ekspansji imperializmu japońskiego. Nie muszę chyba podkreślać, iż Japończycy i cała reszta działają bezwzględnie i bezlitośnie: najwyraźniej doprowadza ich do szału sama myśl, że Chiny mogłyby pojawić się na scenie historii jako kraj niezależny gospodarczo i politycznie. Teraz, po śmierci Sun Jat-sena, imperialistyczne nadzieje na przywrócenie dawnego stanu rzeczy wzrosły stokrotnie... — Wyjeżdżasz jako doradca wojskowy z misją Blüchera. Rezydentem i bezpośrednim twoim zwierzchnikiem będzie...

Wstrzymuję oddech, oczekując, czyje nazwisko padnie. Berzin rozumie to i jakby umyślnie przedłuża milczenie.

— ...Grisza.

— Grisza Salnin? Tak?

— Właśnie, Iwanie! — zaczepnym tonem mówi Berzin. — Zgłaszasz jakieś zastrzeżenia?

Jakże świetnie orientuje się ten znawca ludzi we wzajemnych sympatiach, które łączą jego pracowników. Śmieję się po raz pierwszy od chwili, gdy przestąpiłem próg gabinetu Berzina. Śmiech przynosi mi ulgę. Nie wiem, czy to autosugestia, czy też coś innego, lecz w tej chwili czuję, jakby mi zdjęto z pleców ciężar, który przygniótł mnie, gdy dowiedziałem się o bliskiej podróży do Chin. Grisza Salnin! Z nim poszedłbym wszędzie, nawet do wilczej jamy. I Berzin o tym wie...

— Nie ma go w Moskwie, bo rozmawialibyśmy teraz we trzech — dorzuca. — Lecz oczekuję go lada dzień. Toteż teraz omówimy tylko część spraw, a wkrótce resztę.

Następnie Berzin zapoznał mnie najogólniej z sytuacją w Chinach. Oczywiście, o wielu wydarzeniach w tym ogromnym azjatyckim państwie przebudzonym właśnie do samodzielnego życia wiedziałem już przedtem, lecz teraz Berzin ukazał mi te sprawy od ich „intymnej" strony.

Po rozpaczliwych a nieudanych próbach uspokojenia kraju, który po zrzuceniu jarzma monarchii przeżywał krytyczny okres, wódz i ojciec rewolucji — jak Chińczycy nazywali Sun Jat-sena — zwrócił się o pomoc do ZSRR. Młoda republika bowiem po tysiącletniej tyranii monarchii nie mogła się uporać z przeróżnymi politycznymi i militarnymi awanturnikami, z których jedni ogarnięci byli zgubną ambicją, drudzy zaś dali się przekupić imperializmowi. Wszyscy oni rozszarpywali kraj na liczne wojujące między sobą obozy. Każdy generał szukał tylko okazji, by swą zależność od rządu Sun Jat-sena ograniczyć w podległym sobie okręgu do fikcji i wprowadzić własny reżim, polegający na swobodnym ściąganiu podatków i dokonywaniu konfiskat na swoją korzyść... Na próżno Sun Jat-sen zwracał się do wszystkich wojskowych i szefów najróżniejszych ugrupowań politycznych z wezwaniem o pokojowe zjednoczenie kraju. Generałowie nawet słuchać o tym nie chcieli, ci zaś, których pod groźbą rządowych karabinów zmuszono do uznania legalnej władzy, tylko czekali na dogodny moment, by się zemścić; inni znów, wczoraj jeszcze wierni rządowi, dziś przekupieni japońskim lub amerykańskim złotem, stawali się koniem trojańskim w ręku wroga... Sun Jat-sen znał jego siłę, bezwzględność, doświadczenie i podstępy, wiedział, że rewolucja chińska nie odniesie zwycięstwa bez własnych oddanych sprawie sił zbrojnych. Jasno zdawał sobie sprawę również z konieczności posiadania wiernych dowódców. Uznał więc, że Chiny muszą mieć tylko jedną dobrze zorganizowaną armię, złożoną z kadr wiernych rewolucji. Utworzenie zaś takiej armii było niemożliwe bez jak najściślejszej współpracy z ZSRR; z doświadczeń tego kraju wódz narodu chińskiego zamierzał skorzystać przy organizowaniu własnej szkoły, która miała kształcić wiernych rewolucji oficerów. „Spojrzenie nasze zwrócone jest na Rosję — mówił Sun Jat-sen do swego narodu. —

Jeśli nie pójdziemy za jej przykładem, rewolucja nie odniesie sukcesu... Musimy się uczyć od Rosjan..."

Sun Jat-sen wzywał, by od Rosjan uczono się, jak nawiązywać kontakty z masami ludowymi, jak organizować wszystkie zdrowe siły rewolucyjne, jak walczyć i zwyciężać na dwóch frontach — co w Chinach oznacza walkę z imperializmem i walkę z feudalizmem — jak tworzyć rewolucyjną armię, jak prowadzić rewolucyjną wojnę i na froncie, i na tyłach...

Takie oto były powody historycznej decyzji Sun Jat-sena, by zwrócić się do Lenina z prośbą o konkretną pomoc...

— Resztę wiesz, Wanko — zakończył Berzin. — Sam widziałeś w Moskwie jesienią 1923 roku delegatów Sun Jat-sena. Wiesz również o tym, że Karachan od razu wyjechał do Pekinu. Słyszałeś też o Borodinie, znasz i Blüchera. Rewolucjonistom chińskim potrzebne jest nasze doświadczenie, nasza pomoc materialna, nasza broń. Sun Jat-sen nie jest komunistą, lecz rozumie, że bez ZSRR, jedynego szczerego przyjaciela rewolucyjnych Chin, dzieło jego skazane jest na zagładę.

Na pożegnanie Berzin sprawił mi ostatnią w tym niezwykłym dniu niespodziankę.

— Żebym nie zapomniał o pewnym szczególe, Wanko — rzekł z wesołym i zaczepnym spojrzeniem, po którym odgadłem, że nie przez roztargnienie zostawił ów szczegół na ostatek. — Tym razem będziesz miał miłe towarzystwo: Galinę.

— Nie rozumiem, Pawle Iwanowiczu. Czy to mowa o mojej Galinie?

— Właśnie o niej, Iwanie — zaśmiał się głośno Berzin i prowokacyjnie dorzucił: — Tylko żeby nie było nieporozumień: Galina Lebiediewa jest już naszym pracownikiem. Nie jedziesz z nią na urlop... W Chinach będzie waszym szyfrantem... A więc, do zobaczenia, Wanko! Przygotujcie się. Za jakiś miesiąc lub dwa wyruszacie... — i ścisnął mi na pożegnanie rękę.

Miesiąc lub dwa — tyle zaledwie czasu mógł nam zapewnić Berzin na przygotowanie się do tego wyjazdu. Mało to czy du-

żo? Powiedziałbym, że całkiem niewiele. Chiny były dla mnie (a i dla Galiny, mojej żony) ziemią zupełnie nieznaną, jakby inną planetą. Skąpe wiadomości geograficzne, które dawała szkoła, nie wnosząc niczego istotnego, powiększały tylko wrażenie tajemniczości, jaka otaczała ten kraj. Również i europejska prasa polityczna, mająca dość sensacyjnego materiału z bliższych terenów — od Rewolucji Październikowej upłynęło zaledwie osiem lat, a od pokonania interwentów i zlikwidowania białogwardyjskiej kontrrewolucji niepełne pięć — wolała swoje szpalty wypełniać szkalującymi i kłamliwymi informacjami oraz złośliwymi komentarzami o radzieckiej Rosji niż zajmować się Chinami, toteż od niedawna i pobieżnie pisała o tym kraju. Chiny w owych latach wydawały się jeszcze bardzo dalekie i tylko oświecone umysły i dalekowzroczni politycy rozumieli, iż problem Chin jest również problemem Europy, że Chiny są częścią jednego i niepodzielnego świata ludzi, że los ich łączy się z losem światowego ruchu rewolucyjnego...

Do końca stycznia mieliśmy z Galiną mnóstwo do przeczytania. Czuliśmy się jak studenci przed egzaminami. Czytaliśmy przeróżne książki: prace naukowe, materiały dotyczące historii i geografii, klimatu, gospodarki i obyczajów, sztuki i wierzeń religijnych w Chinach. Wgłębialiśmy się w różne almanachy, mapy, zdjęcia i rysunki ilustrujące życie w tym kraju. Rozmawialiśmy z kolegami z ośrodka i z naukowcami, którzy przebywali w Chinach lub studiowali problemy tego kraju. Ośrodek pomagał nam we wszystkim. Sinolog starał się zapoznać nas z niektórymi regułami oficjalnego języka Chin i z systemem hieroglifów; uczyliśmy się (ileż to kosztowało wysiłku!) pewnych utartych słów i zwrotów, które mogły się okazać potrzebne... Mieszkanie nasze na Cwietnym Bulwarze zmieniło się w istną szkolną klasę, a lampa świeciła w niej do późnej nocy...

Oczywiście największą uwagę poświęcaliśmy poznaniu historii, charakteru i specyfiki chińskiej rewolucji narodowej — w jej to przecież obronie nasza grupa, uzupełniająca korpus Blüchera, udawała się do Chin.

2. Kilka słów o chińskiej rewolucji i jej wodzu Sun Jat-senie

Sądzę, że Czytelnika zainteresują poniższe fragmenty moich wspomnień, w przeciwnym razie szereg faktów — wydarzeń, które poruszyły Chinami w naszym stuleciu i wprowadziły je na scenę współczesnej historii — pozostałby dlań niezrozumiały.

Chiński ruch narodowowyzwoleńczy datuje się od końca ubiegłego wieku. Wtedy to grupa wywodzących się z mas młodych inteligentów o szerokim widnokręgu ideologicznym, zapoznawszy się z kulturą europejską, zdecydowała poświęcić swe siły wyzwoleniu własnego narodu. Wyzwolenie to rozumieli oni dwojako: miało nim być obalenie mandżurskiej dynastii Ts'ing, tyranizującej kraj od trzystu przeszło lat (to jest od 1644 roku), oraz odparcie brutalnych ataków cudzoziemców.

W epoce dynastii Ts'ing Chiny, pogrążywszy się w głębokim kryzysie społeczno-politycznym, stały się terenem, ku któremu kierowały się zachłanne apetyty kolonizatorów. Najbardziej agresywny był lew brytyjski (znajdujący się u szczytu potęgi), który w 1839 roku wywołał pierwszą wojnę opiumową. Od tej chwili Chiny przekształciły się w półkolonię Wielkiej Brytanii, Francji, USA (a później i kajzerowskich Niemiec). Państwa te zalały kraj tanimi, niskiej jakości towarami przysyłanymi „w zamian" za cenne chińskie surowce i dzieła sztuki. Wyrazem buntu narodu przeciwko obcym najeźdźcom, jak i przeciwko jarzmu chińskich i mandżurskich feudałów stało się powstanie tajpingów (1851—1864). Dynastii Ts'ing na pomoc pośpieszyły państwa imperialistyczne. Była to jawna interwencja (druga wojna opiumowa), w wyniku której kolonizatorzy umocnili się w Chinach jak kraj długi i szeroki poprzez cały system nierównoprawnych umów, przekształcających tysiącletnie Państwo Środka w bezbronną zdobycz podzieloną na „strefy wpływów"...

Powstanie tajpingów stłumiono, lecz tradycje bojowe nie wy-

gasły: działalność „bokserów" — jak Europejczycy nazywali patriotyczno-społeczny ruch zrodzony w masach ludowych — towarzyszyć będzie nierozłącznie odrodzeniu Chin.

Od pierwszej chwili swego powstania chiński ruch narodowowyzwoleńczy związany był z imieniem Sun Jat-sena. Ów młody, dwudziestosiedmioletni, wykształcony w Hongkongu lekarz z prowincji Kuangtung w 1894 roku ogłosił swój „Wielki program czterech warunków". Program ten wyrażony konkretnie sprowadzał się do obalenia feudalnych przeżytków, a następnie do likwidacji zacofania Chin i ich kolonialnej zależności od państw imperialistycznych.

Ideały młodego Sun Jat-sena były głęboko humanistyczne i świadczące o szczerym demokratyzmie i płomiennym patriotyzmie, lecz ani sam twórca programu, ani jego najbliżsi współtowarzysze gorąco miłujący swój naród nie widzieli na razie dróg jego realizacji.

Dopiero zbieg tragicznych dla Chin wydarzeń otworzył Sun Jat-senowi oczy. Na początku lat dwudziestych Japonia, nowa, rodząca się właśnie potęga imperialistyczna, wypowiedziała wojnę Chinom i mimo iż w oczach mandarynów wydawała się „muchą wobec słonia", za pomocą małej, lecz świetnie przygotowanej i nowocześnie uzbrojonej armii zadała im haniebną klęskę. W ręce Japończyków wpadła Korea, następnie Port Artur, a po nim ogromne połacie Mandżurii; po rozbiciu floty chińskiej i rozpędzeniu armii lądowych Japończycy zagrozili wschodnim prowincjom i samej stolicy imperium. Wydawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać ich zwycięskiego marszu. Mucha zdeptała słonia... Sun Jat-sen i jego towarzysze zrozumieli, że jest to rezultat sprzedajności dynastii Ts'ing i wiekowego zacofania kraju.

Pojęli zarazem, że Chiny może uratować tylko obalenie tej przegniłej dynastii, a wraz z nią i absolutystyczno-monarchicznego ustroju, panującego od przeszło dwóch tysięcy lat w Państwie Środka, że ratunek Chin leży w rewolucji.

24 listopada 1894 roku zbierają się w Kantonie założyciele Związku Odrodzenia Chin, by wysłuchać deklaracji nowej organizacji rewolucyjnej. Wygłasza ją Sun Jat-sen wobec dwu-

dziestu na razie osób. Lecz są to głosiciele idei, jej siewcy — a ogromna ziemia chińska to gleba podatna na rewolucyjny siew.

Na początku 1895 roku kierownictwo związku ma już swą siedzibę w Hongkongu, a plany powstania są gotowe; uzgodniono też główne kierunki uderzenia.

Jednakże w przeddzień powstania w łonie kierownictwa wybucha konflikt, który o parę dni opóźnia wybuch. Okazało się to fatalne, bo przygotowania do buntu przypadkiem wyszły na jaw i władze rozpoczęły masowe aresztowania. Większość zatrzymanych członków związku została stracona, Sun Jat-sen jednak — ukrywany przez wiernych przyjaciół — zdołał się uratować.

Pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem, lecz przywódca i jego towarzysze nie złożyli broni. Głęboko przekonany o słuszności swych idei rewolucyjnych, Sun Jat-sen niezwłocznie przystąpił do dzieła wskrzeszenia tajnej organizacji. Tym razem czynił to umiejętniej, z większym doświadczeniem, z poczuciem realizmu i strategiczną dojrzałością.

Obowiązek rewolucyjny kazał mu się udać do Anglii, Stanów Zjednoczonych, Japonii — wszędzie tam, gdzie znajdowały się zwarte masy chińskich emigrantów i gdzie znaleźć mógł zwolenników rewolucji. Wraz z nowymi buntami „bokserów" — w Mandżurii, w prowincjach Szantung, Czili, Szansi — następuje w Chinach nowa era. Ruch tajnych organizacji rewolucyjnych, zrodzony jako protest przeciwko uciskowi chińskich i mandżurskich feudałów, przekształca się w masowe powstanie przeciwko imperialistom. Pozostawione jednak własnemu losowi, powstanie to na północy zostaje stłumione.

Sun Jat-sen tymczasem intensywnie przygotowuje z towarzyszami powstanie na południu: gromadzą broń, tworzą tajne oddziały rewolucyjne, opracowują nową taktykę.

A w 1907 roku, posiadając już skrystalizowane koncepcje polityczno-ideowe co do przyszłej struktury Chin, doktor Sun Jat-sen formułuje pierwszy wariant swego rewolucyjnego programu. Są to „trzy zasady": zasada nacjonalizmu, ludowładztwa i dobrobytu ludu.

Jeszcze przedtem, w roku 1905, Sun Jat-sen założył Ligę Związkową. Był to krok na drodze jednoczenia sił rewolucyjnych.

Działania powstańcze, jako dalekie echo pierwszej rewolucji rosyjskiej (1905 roku), rozpoczęły się w roku 1907. Stopiły się one z buntami chińskich górników i zamieszkami chłopskimi w południowych Chinach.

W kwietniu 1911 roku wybuchło bohaterskie powstanie kantońskie. Dynastii Ts'ing udało się wprawdzie krwawo je stłumić, lecz było to pyrrusowe zwycięstwo. Wypadki w Kantonie stały się gromkim wezwaniem do rewolucji w całych Chinach.

I wybuchła ona w październiku 1911 roku. Zaczęła się w prowincji Hupei, której stolicę, tysiącletnią twierdzę monarchizmu, Wucz'ang, zdobyli powstańcy. W ślad za tym zwycięstwem fala poważnych zamieszek przetoczyła się przez Szanghaj, Kanton, Cz'angsza... Tymczasem wojska rewolucyjne z Wucz'angu przekroczyły Jang-tse-kiang i zdobyły Hanjang i Hank'ou; dynastia Ts'ing utraciła nowe prowincje. Był to początek końca tysiącletniej monarchii. W grudniu rewolucyjne wojska z prowincji Tajangsu, Anhuei i Czekiang, wsparte przez oddziały rewolucyjne z Szanghaju i flotyllę okrętów, zdobyły Nankin. Stara stolica chińskiego imperium stała się stolicą rewolucji. Tu przedstawiciele szesnastu wyzwolonych prowincji proklamowali republikę i wybrali rząd, obalając tym samym mandżurską dynastię Ts'ing.

1 stycznia 1912 roku Sun Jat-sen został ogłoszony tymczasowym prezydentem republiki chińskiej.

Ale droga przed młodą republiką nie była usłana różami. Wprawdzie „kolos na glinianych nogach" — Chiny nie miały już stać otworem dla każdego obcego zdobywcy, ale wewnątrz kraju każde z kolonialnych imperiów świata utworzyło poprzez koncesje i przekupstwo swoje „państwo w państwie", a kompradorska burżuazja chińska, dzierżąca w swych rękach główne zawory gospodarcze, przestraszona śmiertelnie hasłem „władzy narodowej i narodowego dobrobytu", miała uczynić wszystko, by przeszkodzić dalszemu rewolucyjnemu rozwojowi

republiki, którą próbowała przekształcić w narzędzie własnej władzy...

Sun Jat-sen zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Widział, że w szeregi rewolucjonistów wkradli się przedstawiciele burżuazji, feudalni posiadacze ziemscy, agenci obcego kapitału i przeróżni awanturnicy: sprzedajni generałowie, karierowicze, spekulanci polityczni. Wszystkie te elementy mogły przy pierwszej sposobności sprzedać republikę za garść srebrników, a jej przywódców wysłać na stracenie, jedyna zaś siła społeczna, zdolna wesprzeć prawdziwą rewolucję, klasa robotnicza, w owym czasie praktycznie w Chinach nie istniała, na początku naszego stulecia bowiem proletariat stanowił tam niespełna jeden procent ludności; dość liczną warstwą była drobna burżuazja miejska, kupcy i rzemieślnicy, a większością — chłopi pogrążeni w nieprawdopodobnej ciemnocie, zacofaniu, inercji i ślepocie politycznej. Czy więc zdrowe siły rewolucji zdołają zneutralizować ukryty nacisk czarnych, niszczycielskich mocy?

Republika wciąż jeszcze nie odniosła zwycięstwa na całym terytorium Chin; trzeba było wyzwolić z jarzma państw imperialistycznych jeszcze milion kilometrów kwadratowych ziemi i setki milionów zamieszkujących ją ludzi, jak również wykonać najważniejsze zadanie — ustabilizować gospodarczo kraj, katastrofalnie zrujnowany przez pasożytniczą dynastię Ts'ing, bezlitośnie ograbiony przez japońskich najeźdźców, brutalnie eksploatowany przez państwa kolonialne. A republika dysponowała niewielką, przy tym źle uzbrojoną armią, nie posiadała pieniędzy, państwa imperialistyczne zaś odmawiały udzielenia jej jakichkolwiek kredytów. Kapitalistyczna prasa zachodnia nazywała Sun Jat-sena „marzycielem" i „fantastą" i otwarcie popierała stary reżim...

W tym okresie tylko jedna na świecie partia — bolszewicka — wyprzedzając cały europejski ruch socjalistyczny, radośnie powitała rewolucyjne odrodzenie Chin. Według Lenina ogromne znaczenie rewolucji chińskiej polegało na tym, że czterysta milionów zacofanych Azjatów zyskało wolność i zbudziło się do życia politycznego, że czwarta część ludności

świata przeszła, by tak rzec, z półsnu ku światłu, ku czynowi i walce (mówił o tym w 1912 roku na ogólnorosyjskiej konferencji partii bolszewickiej w Pradze).

Otoczony nieszczerymi pomocnikami, chwiejnymi ministrami i sprzedajnymi współpracownikami, Sun Jat-sen z ogromnym wysiłkiem starał się nie dopuścić, by republika rozwinęła się w kierunku kapitalizmu, by ustrój Chin przypominał ustrój zachodnich państw burżuazyjnych. Dla niego rewolucja dopiero się zaczęła, a republika była konieczną formą ustrojową, aby w przyszłości zapewnić wprowadzenie głęboko humanistycznych zasad socjalizmu. I mimo że Sun Jat-sen nie był marksistą, a jego koncepcje cechował naiwny liberalizm i narodnictwo, ale jak na ówczesny etap rozwoju Chin pchnął je o krok naprzód we właściwym kierunku. Lenin określał Sun Jat-sena jako rewolucyjnego demokratę przepełnionego szlachetnością i bohaterstwem, wywodzącego się z klasy dążącej ku górze, a nie w dół, z klasy, która nie lęka się przyszłości, a wierzy w nią i walczy z samozaparciem, z klasy, która nienawidzi przeszłości i umie odrzucić jej martwą, dławiącą wszystko, co żywe, zgniliznę i przepowiadał proroczo, że przyjdzie czas, gdy w Chinach wyrośnie klasa robotnicza i właśnie ona utworzy proletariacką partię, która zachowa i rozwinie rewolucyjno-demokratyczną istotę programu politycznego i agrarnego Sun Jat-sena. A Sun Jat-sen uważał za podporę swego programu polityki wewnętrznej właśnie podział ziemi, to jest reformę rolną („Dla każdego siewcy — własna niwa").

25 sierpnia 1912 roku w Pekinie rozpoczął obrady założycielski zjazd nowej partii politycznej, Kuomintangu, która miała odegrać fatalną rolę w następnym czterdziestoleciu historii Chin. Nowa partia była tworem umiarkowanych i prawicowych burżuazyjnych elementów. Mimo iż Sun Jat-sen nie brał udziału w zjeździe i z rezerwą odnosił się do utworzenia Kuomintangu, został wybrany jego przywódcą. Jednakże faktyczne kierownictwo spoczywało w rękach prawicy i już w rok później spróbowała ona sprzedać republikę. Po zdradzie prawicy Sun Jat-sen utworzył nową partię polityczną — Czung-hua Kuomintang. Była to już ściśle zakonspirowana organi-

zacja, a podstawę jej programu stanowiły „trzy zasady" Sun Jat-sena i jego nauka o dyktaturze rewolucyjnej.

Konieczność utworzenia konspiracyjnej partii narzuciło samo życie. Siły prawicowe, zająwszy kluczowe pozycje i w rządzie, i w Kuomintangu, wkrótce przekazały całą władzę w ręce przedstawiciela kompradorskiej burżuazji, Juan Szi-k'aia, nalegając na Sun Jat-sena, by złożył dymisję na jego korzyść; Juan Szi-k'ai miał być jakoby jedynym człowiekiem zdolnym zjednoczyć kraj i zapewnić trwałość republiki, tymczasem w krótkim czasie restaurował monarchię i ogłosił się nowym cesarzem.

Sun Jat-sen musiał wyemigrować do Japonii, ale nie na długo. W dwa lata później partia rewolucyjna, zyskawszy sympatię i poparcie szerokich mas, wznieciła w całych Chinach szereg powstań i wkrótce położyła koniec władzy Juan Szi-k'aia. Dyktator jednak — zanim zeszedł ostatecznie ze sceny historii — przekazał władzę kilku militarystycznym klikom, zgrupowanym wokół sprzedajnych generałów Tuan Ts'i-żuia, Wu P'ei-fu, Ts'ao Kuna, Czang Tso-lina i innych.

Skomplikowane były poczynania republiki. Raz właściwe i celowe, innym razem stawały się błędne i niekonsekwentne. Jej niejasne koncepcje polityczne i głęboko zakorzenione konflikty między ugrupowaniami podającymi się za jej obrońców sprawiły, że choć osiągnęła jeden z głównych celów rewolucji (obalenie tyrańskiej dynastii Ts'ing), nie była jednak w stanie rozwikłać podstawowych sprzeczności społecznych w Chinach; bojowy demokratyzm mas był straszakiem na liberalną burżuazję.

Wkrótce republika zerwała więź z chłopstwem i poszła drogą militaryzmu oraz sprzedajnych umów z obcym kapitałem. Nad krajem władzę faktycznie objęła Japonia, która w czasie pierwszej wojny światowej zdecydowanie włączyła się do „bitwy o Chiny".

Po wybuchu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej Sun Jat-sen postąpił krok naprzód w swym dojrzewaniu ideowym, a wraz z tym posunęła się sprawa chińskiego wyzwolenia. Przykład Rosji sprawił, że wódz rewolucji chińskiej

zmienił swoją „zasadę nacjonalizmu" w zasadę bezwzględnej i bezkompromisowej walki z imperializmem, „zasadę ludowładztwa" — w ideę dyktatury ludowej, a „zasadę dobrobytu ludu" od zwykłej reformy rolnej wzniósł do żądania niezwłocznej nacjonalizacji przemysłu (tak, by kapitał prywatny nie mógł dzierżyć w swych rękach losu narodu).

Właśnie po Rewolucji Październikowej, którą Sun Jat-sen nazwał „nadzieją całej ludzkości", doszedł on do swoich słynnych „trzech zasadniczych wskazań politycznych", mających na celu zapewnienie zwycięstwa rewolucji chińskiej. Głosiły one: sojusz z partią komunistyczną, zyskanie poparcia robotników i chłopów, sojusz z ZSRR.

„Dalsza walka rewolucyjna naszej partii będzie bezcelowa — mówił teraz Sun Jat-sen — jeśli nie będziemy się uczyć od Rosji".

I gdy w 1918 roku Japonia, Stany Zjednoczone, Francja i Anglia organizowały na Dalekim Wschodzie ekspedycje białogwardzistów i interwentów i dostarczały Kołczakowi („najwyższemu dowódcy całej Rosji") oraz innym białym generałom niezliczonych ilości broni, amunicji, żywności, złota, a nawet „ruchomy komplet" wszelakich „doradców", Sun Jat-sen wysłał do Lenina depeszę tej treści: „Rewolucyjna partia Chin wyraża swój głęboki podziw dla ciężkiej walki prowadzonej przez rewolucyjną partię waszego kraju i żywi nadzieję, iż rewolucyjne partie Chin i Rosji zjednoczą się do wspólnej walki".

W końcu 1920 roku nastąpiły w Chinach pomyślne przemiany. Militarystyczne kliki w południowych prowincjach zostały rozbite, a Kanton całkowicie wyzwolony. W kwietniu 1921 roku zaś Parlament Nadzwyczajny uroczyście obrał Sun Jat-sena prezydentem republiki chińskiej.

W tym samym roku Kołczak został ostatecznie pokonany, bandy białogwardyjskie wypędzone z Zabajkala i okręgów nadmorskich, Mongolia zaś wyzwolona od rozbójniczej szajki barona Ungerna, a z Moskwy przybył do Chin wysłannik Lenina.

Radość Sun Jat-sena nie miała granic. Potrzebował pomocy, rady, przyjaciół. Jego południowemu rządowi formalnie podporządkowane były prowincje: Kuangtung, Kuangsi, Junnan, Kueiczou, Sycz'uan i część prowincji Hunan, ale faktycznie uznawano go tylko w Kuangtungu. W Kuangsi ciągle jeszcze rządził generał Lu Jung-t'ing, który zebrał wokół siebie liczną armię i obwołał się gubernatorem. Sytuacja przedstawiała się podobnie i w innych prowincjach; niemal zupełnie nie liczono się tam z rządem kantońskim. Zresztą i w Kuangtungu nie brakło dowódców, którzy tylko czekali na okazję, by w swych okręgach wprowadzić dyktaturę wojskową. Ogromne państwo z setkami milionów mieszkańców ciągle jeszcze biernych społecznie wymagało gigantycznego wysiłku w celu narodowego i terytorialnego zjednoczenia. Sun Jat-sen widział w partii bolszewików, w Leninie, w nowej Rosji — przyjaciela, który pomoże rozwiązać jego własne problemy.

Trzeba tu jeszcze raz przypomnieć, że nawet formalna władza rządu kantońskiego — jedynego prawowitego, konstytucyjnego rządu Chin — obejmowała w tym czasie tylko południową część kraju. Północ i Mandżuria wciąż jeszcze pozostawały w rękach reakcyjnego uzurpatorskiego rządu pekińskiego, a właściwie pod butem generała Czang Tso-lina. Oficjalnie był on tylko dowódcą armii, czyli gubernatorem wojskowym Mandżurii. Lecz czymże w tych niespokojnych latach była władza polityczna, pozbawiona siły zbrojnej. Ze swej strony Czang Tso-lin podporządkował się Tokio. Tym sposobem Pekin stał się faktycznie narzędziem Japonii i jej imperialistycznych planów co do Chin i całego Dalekiego Wschodu.

W końcu 1921 roku Sun Jat-sen organizuje pochód przeciwko niweczącemu wszelkie wysiłki zmierzające do zjednoczenia narodowego kraju rządowi w Pekinie. Gdy jednak toczą się pomyślne walki na północy, komendant wojskowy Kantonu ogłasza się dyktatorem. Postępek generała zmusza Sun Jat-sena do niezwłocznego powrotu i ukarania zdrajcy...

Udaje mu się. Jest to jednak nie pierwszy i nie ostatni wypadek zdrady ze strony generałów. Sun Jat-sen jest głęboko zaniepokojony. Komu się przeciwstawiać? Od kogo oczekiwać

uczciwej współpracy w trudnej walce o uratowanie Chin? W tym czasie, w końcu 1921 roku, powstaje Komunistyczna Partia Chin. Z początku jest ona niezbyt liczna, lecz historia Europy świadczy, że partia komunistów jest partią przyszłości, że jest siłą, na której można się oprzeć jako na wiernym i ofiarnym sojuszniku. I Sun Jat-sen projektuje włączenie jej jako partii-członka do Kuomintangu.

To była dobra myśl, lecz Sun Jat-sen zdawał sobie sprawę, że to o wiele za mało, by zagwarantować stabilizację władzy republiki.

„Jeśli chcemy coś osiągnąć — mówił po zakończonym niepowodzeniem pochodzie na północ — musimy szukać nowych dróg. Nie mamy własnego wzoru do naśladowania. Lecz wzór taki istnieje: Rosja. Musimy się uczyć od niej. Konieczny jest ścisły, rzeczowy kontakt z Rosjanami. Rosjanie przeprowadzili rewolucję i przetrwali czteroletnią wojnę domową. Do Rosji wtargnęło więcej obcych wojsk, niż kiedykolwiek było ich w Chinach. A jednak Rosjanie zwyciężyli. Dlatego że mieli armię ludową, nową armię, utworzoną w toku rewolucji, i armię tę wiedli do boju członkowie partii, rewolucjoniści. Tę armię popierali robotnicy i chłopi — popierał ją lud..."

I w konsekwencji Sun Jat-sen postanowił zreorganizować Kuomintang, a była to paląca potrzeba rewolucji. Wysłał więc do Moskwy delegację wojskowo-polityczną, aby zapoznała się z działalnością rządowych, wojskowych i partyjnych organizacji radzieckich, a także zwróciła o niezwłoczną pomoc. Została powzięta decyzja, która znalazła wyraz w radziecko-chińskim porozumieniu, podpisanym 26 stycznia 1923 roku przez Sun Jat-sena i wysłannika Lenina, A. A. Joffego. Lenin w najtrudniejszej chwili podał braterską dłoń rewolucji chińskiej.

Pierwszym konkretnym rezultatem rozmów delegacji chińskiej w Moskwie było wysłanie do Chin grupy ochotników-doradców. Na czele jej Lenin postawił jednego z bardziej znanych bolszewików, M. M. Borodina. Wszyscy troskliwie dobrani członkowie grupy byli komunistami posiadającymi

bogate doświadczenie w nielegalnej walce, uczestniczyli bowiem w rewolucji oraz współdziałali przy likwidowaniu kontrrewolucji i obcej interwencji. Takich właśnie doradców wojskowych i partyjno-politycznych potrzebował obecnie Sun Jat-sen. Szef grupy, Borodin, nie miał wprawdzie wojskowego doświadczenia, lecz posiadał za to inne cenne umiejętności: był przewidującym politykiem, wnikliwym dyplomatą, dobrym strategiem partyjnym i organizatorem.

Borodin przez jakiś czas kierował całokształtem pracy grupy doradców w Chinach, jednakże skomplikowana sytuacja polityczna w tym niespokojnym kraju wkrótce narzuciła konieczność wezwania doświadczonego dowódcy wojskowego. W październiku 1924 roku więc do Kantonu przybył w charakterze głównego doradcy wojskowego Sun Jat-sena i Kuomintangu bohater rewolucji — W. K. Blücher.

Wasilij Konstantynowicz Blücher był Rosjaninem. Urodził się w 1890 roku. Pochodził z biednej rodziny chłopskiej. Obdarzony wyjątkową inteligencją wrodzoną, niezłomnym charakterem i silną wolą, pracując jako robotnik w fabryce wagonów w Riabinsku Blücher wkrótce stał się jednym z przywódców tamtejszego proletariatu. Toteż po pewnym udanym strajku carska „ochrana" wtrąciła go do więzienia na trzy lata.

W czasie pierwszej wojny światowej Blücher był podoficerem; został ciężko ranny i zwolniony z wojska jako „trwale niezdolny do służby". Zaczął wtedy pracować w stoczni w Sormowie i tam wstąpił w szeregi partii bolszewickiej.

Wybuch Rewolucji Październikowej sprawił, że wyszły na jaw talenty tysięcy prostych ludzi z poświęceniem walczących o radziecką władzę. Jednym z takich był Blücher, który okrył się sławą w decydującej bitwie przeciwko białogwardzistom i interwentom, stając się bohaterem rewolucji.

Pod jego to dowództwem odbyły się: czterdziestodniowy marsz armii partyzanckiej na tyły białych oddziałów kozackich, bitwa o Kachowkę, krwawe starcie pod Perekopem, będącym wrotami Krymu, i legendarne boje pod Wołoczajewskiem, o których w owych latach śpiewano znaną i dziś popularną piosenkę wojskową. W 1918 roku Blücher — pierwszy

w ZSRR — otrzymał najwyższe odznaczenie radzieckie — order Czerwonego Sztandaru. W latach 1921—1922 był głównodowodzącym, ministrem obrony i przewodniczącym rady wojennej ówczesnej Dalekowschodniej Republiki Radzieckiej, najbardziej niespokojnego rejonu kraju, gdzie trzeba było pokonać niezliczone hordy białogwardyjskich generałów i wszelakiego autoramentu arystokratów pozostających na żołdzie interwentów. Blücher wspaniale wywiązał się z tego zadania, uwalniając od wroga cały ogromny rejon Syberii, Zabajkala i okręgi nadmorskie.

Jakiegoż więc odpowiedniejszego doradcę niż Blücher, legendarny bohater rewolucji, mógł wysłać Sun Jat-senowi Kraj Rad!

Z Blücherem udali się do Chin doświadczeni specjaliści wojskowi. Misja Blüchera — tak określi się w historii stosunków radziecko-chińskich tę niemałą grupę ludzi, którzy (wraz z politycznymi doradcami Blüchera) okazali Chinom ogromną, nieocenioną pomoc.

Zreasumujmy pokrótce zasługi radzieckich doradców wojskowych i politycznych, zaproszonych przez Sun Jat-sena wiosną 1926 roku:

Zaprowadzono porządek w jednostkach wojskowych, podlegających rządowi Sun Jat-sena.

Utworzono na wyspie Wampoa (Huangpu), położonej w pobliżu Kantonu (stolicy rewolucyjnej prowincji Kuangtung), pierwszą w historii Chin rewolucyjną szkołę wojskową; w niej przyszli dowódcy rewolucyjnej armii zdobywali przygotowanie nie tylko wojskowe, ale i polityczne, coś, co nie znane było dotychczas w tysiącletniej historii Chin.

Opracowano nowy statut Kuomintangu i od podstaw zreorganizowano go, aby przekształcić w silną i zdyscyplinowaną partię zdolną kierować narodem i zrealizować szeroki program całkowitej rekonstrukcji państwa.

Zwołano pierwszy zjazd odnowionego, gruntownie zmienionego Kuomintangu, który włączył do swych szeregów również partię komunistyczną. Zjazd wybrał Sun Jat-sena dożywotnim przewodniczącym partii rewolucyjnej i podjął historyczną de-

cyzję utworzenia rewolucyjnej armii na wzór Armii Czerwonej.

Rozpoczęto tworzenie tej chińskiej armii rewolucyjnej — podpory władzy rewolucyjnej i tarczy rewolucji przeciwko zakusom światowego imperializmu.

Oto główne osiągnięcia, uzyskane przez Chiny w niezwykle krótkim okresie niespełna trzech lat dzięki bezpośredniej pomocy radzieckich doradców wojskowo-politycznych i partyjnych. Nie trzeba być politykiem czy specjalistą od spraw wojskowych, by zrozumieć, jak kolosalnego wysiłku wymagała ta ogromnie ważna praca, jakiej wysłannicy Lenina dokonali dla umocnienia rewolucji chińskiej.

Dlatego Sun Jat-sen, który jasno zdawał sobie sprawę, że bez pomocy narodu radzieckiego rewolucja chińska skazana jest na zagładę, przepełniony wdzięcznością, tuż przed swoją śmiercią (12 marca 1925 roku) przekazał swą ostatnią wolę dla narodu chińskiego i ostatnie orędzie do ZSRR:

„Drodzy towarzysze, członkowie Rady Komisarzy Ludowych Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich!

Zmogła mnie nieuleczalna choroba. Myśli moje zwrócone są teraz ku wam, ku mojej partii i ku przyszłości mego kraju.

Stoicie na czele związku wolnych republik. Ten związek jest owym prawdziwym spadkiem, który nieśmiertelny Lenin pozostawił światu uciemiężonych narodów. W oparciu o ten dar narody wegetujące pod jarzmem imperializmu obronią swoją wolność i wywalczą uwolnienie z jarzma panującego na świecie ustroju od niepamiętnych czasów opartego na niewoli, wojnach i wyzysku.

Po mnie zostaje partia i żywię nadzieję, iż Kuomintang, kończąc swoją historyczną misję wyzwolenia Chin i innych państw, które padły ofiarą agresji ustroju imperialistycznego, połączy swe wysiłki z waszymi... Jestem głęboko przekonany, że wasz rząd, tak jak i przedtem, pomagać będzie memu państwu.

Drodzy towarzysze! Żegnając się z wami, pragnę wyrazić gorącą swoją nadzieję, że wkrótce nastąpi świt. Nadejdzie czas, gdy Związek Radziecki, jako najlepszy towarzysz i so-

jusznik, pozdrowi silne i wolne Chiny, gdy w wielkiej bitwie o wyzwolenie uciśnionych narodów na świecie oba kraje ręka w rękę ruszą razem naprzód i osiągną zwycięstwo...

11 marca 1925 roku

Sun Jat-sen"

Prorocze były słowa wielkiego przywódcy ludu. W ćwierć wieku po jego śmierci rewolucja chińska istotnie zwyciężyła, oparłszy się na wszechstronnej pomocy i bratniej przyjaźni potężnego Związku Radzieckiego. Lecz obecnie nieśmiertelny testament Sun Jat-sena został zapomniany. Dzisiejsi przywódcy chińscy z grupy Mao Tse-tunga brutalnie depczą uświęcone tradycje przyjaźni radziecko-chińskiej, obrzucają błotem ojczyznę Lenina, kraj, który Sun Jat-sen wskazał jako wielką nadzieję nie tylko Chin, lecz i wszystkich uciśnionych przez imperializm narodów.

Rewolucja chińska osiągnęła bezpieczną przystań, walcząc ramię w ramię ze Związkiem Radzieckim; dokąd zawędruje jej okręt, wzniósłszy haniebną flagę walki z Krajem Rad? Zagłada grozi samej jej istocie!

3. Kolej transsyberyjska

Dwutorowa kolej transsyberyjska przecinająca cały Związek Radziecki od Moskwy przez Ural i Syberię aż do Władywostoku nad Oceanem Spokojnym od dawna już działała na moją wyobraźnię. Gigantycznie długa (około dziesięciu tysięcy kilometrów), biegnąca przez trudno dostępne i prawie nie zaludnione rejony górskie, przez ogromne przestrzenie Syberii, przez tajgę — stanowi jedno z najwspanialszych dzieł rosyjskiego geniuszu inżynieryjnego. I oto trafiła mi się okazja podróży tą magistralą.

Był koniec stycznia 1926 roku.

Udając się w podróż z zadaniami otrzymanymi od naszego ośrodka, wyruszyliśmy na wschód w kilkuosobowej grupie. W Chinach mieliśmy przyłączyć się do misji Blüchera jako

doradcy do spraw wywiadu wojskowego, rewolucyjna armia Sun Jat-sena bowiem na wielu frontach ponosiła porażki między innymi i dlatego, że wywiad — owa w większości wypadków najważniejsza strona przygotowań wszelkiej wojskowej operacji — był tu całkowicie ignorowany. Oczywiście Berzin uprzedził nas, że jedziemy do Chin przede wszystkim jako komuniści, że musimy być gotowi do pomocy w obronie rewolucji chińskiej na każde wezwanie Kuomintangu i partii komunistycznej...

Wyruszyliśmy z Moskwy pewnej śnieżnej zimowej nocy, gdy na szklistym od mrozu niebie jaskrawo migotały gwiazdy. Nikt nas nie odprowadzał, mimo iż tym razem podróżowaliśmy oficjalnie lub półoficjalnie, z paszportami wystawionymi na prawdziwe nasze nazwiska; Berzin uważał jednak, że nie powinniśmy wzbudzać niepotrzebnej ciekawości. Przypuszczenie, że zachodnie ośrodki wywiadowcze żywo interesują się nie tylko składem, ale i liczbą radzieckich doradców wojskowo-politycznych wezwanych na pomoc przez Sun Jat-sena wynikało z prostej logiki.

Bagaż przygotowaliśmy i zapakowaliśmy jak najstaranniej. Nie mógł być zbyt duży (w Chinach w razie potrzeby mieliśmy się poruszać szybko), ale powinien zawierać konieczne rzeczy osobiste, ubranie, niezbędny aparat fotograficzny oraz niektóre książki i informatory. Galina, dokładnie rozważająca, jakie rzeczy niepotrzebnie przeciążą walizy, znalazła jednak miejsce na ulubione swoje tomiki poezji i prozy. Jakżeż sprosta ta wrażliwa i uczuciowa kobieta, wielka miłośniczka teatru, muzyki i literatury, surowym wymogom żołnierskiego obowiązku!

Ale czas już zapoznać Czytelnika z Galiną, moją żoną, która z chwilą wyjazdu do Chin stała się również moim towarzyszem pracy i miała wziąć na swe wątłe barki ciężar odpowiedzialności wywiadowcy wojskowego. Jechała teraz ze mną jako szyfrantka, a później w Europie miała spełniać podwójny obowiązek: szyfrantki i radiotelegrafistki.

Poznałem ją przed trzema laty. Oczywiście przypadkiem, jak przypadkowo dochodzi do większości szczęśliwych spotkań

w życiu. Wszystko wtedy sprzyjało uczuciu: i moja młodość, i ledwie rozkwitająca wiosna w malowniczej miejscowości pod Moskwą, dokąd wysłano mnie na dwutygodniowy urlop, i cudowna przytulność domków wypoczynkowych, do niedawna stanowiących własność urzędników dworskich, a obecnie miejsce odpoczynku weteranów rewolucji i robotników moskiewskich fabryk.

Spotkałem Galinę u jednej ze starych działaczek partyjnych, Niny Pietrowny, z którą zaprzyjaźniliśmy się i która z nienasyconym zainteresowaniem słuchała moich opowiadań o Bułgarii. Znajdowałem się w kręgu dobrze znanych mi osób, darzących mnie sympatią i uwagą. Galina Lebiediewa — jak mi się przedstawiła nowa znajoma — siedziała obok swojej przyjaciółki i gdy zacząłem mówić o Bułgarii, w milczeniu zwróciła na mnie swe ogromne piwne oczy. O nic nie pytała, nie robiła żadnych uwag i w ogóle niczym nie dała odczuć swej obecności. Głowę trzymała lekko przechyloną, jakby pod ciężarem długiego jedwabistego, złocistego warkocza.

Gdy następnej soboty nasze grono ponownie zebrało się przy płonącym kominku, zrozumiałem, że już nikt z obecnych mnie nie interesuje. Moje słowa przeznaczałem tylko dla Galiny, moje spojrzenia biegły tylko ku niej, z jej obecnością związane były wszystkie moje uczucia. Czy to ona tak dobrze umiała słuchać, czy też łatwość mojej wymowy wypływała ze zrodzonej właśnie miłości — nie wiem, lecz owe wieczory przy płonącym kominku pod Moskwą pozostały jednymi z najpiękniejszych chwil mego życia. Myślałem sobie wówczas, że nic mi więcej nie jest już potrzebne do szczęścia, że piwne oczy Galiny, jej twarz zdradzająca wrażliwy intelekt, ciężki jedwabisty warkocz — mogą mi zastąpić cały świat i jeszcze byłbym w posiadaniu nadmiaru bogactwa. A umiała też śpiewać. Ciepły jej alt przenikał całą moją istotę i sprawiał, iż noc stawała się piękna i poetyczna... Cudowne podmoskiewskie wieczory, które mnie obdarzyły cząstką prostego i zarazem wielkiego ludzkiego szczęścia, zwanego miłością...

I oto teraz, w trzy lata po spotkaniu pod Moskwą, Galina Lebiediewa jedzie ze mną do Chin. Jak się to stało, że ona,

córka carskiego generała zmarłego parę lat przed rewolucją, wychowanka sławnego petersburskiego instytutu dla szlachetnie urodzonych panien, miłośniczka sztuk pięknych — zgodziła się podjąć ryzykowną i niebezpieczną pracę wywiadowcy wojskowego? Oczywiście teraz była członkiem partii, a przed rewolucją — sympatyczką ruchu komunistycznego. Lecz wówczas (a i teraz jeszcze) schlebiam sobie myślą, że główną przyczyną jestem ja; że Galina gotowa była udać się wszędzie i podjąć wszelkie zadania, byle być razem ze mną; że gotowa była sprzeniewierzyć się swemu powołaniu aktorskiemu i zaniechać uprawiania muzyki, gotowa była podjąć zupełnie inne życie, byle tylko razem ze mną... Nigdy przedtem ani teraz nie zastanawiałem się głębiej, czy ta myśl odpowiada rzeczywistości, czy też jest złudzeniem schlebiającym mojej miłości własnej. A i Galina, z wrodzonym Słowiankom taktem, nigdy ani gestem, ani słowem nie naruszyła tego przekonania, za co jestem jej ogromnie wdzięczny. Wówczas, rozumie się, byliśmy jeszcze bardzo młodzi, czekało nas wiele prób, wiele prawd mieliśmy wspólnie odkryć — a życie jest bezmiarem i im dłużej się pływa w jego oceanie, tym lepiej pojmuje się znikomość ludzkiej próżności. Ale człowiek zawsze pozostaje człowiekiem. Jakże ogromną cenę ma dla każdego z nas przekonanie, że kobieta, którą kochamy, kroczy obok nie tylko z poczucia obowiązku, lecz i z nakazu serca...

Zamiast zasnąć po ostatnim wypełnionym ważnymi obowiązkami i tysiącem drobiazgów dniu Galina usiadła w przedziale przy małym stoliku, zapaliła dyskretne światło lampki nocnej i czyta. Pewnie wiersze Lermontowa lub komedie Moliera... Nie zdradzam się z tym, że nie śpię. Jakaś szczególna, dziwnie odmienna od tego, co dotąd doświadczałem, atmosfera wypełnia przedział i odnoszę wrażenie, iż wszystko rozwieje się jak sen, jeśli się odezwę. Zagłębiona w książce, lekko przechyliwszy głowę na bok, Galina jakby znowu była w domu na Cwietnym Bulwarze (tak dobrze umie stwarzać nastrój przytulności wszędzie tam, gdzie spoczną jej ręce!). W ciągu iluż

to nocy budziłem się i widziałem ją tak nachyloną nad książką, uniesioną w czarodziejski świat sztuki, w którym żyła prawdziwą pełnią istnienia! Lecz skąd bierze się teraz we mnie to wrażenie odmienności? Tak, oczywiście — uśmiecham się w milczeniu — przemiana znów jest w niej samej. Uśmiecham się, lecz jest mi jakoś smutno: Galina wygląda teraz inaczej niż przed dwoma jeszcze dniami, zanim poszła do fryzjera. Obcięła ogromny, ciężki warkocz ze złocistego jedwabiu, z którym wyglądała jak królewna z bajki. Wymagała tego jej nowa praca, specyficzne warunki w Chinach, lecz w pierwszej chwili zdumienie moje nie miało granic.

— Galu, cóżeś zrobiła!

Patrzyłem na nią, jakby zniszczyła coś drogocennego, co było i moją własnością.

— Czyżbym ci się tak nie podobała? — obróciła się w odpowiedzi przede mną, potrząsając krótko „po europejsku" podciętymi włosami. — Jeśli choć trochę znasz się na modzie, którą każdy nowoczesny mężczyzna powinien się interesować, złożysz mi gratulacje, mój drogi! — i roześmiała się. Lecz śmiech ten nie dźwięczał wesoło, choć starała się wmówić we mnie i w siebie, że nie wydarzyło się nic szczególnego.

Wydało mi się — i Galina to odczuła — że kryje się w tym jakiś symbol, że z obcięciem warkocza w przeszłość zapadły dzieciństwo, młodość, spokojne lata w ojczyźnie i że od tego dnia ścielić się będą przed nią dalekie, nieznane, ryzykowne drogi wywiadowcy wojskowego, że od tej chwili codziennie każdy krok, każda myśl i gest podporządkowane będą surowym, ściśle określonym regułom życia żołnierskiego, że nigdzie już nie będzie czekał na nią kącik, który by mogła nazwać własnym domem, a nieświadomość, czy zbudzi się w takiej sytuacji, w jakiej zastała ją noc, towarzyszyć jej będzie stale, że nie będzie wiedziała, czy człowiek, z którym złączyła swe życie, jutro, za godzinę, za chwilę wezwany surowym obowiązkiem nie wyruszy gdzieś, by więcej nie wrócić... Swą nieomylną intuicją Galina wyczuła to wszystko, mimo iż nikt jej tego nie wyjawił i nigdzie o tym nie czytała. Marks mówił, że świat ze śmiechem żegna swoją przeszłość, lecz — wydaje mi

się — nie zawsze da się to powiedzieć o człowieku; częściej rozstajemy się ze swą przeszłością ze smutkiem, nawet jeśli nie była ona usłana różami...

Galina podnosi głowę znad książki i spogląda przez okno przedziału kolejowego. Koła postukują rytmicznie, a w białej pustce zimy pociąg unosi nas coraz dalej i dalej na wschód. O czym myśli Galina? Może w tej ciszy nocnych godzin naszły ją wątpliwości powodujące dialog wewnętrzny? Może... Czy i ja nie przeżywałem tylekroć zwątpienia we własne siły, obaw o siebie i o innych — zależnych ode mnie — ludzi, strachu, że nie będę miał siły, by uczciwie dźwigać do końca obowiązek... I ja miałem swe pełne trwogi noce, a cóż dopiero ona, ta delikatna kobieta, stworzona jakby dla innych czasów, w których obowiązują bardziej subtelne stosunki międzyludzkie, dla czasów rozwiązanych już konfliktów społecznych, dla czasów poezji, sztuki...

Lata upłynęły, zanim zrozumiałem, jak dalece owej nocy w przedziale kolei transsyberyjskiej miałem rację i jednocześnie jej nie miałem. Słuszny był mój sąd o wartości Galiny, myliłem się zaś co do jej wytrzymałości. Galina kroczyła trudną drogą żołnierskiego obowiązku twardym, męskim krokiem. Mimo swej subtelności, delikatności i wątłego zdrowia wytrzymała wszystko. Można było na nią liczyć do końca. Była moją sumienną szyfrantką i radiotelegrafistką, moim niezastąpionym doradcą, moim drogim towarzyszem broni. Bo muszę dodać, że mimo „świetnego" urodzenia i starannego arystokratycznego wychowania Galina była całą swą istotą komunistką, co wyjaśnia tak wiele niezrozumiałego hartu u skądinąd zwyczajnych istot ludzkich.

Moskwa—Kazań—Swierdłowsk—Pietropawłowsk—Omsk——Nowosybirsk—Krasnojarsk—Irkuck—Bajkał—Czita. Kolej transsyberyjska przecina na swej bezkresnej trasie granice dwóch kontynentów i kilku republik, przekracza kilka pasów klimatycznych, mija przeszło sto południków geograficznych. Do Czity, gdzie zboczyliśmy z magistrali syberyjskiej i ruszy-

liśmy linią dalekowschodniej kolei rosyjsko-chińskiej przez Charbin, Pekin, Szanghaj w kierunku Kantonu, podróżowaliśmy przeszło dziewięć dni i nocy.

Jechaliśmy bez przerwy. W Bułgarii, a i w większości krajów Europy w owym czasie linie kolejowe były jednotorowe i pociągi musiały często godzinami wyczekiwać na bocznicach dworcowych na te, które zbliżały się z przeciwnego kierunku. Kolej transsyberyjska, dwutorowa na całej trasie, zapewniała nieprzerwaną, trwającą całą dobę jazdę. Lokomotywa zatrzymywała się tylko na niektórych większych dworcach, by uzupełnić zapasy wody i paliwa, i by podróżni mogli pospacerować po peronie oraz spróbować czegoś egzotycznego w zaopatrzonych w przeróżne specjały i smakołyki bufetach dworcowych, gdzie oczekiwano na przybycie pociągu jak na małe święto.

„Małe święto" — to określenie wcale nie jest przesadą dla owych lat. Czasy były wciąż jeszcze niespokojne. Bandy białogwardzistów i armie interwentów zostały wprawdzie już przepędzone, lecz wspomnienie o nich, a nawet ślady ich barbarzyńskich napadów ciągle jeszcze widniały wzdłuż całej trasy. Przecież najeźdźcom właśnie chodziło głównie o zawładnięcie tą magistralą. Stanowiła ona dla wrogów atakujących ze wschodu jedyną drogę do Rosji europejskiej, ale stała się także trasą ich odwrotu. W czasie ucieczki zaś niszczyli wszystko, co mogli i zdołali: budynki stacyjne i warsztaty remontowe, mosty, wiadukty, tory... Nie udało im się zniszczyć wiele. Partyzanckie akcje Blüchera i nieoczekiwane ataki oddziałów Armii Czerwonej wywoływały taką panikę wśród najeźdźców, że w końcu myśleli oni wyłącznie o ratowaniu własnej skóry...

Do Swierdłowska roztaczał się przed nami znajomy krajobraz: gigantyczna rosyjska równina rozpościerająca się od Podkarpacia do Uralu i od Bałtyku do Krymu i Odessy, poprzecinana potężnymi rzekami, wolno toczącymi swe wody, porośnięta uroczymi gajami brzozowymi lub gęstymi iglastymi lasami, pofałdowana w łagodne pagórki, pokryta ornymi polami, z wioskami rozrzuconymi z rzadka na tej ogromnej, jakby niezamieszkałej ziemi. Pociąg jedzie, jedzie, jedzie godzinami, a krajobraz, który ujrzało się po przebudzeniu rankiem, pozo-

staje ciągle ten sam aż do wieczora i następnego poranka, i następnej nocy... Wreszcie zbliżamy się do Swierdłowska.

Swierdłowsk to już Ural. Swierdłowsk to dawny Jekaterynburg, jeden z najstarszych i największych ośrodków przemysłowych i kulturalnych dawnej Rosji, ze starymi tradycjami w dziedzinie metalurgii i przemysłu maszynowego, ze starymi tradycjami ruchu rewolucyjnego, który rozniecił tu jeden z najgorętszych pożarów walki klasowej.

Pociąg zatrzymuje się tu na krótko, jakby chciał tylko odsapnąć — i wkrótce Swierdłowsk zostaje za nami, ale dalej ciągnie się Ural, najwyższe pasmo górskie na północny-wschód od ogromnej równinnej połaci Ukrainy. Linia magistrali wiedzie nad przepaściami, nad głębokimi dolinami, przecina tunelami potężne masywy skalne i ośnieżone szczyty, przeskakuje rwące rzeki górskie. Dla mnie, Bułgara, krajobraz uralski był jakiś swojski i drogi, jakbym jechał przez ojczyste góry.

Czym jest podróż magistralą transsyberyjską, odczuwa się właściwie dopiero za Pietropawłowskiem i Omskiem. Nie dlatego, iż droga wiodąca dotąd była niedaleka czy też jechało się niezbyt długo, ale dlatego, że dotąd krajobraz był mniej więcej bliski Europejczykowi. Od Pietropawłowska i Omska zaczyna się coś, co wprawia człowieka w zdumienie. To tajga, odwieczna, nieprzebyta, niezbadana rosyjska puszcza.

Wydaje mi się, że kto nie zna tajgi, nie zna właściwie Rosji. Przynajmniej ja tak to odczuwam. Dotąd wyobrażenie moje o tym kraju opierało się na przekonaniu, iż różni się tym od innych, że wszystko tam jest na większą skalę. Gdy ujrzałem tajgę, zrozumiałem, iż Rosja jest krajem odmiennym od każdego innego kraju na świecie, dlatego że tutaj harmonizuje niepowtarzalnie ziemia, lud, historia — oczywiście z tajgą. Krajobraz przed Uralem można porównać w takim czy innym stopniu z krajobrazem (choćby i w znacznie zmniejszonych proporcjach) szeregu równinnych krajów europejskich. Ale to, co się ogląda poczynając od Pietropawłowska i Omska, można zobaczyć i odczuć tylko w Rosji.

Tajga, mówiąc po prostu, jest to bór. Ściślej — bór głównie iglasty, dziki, istniejący od wieków w tej samej postaci, w ja-

kiej oglądamy go dziś. A jeszcze dokładniej — tajga to prawdziwy ocean zieleni, rozciągającej się na przestrzeni milionów kilometrów kwadratowych, to ocean, zda się, bezbrzeżny — bez wysp, bez punktów orientacyjnych — ocean o specyficznym charakterze, ze swoistymi burzami, z piorunami, kiedy to rozszalały żywioł zgina stuletnie pnie i łamie je jak zapałki, to ocean, który pustoszą pożary przez nikogo nie wzniecone i przez nikogo nie gaszone, bo tłumią je strumienie ulewnych deszczów, to ocean, gdzie wyspami można nazwać małe, prawie zagubione w zielonym bezkresie osiedla i gdzie — jak na prawdziwym oceanie — trzeba się często orientować wedle słońca, a nocą wedle gwiazd...

Pociąg jedzie przez tajgę parę dni i nocy, nim zbliży się do Irkucka i Bajkału. W ciągu tych kilku dni po obu stronach torów widać tylko strzelające wysoko ku niebu zielone ściany bezkresnej przesieki. Las, las, las, las. Nic innego tylko las i równoległy do przesieki pas błękitnego nieba. Pod koniec drugiego lub trzeciego dnia człowiek zaczyna się czuć jak pasażer statku transoceanicznego. Brak tylko kołysania i choroby morskiej; kołysanie zastępuje rytmiczne postukiwanie kół, a chorobę morską — zdumienie, bo wszystko, co można tu zobaczyć, przekracza normalne ludzkie wyobrażenie o tym, co ogromne, bezkresne, gigantyczne. Tajga jest więcej niż ogromna, więcej niż gigantyczna, jest jakby bez początku i bez końca... Moi towarzysze, Rosjanie, mówili mi, że w tajdze jeszcze istnieją wioski, których mieszkańcy nie słyszeli o Piotrze Wielkim, nie wiedzą o pochodzie i odwrocie Napoleona, dla których wieść o Rewolucji Październikowej była jak sygnał radiowy z odległej planety...

Sądziłem, że przesadzają. Ale gdy sam przejechałem przez tajgę, zrozumiałem, że to bardzo prawdopodobne, że z pewnością w tym leśnym kosmosie czekają na odkrycie tajemnice, jakich istnienia nikt nawet nie podejrzewa, bogactwa, o których nikt nie marzy, zwierzęta nie znane zoologii...

W latach 1926—1929, jeżdżąc przez Rosję od Moskwy do Czity, przemierzyłem tajgę czterokrotnie. Za pierwszym razem, jak już mówiłem, wyruszyłem z Moskwy. Pozostałe trzy

razy zaczynałem podróż od... Wiednia. Czytelnik domyśla się z pewnością przyczyny: zadania wywiadowcze wymagały, bym przez „bolszewicką" Rosję jechał tranzytem jako cudzoziemski kupiec, komisant lub agent handlowy, który udaje się do Chin w interesach, a nie znosząc morskiej choroby nie chce płynąć na Daleki Wschód statkiem z Hagi lub Hamburga i jednocześnie pragnie zyskać na czasie, wybrawszy krótszą drogę, nie wymagającą objeżdżania całej kuli ziemskiej. Takie oficjalne wyjaśnienia przygotowałem dla współpasażerów w pociągu transsyberyjskim, lecz prawdziwe powody były, rozumie się, całkiem inne...

Jako solidny kupiec czy komisant, ubrany w modne buty i modnie skrojone wiedeńskie ubranie z najdroższego materiału, jechałem pierwszą klasą. Obdarzałem otoczenie uśmiechami i rozdawałem napiwki. Paliłem aromatyczne egipskie papierosy i przez cały czas demonstrowałem lekceważenie, podejrzliwość wobec „bolszewickiej" Rosji lub naiwność — zależnie od okoliczności.

Podróże nasze zaczynały się od Wiednia nie tylko z uwagi na specjalne zadania, które mieliśmy wykonać, ale też i z dwóch innych przyczyn: po pierwsze z uwagi na nasze alibi w Chinach (przypadkowi nasi współpasażerowie w pociągu — w większości wypadków agenci obcych wywiadów — mogli w Chinach zaświadczyć wobec swoich zwierzchników, że dana osoba, to znaczy ja czy któryś z moich kolegów, „nie jest czerwona" czy też „podejrzana" i jedzie tranzytem z Wiednia, gdzie posiada swą siedzibę handlową), a po drugie... Właśnie o tym chciałbym tu szerzej opowiedzieć; podsunęło mi tę myśl wspomnienie o tajdze...

Na pierwszy wzgląd zwrócił nam uwagę Berzin i do końca sprawdzała się celowość naszego dobrze obmyślanego postępowania. Drugi wzgląd podsunęliśmy my. Był wynikiem wrażenia, jakie na nas wywarła tajga.

Dla mnie, Słowianina i komunisty, tajga i cała podróż przez Rosję była (i została do dziś) świętem; świętem mojej wyobraźni, która wciąż nie mogła nasycić się ogromem piękna tej ziemi; świętem mego serca, które tu jakby zbliżało się do swej

praojczyzny; świętem moich przekonań komunistycznych; świętem mojej wiary, że skoro w Rosji, w tym niezmierzonym kraju, rewolucja zwyciężyła, przyszłość świata niewątpliwie należy do idei komunistycznych...

Widziałem jednocześnie, jak rosyjski krajobraz, a szczególnie tajga, oddziaływa na uczucia i myśli cudzoziemców podróżujących koleją transsyberyjską.

Trudno jest to nawet opisać.

Las rosyjski był dla nich szokiem. Szokiem gwałtownym, niespodziewanym, wstrząsającym, o zdumiewających i w większości wypadków dla nich samych nieoczekiwanych skutkach.

Różni cudzoziemcy podróżowali w owych latach koleją transsyberyjską. Wielu z nich byli to agenci wywiadu francuskiego, angielskiego, amerykańskiego i japońskiego, przeróżni eksperci „od spraw rosyjskich" czy też po prostu dywersanci wyposażeni w odpowiednie paszporty zagraniczne, podróżujący przez Rosję, by poznać z bliska ten zagadkowy kraj, by odczuć bezpośrednio oddech tej ziemi, wypatrzyć jakiś nowy obiekt przemysłowy czy wojskowy, podsłuchać jakiejś tajemnicy, która przypadkowo wymknęła się komuś z miejscowych podróżnych, a jeśli się uda — zarzucić wędkę na jakiegoś naiwnego...

Wielu było w owych latach ludzi, którzy przejeżdżali całą Rosję z zachodu na wschód. I właśnie oni interesowali nas, pracowników ośrodka udających się do Chin. Zwracaliśmy uwagę nie tyle na ich zachowanie, ile na ich nastrój, na stopniową metamorfozę ich opinii o „bolszewickiej" Rosji, metamorfozę, jaka niekiedy następowała w czasie podróży koleją transsyberyjską...

„Oto jaka jest Rosja! — można było wyczytać jak z otwartej książki z niektórych twarzy. — A to zaledwie jej cząstka.... Pociąg nie może jej przejechać, myśl nie może jej objąć, spojrzenie ogarnąć, nawet słońce nie może całej od razu rozjaśnić (gdy we Władywostoku świta, w Brześciu jest jeszcze noc)... Jakaż bezkresna ziemia, jakie bogactwa, jaki naród! Jak przebrnąć przez tę ziemię, by nią zawładnąć? Jak zdobyć te boga-

ctwa, by je zabrać? Jak walczyć z tym narodem, by go zwyciężyć?"

Wyruszywszy z Wiednia jako wrogowie tej ziemi, przybywszy tu, by szkalować, szkodzić, szpiegować, niektórzy z nich docierali do Chin zmienieni nie do poznania. Jeszcze w Wiedniu „z łatwością" nawiązywali „kontakt" ze mną i moimi kolegami i od razu znajdowaliśmy „wspólny" język i ton („Skoro przeklinają Rosję, to znaczy, że swoi..."). Do Moskwy wspólnie wymyślaliśmy na wszystko, co nam wpadło w oczy, wybrzydzaliśmy się na rewolucyjne plakaty i transparenty z hasłami, wiszące na peronach dworcowych, celowo demonstrowaliśmy znudzenie w chwili nieuniknionego kontaktu z funkcjonariuszami radzieckimi — celnikami, konduktorami w pociągu, kelnerami w wagonach restauracyjnych...

Krótki postój w Moskwie gwałtownie wzmagał nasze zacietrzewienie („Szkoda, wielka szkoda, że ogromna Rosja popadła w niewolę tej ciemnej gawiedzi próżniaków fabrycznych, sołdatów, zawszonych chłopów! Co za tragedia..."). Obfity obiad w wagonie restauracyjnym i mocne francuskie wina łagodziły naszą złość, poprawiały somopoczucie jutrzejszych „władców i wyzwolicieli Rosji" — wznosiliśmy toasty za upadek radzieckiego ustroju i intonowaliśmy stare romanse rosyjskie.

Nasze demonstracje nie wpływały na nieprzerwany bieg pociągu, a romanse Wertyńskiego ulatywały przez otwarte okna jak ciche westchnienie za „świętą, starą, prawdziwą Rosją". Podpierani przez kelnerów i konduktorów, opuszczaliśmy w końcu wagon restauracyjny, by dokończyć picia w swoich przedziałach. Tu każdy wyjmował z własnych zapasów francuskie i greckie koniaki, whisky, dżin. Złość na ZSRR oraz alkohol zrywały ostatnie hamulce ostrożności... Wówczas ja i moi koledzy chwytaliśmy wypowiedziane niechcący słowa i całe zdania, które doświadczonemu uchu zdradzały prawdziwą osobowość „komisanta handlowego". Wypowiedzi te zawierały już nie tylko dziką wściekłość lub gołosłowne pogróżki... I na to właśnie czekaliśmy...

Pociąg niezmiennie nucił żelazną piosenkę kół. Każda złość ludzka ma kres, każda wściekłość wreszcie mija. Milkli też

nasi współpasażerowie i sennie zwieszali głowy nad stoliczkiem w przedziale. Wówczas jednego po drugim, wolno, uprzejmie i grzecznie (każda niedelikatność głęboko obraża pijanego) odprowadzaliśmy naszych „przyjaciół" do ich przedziałów i układaliśmy do łóżek. A pociąg mknął przez rosyjskie pola i gdy wytrzeźwiawszy we śnie nasi współpasażerowie spoglądali następnego ranka przez okna, znów przed ich oczyma rozpościerał się ten sam krajobraz.

— Herr... (nazwisko w każdej podróży nosiłem inne) dlaczego pociąg stanął? — pytali przestraszeni, stukając do drzwi naszych przedziałów, a gdy w odpowiedzi śmieliśmy się wesoło, dopiero pojmowali swój błąd.

— Pociąg nie zatrzymał się ani na chwilę, meine Herren — uspokajaliśmy ich. — Bolszewicy trwają na posterunkach, gdy idzie o robotę...

A potem zbliżał się Ural, ten niewyczerpany skarbiec podziemnych bogactw, to prawdziwe metalurgiczne serce Rosji. Znowu rozpoczynało się picie, wymyślania ziały coraz straszliwszą złością („Proszę popatrzeć, Herr... Proszę popatrzeć! Znam to miejsce. Tu znajdowały się koncesje kopalniane firmy francusko-belgijskiej. Ma pan pojęcie, jaki węgiel, jaką miedź, jakie żelazo tu wydobywano?..."). Nasi współpasażerowie wykazywali zdumiewającą jak na zwykłych podróżnych orientację co do bogactw kopalnych Rosji, co do ich byłych rosyjskich lub obcych właścicieli, co do ich wydajności produkcyjnej... Na znak całkowitej jednomyślności kiwaliśmy tylko głowami („I te skarby znajdują się teraz w rękach czerwonych! Nie, to potworne! Z tym rzeczywiście trzeba skończyć, panowie...").

Potem zbliżał się Omsk, mijaliśmy jedną po drugiej majestatyczne rzeki syberyjskie. Zaczynała się tajga.

Z początku tajga była czymś w rodzaju niespodzianki. Nasi współpasażerowie siedzieli bez ruchu długie minuty w oknach przedziałów. Potem minuty urastały w godziny, godziny zmieniały się w dnie i noce. I ciągle las, las, las, las. Jedliśmy śniadanie, obiad, kolację, a rano pociąg znów tak samo jechał wśród borów i wydawało się, że nic innego nie istnieje, jakby

świat cały zmienił się w puszczę, my zaś — w podróżnych zabłąkanych w tym wszechogarniającym lesie...

Wściekłość uśmierzała się, złość jakby zmieniała swój skład chemiczny, milkły stare romanse rosyjskie. Pod koniec drugiej lub trzeciej doby wstawaliśmy rano i budziliśmy swoich „przyjaciół" udanym okrzykiem trwogi:

— Herren, proszę wstać, pociąg chyba się zatrzymał!

A oni wprost z łóżek rzucali się do okien — odwieczny las.

— Czy rzeczywiście pociąg stanął?

Potem pojmowali, że żartujemy sobie.

— Proszę wybaczyć, Herren, może to był niewłaściwy dowcip — przepraszaliśmy zasiadając do kieliszka, żeby wybić klin klinem — ale tu człowiek rzeczywiście może stracić rozum...

Z dawnej złości naszych współpasażerów nie zostawało już ani śladu; siadłszy w fotelach, milkli zdruzgotani, z błędnym spojrzeniem wlepionym w okna.

— Łatwo panom żartować — mówili cicho, jakby obawiali się zakłócić odwieczne milczenie tajgi i kiwali głowami. — Panom łatwo...

Spoglądaliśmy na nich z udanym zdumieniem:

— Dlaczego nam ma być łatwo, dlaczego panowie tak uważają?

A oni nadal kiwali głowami i dalej niemal szeptali:

— No, skoro macie panowie jeszcze ochotę do żartów!...

A my ciągle graliśmy rolę niezależnych prawdziwych kupców.

— Jeśli o to chodzi... No tak, racja! Jesteśmy już przyjaciółmi i możemy być szczerzy. Dla nas w końcu nie jest to ważne, czyje są te lasy, ta ziemia, owe bogactwa; najważniejsze, byśmy mogli kupować i sprzedawać, robić interesy... A bolszewicy dalekowzrocznie planują gospodarkę, okazali się dobrymi producentami i — proszę wybaczyć — uczciwymi partnerami handlowymi... Proszę wybaczyć szczerość...

„Przyjaciele" nasi znów kiwali głowami, pociągali kolejny łyk i milczeli. My ukrywaliśmy swój prawdziwy stosunek do tego kraju, lecz oni naprawdę nie mieli sił, by ukryć katastrofalny zamęt, jaki sięgnął do głębi ich istoty...

A pociąg transsyberyjski biegł wciąż na wschód i na wschód, unosząc z sobą rozterki, wątpliwości, wstrząsy.

Wówczas „przypominaliśmy sobie" o swoich aparatach fotograficznych. Robiliśmy zdjęcia tajgi, budynków stacyjnych w czasie krótkotrwałych postojów, jakiegoś dzikiego zwierza przypadkiem zauważonego przy torach, fotografowaliśmy naszych współpasażerów...

Gdy żegnaliśmy się w Chinach, ściskaliśmy sobie dłonie, lecz oczy nasze spotykały się tylko na chwilę, ludzie ci bali się zdradzić przed nami, przypadkowymi towarzyszami podróży przez Rosję, tę przepaść zwątpienia, jaka się otwarła w ich duszach.

Niektórzy z ówczesnych naszych „przyjaciół" (Niemcy, Czesi, Francuzi) później rzeczywiście zostali naszymi przyjaciółmi i towarzyszami. Pojąwszy całkowity bezsens walki z „bolszewicką" Rosją, odczuwszy jej siłę i wielkość ideologii, jaką reprezentuje, owi współpracownicy i etatowi agenci zachodnich ośrodków wywiadowczych sami przychodzili do nas i oddawali cenne usługi. Przy tym nie żądali ani pieniędzy, ani żadnej innej rekompensaty materialnej, jakby w ten sposób chcieli odkupić swe sprzedane sumienie.

Minęliśmy Irkuck i po kilku godzinach jazdy pociąg skręcił na południe. Wkrótce przed oczami moimi i Galiny rozpostarł się Bajkał. Spojrzenie mogło tu odpocząć i nasycić się egzotycznym pięknem jeziora otoczonego pierścieniem malowniczych gór to wystrzelających w niebo masywami skalnymi, to porośniętych gigantycznymi, wiecznie zielonymi świerkami i jodłami.

Przez prawie pół dnia pociąg pędzi wzdłuż brzegu Bajkału i różnorodny tłum podróżnych ogarnia odświętny nastrój. Jedliśmy sławną bajkalską rybę zwaną harius, smakowitą jak pstrąg, piliśmy rozcieńczoną syberyjską wódkę — żubrówkę (która właściwie jest czystym spirytusem), z zainteresowaniem słuchaliśmy opowiadań konduktorów o strategicznych

pomysłach inżynierów rosyjskich w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. By transporty z wojskiem i zaopatrzeniem szły z głębi kraju na front o pół dnia krócej, w zimie (a zima trwa tu przeszło pół roku) inżynierowie przerzucali linię kolei transsyberyjskiej wprost przez jezioro. Mrozy skuwają zwykle wody Bajkału w grubą warstwę lodu, który wytrzymuje każdy ciężar...

My jednak byliśmy zadowoleni, że radzieccy inżynierowie nie zastosowali teraz dawnych doświadczeń, że pociąg biegnie wzdłuż brzegów jeziora i że przed naszymi oczami odkrywają się coraz nowe przepiękne krajobrazy.

Minąwszy stepy Mongolii i okręg Czity, nocą dziewiątego dnia podróży dotarliśmy do samej Czity. Stąd kolej transsyberyjska podąża dalej na wschód, do Kraju Chabarowskiego, okręgów nadmorskich i Władywostoku, ale my pojechaliśmy wschodnią linią chińsko-rosyjską przez Charbin do Dairenu, a następnie statkiem do Szanghaju i stamtąd pociągiem do Pekinu — celu naszej podróży.

4. Pierwsza wojna domowa w Chinach

Dążące do wyzwolenia Chiny przeżyły w pierwszej połowie naszego wieku trzy kolejne wojny domowe. Pierwszą (1924—1927) rozpoczął Sun Jat-sen, podejmując w celu zjednoczenia kraju walkę z generałami i ich podporą — siłami imperialistycznymi. Jak wiadomo, owa pierwsza próba sfinalizowania rewolucji chińskiej zakończyła się fiaskiem z powodu zdrady Czang Kaj-szeka i obrania przez Kuomintang prawicowego kursu (po przedwczesnej śmierci Sun Jat-sena). Drugą wojnę domową (1927—1937) w południowych i środkowych Chinach prowadziły przeciwko zdrajcom z Kuomintangu siły rewolucyjne z Komunistyczną Partią Chin na czele. Chodziło o uratowanie sprawy chińskiej rewolucji. Trzecia wojna domowa (1945—1949) wzniecona z chwilą, gdy Armia Czerwona pokonała na

Dalekim Wschodzie japońskich agresorów, zakończyła się całkowitą klęską czangkajszekowców i ich amerykańskich mocodawców, przynosząc w rezultacie zwycięstwo rewolucji rozpoczętej jeszcze przez Sun Jat-sena. Utworzenie Chińskiej Republiki Ludowej (1 października 1949 roku) otworzyło drogę przemianom ludowo-demokratycznym i społecznym w tym azjatyckim kraju.

Czytelnik zdaje już sobie sprawę z faktu, iż pomyślne zakończenie trudnej, trwającej niemal bez przerwy przez prawie pół wieku walki rewolucyjnej w Chinach byłoby niemożliwe bez ogromnego poparcia materialnego, politycznego i moralnego ze strony Związku Radzieckiego oraz bez wszechstronnego doświadczenia, jakim dzielił się on z chińskim ruchem rewolucyjnym aż do dnia ostatecznego zwycięstwa.

Gdy na początku 1926 roku po raz pierwszy stanąłem na chińskiej ziemi, kraj ten ogarnął właśnie płomień pierwszej rewolucyjnej wojny domowej o zjednoczenie Chin wokół rewolucyjnego rządu kantońskiego. Jak już wspomniałem, rozpoczął ją Sun Jat-sen, który wykrył zakrojony na szeroką skalę spisek przeciwko dziełu rewolucji, przeciwko Kuomintangowi, przeciwko niemu samemu — który zjednoczył i wiódł naprzód siły rewolucyjne.

Spisek był efektem intrygi sił imperialistycznych i kontrrewolucyjnych, śmiertelnie zagrożonych możliwością ostatecznego zwycięstwa rewolucji oraz jej programowymi reformami socjalno-demokratycznymi. W pierwszych szeregach spiskowców znalazła się kompradorska burżuazja kantońska, jak najściślej związana z zachodnim (głównie brytyjskim) kapitałem. Kupcy ci utrzymywali stały kontakt z brytyjską kolonią Hongkong, co nie nastręczało zbytnich trudności, bo wyspa ta znajduje się niespełna sto kilometrów na południe od Kantonu — czyli niezbyt daleko jak na skalę Chin — w bezpośrednim sąsiedztwie portugalskiej kolonii Makau. Przywódcą kantońskich kompradorów był byznesmen Cz'en Lien-pai (jego wkłady bankowe sięgały dwustu milionów dolarów), w owym czasie prezes kantońskiej Izby Handlowej, ale szarą eminencją spisku stał się Anglik, sir Robert Hotung, szef banku Hong-

kong—Szanghaj, wielki finansista, przedstawiciel zachodnich monopoli, których grabieżcze interesy ściśle wiązały się z bogactwami Chin.

Później okazało się zresztą, że nici spisku biegły również do dzielnicy dyplomatycznej w Pekinie, to znaczy do przedstawicieli zachodnich sił imperialistycznych, które łączyła nienawiść przeciwko Sun Jat-senowi i rewolucyjnemu ustrojowi, do którego dążył.

Kantońscy fabrykanci tekstyliów, a głównie kompradorska burżuazja podburzana przez angielskich magnatów finansowych, już w latach 1912—1913 utworzyła w Kantonie własną armię najemną. Ni mniej, ni więcej — tylko swoją armię. Powód jej zorganizowania na pozór usprawiedliwiał je — armia ta miała chronić przedsiębiorstwa przemysłowe, magazyny i sklepy przed złodziejami i rozbójnikami. Jednak prawdziwym jej przeznaczeniem było stać się zbrojną pięścią burżuazji w przyszłym nieuchronnym starciu z rewolucją i klasą robotniczą. Armia ta liczyła około dziesięciu tysięcy ludzi — włóczęgów, dezerterów, przestępców kryminalnych zbiegłych z innych prowincji kraju, wszelkich awanturników i zawodowych morderców zdolnych na pierwsze skinienie przelać krew robotniczą. Ten śmietnik ludzki zgromadził się w Kantonie na skutek bliskiego sąsiedztwa wyspy przestępczości i prostytucji, Hongkongu, i kolonialnego miasta-spelunki Makau. Ta najemna armia, nazwana przez ludność „Szang-t'uang" („Papierowe Tygrysy"), była podporządkowana bezpośrednio Cz'en Lien-paiowi.

Zgodnie z planem spisku Cz'en Lien-pai miał powiększyć szeregi „Papierowych Tygrysów", zaopatrując ich jednocześnie w najnowszą broń i dostateczną ilość amunicji, a następnie zgrupować ich w handlowej dzielnicy Kantonu — Sikuangu. Drugie posunięcie spisku przewidywało nawiązanie kontaktu i współdziałanie z armią kontrrewolucyjnego generała Cz'en Ciung-minga, jak również współpracę z reakcyjnymi ugrupowaniami w Kuomintangu. W ten sposób drogą skoordynowanych ataków z zewnątrz (armia Cz'en Ciung-minga) i od wewnątrz („Papierowe Tygrysy" i reakcyjne ugrupowa-

nia w Kuomintangu wokół Cz'en Lien-paia) spiskowcy dążyli do zdobycia Kantonu i obalenia rewolucyjnego rządu Sun Jat-sena. Równocześnie wojska kontrrewolucyjnego generała Wu P'ei-fu miały, przybliżając się od północy (prowincja Kiangsi), zająć całą prowincję Kuangtung, bazę rządu rewolucyjnego.

Do podstępnej zmowy wciągnięto także dowódcę drugiej armii kuangtungskiej, najpoważniejszej siły zbrojnej rządu rewolucyjnego; spiskowi obiecało pomoc również szereg generałów z prowincji Junnan i Kuangsi, nie uznających konstytucyjnej władzy Sun Jat-sena i rządzących jak absolutni władcy zajętymi przez siebie rejonami.

Wiosną 1924 roku armia „Papierowych Tygrysów" wzrosła do liczby dwudziestu tysięcy oprawców. W tym czasie Cz'en Lien-pai kupił w Hongkongu nowoczesną broń, którą norweski statek „Hav" przywiózł na wyspę Wampoa, odległą zaledwie dwadzieścia kilometrów od Kantonu.

Jednocześnie w stan gotowości bojowej postawiono siły kontrrewolucyjne generała Cz'en Ciung-minga (około siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy), jak również sformowane w samym Kantonie tajne uzbrojone grupy, złożone z kupców, pracowników kantorów handlowych i innych osób bezpośrednio związanych z interesami kompradorskiej burżuazji. Do akcji wciągnięto także „supertajną grupę" byłego oficera lotnictwa, angielskiego agenta Czu Czuo-weia. Grupa ta, złożona z zawodowych morderców i terrorystów, miała za zadanie likwidować określonych funkcjonariuszy aparatu państwowego i rewolucyjnej armii, którzy okazali się niepodatni na przekupstwo i szantaż.

Ponieważ o „supertajnej grupie" Czu Czuo-weia nie będzie już dalej mowy, chciałbym tu wspomnieć, że całkowicie spełniła pokładane w niej przez zwierzchników nadzieje. W 1925 roku dokonała mordu na przyjacielu i zastępcy Sun Jat-sena, przewodniczącym rządu narodowego w Kantonie — Liao Czun-k'aiu, a w kilka miesięcy później pozabijała bestialsko przeszło dwustu znanych działaczy Komunistycznej Partii Chin i lewicowych członków Kuomintangu, którzy wykazali niezachwianą wierność wobec rewolucyjnych ideałów.

Tak więc siły spiskowców były znaczne i dobrze zorganizowane, w dodatku mieli oni poparcie państw imperialistycznych, na razie ciche, lecz już jutro mogące wyjść brutalnie na jaw, jeśli kontrrewolucja zdoła wywojować choćby piędź pozostającej pod władzą rządu kantońskiego ziemi.

A jakimi siłami dysponowała w tym decydującym momencie rewolucja?

Podporą legalnego rządu były trzy armie kuangtungskie, z których druga (największa) związana była ze spiskiem. Po jego stronie, przynajmniej oficjalnie, znajdowały się też siły bezpieczeństwa — miejscowi policjanci; lecz ich naczelnicy, którzy ukończyli zachodnie lub japońskie szkoły wojskowo-policyjne, nie ukrywali swej „niezależności od politycznych waśni" i w każdej chwili mogli posłużyć wrogowi jako koń trojański. Najbardziej niezawodną podporą legalnego rządu była szkoła wojskowo-polityczna na Wampoa.

Czytelnika zainteresują z pewnością moje uwagi o tej szkole, bo odegrała ona ogromną rolę w przebiegu chińskiej rewolucji.

Jak już wspomniałem, szkoła powstała w wyniku pobytu w 1923 roku delegacji chińskiej w ZSRR. Rozpoczęła swoją działalność już 1 maja 1924 roku, ale oficjalnie została otwarta nieco później przez Sun Jat-sena, który obecnością swoją i przemówieniem wygłoszonym podczas uroczystości podkreślił szczególną wagę, jaką rząd przywiązuje do tej pierwszej w chińskiej historii szkoły polityczno-wojskowej. Do października 1924 roku kształciło się tam około dwóch tysięcy słuchaczy. (Najważniejszy był wydział piechoty z sześciomiesięcznym okresem szkolenia; znajdowały się tam też specjalne wydziały artylerii, saperski, łączności — czas szkolenia na nich wynosił dziewięć do dwunastu miesięcy — oraz wydział polityczny — szkolenie trwało tam sześć do dziewięciu miesięcy).

Przez cztery lata swego istnienia szkoła wojskowo-polityczna na Wampoa zdołała przygotować tysiące oficerów i pracowników politycznych, stanowiących później rdzeń Armii Narodowo-Rewolucyjnej, którą Sun Jat-sen pragnął zorganizować według wzorów radzieckich.

Przyczynili się do tego lub ściślej mówiąc zrealizowali to w praktyce radzieccy specjaliści wojskowi, faktyczni twórcy i kierownicy szkoły.

Szkoła wojskowo-polityczna na Wampoa zwróciła uwagę przeciwników. Trudno im było działać jawnie, toteż kontrrewolucja zaczęła od wewnątrz rozsadzać tę niezwykle ważną ostoję władzy rewolucyjnej. Jakimi środkami? Znanymi. Przez swoją agenturę w Kuomintangu, przez najemnych agentów — generałów, którzy chwilowo uznawali (chcąc nie chcąc) legalny rząd w Kantonie, lecz którzy przy najmniejszym osłabieniu jego pozycji gotowi byli strzelać mu w plecy. Jednym z tych agentów był wychowanek Japończyków, generał Czang Kaj-szek.

Ta prawdziwie złowroga dla rewolucyjnych Chin figura — będąca przyczyną wielkiego rozlewu krwi i mnóstwa szkód wyrządzonych rewolucji — w owych latach na skutek demagogii zyskała sobie przychylność Sun Jat-sena. Czang Kaj-szek został mianowany kierownikiem szkoły wojskowo-politycznej. Był to dowód wysokiego zaufania; San Jut-sen sam zamierzał stanąć na czele szkoły, lecz nie pozwolił mu na to pogarszający się stan zdrowia.

A teraz kilka słów o Czang Kaj-szeku: Zaczynał on swoją karierę polityczną jako oprawca. W 1912 roku, zaledwie rok po proklamowaniu republiki, zabił znanego rewolucjonistę T'ao Cz'eng-czenga, który stanął na drodze do władzy osławionemu kuomintangowskiemu reakcjoniście Cz'eng Ts'i-meiowi. W latach następnych Czang Kaj-szek robił pieniądze: uczestniczył w przeróżnych transakcjach politycznych i finansowych z generałami z Południa i popierał bandy rozbójników, dokonujące gwałtów, grabieży i zabójstw. Ponieważ łatwo przystosowywał się do wszelkich warunków, przeszedł wkrótce na służbę szanghajskiej burżuazji kompradorskiej i sam stał się „poważnym" byznesmenem. Lecz wojskowemu nie udawały się zawikłane operacje giełdowe, toteż wkrótce zbankrutował. Zmusiło go to do wznowienia gry na ożywionej giełdzie politycznej. I oto w 1922 roku ów pozbawiony skrupułów karierowicz, demagog i zdrajca głośno, demonstracyjnie i efektownie

zaczął wyrażać nagle zrodzoną sympatię dla Sun Jat-sena. Poczynania Czang Kaj-szeka w owym czasie są same w sobie dość przejrzyste. „Zbliża" się on do Sun Jat-sena i wkrótce potem dobiera się do władzy według wypróbowanych metod agentów-prowokatorów. Zaś jego droga prowadzi przez wojskowo-polityczną szkołę na Wampoa.

Czang Kaj-szek i jego imperialistyczni mocodawcy właściwie ocenili przyszłe znaczenie szkoły. Zdobywszy stanowisko kierownika, Czang Kaj-szek miał zamiar stworzyć dzięki szkole nowoczesną i silnie uzbrojoną armię, z której pomocą podporządkowałby sobie niesfornych generałów w Kuangtungu i uzurpował władzę. Współpracownikami jego w tej podstępnej grze byli liczni chińscy wykładowcy, ludzie zdemoralizowani, którzy Wampoa uważali za stopień do wielkiej kariery i uczyniliby wszystko, aby tylko zyskać przychylność Czang Kaj-szeka.

Wspominałem już, że w sierpniu 1924 roku norweski statek „Hav" zarzucił kotwicę niedaleko Kantonu, przywożąc w ładowniach starannie opakowaną broń. Lecz rewolucyjne władze wykryły spisek. Broń została skonfiskowana, a szefowie „Papierowych Tygrysów" Cz'en Lien-pai i Cz'en Kung-szu uciekli do Hongkongu. Na umówiony znak kantońska burżuazja kompradorska ogłosiła strajk, protestując w ten sposób przeciwko „samowoli" rządu. Zamknęła sklepy i kantory handlowe i obwarowała się w zachodnich dzielnicach Kantonu, głównie w handlowej dzielnicy Sikuang. Jednocześnie militaryści z sąsiednich południowych prowincji Junnan i Kuangsi zaczęli pogróżkami szantażować rząd. Wywierali na Sun Jat-sena nacisk, aby załatwił sprawę „kompromisowo", oddając spiskowcom połowę skonfiskowanej broni...

Lecz Sun Jat-sen, usłuchawszy rady Borodina, działał zdecydowanie i szybko. Podczas gdy „Papierowe Tygrysy" umacniały się w Sikuang, rząd zmobilizował i uzbroił robotników kantońskich i chłopów z pobliskich wsi (w ten sposób została w oparciu o doświadczenia bolszewików sformowana robotniczo-chłopska armia rewolucyjna), a następnie Sun Jat-sen

bez ogródek oznajmił, że będzie działał zdecydowanie, jeśli „Papierowe Tygrysy" dobrowolnie nie złożą broni.

Wówczas to, aby poprzeć „wolny stan kupiecki" i w obronie jakoby naruszonej „swobody jednostki", konsul brytyjski interweniował brutalnie, kierując 29 sierpnia do Sun Jat-sena ostrzeżenie: jeśli wydany zostanie rozkaz strzelania do „Papierowych Tygrysów", flota angielska zbombarduje Kanton...

Ta imperialistyczna interwencja w wewnętrzne sprawy Chin wywołała powszechne oburzenie. Sun Jat-sen zwrócił się z apelem do całego świata. Fala protestów, która wezbrała w Kantonie, obiegła całą kulę ziemską. „Ręce precz od Chin!" — wołano na wiecach i zebraniach w Moskwie i Leningradzie, w Paryżu i Londynie, w Rzymie i Chicago. „Robotniczy" rząd McDonalda zmuszony był cofnąć decyzję...

Z początkiem września 1924 roku Moskwa dała kolejny dowód swej szczerej przyjaźni wobec rewolucji chińskiej: rząd radziecki, sam znajdując się w trudnej sytuacji ekonomicznej i walutowej, udzielił Sun Jat-senowi pożyczki w wysokości dziesięciu milionów juanów w celu utworzenia Centralnego Banku Narodowego w Kantonie. W parę dni później kilka statków radzieckich, które przywiozły dla potrzeb rewolucyjnej armii broń, amunicję, odzież i żywność, zarzuciło kotwicę w kantońskim porcie. Przysłowie mówi, że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie, a czyż istniał bardziej konieczny warunek stabilizacji władzy rewolucyjnej niż pomoc finansowa i broń? Zachodnie państwa imperialistyczne, zachodni magnaci finansowi pogardliwie wzruszali ramionami, gdy Sun Jat-sen zwracał się do nich o pomoc. Pomógł jedynie Kraj Rad. Cały naród chiński jeszcze raz jasno zdał sobie sprawę z tego, kto jest wrogiem, a kto — bezinteresownym przyjacielem jego rewolucji...

„Papierowe Tygrysy" chwilowo przycichły, ale w październiku 1924 roku ponowiły natarcie. Hu Huang-ming, jeden z czołowych reakcjonistów w Kuomintangu, będący narzędziem w rękach imperialistów, wykorzystując nieobecność Sun

Jat-sena w Kantonie, wydał rozkaz, by zwrócono „Tygrysom" połowę skonfiskowanej broni i amunicji. I 10 października, w rocznicę zwycięskiego powstania z 1911 roku w Wucz'angu, ulice Kantonu spłynęły krwią: „Papierowe Tygrysy" otwarły ogień do demonstrujących robotników.

Sun Jat-sen na wieść o krwawych wydarzeniach wrócił natychmiast do Kantonu i wydał rozkaz, by bezlitośnie stłumić rebelię. W ciągu dwóch dni było po wszystkim.

Siłą uderzeniową rządu stali się słuchacze szkoły na Wampoa, którzy uformowali grupę bojową w sile blisko dwóch tysięcy ludzi. Jednocześnie na wezwanie Sun Jat-sena wyruszyły do Kantonu najlepsze oddziały rządowej armii Sü Cz'ung-czy. I co najważniejsze — do obrony rewolucji wezwano pod sztandary robotników kantońskich i chłopów z okolicznych wsi, a ci najlepiej znali cenę klęski.

Operacją przeciwko „Papierowym Tygrysom" kierował bezpośrednio Sun Jat-sen wspomagany przez radzieckich specjalistów wojskowych.

Zdecydowane posunięcia rządu kantońskiego powstrzymały zapędy imperialistów, gdyż świadczyły o właściwym pojmowaniu przez niego swej roli w państwie, o wiedzy strategicznej i o niezwykle wzmocnionych możliwościach samoobrony.

Tak zaczęła się pierwsza wojna domowa w Chinach. Narzuciły ją kontrrewolucja i imperializm, ale obecnie Sun Jat-sen uznał, że jest to najwłaściwszy moment, by atmosferę rewolucyjnego optymizmu, którą wywołało poważne zwycięstwo nad wrogiem, wykorzystać w celu zjednoczenia kraju.

Decyzja marszu na północ zbiegła się z przybyciem do Chin W. K. Blüchera, który zjawił się w Kantonie z dużą grupą radzieckich specjalistów wojskowych na początku listopada 1924 roku. Spotkanie między Blücherem a Sun Jat-senem nastąpiło na pokładzie radzieckiego okrętu wojennego „Borowski", który zarzucił kotwicę w pobliżu Kantonu. Jak opowiadał nam później sam Blücher (w Chinach znany jako generał Galin), Sun Jat-sen, ubrany w półwojskowy uniform, w przeciwsłonecznym kapeluszu z szerokim rondem, wywarł na wszystkich silne wrażenie gorączkowym ogniem spojrzenia

i ogromną energią, wciąż jeszcze promieniującą z niego, mimo że całym ciężarem opierał się na bambusowej lasce i wszystko wskazywało, że koniec jego jest bliski. Sun Jat-sen nie był jeszcze stary (miał wówczas tylko pięćdziesiąt siedem lat), ale prawie całkiem siwy, wyraźnie wycieńczony straszliwą chorobą i wewnętrznym napięciem. Jednakże mobilizując resztę sił, ciągle trwał na posterunku i kierował okrętem rewolucji, jakby przeczuwając, że jutro nie będzie komu zastąpić go na kapitańskim mostku...

— Zostańcie z nami i pomóżcie swym doświadczeniem naszej sprawie — powiedział przy pożegnaniu, mocno ściskając rękę Blüchera. — Wierzę w Kraj Rad, wierzę i w was osobiście!

W wyniku rozgromienia „Papierowych Tygrysów" sytuacja polityczna w Chinach uległa gwałtownej zmianie na korzyść rządu rewolucyjnego i nadszedł moment sprzyjający natarciu. Toteż mimo braku silnego oparcia wojskowego, w latach 1925—1926 marsz na północ stał się polityczną koniecznością. Sytuacja wymagała po pierwsze: pokonania i podporządkowania rządowi kantońskiemu kontrrewolucyjnego generała Cz'en Ciung-minga, który nieustannie zagrażał od północy spokojowi i bezpieczeństwu Kuangtungu; po drugie — poskromienia w sąsiednich prowincjach Kueiczou i Kuangsi wszystkich pomniejszych generałów i dyktatorów, którzy w teorii uznawali władzę konstytucyjnego rządu, lecz w praktyce sabotowali niemal każde jego posunięcie zmierzające do przebudowy i ustabilizowania administracji w ich okręgach wojskowych.

W wyniku zdecydowanego ataku na „Papierowe Tygrysy" (a faktycznie również na ich imperialistycznych podżegaczy) zmieniła się też zasadniczo sytuacja na północy. W prowincji Kiangsi reakcyjny generał Wu P'ei-fu (jeden z głównych spiskowców przeciwko Kantonowi) został zaatakowany od tyłu przez jednostkę wojskową swego podwładnego Feng Ju-sianga, który zerwawszy ze swym mocodawcą zdobył samą stolicę —

Pekin. Armia Wu P'ei-fu po krwawej porażce rozpoczęła paniczny odwrót, a reakcyjny pekiński reżim Ts'ao K'unga runął jak papierowa wieża. „Prezydent" pekińskiej oligarchii znalazł się w więzieniu, zaś „tymczasowym szefem państwa" został stary oszust polityczny, generał bez armii, Tuan C'i-żui. Feng Ju-siang, oswobodziciel Pekinu, najwyraźniej nie był z tej samej mąki co reakcyjni generałowie i militaryści. Już z chwilą obalenia dyktatora Ts'ao K'unga opowiedział się otwarcie po stronie rządu konstytucyjnego i nazywając swoje wojsko „armią ludową" wezwał do współpracy z partią komunistyczną i do zbliżenia ze Związkiem Radzieckim. Jednocześnie generał Feng Ju-siang wysłał do Sun Jat-sena braterskie orędzie i zaprosił go do Pekinu, by wspólnie mogli omówić kwestię zwołania Zgromadzenia Narodowego, które by dokonało pokojowego zjednoczenia kraju...

Dziwne wydarzenia w tym jeszcze dziwniejszym kraju — któż mógłby oczekiwać podobnego rozwoju wypadków! Wszystko więc układało się jak najlepiej, bo przecież zjednoczenie było w tej chwili pierwszym i podstawowym celem narodowo-rewolucyjnego rządu (bez zjednoczenia narodowego i zacieśnienia spoistości kraju niemożliwe było zdecydowane przeciwstawienie się drapieżnym siłom imperialistycznym). Czyżby ten szczytny cel, nieosiągalny do wczoraj na skutek tysiąca przeszkód, obecnie bez żadnego niemal wysiłku miał stać się rzeczywistością dzięki pomocy nie znanego dotąd jako przyjaciel generała Feng Ju-sianga?

Nikt nie mógł jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, lecz wydawało się więcej niż pewne, że możliwości takie istnieją. I Sun Jat-sen, korzystając z kompetentnych rad Borodina i Blüchera, niezwłocznie wyruszył drogą morską do Pekinu. Jakkolwiek szansa pokojowego zjednoczenia kraju była niewielka, należało ją wykorzystać. Może tam na miejscu szanowany przez wszystkich (nawet wrogowie nie ośmielali się otwarcie rzucać oszczerstw na tego niemal ubóstwianego przez cały naród człowieka) Sun Jat-sen zdoła nadać wydarzeniom bieg, który zwycięstwo wojskowe przekształci w zwycięstwo polityczne...

Planowany do niedawna marsz na północ przestaje wchodzić w rachubę; wódz rewolucji udaje się osobiście do Pekinu.

Jednakże radzieccy eksperci wojskowi nie mieli żadnych złudzeń; mało prawdopodobne było, by Feng Ju-siang, odniósłszy zwycięstwo militarne, zapanował tym samym całkowicie nad sytuacją w Pekinie. Starzy wyjadacze polityczni, którzy znajdowali już wyjście z bardziej skomplikowanych sytuacji, nie zamierzali czekać z założonymi rękami, bo należało się także spodziewać kontrdziałania przeciwko Fengowi ze strony sił imperialistycznych, a w pierwszym rzędzie Japonii. Perspektywa pokojowego zjednoczenia Chin pod rządami Sun Jat-sena oznaczała dla nich fiasko polityczne. I jeszcze jedna sprawa: Sun Jat-sen załamywał się już pod atakami choroby...

Przewidywania ekspertów radzieckich niestety się sprawdziły. Nim jeszcze Sun Jat-sen znalazł się w Pekinie, sytuacja w tym mieście uległa gwałtownej zmianie. Stary kłamca Tuan C'i-żui, pozornie wyraziwszy wobec Feng Ju-sianga zgodę na porozumienie z Sun Jat-senem, nieoczekiwanie połączył się z mandżurskim dyktatorem, generałem Czang Tso-linem (narzędziem Japończyków) i ogłosił odroczenie rokowań dotyczących zwołania Zgromadzenia Narodowego. Zdrada była tak podła i niespodziewana, że wstrząsnęła wszystkimi Chińczykami. Feng Ju-siang, któremu zagroziła silna w tym czasie armia Czang Tso-lina, zmuszony został do opuszczenia Pekinu, do którego natychmiast wkroczyły oddziały Czanga. Poprzednia sytuacja została całkowicie przywrócona: Japonia (za pośrednictwem Czang Tso-lina) położyła znów rękę na Pekinie i automatycznie skazała na niepowodzenie wszelkie próby pokojowego zjednoczenia kraju.

Mimo to Sun Jat-sen nie przerwał podróży do Pekinu. I on zdawał sobie sprawę, że koniec jego jest bliski, a powrót niemożliwy. Choćby dane mu było wygłosić tylko jedno słowo w obronie rewolucji, wygłosi je bez względu na to, jak by mu przyszło cierpieć...

Choroba okazała się jednak silniejsza od woli. Do Pekinu przybył już umierający. Jednak straszniejsza niż śmierć była

utrata nadziei na pokojowe zjednoczenie kraju. Ileż krwi jeszcze będzie musiał wylać naród Sun Jat-sena, nim ujrzy wielką ideę urzeczywistnioną!

Otoczony najwierniejszymi przyjaciółmi, wśród których znalazł się M. M. Borodin (specjalnie przybyły z Kantonu) i Lew M. Karachan (radziecki przedstawiciel polityczny w Pekinie), 12 marca 1925 roku Sun Jat-sen rozstał się z życiem.

Całe Chiny okryły się żałobą, naród cierpiał z powodu straty swego największego syna, nieocenionego i niezastąpionego wodza i ojca rewolucji.

Co czekało teraz ten umęczony kraj?

Historia dowiodła, że nowe trzydzieści lat wojen, mordów, krwawych konfliktów, podstępnych spisków i otwartych najazdów imperialistycznych oraz tytanicznych wysiłków najlepszych sił postępowych, by uratować dzieło rewolucji i wznieść sztandar zwycięstwa.

Śmierć Sun Jat-sena ponownie uczyniła aktualnym marsz na północ w celu pokonania sił kontrrewolucyjnych oraz zjednoczenia kraju. Bez tego marszu śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażałoby istnieniu władz republiki na południu Chin i sprawie rewolucji.

Przed rozpoczęciem marszu na północ siły rewolucyjne pomyślnie zrealizowały tak zwany marsz wschodni. Był on koniecznością wynikającą z ciągłego niebezpieczeństwa, jakie groziło prowincji Kuangtung wskutek kontrrewolucyjnej działalności Cz'en Ciung-minga. Ten generał-zdrajca, szczodrze wspomagany przez imperialistów, wręcz groził, że oczyści Kanton z „bolszewickiej zarazy". I nie tylko groził, lecz również działał za pomocą wojska, nawiązywał kontakty z przeróżnymi bandyckimi organizacjami i szajkami rozbójników i spiskował z siłami reakcyjnymi w Kuomintangu.

Te fakty czyniły rozbicie Cz'en Ciung-minga warunkiem rozpoczęcia marszu na północ. Dokonanie tego zaproponował Blücher na Radzie Wojennej, utworzonej nieco wcześniej w wyniku jego nalegań. Radą powinien kierować bezpośrednio

Sun Jat-sen, jako głównodowodzący armii rewolucyjnej, lecz w tym czasie, w grudniu 1924 roku, był w drodze do Pekinu, a zastępował go lewicowy działacz Kuomintangu, Liao Czun-k'ai *. Plan głównego doradcy wojskowego Blüchera spotkał się w Radzie Wojennej z gwałtownym sprzeciwem reakcyjnych kuomintangowskich generałów z Czang Kaj-szekiem na czele. Liao Czun-k'ai musiał użyć całego swego prestiżu, by go przeforsować.

W marszu wschodnim uczestniczyły najlepsze jednostki wojskowe rewolucyjnej armii kuangtungskiej wraz z dwoma elitarnymi pułkami z wojskowo-politycznej szkoły na Wampoa. I podczas gdy na północy projapońsko nastrojeni generałowie oraz stronnicy imperializmu angielskiego toczyli między sobą zacięte walki o strefy panowania i wpływów, marsz ten, rozpoczęty 2 lutego 1925 roku, w dwa i pół miesiąca później skończył się wspaniałym zwycięstwem. Nie tylko w przygotowaniu planu generalnego, lecz i w szczegółowym opracowaniu każdej operacji uczestniczyli radzieccy eksperci wojskowi z Blücherem na czele. Doświadczenie Rewolucji Październikowej i wojny domowej w Rosji również i dla Chin okazało się bezcenną skarbnicą wiedzy, a bohaterowie rosyjskiej rewolucji — najwierniejszymi towarzyszami i najbardziej kompetentnymi doradcami republikańskiej armii i rządu.

Gdy w pierwszej połowie lutego 1926 roku grupa nasza przybyła do Pekinu, Kuangtung, najbardziej na południe wysunięta prowincja Chin, centralna baza rewolucyjnego rządu, był całkowicie oczyszczony z wrogów. Oczywiście, poza zasięgiem władzy republiki pozostawał (i pozostaje do dziś) Hongkong, gdzie rezydenci zachodnich ośrodków wywiadowczych i przedstawiciele międzynarodowego kapitału monopolistycznego niezmordowanie snuli intrygi przeciwko rewolucji. Pozostawała również (i pozostaje do dziś) portugalska kolonia

---

* Po śmierci Sun Jat-sena Liao Czun-k'ai został przewodniczącym rządu narodowo-rewolucyjnego. Zginął w sierpniu 1925 roku, zastrzelony przez „supertajną grupę" pod kierownictwem kontrrewolucjonisty Czu Czuo-weia. — *Przyp. aut.*

Makau, z miastem o tej samej nazwie, gdzie panowali niekoronowani królowie opium, hazardu i prostytucji.

Prowincja Kuangtung zajmowała nieduże terytorium w porównaniu z powierzchnią całych Chin (stosunek wynosił w przybliżeniu 1 : 20). Jednakże w przeddzień rozpoczęcia marszu na północ konstytucyjny rząd w Kuangtungu uznawany był także przez generałów z dwóch innych południowych prowincji — Kuangsi i Kueiczou. Choć chwiejni to byli sojusznicy, zwiększali jednak wówczas autorytet władzy republikańskiej w tych prowincjach i wykazywali gotowość uczestniczenia w przedsięwzięciach wojennych rewolucji.

Spotkania nasze z niezwykłością i egzotyką zaczęły się już z chwilą przekroczenia granicy chińskiej; w Mandżurii i dalej pociąg sunął wzdłuż Wielkiego Muru. Budowla to zdumiewająca swymi rozmiarami, wysoka od pięciu do dziesięciu, szeroka od pięciu do ośmiu metrów i długa ponad cztery tysiące kilometrów. Mur zbudowany częściowo w IV—III wieku przed naszą erą, a zakończony w III wieku naszej ery, wznosił się w dolinach i na szczytach jak milczący, straszny symbol monstrualnego despotyzmu starożytnych cesarzy chińskich, którzy zaprzepaścili w tym bezsensownym z wojskowego punktu widzenia urządzeniu kolosalny wysiłek ludzki i nieprzeliczone ludzkie ofiary. Nigdy — ani w chwili rozpoczęcia budowy, ani po jej ukończeniu — Wielki Mur nie był w stanie zatrzymać czy ułatwić odparcia najazdów wroga. Po cóż więc go budowano? Jakieś dziwne poddanie się woli monarchy-bóstwa, jakaś dziwna i straszliwa obojętność wobec ludzkich cierpień... Niektórzy ze współpasażerów w pociągu wyjaśniali:

— Mur wzniesiony został jako nasyp ziemny, wzmocniony ścianami z cegieł i kamiennych bloków. Bloki te spojone są wapnem zmieszanym z krwią...

Kto wie, może te słowa nie były dalekie od prawdy...

Mury otaczające niemal wszystkie większe miasta, które mijał pociąg, podobne były do Wielkiego Muru. Również i Pekin otoczony był murem, może nie tak gigantycznym jak

Wielki Mur, lecz niemal tak samo wysokim, a chyba tylko węższym i oczywiście krótszym. Co sto metrów wznosiły się na nim wieże z otworami strzelniczymi i miejscem na działa i amunicję; było w nim też kilka monumentalnych bram wiodących do miasta. Ten mur miejski lepiej niż Wielki Mur odgrywał rolę obronną podczas wrogich najazdów. Lecz i jego rola, podobnie jak Wielkiego Muru, była względna. Cóż bowiem znaczy ładna skorupka, jeśli jajko jest zgniłe w środku?

W Pekinie i Kantonie misja Blüchera była w stanie pełnej mobilizacji. Spośród licznych specjalistów wojskowo-politycznych, zaproszonych, by pomogli w utworzeniu Armii Narodowo-Rewolucyjnej i w pokierowaniu nią, znałem osobiście lub z nazwisk wiele osób; część z nich była już dowódcami w czasach rewolucji i wojny domowej, inni po raz pierwszy chwycili za broń podczas szturmu na Pałac Zimowy, jeszcze inni właśnie ukończyli Akademię Wojskową (przyszłą Akademię im. Frunzego). Byli to P. A. Pawłow, W. K. Putna, A. J. Łapin (z którym miałem później ściśle współpracować), N. W. Kujbyszew, M. W. Sangurskij, W. M. Primakow, M. G. Jefremow, A. I. Czerepanow (mój bliski towarzysz broni w następnych dziesięcioleciach), G. I. Gilew, W. E. Gorew, N. I. Konczin, I. J. Zenek, S. N. Naumow, M. F. Kumanin, A. N. Czernikow, W. A. Stepanow, T. A. Besczastnow i inni. Wkrótce potem przybył jako doradca wojskowy M. I. Czujkow. (W Chinach, o czym będzie dalej mowa, w charakterze doradców wojskowych przebywało również kilku rewolucjonistów bułgarskich). Większość z tych ekspertów wojskowych uzyskała później stopnie generałów Armii Czerwonej, a wielu z nich, z W. K. Blücherem na czele, otrzymało nominacje na marszałków. Wynika z tego jasno, jak wypróbowane pod każdym względem i zahartowane kadry rewolucyjne Związek Radziecki wysłał na pomoc rewolucji chińskiej.

Przede wszystkim chcieliśmy się przedstawić Blücherowi. Mieliśmy szczęście, gdyż właśnie przybył on z Kantonu do

Pekinu w celu przeprowadzenia inspekcji działalności ekspertów radzieckich.

Nie widziałem go dotąd, lecz słyszałem o nim i czytałem tak wiele, że gdy nas przyjął, miałem wrażenie, iż od dawna się znamy.

Był średniego wzrostu, potężnej budowy, włosy miał ciemnoblond, gęste brwi i błyskające spod nich ciemnoniebieskie oczy; rysy jego twarzy były regularne: masywna broda znamionująca silną wolę i wysokie czoło intelektualisty. Nosił mundur wojskowy chińskiej Armii Narodowo-Rewolucyjnej, z dystynkcjami generała. Blücher, „Czerwony Generał", był powszechnie znany i w Kantonie, i w Pekinie, i w całych Chinach. Sławę swą zawdzięczał wspaniale zorganizowanym przez siebie operacjom wojskowym w Kuangtungu (wschodni marsz i oczyszczenie południowego wybrzeża); do jego rozgłosu przyczyniły się również imperialistyczne agencje prasowe, które misję Blüchera nazywały „dowodem podejrzanej ingerencji bolszewickiej Rosji w polityczny konflikt Chin"... Młody czytelnik, dla którego wydarzenia te są historią, z pewnością zdumiony będzie tym bezczelnym określeniem, lecz faktem było, że imperialiści, którzy władali tu do niedawna bez ograniczeń i kontroli, którzy wszelkimi sposobami starali się zaszkodzić rewolucji chińskiej i nie cofali się przed niczym, by ją zdławić, nieoczekiwanie zaczęli ronić łzy nad polityczną niezależnością Chin... Na odległych krańcach świata, gdzie prawda o tych sprawach docierała z trudem, być może zyskali posłuch naiwnych, lecz w samych Chinach nie mogli liczyć na łatwowierność. Rosyjscy marynarze, pracujący na okrętach, które zarzuciły kotwicę nie opodal Kantonu, przywożąc na prośbę Sun Jat-sena artykuły żywnościowe i broń, oraz rosyjscy eksperci wojskowo-polityczni, zarówno w Kantonie, jak i w Pekinie i w całych Chinach otaczani byli jakimś niezwykłym i tylko w tym kraju możliwym szacunkiem, graniczącym z lękliwą adoracją, nawet z ubóstwieniem. Lud chiński nie bez podstaw widział w Związku Radzieckim swego jedynego bezinteresownego przyjaciela i to wystarczało, by serca rozgorzały uwielbieniem dla kraju Lenina...

Głównemu doradcy wojskowemu przedstawiliśmy się we troje, bo tyle nas, wliczając w to i Galinę, przybyło z ośrodka. Blücher przyjął nas po bratersku, serdecznie — tak wielkie przestrzenie dzieliły go od Moskwy, od krewnych i przyjaciół, że w każdym nowo przybyłym widział kogoś bliskiego. Zacząłem go rzeczowo informować o charakterze zadania, z którym przyjechaliśmy, lecz on machnąwszy ręką rzekł:

— Nie śpieszcie się, drogi towarzyszu, nie śpieszcie się, znajdziemy czas i na to. Opowiedzcie najpierw o Moskwie, o kraju. Stęskniłem się za nim. Mówcie, opowiadajcie, a nie szczędźcie słów...

Więc zaczęliśmy opowiadać. Zapanował miły nastrój i dzięki serdecznemu rosyjskiemu przyjęciu ze strony Wasilija Konstantynowicza, i dzięki smacznemu poczęstunkowi, który jakby czarodziejskim sposobem zjawił się w jego gabinecie, i dzięki świeżym gazetom, jakie przywieźliśmy ze sobą z Moskwy. Słowo „świeże" należy rozumieć umownie. W owych czasach, gdy nie było jeszcze lotnictwa cywilnego i łączność między ZSRR i Chinami podtrzymywała jedynie kolej transsyberyjska, „świeże" dzienniki moskiewskie nosiły tu datę sprzed piętnastu dni. Ale dla Blüchera nie miało to żadnego znaczenia; wiadomości mógł usłyszeć przez radio, teraz zaś chciał nacieszyć oczy...

W. K. Blücher nosił wówczas na naszywkach munduru trzy romby (była to ranga dowódcy korpusu, równa stopniowi generała-pułkownika), a był jeszcze młody, liczył zaledwie trzydzieści siedem lat. Tak mówiła metryka urodzenia, ale postawa jego zmuszała do respektu. Usposobienie miał żywe i energiczne, lecz ruchy spokojne i skoordynowane. Chciał, by mu opowiedzieć jednym tchem o wszystkim, co wydarzyło się w kraju od chwili jego wyjazdu do Chin, za to on sam mówił mało, bez zbytecznej gestykulacji. Był urodzonym żołnierzem, i to żołnierzem rewolucji, u którego poczucie porządku, dyscypliny i honoru stało się częścią składową osobowości. Nie zmieniło to jednak jego rosyjskiej natury — i dzięki atmosferze, którą stworzył, czuliśmy się tak, jakbyśmy naprawdę

przenieśli się stąd dziesięć tysięcy kilometrów na zachód, do Moskwy.

— Teraz przejdźmy do rzeczy — rzekł wreszcie Blücher, gdy wyczerpaliśmy już wszystkie nowiny i tematy dotyczące stolicy Kraju Rad.

Poinformowałem go, z czym przybywamy. Wiedział o naszym otrzymanym w Moskwie zadaniu.

— Czekałem na was z niecierpliwością — powiedział, gdy skończyłem — i spodziewam się jeszcze przyjazdu ludzi z waszego ośrodka. Grisza Salnin niedawno musiał udać się do ZSRR, lecz wkrótce powróci. Okazaliśmy się tak potrzebni chińskiej Armii Narodowo-Rewolucyjnej jak oczy i uszy. Wyszkolonych kadr wojskowych było i jest tu tak mało, że giną jak kropla wody w oceanie. Szkoła na Wampoa działa, jak się to mówi, na pełnych obrotach, lecz zdołała przygotować niewiele ludzi, a potrzeby są ogromne, nie do opisania...

Następnie Blücher zapoznał nas szczegółowo i konkretnie z sytuacją wojskowo-polityczną w Kuangtungu i wszystkich pozostałych prowincjach Chin, scharakteryzował co znaczniejszych chińskich generałów, omówił różnorodne tendencje polityczne w Kuomintangu i opisał przywódców ugrupowań, wreszcie przedstawił w ogólnych zarysach środki, jakimi agentura imperialistyczna szkodziła sprawie rewolucji.

— Kuomintang składa się z przeróżnych ludzi — mówił. — Zdaniem Sun Jat-sena są w nim i najlepsi, i najgorsi... Przebywam tu już dwa lata i niestety z przykrością stwierdzam, że ci najgorsi biorą górę. Choć Komunistyczna Partia Chin wzmacnia się z każdym dniem, ciągle jeszcze nie zdobyła decydującego wpływu na tok wydarzeń ani w Kuomintangu, ani na placu boju...

Na koniec Blücher skonkretyzował nasze bieżące zadania:

Zostaniecie w Pekinie. Na razie tu będzie wasze pole działania. Generał Feng Ju-siang, dowódca znacznej siły wojskowej, którą sam nazwał armią ludową, potrzebuje doradców. W tej chwili działa on w południowych rejonach stołecznej prowincji Czili i w Honanie. W ubiegłym roku spisał się dzielnie, ścierając na proch proangielskiego militarystę Wu P'ei-fu.

Ale z pewnością wiecie już, że Czang Tso-lin wyparł go z Pekinu i przywrócił poprzedni stan rzeczy...

Czyli — jak już nam wyjaśniono w Moskwie — najważniejszym naszym zadaniem była pomoc przy utworzeniu wywiadu wojskowego w chińskiej Armii Narodowo-Rewolucyjnej.

— Nawet w Radzie Wojennej w Kantonie — podkreślił Blücher — odrzucano do niedawna wszelką myśl o wywiadzie wojskowym jako o niepotrzebnej stracie czasu, sił i środków. Nie sądzę, aby generałowie, którzy mi tam oponowali, byli tak dalece niekompetentni; większość z nich ukończyła akademie wojskowe za granicą... Prawdopodobnie dlatego negują potrzebę stworzenia wywiadu chińskiego, by zostawić swobodę działania zachodnim ośrodkom wywiadowczym...

Nasza rola była więc jasna. Lecz wkrótce jawna zdrada Czang Kaj-szeka, który spiskował już przed kwietniem 1927 roku, sprawiła, że część z nas otrzymała inne specyficzne zadanie: przygotowanie Komunistycznej Partii Chin do nielegalnej walki; o taką właśnie pomoc jej Komitet Centralny zwrócił się do rządu radzieckiego.

Na razie jeszcze nie było o tym mowy, lecz ludzie o trzeźwym spojrzeniu jasno zdawali sobie sprawę, że tego właśnie należy oczekiwać w najbliższym czasie. Jak sam Blücher na początku rozmowy zaznaczył, najgorsi brali górę w Kuomintangu, choć Komunistyczna Partia Chin wciąż jeszcze wchodziła w jego skład, walcząc ze wszystkich sił o utrzymanie, stabilizację lub nawet ewentualne rozszerzenie chińskiego frontu antyimperialistycznego, lecz szala przechylała się na korzyść sił prawicowych i podżeganych przez państwa imperialistyczne kontrrewolucjonistów. Zbliżała się chwila nieuniknionej klęski. Nie wiadomo było tylko, kiedy i jak do niej dojdzie, nie wiadomo było, który militarysta czy demagog kuomintangowski wypłynie na powierzchnię, by sprzedać wrogowi bezcenne dzieło rewolucji.

Przy pożegnaniu Blücher pytająco zatrzymał na mnie wzrok:

— Proszę wybaczyć mi ciekawość, ale nie jesteście Rosjaninem, prawda? Akcent was zdradza...

— Prawda, Wasiliju Konstantynowiczu — uśmiechnąłem się. — A czy odgadlibyście, jakiej jestem narodowości?

— Trudno by mi było, ale jestem pewien, że słowiańskiej...

— Tak, jestem Bułgarem...

— O, bułgarski komunista! — wykrzyknął Blücher. — Jakże się cieszę! Jakże się cieszę!

I serdecznie mnie uściskał.

— Mamy już w Chinach jednego bułgarskiego towarzysza — ciągnął. — To Christo Pakow. Wspaniały lotnik! Jest teraz doradcą wojskowym na Wampoa, szkoli chińskich pilotów...

Słyszałem o Pakowie. Berzin powiedział mi jeszcze w Moskwie, że grono Bułgarów w Chinach teraz się powiększy. Oprócz Pakowa przyjeżdżali tu na jakiś czas z zadaniami z dziedziny wywiadu wojskowego lub też później jako eksperci i doradcy wojskowi armii rewolucyjnej i przebywali po kilka lat następujący bułgarscy komuniści: Christo Bojew (którego czytelnik poznał już na pierwszych stronicach tej książki), Szterju Atanasow, Bojan Papanczew (wspomniany już przeze mnie kurier Kominternu), Anton Nediałkow, dr Janko Kaneti i wielu innych. Ale gdy przyjechaliśmy, „grono Bułgarów" składało się z dwóch osób. Pakow po ukończeniu szkoły lotniczej w Związku Radzieckim został tu skierowany przez nasz ośrodek jeszcze w połowie 1925 roku. Czytelnik z pewnością sobie przypomina, że przed zamachem kwietniowym Christo na polecenie Biura Zagranicznego KC BPK wrócił do Bułgarii, by wraz z innymi przyczynić się do zahamowania tendencji do wywołania powstania. Po zamachu niezwłocznie udał się do Wiednia i stamtąd, nie tracąc ani chwili — do Moskwy. Tam z ochotą podjął się nowego zadania i po krótkim przeszkoleniu wyruszył na Daleki Wschód. Teraz, ramię w ramię z ekspertami radzieckimi, płomienny internacjonalista Pakow uczył młodych chińskich słuchaczy szkoły na Wampoa i budował lotniska.

Chciałbym tu wspomnieć, że w owym czasie samoloty w Chinach były rzadkością. Reakcyjny reżim w Pekinie i „udziel-

ni" generałowie mieli parę maszyn, lecz były to na pół wybrakowane amerykańskie samoloty wojskowe, marki „Curtis", powolne, o słabych silnikach, małej sile udźwigu i ograniczonym zasięgu lotu. Żałośnie wyglądały one w porównaniu z nowymi radzieckimi samolotami „R-1", których możliwości bojowe budziły paniczny strach w szeregach wroga. Z początku samolotów radzieckich używano głównie do dokonywania nad pozycjami nieprzyjacielskimi wywiadu wojskowego, ale wkrótce rzucono je również do bezpośrednich działań ofensywnych. W pierwszych dniach owe „latające smoki" pilotowali lotnicy radzieccy, potem zaś także Chińczycy, gruntownie wyszkoleni na Wampoa. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że Związek Radziecki wysłał na pomoc rewolucji chińskiej jedne z najdoskonalszych ówczesnych swoich maszyn bojowych, nie bacząc, że sam może ich potrzebować w wypadku imperialistycznego ataku.

Rozmowa z Blücherem przeciągała się. Wspomnienie Bułgarii przywiodło mu na myśl dzieciństwo i jakoś dziwnie złagodziło surowe żołnierskie rysy jego twarzy.

— Droga jest memu sercu wasza mała Bułgaria — powiedział cicho. — W czasie wojny rosyjsko-tureckiej walczyło tam dwóch ludzi z mojej rodziny — dziadek i ojciec. Dziadek nie wrócił. Nie dowiedzieliśmy się, gdzie spoczęły jego kości: czy pod Swisztowem, czy pod Plewen, czy może pod Szipką lub Szejnowem...

Zapanowała cisza, a ja poczułem w sercu falę ciepła.

— Gdziekolwiek spoczywają jego szczątki, Wasiliju Konstantynowiczu — przerwałem nieśmiało jego pełne zadumy milczenie — możecie być pewni, że spoczywają w ciszy i spokoju, otoczone wieczną wdzięcznością i miłością naszego narodu... Cmentarze poległych za wolność Bułgarii żołnierzy rosyjskich są u nas miejscami uświęconymi, obiektem szacunku i hołdu...

Blücher uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością.

— Słyszałem o waszym narodzie, słyszałem również o waszej partii. Znam osobiście Wasila Kołarowa. Wysokie sta-

nowisko, jakie zajmuje on w Kominternie, jest przede wszystkim wyrazem szacunku dla waszej partii, dla waszej wytrwałości rewolucyjnej... Cieszę się, Iwanie Piotrowiczu (tak brzmiał mój ówczesny pseudonim), że pracuję z bułgarskimi komunistami.

Komunistyczna Partia Chin w owych czasach była niezbyt liczna. Nie dała się jeszcze poznać w społeczeństwie, nie miała dużej wiedzy rewolucyjnej, brakło jej odpowiednich kadr kierowniczych i rewolucyjnej przeszłości, która jest źródłem doświadczenia na przyszłość.

Gdy przybyliśmy do Chin, miała ona za sobą zaledwie kilka lat istnienia. Pierwszymi chińskimi marksistami, którzy mieli stać się założycielami partii komunistycznej, byli intelektualiści: profesor Li Ta-czao, wykładowca ekonomii politycznej na Uniwersytecie Pekińskim, pisarz Tsü Tsuo-po, jeden z czołowych działaczy rewolucji, Tung Czung-sia i Czang T'ai-lai, jeden z organizatorów chińskiej organizacji młodzieżowej i późniejszy bohater Komuny Kantońskiej w 1927 roku. Ci płomienni popularyzatorzy marksizmu w Chinach, przestudiowawszy teorię naukowego materializmu, zaczęli ją rozpowszechniać wśród studentów i intelektualistów, wśród robotników i średniej burżuazji, wśród żołnierzy i wiejskiej biedoty. Oto jakimi słowami powitał Li Ta-czao pierwszą rocznicę wybuchu Rewolucji Październikowej:

— Wiosna wraca! Czy odrodzą się również Chiny?

To prawda, że w Chinach klasa robotnicza wciąż jeszcze była nieliczna w porównaniu z ogromną masą chłopstwa, niemniej jednak dwa miliony robotników uświadomionych politycznie i zorganizowanych pod sztandarem marksizmu, stanowiły w dużych miastach rękojmię rozkwitu robotniczego ruchu rewolucyjnego w przyszłości. Zresztą po pierwszej wojnie światowej liczebność chińskiej klasy robotniczej zaczęła szybko wzrastać. Zarówno w Szanghaju, jak i w Pekinie, Kantonie, Nankinie, Charbinie i Wuhanie jak grzyby po deszczu wyra-

stały przeróżne przedsiębiorstwa, za którymi niemal zawsze stał obcy kapitał. W tym ogromnym, rolniczym, na razie półfeudalnym kraju kapitalizm podobnie jak gdzie indziej miał zrodzić swego grabarza — klasę robotniczą i jej partię polityczną.

Za datę powstania Komunistycznej Partii Chin uważa się 1 lipca 1921 roku, dzień, w którym dwanaście osób ogłosiło w Szanghaju jej utworzenie w oparciu o pomoc Kominternu, na bazie założonego przez Li Ta-czao towarzystwa studiów nad marksizmem i rewolucyjnego ruchu robotniczego, który miał już za sobą pierwsze poważne konflikty klasowe i pierwsze lekcje działalności społecznej, opłacone krwią. Organiczną częścią partii stał się też chłopski ruch rewolucyjny, który w tym ogromnym rolniczym, półfeudalnym kraju wpływał i miał wpływać w przyszłości, zarówno dodatnio, jak i ujemnie, na rozwój chińskiego klasowego ruchu rewolucyjnego. Wśród założycieli partii był także Mao Tse-tung, pochodzący z burżuazyjnej rodziny pracownik pekińskiej biblioteki uniwersyteckiej.

— Marksizm-leninizm przyniosły do nas salwy Aurory. Kroczmy śladami Rosjan — oto wniosek — te słowa Mao wygłosił później, lecz odnosiły się one do pierwszych kroków Komunistycznej Partii Chin.

Nowo utworzona partia przyłączyła się do zjednoczonego frontu antyimperialistycznego, jakim w owym czasie — mimo wielu zastrzeżeń — był Kuomintang. Krok ten uczyniła zgodnie z generalną linią Kominternu, który ogłosił wówczas konieczność utworzenia przez masy pracujące — robotników i chłopów — jednolitego frontu do walki z nierównością społeczną i uciskiem imperialistycznym. Ten program Kominternu był zwłaszcza aktualny w Chinach, gdzie prowadzone przez Sun Jat-sena dzieło rewolucji narodowej skazane było na niechybną zagładę bez jedności sił rewolucyjnych. Przyłączenie Komunistycznej Partii Chin do Kuomintangu dokonało się w wyniku bezpośrednich rozmów między Sun Jat-senem i przedstawicielem tej partii Li Ta-czao. Li był pierwszym

komunistą przyjętym do Kuomintangu. W ten sposób zapoczątkowano reorganizację Kuomintangu, przekształcenie go w wyniku nacisku Komunistycznej Partii Chin w organizację, której istotą byłby bojowy sojusz wszystkich sił rewolucyjnych, walczących z jarzmem imperialistycznym, feudalną eksploatacją i uciskiem militarystów.

Jeszcze przed naszym przybyciem do Chin partia komunistyczna powiększyła znacznie swoje szeregi. Do niedawna kilkusetosobowa, liczyła teraz już kilka tysięcy członków. KPCh przenikała do fabryk i przedsiębiorstw handlowych, zapuszczała korzenie wśród biedoty chłopskiej, zyskiwała zwolenników wśród intelektualistów, rzucała ziarno idei w szeregi armii militarystów, stawiała pierwsze kroki zmierzające do całkowitego wyzwolenia społecznego i narodowego kraju z ogromnym wysiłkiem i cierpliwością. Działalność jej ułatwiło przybycie zaproszonych przez Sun Jat-sena grup radzieckich ekspertów wojskowo-politycznych. Doświadczeni w prowadzeniu nielegalnej walki i rewolucji weterani radzieccy udzielali braterskich rad swym chińskim towarzyszom, wskazywali im właściwy kierunek wysiłków w celu dalszego ideowego i organizacyjnego umacniania partii.

Umacniając partię, komuniści chińscy jednocześnie energicznie działali w dość aktywnym ruchu związkowym, organizowali strajki i kierowali nimi, byli wśród najlepszych żołnierzy oddziałów rządu kantońskiego, odznaczali się prawdziwym bohaterstwem w starciach z samowolnymi generałami. Przykład komunistów zagrzewał do walki, wzmacniał prestiż ich partii wśród mas.

Lecz wszystko w owym czasie — wiosną 1926 roku — zwiastowało tajfun. Nie miał on nadciągnąć zaraz, przynajmniej nie w tym roku, lecz ołowiane chmury zdrady przesłaniały już niebo chińskiej rewolucji. I partia przy pomocy Kominternu i radzieckich ekspertów przedsiębrała wszystkie środki, by wyjść naprzeciw nieuniknionej, wiszącej już w powietrzu eksplozji kontrrewolucji.

5. Zdrada Czang Kaj-szeka

Marsz na północ, największa operacja wojskowa i największe zwycięstwo Kuomintangu, wskutek ironii losu stał się jego „pieśnią łabędzią". Jak wiadomo, głównodowodzący wojsk rządu narodowo-rewolucyjnego, Czang Kaj-szek, sprzeniewierzył się spuściźnie Sun Jat-sena, ostro zwrócił w prawo kurs Kuomintangu, „oczyszczając" go z wszystkich lewicowych elementów z partią komunistyczną włącznie i dał się przekupić sześćdziesięcioma milionami juanów, sprzedawszy imperialistom zdobyte już zwycięstwo.

A zwycięstwo to wywalczone zostało dzięki obficie przelanej krwi dziesiątków tysięcy chińskich patriotów, dzięki bohaterstwu chińskich pułków komunistycznych, przede wszystkim zaś dzięki świetnemu strategicznemu geniuszowi, żołnierskiej odwadze i bojowemu doświadczeniu głównego doradcy wojskowego, W. K. Blüchera, i dzięki jego radzieckim pomocnikom. Aby osiągnąć je, trzeba było wielu trudów.

Przygotowania do marszu rozpoczęły się w maju 1926 roku, gdy Kuomintang postanowił zlikwidować samowładnych generałów w środkowych i północnych rejonach kraju, doprowadzając do końca dzieło zjednoczenia narodowego.

W połowie 1926 roku rewolucyjna prowincja Kuantung (w wyniku bezbłędnie przeprowadzonych operacji Blüchera) została całkowicie oczyszczona z kontrrewolucyjnie nastawionych kacyków wojskowych. Jednocześnie generałowie z sąsiednich prowincji Kuangsi i Kueiczou uznali władzę rewolucyjnego rządu i zgodzili się uczestniczyć w marszu. Siły rewolucyjne posiadały też poparcie w armii Feng Ju-sianga, która wycofała się z Pekinu w stanie gotowości bojowej i zdolna była do działania w ramach wspólnego planu ofensywy przeciwko separatystycznemu rządowi w Pekinie oraz „udzielnym" dowódcom, z Czang Tso-linem na czele. W armii Feng Ju-sianga, jak już czytelnikowi wiadomo, pracowali radzieccy eksperci wojskowi (przez niedługi okres również i ja), którzy bardzo szybko podnieśli na wyższy poziom jej taktyczno-strategiczną wartość.

Oprócz decyzji dotyczącej rozpoczęcia marszu na północ, usprawiedliwionej ze strategicznego i historycznego punktu widzenia, Kuomintang podjął również inną, tym razem fatalną decyzję: głównodowodzącym Armii Narodowo-Rewolucyjnej mianował Czang Kaj-szeka. Nominacją ową Kuomintang faktycznie podpisywał wyrok śmierci na siebie...

Główny doradca wojskowy, W. K. Blücher, niezwłocznie przystąpił do opracowania strategicznego planu marszu. Korzystając ze zwiększonych możliwości swojego radzieckiego korpusu, stosując doświadczenie i sztukę bojową Armii Czerwonej, wykorzystując w pełni powstający właśnie wywiad wojskowy, W. K. Blücher zdołał wkrótce przedłożyć naczelnemu dowództwu całkowicie opracowany plan operacji.

A trzeba powiedzieć, że dwóm armiom liczącym dwieście siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy Armia Narodowo-Rewolucyjna mogła przeciwstawić nie więcej niż sto tysięcy, w dodatku gorzej uzbrojonych i wyekwipowanych. Należało mieć na uwadze również i to, że strona atakująca ryzykowała więcej niż przeciwnik przygotowany do obrony, musiała bowiem bez niezbędnego sprzętu zdobyć stare, silnie umocnione twierdze, takie jak Wucz'ang, Nancz'ang, Ancing...

A oto plan Blüchera w skrócie: trzeba wykorzystać brak jednomyślności w działaniu obu reakcyjnych generałów (Wu P'ei-fu był narzędziem Anglii i Ameryki, a Sung Huang-fang niezależnym dyktatorem) i pokonać przeciwnika w dwóch etapach. Po pierwsze zlikwidować wojskowe ugrupowanie Wu P'ei-fu w Czili i wyzwolić środkowe prowincje Hunan i Hupei. Po drugie, zakończywszy tę operację, skierować całą siłę uderzenia na wschód, by pokonać silną kontrrewolucyjną armię Sung Huang-fanga i pozyskać dla rewolucji wschodnie prowincje Kiangsi, Kiangsu, Fukien i Anhuei. W prowincjach tych, jednych z najbogatszych i najgęściej zaludnionych w całym kraju, znajdowała się stara stolica chińska, Nankin, przemysłowo-bankowe centrum Chin, Szanghaj, oraz dziesiątki mniejszych miast i tysiące wsi zamieszkanych przez stosunkowo lepiej uświadomioną i zamożniejszą ludność.

Plan Blüchera przewidywał, że trzeci etap będzie realizo-

wany tylko w wypadku powodzenia dwóch pierwszych, to jest po całkowitym wyzwoleniu Chin środkowych i wschodnich; znaczne obszary północne, pozostające pod władzą reakcjonistów pekińskich i mandżurskiego dyktatora wojskowego Czang Tso-lina (narzędzie imperializmu japońskiego), mogły zostać przyłączone tylko w wypadku spoistości wojskowo-politycznej reszty Chin.

Na trzecim etapie należało też okazać pomoc ludowej armii Feng Ju-sianga. A trzeba powiedzieć, że skład tej armii był niezwykły. Obok chińskich jednostek wojskowych zastaliśmy w niej również kilka pułków Rosjan, którzy walczyli przeciwko kontrrewolucyjnie nastrojonym generałom. Były to dawne pułki Kołczaka, nakłonione przez niego oszukańczo do walki przeciwko władzy radzieckiej; wyparci do Chin żołnierze zrozumieli swą winę wobec ojczyzny i zapragnęli wrócić do Rosji. Wielkodusznie im na to pozwolono, ale pod warunkiem, że w ciągu dwóch lat pobytu w szeregach ludowej armii Feng Ju-sianga w uczciwej walce o sprawę rewolucji dowiodą swej skruchy... Żołnierzy tych było kilka tysięcy, wśród nich znajdowali się nawet białogwardyjscy oficerowie. (Po zdradzie Czang Kaj-szeka i zwrocie Fenga na prawo wszyscy powrócili do swojej ojczyzny).

Po szczegółowym opracowaniu generalnego planu i przyjęciu go przez dowództwo naczelne, Blücher obawiał się już tylko, zresztą nie bez podstaw, jednej rzeczy. A mianowicie: czy można liczyć na wierność i kompetencje poszczególnych dowódców? Istotnie, szkoła wojskowo-polityczna na Wampoa przygotowała kilka roczników absolwentów i świeżo wyuczeni dowódcy przyczyniali się już do stabilizacji Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Lecz ilość ich była ograniczona, w dodatku zajmowali oni tylko niższe stanowiska, na czele pułków i dywizji zaś ciągle stali starzy dowódcy, wywodzący się z klasy obszarniczej lub burżuazji... Czyż ci ludzie mogli szczerze pragnąć zwycięstwa oznaczającego przecież zdetronizowanie feudałów i kapitalistów-eksploatatorów? A i sam głównodowodzący Czang Kaj-szek? Kim on był? Co myślał w gruncie rzeczy i jakie naprawdę miał zamiary? Z jakimż trudem

Blücher musiał go przekonywać o słuszności każdego kroku, zmierzającego do urzeczywistnienia marszu na północ! Czy Czang Kaj-szek był zwolennikiem rewolucji, czy też żmiją wyhodowaną na jej łonie?...

Marsz na północ rozpoczął się 9 lipca 1926 roku wraz z ofensywą Armii Narodowo-Rewolucyjnej w prowincji Hunan przeciwko armiom Wu P'ei-fu; za zakończenie marszu uważa się 24 marca 1927 roku, w którym to dniu poddała się stara stolica Nankin, leżąca w prowincji Kiangsu. Równo osiem i pół miesiąca zaciętych bojów, w których znów zabłysnął strategiczny talent Blüchera i jego radzieckich pomocników. Mimo chwiejności Czang Kaj-szeka, mimo jego nieustannych wątpliwości co do sukcesu, mimo niedostatecznego uzbrojenia i ekwipunku, mimo obłudy starych generałów, którzy uczestniczyli w tej sprawiedliwej wojnie wbrew swym chęciom, Armia Narodowo-Rewolucyjna odniosła oszałamiające zwycięstwa pod Wucz'angiem (solidną starą twierdzą, której broniły dziesiątki tysięcy wspaniale uzbrojonych żołnierzy), pod Nancz'angiem (również dużą twierdzą, przy której zdobyciu wzięto do niewoli przeszło czterdzieści tysięcy żołnierzy), pod Nankinem (zaciekle bronionym przez znakomicie uzbrojonego przeciwnika)...

Ze zdobyciem Nankinu i wkroczeniem pierwszych oddziałów Armii Narodowo-Rewolucyjnej do ogarniętego już płomieniem walki Szanghaju rozpoczynał się trzeci etap marszu na północ, przewidujący pokonanie pekińskiego rządu i mandżurskiej kliki wojskowej z Czang Tso-linem na czele, aby zjednoczyć cały kraj. Istniały ku temu wszelkie warunki.

To właśnie zaniepokoiło imperialistów. Nie docenili frontu narodowo-rewolucyjnego i możliwości pokonania generałów oraz zjednoczenia kraju pod sztandarem Sun Jat-sena. Toteż gdy zwycięstwo stało się niezaprzeczalnym faktem, wpadli w panikę. Wtedy postawili na najpewniejszą kartę: kupili głównodowodzącego za kupkę złota. Trzeba przyznać, że dali niemało, ale opłaciło im się to stokrotnie. Czang Kaj-szek od razu zlikwidował niebezpieczeństwo, unicestwiając zwycięstwo, a nawet więcej — obracając je przeciw tym, którzy najbardziej

się do niego przyczynili — przeciwko lewicowym siłom w Kuomintangu, radzieckim ekspertom i komunistom.

12 kwietnia Czang Kaj-szek dokonał kontrrewolucyjnego przewrotu i utopił we krwi robotnicze powstanie w Szanghaju. 28 kwietnia aresztowano i pozbawiono życia przez powolne uduszenie dwudziestu pięciu czołowych działaczy KPCh; wśród nich był jeden z twórców partii — Li Ta-czao. Niemal jednocześnie z tą zbrodnią kontrrewolucjoniści zaaranżowali bandycką napaść na radzieckie przedstawicielstwo polityczne w Pekinie, niszcząc placówkę i dokonując tam grabieży; przeprowadzili również aresztowania personelu i dopuścili się wobec niego aktów gwałtu. Tragedia Chin zaczynała się od nowa. Reakcyjne siły w Kuomintangu, korzystając z kontrrewolucyjnych poczynań Czang Kaj-szeka, szybko zebrały się w Nankinie i utworzyły tu rząd, na którego czele stanął imperialistyczny agent w Kuomintangu, Hu Han-ming (bezpośrednio zamieszany w zabójstwo premiera Liao Czung-k'aia).

Jak plan strategiczny Blüchera okazał się wiodący do zwycięstwa, tak i rozwój wypadków politycznych przebiegał według przewidywań głównego doradcy politycznego — Borodina. Ludzie ci zrobili wszystko, co mogli, ale jeszcze nie zorganizowany proletariat chiński był zbyt słaby jako siła społeczna; KPCh znajdowała się w powijakach, a chłopstwo — nieuświadomione politycznie — skłonne było do wystąpień żywiołowych. Nie dało się więc uniknąć fatalnego zakończenia.

Rolę „czarnego charakteru" w tragedii Chin odegrał i miał nadal odgrywać oczywiście imperializm. Jest to fakt powszechnie wiadomy i nie trzeba go udowadniać. Przytoczmy jednak fragment oficjalnego ostrzeżenia francuskiego, opublikowanego w kwietniu 1927 roku: „Obawiając się, że Chiny przekształcą się w poligon komunizmu w Azji, wszystkie wielkie mocarstwa osiągnęły porozumienie co do podjęcia takich kroków, które by zapobiegły temu niebezpieczeństwu..."

Na krótko przed wystosowaniem owego bezczelnego ultimatum, na tajnej naradzie w Pekinie zebrali się przedstawiciele Anglii, USA, Francji, Japonii i Włoch i jednogłośnie podjęli

decyzję, by — jeśli zajdzie potrzeba — rozpocząć niezwłocznie zbrojną interwencję. Tym razem taka potrzeba nie zaistniała i obyło się bez drastycznych posunięć (na skutek zdrady Czang Kaj-szeka), interwencja ograniczyła się więc do działań angielskiej i amerykańskiej floty wojennej, które 22 kwietnia ostrzelały z dział ogarnięte powstaniem robotnicze dzielnice Szanghaju i wysadziły na brzeg dwadzieścia tysięcy żołnierzy, aby pomogli przywrócić w kraju „porządek"...

Gdy historycy dokonają wyczerpującej analizy dramatycznych wydarzeń pierwszej wojny domowej w Chinach, z pewnością wyjaśniona też zostanie rzeczywista rola Komunistycznej Partii Chin. Ja nie uważam się za kompetentnego do przeprowadzenia wszechstronnej i dogłębnej analizy posunięć KPCh w tym okresie. Pozwalam tu sobie tylko na luźne uwagi, do których — sądzę — mam prawo jako były doradca wojskowo-polityczny w Chinach i człowiek współpracujący przy zakonspirowaniu KPCh. Zresztą opinia moja o pracy tej partii zgadza się w głównych zarysach z oceną wszystkich doradców wojskowo-politycznych w Chinach, z Borodinem i Blücherem na czele.

I tak w latach, o których mowa, linia Kominternu dążąca do jednolitego frontu, również i w Chinach stwarzała możliwości dla rozwoju ruchu komunistycznego, antyfeudalnego i antyimperialistycznego. Jednakże KPCh wciąż jeszcze nie była zdolna do wykorzystania takich możliwości. Nie będę mówił o wszystkich przyczynach, ale najważniejsza jest oczywista — młodość i niedojrzałość partii, jej różnorodny skład społeczny.

Komintern, organ kierowniczy partii komunistycznych, wyznaczał linię generalną i wskazywał na podstawowe problemy rewolucji chińskiej, lecz sama jej realizacja musiała być naturalnie dziełem KPCh, a powodzenie zależało od codziennej, niestrudzonej, uporczywej, celowej pracy ideowej i organizacyjnej. Ważna więc była postawa wszystkich bez wyjątku komunistów, właściwa orientacja polityczna kierownictwa, zdolność wystąpienia na każde wezwanie rewolucji, taktyczne umieję-

tności każdego komunisty z osobna i partii jako całości, umiejętności, które pozwalałyby wykorzystać do ataku sprzyjające okoliczności, ale i zorganizować w razie konieczności odwrót. I właśnie w tym względzie KPCh zrobiła szereg błędnych posunięć, które Borodin wytknął w swoim czasie jej Komitetowi Centralnemu. Na domiar złego kierownictwo KPCh nie miało ścisłej więzi z masami ludowymi, samą partią i jej organizacjami bojowymi. Do 1927 roku KC KPCh znajdował się w Szanghaju, na terenie francuskiego settlementu, i stamtąd drogą korespondencyjną lub za pośrednictwem tajnych kurierów kierował partią. A ośrodkiem ruchu komunistycznego, newralgicznym punktem rewolucji było południe, prowincje Kuangtung i Kanton; głównie tam masy odczuwały potrzebę bliskiego, codziennego i bezpośredniego kontaktu z KC w skomplikowanej, wielostronnej, pełnej sprzeczności walce z prawicowymi siłami w Kuomintangu i z jawną kontrrewolucją.

Obok tych braków podkreślić należy gwoli prawdzie jeszcze jedno: W Komunistycznej Partii Chin pojawiły się — jak zresztą i w wielu innych partiach na świecie — dwie tendencje: prawicowo-oportunistyczna i ultralewicowa. Prawicowi oportuniści stanowili w owych czasach chyba mniejsze niebezpieczeństwo, bo prawicowców wszelkiego rodzaju — od „umiarkowanych" i „lojalnych" do skrytych narzędzi imperialistów i jawnych kontrrewolucjonistów — było bez liku, a ci w KPCh łatwi do rozszyfrowania. Toteż walka z nimi przebiegała stosunkowo lekko i skutecznie. W 1927 roku doświadczeni i wypróbowani przywódcy KPCh, zgrupowani wokół internacjonalistów, jakimi byli Tsü Tsu-po, Wang Ming, Tsing Pang-siang i inni, przy poparciu Kominternu zdołali pokonać prawicowy odłam z Cz'eng Tu-sü na czele. Wkrótce jednak miało się okazać, że likwidując niebezpieczeństwo z prawej strony, nie docenili grożącego z lewej.

Ultralewactwo w KPCh było właściwie przeszczepionym na grunt chiński trockizmem. Istniały oczywiście i miejscowe źródła tej zgubnej choroby, wówczas jednak głównym rozsadnikiem jej trującego bakcyla byli trockiści przenikający z ze-

wnątrz. Łatwo się domyślić, jak dotarli do Chin: gdy po zdemaskowaniu część z nich wypędzono ze Związku Radzieckiego, znajdowali pole do popisu tutaj. Mistrzowie słowa, doświadczeni we wszelkich sporach scholastycy, byli oni fanatycznymi zwolennikami idei „permanentnej rewolucji światowej", natychmiast, w tejże chwili, w każdym wypadku i we wszelkich okolicznościach, bez zastanawiania się nad realnymi warunkami, realnym stosunkiem sił, realnymi widokami na powodzenie...

Nie potrafiłbym wyważyć dokładnie udziału ultralewactwa z jednej i prawicowego odłamu z drugiej strony w błędach KPCh w końcu lat dwudziestych, lecz wydaje mi się, że każdy łatwo może dziś dostrzec trwałe ślady szkód wyrządzonych przez chiński oportunizm w postaci zwyrodniałego współczesnego maoizmu. Wiele partii zapadało w swoim czasie na różne choroby „dziecięce" i „niedziecięce", lecz wyleczyły się z nich, ucząc się na własnych błędach, a także korzystając z doświadczenia twórców Rewolucji Październikowej. Niestety, chińscy komuniści, a szczególnie grupa Mao Tse-tunga nie otrząsnęła się ze starych chorób, a uległa nowym: zajmuje krańcowe stanowiska, wypacza i rewiduje podstawowe zasady ideologiczne marksizmu-leninizmu i faktycznie przywiodła dziś dzieło rewolucji chińskiej na próg zniszczenia. Swoisty rewizjonizm, ukryty antykomunizm i wielkomocarstwowy szowinizm Mao doprowadziły jego grupę do odrzucenia jedności działania i przyjaźni, a nawet do brutalnego przeciwstawiania się ojczyźnie komunizmu — Związkowi Radzieckiemu — oraz całemu światowemu ruchowi komunistycznemu. Mao i jego grupa dokonali właściwie ideologicznej i organizacyjnej likwidacji KPCh, stawiając się w ten sposób w jednym szeregu z najgorszymi zdrajcami i renegatami ruchu.

Naród chiński ponownie przeżywa wielką tragedię. Dopiero w przyszłości można będzie ocenić prawdziwe rozmiary szkód, jakie grupa Mao Tse-tunga wyrządziła i ciągle jeszcze wyrządza rewolucji w Chinach i na świecie.

Lecz jako komunista, który stykał się bezpośrednio z komu-

nistami tego kraju, mam nadzieję, że zdrowe siły w KPCh zwyciężą, odetną maoistyczną gangrenę, strącą antyradziecki sztandar i zlikwidowawszy kult Mao uratują dzieło rewolucji. Wyprowadzą Chiny z chaosu, aby ponownie przyłączyć je do bratniego obozu krajów socjalizmu.

Po zdradzie Czang Kaj-szeka i zwrocie Kuomintangu w prawo dalszy pobyt radzieckich ekspertów wojskowo-politycznych w Chinach był nieuzasadniony, a życiu ich groziło niebezpieczeństwo („supertajne" bandyckie organizacje kontrrewolucji, których członkowie zamordowali premiera Liao Czung-k'aia w jego własnym gabinecie, działały teraz bez najmniejszych osłonek, nie obawiając się policji, kryjącej ich wyczyny), toteż zaczęli wyjeżdżać. Pierwszy opuścił nas bohater marszów na wschód i na północ, główny doradca wojskowy — W. K. Blücher (Galin), a na początku sierpnia 1927 roku musiał też wyjechać ze swymi pomocnikami główny doradca polityczny Kuomintangu, M. M. Borodin.

Chiny pogrążały się w czarnej nocy krwawego terroru i okrutnej wojny domowej, która z większym lub mniejszym nasileniem ciągnąć się miała jeszcze trzydzieści lat... A my?

Nasza grupa, kierowana przez Griszę Salnina, została. Dość krótko pełniliśmy funkcje doradców do spraw wywiadu wojskowego w armii Feng Ju-sianga, a gdy po zdradzie Czang Kaj-szeka dokonał on zmiany orientacji, udaliśmy się do Pekinu i Szanghaju, gdzie rozpoczęliśmy realizację tajnych zadań. Zajęliśmy się tworzeniem nielegalnej organizacji KPCh i wywiadem w obozie przeciwnika. Jeszcze przed wyjazdem doradczego korpusu Blüchera nasza grupa niepostrzeżenie zniknęła, przekształcając się w grono byznesmenów, którzy otworzyli niewielkie przedsiębiorstwa handlowe i zaczęli robić pieniądze. Oczywiście podtrzymywaliśmy kontakt z naszym ośrodkiem za pośrednictwem posiadającej „oficjalny status" w Pekinie naszej szyfrantki Galiny. Spotkania z nią i wymiana tajnej korespondencji z Moskwy i do Moskwy odbywały się według wszelkich zasad sztuki wywiadowczej.

6. Kupcy w Szanghaju i Pekinie

Grudzień 1927 roku.

Do eleganckiego kantoru importowo-eksportowego przedsiębiorstwa handlowego wchodzi około pięćdziesięcioletni Chińczyk, ubrany po europejsku, z przerzuconym przez rękę beżowym angielskim płaszczem i żółtą skórzaną teczką. Zdjąwszy na powitanie kapelusz, uprzejmie się uśmiecha i lekko kłania.

Obserwuję go od chwili, gdy wszedł w korytarz wiodący do kantoru. Specjalnie wybraliśmy lokal z takim właśnie korytarzem, by nie zaskoczyli nas nieoczekiwani goście. Starannie obmyśliliśmy też oświetlenie: za pomocą bambusowych rolet i gęstych zasłon zapewniliśmy sobie pozostawanie w półmroku, podczas gdy wchodzący stawał w drzwiach oblany promieniami słońca i blaskiem lampionu.

Co przez to zyskiwaliśmy? Ewentualnie kilka minut. Lecz kto stykał się z ryzykowną profesją wywiadowcy, wie dobrze, jak wiele znaczą niekiedy minuty, a nawet sekundy... I nam z Griszą potrzebne było tylko kilka sekund, by opuścić w razie potrzeby kantor przez dobrze ukryte tylne wejście, sporządzone już po wynajęciu pomieszczenia.

— O, witaj, drogi Czengu — poznałem go w chwili, gdy dostrzegłem żółtą skórzaną teczkę, którą trzymał pod pachą. — Wybacz, ale te wąsy, nowe uczesanie i elegancki wygląd w pierwszej chwili mnie zaniepokoiły...

Czeng powiesił na wieszaku płaszcz i podał mi na powitanie obie ręce, a twarz jego zajaśniała ciepłym, przyjaznym uśmiechem. Hasło było zbędne, bo znałem gościa dobrze, był to „nasz Czeng", którego towarzysze z KC KPCh wybrali na łącznika. Nie widziałem go kilka tygodni, no i ostatnim razem, gdy zjawił się z listem od towarzyszy, przybył jako kulis, którego riksza dość długo stała przed naszym kantorem „w oczekiwaniu na klienta".

Rozmawialiśmy po rosyjsku. Znał ten język wystarczająco dobrze, by pełnić funkcje tajnego kuriera KC. Nauczył się go w Związku Radzieckim, gdzie spędził kilka miesięcy jako słuchacz moskiewskiej szkoły partyjnej. Od paru lat KPCh regu-

larnie wysyłała tam swoich najlepszych członków, aby podnieśli swój poziom ideowo-polityczny, zapoznali się z doświadczeniem partii bolszewickiej w dziedzinie pracy organizacyjnej wśród mas i w związkach zawodowych, aby studiowali strategię i taktykę walki klasowej. Część z nich kończyła też specjalne kursy poświęcone pracy konspiracyjnej, jedynej, jaka pozostała Komunistycznej Partii Chin, która prześladowana ogniem i mieczem musiała zejść do głębokiego podziemia.

Czeng był szanghajskim robotnikiem, miał jednak wygląd inteligenta, a dzięki samokształceniu zdobył spory zapas wiedzy politycznej i kulturę, którą miałem możność podziwiać w ciągu długiej znajomości.

— Co słychać, drogi Czengu? — rzekłem prowadząc go do stolika w naszym małym pokoju gościnnym; usiedliśmy tak, by widzieć drzwi. — Nie było cię tyle czasu... Są jakieś nowiny?

Czeng milczał, a twarz jego wyrażała smutek.

— Są nowiny, towarzyszu Wang (nazwiska zmienialiśmy wówczas często — to było konieczne — a dla towarzyszy chińskich mieliśmy pseudonimy specjalne)...

— Czy z Pekinu? Wiem. W dzielnicy angielskiej znów rozstrzelano grupę robotników, oskarżywszy ich o bandytyzm...

Czeng potrząsnął głową.

— To sprawy codzienne, towarzyszu Wang... Wielkie nowiny nadchodzą z południa...

— Skoro stamtąd, to chyba są dobre...

— Bardzo, bardzo złe, aż serce boli, towarzyszu Wang... Rozbito komunę. Kanton tonie we krwi robotniczej... Prowokatorzy napadli też na konsulat radziecki, zabito rosyjskich towarzyszy...

Byłem zdruzgotany. Ostatnie wieści, jakie ja i Grisza uzyskaliśmy na temat rozwoju powstania kantońskiego, były więcej niż dobre. Kantońska organizacja komunistyczna i lewicowe siły w Kuomintangu, wierne testamentowi Sun Jat-sena, w odpowiedzi na kontrrewolucyjny przewrót Czang Kaj-szeka wznieciły powstanie. Do walki stanęły także wiejskie organizacje bojowe prowincji. Wiedzieliśmy również, że po stronie

powstańców są te oddziały armii, które pozostały wierne rewolucji także po zdradzie Czang Kaj-szeka.

Takie mieliśmy wiadomości. Doniesienia o „prawdopodobnym buncie bolszewickim" w Kantonie przekazywali też i rozdmuchiwali w prasie i radiu wszyscy korespondenci zachodnich agencji w tym mieście. Zresztą nie tylko informowali, lecz wprost wzywali do podjęcia kroków zapobiegawczych. Ostatnia wiadomość, jaką podało radio, była dla nas dobra: „Kanton walczy. Czerwoni przejęli kontrolę nad miastem i proklamowali komunę. Miastem rządzi rada czerwonych komisarzy. Kanton ogłasza anulowanie wszystkich umów z państwami zachodnimi, konfiskuje bezzwrotnie ziemię obszarników, ogłasza ośmiogodzinny dzień pracy..." Czy mogła być wieść bardziej radosna? Gdyśmy to usłyszeli, Grisza Salnin skoczył na równe nogi, rzucając mi się w objęcia, a potem obaj wznieśliśmy toast za zwycięstwo chińskiej rewolucji.

O czym więc teraz mówi Czeng? Czy to możliwe?

— Nasi walczyli do ostatka — opowiadał. — Ustąpili dopiero wtedy, gdy krążowniki zaczęły ostrzeliwać miasto od strony morza, a wojska Czang Kaj-szeka otoczyły Kanton od północnego zachodu... Nie można już było dalej walczyć, towarzyszu Wang...

Czeng mówił tak cicho, że ledwie go słyszałem, i tak, jakby się tłumaczył z porażki i kapitulacji powstańców. Dla niego byłem człowiekiem radzieckim, Rosjaninem, a chińscy komuniści mieli o Rosjanach wysokie mniemanie jako o doświadczonych rewolucjonistach, mistrzach taktyki i strategii, którzy dowiedli, że walka o wyzwolenie społeczne może zakończyć się zwycięstwem... Toteż Czeng każde niepowodzenie traktował jako winę partii, oznakę jej słabości i nieumiejętności. Dobrze go rozumiałem. Przecież i ja doświadczyłem tego samego uczucia niższości, gdy swego czasu po niepowodzeniach BPK stałem przed Berzinem, prosząc, by mnie zwolnił z pracy w ośrodku...

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę — tyle, ile może mówić o interesach klient z kupcem-importerem. Potem Czeng zdjął

z wieszaka płaszcz, znów tak samo grzecznie pożegnał się i z żółtą skórzaną teczką pod pachą opuścił kantor.

Tylko że teraz niósł inną teczkę. Tę, z którą przyszedł, schowałem przedtem między leżące na biurku dokumenty handlowe, a na jej miejsce podsunąłem drugą; takich teczek było tylko kilka w Szanghaju i Pekinie, należały one do naszych ludzi i spełniały określone zadanie.

Czeng wyszedł, odprowadzony do drzwi przez Ludwika.

Aha, muszę jeszcze przedstawić Ludwika! To jeden z dwóch „akcjonariuszy" firmy handlowej. Ten Czech oraz Jugosłowianin Mirko byli oficjalnie zarejestrowanymi właścicielami firmy, za którą faktycznie kryliśmy się my dwaj: Grisza Salnin i ja. Ani jeden, ani drugi nie byli komunistami, ale uczciwymi, porządnymi ludźmi, wygnanymi ze swych krajów za poglądy polityczne. Czytelnik mógłby wprawdzie spytać, czy nie mogli oni znaleźć schronienia w państwach leżących bliżej ich ziem ojczystych, czy musieli wynosić się aż na drugi koniec świata. Pytanie uzasadnione; sam je sobie zadawałem i nie znajdowałem odpowiedzi, aż kiedyś obaj wyznali:

— Świat jest taki duży, a tak mało człowiek ma z niego. Chcieliśmy podróżować, patrzeć, zobaczyć inne narody i kontynenty.

Ktoś mógłby nazwać tę kategorię ludzi łowcami przygód i rzeczywiście byłoby to chyba najwłaściwsze określenie, ale i Mirko, i Ludwik byli przy tym ludźmi o czystych sercach, kimś w rodzaju lewicowych socjaldemokratów żywiących naiwną nadzieję, że ułomności ustroju burżuazyjnego można skorygować za pomocą reform. Dopiero tu, w Chinach, gdzie tak zwane demokracje zachodnie oraz Stany Zjednoczone i Japonia ukazały swe prawdziwe, wilcze oblicze, tłumiąc bezwzględnie ogniem salw i topiąc we krwi uzasadnione dążenie narodu chińskiego do niezależności, Mirko i Ludwik dostrzegli prawdę — i podali nam rękę do uczciwej współpracy. Nie znali właściwego charakteru naszej działalności, nie interesowali się tym, ale wiedzieli, że jesteśmy ludźmi radzieckimi i że pomagamy okrutnie gnębionemu narodowi chińskiemu w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. To im wystarczyło, by zo-

stać naszymi wiernymi współpracownikami i przyjaciółmi. Nie wiedzieli, kim byli ludzie w rodzaju Czenga, zjawiający się w określone dni i podający hasło, nie wiedzieli, co zawierają przesyłki „handlowe", nadchodzące drogą lądową, przez terytorium radzieckie, z listami przewozowymi i fakturami z Wiednia, nie wiedzieli, jak realizujemy „zamówienia handlowe" ani jak dokonujemy operacji płatniczych, nie wiedzieli, jak udaje nam się zapewnić przedsiębiorstwu dostateczną ilość towaru z renomowanych firm europejskich...

Nasza szanghajska firma importowo-eksportowa posiadała nie tylko kantor do utrzymywania kontaktów z miejscowymi klientami i przedsiębiorcami, lecz również firmowy sklep w europejskiej części miasta w dzielnicy francuskiej. Można tam było kupić przeróżne rzeczy: wyroby skórzane z Finlandii, kosmetyki z Wiednia, kryształowe i porcelanowe serwisy z Pragi, modne obuwie z Brna, różne urządzenia i maszyny elektryczne z Berlina, aromatyczne papierosy z Turcji, Grecji i Bułgarii, tkaniny jedwabne, kimona i wachlarze z Japonii, kawior, ryby i drogie skóry dekoracyjne ze Związku Radzieckiego. W tym przyzwoitym, choć niewielkim, ale dobrze zaopatrzonym sklepie z powodzeniem prowadziliśmy dochodowy handel. Przebywał tam zwykle Mirko wraz ze sprzedawcą Chińczykiem, który obsługiwał miejscowych klientów, mówiących tylko po chińsku. Oczywiście, Chińczyk wiedział jeszcze mniej od dwóch „właścicieli" firmy, to jest — nic. Był po prostu przekonany, że zwyczajnie pracuje u dwóch handlowców, którzy mu dobrze płacą. Może dziwiło go tylko, iż obaj traktują go jak człowieka, co w owych czasach tak rzadko zdarzało się rzeczywistym przedsiębiorcom w stosunku do „tuziemców". Ale i ów Chińczyk nie był przypadkową osobą. Gdy organizowaliśmy firmę, przysłali go nam towarzysze z KPCh. Prosiliśmy, by nie był to członek partii; przypadkowa wsypa jego organizacji mogła sprowadzić nam na kark tajną policję. Chcieliśmy więc zatrudnić po prostu uczciwego człowieka, patriotę nienawidzącego kontrrewolucjonistów i ich imperialistycznych popleczników, nic więcej...

Taką importowo-eksportową firmę mieliśmy też w Pekinie.

Tam rolę „właścicieli" pełnili pewien Polak, pewien Niemiec i dwóch byłych białogwardzistów z armii Kołczaka. Niemiec i Polak byli ludźmi w rodzaju naszych przyjaciół w Szanghaju, a dawni białogwardziści — uczciwymi Rosjanami ze Smoleńska, którzy w pełni zrozumieli swoją winę wobec ojczyzny i zapragnęli jak tysiące innych — wegetujących wówczas w północnych Chinach i całkowicie zapomnianych przez swych wczorajszych mocodawców — wrócić do kraju. Dzięki nam obaj zrozumieli, że ojczyźnie mogą służyć równie dobrze i tutaj, więc na razie odłożyli swój powrót, by „pohandlować" i „zrobić pieniądze"...

Obydwie importowo-eksportowe firmy miały swych „agentów handlowych" w głębi kraju i niemal we wszystkich większych portach Chin, co nikogo nie mogło dziwić. W istocie byli to ludzie skierowani do współpracy z nami przez KPCh lub też tacy jak Mirko czy Ludwik (Europejczycy, Chińczycy, Mongołowie, Koreańczycy), tych ostatnich sami zdołaliśmy wciągnąć do pomocy w realizacji naszych zadań. Obie firmy (później miało się jeszcze do nich przyłączyć przedsiębiorstwo przemysłowe w Charbinie) nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz ich rzeczywistych właścicieli. My też utrzymywaliśmy kontakt z „agentami handlowymi" w pozostałych prowincjach. „Oficjalni właściciele" reprezentowali nas w Szanghaju i Pekinie i prowadzili sklepy. Muszę zresztą dodać, że nasze firmy, choć były tylko przykrywką, rzeczywiście handlowały i miały nawet zyski, które starczały niemal na utrzymanie naszej grupy żyjącej na szerokiej stopie, bo było to tutaj konieczne dla utrzymania autorytetu (w tym środowisku, do którego przynależność musieliśmy udawać, wartość człowieka oceniano jedynie na podstawie wyglądu zewnętrznego i posiadanych pieniędzy).

Odprowadziwszy Czenga do wyjścia, Ludwik wrócił do kantoru i usiadł przy biurku zarzuconym dokumentami handlowymi (prowadził całą korespondencję i księgowość firmy), ale nie zabrał się do pracy przerwanej przyjściem Chińczyka.

Ludwik był chyba z dziesięć lat starszy ode mnie, mógł mieć około czterdziestki, ale twarz jego, poryta zmarszczkami, i łysiejąca silnie głowa postarzały go i przydawały solidnego wyglądu. Teraz był przygnębiony...

— To, co powiedział ten człowiek, słyszałem rano i ja — odezwał się. — Ale zapomniałem ci opowiedzieć... To straszne... To straszne... Krążowniki angielskie ostrzelały walczących z dział pokładowych... Obrócono w perzynę całe dzielnice miasta... Jakim prawem, mój Boże! Jakim prawem!...

Ukrywszy głowę w dłoniach, siedział głęboko wstrząśnięty.

— Ależ, Ludwiku, byłeś tu przecież i rok temu! Byłeś, gdy angielskie krążowniki ostrzeliwały również i Szanghaj! Dlaczego zaskakuje cię interwencja w Kantonie?

Ludwik trwał w bezruchu, załamany.

— Nie jestem zaskoczony. W moim wieku niewiele rzeczy zdumiewa, szczególnie w polityce... Ale to nie jest już polityka. To nieludzka, brutalna wojna prowadzona przez silnego przeciw słabemu i bezbronnemu... Nawet nie zadali sobie trudu, by to jakoś upozorować, znaleźć jakiś przyzwoity pretekst... Wandale! Wandale! Współcześni Hunowie!...

— Tak. Rzeczywiście wandale, brutalni i nieludzcy. Radziecka Rosja pierwsza poznała ich prawdziwe oblicze. Te same krążowniki ostrzeliwały Leningrad, Sewastopol, Odessę. Nasłano wojsko, by zdusiło rewolucję w zarodku. Nie udało się... Masz rację, Ludwiku, imperialiści to współcześni Wandale i Hunowie. Nie masz tylko racji co do jednej rzeczy...

Podniósł na mnie pytający wzrok.

— Nie masz racji, sądząc, że ten naród jest bezbronny... I że nie ma przyjaciół pomagających mu, by stał się panem w swoim domu...

Grisza Salnin przyjechał razem z Mirkiem podwójną rikszą rowerową, która zatrzymała się przed kantorem i zaraz odjechała cichą ulicą. Zjawili się, nim zdążyłem pójść na zaplecze, by sprawdzić zawartość teczki.

Grisza wszedł bez pośpiechu, z godnością, niedbałym kro-

kiem byznesmena, któremu interesy świetnie idą. Ciemne rogowe okulary zasłaniały jego oczy, wyszukany włoski kapelusz „borsalino" ocieniał pociągłą, gładko wygoloną twarz. Miał na sobie elegancki flanelowy angielski garnitur i modne szwajcarskie buty. Cienka laska z wietnamskiego bambusu, z rączką z kości słoniowej — uzupełniała jego wygląd przedsiębiorcy kroczącego spokojnie po trotuarze cichej ulicy do kantoru.

Czekałem na niego z ledwie ukrywaną niecierpliwością. Dziś rano pojechał do portu, by odebrać „towar". Towarzyszył mu Mirko, oficjalny przedstawiciel firmy. Tym razem „towar" zajmował znacznie więcej miejsca niż poprzednio i ważył kilka ton. Dokumenty, jakie władze wręczyły nam po jego nadesłaniu, głosiły, że przesyłka idzie z Berlina tranzytem przez Związek Radziecki i zawiera urządzenia elektryczne, maszyny do szycia oraz części zamówione według specyfikacji...

Grisza powitał nas lekkim ukłonem i zaraz rzekł:

— Wszystko w porządku. Po obiedzie przewieziemy towar do magazynu.

Miał na myśli magazyn firmy, który znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie sklepu.

— Niestety, nie wszystko jest w porządku — pokręciłem głową. — Słyszałeś, co się dzieje na południu?

— Z samego rana... — odrzekł Grisza. — Angielska rozgłośnia radia Hongkong pierwsza nadała wiadomości z Kantonu. Korespondent chwalił się, że miał szczęście osobiście obserwować „stłumienie puczu" z pokładu jednego z krążowników, które buchały ogniem jak prawdziwe wulkany... Korespondent triumfował, że na personelu rosyjskiego konsulatu dokonano „kozackiej rzezi"...

Grisza mówił to spokojnie, lecz czułem, że serce szarpie mu z trudem ukrywany ból.

— Przyjdzie dzień, że ogień buchnie i na nich... Zbrodniarze!

Mirko — ogromny, o ciele gladiatora — stał obok szczupłego, eleganckiego Griszy, a twarz jego wyrażała niepokój i konsternację.

— I co teraz? — zapytał. — To, co się tam dzieje, z pewnością znajdzie też oddźwięk tutaj?

— Z pewnością! — potwierdził Grisza. — Ale to nie ma znaczenia. Importowo-eksportowa firma Mirka i Ludwika zajmuje się tylko interesami, niczym innym... A więc robota idzie dalej...

Potem Grisza pytającym wzrokiem spojrzał na mnie.

W odpowiedzi skinąłem głową.

Mirko nie miał tu już nic do roboty (niekiedy towarzyszył nam dla bezpieczeństwa, ale tylko wówczas, gdy trzeba było udać się do przeludnionych dzielnic chińskich lub wejść w tłum portowy), więc wyszedł. W kantorze został Ludwik ze swymi dokumentami i smutnymi myślami, a my z Griszą udaliśmy się na zaplecze.

— Był kurier — szepnąłem cicho, mimo iż drzwi były zamknięte. — Pewnie coś pilnego i ważnego.

W ukrytej przegródce teczki znajdował się zapieczętowany list. Był krótki jak wszystkie tajne wiadomości wymieniane przez nas z KC KPCh. W dziesięć minut został rozszyfrowany (klucz do tego prostego szyfru można było bez trudu zapamiętać). Informowano nas, że dokładnie za tydzień w mieście T'ai-juan (w północnej prowincji Szansi) nielegalne „piątki" i „dziesiątki" wojskowej organizacji partyjnej będą składać przysięgę. Proszono, by któryś z nas obecny był przy tym. Następnego dnia o wyznaczonej godzinie oddawca listu miał czekać na nas w porcie, skąd udamy się z nim statkiem, a następnie pociągniem do T'ai-juan.

— Jadę, Grisza! Myślę, że wracać lepiej będzie przez Pekin...

— Właśnie, Wanko. U Galiny zebrało się pewnie sporo korespondencji; minęły prawie dwa tygodnie od czasu, gdy się z nią widziałem. A i w pekińskiej firmie też niechybnie coś będzie...

— Zabiorę ekwipunek do połowu bażantów, co?

Grisza lekko się uśmiechnął.

— A nie zapomnij zdobyć gdzieś paru sztuk tych ptaków

na drogę powrotną... Bo nikt nie uwierzy, że jechałeś taki kawał drogi, aby wrócić z pustymi rękami.

Przytknęliśmy do listu zapaloną zapałkę, a gdy zamienił się w popiół, pożegnaliśmy się.

— Spotkamy się w magazynie o trzeciej po południu — rzekł Grisza, wychodząc z kantoru. Patrzyłem, jak w ciemnych rogowych okularach, w „borsalino" założonym z niedbałą elegancją, w modnym garniturze z flaneli, z wysmukłą jak on sam bambusową laską staje na chodniku i przywołuje skinieniem ręki rikszę. Zniknął.

Tak, pociski angielskich krążowników zmiażdżyły kantońską komunę, ale walka trwa nadal...

By dotrzeć na umówione miejsce, musiałem przebyć ogromną połać gigantycznego ludzkiego mrowiska ciągnącego się całymi kilometrami, musiałem przejechać cały settlement angielski, potem japoński, co oznaczało za każdym razem zmianę rikszy (gdyż poszczególne settlementy były faktycznie państwami w państwie, z własną jurysdykcją, policją i wojskiem, ich terytorium było otoczone murami lub zasiekami obłożonymi workami z piaskiem i bezustannie strzeżone przez żołnierzy), toteż aby się tam znaleźć o trzeciej, trzeba było wyruszyć znacznie wcześniej.

W magazynie znajdującym się w settlemencie francuskim oprócz Griszy i Mirka zastałem jeszcze znajomego Chińczyka, towarzysza, który wypełniał zadania specjalne KC. Łączność z nim mieliśmy jeszcze w czasach Blüchera; był on jednym z technicznych działaczy KPCh, zajmujących się dostarczaniem broni i tworzeniem organizacji wojskowej.

W milczeniu uścisnęliśmy sobie ręce, po czym Mirko zręcznie zaczął otwierać skrzynki. Było ich około pięćdziesięciu, a każda ważyła ponad sto kilogramów. Solidnie wykonane z drewna, wzmocnione wąskimi metalowymi taśmami, ze wszystkich stron oklejone papierem, miały rzucające się w oczy nalepki z Berlina.

Mirko otworzył cztery czy pięć. Ich zawartość nikogo nie

zdziwiła — były tam części maszyn i urządzenia elektryczne opisane w załączonej fakturze, troskliwie ułożone i porządnie opakowane na wypadek wstrząsów (jakaż przestrzeń dzieliła Szanghaj od Berlina!). Grisza wyjął pierwszą i drugą warstwę; wszystko było na miejscu. Potem zwrócił się do Mirka.

— Dziękuję ci, przyjacielu.

Mirko ze zrozumieniem skinął głową i wyszedł ze składu, zamykając drzwi na zatrzask. Znał swoją rolę, nie wykazywał zbytecznej ciekawości, robił dokładnie to, czego od niego oczekiwaliśmy, a naszych przemilczeń wobec niego i Ludwika nie uważał za brak zaufania. Pojmował, że reguły konspiracji wymagają, by każdy wiedział tyle tylko i tylko to, czego wymaga robota, i ani słowa, faktu, nazwiska czy adresu więcej.

Jak już się Czytelnik domyśla, spodnia część skrzynek — specjalnie przygotowana — zawierała karabiny, pistolety, materiały wybuchowe, ręczne granaty... Tym razem broni przysłano znacznie więcej niż poprzednio. Nie nowa, ale dobrze utrzymana, naoliwiona, z dodatkiem amunicji, troskliwie wybrana przez Griszę z magazynów wojskowych w Chabarowsku i Władywostoku, była to angielska, francuska i czeska broń, odebrana niegdyś wziętym do niewoli kontrrewolucyjnym bandom Kołczaka i barona Ungerna lub zdobyta na najemnych armiach interwentów; reszta towaru istotnie przybywała z Berlina lub Wiednia, z Pragi czy Belgradu — rozmaicie. Oczywiście przepakowywano ją odpowiednio w Chabarowsku lub Władywostoku.

Grisza albo ja jeździliśmy od czasu do czasu do Europy, by dokonać na miejscu kolejnego zamówienia lub sprzedać tam egzotyczne towary chińskie (bo firmy nasze były przecież i eksportowe) — porcelanowe wazy, figurki i serwisy, wyroby z laki i kości słoniowej, wymyślne chińskie rzeźby w drzewie, gobeliny, delikatne bambusowe parasolki, wachlarze oraz różne wyroby ludowe. Prawdziwym celem owych podróży „tranzytem" przez Związek Radziecki była nie tylko wysyłka broni do Chin, ale także odbiór instrukcji w Moskwie. Potem udawaliśmy się do Wiednia, Berlina czy Pragi w sprawach handlowych — i z towarem, wiezionym czasem w wagonie bagażo-

wym przez ten sam pociąg, którym jechaliśmy, czasem zaś przez podążający za nami pociąg towarowy, wracaliśmy do Chin, tym razem rzeczywiście tranzytem.

(Czytelnik mógłby spytać, czy przypadkowe wykrycie przez celników prawdziwej zawartości przesyłek nie groziłoby niebezpieczeństwem naszej grupie wywiadowczej. Otóż w tym okresie w Chinach — nie. W najgorszym wypadku zapłacilibyśmy większą lub mniejszą karę pieniężną za przemyt broni. Delikatną stroną tej roboty było tylko przekazywanie jej towarzyszom chińskim i konspiracyjna łączność z nimi).

Na miejscu w umówiony sposób przekazywaliśmy broń KPCh, która nie miała środków na jej zakup. Bo trzeba powiedzieć, że broń sprzedawały wszystkie sklepy rusznikarskie w Szanghaju, Pekinie, Nankinie czy Kantonie. Ale KPCh nie wspomagali magnaci bankowi państw imperialistycznych, nie mogła liczyć na ich krążowniki i wojska. Jedynym przyjacielem tej partii i sił rewolucyjnych w owych ponurych latach i zawsze był kraj Lenina, pierwsze wolne państwo robotników i chłopów.

Podróż z Czengiem upłynęła spokojnie. Do T'ai-juan przybyliśmy nawet o jeden dzień wcześniej i mogłem naprawdę zwiedzić okolice tego miasta, słynące ze stad bażantów. W gajach podmiejskich spotykałem myśliwych — jak ja Europejczyków — z którymi wymieniałem grzeczne pozdrowienia. Każdemu z nich towarzyszył Chińczyk (który szukał ptaka po strzale i oczywiście nosił zdobycz), toteż obecność przy mnie Czenga dostatecznie tłumaczyła również i jego podróż do T'ai-juan.

Do miasta wróciliśmy o zmierzchu, niosąc — zadowoleni z udanego polowania — chyba pół tuzina bażantów. W luksusowym hotelu, gdzie zatrzymali się i inni europejscy myśliwi, bawiłem się do późnej nocy; musiałem postępować tak jak inni przybyli tu dla rozrywki Europejczycy. W tym samym czasie Czeng przepadł w mrocznych zaułkach miasta, by nawiązać konieczną łączność.

Następnego dnia podziękowałem za kolejne zaproszenie i życząc wszystkim przyjemnego wieczoru zostawiłem całe towarzystwo, tłumacząc się lekką niedyspozycją. Gdy T'ai-juan pogrążył się w ciemnościach, Czeng zaprowadził mnie w stronę gęsto zaludnionych dzielnic robotniczych, gdzie cudzoziemiec pozbawiony przewodnika pewnie by zabłądził.

W ubogim domku robotniczym, do którego wprowadził mnie Czeng, zastałem około dziesięciu mężczyzn zgromadzonych w niewielkiej izbie w kręgu dyskretnego światła papierowego lampionu. Gdy cicho zamknęły się za mną drzwi, ukłoniłem się wszystkim lekko, a oni, wstając, również powitali mnie ukłonem. Twarze ich były poważne, bez śladu ożywienia, jakby bez oznak wewnętrznego życia (tak przynajmniej z początku zdawało się mnie, Europejczykowi, dla którego naród ten stanowił, a w pewnym stopniu również i teraz stanowi, zagadkę). Ubranie ich zdradzało ubóstwo, głowy mieli odkryte.

Izbę ogrzewało palenisko, nad którym na małej półeczce we wnęce znajdował się ołtarz przodków. Większość ludności Chin nie wyznaje religii typu europejskiego, natomiast rozpowszechniony jest tam konfucjanizm (właściwie nie religia, a system etyczno-filozoficzny), taoizm (najstarsza religia Chińczyków zbliżona do naszych poglądów na wiarę, opierająca się bowiem na czci dla Tao), buddyzm i najbardziej — kult przodków. W każdym domu wierzących (czy raczej szanujących pamięć przodków) przechowuje się prochy protoplastów nad ogniskiem na ołtarzu rodzinnym, przed którym odprawiane są modły i składane przysięgi. (Ponieważ mowa o religiach, chciałbym wspomnieć, iż w Chinach drogą przymusu ogromnie rozpowszechniła się w ostatnich latach nowa wiara — kult Mao. Cytaty z jego dzieł, traktowane jako dogmaty, portrety, znaczki z jego podobizną, uroczyste ody i kantaty pochwalne zalały ten kraj jak wezbrane wiosną wody Jang-tse-kiangu i zamulają jałową gadaniną i fałszywymi twierdzeniami umysły ludzi, wypierając z nich wiarę w sprawiedliwość społeczną, równouprawnienie narodów, pokój i szczęście ludzi pracy na całej ziemi).

Czeng poczekał, aż cała dziesiątka obecnych usiądzie, i przedstawił mnie w swoim języku, który stopniowo zaczynałem rozumieć i posługiwałem się nawet poszczególnymi jego słowami oraz zdaniami. Mężczyźni zwrócili się ku niemu z widocznym zainteresowaniem. Nie uprzedzono ich o moich odwiedzinach, więc teraz, gdy Czeng powiedział, że jestem „radzieckim towarzyszem, bolszewikiem", zauważyłem wyraźne ożywienie. Niektórzy ukradkiem oglądali moje ubranie, dotykali mej twarzy, jakby usiłując wniknąć w moje myśli.

W odpowiedzi na słowa na poły zwróconego ku mnie Czenga wstał jeden z obecnych i uprzejmie mi się kłaniając wyrzekł kilka zdań:

— Bojowa „dziesiątka" towarzysza Lien — przetłumaczył na język rosyjski Czeng — wita najserdeczniej radzieckiego towarzysza i wyraża swoje oddanie dla niego.

Znów skłoniłem się wszystkim uprzejmie — zgodnie z rytuałem grzeczności obowiązującym wszystkie klasy i warstwy w tym kraju.

— Towarzyszu Wang — rzekł Czeng. — Oczekują, że do nich przemówicie.

Byłem na to przygotowany, uczestniczyłem już bowiem w zebraniach, na których składano przysięgę. Było to w środkowych i wschodnich prowincjach Chin, w ośrodkach robotniczych, gdzie pięcio- i dziesięcioosobowe grupy tworzyły siatkę organizacji bojowej. Uroczystość przebiegała wszędzie tak samo i nieraz odnosiłem wrażenie, że biorę udział w wygłaszaniu przysięgi przez jeden i ten sam kolektyw partyjny. Zresztą i ludzie byli do siebie podobni — taka sama uboga odzież i taki sam sposób zachowania: spokój i milczenie przed przysięgą oraz wyraz twarzy i oczu podczas wypowiadania pierwszych jej słów.

— Przynoszę wam braterskie pozdrowienie od rosyjskich robotników i chłopów, od całego radzieckiego narodu — rozpocząłem, a po kilku zdaniach Czeng tłumaczył na chiński to, co powiedziałem.

Pozdrowiłem ich następnie w imieniu partii bolszewickiej, składając zapewnienie, że Związek Radziecki był i będzie

zawsze wiernym sojusznikiem i bratem ludu pracującego Chin, że nie opuści narodu chińskiego w jego walce z kontrrewolucją i imperialistycznymi gnębicielami, że partia bolszewicka nadal pomagać będzie Komunistycznej Partii Chin w jej dążeniu, aby wzmocnić się, stanąć na czele wszystkich eksploatowanych i uciskanych i powieść ich do walki o niepodległe, wolne i demokratyczne Chiny...

Potem opowiedziałem pokrótce, jakie zadania stały przed nielegalnymi grupami partii bolszewickiej w okresie caratu, omówiłem szczegółowo formy ich pracy, objaśniłem konkretnie, jak uczestniczyły w nielegalnej walce i jakich używały środków w celu uzbrojenia się i wyszkolenia oraz jakie były sposoby utrzymywania wzajemnej łączności. Wreszcie powiedziałem o rewolucyjnej dyscyplinie i o absolutnej tajemnicy, w której każdy musi utrzymać swą przynależność do „dziesiątki" bojowej, jej skład osobowy, nazwisko jej grupowego oraz jej zadania...

— Cała partia to bojowy kolektyw ludu pracującego, a organizacja wojskowa jest tarczą i mieczem w jej rękach...

Mówiąc, uważnie obserwowałem ludzi siedzących przede mną w niskiej ubogiej izbie robotniczego domu. Żółte ich twarze w świetle papierowego lampionu były jeszcze bardziej żółte, ale oczy zaczynały im błyszczeć, spostrzegłem też jakieś zmiany w ich przed chwilą pozbawionych wyrazu rysach, odbicie myśli i uczuć do niedawna głęboko ukrytych. Byli to ludzie z północnych prowincji kraju, mieli bladożółtą skórę, twarze szerokie i okrągłe, z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Chroniczne niedokarmienie wyżłobiło na nich siatkę postarzających zmarszczek i ciemne podkowy pod oczami. Wiek tych robotników wahał się między trzydziestką a pięćdziesiątką, a ich zawód zdradzały znoszone płócienne ubrania okrywające wychudzone ciała.

Swe przemówienie zakończyłem pytaniem, czy są wśród nich palacze opium.

Gdy Czeng przetłumaczył je, spośród siedzących na matach na podłodze mężczyzn podniosło się czterech. Oczy ich płonęły gorączkowo, mieli niemal przezroczystą skórę i poryte tysią-

cem drobnych zmarszczek twarze starców, choć nie byli starsi od reszty obecnych.

Kiwnąłem głową i wszyscy czterej siedli w milczeniu, tak samo jak wstali, nie okazując żadnego zażenowania wobec mnie czy reszty obecnych.

— Opium jest równie ogromnym złem — rzekłem — jak imperialistyczne hieny i kontrrewolucja...

Poczekałem, aż Czeng przetłumaczy to, i ciągnąłem:

— To zło niszczy nieznacznie, lecz niemiłosiernie, osłabia mięśnie bojowników, zamracza ich świadomość i podkopuje wolę walki. Opium jest sojusznikiem kontrrewolucji...

Mężczyźni zebrani w izbie patrzyli na mnie wyraźnie zaskoczeni i wstrząśnięci sensem moich słów. „Czy rzeczywiście ten niewinny biały proszek, który ofiarowuje parę godzin spokoju i zapomnienia, może zaszkodzić rewolucji?" — czytałem w ich oczach. Owi czterej, którzy zgłosili się na moje pytanie, siedzieli z wyciągniętymi szyjami o napiętych żyłach i drżeli jak w agonii. Świadomość ich nie mogła objąć całego sensu tego, co usłyszeli, lecz słowa: „Opium jest sojusznikiem kontrrewolucji" wystarczyły, aby wstrząsnąć całą ich istotą. Współczułem im szczerze — ci ludzie cierpieli, jakby żywcem płonęli na stosie.

— Palacze opium nie są winni swojej słabości — podjąłem. — Eksploatatorzy świadomie pchają lud do tego nałogu, by łatwiej nim rządzić... Swego czasu również car i rosyjscy obszarnicy popierali picie alkoholu, który był takim samym wrogiem klasy robotniczej i rewolucji jak opium...

Długo jeszcze mówiłem o nałogu; prosili nas o to towarzysze z KC KPCh, ponieważ w tym okresie palenie opium przybrało w Chinach zastraszające rozmiary. Narkotyk produkowany w południowych prowincjach kraju i wywożony masowo przez Hongkong, Szanghaj i Makau stał się zgubną namiętnością milionów Chińczyków. Złudne uczucie błogości i spokoju, zyskiwane na krótko przez palacza opium, pochłaniało zwykle całe jego skromne wynagrodzenie za tygodniową pracę w porcie czy w fabryce lub ogromną część zbiorów z mizernego poletka. Przy tym owa nietrwała błogość podkopywała bez-

powrotnie zdrowie, sprowadzała skrajną nędzę i straszliwy głód na całą rodzinę palacza, który był zwykle jedynym jej żywicielem... Rozumie się, że nałóg ów szkodził i sprawie rewolucji, bo za kilka gramów opium palacz gotów był sprzedać nie tylko ostatni łachman z grzbietu, ale i swój honor, gotów był zapomnieć o idei, jeśli ją wyznawał, a nawet stać się prowokatorem, zdrajcą i szpiegiem swych towarzyszy. Toteż KPCh walkę z tym zgubnym nałogiem uznała w owych latach za najważniejsze zadanie i proszono nas, byśmy, uczestnicząc w uroczystości składania przysięgi przez chińskie grupy bojowe, koniecznie mówili i na ten temat.

— Wzywam was, drodzy towarzysze, do walki o całkowite zwycięstwo rewolucji! Wysoko wznieśmy sztandar, na którym widnieje hasło: „Śmierć kontrrewolucji! Imperialiści precz z naszej ojczyzny! Precz z opium! Niech żyje braterstwo i społeczna równość wszystkich pracujących! Niech żyje komunizm!"

Czeng przetłumaczył zebranym ostatnie słowa. Oklasków nie było (i nie powinno ich być właśnie teraz i właśnie tutaj), nie było również sprzeciwów ani jakichś szczególnych gestów aprobaty. Ale za to wszyscy obecni energicznie wstali i pochylili się w niskim długotrwałym ukłonie. Był to wyraz szacunku dla moich słów, dla wezwania, które wygłosiłem na końcu, dla mnie samego wreszcie.

Zebranie nielegalnej „dziesiątki" zakończyło się złożeniem przysięgi. Każdy z mężczyzn wstawał i wypowiadał jej słowa przed ołtarzem przodków, wyprostowany, z nisko pochyloną głową, po czym w milczeniu wracał na miejsce.

Słowa te brzmiały: „Przysięgam na prochy ojców swoich, że będę służył ideom komunistycznym, że oddam siły swoje, a jeśli będzie trzeba i swoje życie, za braterstwo, sprawiedliwość społeczną i szczęście całego mego ludu pracującego. Przysięgam".

Przysięga wierności dla sprawy, której służyliśmy, nie była niczym nowym. I my ją składaliśmy w swoich „dziesiątkach" i „piątkach" bojowych w organizacji pleweńskiej. Składali ją też swego czasu nasi dziadkowie, bojownicy o wyzwolenie

narodowe, gdy całowali krzyż i broń i przyjmowali komunię z rąk kapłana-rewolucjonisty. Lecz przysięga, jaką składali towarzysze chińscy, była nieco odmienna. Trudno byłoby mi określić, na czym to właściwie polegało, bo trudno mi jest w ogóle dokonywać analizy czegokolwiek, co ma związek z Chinami (tyle nieprawdopodobnych rzeczy wydarzyło się wkrótce potem i nadal dzieje się w tym kraju, że człowiek musi mówić o nim ze szczególną ostrożnością). Specyficzny był chyba ów niesłychany fanatyzm, z jakim członkowie grupy bojowej składali przysięgę wierności do śmierci. Specyfika kryła się też w dziwnym blasku ich oczu, które w tym momencie jarzyły się gorączkowym ogniem jak u palaczy opium. Specyfika tkwiła i w zachowaniu się typowym dla Chińczyka, który niby to nie poddając się wpływom zewnętrznym zachowywał się jednak tak, jakby chwila przysięgi przesądzała nieodwracalnie jego dalszy los, niosący już tylko obowiązek i śmierć...

Nie wiem, czy wyrażam się dostatecznie jasno, bo i wówczas, i teraz również nie mogłem rozplątać gmatwaniny własnych myśli o tym. Powodem był straszliwy obraz, jaki przyszło mi oglądać w Chinach.

Był to widok publicznej egzekucji w dużym mieście Paoting, okupowanym przez wojska Czang Tso-lina. Miasto leżało przy linii kolejowej wiodącej z T'ai-juanu do Pekinu. Przede mną zatrzymywał się w nim już, aby wykonać zadanie partyjne, Grisza, załatwiwszy przy okazji „sprawy handlowe" naszej firmy w Pekinie. Obowiązek partyjny sprawił, że i ja musiałem zatrzymać się tam po wykonaniu zadania w T'ai-juan. Zdawało się, że sam los wybrał dzień mego wyjazdu z miasta na egzekucję, która odbyła się na placu przed hotelem (był to niewielki budynek w jednej z peryferyjnych dzielnic), gdzie się zatrzymałem. Noc spędziliśmy z Czengiem wśród nielegalnych „piątek" i „dziesiątek", składających przysięgę wierności. Wróciliśmy do hotelu późno. Czeng towarzyszył mi, bo bez niego mógłbym paść ofiarą bandytów grasujących w owych latach w całych Chinach.

Zbudziłem się rano o porze zbyt wczesnej na wstawanie.

Ze snu wyrwały mnie odgłosy bębna, dźwięk mandżurskich piszczałek i niezwykły gwar ludzkich głosów. Podszedłem do okna. Na placu przed hotelem stał gęsty tłum. Pośrodku wielotysięcznej rzeszy ludzkiej na niewielkiej przestrzeni zobaczyłem trzech klęczących w błocie, obnażonych do pasa Chińczyków ze związanymi do tyłu rękami. Stałem przy oknie i nie miałem siły oderwać się od tego niezrozumiałego i niepokojącego widoku.

Nie czekałem długo. Jazgot piszczałek i dudnienie bębnów nagle ucichły i na niewielkiej pustej przestrzeni wśród tłumu pojawił się oficer w asyście dziesięciu żołnierzy. Rozwinął trzymany w ręku rulon papieru i zaczął z niego odczytywać coś głośno, wskazując jednocześnie palcem związanych półnagich mężczyzn. Co to wszystko miało znaczyć?

Zrozumiałem, gdy wśród żołnierzy otaczających oficera spostrzegłem człowieka z toporem. Boże, przecież to egzekucja! Towarzysze chińscy opowiadali mi o podobnych kaźniach na północy i w Pekinie, gdzie władał Czang Tso-lin. W publicznym miejscu władze ścinały głowy komunistom schwytanym z bronią lub podczas jakiejś akcji politycznej. Egzekucje te rzadko miały miejsce przed powstaniem w Kantonie, lecz teraz, po zdławieniu komuny kantońskiej, w całych Chinach dyktatorzy — monarchiści i czangkajszekowcy — wydobywali miecze z pochew. Wykonywano wyroki śmierci na robotnikach, żołnierzach (jeszcze wczoraj bohatersko walczących podczas historycznego marszu na północ) i chłopach z organizacji rewolucyjnych... Zabijano ich w miejscach publicznych na oczach całej ludności miasteczka czy dzielnicy (jeśli zamieszkiwali w dużym mieście) na postrach i ku przestrodze obecnych. I oto teraz własnymi oczami oglądałem jeszcze jedną scenę tragedii tego narodu.

Co dalej?

Oficer-prokurator odegrał swoją rolę i do dzieła przystąpił teraz kat. Nie mogłem patrzeć na to, ale wiedziałem, co zrobi: jednym cięciem topora zetnie po kolei głowy trzech związanych półnagich mężczyzn, którzy trwali w milczeniu — zdawało się, że obojętnie — na pustej przestrzeni wśród tłumu...

Gdy otworzyłem oczy, ciała trzech nieszczęśników leżały w błocie, drgając w agonii. Dokonało się oto coś straszliwego, co dotychczas znałem tylko z książek.

Lecz los zgotował mi tego dnia jeszcze jedną i jeszcze okrutniejszą niespodziankę, która na długo wtrąciła mnie w rozterkę duchową i ciężki rozstrój nerwowy. Zresztą tę okropną historię z Paotingu opowiadam tylko dlatego, że kojarzy mi się ze słowem „przysięga" w takim znaczeniu, jak je rozumieli Chińczycy...

Gdy kat już odszedł i ludzie, jakby obojętni wobec tragedii, zaczęli się rozchodzić, akcja nieoczekiwanie potoczyła się dalej. Z ciżby dały się słyszeć głośne nawoływania, które przeniknęły nawet do mnie przez szybę okna. „Cóż to znowu? — zdumiałem się i zacząłem wpatrywać w tłum. — Może ktoś protestuje? Może ktoś wykrzykuje pogróżki pod adresem oprawców?"

Nie. Tego dnia miałem ujrzeć najdziwniejsze, najstraszliwsze i najbardziej paradoksalne wydarzenie.

Głosy, jakie słyszałem, należały do czterech mężczyzn, którzy roztrącili tłum i stanęli przed grupą wojskowych. Jeden po drugim wypowiadali przed oficerem głośno jakieś słowa, a następnie sami zdejmowali z siebie nędzne płócienne kurtki i zgrzebne koszule i stawali półnadzy tam, gdzie leżały już bezgłowe ciała zabitych. Dalej wszystko jakby powtórzyło się od początku: związano im ręce, które sami wyciągnęli do tyłu, i bez żadnego gestu czy słowa klęknęli w błocie jeden obok drugiego w oczekiwaniu śmierci...

Oderwałem się od okna i szczelnie zasłoniłem je roletami, by odizolować się jakoś od tego, co rozgrywało się na zewnątrz. Nic nie rozumiałem. Trzej pierwsi byli komunistami — to jasne — i ich egzekucja, choć okrutna, nie zaskoczyła mnie. Ale czym wytłumaczyć postępek pozostałych czterech?...

Gdy po godzinie opuściłem hotel, przed którym wciąż jeszcze leżały w błocie ciała zabitych nieszczęśników, Czeng — czekający na dole z wynajętą dwuosobową rikszą — wyjaśnił mi pokrótce wszystko. Owi czterej, którzy sami nadstawili głowy pod topór kata, należeli do tej samej „dziesiątki" bojowej co

i trzej pierwsi. A że złożona przez nich przysięga głosiła wierność do śmierci i „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" — uważali, iż dobrowolnie powinni podzielić los straconych już towarzyszy...

To właśnie zdarzenie w północnochińskim mieście Paoting zmusza do rozmyślań nad niepojętą dla mnie mentalnością narodu chińskiego, nad czynami, które nam wydają się nieprawdopodobne. Czym był właściwie postępek tych czterech ludzi? Stoicka postawa wobec kata trzech pierwszych, uśmierconych siłą, zmusza do szacunku; ich rozumiemy w pełni, bliska nam historia obfituje w podobne przykłady bohaterskiego spokoju w obliczu śmierci. Ale postępek tamtych? Może to dowód solidarności? Lecz człowiek, który nie szukany przez nikogo dobrowolnie kładzie głowę pod topór kata, najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z całego szeregu okoliczności czyniących tę ofiarę niepotrzebną i bezsensowną. Wierność, którą przysięgał, jest wiernością nie wobec poszczególnych ludzi, ale wobec idei wyzwolenia społecznego. Oficer wygłaszający wyrok nie uosabia etyki i moralności, lecz jest najzwyklejszym, wulgarnym oprawcą. Wreszcie — dobrowolna ofiara dokonana bez żadnej potrzeby sieje zamęt w sercach innych ludzi, jeszcze nie wtajemniczonych w to, że szlachetnym celem nielegalnej walki jest właśnie życie, ów niczym nie zastąpiony skarb...

Różnie można tłumaczyć tę historię. Lecz tak czy inaczej pozostałaby ona nie rozwiązaną zagadką, a samo wyjaśnienie Czenga — niewiarogodnym, gdyby nie wzięło się pod uwagę czynnika, jakim jest świadomość. Ci ludzie — a odnosiło się to do ogromnej większości Chińczyków i oczywiście do przeważającej liczby członków partii — nie posiadali elementarnej wiedzy politycznej i w wielu wypadkach stawali zdezorientowani wobec skomplikowanych problemów życia społecznego w Chinach. Ciemnota ta była spuścizną wielowiekowego niewolnictwa pod rządami mandarynów, a łączyło się z nią przekonanie o niewielkiej wartości życia człowieka. Tu, gdzie istoty ludzkie liczyło się na miliony, gdzie nie istniała żadna rejestracja ludności, żadne dokumenty osobiste czy paszporty,

gdzie rodziny rozrastały się nieprawdopodobnie szybko, by tworzyć z kolei nowe ogniska domowe, gdzie narodziny człowieka nie przynosiły żadnej radości, a śmierć żadnego smutku, tu, w tym kraju, nasze normy postępowania, nasze pojęcia solidarności, nasze ideały dotyczące człowieka i jego szczęścia — załamywały się w sposób najbardziej nieoczekiwany...

Myślałem wówczas i teraz myślę o tym, jak ogromnej trzeba pracy, jakich tytanicznych wysiłków, by wyprowadzić ten naród z mroków wiekowego zacofania, by natchnąć jego uśpioną duszę realną nadzieją na szczęście każdego człowieka, tak by zrozumiał humanistyczną ideę komunizmu. Potrzebna jest tu tak wytrwała robota, jaką swego czasu wykonywali bolszewicy wśród szerokich mas „mużyków" carskiej Rosji, wśród śmiertelnie umęczonych pracą robotników w kopalniach i pełnych pyłu fabrykach, tak samo uporczywa, jaką swego czasu prowadzili w Bułgarii założyciele partii socjaldemokratycznej, współpracownicy Błagojewa, prześladowani i wyśmiewani, nie wszędzie rozumiani, lecz dumni ze swego szczytnego powołania krzewicieli świadomości narodowej...

Właśnie taka praca uświadamiająca, bogacąca naród chiński osiągnięciami światowej kultury i cywilizacji, dająca wiedzę o komunizmie jest konieczna wśród wszystkich warstw tego narodu. Dogmatyczne cytaty Mao, wykuwanie na pamięć jego pseudomarksistowskich oderwanych myśli, pochwalne skandowania, kult Mao — cała „rewolucja kulturalna" nie doprowadzi do niczego dobrego; w praktyce oznacza zniszczenie partii. W czasach, gdy przebywałem w Chinach, naród ten płacił krwią za swą polityczną ślepotę i naiwność. Jaka będzie cena ogłupiającego kultu Mao i dokąd zawiedzie on ten kraj?

Kończę swe notatki o Chinach.

Chciałbym jeszcze zaznaczyć tylko, że my, internacjonaliści, którzy pomagaliśmy przy organizowaniu i uzbrajaniu KPCh, czyniliśmy wszystko, by ustrzec utworzone już „piątki" i „dziesiątki" przed tragedią podobną tej, w Paotingu. Staraliśmy się podczas spotkań z nielegalnymi grupami, z ich przywódcami i aktywistami, wyjaśniać istotny sens przysięgi, sens

słów: „wierność do śmierci", „wierność dla idei komunistycznych", „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego"... Poza tym sugerowaliśmy w imieniu partii, by przy publicznych egzekucjach nie byli obecni komuniści; ani zwykli członkowie partii, ani towarzysze z grup bojowych. Tłumaczyliśmy, przekonywaliśmy, jak i jakimi środkami prawdziwy komunista powinien walczyć na froncie klasowym, jaką postawę ma zajmować wobec oprawców, jak chronić szeregi przed niepowodzeniami i ratować to, co można uratować bez niepotrzebnych i bezsensownych ofiar... Były to pojedyncze ziarna, które rzucaliśmy w ogromny nie zaorany ugór. Tysiące powinny pójść w nasze ślady, gdyż nikt dotąd nie zbliżał się do tych mas ludzkich z dobrymi zamiarami, a tylko po to, by rabować, deprawować, zabijać...

Nasza grupa wyjechała z Chin na początku 1929 roku, a na jej miejsce przybyli nowi towarzysze. Berzin nie trzymał swych ludzi zbyt długo w jednym miejscu, bo najlepszy nawet wywiadowca robi jakieś błędy, które mogą być zauważone przez zachodnie ośrodki szpiegowskie. A Chiny w owych czasach były prawdziwą areną walki wywiadów wszelkiego rodzaju i wszelkiej narodowości. Chodziło o tak tłusty kąsek ze stołu kolonizatorów, że grali va banque, by ponownie zdobyć to, co im się wymykało z rąk.

Najpierw zlikwidowaliśmy swoje interesy w firmach w Pekinie i w Szanghaju. Właściwie egzystowały one nadal, lecz ich konta bankowe zmniejszyły się do sumy, którą oficjalni właściciele otrzymali od nas jako należną część rzeczywistych zysków. Pozostali też właściciele tych przedsiębiorstw. Również większość innych naszych „agentów handlowych", gotowa służyć sprawie internacjonalizmu, przebywała nadal w Chinach. Wszystkich ich miał otrzymać w parę miesięcy później „w spadku" kadrowy wywiadowca, Richard Sorge, którego Berzin wysłał do Chin jako rezydenta.

Zakończyliśmy też pracę w przedsiębiorstwie przemysłowym w Charbinie, gdzie w ostatnim okresie działaliśmy najaktywniej. Była to nowoczesna jak na owe lata fabryka konserw zatrudniająca przeszło pięciuset robotników. Jej właści-

ciel — Leonid Wegedeka, rosyjski emigrant polityczny sprzed rewolucji, zamieszkał tu na stałe, lecz nie zapomniał o ojczyźnie ani o swych obowiązkach wobec niej i gdy za pośrednictwem jego żony Weroniki (absolwentki Sorbony, przyjaciółki Galiny z lat dziewczęcych, byłej aktorki) zaproponowaliśmy mu współpracę, z ochotą wyraził zgodę. Jego fabryka służyła nam wspaniale za parawan w szeregu konspiracyjnych poczynań: w imporcie ze Związku Radzieckiego maszyn i ich części, które nadchodziły koleją w niezwykle dużych i ciężkich skrzyniach, w ukrywaniu broni i innych materiałów należących do charbińskiej organizacji partyjnej, w organizowaniu spotkań z chińskimi i innymi naszymi nielegalnymi współpracownikami, w realizowaniu niezbędnych operacji finansowych (fabryka eksportowała konserwy nawet do Anglii i w związku z tym przekazywanie pieniędzy za granicę i z zagranicy wchodziło w sferę jej normalnej działalności), w robocie miejskiej organizacji partyjnej (w przedsiębiorstwie pracowało kilkudziesięciu komunistów chińskich, którzy utworzyli swoją organizację i prowadzili aktywną działalność partyjną, chronieni tu przed oczyma tajnej policji), w prowadzeniu korespondencji itd.

W tym okresie Galina opuściła Pekin i rozpoczęła pracę w charbińskim Banku Dalekowschodnim, nie zaniechawszy oczywiście swej prawdziwej roboty. Z ośrodka przysłano nam tu do pomocy wywiadowcę Leonida Etingona.

Obaj z Griszą mieszkaliśmy w małym domku w okolicach Charbina, gdzie Grisza oddał się swemu ulubionemu zajęciu — hodowaniu królików i gołębi... Nie śmiej się, Czytelniku! Nawet stary wywiadowca może mieć swoje hobby. Ale muszę dodać, że w tym wypadku hodowla owych ptaków nie tylko sprawiała przyjemność Griszy... Gołębie wspaniale spełniały rolę kurierów. Właśnie kurierów! Niespodzianką dla mnie okazało się to, że Grisza potrafi doskonale radzić sobie z gołębiami pocztowymi (bo większość z nich była z tego gatunku). Z małą karteczką przyczepioną pod piórami ogona w nieprzemakalnej kopertce mądre te ptaki przebywały ogromne przestrzenie — nieraz sto i więcej kilometrów — by zanieść

do ściśle określonego miasta i domu tajny list lub przynieść właściwą odpowiedź...

Współczesny wywiad nie korzysta już z usług takich „współpracowników". I na cichy front burzliwie wkroczyła technika. Ale zdaje się, że rezygnując z gołębi pocztowych wywiad stracił jeden ze swych uroków...

Po naszym wyjeździe fabryka Wegedeki oczywiście nadal istniała w Charbinie i później również „dostała się w spadku" Richardowi Sorge. Gdy Leonid Wegedeka zmarł, żona jego, nasza współpracowniczka (kobieta wysoce utalentowana, urodzona dla sceny i teatru), sprzedała majątek i wróciła do kraju, by poświęcić mu ostatnie drgnienia swego płonącego patriotyzmem serca.

Opuszczaliśmy Chiny zadowoleni, że nie przydarzyło się nam w trakcie pracy nic nieprzyjemnego. Dobrze spełniliśmy swoje zadania wywiadowcze. Ośrodek otrzymywał od naszej grupy regularne informacje o siłach wojskowych i ścieraniu się tendencji politycznych, jakie w owych latach wpływały na losy Chin. Rząd radziecki musiał czynić i czynił wszystko, co niezbędne, w obronie swoich dalekowschodnich granic, na które ostrzył sobie zęby żarłoczny japoński imperializm i jego chińskie marionetki.

„Gratulacje, ale wracajcie już do domu!" — oto słowa Berzina z tekstu rozszyfrowanego przez Galinę. My, komuniści wysłani na pomoc temu tragicznemu krajowi, jego umęczonemu narodowi, jego partii, zrobiliśmy wszystko, co nakazywał nam internacjonalny obowiązek. Mieli nas zastąpić inni. Reszta była sprawą samego narodu chińskiego.

Część IV

Obrona radzieckich granic na Dalekim Wschodzie

1. Konflikt na Wschodniochińskiej Linii Kolejowej

Poświęcam parę stron swych wspomnień konfliktowi na Wschodniochińskiej Linii Kolejowej, zwanej KWŻD (Kitajsko-Wostocznaja Żeleznaja Doroga), gdyż swego czasu była to sensacja dnia na skalę światową, a w rozwiązaniu tego konfliktu i ja brałem udział.

Wschodniochińska Linia Kolejowa stanowiąca jedyną łączność lądową między Związkiem Radzieckim a Chinami miała szczególne znaczenie dla wzajemnych stosunków politycznych, kulturalnych i gospodarczych między obu krajami. Powstała przed wojną rosyjsko-japońską, na początku naszego wieku. Niemal w całości zbudowali ją Rosjanie przy pomocy swoich ludzi i środków, a później miała ona ogromne znaczenie strategiczne dla obrony dalekowschodnich nadmorskich terytoriów ZSRR przed napadami japońskich samurajów.

Tory biegły z zachodu na wschód i z północy na południe, przecinając się w punkcie, którym był Charbin. Główny odcinek wschód—zachód (długości około tysiąca kilometrów) wychodził z Czity, gdzie łączył się z magistralą transsyberyjską, prowadził przez Mandżurię — i przez Charbin oraz Mukden biegł na wschód do Władywostoku. Pionowy odcinek północ—południe wychodził z Błagowieszczeńska na terytorium radzieckim, prowadził również przez Mandżurię — i przez Charbin dochodził do miasta Cz'angcz'ung. Stąd aż do Pekinu linię budowali i eksploatowali Japończycy.

Do Rewolucji Październikowej KWŻD była własnością Rosji carskiej.

W 1918 roku Rosja Radziecka za pośrednictwem komisarza do spraw zagranicznych, Cziczerina, ogłosiła podstawowe zasady swej polityki wobec Chin. Odnośnie do KWŻD Cziczerin powiedział:

— Powiadomiliśmy Chiny, że rezygnujemy z tego, co zagrabił carski rząd w Mandżurii, i przywracamy suwerenne prawa Chin do tego terytorium, przez które przebiega najważniejsza handlowa arteria — Wschodniochińska Linia Kolejowa, własność narodu chińskiego i rosyjskiego, która pochłonęła wiele milionów pieniędzy tych narodów i dlatego należy wyłącznie do nich i do nikogo innego. Co więcej: dopuszczamy, że jeśli Chiny zwrócą narodowi rosyjskiemu pieniądze włożone w budowę tej linii kolejowej, to będą ją mogły odkupić, nie czekając upływu terminu przewidzianego umową...

Sun Jat-sen deklarację Cziczerina potraktował jak szczerze wyciągniętą rękę, jak propozycję przyjaźni i braterstwa. I tylko wewnętrzne walki w Kuomintangu przeszkodziły mu w rozwiązaniu tego problemu.

W kwietniu 1918 roku imperialiści japońscy dokonali desantu na Władywostok. Wraz z nimi zjawiły się najemne armie USA i Anglii. Bandy najeźdźców liczyły przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy dobrze uzbrojonych i wyekwipowanych żołnierzy, dowodzonych przez najlepszych oficerów. Korzystając z trudności nowo powstałego państwa radzieckiego, interwenci zdołali zająć cały radziecki Daleki Wschód, rejony nadmorskie, Zabajkale i Syberię. Opanowali też KWŻD. Następnie sklecili osławiony „rząd dalekowschodni" z premierem Chorwatem i ministrem wojny, admirałem Kołczakiem, który wkrótce potem ogłosił się najwyższym władcą całej Rosji. Pod dowództwem Kołczaka, dzięki złotu imperialistów, zorganizowano silną armię białogwardyjską, liczącą przeszło trzysta tysięcy ludzi...

A dalej?

Dalej wydarzenia potoczyły się zupełnie nie tak, jak sądzili imperialiści. Wykazując żelazną wytrzymałość, Kraj Rad nie

tylko obronił swe prawo do istnienia, lecz i po zaciętych, krwawych bitwach wypędził ze swojej ziemi wszystkich wrogów, najemników i interwentów. Daleki Wschód też został uwolniony.

KWŻD powróciła do swych prawych właścicieli. Rząd radziecki zaproponował, a Sun Jat-sen wyraził zgodę, by linię kolejową obsługiwał mieszany personel rosyjsko-chiński aż do chwili, gdy Chiny same będą w stanie zapewnić na niej ruch pociągów. Tak przedstawiała się sytuacja do wybuchu konfliktu w 1929 roku.

Po zdradzie Czang Kaj-szeka wiosną 1929 roku reakcyjni generałowie północnochińscy okupowali trasę kolei i brutalnie wypędzili radzieckich robotników i urzędników, którzy ledwie uszli z życiem. Wszystkie urządzenia linii, wszystkie ruchomości i biura, włącznie z dyrekcją charbińską, zostały bezceremonialnie skonfiskowane i rozkradzione. Dokonano też napadu na konsulat radziecki w Charbinie, a jego personel spotkał się z szyderstwami i poniżającym traktowaniem... Represje organizowane przez antyradzieckich czangkajszekowców wkrótce przybrały formy bardzo brutalne. Przeszło dwa tysiące obywateli radzieckich, pracowników kolei oraz konsulatu w Charbinie, zostało aresztowanych i osadzonych w obozach w okropnych warunkach, a dziesiątki niewinnych ludzi straciło życie wskutek bestialstwa władz chińskich.

Związek Radziecki wystosowywał protesty i noty, wzywał władze chińskie do opamiętania i humanitarnego traktowania bezprawnie aresztowanych, usilnie domagał się ich uwolnienia, proponował rozmowy w celu uregulowania sporu. Na próżno! Chińskie marionetki z szaleńczym uporem dążyły do celu, jaki sobie wytyczyły.

To, co rozegrało się wiosną, było tylko wstępem. Podżegani przez Anglię, USA i Japonię, w lipcu 1929 roku czangkajszekowcy wzmogli przygotowania wojenne i rozpoczęli prowokacje wzdłuż dalekowschodniej granicy radzieckiej. Cel imperialistów był oczywisty: chcieli wywołać wojnę, uderzyć na Związek Radziecki tam, gdzie był stosunkowo najsłabiej broniony — na Dalekim Wschodzie, a następnie okupować rejony

nadmorskie, Kraj Chabarowski i Zabajkale i utworzyć z nich „niezależne państwo dalekowschodnie". To, czego nie udało im się zrobić przed dziesięciu laty, próbowali zrealizować teraz. Czy za drugim razem miało im się udać?

Prowokacje wojenne imperialistów i Chińczyków na Dalekim Wschodzie były, jak wiadomo, częścią wielkiego spisku przeciwko Związkowi Radzieckiemu, spisku, który w drugiej połowie pierwszego dwudziestolecia po Rewolucji Październikowej zmierzał do nowego pochodu krzyżowego przeciwko Krajowi Rad. Imperialiści uważali z pewnością, że ZSRR, wydatkowawszy wszystkie swoje siły na wykonanie pierwszej pięciolatki, nie znajdzie środków na obronę granic.

Na początku sierpnia 1929 roku rząd radziecki utworzył pośpiesznie Specjalną Dalekowschodnią Armię Czerwoną (OKDWA — Osobaja Krasnoznamiennaja Dalniewostocznaja Armija). Dowódcą jej został bohater wojny domowej, były główny doradca wojskowy chińskiej Armii Narodowo-Rewolucyjnej, W. K. Blücher. Wybór był jak najbardziej odpowiedni. Któż znał Zabajkale, rejony nadmorskie, Kraj Chabarowski i Syberię lepiej od niego; Blücher już przed dziesięciu laty oczyszczał te strony z białogwardzistów i interwentów i znał dobrze sposoby nieprzyjaciela!

Po zadaniu przez niego druzgocącego ciosu chińskim kontrrewolucjonistom Czang Kaj-szeka i ich imperialistycznym podżegaczom, w pierwszym rzędzie Japończykom, dalekowschodnia granica Związku Radzieckiego miała się stać linią pokoju.

2. Znów u Blüchera z zadaniami specjalnymi

Z Chin przyjechaliśmy z Galiną w kwietniu 1929 roku. Z nami powrócił również kierownik grupy, Grisza Salnin, i dwaj pozostali jej członkowie — Michajłow i Wierszynin, którzy do Chin przybyli później i większość czasu spędzili

w Pekinie. Galina rozchorowała się. Przyczyną tego było napięcie związane z wykonywaną pracą, codzienne ryzyko, odmienna kuchnia, specyficzny klimat i wiele innych znanych i nieznanych powodów, które mogą nieoczekiwanie odebrać człowiekowi zdrowie. Galina przez trzy lata trzymała się dzielnie, pamiętała o tym, że musi dbać o siebie, ale teraz, gdy wszystko mieliśmy już za sobą, zaniemogła. Na szczęście nie było to nic poważnego. Wkrótce po powrocie do Moskwy wyzdrowiała i znów podjęła pracę w naszym ośrodku. W tydzień czy dwa później wstąpiła do szkoły radiotelegrafistów, gdyż tego wymagały jej przyszłe zadania.

Ja również zacząłem naukę w specjalnej jednorocznej szkole. Berzin trzymał się żelaznej zasady, że praca jego ludzi musi iść w parze z nauką i specjalizacją. Wszystko ulegało udoskonalaniu, wkraczaliśmy w wiek rewolucji technicznej, doskonaliły się więc nie tylko środki i sposoby łączności, ale również i metody wywiadowców; taktyka i strategia zyskiwały coraz większe znaczenie w naszej pracy. Szczególna rola wywiadu radzieckiego wypływała stąd, że światowy imperializm wkładał bez przerwy ogromny wysiłek w intrygi mające na celu szkodzenie władzy radzieckiej. Szpiegował i starał się rozsadzić od wewnątrz Kraj Rad, szantażował, szkalował i prowokował, aby przygotować atak i zetrzeć z powierzchni ziemi „czerwoną zarazę bolszewicką". Wywiad nasz musiał więc przekształcić się w wiecznie czuwające oczy i uszy, w uzbrojoną pięść, zawsze gotową do odparcia wroga. Dlatego wymagano, by każdy stały pracownik naszego ośrodka posiadał wiedzę stawiającą go zawsze na wysokości zadania.

Jednoroczną szkołą kierował W. J. Czujkow, który w przyszłości, w czasie drugiej wojny światowej, miał zyskać sławę i zostać marszałkiem. Jak zapewne Czytelnik pamięta, nazwisko jego podałem wraz z innymi nazwiskami radzieckich ekspertów wojskowych, których zaproszono do pomocy przy utworzeniu i zorganizowaniu chińskiej Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Po przeszło dwuletniej pracy w Chinach Czujkow powrócił do kraju razem z Blücherem.

W szkole zapoznawaliśmy się ze wszystkimi nowymi wynalazkami technicznymi, które mogły się okazać przydatne w naszej pracy, i ze wszystkimi typami nowej broni oraz różnymi udoskonalonymi sposobami samoobrony w wypadku nagłej napaści. Analizowaliśmy posunięcia wroga ujawnione w toku kolejnych procesów szpiegowskich w ZSRR, uczyliśmy się szyfrów, nabieraliśmy kondycji fizycznej. Nieodłączną częścią wyszkolenia było oczywiście podnoszenie swego poziomu wiedzy z dziedziny marksizmu-leninizmu, pogłębianie kultury ogólnej i politycznej, zdobywanie wiadomości ekonomicznych i geograficznych oraz nauka języków. Ja intensywnie uczyłem się niemieckiego (Berzin miał już niewątpliwie coś dla mnie na widoku); w Chinach uprzednio poduczyłem się angielskiego.

W parę miesięcy po rozpoczęciu nauki, późną jesienią 1929 roku Berzin wezwał mnie nieoczekiwanie do ośrodka. W gabinecie zastałem też Griszę Salnina. Grisza kierował już sekcją w ośrodku i na pagonach miał jeszcze jeden romb (ranga odpowiadająca generałowi dywizji); przed pobytem w Chinach miał jeden romb (co odpowiada randze generała brygady).

— Zbieraj bagaże, Wanko — z uśmiechem powiedział Berzin na mój widok. — Pewien jestem, że stęskniłeś się już za Dalekim Wschodem...

Zaskoczony spojrzałem pytająco na Griszę.

— Tak, znów razem z nim — ułowił mój wzrok Berzin. — Na jego wniosek. A obaj na wniosek Wasilija Konstantynowicza Blüchera...

Następnie Berzin wyjaśnił nam, że Blücher przysłał z Chabarowska listę osób z prośbą, aby je pośpiesznie wydelegowano do niego do armii dalekowschodniej. Powody były oczywiste: szukał ludzi, którzy by znali specyficzne warunki na Dalekim Wschodzie i w Azji i umieli w nich pracować, a byli nimi naturalnie w pierwszym rzędzie dawni doradcy wojskowi w chińskiej Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Wyjątkowo uzdolniony strateg i taktyk wojskowy, Blücher, poznawszy sytuację i wyciągnąwszy odpowiednie wnioski, opracowywał już posunięcia, które miały doprowadzić do zwycięstwa.

— Szczegółowe polecenia otrzymacie od Wasilija Konstantynowicza — zakończył rozmowę Berzin.

Wyjechaliśmy niezwłocznie.

Chabarowsk — stolica odległego Kraju Chabarowskiego, który na południu graniczy z Chinami, a na północy sięga Morza Beringa i półwyspu Czukotka — nabrał w tym czasie szczególnego znaczenia dla Związku Radzieckiego. Z obroną Kraju Chabarowskiego, rejonów nadmorskich i Zabajkala wiązało się bezpieczeństwo, pokój, a nawet los ZSRR. Narody Związku Radzieckiego rozumiejąc, iż grozi niebezpieczeństwo, żyły w obawie i napięciu. Oczy wszystkich zwrócone były na Chabarowsk i armię Blüchera. „Stawmy z godnością czoło prowokatorom!" — wezwanie to obiegło cały ogromny Kraj Rad ze wschodu na zachód. Powstała nawet piosenka o Blücherze i jego armii i stała się bardzo popularna.

Blücher w niezwykle krótkim terminie zorganizował trzon specjalnej armii i rozlokował na najsłabszych punktach granicy stanowiska oporu — i to już nieco zahamowało impet prowokatorów. Granica tamtejsza biegnie na długości przeszło tysiąca kilometrów wzdłuż szerokiej rzeki Amur, która za Chabarowskiem ostro skręca na północ na radzieckie terytorium i pod Nikołajewskiem wpada do Morza Ochockiego. Pod Chabarowskiem do Amuru wpada Sungari, płynąca z głębi Mandżurii. Obie rzeki są spławne. I na Amurze, i na Sungari militaryści chińscy utrzymywali dość silną flotę rzeczną, która aktywnie uczestniczyła w prowokacjach wojennych. Tuż przed naszym przybyciem do Chabarowska saperzy radzieccy z amurskiej floty wojennej wyłowili i zniszczyli kilkadziesiąt pływających min, założonych przez flotę chińską, by uniemożliwić ruch statków radzieckich na Amurze i wyrządzić szkody materialne. Jednocześnie chińskie rzeczne okręty nocą atakowały brzeg radziecki, załogi ich ostrzeliwały z dział i karabinów maszynowych radzieckie umocnienia graniczne i osiedla rybackie, a tam, gdzie nie napotykały oporu, wychodziły na ląd, aby grabić, podpalać i mordować ludność cywilną.

Czytelnik z pewnością zapyta, czemu teraz nie wspominam nazwiska mandżurskiego dyktatora Czang Tso-lina; przecież prowokacji wojennych dokonywano na „jego" terytorium. Otóż w okresie, o którym mowa, dyktator mandżurski i faktyczny naczelnik rządu w Pekinie oraz w północnych prowincjach już nie żył. Rok wcześniej awanturnik ów, który od lat realizował imperialistyczne zamysły Japonii i umacniał jej panowanie w Chinach, został zlikwidowany przez... samych Japończyków. Jego dotychczasowi mocodawcy uznali, że Czang Tso-lin nie jest już dostatecznie posłusznym wykonawcą ich zarządzeń, i postanowili zastąpić go kimś innym. Usunęli go, urządzając zamach na specjalny luksusowy wagon, w którym na trasie Pekin—Charbin jechał mandżurski dyktator. Ten nędzny przestępca, zdrajca swej własnej ojczyzny, wart był takiej nędznej śmierci.

Tak więc Czang Tso-lina już nie było, ale Japończycy i reszta imperialistów z łatwością mogli kupić za swe judaszowe srebrniki tylu i takich podwładnych, jakich potrzebowali dla swych zaborczych planów. Na miejsce Czanga zjawiło się dziesięciu nowych czangów — nadarzała się okazja otworzenia sobie kont w bankach Hongkongu, sposobność „wielkiej kariery". Czang Kaj-szek stanowił tak zachęcający przykład...

W szeregach chińskich były też niedobitki band Kołczaka i barona Ungerna złożonych z najzaciętszych wrogów władzy radzieckiej, ciągle jeszcze żywiących nadzieję na odrestaurowanie caratu. Tych utrzymywali imperialiści zachodni, karmiąc ich, ubierając i traktując jak swoich najemników.

Konflikt więc dojrzewał i na granicy doszło już, jak to się mówi, do wrzenia. Na próżno rząd radziecki usiłował załagodzić je pokojowymi środkami; ponawiane wciąż propozycje rokowań dyplomatycznych były systematycznie odrzucane przez Czang Kaj-szeka, którego podżegały imperialistyczne państwa. Wojna stawała się nieunikniona. Chińczycy w ogóle nie kryli swych zaborczych planów.

Kolejna poważna prowokacja miała miejsce na początku listopada, kiedy to chińska artyleria ostrzelała cywilne osiedla na radzieckim terytorium. W połowie listopada rozpoczęła się

ofensywa wojsk czangkajszekowskich. Znaczne siły piechoty i konnicy chińskiej wtargnęły na radzieckie terytorium, zaczęły grabić i panoszyć się tutaj, nazywając zajęte ziemie „uświęconą własnością chińską"... Wydarzyło się to na krótko przed naszym przybyciem do Chabarowska.

Gdy stawiliśmy się przed Blücherem w gmachu chabarowskiego zarządu wojskowego, przyjął nas serdecznie jak starych przyjaciół.

— Czekałem na was, czekałem na was, moi drodzy! — zawołał i oboma rękami uściskał dłonie moje i Griszy. — Niestety, w niewesołych okolicznościach się spotykamy, znów wojna, znowu walki... Ale — tu żartobliwie rozłożył ramiona — kto jest winien, że wybraliśmy sobie zawód żołnierza?

Był najwyraźniej w dobrym nastroju (zresztą któryż dowódca z prawdziwego zdarzenia da wyraz słabości wobec podkomendnych przed samą walką?), ale źle wyglądał. Bardzo schudł, włosy kontrastowały z bladą twarzą, mundur oficerski zwisał na wychudzonym ciele. I jeszcze coś uległo zmianie. Na pagonach munduru błyszczały teraz nie trzy, a cztery romby (ranga odpowiadająca obecnemu generałowi armii); czwarty romb otrzymał za doskonale wykonane zadania w Chinach. A co się tyczy jego stanu zdrowia, to pogorszył się on już tam właśnie (o czym wiedzieliśmy), tak że musiał wyjechać na pewien czas na kurację do Związku Radzieckiego. Dostał jakiejś uporczywej azjatyckiej egzemy, której powodem był niezwykle gorący klimat południa Chin, a przede wszystkim niezwykłe, dzień i noc trwające napięcie podczas realizowania trudnych zadań związanych z przygotowaniem i przeprowadzeniem wielkiego marszu na północ... Choroba ustąpiła, rekonwalescencję przerwało teraz jednak nadzwyczajne zlecenie radzieckiego rządu. I stary żołnierz natychmiast zjawił się na posterunku, gdy tylko trąbka zagrała do boju.

— Będziemy się musieli bić, to więcej niż jasne — rzekł Blücher, gdy siedliśmy przy stole, na którym leżała ogromna mapa topograficzna Dalekiego Wschodu. — Zwiad dostarczył

wyczerpujących danych, wróg gromadzi siły, aby zaatakować... Trzeba będzie walczyć również przeciwko oddziałom, które sami uczyliśmy sztuki wojennej... Ze strony Chin należy oczekiwać najbardziej nieprawdopodobnych rzeczy...

Blücher zakreślił na mapie pozycje Czang Kaj-szeka i białogwardzistów, wskazał też przypuszczalne punkty wyjściowe ataku.

— Chcą wtargnąć przez granicę — mówił — na obszarze od Zabajkala aż do Władywostoku. Jeśli uderzą pierwsi, zmuszą nas do walki na froncie długości około dwóch tysięcy kilometrów... Sami rozumiecie, jakie komplikacje wynikną stąd dla nas, ile dodatkowych sił trzeba im będzie przeciwstawić, ile tysięcy naszych obywateli będzie musiało opuścić stanowiska pracy, by stanąć pod sztandarami... Ile zbędnej krwi, cierpienia, zniszczeń... Dokonaliśmy dokładnych obliczeń co do pozycji przeciwnika, jego środków bojowych i żywej siły. Jeśli wtargnie na naszą ziemię, wiemy dokładnie, jak i gdzie uderzyć, by go zniszczyć, nim rozwinie całą swoją siłę ogniową... — Oto wasze zadania...

Grubym czerwonym ołówkiem zaznaczył trasę kolei KWŻD z Czity do Charbinu. Mówił o konieczności uszkodzenia tej jedynej zapewniającej łączność linii, którą bez przerwy transportowano jednostki wojskowe, którą pociągi pancerne przewoziły broń i amunicję w kierunku Zabajkala. Tory należało tylko uszkodzić, by na jakiś czas przerwać łączność, ale nie zniszczyć.

Ponadto konieczne było wysadzenie w powietrze niektórych budynków sztabowych czangkajszekowców i zniszczenie ich urządzeń wojskowych.

— Zadanie to mogą wykonać tylko ludzie, którzy znają Mandżurię — zakończył Blücher. — I którzy mają oczywiście kontakty z komunistami chińskimi w tych rejonach...

Ja i Grisza mieliśmy takie kontakty i w Mukdenie, i w Charbinie, i w Cicikar. Wiedzieliśmy, że wykonamy zadanie tylko przy ścisłej współpracy z miejscowymi patriotami chińskimi.

— Mam jedno pytanie, jeśli pozwolicie, Wasiliju Konstantynowiczu — odezwałem się. — W którym miejscu według wa-

szych danych byłoby najbezpieczniej przedostać się na drugą stronę Amuru?

Blücher podniósł głowę.

— Tak, to jest pytanie, na które nie mamy jeszcze odpowiedzi — odrzekł po krótkiej chwili. — Znamy dobrze każdy kilometr biegu Amuru i przerzucenie na tamtą stronę nie stanowi problemu. Z drugiej strony granicy współpracują z nami chińscy komuniści, a również i ludność, okradana i terroryzowana przez wojsko. Odpowiedzą pomocą na każde wezwanie. Ale zastanawiamy się teraz nad czymś innym: czy nie zrzucić was ewentualnie na spadochronach... Od Amuru do celu waszej wyprawy jest prawie trzysta kilometrów. Niemożliwe jest przebycie ich pieszo. A samolot pokona tę przestrzeń w ciągu około godziny...

— Dobrze! — zgodziłem się natychmiast. — Skakałem już ze spadochronem. Istotnie tak byłoby najszybciej i najbezpieczniej...

Rzeczywiście ćwiczyłem skoki spadochronowe w specjalnej szkole naszego ośrodka; była to jedna ze zdobywanych tam umiejętności i uznałem ten pomysł za najsłuszniejszy. Lecz Blücher, choć sam zaproponował to rozwiązanie, nie wyglądał na zachwyconego.

— Szybciej, tak! — zgodził się w zamyśleniu. — Ale czy bezpieczniej? — I od razu dodał: — Służy tu razem ze mną w OKDWA mój młodszy brat, lotnik. Szalony jak każdy młodzik, ale nawet on z rezerwą odnosi się do spadochronów...

— Nie rozumiem, Wasiliju Konstantynowiczu — zdziwiłem się.

Zamiast odpowiedzi Blücher energicznie wstał i rzekł:

— Dokończymy tej rozmowy jutro. Będę czekał na was rano, punktualnie o siódmej, tu, w sztabie.

Następnego dnia o siódmej rano przed sztabem OKDWA czekał na nas samochód wojskowy. Siedział w nim głównodowodzący oraz nasz stary towarzysz broni z Chin, Albert Janowicz Łapin, obecnie szef sztabu Blüchera. Uściskaliśmy się

serdecznie i pojechaliśmy. Dokąd? Tego obaj z Griszą nie wiedzieliśmy...

Ledwo dniało, gdy samochód wyjechał za miasto i wkrótce zatrzymał się na równym, porośniętym trawą polu, na końcu którego stały hangary i pobłyskiwały skrzydłami ustawione długim szeregiem samoloty. Byliśmy na chabarowskim lotnisku wojskowym, na którym znajdowały się nowe szybkie radzieckie dwupłatowce bojowe „R-1", jakie widziałem już w Chinach.

Wysiedliśmy z samochodu nieco zaskoczeni: czyżbyśmy mieli już lecieć? Ale w takim wypadku Wasilij Konstantynowicz uprzedziłby, byśmy przygotowali sobie ubranie, broń i inne rzeczy...

Blücher spojrzał na nas i uśmiechnął się:

— Jeszcze nie lecicie... Musimy wypróbować spadochrony...

W chwilę później nad lotniskiem zaczął krążyć „R-1", który miał zrzucać spadochrony z obciążeniem. Do każdego z nich przywiązano worek z piaskiem o przeciętnej wadze mężczyzny.

Był zimny wrześniowy poranek, ale dzień zapowiadał się ciepły i bezwietrzny, niebo wyglądało jak płat błękitnego jedwabiu. Samolot wzbił się w górę i na wysokości blisko tysiąca metrów otworzył spusty. Jeden, dwa, trzy... Z maszyny wyleciało dziesięć białych paczek. Staliśmy, utkwiwszy oczy w owe jasne punkty, które za chwilę powinny się otworzyć... Otworzyły się dwa, potem jeszcze dwa i jeszcze cztery... Rozpięte spadochrony łagodnie opadały na zieloną powierzchnię lotniska.

Ale było ich wszystkich osiem. A samolot zrzucił dziesięć...

Dowódca lotniska stał obok czerwony i spocony, jakby ponosił winę za niepowodzenie eksperymentu. Ale nikt tu nie był winny. Po prostu produkcja spadochronów stawiała dopiero pierwsze kroki i w Związku Radzieckim, i w ogóle na świecie.

Gdy samolot wylądował, Blücher kazał ponowić próbę znowu z dziesięcioma spadochronami i na większej wysokości.

Za drugim razem otworzyły się wszystkie.

Uśmiechnąłem się z ulgą, spojrzałem na Blüchera i rzuciłem:

— Wszystko w porządku, towarzyszu głównodowodzący... Proponuję, byśmy już nie tracili czasu...

Ale Blücher nie podzielał mego zadowolenia. Pokręcił głową i wydał zarządzenie, by samolot dokonał trzeciej próby.

Za trzecim razem otworzyło się dziewięć spadochronów. Dziesiąty z uwiązanym workiem piasku grzmotnął o ziemię, aż piasek rozprysnął się nad trawą jak przy wybuchu.

— Nie! — powiedział Blücher. — Będziemy chodzić po ziemi, aż w powietrzu wszystko już będzie bezpieczne. Absolutnie bezpieczne!

— Ależ Wasiliju Konstantynowiczu! — próbowałem oponować. — Może to był czysty przypadek... Przecież dziewięć z nich się otworzyło!...

Blücher przyjaznym gestem położył mi na ramieniu rękę.

— Mnie interesuje ten dziesiąty, drogi bułgarski przyjacielu...

Protest nie miał sensu. Ten komunista, radziecki dowódca, nie zgodziłby się ryzykować niepotrzebnie życiem żołnierza, jeśli istniały inne, bezpieczniejsze sposoby realizacji zadania.

W tydzień później, gdy Grisza wszystko przygotował, pewnej ciemnej jesiennej nocy przepłynęliśmy w czwórkę — ja, dwóch towarzyszy z radzieckiego wywiadu i jeden chiński komunista — łódką na drugi brzeg Amuru. Łódź należała do Chińczyka — rybaka z tamtej strony. Był on również przewodnikiem znającym doskonale rzekę i każdą zatoczkę, krzak czy kamień na przeciwległym brzegu.

Szeroka, powolna, ogromna rzeka Amur cicho toczyła na wschód swe ciemne wody. Płynęliśmy w milczeniu — wszystko było umówione z góry, każdy z nas wiedział dokładnie, co ma robić, każdy wtajemniczony był w odpowiednią część całego planu. Chińczyk miał nas tylko przewieźć na drugą stronę, gdzie powinni czekać na nas z samochodem czterej towarzysze chińscy z organizacji wojskowej w mieście Cicikar... Kilkadzie-

siąt kilometrów stąd, w dole biegu Amuru, oddziały chińskie wtargnęły już na radziecką ziemię. Nadszedł czas, by stawić opór...

Wróciliśmy dokładnie w dziewięć dni później po wykonaniu zadania. Z całej trójki, która wyruszyła, nikogo nie brakowało. Czterej towarzysze chińscy z Cicikar odwieźli nas z powrotem na to samo miejsce na brzegu Amuru i ten sam rybak, który przewiózł nas na tę stronę, teraz odwiózł nas na brzeg radziecki.

Zadanie zostało wykonane zgodnie z planem.

Blücher, który przez swoje kanały wywiadowcze śledził ruchy i działania naszej grupy, złożył nam gratulacje. I zlecił nowe zadania...

Czytelnik wie z pewnością, jak rozwinął się konflikt na linii kolejowej KWŻD, jak przebiegały i jak zakończyły się prowokacyjne poczynania czangkajszekowców na dalekowschodniej granicy Związku Radzieckiego. Blücher precyzyjnie zrealizował szczegółowo opracowany plan kontruderzenia, zadając prowokatorom błyskawiczne i miażdżące ciosy tam, gdzie wróg najmniej się ich spodziewał. W działaniach wojskowych uczestniczył cały szereg znakomitych dowódców: przyszły marszałek Związku Radzieckiego i bohater wojny ojczyźnianej K. Rokossowski, stary bohater wojny domowej S. S. Wostriecow, członek Rady Wojennej, stary bolszewik N. E. Donienko, dowódca 1 dywizji Pacyfiku A. I. Czeriepanow, dowódca 9 brygady kawalerii D. A. Wajner, szef wywiadu dalekowschodniego Miedwiediew i inni.

Przeciwnik został nie tylko odparty, lecz i pokonany. Do niewoli wzięto około dziesięciu tysięcy żołnierzy, sporo oficerów, nawet generałów wraz ze sztabami. Zdobyto całe góry broni i amunicji, kilka pociągów pancernych i statków rzecznych oraz inne środki transportu... Wróg otrzymał nie policzek, a silny cios żelazną pięścią w zęby.

Przebieg działań wojennych wstrząsnął reakcyjnymi kołami rządzącymi w Chinach oraz ich podżegaczami. Prowokacja nie

udała się, pochód krzyżowy, który imperialiści usilnie przygotowywali przeciwko Krajowi Rad, a który miał się zacząć ze Wschodu, został udaremniony w samym zarodku.

Bezlitośnie pobici na polu walki czangkajszekowcy dopiero teraz zgodzili się na rokowania. 22 grudnia 1929 roku podpisane zostało w Chabarowsku porozumienie radziecko-chińskie, przywracające normalną sytuację na granicy dalekowschodniej i na KWŻD.

Wkrótce na uroczystości, podczas której żołnierze Specjalnej Dalekowschodniej Armii Czerwonej otrzymali od rządu radzieckiego wysokie odznaczenia, Blücher oświadczył:

— Jeśli w przyszłości wróg ponowi próby, by przeszkodzić naszemu budownictwu socjalistycznemu i naruszy nasze granice, Armia Czerwona bronić ich będzie z jeszcze większą stanowczością, z większym entuzjazmem i z całkowitą gotowością do ofiary w obronie dzieła rewolucji.

Do Moskwy wróciłem, nim jeszcze rozpoczęły się w Chabarowsku rokowania radziecko-chińskie. Wasilij Konstantynowicz dał mi przedtem dziesięć dni urlopu, które poświęciłem na poznawanie okręgów nadmorskich. We Władywostoku spotkałem Bojana Papanczewa, którego rejon działania obejmował Daleki Wschód, Chiny i Japonię. Była tam też jego żona Penka, córka działacza komunistycznego ze Sliwen. Widywaliśmy się już przedtem, gdy jeździliśmy z Griszą do Władywostoku i Chabarowska, by przepakowywać przesyłki do Chin. Teraz Bojan pracował w wywiadzie.

W Moskwie czekała na mnie ogromna niespodzianka. Jednym z żołnierzy, których Blücher przedstawił rządowi radzieckiemu do odznaczenia Orderem Czerwonego Sztandaru, byłem również ja. Odznaczenie wręczał mi osobiście przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej Kalinin podczas uroczystości na Kremlu. Wraz z orderem uzyskałem też nominację: na pagonach mego oficerskiego munduru zjawił się romb (ranga komisarza brygady).

Część V

Żołnierze cichego frontu

1. Spotkanie z Richardem Sorge i zadania w Europie

Cykl zajęć w specjalnej jednorocznej szkole zakończył się w lutym 1930 roku i Berzin nie zwlekał z nowym zadaniem dla mnie. Tym razem wysyłał mnie w innym kierunku — do środkowej i wschodniej Europy. Strefą działania mego oraz mającej mi pomagać grupy stały się Austria, Polska, Czechosłowacja, Rumunia, Jugosławia, Grecja, Węgry, Bułgaria i Turcja. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nalegano, bym uczył się niemieckiego; w jednym z tych krajów (w Austrii) był to język oficjalny, w trzech innych (Czechosłowacji, Polsce i Węgrzech) — szeroko rozpowszechniony, a w pozostałych miał się przydać turecki (którym władałem), serbski (który znałem dość dobrze) i naturalnie mój język ojczysty. Tam, gdzie żaden z tych języków nie mógł znaleźć zastosowania, miałem się posługiwać rosyjskim...

Zadanie było ogromne i odpowiedzialne. Podjąłem się go z większą już pewnością siebie (wypływającą z nabranego doświadczenia), ale też i z większym napięciem wewnętrznym i z ciągłymi wątpliwościami, dręczącymi chyba każdego, nim wybierze się w uciążliwą i długą drogę: „Czy wystarczy mi sił?" W dodatku miałem wyruszyć teraz bez Griszy Salnina, mego bezpośredniego nauczyciela sztuki wywiadowczej. W Moskwie pozostała też Galina. Berzin nie wiedział bowiem, w czym mogłaby mi być tam na razie pomocna. Ale obiecał „wymyślić coś" na przyszłość. Tak więc z niewielką grupą współpracowników miałem pływać na głębokiej wodzie, pełnej ukrytych prądów, zdradzieckich wirów, miałem poruszać

się wśród tysiąca skrytych i jawnych nieprzyjaciół. Lecz nie wolno mi było odmówić wykonania zadania. Chodziło tu o spełnienie internacjonalistycznego obowiązku.

Szybko zaciskała się w Europie obręcz wokół Związku Radzieckiego, barometr stosunków politycznych wskazywał burzę. Imperialiści zachodni ponownie bezczelnie i otwarcie pobrzękiwali bronią i wykrzykiwali pogróżki. Niebezpieczeństwo odparowane ze Wschodu przeniosło się na Zachód wraz ze wszystkimi wynikającymi stąd następstwami dla spokoju, bezpieczeństwa i losu Związku Radzieckiego.

Prowokacja na KWŻD, jak się już rzekło, była w istocie pomyślana przez imperialistów tylko jako uwertura do wielkiej wojny na Dalekim Wschodzie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Uderzenie stamtąd miało być poparte odpowiednio skoordynowanymi operacjami ofensywnymi z zachodu, północy i południa. Tak wyglądały plany państw imperialistycznych. W pierwszym rządzie konieczny był jednak pomyślny wynik prowokacji na KWŻD, a w ślad za nią i ataku na dalekowschodnie granice radzieckie.

Nie udało się. Imperialiści zachodni zrezygnowali chwilowo z Chin, pozornie oddając Daleki Wschód pod wpływy Japonii. Chińscy reakcjoniści zaś, sparzywszy się, odstąpili od granic ZSRR, lecz gromadzili siły do nowej prowokacji i uderzenia, gdy okoliczności będą temu sprzyjać...

Obecnie imperialiści zachodni zaczęli kłaść nacisk na swą antyradziecką działalność w Europie. Na początku lat trzydziestych na czele wielkiego spisku stanęli stratedzy z francuskiego sztabu generalnego, następcy marszałka Focha, oraz angielscy kolonizatorzy. Paryż, stolica zachodniej Europy, przekształcił się w stolicę „rosyjskich wygnańców", w ośrodek światowego szpiegostwa i knowań przeciwko Krajowi Rad. W oparciu o swą przewagę wojskowo-gospodarczą zwycięskie mocarstwa, do których przylgnęły też (choć już na ostatnim etapie wojny) Włochy, w praktyce podporządkowały sobie gospodarczo i politycznie całą Europę. Kajzerowskie Niemcy, do niedawna główny wróg ententy, przeszły do historii, lecz Niemcy jako kraj — pozostały. Wprawdzie zniszczone wojną,

wprawdzie po straszliwej katastrofie politycznej, finansowej i ekonomicznej, lecz mimo wszystko kraj, który niedawni jego wrogowie wkrótce postawią na nogi, by rzucić go przeciwko ZSRR. Zdecydowanie faszystowskie były reżimy w pięciu europejskich państwach — we Włoszech (Benito Mussolini), na Węgrzech (admirał Horthy), w Hiszpanii (Primo de Rivera), w Portugalii (gen. Carmona) oraz w Bułgarii (reżim tzw. „Umowy"). Antyludowe reżimy na poły faszystowskiego typu istniały w Polsce (Piłsudski), Rumunii (reżim królewsko-obszarniczy), Grecji (reakcyjno-wojskowy) i w Jugosławii (królewsko-dyktatorski).

Nieco łagodniejsze rządy, ciągle jeszcze związane z iluzorycznymi zdobyczami burżuazyjnej demokracji, lecz krańcowo drażliwe wobec wszelkich przejawów rewolucji i z chłodną podejrzliwością traktujące ZSRR, miały Czechosłowacja i Austria. Czechosłowacja Masaryka, odrodzona jako państwo w wyniku rozpadu imperium austro-węgierskiego, znajdowała się pod moralno-politycznym wpływem Francji i tworzyła rdzeń tzw. „małej ententy" (Czechosłowacja, Rumunia, Jugosławia), którą imperialiści francuscy usiłowali przekształcić w pomost do nowego pochodu krzyżowego przeciwko ZSRR. Przemysł czechosłowacki, obecnie nie nękany konkurencją rozbrojonych Niemiec, gwałtownie się rozwinął, starając się zastąpić na rynku światowym opróżnione miejsce kajzerowskich zakładów zbrojeniowych (chwilowo unieruchomionych po klęsce lub ograniczonych w produkcji). Zakłady zbrojeniowe w Pradze, Brnie, Pilznie, Ostrawie, ściągnąwszy znaczne kapitały zagraniczne, gorączkowo produkowały najnowocześniejszą jak na owe czasy broń, sprzedając ją armiom państw faszystowskich. Jednocześnie francuski sztab zgodnie ze swoją agresywną strategią antyradziecką przebudowywał armię czeską, traktując ją jako część swej przyszłej siły uderzeniowej. Ta szczególna sytuacja dawała Czechosłowacji względny dobrobyt, lecz był to dobrobyt budowany na beczce z dynamitem, zależny od niepewnej koniunktury politycznej i sprzeczny z istotnymi interesami narodu. A to zawsze w historii kończyło się fatalnie...

Jeszcze bardziej specyficzna była sytuacja Austrii. Ogromne

dawniej i potężne imperium austro-węgierskie stopiło się jak śnieżna kula w kwietniu i na początku lat trzydziestych Austria była krajem zamkniętym w granicach mniejszych niż Bułgaria (osiemdziesiąt cztery tysiące kilometrów kwadratowych), z wyniszczoną gospodarką. Wiedeń, urocza stolica walca, romantycznego flirtu i niezapomnianych rozrywek, na początku lat trzydziestych, gdy znalazłem się tam po raz drugi, stanowił blade odbicie swej dawnej świetności.

Na parę miesięcy przed moim wyjazdem po którymś z zebrań organizacji partyjnej w ośrodku Berzin wezwał mnie do swego gabinetu. Był późny wieczór, a na biurku paliła się tylko stojąca lampa, która rzucała niewielki krąg światła.

— Czyżbyś nie poznawał towarzysza, Wanko?

Drgnąłem. O kim to mowa?

— Ale za to towarzysz słyszał o tobie — kontynuował Berzin — i wezwałem cię na jego prośbę...

Obejrzałem się, słowa Berzina wskazywały, że w gabinecie był oprócz nas ktoś trzeci.

I dopiero wtedy go spostrzegłem. W głębi, daleko od biurka Berzina, siedział w fotelu i w milczeniu palił papierosa towarzysz z Niemiec; widziałem go raz czy dwa w ośrodku. Był to przystojny wysoki mężczyzna, szatyn o kędzierzawych włosach i jasnych oczach. Pamiętałem go też z hotelu Kominternu „Lux", gdzie od 1925 roku miał swój pokój. W ośrodku znany był pod fikcyjnym nazwiskiem, a jak się nazywał naprawdę, dowiedziałem się o wiele później: był to doktor Richard Sorge.

Podszedłem do niego. Wstał energicznie i przyjaźnie uścisnął mi rękę. Był bardzo wysoki — przewyższał mnie niemal o głowę — lecz jakby za wąski w ramionach jak człowiek, który nie pracował fizycznie. Lekko utykał (dowiedziałem się później, iż był to skutek ran odniesionych w czasie wojny).

— Gratuluję odznaczenia! — powiedział z uśmiechem, przytrzymując moją dłoń. — Słyszałem o was. Wykonanie tego zadania rzeczywiście zasługuje na tak wysokie wyróżnienie! — i Sorge wskazał oczami Order Czerwonego Sztandaru na moim oficerskim mundurze.

Podziękowałem krótko, pomijając skromnym milczeniem po-

chwałę, lecz zdumiałem się: „Skąd mógł wiedzieć o Chinach i Dalekim Wschodzie? Kto wtajemniczył go w sekret niedawno wykonanych tajnych poleceń?" Sprzeciwiało się to naszym zasadom. Nawet ludziom z ośrodka nie wolno było wiedzieć (oprócz szczególnych wypadków), dokąd wyjeżdża lub skąd powrócił po długiej nieobecności ich kolega. Berzin uczynił z tego żelazną zasadę.

Berzin spostrzegł moje zmieszanie i pośpieszył wybawić mnie z kłopotu:

— Towarzysz wie już o niektórych sprawach, Wanko...

Tak to co innego! Gdy któryś ze stałych pracowników ośrodka miał wyruszyć za granicę do nowej pracy, konieczność niekiedy wymagała, by na specjalne polecenie Berzina koledzy objaśnili mu pewne sprawy, znane im, ponieważ sami pracowali już w tym rejonie. Richard Sorge prawdopodobnie wyjeżdża na Wschód, może do Chin, do Indochin czy Japonii. Berzin nic o tym nie mówił, a ja oczywiście nie pytałem — dyskrecja też była żelazną regułą naszej pracy. Mogłem jednak udzielić informacji dotyczących tylko Chin.

— A więc Wschód — uśmiechnąłem się do Sorgego i zapaliłem papierosa, którym mnie poczęstował ze srebrnej papierośnicy. — Co się tyczy Chin, to aktualnie panuje tam chaos, jakiego jeszcze chyba nie było... Czang Kaj-szek za wszelką cenę usiłuje zniszczyć dywizje ludowej armii, przebijające sobie drogę z Kantonu na północ. Ludowa armia zaś za wszelką cenę usiłuje przebyć Chiny środkowe, by dotrzeć do granic ZSRR, gdyż na południu czeka ją całkowite wyniszczenie. Japończycy za wszelką cenę usiłują rozbić blok czangkajszekowski, by umocnić się na kontynencie. Anglicy i Amerykanie zaś za wszelką cenę chcą przeszkodzić Japończykom, by przywrócić swe stare wpływy w Azji...

Usiedliśmy na dobrze nam znanych krzesłach przy stoliku, przy którym Berzin lubił ze swymi współpracownikami analizować wykonane zadanie i omawiać nowe. Przez długi czas opowiadałem szczegółowo o wielu problemach pracy wywiadowczej w Chinach. Mówiłem o ludziach, z którymi nawiązaliśmy konspiracyjną łączność, jaką nadal można podtrzymywać,

o firmach w Pekinie i Szanghaju, o fabryce konserw „Wegedeka" i jej właścicielach, o metodach ułatwiających najpewniejszy i bezbłędny kontakt z naszym ośrodkiem oraz o wielu innych sprawach. Sorge miał ruchliwe rysy intelektualisty, reagował na każdą myśl, każdą emocję. Zadawał pytania, a potem cały zamieniał się w słuch; interesowały go nawet rzeczy, które pozornie nie należały do arsenału metod i środków wywiadowczych; pytał o sztukę, obyczaje, psychologię Chińczyków z różnych warstw społecznych. Były to pytania, świadczące o szerokim horyzoncie myślowym, o wrodzonym subtelnym intelekcie, o bogatej kulturze, jednak sygnalizowały jakby brak praktycznego doświadczenia w dziedzinie wywiadu. Wyczuwałem, jak Sorge wypróbowuje w myślach grunt, na którym w przyszłości miał pracować.

Gdy wychodziliśmy z ośrodka, była północ. Berzin zabrał nas swym służbowym autem. Silny czarny packard pomknął szerokimi pustymi o tej porze ulicami Moskwy. Kierowca, przecinając Plac Czerwony, minął mauzoleum Lenina, skręcił nad rzekę Moskwę i ruszył w kierunku Wzgórz Leninowskich milczących w mroku nocy. Wysiedliśmy, by pospacerować i zaczerpnąć świeżego powietrza. Ze wzgórz, choć niezbyt wysokich, jak z teatralnej loży otwierał się widok na całą Moskwę połyskującą światłami. Stolica wielkiego Kraju Rad spała głębokim snem. Żeby nikt tego snu nie zmącił, by nikt nie zakłócił spokoju dnia powszedniego, tysiące mężczyzn w mundurach i tysiące żołnierzy cichego frontu musiało dzień i noc czuwać z bronią u nogi...

Z Richardem Sorge widziałem się jeszcze kilkakrotnie, miał on bowiem w Moskwie rodzinę (i jego przygarnęła wielka ojczyzna Lenina). Nadal nie wiedziałem, czy krajem, w którym będzie pracował, staną się Chiny — to sprawa dyskrecji, o której wspominałem — jednak w jego głębokim zainteresowaniu moimi opowiadaniami musiał kryć się jakiś cel. Oczywiście, byłoby ono również usprawiedliwione, gdyby na rejon jego

działalności przeznaczono cały Daleki Wschód. I w tym wypadku moje informacje mogły posiadać dla niego wartość...

Jaka była trasa podróży Sorgego i zadania przeznaczone mu przez Berzina, dowiedziałem się wiele lat później. Na początku 1929 roku, wkrótce po naszym wyjeździe z Chin, Sorge został tam wysłany, aby stanąć na czele grupy wywiadowczej. Terenem jego działania stały się Chiny północno-wschodnie i południowo-wschodnie (Charbin, Mukden, Szanghaj, Kanton), gdzie organizował dziesiątki grup pomocniczych, dysponujących przenośnymi radiostacjami. Zadaniem jego grupy było śledzenie ukrytych tendencji i tajnych planów Japonii oraz jej chińskich satelitów — polityków i generałów. Grupie Sorgego udało się dokładnie i na czas poinformować ośrodek o „incydencie mukdeńskim", to jest o dokonanej przez Japonię na przełomie 1931 i 1932 roku okupacji Mandżurii. Okupacja ta stanowiła ukoronowanie nowych prowokacji na KWŻD. Sorge doniósł również o organizowaniu przez Japończyków nowych białogwardyjskich band siemionowskich, aby naruszały dalekowschodnią granicę i buszowały po terytorium ZSRR. Uprzedził też o agresji Japonii na północno-wschodnie Chiny i o planach utworzenia marionetkowego państwa Mandżukuo, mającego być bazą wypadową na radziecki Daleki Wschód...

Sorge z powodzeniem wykonywał owe trudne zadania, rozwijając jednocześnie jako korespondent burżuazyjnego dziennika niemieckiego „Frankfurter Zeitung" aktywną działalność dziennikarską. Będąc doktorem nauk prawa państwowego, znakomitym historykiem sztuki i człowiekiem o wszechstronnej kulturze i bogatych zainteresowaniach, w krótkim czasie wyrobił sobie opinię pierwszorzędnego publicysty... W istocie było to jednym z jego głównych zadań. Berzin polecił, by Sorge zyskał prestiż i „zapuścił korzenie" w burżuazyjno-nazistowskich kołach w Niemczech, dokąd został w celach legalizacji wysłany natychmiast po powrocie z Chin, wkrótce po złowieszczym dniu 30 stycznia 1933 roku, w którym Hitler został kanclerzem Rzeszy. Jesienią tego samego roku Sorge z nazistowskim alibi wyjechał do Japonii, nadal jako korespondent „Frankfurter Zeitung". Tam, zaliczony do „sprawdzonego"

środowiska hitlerowców, realizował przez przeszło osiem lat skomplikowane zadania wywiadu wojskowego. Jak Czytelnikowi z pewnością wiadomo (o sukcesach Richarda Sorge napisano ostatnio wiele książek i prac dokumentalnych, kręcono też filmy), ten świetny wywiadowca, zwerbowany do naszego ośrodka przez Berzina i pracujący pod jego kierunkiem w ciągu długich lat, wspaniale wywiązywał się z otrzymanych zadań. Właśnie w Japonii Sorge zdołał wykryć tajemnice posiadające ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa Związku Radzieckiego. Jego nazwisko, zasłużenie okryte sławą, znalazło się na liście nieśmiertelnych bohaterów-internacjonalistów, którzy oddali życie, by przyczynić się do zwycięstwa nad faszystowskimi agresorami.

Do Wiednia wyjechałem w marcu 1930 roku. Miasto to miało zostać siedzibą naszej grupy wywiadowczej. Nazwa miesiąca podsunęła Berzinowi kryptonim „Marzec", którym miałem podpisywać swe tajne doniesienia. „Stary" (jak nazywaliśmy naszego powszechnie szanowanego szefa może ze względu na posiwiałe włosy, choć liczył sobie zaledwie czterdzieści lat) dał mi stanowcze zalecenie:

— Unikaj wszelkiego kontaktu ze zorganizowanymi komunistami, jak i z ich kierownictwem, niezależnie od tego, czy pracują legalnie, czy nielegalnie. Szukaj pomocy uczciwych, postępowych ludzi, którzy w taki czy inny sposób dali wyraz swej sympatii dla państwa radzieckiego, którzy walczą o zbliżenie i przyjaźń między narodami... Ci ludzie są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami w wysiłkach dla utrzymania pokoju...

Dobrze rozumiałem względy, jakimi kierował się Berzin; zachodni heroldowie prasowi i politykierzy, cynicznie udający ślepotę wobec brutalnych interwencji imperialistów przeciwko każdej próbie rewolucji w jakimkolwiek miejscu na świecie, podnosili niesłychaną wrzawę przeciwko bratniej pomocy, jaką Związek Radziecki okazywał ruchom rewolucyjnym różnych narodów. Oczywiście, płatni rzecznicy monopolistyczne-

go kapitału nie byli w stanie oszukać klasy robotniczej i mas pracujących; w sieci ich wpadali głównie przedstawiciele drobnej burżuazji, ludzie nie uświadomieni politycznie i klasowo. Międzynarodówka zaś posiadała dostateczną siłę i wpływy, by nie potrzebować w swej działalności pomocy z zewnątrz.

Istniał jeszcze jeden wzgląd, z którego wypływało owo stanowcze zalecenie Berzina. W większości państw środkowoeuropejskich, w których mieliśmy pracować, partie komunistyczne zeszły do podziemia i władze wzmagały wobec nich represje. W konsekwencji więc kontakty z nimi mogły narazić nas na dodatkowe ryzyko w przypadku aresztowań dokonywanych przez policję któregoś z tych krajów w szeregach organizacji partyjnych.

Zresztą muszę od razu dodać, że zalecenie to nie zawężało kręgu, w jakim mogliśmy szukać pomocy. Przeciwnie. W owych czasach szerokie masy w Europie — mimo iż wciąż jeszcze nie zorganizowane we własnych partiach komunistycznych — szybko dojrzewały do rewolucyjnych zmian na świecie. Miliony ludzi pracy w głębi serca oddane były ideałom komunistycznym i z satysfakcją obserwowały budownictwo socjalistyczne w Związku Radzieckim. Poza tym wszystkim ludziom pracującym drogi jest pokój (to na ich barkach spoczywa ciężar każdej wojny, to ich kości bieleją zwykle na polach walk!), a widzieli oni jasno, że jedynym na świecie krajem szczerze walczącym o pokój potrzebny mu, by budować szczęście i pomyślność swoich narodów, jest Związek Radziecki. I gotowi byli — o czym przekonałem się osobiście — współpracować z nami, bo zdawali sobie sprawę, że w ten sposób popierają sprawę pokoju i braterstwa między narodami. Cóż, instynkt klasowy!

Właśnie instynkt klasowy i ideowość były (i są do dzisiaj) dwiema podporami, na których w dużej mierze opierał się radziecki wywiad wojskowy w walce przeciw kontrrewolucji i imperialistycznym spiskom.

W przeciwieństwie do nas imperialistyczne wywiady zachodnie opierały się na potędze pieniądza. Przyjęły one tezę, że

nie ma człowieka, którego by nie można było kupić, z tym że jednego należy ocenić na kilka srebrników, drugiego zaś na górę złota... I próbowały wymieniać za złoto przeróżne wartości, które nie figurują w żadnej nomenklaturze handlowej — kupowali dusze, sumienia, a niekiedy nawet... przyszłe pokolenie.

Wyjaśnię to.

W Chinach, gdzie miałem możność nawiązania kontaktów z byłymi agentami zachodnich wywiadów imperialistycznych, mogłem stwierdzić rzecz następującą: niektóre z ośrodków zachodnich, głównie angielski (Intelligence Service), proponowały niekiedy określonym osobom „rokującym nadzieje" znaczne sumy, by udały się do wskazanego kraju w celu zamieszkania tam i poprowadzenia jakiegoś interesu. Sum koniecznych na zapoczątkowanie takiego interesu (handlu, produkcji przemysłowej czy hotelarstwa) dostarczał odpowiedni wywiad, który nie skąpił środków. Od wymienionej osoby nie wymagano absolutnie żadnej pracy wywiadowczej, miała ona tylko „zapuścić korzenie" w określonym środowisku, nawiązać konieczne kontakty, doprowadzić do stosownego mariażu i żyć jak „równy z równymi" w społeczeństwie obcych dżentelmenów, którzy trzymają się z daleka od polityki i pracy wywiadowczej.

Intelligence Service, hojnie finansując interesy owych osób (wymyślając im czasem nawet znakomite drzewo genealogiczne), interesowała się nie nimi, a ich potomstwem. Kupiwszy ojca, inwestorzy automatycznie kupowali synów i córki. Ojciec miał bowiem obowiązek wychować dzieci w uwielbieniu dla Imperium Brytyjskiego, by gotowe były przyjąć, gdy nadejdzie czas, wyznaczoną im rolę zawodowych szpiegów.

Dalekowzroczne posunięcie, nie ma co mówić!

Lecz i angielski, i pozostałe zachodnie ośrodki wywiadowcze w swej taktyce operatywnej i dalekosiężnej strategii popełniały błąd. Fatalny! Polegał on na przyjęciu za pewnik tezy o wszechpotędze pieniądza. Pieniądze istotnie są siłą. Mam za sobą przeszło siedem dziesiątków lat doświadczenia życio-

wego i śmieszne by było, gdybym wciąż łudził się, że tak nie jest. Ale pieniądze nie są wszechpotężne. Mogłem wielekroć się o tym przekonać. Siła pieniądza jest złudna. Wabi on zwykle niepełnowartościowych ludzi, którzy nikomu (nawet sobie) nie potrafią służyć z talentem i oddaniem. A jeśli nawet za pomocą pieniądza uda się osiągnąć coś u wartościowych jednostek, to zwykle nie na długo. Wcześniej czy później ludzie ci znajdują sposób wyrwania się z sieci lekkomyślnie podjętego obowiązku. A kiedy nie udaje im się to, wówczas kończą samobójstwem. Sam miałem możność zetknięcia się z podobnymi, pozornie nie wyjaśnionymi, samobójstwami ludzi, którym się wiodło i w interesach, i w życiu rodzinnym... Otóż właśnie ci ludzie chcieli zerwać z szatanem, któremu zaprzedali swe potomstwo, a stwierdziwszy, że im się to nie uda, wybierali jedyny sposób: umierali, by godnie mogły żyć ich dzieci...

Inni jednak znajdowali odmienne wyjście z sytuacji. Zrozumiawszy popełniony błąd, dojrzawszy ideowo i politycznie, utwierdziwszy się w przekonaniu, że prawda jest po stronie przeciwnika, sami przychodzili do nas. Jak już wspomniałem, niektórzy robili to po podróży koleją transsyberyjską, inni wskutek przeżyć podobnego rodzaju. Przychodzili do nas i nie żądając ani centa oddawali nam cenne usługi. Takich współpracowników mieliśmy w Chinach, takich współpracowników wywiad radziecki miał również w innych punktach kuli ziemskiej...

Oto przykłady, na podstawie których wyrobiłem sobie przekonanie o zawodności siły pieniądza. I dodam jeszcze, iż my bardzo rzadko posługiwaliśmy się pieniędzmi; w ogromnej większości wypadków nasi współpracownicy nie przyjęliby ich, głęboko dotknięci. Pomagali nam z pobudek nie płynących z chęci zysku, nie dających się zmierzyć zwykłymi wartościami, a zrodzonych z przeświadczenia, które nadaje sens życiu, z przeświadczenia, że istnieją ideały. A ściślej z przekonania, że ideologia komunistyczna jest słuszna i że pomagając Związkowi Radzieckiemu walczą o pokój i przyspieszają postęp ludzkości.

Wiedeń z 1930 roku nie był Wiedniem Stefana Zweiga ze „Świata wczorajszego", to jest z okresu przedwojennego, nie był też Wiedniem z roku 1925.

W przeciągu pięciu lat dzielących mnie od pierwszego pobytu w tym mieście rozegrały się tu pełne grozy wydarzenia, które zmieniły klimat polityczny kraju.

Mam na myśli głównie powstanie lipcowe w 1927 roku, powstanie wiedeńskich mas pracujących, które wstrząsnęło od podstaw całą Austrią i przeraziło wszystkie kapitalistyczne rządy w Europie.

Oto pokrótce przebieg tych wydarzeń:

W styczniu 1927 roku w Wiedniu jedna z faszystowskich band dokonała zbrojnej napaści na spokojne zebranie robotnicze. Wśród robotników było kilku zabitych i rannych. Podobne ataki na robotnicze wiece, zebrania i manifestacje miały też miejsce i przedtem. Szalejące bandy faszystowskie, popierane i uzbrajane przez wielką burżuazję i władze, od kilku lat (poczynając od pierwszej próby zdobycia władzy przez Hitlera w Niemczech w 1923 roku) terroryzowały wiedeński proletariat.

Zabójcy, aresztowani przez policję, stanęli przed sądem, lecz 14 lipca tego samego roku zostali uniewinnieni...

Prowokacyjna decyzja sądu, która w istocie stanowiła zachętę do dalszych gwałtów, oburzyła ludzi pracy w austriackiej stolicy. Ogłoszono częściowy strajk. Dziesiątki tysięcy robotników wiedeńskich przedsiębiorstw, porzuciwszy pracę, zebrały się przed Rathausem (magistratem) na pryncypalnej Ringstrasse i przed gmachem parlamentu. Ludność domagała się sprawiedliwej kary dla zabójców, rzucając jednocześnie hasła przeciwko ofensywie kapitału, przeciwko liberalnemu stosunkowi władz do organizacji prawicowo-ekstremistycznych i faszystowskich. Rozlegały się wołania o chleb i pracę (w tym czasie ofiarami bezrobocia padały setki tysięcy ludzi, którzy znaleźli się w nędzy).

Demonstracja miała charakter pokojowy, jednakże policja otwarła ogień do nie uzbrojonego tłumu. Najpierw strzelano

z karabinów zwykłych, a potem z maszynowych, następnie na kolumny robotnicze ruszyła szarża konna.

Czy to nie zdumiewające, że w sercu Europy, w demokratycznej Austrii niczym nie sprowokowane władze nie chciały się pogodzić z pokojowymi demonstracjami swoich obywateli? Przecież demokratyczny rząd powinien ich wysłuchać niezależnie od ich przynależności klasowej, niezależnie od charakteru ich żądań... Istotnie, powinien. Zgodnie z iluzją naiwnych co do charakteru demokracji burżuazyjnej...

Na brutalną akcję policji robotnicy wiedeńscy zmuszeni byli odpowiedzieć siłą. Stawili opór gołymi rękami i udało się im odebrać broń siejącym śmierć przedstawicielom władzy. Po czym zaatakowali odwachy policyjne, zajęli gmach sądu i spalili haniebne akta procesów. Po stronie robotników stanęła straż ogniowa.

Być może, skończyłoby się na tym, gdyby rozwścieczone oporem władze nie rzuciły przeciwko ludowi oddziałów policji federalnej i nowych zmobilizowanych sił. Robotnicy zmuszeni zostali do wzniesienia barykady na Ringstrasse i w niektórych swoich dzielnicach. Zaczęła się regularna walka.

Następnego dnia strajk częściowy przerodził się w generalny, a najgorętsze walki rozgorzały w robotniczych dzielnicach Wiednia. Na barykadach stanęli ramię przy ramieniu lewicowi socjaldemokraci, komuniści i bezpartyjni oraz lewicowi członkowie Schutzbundu. Walczyli bohatersko, ale trzeciego dnia władze sprowadziły z prowincji posiłki policji i wojska. Przeciwko powstańcom wytoczono działa artyleryjskie i miotacze min. Kierownictwo partii socjaldemokratycznej odwołało strajk generalny, wezwało powstańców do złożenia broni i wstrzymało całą akcję oporu Schutzbundu. Upadek był nieunikniony... Powstanie z pomocą wojska zostało utopione we krwi setek zabitych i ciężko rannych...

Władze rozpoczęły ostre represje przeciwko powstańcom i wszystkim siłom lewicowym (z wyjątkiem „sprawdzonych" socjaldemokratów). Od tej chwili nastąpił przełom w kierunku stopniowego rozwoju austriackiej reakcji, zakończonego dyktaturą Dollfussa i Anschlussem w 1938 roku. Setki i tysiące po-

wstańców: komunistów, lewicowych schutzbundowców i innych bojowników musiało emigracją ratować się przed okrutną zemstą władz. A władze w pośpiechu zajęły się wznoszeniem muru specjalnych ustaw oraz poprawek do istniejących zarządzeń i uchwał, usiłując wprowadzić taki porządek i spokój, jaki dyktowały im własne interesy klasowe.

W powstaniu wiedeńskim w 1927 roku wzięły udział również dziesiątki bułgarskich emigrantów politycznych i studentów, przebywających w owym czasie w stolicy Austrii. Byli to członkowie zagranicznej organizacji BPK oraz postępowego związku studenckiego, istniejącego od początku lat dwudziestych i skupiającego niemal całą rewolucyjną bułgarską młodzież, która przybyła tu, by zdobyć wykształcenie. Jak Czytelnikowi już wiadomo, część tych ludzi, wyemigrowawszy z ojczyzny w drugiej połowie 1925 roku po niefortunnym zamachu kwietniowym, z samozaparciem pomagała nam w przerzucaniu z Jugosławii bułgarskiej emigracji politycznej, której groziło tam wyniszczenie. Oczywiście członkowie młodzieżowego związku zmieniali się, jedni kończyli studia i wracali do kraju, inni przybywali, by się uczyć, i zajmowali miejsce tamtych. Tym sposobem przez długie lata mimo represji ze strony oficjalnych władz i szantażów carskiego przedstawicielstwa bułgarskiego w Wiedniu, związek kierował działalnością kilkuset naszych postępowych studentów i emigrantów politycznych.

2. Spotkanie z Georgi Dymitrowem

Granice dzielące Wiedeń od Moskwy przebyłem z paszportem tureckiego kupca, jadącego tranzytem z Persji przez Związek Radziecki do Europy. Lecz konieczność wymagała, bym zmienił papiery z chwilą przybycia na ziemię austriacką. Przeobraziłem się więc w polskiego Żyda z Podkarpacia. Jeszcze w Moskwie ułożono mi cały rodowód, obmyślono

miejsce urodzenia i środowisko, z którego miałem pochodzić. Mogłem odpowiedzieć na wszelkie przypadkowe pytania dotyczące kultury, historii czy osobliwości rodzinnego miasta; przyswoiłem sobie charakterystyczne nawyki tej nacji, znałem dokładnie tryb życia jej przedstawicieli, sposób ubierania się i zachowania, obyczajowość i tym podobne szczegóły. Berzin udzielił mi przy tym wszechstronnej pomocy.

Zamieszkałem w II bezriku — była to jedna z burżuazyjnych dzielnic Wiednia — u średnio zamożnej rencistki, która przyjęła mnie ze szczególnym ukontentowaniem. Młody, nieżonaty cudzoziemiec wyraźnie przypadł jej do gustu jako lokator, a gdy bez targów zgodziłem się na komorne, uprzejmość jej wzrosła, choć gospodyni była zaskoczona; ludzie tego typu, na który wyglądałem, zwykle targowali się o wszystko, szczególnie zaś o opłatę za mieszkanie, wyznaczaną przez gospodarza odpowiednio do popytu. Suma, którą podała rencistka, była wysoka (prawdopodobnie wywoławcza), ale ja zaaprobowałem ją prawie od razu. Już z chwilą wynajmowania mieszkania miałem na uwadze dwie sprawy: po pierwsze chciałem zyskać przychylność gospodyni, uprzejmej wiedenki, a po drugie — wywołać wrażenie, iż dla mnie — syna bogatych rodziców — pieniądze nie mają szczególnego znaczenia. Przyjechałem do Wiednia — powiedziałem jej — by specjalizować się w prawie z myślą o objęciu interesu po ojcu.

— Ja, mein Herr — potakiwała grzecznie gospodyni w odpowiedzi na moje słowa, a gdy podarowałem jej butelkę wody kolońskiej, rozpłynęła się w uprzejmościach.

Nie współpracowała z policją, świadczyło o tym jej zachowanie; była to starsza, szacowna, nie mająca złudzeń co do przyszłości wdowa, która znalazła sposób na utrzymanie się w niełatwych czasach powojennego kryzysu gospodarczego. Dodatkową okolicznością wpływającą na decyzję wynajęcia właśnie tego mieszkania było bezpośrednie sąsiedztwo z policją. Komisariat mieścił się na parterze w tym samym domu. Przy zachowaniu ostrożności sąsiedztwo to mogło stać się dodatkową ochroną w mojej tajnej robocie.

Znałem Wiedeń i kochałem to miasto, być może dlatego, iż

wiązały się z nim przeżycia wspólne z drogimi sercu towarzyszami w tragicznym dla naszej partii okresie 1925 roku. Niewielu ich tu obecnie zostało. Znaczna część emigrantów politycznych od dawna przebywała w Związku Radzieckim, niektórzy ukończyli już tam różne wyższe zakłady naukowe i poświęcili się budownictwu socjalistycznemu lub wojskowej obronie kraju. Wielu spośród nich decyzją Biura Zagranicznego partii zostało skierowanych do różnych krajów Europy Zachodniej, gdzie w przyszłości mieli oddać ogromne usługi sprawie rewolucji. Ci, którzy pozostali w Austrii, przebywali głównie w Wiedniu. Działała tu nadal ich organizacja (mimo iż liczyła niewielu członków), pracując po linii Biura Zagranicznego, MOPR-u i Kominternu (bo mimo wszystko Wiedeń pozostał ważnym węzłowym ośrodkiem ruchu bułgarskich kadr przybywających z kraju lub udających się tam. Ten stan rzeczy miał trwać aż do aneksji Austrii w roku 1938). Anton Iwanow, zajmujący się Austrią w latach 1926—1930 po linii Biura Zagranicznego, teraz właśnie szykował się do wyjazdu. Spotkałem się z nim wkrótce po przybyciu, mógł mnie bowiem nie tylko poinformować, jaka jest sytuacja w kraju, ale i zapoznać ze składem bułgarskiej emigracji politycznej, głównie zaś bułgarskiej młodzieży studenckiej, co w pewnych wypadkach okazywało się użyteczne. Obecnie nie miałem znajomości w tym środowisku — okoliczność szczególnie dla mnie przykra w warunkach nowych moich zadań.

Anton Iwanow (noszący wówczas pseudonim „Osman") nie bardzo zmienił się przez ostatnie cztery—pięć lat, w ciągu których go nie widziałem. Był to rosły, nieco wyższy ode mnie, postawny mężczyzna, posiadający coś ogromnie sympatycznego w uśmiechu, gestach, w spojrzeniu jasnych oczu, które spontanicznie zdawały się wyrażać przyjaźń. Ubrany był przyzwoicie, choć skromnie jak większość słynących przed wojną z elegancji, lecz obecnie mocno podupadłych wiedeńczyków (w Wiedniu i w całej Austrii panowało straszliwe bezrobocie, skazujące na głód nie tylko robotników, lecz również tysiące skromnie egzystujących pracowników, urzędników czy drobnych kupców). Do niedawna Iwanow mieszkał w małym,

lecz przytulnym mieszkaniu w VII bezirku, dokąd udawał się jednak tylko na noc. Większość czasu spędzał w kawiarniach, za przykładem zresztą wszystkich wiedeńczyków — poczynając od chłopców i dziewcząt, a na emerytach kończąc. Tu właśnie, kontynuując starą tradycję, Anton Iwanow organizował nielegalne spotkania z bułgarskimi i innymi komunistami, którzy przybywali z kraju lub uciekali, prześladowani przez władze. W jednej z tych kawiarń, takiej mniejszej, nie z tych luksusowych na Ringstrasse, otaczającej pierścieniem śródmieście, spotkaliśmy się też i my.

Na drugie spotkanie Iwanow przyprowadził ze sobą Dimitra Manołowa, sekretarza wiedeńskiej organizacji partyjnej bułgarskich emigrantów politycznych oraz studentów (pełnił tę funkcję od 1925 roku aż do chwili swego wyjazdu z Austrii w maju 1930 roku). Pochodzący z okręgu tyrnowskiego Dimitr Manołow znalazł się w Wiedniu w 1924 roku, gdy władze jako „zatwardziałego" komunistę pozbawiły go na stałe pracy. Był w moim wieku. Uczestnik wojny, założyciel wiejskiej organizacji partyjnej (we wsi Małyk Cziflik), w 1930 roku kończył już weterynarię. Iwanow, choć sam świetnie zorientowany w pracy i składzie ówczesnej naszej emigracji politycznej w Wiedniu, przyprowadził Manołowa, abym mógł „napić się ze źródła", jak to żartobliwie określił przy wzajemnej prezentacji.

Właściwie z Manołowem znaliśmy się już wcześniej, w okresie, gdy przerzucaliśmy naszych emigrantów politycznych z Jugosławii, toteż gdy Iwanow nas przedstawiał, Manołow ze zdziwieniem wykrzyknął:

— Ależ my jesteśmy starymi znajomymi!

Nie zmienił się. Był po dawnemu młodzieńczy i pełen energii. Niski, nieco powolny w ruchach — od pierwszego wejrzenia wzbudzał zaufanie. Przedtem wiedział, co robię, teraz nie znał powodów, dla których znowu przybyłem do Wiednia, umiał być jednak dyskretny jak każdy emigrant polityczny dostatecznie zahartowany w konspiracji.

Zasiedliśmy przy suto zastawionym stole i kuflach pieniącego się piwa i Manołow wyczerpująco opisał stan i skład wiedeńskiej organizacji partyjnej.

Powstała ona w istocie w 1921 roku jako Socjalistyczny Związek Studentów Bułgarskich. Do powstania wrześniowego liczyła stosunkowo niewielu członków, dwadzieścia do pięćdziesięciu osób. Prowadziła aktywną działalność kulturalno-oświatową, a jednocześnie nieustępliwą walkę z dwoma pozostałymi reakcyjnymi i nacjonalistycznymi bułgarskimi związkami studenckimi („Bałkan" i „Kliment Ohridzki"), wspomaganymi finansowo przez carskie przedstawicielstwo bułgarskie w Wiedniu.

Po powstaniu wrześniowym, a szczególnie po wydarzeniach kwietniowych w 1925 roku, związek (faktycznie organizacja partyjna) gwałtownie się rozrósł. Do Wiednia przybyły setki bułgarskich emigrantów politycznych — powstańców, uczestników walki zbrojnej partii — ściganych przez policję po zamachu kwietniowym. Przyjeżdżała oczywiście również i młodzież, która chciała po prostu studiować, lecz była to niewielka grupa. Znaczna część emigrantów politycznych, którzy chwilowo (rok — dwa lub więcej) zostawali w Wiedniu, rozpoczęła studia na uniwersytetach wiedeńskich, jednocześnie pracując zarobkowo na utrzymanie. Od 1924 do 1929 roku wiedeńską organizacją partyjną bułgarskich komunistów kierowało przedstawicielstwo zagraniczne (później Komitet Zagraniczny, Biuro Zagraniczne) KC BPK w składzie: Wasil Kołarow, Georgi Dymitrow, Gawrił Genow, Stanke Dymitrow, Anton Iwanow, Mładen Stojanow, Georgi Michajłow i inni. Do 1928 roku, kiedy to większość naszych emigrantów politycznych udała się do wskazanych krajów, organizacja liczyła przeszło stu dwudziestu członków. W roku, w którym powtórnie przybyłem do Wiednia, organizacja partyjna liczyła trzydziestu pięciu członków. W kierownictwie znajdowali się: inż. Georgi Malew, inż. Stefan Todorow („Kmeta"), prof. dr Georgi Popow, dr Dimitr Hadżijew, Ilija Kałczew, inż. Minczo Marinow, dr Ilija Temełkow, inż. Ekaterin Penczew i inni. Sekretarz organizacji, dr Dimitr Manołow („Hofrata"), ukończywszy już studia, szykował się do powrotu do kraju.

W wiedeńskiej organizacji partyjnej znajdowało się wielu przyszłych wybitnych bułgarskich inżynierów, lekarzy, agro-

nomów, filologów, muzyków, ekonomistów. W dodatku nie tylko studiowali, lecz z całych sił wspierali naszą walkę. Oprócz nazwisk, które już wymieniłem, muszę wspomnieć przynajmniej o kilkunastu towarzyszach. A więc byli tam dr Iwan Doganow, inż. Wasil W. Dodew, inż. Leon Samuiłow, Kirył Gjulemetow, Nikoła Jotow, dr Wera Nestorowa, dr Petko Stamow, dr Ilija Kałczew, prof. dr Zdrawko Micew, prof. Rajna Balewska, dr Albert T. Łukanow, Dino Kiosew, dr Isak Szaułow, dr Boris Wrabewski, dr K. Miczew, prof. Georgi Jankow, dr Boris Gawriłow, inż. Stefan Mednikarow, prof. Kirył Grujew, inż. Cw. Kolew („Feng") i jeszcze wielu innych.

Obecność Georgi Dymitrowa w Wiedniu (z początku w charakterze członka Biura Zagranicznego partii, a potem również jako sekretarza Kominternu) wywierała dobroczynny wpływ na całokształt pracy organizacji. Jego to zasługą przede wszystkim było utworzenie jednolitego frontu bułgarskiej młodzieży studenckiej w stolicy Austrii. Georgi Dymitrow postawił zadanie wciągnięcia w szeregi związku studentów bułgarskich studenckich stowarzyszeń specjalistycznych w Wiedniu (do których należało około czterystu studentów) i wszystkich postępowych członków nacjonalistycznego stowarzyszenia studenckiego „Ojciec Paisij" (liczącego zaledwie około osiemdziesięciu studentów z dwóch starych stowarzyszeń „Bałkan" i „Kliment Ohridzki"), włącznie z młodzieżą socjaldemokratyczną i chłopską.

Organizacja partyjna pośredniczyła w przekazywaniu zasiłków z MOPR-u, pomagała urządzić się przybyłym do Wiednia emigrantom politycznym i organizowała ich wyjazdy do Związku Radzieckiego oraz przerzucała swoimi kanałami do kraju różnorodną literaturę postępową i komunistyczną.

Bułgarska postępowa młodzież studencka i bułgarska emigracja polityczna w Wiedniu nawiązała trwałe przyjazne kontakty nie tylko z Komunistyczną Partią Austrii, lecz i ze wszystkimi siłami postępowymi w tym kraju. Był to wynik aktywnego solidaryzowania się z walką austriackich mas pracujących, wynik udziału w powstaniu lipcowym 1927 roku. Tak więc akcje naszej organizacji popierali tak wybitni austriaccy

literaci, jak Stefan Zweig i Artur Schnitzler, znani postępowi adwokaci — dr Schönfeld, dr Oswald Richter (socjaldemokrata), dr Wachs, dr Lasarfield i inni. Wielu z nich składało oświadczenia w prasie i uczestniczyło w zebraniach protestacyjnych przeciwko białemu terrorowi w Bułgarii. Przy pomocy postępowych prawników udało się też naszej organizacji wiedeńskiej wyzwolić z rąk policji Nikołę Kofardżijewa („Saszo"), który w 1928 roku w czasie swego nielegalnego pobytu w Wiedniu został aresztowany i zawisła nad nim groźba wydania w ręce usilnie go poszukującej policji bułgarskiej. Z serdecznym oddźwiękiem spotkały się również akcje, mające na celu pomoc dla ofiar białego terroru. Wspierała je austriacka współdziałająca z partią socjaldemokratyczną „Czerwona Pomoc".

Wielu członków organizacji to współpracownicy techniczni Biura Zagranicznego partii: dr Ilija Kałczew, prof. dr Georgi Popow, inż. Leon Samuiłow, inż. Minczo Marinow, Stefan Todorow („Kmeta"), Nikoła Jotow, inż. Cw. Kolew i inni.

Filiami związku bułgarskich studentów w Wiedniu były stowarzyszenia studenckie w Grazu (Austria) i Brnie (Czechosłowacja). Organizacja partyjna w Brnie istniała zresztą jeszcze przed 1923 rokiem, lecz utraciła swe znaczenie z powodu rozpadu na frakcje i dopiero w 1929 roku została odrestaurowana, a na jej czele stanął Stojan Karadżow, w tym czasie student politechniki w Czechosłowacji.

W poczet prac bułgarskiego związku studenckiego (a więc i organizacji partyjnej) trzeba też zaliczyć oprócz utrzymywania nielegalnych kanałów również i pomoc udzielaną przy ukazywaniu się i kolportażu tak istotnych legalnych i nielegalnych wydawnictw partii jak „Gazeta Robotnicza" (od końca 1923 roku do połowy 1924 roku), jak czasopisma: „Sztandar Komunistyczny" i „Trybuna Studencka" oraz dzienniki „Bałkańska Federacja" i inne.

Ważnym momentem w życiu wiedeńskiej organizacji partyjnej było zorganizowanie stołówki. Otwarto ją dzięki materialnej pomocy Biura Zagranicznego w VIII bezirku przy Laudongasse 6. Ze stołówki tej korzystali nie tylko postępowi

studenci, otrzymujący tu pożywne i tanie posiłki, lecz również wielu bułgarskich emigrantów politycznych.

Oczywiście lokal, w którym mieściła się stołówka, spełniał podwójną rolę. Służył on nie tylko do spożywania posiłków, lecz również jako świetlica, w której wiedeńska komórka partyjna prowadziła ożywioną działalność kulturalno-oświatową, polityczną i organizacyjną. Odbywały się tu zwykle uroczystości, spotkania koleżeńskie i wieczornice, zebrania i wiece protestacyjne. Niemal każdego wieczoru po wydaniu kolacji wygłaszano tu według ściśle określonego programu pogadanki, będące w istocie jakby wykładami małego uniwersytetu marksistowsko-leninowskiego. Studiowało się tu problemy międzynarodowego i bułgarskiego ruchu komunistycznego, ekonomii politycznej, materializmu historycznego i dialektycznego, aktualnych zagadnień europejskich, wojny domowej w Chinach i roli państw imperialistycznych w tej wojnie oraz kwestie związane z nowym spiskiem przeciwko Związkowi Radzieckiemu i wiele innych zagadnień.

Z bułgarskiej stołówki korzystali w tym okresie również i studiujący w Wiedniu postępowi studenci z Jugosławii, Grecji, Chin oraz innych krajów. A ponieważ lokal stołówki był wygodny — i oni zwoływali w nim często swoje zebrania polityczne czy imprezy kulturalno-oświatowe. Stosunek kierownictwa bułgarskiej emigracji politycznej do potrzeb tych ludzi był serdeczny, nacechowany internacjonalizmem.

W walkach na barykadach w czasie powstania lipcowego w 1927 roku wzięło bezpośredni udział ponad pięćdziesięciu członków stowarzyszenia studenckiego oraz organizacji partyjnej; na ich czele stanęli: Stefan Todorow („Kmeta"), Dimitr Manołow, Georgi Popow, Dimitr Hadżijew, Ilija Kałczew, Dino Kiosew, Minczo Marinow, Nikoła Jotow, Konstantin Miczew, Wera Nestorowa i inni. W grupie bułgarskich bojowników znalazł się też Anton Iwanow, przedstawiciel Biura Zagranicznego partii. Bułgarzy walczyli po bohatersku. Gdy wiedeńska policja konna, otoczywszy potrójnym kordonem Pałac Sprawiedliwości, za pomocą szabel i pejczów próbowała rozpędzić wielotysięczną demonstrację, Bułgarzy (z których większość

miała doświadczenie w ulicznych starciach z bułgarską żandarmerią) pierwsi rzucili się, aby ściągnąć policjantów z koni i rozbroić. Za ich przykładem poszli robotnicy wiedeńscy i kordon został przerwany, tłum zaś podpalił Pałac Sprawiedliwości. Grupa naszych lekarzy, z Georgi Popowem, Iliją Kałczewem, Werą Nestorową i innymi, udzielała pierwszej pomocy rannym robotnikom... Bułgarzy bili się do ostatka. Gdy trzeciego dnia powstania ciężar walk przeniósł się do nowej przemysłowej dzielnicy Florisdorf, przeszło dwudziestu naszych ze Stefanem Todorowem („Kmetą") na czele dało wspaniały przykład rewolucyjnej odwagi i wycofało się dopiero w ostatniej chwili, kiedy to na barykady skierowano morderczy ogień artylerii...

Po stłumieniu powstania policja wiedeńska zamknęła na jakiś czas naszą stołówkę i aresztowała wiele osób z kierownictwa, przede wszystkim Stefana Todorowa. Wszystkich poddano wnikliwemu śledztwu. Ale Bułgarzy z godnością i odwagą stawili czoło policji, toteż po kilku dniach zwolniono wszystkich z braku dowodów.

Zgodnie z zaleceniem Biura Zagranicznego partii niemal wszyscy bułgarscy emigranci polityczni i studenci należeli nie tylko do stowarzyszenia studenckiego czy organizacji partyjnej, lecz również do wiedeńskiego towarzystwa wolnomyślicieli. Założone przez Komunistyczną Partię Austrii, towarzystwo to miało za zadanie prowadzić walkę z przesądami i upowszechniać naukowy światopogląd, wykorzystując jednocześnie każdą okazję, by propagować marksizm-leninizm. Mimo iż założone przez komunistów, cieszyło się ono również poparciem silnej wówczas partii socjaldemokratycznej, kierowanej przez Otto Bauera i Schwarza Adlera, przywódców tak zwanej „Drugiej i Pół Międzynarodówki Socjalistycznej". W szeregach towarzystwa obok komunistów znajdowali się socjaldemokraci, członkowie związku chłopskiego i bezpartyjni, stanowiło więc ono małą cytadelę zjednoczonego frontu. W ożywionych dyskusjach prowadzonych tu nad szeregiem aktualnych problemów politycznych i kulturalnych uczestniczyli też Bułgarzy, którzy często wygłaszali referaty lub też

polemizowali ze stanowiskiem przedstawicieli Kościoła, anarchistów, prawicowych socjaldemokratów czy trockistów.

Nie roszczę sobie pretensji do tego, że dałem tu obraz całkowity. Aktywna walka polityczna bułgarskiej emigracji i postępowej młodzieży studenckiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego w Austrii (a i w szeregu innych krajów europejskich) nie znalazła jeszcze prawie odbicia w opublikowanych dotąd wspomnieniach. A jest to ogromna luka, zważywszy sukcesy wielu ofiarnych bułgarskich działaczy politycznych, którzy poświęcili swe siły — a często i życie — rewolucyjnej walce toczonej przez narody Europy. Nasza historia nie oddała jeszcze sprawiedliwości dokonanemu przez nich dziełu. Cel zapisków moich jest skromniejszy. Chcę tylko przy okazji kreślenia sytuacji panującej w Wiedniu w 1930 roku, kiedy to powstała konieczność zorganizowania nowej grupy wywiadowczej, przypomnieć niektóre bohaterskie czyny naszej emigracji politycznej. Chcę wspomnieć już tutaj, że w kręgu naszych współpracowników znalazło się sporo młodych Bułgarów, w większości postępowych studentów (nazwiska paru spośród nich już wymieniałem), którzy przez wiele lat z ogromnym poświęceniem po cichu spełniali swój internacjonalistyczny obowiązek jak urodzeni bojownicy.

Rozumie się, iż środowisko, w którym znalazłem się w owych latach, mając się w nie „zagłębić", by móc z powodzeniem wykonywać tajne zadania, nie składało się z bułgarskiej emigracji politycznej. Zadania owe bowiem realizowaliśmy przy udziale innych ludzi, przebywających w owych latach z różnych przyczyn w Wiedniu, lub też miejscowych Austriaków. Studenci bułgarscy tylko pomagali. Współpracownikami naszymi była młodzież należąca do innych środowisk, a więc członkowie lewego skrzydła Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego, socjaldemokraci, umiarkowani anarchiści i inni. Zawsze można było też liczyć na działaczy przewodzonej w owym czasie przez Władimira Poptomowa WMRO (zjednoczonej) *. Wielu z nich uczestniczyło już w walkach za czasów

* Watreszna Makedonska Rewolucjonna Organizacja — Krajowa Rewolucyjna Organizacja Macedońska. — *Przyp. tłum.*

Todora Panicy. Z poświęceniem pracowali oni przy rozszerzaniu zjednoczonego frontu i nieznużenie dźwigali ciężar swego obowiązku rewolucyjnego mimo prześladowań terrorystów z WMRO Iwana Michajłowa oraz represji policji. Niektórzy z tych działaczy jeździli jako kurierzy do Bułgarii, Jugosławii, Grecji i Turcji, nie bacząc na to, że terrorystyczna WMRO wydała na nich wyroki śmierci.

W naszej robocie pomagali nam również emigranci polityczni i postępowi studenci przeróżnych narodowości, którzy w tym czasie zdobywali w Wiedniu wiedzę lub szukali tu azylu politycznego. Byli to Jugosłowianie, Grecy, Rumuni, Turcy, Polacy, Czesi, Słowacy, Węgrzy, Niemcy, Hiszpanie czy Włosi. Współdziałali z nami też — jak już mówiłem — internacjonalistycznie nastawieni postępowi obywatele austriaccy. Nie szukając zysku, traktując pomoc dla nas jako zwykły ludzki obowiązek, wszyscy ci uczciwi ludzie przyczynili się w miarę swych sił w większym lub mniejszym stopniu do obrony państwa radzieckiego przed zakusami imperializmu, do obrony pokoju.

Georgi Dymitrow porzucił już w owym okresie Wiedeń, przedtem stałą siedzibę Biura Zagranicznego BPK. Powody tego już wymieniałem; władze austriackie, prawdopodobnie nie bez nacisku ze strony wielkich mocarstw, po roku 1927 udzieliły policji kompetencji pozwalających jej na mieszanie się do walk politycznych i zaczęły stosować wobec rewolucyjnych organizacji mas pracujących coraz jawniejsze ograniczenia i kontrolę. Oczywiście wykazywały też wzrastającą niechęć wobec poczynań obcych działaczy politycznych, którzy przebywali tu z musu lub wykonywali jakieś zadania. Policja nie poprzestawała jak przedtem na odstawieniu niepożądanych cudzoziemców do którejś z sześciu granic; obecnie często przekazywała aresztowanych rewolucjonistów w ręce policji ich krajów. A że w większości wypadków otrzymali już tam zaoczne wyroki, czekało ich więzienie.

Georgi Dymitrow, opuściwszy Wiedeń w końcu 1928 roku,

zatrzymał się w Berlinie. Tam obok działalności w Biurze Zagranicznym ponownie objął kierownictwo federacji bałkańskiej, a nieco później i zachodnioeuropejskiego biura Kominternu. Berlin, znacznie większy od Wiednia, posiadał stare tradycje ruchu socjaldemokratycznego i był skrzyżowaniem dróg milionów cudzoziemców podróżujących tranzytem przez Niemcy do wszystkich punktów kontynentu, toteż w owych latach zapewniał stosunkowo dobre warunki pracy rewolucyjnej. Wprawdzie i tutaj władze śledziły i kontrolowały działalność organizacji rewolucyjnych, nawet jeszcze ostrzej niż w Austrii, lecz w Niemczech, w odróżnieniu od małej republiki austriackiej, istniał potężny ruch komunistyczny będący się w stanie obronić. Komunistyczna Partia Niemiec, utworzona, jak wiadomo, w grudniu 1918 roku na bazie rewolucyjnego związku „Spartakus", zrzeszała w swych szeregach szerokie masy wegetującego proletariatu niemieckiego. Obok ugrupowań burżuazyjnych i rozpanoszonego już faszystowskiego ruchu Adolfa Hitlera wrogiem partii komunistycznej, choć nie najzaciętszym, była partia socjaldemokratyczna, kierowana (od rewolucji listopadowej w 1918 roku w Niemczech) przez prawicowych przywódców. Przestraszeni rewolucyjną siłą zbuntowanych mas, poszukali oni dróg współpracy z reakcją i monarchistami zgrupowanymi wokół Hindenburga. Od 1930 roku rządy pozostawały w rękach burżuazyjnej koalicji, z katolickim Centrum i jego przywódcą Brüningiem na czele. Rządy Brüninga, które zastąpiły w marcu 1930 roku koalicyjny reżim Müllera, niczym nie różniły się od poprzednich, chyba tylko gwałtownym wzrostem ciężaru podatkowego, który złożono na barki narodu. Tymczasem bezrobocie przybierało zastraszające rozmiary. Zniszczone przez wojnę, wciągnięte w sam środek wiru kryzysu gospodarczego szalejącego na świecie, Niemcy bliskie były agonii. Przeważająca większość ogromnych zakładów zbrojeniowych została zamknięta, zapieczętowana lub zdemontowana i wywieziona z kraju w ramach odszkodowań wojennych. Zbankrutowało mnóstwo drobnych kupców i producentów, pieniądze traciły na wartości, a inflacja skazywała na rozpaczliwy głód miliony emerytów, posiadają-

cych tylko skromne oszczędności i nie mających już przed sobą żadnych perspektyw. Jednocześnie kryzys wyrzucał na ulicę wciąż nowe tłumy bezrobotnych i według oficjalnej statystyki z trzech milionów w 1930 roku wkrótce (w 1931 roku) liczba ich miała wzrosnąć do przeszło sześciu milionów... Kraj staczał się ku nieuniknionej katastrofie gospodarczej. Co go czekało, jakie siły miały wykorzystać złą koniunkturę, by uchwycić ster rządów, jaki kurs miały wyznaczyć państwu? Oto pytania, na które historia dała już odpowiedź. Odpowiedź okrutną: popłynęła krew milionów ludzi, dobytek ich obróciły w zgliszcza barbarzyńsko wzniecone pożary, ludzkość pogrążyła się w cierpieniach i męce...

Gdy zamieszkałem w Wiedniu, Georgi Dymitrow przeniósł się już do Berlina, Wiedeń jednak pozostał, jeśli tak można rzec, drugą co do znaczenia jego siedzibą, do której nierzadko zaglądał. Tutaj też Anton Iwanow zorganizował nasze pierwsze spotkanie. To ja poprosiłem o nie, gdyż miałem przekazać Dymitrowowi pozdrowienia z Moskwy.

Spotkaliśmy się w pewnej wytwornej kawiarni na Ringstrasse, naprzeciwko Opery Wiedeńskiej. Akurat nabrzmiewały wiosenne pąki na ozdobnych drzewach rosnących wzdłuż bulwaru, zieleniła się trawa, wiosenny wiatr oczyścił powietrze z sadzy i fabrycznego dymu, pogodne niebo błękitniało, a wiedenki, zawsze eleganckie mimo kryzysu, braków i nędzy, prezentowały zgrabnie przystosowane do obowiązującej mody wiosenne płaszcze i kapelusze. Wiecznie zalotny, piękny Wiedeń pozostawał wciąż sobą; tajemnica jego uroku kryje się niewątpliwie we wrodzonej witalności i w optymizmie jego sympatycznych mieszkańców.

— Witaj z podróży po Dalekim Wschodzie, Wanko — zwrócił się do mnie serdecznie Dymitrow, a potem oglądając mnie od stóp do głów dodał: — Jakbyś to był ty i nie ty jednocześnie. Z trudnością cię poznaję... Siadaj i opowiadaj. Kiedy przyjechałeś? Jakie nowiny przywozisz stamtąd? Gdzieżeś się

zakotwiczył w Wiedniu? Czy Galina jest z tobą? Otrzymałeś mój ostatni list?...

Georgi Dymitrowa znałem jeszcze ze swoich wczesnych lat młodzieńczych, z klubu lewicowych socjaldemokratów organizacji pleweńskiej; przyjeżdżał tam jako sekretarz związkowy, by organizować proletariat pleweński w rewolucyjnych związkach zawodowych. Spotykałem się z nim i w latach późniejszych, gdy już wstąpiłem do partii i zostałem sekretarzem liczącego wielu członków związku stolarzy w Plewen. A potem widywałem go w szkole partyjnej w Sofii, gdzie był jednym z lektorów i swymi wygłaszanymi z temperamentem wykładami wprowadzał nas w problematykę bułgarskiego i światowego ruchu związkowego. Później Dymitrow sam lub z Georgi Kirkowem gościł w Plewen, by przemawiać na zebraniach partyjnych i otwartych wiecach.

W latach, gdy partia zdobywała broń, Dymitrow wraz z sekretarzem BPK Wasilem Kołarowem kierował KC, który przygotował i poprowadził masy do powstania wrześniowego. Następnie spotkałem Dymitrowa w 1925 roku w Wiedniu, gdzie kierował działalnością naszej emigracji politycznej i kontrolował pracę nad przerzuceniem z Jugosławii zagrożonych komunistów bułgarskich...

Widywałem wreszcie Dymitrowa w Moskwie, w Kominternie (w okresie od 1925 do 1927 roku był nie tylko delegatem naszej partii w Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki, lecz także aktywnym jej działaczem) lub u Wasila Kołarowa w hotelu „Lux", dokąd często przychodził ze swą żoną Ljubą. (Rodzina jego również zajmowała mieszkanie w hotelu pracowniczym Kominternu). W przytulnym mieszkaniu Kołarowa w atmosferze serdecznej bliskości i przyjaźni, tak umiejętnie stworzonej przez gospodynię, Cwetanę Nikołajewą-Kołarową, Ljuba Iwoszewicz-Dymitrowa recytowała wiersze poetów bułgarskich, serbskich i niemieckich. Cwetana i Galina śpiewały solo lub wspólnie wykonywały duety ze znanych oper, a potem wszyscy podchwytywaliśmy jakąś naszą pieśń z okresu bułgarskiego odrodzenia czy utwór Kirkowa lub starą melodię partyzancką, która przenosiła nas o tysiące kilo-

metrów do ukochanej ziemi ojczystej, mającej w naszych sercach skryty zakątek, skąd czerpaliśmy radość i wytchnienie...

Georgi Dymitrow nie orientował się, na czym polega moja praca w naszym ośrodku — interesował się mną tylko na tyle, na ile mógł mi pomóc jako bułgarskiemu komuniście. Gdy jednak na moją prośbę udzielał mi jakichś rad czy dokonywał jakiejś oceny politycznej, robił to z wielkim taktem, co było cechą, którą — wydaje mi się — przyszły wódz i nauczyciel naszego narodu miał rozwiniętą w sobie w wyjątkowym stopniu. Takt ów wiązał się z nie udawaną uprzejmością i wysoką kulturą zachowania. Był urodzonym arystokratą ducha, tak że cudzoziemiec, który nie wiedział o jego proletariackim pochodzeniu, z łatwością mógł zbłądzić w opinii o „drzewie genealogicznym" Dymitrowa. Lecz ten sam uczuciowy, wrażliwy, uważny i uprzejmy rozmówca, który umiał wywołać przyjemne wrażenie, że byłeś mu najbardziej pożądanym towarzyszem, który potrafił delikatnie wypowiedzieć swoje zdanie jednocześnie biorąc pod uwagę twój sąd, który zawsze aprobował dobry pomysł, precyzyjne określenie i stosowny żart, który szanował uczucia interlokutora — ten sam człowiek, gdy przyszło bronić stanowiska partyjnego czy to na wiecu, czy w starciach ulicznych z policją, zamieniał się w niepohamowanego, pełnego temperamentu bojownika, w prawdziwy miecz klasowy, nie wiedzący, co to kompromis czy litość dla wrogów rewolucji.

Wobec mnie Georgi Dymitrow był serdeczny i miły jak wobec większości bułgarskich emigrantów politycznych w Związku Radzieckim. I zawsze po spotkaniu czy rozmowie z nim miałem wrażenie, że jestem jego dłużnikiem, że i tym razem jakby oddał wszystko, podczas gdy ja tylko brałem; że dostarczył pożywki mym myślom, że podniósł mnie na duchu, tak jako bojownika idei, jak też po prostu jako człowieka, że mi przekazał ciepło swego serca. Być może dlatego, gdy w 1927 i 1928 roku zwrócił się do mnie kilkakrotnie z prośbą o oddanie mu przysługi, byłem szczerze zadowolony, że nareszcie

mogę mu się czymś odwdzięczyć, że i ja mogę mu być w czymś użyteczny!

Przysługa, o którą Georgi Dymitrow prosił mnie kilkakrotnie w Moskwie, dotyczyła listów. Była to jego korespondencja adresowana do różnych osób w Wiedniu, którą miałem nadać w Pekinie, Charbinie czy Szanghaju. Czytelnik domyśla się już — dlaczego; skoro na kopercie jest stempel z Chin, to nadawca znajduje się w tym kraju... Tak powinien sądzić adresat, tak powinna też sądzić policja, jeśliby wykazała zainteresowanie (a już je wykazywała) wobec zagranicznych listów do określonych osób...

Georgi Dymitrow przekazywał mi osobiście lub przez towarzyszy takie swoje listy zawsze wówczas, gdy nie mógł przebywać w Wiedniu, bo miał właśnie kolejne posiedzenie Komitetu Wykonawczego Kominternu w Moskwie, lub po prostu gdy wyjeżdżał do Związku Radzieckiego w innych sprawach. Swoim oficjalnym znajomym w Wiedniu mówił, że „praca jego wymaga podróży do Chin", i pojechawszy, wysyłał „stamtąd" pozdrowienia i kartki pocztowe. Jego oficjalni znajomi (i policja), uważający go za szwajcarskiego intelektualistę, pisarza, ekonomistę, korespondenta niemieckich gazet czy handlowca, po otrzymaniu autentycznych pozdrowień z Chin nie mogli wątpić o tożsamości swego znajomego...

Lecz człowiek, który podróżował po zagadkowych Chinach, jest zawsze w towarzystwie ośrodkiem zainteresowania. Musi opowiadać o tym egzotycznym dalekim kraju, o tysiącach problemów i zajmujących szczegółach, o szalejącej wojnie domowej, o Wielkim Murze chińskim i chińskiej kuchni, o szanghajskich gangsterach i obcych settlementach, o pagodach i mandarynach, o dżonkach, o pustyni Gobi i Bóg wie o czym... I dlatego wówczas, gdy widywaliśmy się w Moskwie w domu Kołarowa, Georgi Dymitrow chciał, bym mu opowiadał o wszystkim, co dotyczy Chin, a co według mnie jest interesujące, i wypytywał mnie o najprzeróżniejsze rzeczy. Oczywiście wszyscy byli ciekawi tych opowiadań, lecz jego zainteresowanie było szczególne i w większości wypadków odłączaliśmy się

od reszty towarzystwa, zaszywając się w jakimś kąciku, gdzie nikt nie mógł nam przeszkodzić...

(W swoim archiwum przechowuję jak cenną relikwię kilka listów Georgi Dymitrowa, pisanych do mnie. Dymitrow albo wyrażał mi swą wdzięczność za oddaną już przysługę, albo mnie prosił — lakonicznie, niemal szyfrem — o nową przysługę, zgodnie z naszą umową).

I oto teraz, gdy spotkaliśmy się w Wiedniu, był jak zawsze serdeczny. Miał na sobie eleganckie ubranie, śnieżnobiałą koszulę i pięknie zawiązany krawat. Włosy miał wysoko podstrzyżone według wiedeńskiej mody, był gładko ogolony, zostawił tylko niewielkie wąsy. Nosił okulary. Zdziwiłem się w pierwszej chwili — w Moskwie nie korzystał z nich przecież, chyba że przy czytaniu. I natychmiast zorientowałem się, iż jego okulary spełniają to samo zadanie co i moje. Zwyczajne szkła z oprawkami o kształcie, który zmieniał wygląd twarzy. „Przebranie" to było konieczne dla zwiększenia bezpieczeństwa w warunkach wzmożonej czujności policji...

Dymitrow zapytał o napisany przez niego do mnie z Kisłowodska na Krymie ostatni list, w którym informował, iż „podróże chińskie stają się już zbyteczne"; wyjazd do Berlina wymagał zmiany w trybie życia. To, co wczoraj było świetnym alibi, teraz mogło się okazać zdradliwym śladem.

— Otrzymałem ten list, towarzyszu Dymitrow — odparłem. — Mam dla was serdeczne pozdrowienia od Ljuby, od towarzysza Kołarowa i Cwetany Nikołajewej...

— Stęskniłem się za wszystkimi — rzekł Dymitrow, a przez jego twarz przebiegł cień smutku. — A Ljuba jak się czuje?

Nim wyjechałem do Wiednia, odwiedziłem ją w szpitalu. Przy pożegnaniu prosiła mnie, bym zawiózł jej mężowi list i fotografię. „Powiedz mu, że się dobrze czuję. Niech się nie niepokoi o mnie" — mówiła. Toteż odrzekłem:

— „Czuję się dobrze" — tak mi powiedziała i te słowa napisała na odwrocie zdjęcia.

Ale choć wyglądała na nim rzeczywiście świetnie, gdy Dymitrow oglądał fotografię, oczy mu zwilgotniały, bo nic nie może oszukać kochającego serca... Zresztą Dymitrow otrzymywał

stale z Moskwy dokładne informacje od lekarzy o stanie jej zdrowia.

Ljuba Iwoszewicz, żona Dymitrowa, ta, z którą u boku stawiał pierwsze kroki w ruchu rewolucyjnym, ta, która podążała za nim przez jego dotychczasowe trudne i pełne napięcia życie, nie tylko jako ukochana, ale jak troskliwa siostra czy matka, teraz była chora. Georgi Dymitrow robił wszystko, co mógł, by wróciła do zdrowia, najpierw w Wiedniu, gdzie mieszkała z nim przed jego wyjazdem do Berlina, a potem również w Moskwie. Otoczona była opieką i troską ze strony Kołarowa i całej bułgarskiej emigracji politycznej, lecz choroba szybko odbierała jej siły. Oprócz nieprzeliczonych ciężarów swej odpowiedzialnej funkcji Dymitrow dźwigał też w tych latach krzyż ogromnego cierpienia z powodu wyroku śmierci, jaki zawisł nad tkliwie miłowaną, wierną towarzyszką.

— Kochana, jakże mi cię żal — szepnął cicho, patrząc na zdjęcie Ljuby. — Zawdzięczam jej tyle co i matce! I obie mają obok siebie miejsce w moim sercu...

Umilkł, a twarz jego zszarzała od głębokiego smutku, którego nie próbował ukryć. Obaj z Antonem Iwanowem milczeliśmy pełni współczucia dla tego silnego mężczyzny, który tak bardzo cierpiał.

Zbliżał się już do pięćdziesiątki, lecz nie znać było po nim wieku. Wciąż jeszcze dobrze się trzymał, chodził wyprostowany. Ciemnokasztanowe włosy nad jego otwartym czołem zaledwie zaczynały siwieć, a żywe piwne oczy zdradzały wolę, energię, ogromną siłę ducha i niezwykłą inteligencję.

I on nie był zbyt zdrowy — wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ostatni list, jaki mi przysłał ze Związku Radzieckiego, pisał w sanatorium balneologicznym w uzdrowisku Kisłowodsk, dokąd jeździł czasami na leczenie, gdy lekarzom udało się go do tego zmusić. Wokół jego oczu widniały zmarszczki mówiące o wieku i troskach, jakie jednak nie pochyliły dumnej głowy — głowy bojownika, który nigdy się nie podda, przed nikim nie upadnie na kolana. Choć my, komuniści bułgarscy, znaliśmy z bliska tego godnego syna naszej klasy robotniczej, dopiero w trzy lata później mieliśmy poznać jego prawdziwą siłę.

Podczas procesu lipskiego pokazał wszystkim uczciwym ludziom, jak trzeba bronić swego credo, swego sumienia, swoich ideałów. Toteż imię jego obiegło cały świat, stając się symbolem walki przeciwko faszyzmowi.

Dymitrow przemógł się i zapanował nad cierpieniem. Rozmowa potoczyła się dalej. Zatroszczył się o to, jak się urządziłem w Wiedniu, ale nawet nie napomknął o moich tajnych zadaniach. Zapytał mnie też o zdrowie. Ledwie opanowawszy swój smutek, okazywał serdeczną troskę o towarzysza, i to właśnie była jedna z najpiękniejszych cech jego wyjątkowego charakteru.

Opowiedziałem mu pokrótce o wszystkim, co go interesowało, a na koniec dałem wyraz radości, że w Wiedniu będzie inaczej niż w Chinach, że tu będę mógł czasami widywać się z przyjaciółmi...

— Niektórzy szykują się już do wyjazdu, Wanko, pewnie wiesz o tym — pokiwał w zamyśleniu głową Dymitrow. — I z Antonem będziemy musieli się już pożegnać. Przedstawicielem Biura Zagranicznego w Europie jest ktoś inny.

Anton Iwanow, unikając mego spojrzenia, zaczął się przyglądać przez okno ożywionemu wiedeńskiemu bulwarowi. Nieco starszy od Dymitrowa, był w najlepszym dla rewolucjonisty wieku, gdy przekonania i światopogląd idą w parze z niezastąpionym skarbem doświadczenia życiowego. Ten zahartowany lewicowy socjaldemokrata, dowiódłszy w trudnej walce klasowej swej rewolucyjnej nieustępliwości, bezgranicznego oddania ideałom i gotowości do ofiar, tu, w Europie, w ciągu ostatnich lat emigracji dojrzał jeszcze bardziej, stał się prawdziwie wartościowym przywódcą partyjnym. Dlaczego właśnie teraz go odwoływano?...

— Nowym przedstawicielem Biura Zagranicznego — cicho kontynuował Dymitrow — jest młody towarzysz, Georgi Łambrew-Rosen...

Nie znałem go, słyszałem tylko jego nazwisko. Na ostatnim plenum KC w Berlinie w swoim przemówieniu zajął wobec

powstania wrześniowego i wydarzeń po jego klęsce stanowisko absolutnie nie do przyjęcia. Przeciwstawił się „starym" kadrom i przyłączył do grona tych, którzy rzucili hasło „zerwania z lewicowością jako z chorobą, dążenia naprzód, ku prawdziwej bolszewizacji"... I jakąż to „chorobą" była lewicowość socjaldemokratów? Czy możliwa była bolszewizacja partii z chwilą oderwania jej od korzeni tkwiących głęboko w ziemi bułgarskiej? Jakiż postęp można było osiągnąć, oczerniając jej pierwszych działaczy i budowniczych? Nie mieściło się w głowie, że skądinąd oddani i śmiali ludzie zalecają takie „oczyszczanie" partii, bo w istocie oznaczało ono jej samobójstwo!

Historia daje obecnie wyczerpującą odpowiedź na wszystkie pytania, lecz wówczas lewosekciarstwo, które na jakiś czas wzięło górę, przysporzyło szeregom partii niepotrzebnych, żałosnych szkód. Grupa owa usiłowała wytrącić na zawsze z szeregów wspaniałych, zahartowanych w niezliczonych bitwach rewolucjonistów, targnęła się na nazwiska i sprawy, których nie wolno profanować... Jednym z weteranów, na których grupa ta ciskała gromy, był Anton Iwanow.

— Tu nie chodzi o mnie — powiedział, spojrzawszy na mnie, Anton. — Jestem przekonany, że wkrótce doczekam się naprostowania obecnego kursu... Żal mi tylko czasu, który partia straci, zdrowia i sił tylu oddanych ludzi, którzy będą niepotrzebnie cierpieć...

— Nie dopuścimy do tego, by tamci długo tłukli o mur głowami swoimi czy cudzymi — rzekł Dymitrow, kierując na swego starego towarzysza broni pokrzepiające, spokojne spojrzenie. Nie była to pociecha, bo Anton Iwanow jej nie potrzebował, był to pogląd przywódcy, który mądrze przewiduje wypadki i którego nie mogą speszyć czy przestraszyć chwilowe nastroje.

— Głęboko sięgają korzenie partii, ona przetrwa wszystko... — dodał.

I tak się stało. Organicznie niezbędna narodowi, będąca jego umiłowaniem, podporą i sztandarem, partia Błagojewa i Dymitrowa zwyciężyła lewosekciarską chorobę i jeszcze silniejsza, mądrzejsza, bardziej zahartowana — zjednoczyła wszyst-

kie zdrowe patriotyczne siły we wspólnym froncie ludowym i poprowadziła je do walki z faszyzmem na śmierć i życie. A ukoronowaniem tej walki było zwycięstwo 9 września 1944 roku.

3. Błąd taktyczny bez fatalnych następstw

Praca ruszyła wkrótce po moim przybyciu do Wiednia. Po półrocznych przygotowaniach grupa wywiadowcza przystąpiła do realizacji pierwszych tajnych zadań. Nie mogliśmy już z tym zwlekać ani dnia dłużej, bo imperialistyczne koła w Europie, Ameryce i na Dalekim Wschodzie dniem i nocą snuły sieć intryg przeciwko Krajowi Rad. Przystąpienie naszej małej grupy do dzieła było wprost obowiązkiem partyjnym.

Rzecz zaczęła się pewnym radosnym spotkaniem i pewnym błędem. Gdybyśmy byli przesądni, należałoby postawić krzyżyk na dalszych planach i ruszać z powrotem do Moskwy.

A było to tak:

Nasz radiotelegrafista poinformował mnie, że mam oczekiwać wysłannika z Moskwy. Wyznaczono ścisłą datę i godzinę, wskazano też i miejsce spotkania — Prater, przy diabelskim młynie.

Lato miało się ku końcowi i Wiedeń gościnnie witał licznych gości z zagranicy. W tym roku było ich mniej, jak stwierdzali wiedeńczycy, bo światowy kryzys ekonomiczny na wszystkim kładł swe piętno, lecz i tak przyjechały tysiące ludzi. Tłumy turystów przeróżnej narodowości przelewały się po ulicach i bulwarach, pełno ich było w restauracjach i kawiarniach, parkach, ogrodach i — oczywiście — na słynnym Praterze. Barwne wiedeńskie prospekty niezmiennie informowały: „Jeśli nie obejrzysz Prateru, nie widziałeś Wiednia!" Była to prawda i nie była. Prater rzeczywiście jest wśród „wesołych miasteczek" małym cudem stworzonym przez pomysłowych wiedeńczyków. Lecz Wiedeń posiada swój niepowtarzalny urok i bez

Prateru, ma przecież przepiękne stylowe pałace Habsburgów, stare muzea, liczne zabytki historyczne, wspaniale zaprojektowane bulwary, cudownie pielęgnowane ogrody i parki, reprezentacyjne sklepy, restauracje, zaciszne kawiarnie, Burgtheater — uświęcony przybytek wszystkich wiedeńczyków, sławną Operę Wiedeńską, gdzie zawsze można usłyszeć światowej sławy śpiewaków i śpiewaczki, bogatą galerię sztuki, uniwersytet, wspaniały gmach parlamentu, chlubę wiedeńskiej architektury — kościół Karola, domy-muzea całej plejady geniuszów muzycznych, jak Mozart, Beethoven, Haydn, Glück, Schubert, Brahms, Strauss, Kalman, Lehar, którzy mieszkali i tworzyli w tym mieście, cudowne sale koncertowe, sławną katedrę Św. Stefana, Bibliotekę Narodową, letni pałac Schönbrunn, setki budynków mieszkalnych i municypalnych, budowanych przez uznanych twórców wiedeńskiego baroku, jak Fischer von Ehrlach, Jacob Prandatner, Lucas Hildebrandt... Wiedeń istotnie może zapewnić prawdziwą ucztę duchową wszystkim ludzkim zmysłom, a przede wszystkim słuchowi — swoją muzyką, wiecznie młodymi utworami Johanna Straussa, którego walc „Nad pięknym, modrym Dunajem" stał się czymś w rodzaju drugiego hymnu narodowego kraju...

Stałem przy diabelskim młynie i spokojnie paliłem fajkę, obserwując kolorowe mrowisko turystów: Francuzów, Anglików, Niemców, Włochów, Amerykanów, Hiszpanów, Węgrów, Greków — przeróżnych ludzi, którzy — jeśli się chcieli porozumieć — musieli zwracać się głośno wprost do ucha swego rozmówcy, by przekrzyczeć wesoły zgiełk Prateru. Gdzieś wśród nich był na pewno oczekiwany wysłannik z naszego ośrodka. Nie wpatrywałem się w twarze turystów — to by mi w niczym nie pomogło. Umowa była taka, że miałem bez żadnych szczególnych znaków rozpoznawczych po prostu stać tylko obok diabelskiego młyna. Wysłannik sam mnie rozpozna... To, co mi przekazał radiotelegrafista, zaskoczyło mnie, a nawet do pewnego stopnia zaniepokoiło. Jakżeż można było mnie poznać w nowym modnym garniturze, z twarzą zmienioną owalną złotą oprawą okularów, trzymającego luksusową fajkę w zębach? Tak przebranego mijali mnie nawet bliscy

przyjaciele, nie poznając w eleganckim wiedeńskim dandysie swego starego druha. Jakżeż więc miał mnie rozpoznać oczekiwany towarzysz?...

Młyn się zatrzymał i z różnokolorowych, skrzydlatych gondoli zaczęli wysiadać rozbawieni ludzie, odurzeni szybkim pędem karuzeli. Starszy wiekiem turysta w eleganckim letnim kapeluszu, w lekkim garniturze z szantungu wysiadł z zatrzymującej się obok gondoli i uprzejmie podał rękę młodej damie, która zanosiła się wesołym, perlistym śmiechem. Z pewnością to ojciec i córka — różnica wieku między nimi była zbyt wielka, by mogli stanowić parę małżeńską — niewątpliwie Anglicy, którzy przyjechali tu ze swymi funtami, wysoko notowanymi w okresie kryzysu na rynku wiedeńskim, by spędzić kilka przyjemnych dni w stolicy Austrii. Mówili po angielsku głośno i swobodnie, a dziewczyna często wybuchała dźwięcznym, mile brzmiącym dla ucha śmiechem. Przeszli obok, nie zwracając na mnie uwagi, a ja kontynuowałem spokojną przechadzkę wokół karuzeli.

— Czy mogę prosić pana o ogień?

Odwróciłem się w stronę, skąd doleciał głos. Był to ów starszy wiekiem Anglik. Zatrzymawszy się o krok przede mną, wypowiedział swą prośbę w nienagannej niemczyźnie.

— Pudełko po prostu wyleciało mi z rąk, jakby miało jaskółcze skrzydła, gdy tam w górze — tu wskazał na szczyt diabelskiego młyna — próbowałem zapalić papierosa...

Mężczyzna wyraził swą prośbę z wyszukaną uprzejmością, lekko skłaniając głowę, uśmiechnięty; przeprosił na chwilę swą towarzyszkę, by móc zapalić papierosa. Sympatyczny był ten Anglik, musiałem to w duchu przyznać; sprawił to i sposób, w jaki zwrócił się do mnie o ogień, i ujmujący uśmiech, i powściągliwa uprzejmość, i trochę niemodna krótka bródka, przyprószona siwizną, i również trochę niemodny jedwabny motylek na śnieżnobiałej koszuli, i zielone okulary, które niewątpliwie chroniły jego osłabiony wzrok przed oślepiającym światłem słonecznym. Ileż atmosfery swych czasów wnosili ze sobą ci starzejący się „ludzie dnia wczorajszego", dla których uprzejmość, wyszukana grzeczność wobec nieznajomego, nie-

wymuszony uśmiech — wciąż jeszcze stanowiły godne uwagi wartości!

— Ależ służę panu — natychmiast wyciągnąłem zapałki, lecz już odwracałem od niego spojrzenie (bądź co bądź spacerowałem koło karuzeli nie po to, by się zajmować roztargnionymi, choć i sympatycznymi Anglikami). Podałem mu ogień i dorzuciłem w swym o wiele mniej doskonałym języku niemieckim:

— Powinien pan być wdzięczny losowi, że z góry spadły tylko pana zapałki...

— O, tak, istotnie, w przeciwnym razie goście Prateru mieliby jeszcze jedną rozrywkę — „Latającego Anglika", a współcześni Wagnerowie — nowy temat utworu muzycznego... — starszy turysta roześmiał się wesoło, przetłumaczył dziewczynie ten żart, następnie znów zwrócił się do mnie i uprzejmie mi podziękował, zdejmując eleganckim ruchem białą panamę z głowy. — Był pan bardzo uprzejmy!

Anglik zatrzymał na mnie wzrok może tylko o sekundę dłużej, niż to było konieczne. Spojrzałem poprzez zielone szkła na jego oczy i jakby mnie prąd przeszedł.

To był Grisza Salnin.

— Do widzenia panu — ukłonił się z uśmiechem na pożegnanie, a gdy dziewczyna już ruszyła naprzód, dodał cicho: — Za godzinę znowu tutaj.

Odeszli we dwójkę, podjąwszy w języku angielskim przerwaną na chwilę wesołą rozmowę, której towarzyszył głośny, beztroski śmiech.

Opanowując wzruszenie, głęboko zaciągnąłem się dymem z fajki i skierowałem kroki w przeciwną stronę. Gdyby w tej chwili ktoś mnie z boku obserwował, niewątpliwie zorientowałby się, iż niewinne spotkanie z „Anglikiem" wprawiło mnie nagle w wyjątkowo radosny nastrój. Spodziewałem się każdego — tylko nie Griszy. Oto dlaczego wysłannikowi z ośrodka nie były potrzebne żadne znaki rozpoznawcze! Przed jastrzębim okiem Griszy nic, co istotne, nie mogło się ukryć; już w Chinach wielokrotnie miałem okazję zauważyć tę jego rzadko spotykaną spostrzegawczość.

Diabelski młyn zataczał kolejny krąg, unosząc ku czystemu letniemu niebu rozbawionych ludzi, gdy dokładnie po godzinie Grisza znowu się zjawił. Był sam, lecz i teraz szedł wolnym, spokojnym krokiem człowieka, który nigdzie i po nic się nie spieszy, porwany niepowtarzalną atmosferą Prateru. Przeszedł blisko obok mnie i zorientowawszy się, że go zauważyłem, kontynuował spacer wśród tłumu, kołysząc zawieszonym na ramieniu aparatem fotograficznym.

Ruszyłem za nim. Szliśmy tak w niewielkiej od siebie odległości, aż oddaliliśmy się od karuzeli. Grisza skierował się ku kolorowym markizom kokieteryjnej kawiarenki, gdzie rzeczywiście można było znaleźć chwilę wypoczynku i samotności wśród niesłychanego zgiełku Prateru.

— Witam cię serdecznie, „Latający Holendrze" — uścisnąłem mocno rękę Griszy, gdy usiedliśmy przy małym marmurowym stoliku.

— „Latający Angliku" — poprawił mnie ze swym charakterystycznym ciepłym uśmiechem Grisza i również mocno uścisnął mi dłoń. — Witaj, mój drogi, witaj! Serdeczne pozdrowienia od wszystkich, a szczególnie od „Starego".

— Och, dziękuję z całego serca. A owa dama? Komu udało ci się ją oddać w spadku?

— Rozstaliśmy się po lodach, na które ją zaprosiłem. Nie jest ze mną. Po prostu zrobiło się jej słabo na karuzeli i mnie, jej rodakowi, wypadało z prostej grzeczności najpierw udzielić jej pomocy, a potem odprowadzić...

— Wyglądasz świetnie — zauważyłem. — Gdybym ci nie spojrzał w oczy, nigdy bym cię nie poznał!

— I ty także, mój drogi — odwdzięczył mi się Grisza. — A w dodatku sprawiasz wrażenie, że ręce cię świerzbią do roboty.

— Nie mylisz się.

— Tym lepiej. Praca jest i ważna, i delikatna, i nie cierpiąca zwłoki.

— Więc chodźmy.

Zbliżała się pora obiadowa. Nie mieliśmy już nic do roboty na Praterze. Wzięliśmy taksówkę i przejechawszy się okólną

drogą po Ringstrasse, stanęliśmy przed restauracją, w której zwykle jadałem od chwili przybycia do Wiednia.

Podobnie jak mieszkanie tak i „moja" restauracja mieściła się w II bezirku. Była niewielka, lecz pierwszorzędna, z nienaganną obsługą i jeszcze lepszą kuchnią. Dla ścisłości muszę wyjaśnić, że był to lokal żydowski. Żydami byli właściciele, oberkelner i reszta kelnerów. Żydami byli stali goście. Kuchnia, również niemal całkowicie żydowska, polecała cały szereg smacznych dań, wśród których pierwszeństwo miały świeże ryby we wszelkich możliwych gastronomicznych przeistoczeniach. W Wiedniu, mieście liczącym dwa miliony mieszkańców, istniały swego czasu nie tylko restauracje żydowskie, lecz również gastronomiczne lokale z kuchnią hiszpańską, orientalną, niemiecką, rosyjską, francuską i wszelką inną, odwiedzane przez odpowiednich gości. Rozumie się, że i w żydowskich, i w pozostałych restauracjach narodowościowych przyjmowano również i inną klientelę, ale przypadkowy gość innej narodowości wkrótce się orientował, że nie jest tam zbyt pożądany i byłoby lepiej, gdyby znalazł „swoją" restaurację...

Restauracja żydowska, jeśli patrzeć z tego punktu widzenia, była „moja". Czytelnik z pewnością pamięta, że mieszkałem w Wiedniu z paszportem polskiego Żyda z Podkarpacia. W restauracji tej, gdzie jadałem tylko typowo żydowskie dania — a dodać muszę, że z początku przełykałem je z pewnym trudem — gdzie zachowywałem się tak jak reszta stałych bywalców i ściśle przestrzegałem zasad ich sposobu bycia, nie wdając się atoli z nikim w zbyteczną poufałość, zostałem przyjęty jak ktoś swój i przez kelnerów, i przez stałych klientów, którzy na powitanie kiwali mi przyjaźnie głowami, gdy spotykaliśmy się o tej samej porze na obiedzie.

A więc w tej restauracji, gdzie tak troskliwie przez pół roku stwarzałem sobie „żydowskie alibi", popełniłem tego dnia błąd taktyczny, o którym na początku była mowa.

Weszliśmy, umyliśmy ręce i zajęliśmy stolik, przy którym zwykle siadałem. Grisza — jak to jest u nas przyjęte — zdjął kapelusz i powiesił go na wieszaku. Pochłonięty rozmową, automatycznie uczyniłem to samo, nie zastanawiając się nad

tym, co robię. Po chwili spojrzałem na kelnera, który już wtedy, gdy siadaliśmy, stanął koło nas, by przyjąć zamówienie.

Grisza wybrał sobie świeżą rybę słodkowodną, przyrządzoną po żydowsku. Gdy składałem zamówienie, dostrzegłem w oczach kelnera wyraz zaskoczenia. „Co się stało?" — pomyślałem i popatrzyłem za nim, gdy odchodził w stronę kuchni.

W tej samej chwili zauważyłem jeszcze coś. Mijając oberkelnera, nasz kelner zamienił z nim znaczące spojrzenie. „U licha, cóż może być dziwnego w tym, że przyprowadziłem tutaj na obiad mego przyjaciela czy znajomego?" — zastanawiałem się w duchu. A gdy pozornie niedbale rozejrzałem się dokoła, zdziwienie moje zmieniło się w rozdrażnienie; stali bywalcy, których wchodząc pozdrowiłem uprzejmym skinieniem głowy i którzy równie uprzejmie odpowiedzieli na mój ukłon, teraz jakby zmówiwszy się z oberkelnerem skierowali na mnie zdumione spojrzenia. Co to wszystko ma znaczyć?

Grisza pierwszy spostrzegł niezwykłe zainteresowanie, jakie wzbudziliśmy, lecz zachowywał się tak, jakby oprócz nas nikogo w restauracji nie było — opanowanie musi być podstawową cechą każdego prawdziwego wywiadowcy.

Kelner przyniósł półmiski ze smaczną gotowaną rybą po żydowsku i oddalił się, unikając mego wzroku.

— Na zdrowie! — podniosłem kieliszek skrzącego się austriackiego rieslinga. — Wino jest doskonałe, gwarantuję. Znakomicie przygotowana jest również ryba. I za to ręczę głową...

— Na zdrowie! — podniósł swój kieliszek Grisza i dodał z uśmiechem: — Nie wiem, czy ryba jest znakomita, ale na pewno z haczykiem...

— Żartujesz sobie... Chociaż jesteś doświadczonym człowiekiem morza, chyba się mylisz...

— Nie mylę się, mój drogi; myślę tylko nie o haczyku w rybie na półmisku, a o tym, na który sami się złapaliśmy... Na zdrowie!

Drgnąłem. Gdy Grisza wypowiadał ostatnie zdanie, zrozumiałem, na czym polegał nasz błąd. Obydwaj usiedliśmy do stołu bez nakrycia głowy. Było to sprzeczne z żydowskimi

obyczajami. I oto nasze kapelusze wisiały na wieszaku jako zdradliwy dowód świadczący przeciw nam...

Ma się rozumieć, była to moja wina. Znałem i stosowałem wszystkie zasady zachowania się w tym środowisku. Jak mogłem zrobić teraz takie niby głupstwo, ale ogromnie wymowne... Byłem tak poruszony, że mnie wprost zatykało, wspaniała ryba i chłodzony riesling straciły dla mnie cały swój smak, ale żułem nadal; nie mogliśmy przecież wyjść z restauracji, nie dokończywszy obiadu, byłoby to naiwne i jeszcze bardziej podejrzane.

— Na zdrowie! — ponownie wzniósł kieliszek Grisza, nie tracąc ani na chwilę dobrego nastroju. — Ryba rzeczywiście jest niczego sobie.

Po jakiejś godzinie wezwał uprzejmym gestem oberkelnera, który stał jak posąg w rogu sali.

— Mój przyjaciel — powiedział wystarczająco głośno, by go słyszano przy sąsiednich stołach — niemal siłą przyprowadził mnie do waszej restauracji. Oczywiście u nas, w Londynie, mam przyjaciół Żydów, lecz nigdy dotąd nie byłem w żydowskiej restauracji i nigdy nie jadłem tak smacznie przyrządzonej ryby. Winszuję panu!

Oberkelner ukłonił się, wyraźnie zadowolony z komplementu, a jeszcze bardziej z dużego napiwku, który Grisza dyskretnie wsunął pod serwetkę.

Grzecznie się pożegnawszy, opuściliśmy lokal. Więcej się tam nie pokazałem. Grisza zdołał jakoś zatrzeć moją niezręczność, ale byłbym tam już napiętnowany podejrzeniem...

Czytelnik być może uzna, że to sprawa błaha. Naprawdę jednak przeoczenie to, choć niewielkie, było istotne. Podjąłem więc kroki (zmieniając zaraz na drugi dzień i mieszkanie, i dzielnicę, i paszport), które powinny zapobiec ewentualnym następstwom owego incydentu. Ale mógł się on skończyć bardzo źle.

Wiadomo z historii, jak schwytano (w marcu 1933 roku) przebywających nielegalnie w Berlinie Georgi Dymitrowa, Błagoja Popowa i Wasila Tanewa. Jakiś nieznaczny na pierwszy rzut oka szczegół w zachowaniu czy ubraniu zwrócił

uwagę podejrzliwych kelnerów-agentów w berlińskiej restauracji, którzy dali znać policji...

Wiedeń nie różnił się pod tym względem od Berlina. I tutaj kelnerzy, portierzy w budynkach mieszkalnych, właściciele prywatnych pensjonatów i hoteli w większości wypadków utrzymywali ścisły kontakt z policją.

Wyszliśmy z restauracji, znowu wzięliśmy taksówkę i ponownie odbyliśmy długą przejażdżkę po wiedeńskich bulwarach, po czym usiedliśmy w ustroniu pałacowego ogrodu Schönbrunn. W przeciwieństwie do mnie Grisza był nadal w dobrym nastroju i niczym nie dał po sobie poznać, że ma mi za złe ową niezręczność. Przeciwnie — sam zaczął opowiadać przypadki ze swej praktyki w USA i Japonii, gdzie podobne niewielkie przeoczenia o mało nie wepchnęły go w paszczę wilka.

— A ja w żaden sposób nie mogłem ci pomóc, Wanko — tłumaczył się. — Czego to ja już się nie uczyłem, ale jak dotąd jakoś nie trafiło mi się poznać żydowskich obyczajów... Ale muszę powiedzieć, że dzielnie się trzymałeś. Niczym nie zdradziłeś swego niepokoju. Gratuluję ci...

Taki właśnie był Grisza, taki był też Berzin; gdy niebezpieczeństwo przeszło, gdy pożar został ugaszony, nim wybuchł na dobre, wyrządzając nieodwracalne szkody, obaj starali się przede wszystkim pomóc zachować równowagę psychiczną. I ani słowa o błędzie, jeśli wiedzieli, że sam go zrozumiałeś i wyciągasz konieczne wnioski... Jedna potyczka za nami, mimo że nie uwieńczona powodzeniem; trzeba mobilizować siły do następnej... Praca wywiadowcy jest w istocie nie kończącym się szeregiem ciągłych potyczek, czyż jesteśmy w stanie we wszystkich być górą? Oczywiście, w walce zawsze namiętnie pragnie się i dąży do zwycięstwa, ale prawdziwy bojownik pamięta, że może też przegrać jakąś bitwę. Cała sztuka polega na tym, by w podobnych wypadkach zachować spokój i na czas wycofać się z pola walki, zachowawszy siły do nowego ataku tam, gdzie wróg się go nie spodziewa... Taka była filozofia Berzina i tego uczył, a życie stokrotnie przyznawało mu słuszność.

Chcę tu dodać jednak, że szkoła Berzina nie poprzestawała na dawaniu elementarnych wiadomości dla początkujących wywiadowców. Przyrównałbym ją raczej do studium matematyki wyższej. Dlatego właśnie Berzin bez przerwy wymagał od wszystkich swoich wywiadowców nauki, nauki, nauki... Wymagał jeszcze czegoś: mianowicie niezachwianej równowagi psychicznej. Posiadał ją sam Berzin. Posiadał i Grisza Salnin. W naszym ośrodku był jeszcze cały szereg ludzi im podobnych. Ja nie wyrobiłem w sobie na razie tej cechy, chociaż Grisza pogratulował mi w parku Schönbrunn wspaniałego zachowania. Nie wiem, jak wyglądałem, ale memu stanowi wewnętrznemu wówczas, w restauracji, wiele brakowało do określenia: „wspaniały"... Miały jeszcze upłynąć lata całe, nim zrozumiałem, że być może największym i najtrudniejszym osiągnięciem prawdziwego wywiadowcy jest wyrobienie sobie niewzruszonych, żelaznych nerwów, które pozwalają wybrnąć z wszelkich niespodziewanych kłopotów, zachowując choćby minimum sił psychicznych do podźwignięcia się, do dostrzeżenia i wykorzystania nawet znikomej szansy, do utrzymania spokoju we wszelkich okolicznościach, wobec każdego niebezpieczeństwa, nawet wobec śmierci...

— A więc co nowego u ciebie? — zmienił temat Grisza, choć jako kierujący naszym oddziałem i będący jednym z głównych pomocników Pawła Berzina orientował się niemal we wszystkim, co udało nam się dotąd wykonać. Łączność radiowa, podtrzymywana przez członka grupy, jednego z radzieckich towarzyszy, działała bez zarzutu.

— Firma jest już oficjalnie zarejestrowana — odparłem. — Udało nam się to tutaj równie łatwo jak w Szanghaju. Obmyśliliśmy też, jaki rodzaj handlu będzie prowadziła.

— Pewnie wykorzystasz doświadczenia z Chin? Eksport—import urządzeń elektrycznych, części maszynowych, zegarków?

— Postanowiliśmy, że na razie będzie to przedsiębiorstwo wyłącznie importowe. Będziemy sprowadzać artykuły rolne z krajów bałkańskich. Na rynku wiedeńskim brak bryndzy, jaj, świeżych jarzyn, drobiu... Na razie tyle, a potem stosownie do potrzeb...

Firma, którą postanowiliśmy utworzyć w owym czasie w Wiedniu, w ogólnych zarysach miała się opierać na doświadczeniu naszych przedsiębiorstw importowo-eksportowych w Pekinie i Szanghaju. Specyficzna działalność kupca z jego ciągłymi podróżami w sprawach handlowych po kraju i za granicę, z szerokimi kontaktami w różnych środowiskach, z operacjami bankowymi, z ciągłymi spotkaniami i ożywioną korespondencją — zapewniła pomyślne warunki do tajnej pracy. W dodatku handlowcy stanowili w Wiedniu chyba największą grupę ludności. Zarówno detalem, jak i hurtem zajmowały się tu tysiące ludzi i handel uważany był za szacowne i solidne zajęcie.

Ludzie, z którymi zamierzałem prowadzić firmę, byli to bułgarscy emigranci polityczni X i Y. Bułgarski student z wydziału hydromelioracji Angeł Wyłczew został stałym sekretarzem technicznym grupy. Oczywiście, do pracy tej miał się później włączyć cały szereg innych osób, ale na razie w swej działalności importowej firma posługiwała się wyżej wymienionymi.

— A więc import z krajów bałkańskich — powtórzył Grisza. — Przemyślnie. Stamtąd trzeba też przywieźć do Wiednia „towar", który nas specjalnie interesuje...

I Grisza zlecił do wykonania zadanie, jak dotąd — pierwsze, ale miały po nim nastąpić inne o podobnym lub odmiennym charakterze; zasięg naszego działania obejmował środkową i wschodnią Europę.

Pierwsze zadanie było bezpośrednio związane ze wzmożonymi przygotowaniami państw imperialistycznych do interwencji zbrojnej na Wschodzie. Ośrodek nasz otrzymał wiarygodne informacje, według których kapitalistyczne mocarstwa zachodnie intensywnie przygotowywały pod względem wojskowym i politycznym kraje wschodnioeuropejskie do swej przyszłej agresji. Była to działalność spiskowa znana już radzieckiemu wywiadowi, bo nie ustawała ani na jeden dzień od porażki interwentów; lecz ostatnimi czasy zaczęła się wzmagać. Zadaniem naszej grupy było prześledzenie działalności attaché wojskowych Niemiec, Włoch, Węgier, Polski, Hiszpanii i nie-

których innych krajów w Sofii, Bukareszcie, Belgradzie i Atenach. Według danych naszego wywiadu państwa imperialistyczne realizowały swe plany spiskowe właśnie za pośrednictwem tych przedstawicieli wojskowych w wymienionych wschodnioeuropejskich stolicach, w konsekwencji więc śledzenie ich działalności oznaczało śledzenie rozwoju spisku. Najistotniejszą częścią zadania było zdobycie kopii telegramów-raportów poszczególnych attaché wojskowych do swoich sztabów i rządów. W owych latach poselstwa nie posiadały własnej łączności radiowej z reprezentowanym krajem, jak to jest dzisiaj. Porozumiewano się przy pomocy kurierów, przedstawicieli dyplomatycznych, a jedyną możliwość uzyskania szybkiej łączności stanowił radiotelegraf, co pociągnęło za sobą utworzenie we wszystkich państwowych placówkach pocztowo-telegraficznych tajnych ekip.

Rozumie się, że attaché wojskowi wysyłali swe raporty, zaszyfrowawszy je odpowiednio, lecz mimo to radiotelegrafiści z tajnych ekip byli ludźmi dokładnie sprawdzonymi przez policję, a w wielu wypadkach — płatnymi jej agentami.

Nie musieliśmy więc docierać do samych poselstw czy do przedstawicielstw wojskowych, wystarczyło przeniknąć do tajnych komórek radiotelegraficznych Bułgarii, Rumunii, Grecji i Jugosławii. Kopie telegraficznych raportów były kluczem do ważnych tajemnic. W dokumentach owych attaché wojskowi odnotowywali każdy swój krok, zmierzający do omotania sztabu i rządu danego kraju, wszelkie obietnice, jakie zdołali uzyskać, każde ustępstwo na rzecz ich planów spiskowych. Były tam również analizy miejscowej sytuacji politycznej i wojskowej, charakterystyka czołowych działaczy, prognozy dotyczące rozwoju i przyszłych perspektyw w polityce i strategii. Raporty te zawierały wreszcie dane czysto wywiadowcze o potencjale wojskowym i gospodarczym, a więc o uzbrojeniu, gotowości bojowej armii i poziomie dowództwa, o umocnieniach wojskowych, portach i lotniskach, o przemyśle wojennym, telekomunikacji itd. Jasno z tego widać, że w owych latach większość attaché wojskowych zachodnich państw imperialisty-

cznych w krajach bałkańskich (i nie tylko tam) była nie tyle przedstawicielami dyplomatycznymi, ile po prostu szpiegami.

— Posiadamy informacje — rzekł Grisza — że rezydentom zachodnich ośrodków w krajach bałkańskich polecono ostatnio przyspieszyć realizację ich zadań. Najwyraźniej wróg zmobilizował już wszystkie środki, siły i rezerwy. Zmusza nas to do uczynienia tego samego. Przemyśl, sprawdź i niezwłocznie donieś, co zamierzasz robić — zakończył. — A o rozszyfrowanie telegramów się nie troszcz. Wysyłaj wszystko od razu do ośrodka przez kuriera...

Umówiliśmy się co do dodatkowych sposobów szybkiej łączności, pozostawiając resztę uściśleń do momentu przedłożenia naszej propozycji.

— Rozkaz, Grisza! Wszystko jest jasne. Tylko brak mi jednego, bym ci mógł obiecać już teraz, że zrobimy wszystko, jak należy...

Spojrzał na mnie pytająco swymi szaroniebieskimi oczami, których nie musiał teraz ukrywać pod maskującymi szkłami okularów...

— Brak mi ciebie...

Grisza uśmiechnął się mile, ścisnął moje ramię, a potem rzekł w zamyśleniu:

— Wanko, pomówmy poważnie jak mężczyźni. Tyle lat wspólnej pracy utwierdza mnie w przekonaniu, że nie jesteś z tych, co sobie dają w kaszę dmuchać... — i po chwili dorzucił: — Twój obecny nastrój jest wynikiem tej historii z kapeluszami — znów się uśmiechnął — zapomnij o niej, a właściwie, pamiętaj na tyle, by nie powtórzyć takiego błędu. W naszej profesji niekiedy właśnie drobiazgi są groźne; rozumiesz to wystarczająco... I jeszcze chcę ci coś powiedzieć. Wiesz, że urodziłem się nad morzem. Otóż utkwiło mi w pamięci marynarskie powiedzonko mego ojca i jego kolegów: „Zginie ten, kto wyrusza na morze z rozpaczą..." Starzy żeglarze mają jeszcze maksymę: „Morze kocha odważnych". Prawdziwy marynarz płynie nawet małą łódką tak, jakby to był krążownik...

Słowa Griszy podziałały na mnie z magiczną siłą, bo potrzebowałem pokrzepienia. Może nie były odkrywcze, ale ważne dla mnie, dlatego że on właśnie je wygłosił. Mądre słowo nie w każdych ustach brzmi jednakowo...

Rozstaliśmy się późnym wieczorem, bo Grisza przekazał mi tyle, ile mógł, z własnego doświadczenia wywiadowczego. Odprowadziłem go cichym o tej porze, zielonym bulwarem do hotelu, w którym, przyjechawszy prosto z Hagi, wynajął pokój. Następnego rana miał wyruszyć do Włoch Mussoliniego. Pożegnaliśmy się w cieniu pokrytych listowiem drzew tylko męskim uściskiem dłoni, choć miałem ochotę słowiańskim obyczajem uściskać go i ucałować, bo kochałem go jak brata.

Importowa firma „X—Y", zarejestrowana oficjalnie jako przedsiębiorstwo sprowadzające owoce, jarzyny, nabiał i inne artykuły rolne, rozpoczęła energiczną działalność. Dwaj „właściciele", X i Y, w krótkim czasie załatwili wszystko, co konieczne, dla nawiązania kontaktu z miejscowymi wiedeńskimi hurtownikami, z właściwymi kołami finansowymi, z właścicielami sklepów i agentami handlowymi.

Do niedawna biedny, wiecznie niedokarmiony student i emigrant polityczny, jakim był X, nagle zdobył pieniądze i możliwości zastosowania w praktyce tego, czego uczył się w wiedeńskim Instytucie Handlu Zagranicznego. Drugi „współwłaściciel" — Y — również ukończył studia w Wiedniu, wprawdzie na wydziale nie mającym nic wspólnego z handlem, lecz poczucie obowiązku sprawiło, że na razie porzucił swoją specjalność i poszedł tam, gdzie był potrzebny.

W jakiś miesiąc później X sprowadził z Bułgarii młodszego brata, który niezwłocznie rozpoczął studia i jednocześnie został oficjalnym kierownikiem firmy. Niemal w tym samym czasie Y wyjechał do Bułgarii. Podczas gdy my staraliśmy się dotrzeć do tajnej służby radiotelegraficznej na sofijskiej poczcie, Y miał otworzyć filię firmy w Gornej Oriachowicy i w Lewskim, skąd chcieliśmy dostarczać do Wiednia winogrona, jajka, drób i jarzyny. Y zamierzał wykorzystać do swej dzia-

łalności inne przedsiębiorstwa, prowadzące w owym czasie ożywiony handel eksportowy. Firma siecią swoich agentów handlowych objęła Sofię i szereg miast północnej Bułgarii — Ruse, Łom, Mezdrę i inne. Do tej skomplikowanej pracy Y wciągnął też swego młodszego brata — Iwana.

Handel ruszył nieoczekiwanie dobrze, dzienny obrót ciągle wzrastał, rosły też dochody naszej importowej firmy, która nie na żarty zaczęła się liczyć na wiedeńskiej giełdzie handlowej...

Podczas gdy jeden z „właścicieli" pracował w Bułgarii, drugi — X — większość czasu spędzał w Wiedniu, podróżując często z odpowiednim paszportem w „sprawach handlowych" do Sofii, Belgradu, Bukaresztu czy Aten...

Czytelnik się już domyśla, że firma została utworzona po to, by podróże między Wiedniem i bałkańskimi stolicami nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Realizowany przez Y eksport do Wiednia miał na celu zamaskowanie wywozu tajnych dokumentów, które reszta naszych ludzi w Bułgarii zdobywała na Poczcie Głównej w Sofii.

Gdy uporaliśmy się z pracą nad zorganizowaniem firmy handlowej, grupa ześrodkowała swoje wysiłki na drugiej, równie ważnej, a jeszcze trudniejszej części zadania — mianowicie na dotarciu do tajnych komórek radiotelegraficznych.

Nim wyjechałem z Wiednia, grupa nasza w całości wykonała zadanie mające na celu kontrakcję przeciwko destrukcyjnej działalności spiskowej attaché wojskowych szeregu imperialistycznych państw w krajach bałkańskich. Wkrótce zaczęły napływać odpisy telegramów. Nasi zaufani ludzie pracujący w tajnych komórkach radiotelegraficznych w różnych bałkańskich centralach pocztowych lub pracownicy techniczni, mający z nimi bezpośredni kontakt, znajdowali sposób na regularne wykonywanie kopii szyfrowanych depesz, nim zostały zniszczone. Inni odbierali materiały i zostawiali je w umówionych miejscach w Sofii, Bukareszcie, Atenach czy Belgradzie. Jeszcze inni dbali o to, by je przewieźć przez granicę wprost do

Wiednia. Z Bułgarii kopie owe Y dostarczał nie tylko za pośrednictwem firmy handlowej, ale i przez szereg innych osób, które specjalnie w tym celu tam wysyłałem. Do wszystkich niemal państw objętych naszą siatką jeździłem od czasu do czasu osobiście, by skontrolować robotę i służyć na miejscu pomocą.

Wszystkie papiery nadchodziły do mnie do Wiednia. Z początku (zgodnie z poleceniem Griszy wydanym podczas omawiania szczegółów zadania) wysyłałem je do ośrodka przez kurierów. Później Berzin skrócił procedurę. Przysłał dwóch wysoko wykwalifikowanych szyfrantów, którzy na miejscu odczytywali teksty telegramów i drogą radiową przekazywali je do Moskwy. W ten sposób informacje otrzymywano znacznie szybciej — fakt istotny, jeśli chodzi o efektywność kontrdziałania, które trzeba było podjąć.

Pominę tu — ze zrozumiałych względów — nazwiska niektórych naszych współpracowników spełniających bez zarzutu swój internacjonalistyczny obowiązek. Nie będę też mówił o środkach, za pomocą których organizowaliśmy niezbędną siatkę konspiracyjną. Wspomnę jedynie, że do stycznia 1933 roku, to znaczy do momentu odwołania nas, nie dopuściliśmy do żadnej wsypy z naszej winy. Wpadli wprawdzie nasi ludzie w Bukareszcie, ale stało się to z powodu niedbalstwa pracownika technicznego na kanale partyjnym Bukareszt—Praga—Wiedeń; aresztowano dwóch naszych współpracowników z grupy kierowanej przez Iwana Tewekelijewa, Bułgara z okręgu gornooriachowskiego, a działającej na Poczcie Głównej. Jednakże w śledztwie nie wykryto, jaka jest ich prawdziwa funkcja, i otrzymali niewielkie wyroki, za zupełnie inne „nieprawomyślne" poczynania, w których odgrywali trzeciorzędną i epizodyczną rolę.

Zresztą zanim wpadli, towarzysze ci zrobili w Bukareszcie sporo roboty. Oprócz tego, że wykonywali zlecone zadanie, prowadzili też obserwację podejrzanie aktywnej działalności japońskiego attaché wojskowego w Rumunii. Jego korespondencja przekazywana szyfrem przez Pocztę Główną w Bukareszcie znacznie przerastała tajne raporty pozostałych faszy-

stowskich przedstawicieli wojskowych. Było jasne, że za tą intensywną krzątaniną coś się kryje. Po nawiązaniu kontaktu z ośrodkiem nadeszło polecenie Berzina, by śledzić również robotę samurajów. Zbadawszy sprawę, uzyskaliśmy bardzo niepokojące wyniki. Okazało się (po dokładnym rozszyfrowaniu tajnych raportów telegraficznych), że japoński attaché wojskowy w Bukareszcie wykonuje „między innymi" najgorszą robotę szpiegowsko-dywersyjną przeciwko Krajowi Rad. Surowo ukarani na Dalekim Wschodzie, przycupnąwszy tam na razie cicho, samuraje zaczęli harce na granicy rumuńsko-radzieckiej. Trzeba dodać, że we wszystkim współdziałał tu z nimi królewsko-obszarniczy rząd rumuński, który wypowiedział swemu narodowi i ruchowi rewolucyjnemu istną wojnę wewnętrzną, przybierając jednocześnie (wskutek podżegania przez imperialistów zachodnich) brutalną i wyzywającą postawę wobec swego pokojowo nastawionego sąsiada ze wschodu.

Obok szeregu innych przestępczych aktów przeciwko Związkowi Radzieckiemu wieloosobowy sztab japońskiego attaché wojskowego w Bukareszcie organizował w Karpatach tajną szkołę sabotażowo-dywersyjną. Do tej szkoły Japończycy ściągali przeróżnych bandytów, recydywistów kryminalnych, krwawych oficerów białogwardyjskich, bezrobotnych kontrrewolucjonistów z siatki niesławnej pamięci generała Kutiepowa i innych podobnych osobników. W willi należącej do poselstwa japońskiego szkolono ich specjalnie, aby na terytorium radzieckim prowadzili bandycką działalność: jak wzniecanie pożarów, wysadzanie w powietrze fabryk, mostów i linii kolejowych, mordowanie działaczy partyjnych i państwowych oraz innych niewinnych ludzi, gromadzenie informacji szpiegowskich itp. Przewożeni skrycie łódkami przez Dniestr, bandyci wyruszali z owej karpackiej willi i tam też wracali ze sprawozdaniem. W tajnych telegramach japoński attaché wojskowy nie podawał szczegółów roboty owej szkoły dywersantów (z pewnością raport dotyczący konkretnych działań wysyłał przez specjalnego kuriera), lecz często się chwalił, że „saldo

rośnie", i domagał się od swych zwierzchników dodatkowych sum dla „wyróżniających się"...

„Saldo" bandyckiej szkoły w Karpatach, troskliwie strzeżonej przez rumuńskie siły bezpieczeństwa, oznaczało przelaną krew niewinnych ludzi radzieckich, szkody materialne, chwilową dezorganizację łączności i produkcji w szeregu okręgów graniczących wówczas z Rumunią. Poprzez zsynchronizowaną działalność z pozostałymi kapitalistycznymi organizacjami szpiegowskimi imperialiści japońscy usiłowali wszelkimi środkami przeszkodzić pokojowej twórczej pracy narodu radzieckiego.

Aby zakończyć tę część opowiadania, nie wdając się w szczegóły, dodam jeszcze, że dzięki skutecznemu kontrdziałaniu władze radzieckie zdołały wkrótce potem odciąć długie macki mikada, wyciągnięte aż z drugiego końca świata, by dokonać tu przestępczego dzieła.

Zadania swoje wykonała również bez zarzutu grupa pracująca na Poczcie Głównej w Sofii. Kierownikiem jej był doświadczony konspirator i stary pracownik poczty i telegrafu, Dimitr Ananjew, którego wezwałem uprzednio do Wiednia na trzytygodniowy kurs instruktażowo-szkoleniowy. Funkcję jego pomocnika pełnił Z. Do grupy owej należeli też specjaliści do obsługiwania aparatów Hughesa — Georgi Miłuszew i Josif Rangełow, radiotelegrafista Iwan Delibaszew, mechanik Georgi Kowaczew, kierownik techniczny głównej stacji pocztowo-telegraficznej inż. Nikoła Bełopitow, urzędniczka z „czarnego gabinetu" (policyjna cenzura korespondencji) Ljubica Petko Enewa, listonosz Asen Jankow, Iwan Miczew, nauczycielka Cwetana Georgijewa i inni. Grupa ta nie tylko wykonała główne zadanie, związane z tajnymi depeszami, lecz przeprowadziła także zakrojoną na szeroką skalę działalność informacyjną poprzez kontakty i ludzi w różnych kołach wojskowo-faszystowskich oraz rządowych. Spośród wymienionych osób wiele pomagało wywiadowi radzieckiemu aż do dnia zwycięstwa. Była to grupa wspaniałych patriotów i internacjonalistów.

Niezwykle cenną pomoc okazali również naszej grupie wywiadowczej bułgarscy emigranci polityczni Angeł Igow, Petko N. Petkow, Toma Martinow, Iwan Krekmanow i inni.

4. Intelligence Service się spóźnia

Lata trzydzieste, owo złowieszcze dziesięciolecie naszego wieku, które rozpoczęło się tak niepokojącymi symptomami w politycznej atmosferze Europy, zakończyło się — jak wiadomo — drugą wojną światową. Wybuchła ona jesienią 1939 roku, lecz przygotowania do niej zaczęły się o wiele wcześniej.

Było całkowicie jasne, że szykuje się ją przeciwko ZSRR i światowemu ruchowi rewolucyjnemu. Spisek był zakrojony na wielką skalę. Gromadzono siły, wciągano do niego coraz to nowe kraje i rządy, a w latach 1932—1933 wydźwignięto w Niemczech odwetowe koła faszystowskie, dopuszczając do zbrojeń w nadziei wykorzystania Niemiec jako żelaznej pięści przeciwko ZSRR.

Jednocześnie z zaciąganiem sieci politycznej imperialiści intensywnie rozwijali swój przemysł wojenny, jak również przemysł wojenny państw podporządkowanych lub moralnie i politycznie związanych ze spiskiem. Niemiecki przemysł zbrojeniowy na razie jeszcze się nie liczył, lecz za to rozrastały się gorączkowo przedsiębiorstwa wojskowe w krajach wielkiej ententy. Ważne miejsce co do ilości, różnorodności i doskonałości produkowanej broni zajmowała wśród głównych światowych państw-dostawców (Anglii, USA, Francji, Szwecji) Czechosłowacja, rządzona przez Benesza i Masaryka.

Nie piszę historii — to rzecz fachowców — sądzę jednak, iż mam prawo wypowiedzieć własną opinię o losie tego kraju i jego tragedii w końcu lat trzydziestych. Prawo do tego dają mi osobiste wrażenia wyniesione z Czechosłowacji z okresu 1933—1934.

Sądzę, iż tragedia burżuazyjnej Czechosłowacji zrodzonej na pogorzelisku imperium austro-węgierskiego była nieuni-

kniona, ponieważ od pierwszych lat jej istnienia, wbrew podstawowym interesom narodu, wbrew konieczności obrony przed teutońskim imperializmem, obrała ona polityczny kurs na Zachód, co było wyrazem oportunizmu wobec państw imperialistycznych, głównie wobec Francji. Oportunizmowi politycznemu towarzyszyła chęć dorównania zachodniemu potencjałowi militarnemu i wzrastająca zależność ekonomiczna gospodarki narodowej od potężnego kapitału monopolistycznego. Tym sposobem — mimo iż niezawisła — burżuazyjna Czechosłowacja pozwoliła się wciągnąć do ogólnej polityki państw imperialistycznych i faktycznie utraciła swą suwerenność. Kraj ten stał się cząstką imperialistycznego bloku zachodniego i rdzeniem małej ententy (Czechosłowacja, Rumunia, Jugosławia), która miała posłużyć jako pomost dla przygotowywanej agresji na Wschód.

To są znane fakty. Wiadomo również, że francuski sztab utrzymujący w tym kraju swą wieloosobową misję doradców przebudował armię czechosłowacką według własnych koncepcji wojskowych, przygotowując w ten sposób „mięso armatnie" dla imperializmu.

Na początku lat trzydziestych w życiu Czechosłowacji zaszedł jeszcze jeden fakt, który nawet dla ślepych był oczywistym dowodem strategicznej zależności kraju od Zachodu. Pod kierownictwem francuskiej misji wojskowej i świeżo przysłanych z Francji inżynierów rozpoczęto wzdłuż całej granicy czesko-niemieckiej budowę linii obronnej z supernowoczesnymi urządzeniami fortyfikacyjnymi. Zakrojono ją na tak szeroką skalę, że niemożliwością było utrzymanie tajemnicy. Powstawała dokładnie według planów francuskiej linii Maginota — choć prawdopodobnie w zmniejszonym wariancie — prasa bowiem określała ją francuską nazwą. Według zapewnień dziennikarzy obie „siostrzane linie obronne" i sojusz obu „na wieki związanych rycerską przyjaźnią" krajów — Francji i Czechosłowacji — stanowią solidną gwarancję bezpieczeństwa... Niewiele lat upłynęło i owa różowa iluzja rozwiała się jak dym; ani „rycerska przyjaźń" nie była tak znowu trwała, ani też „siostrzane linie obronne", skądinąd sta-

nowiące znaczne osiągnięcie sztuki wojskowo-inżynieryjnej, nie powstrzymały agresora. Francuska linia Maginota została okrążona od północnego zachodu i zaatakowana z tyłu, a jej mniejszy czeski wariant poddał się bez jednego wystrzału. Broń niewarta jest złamanego szeląga, jeśli do akcji wejdzie piąta kolumna...

A oto następny fakt: Do przemysłu czechosłowackiego, a głównie do przemysłu zbrojeniowego (przede wszystkim zakładów „Skoda") zaczęły napływać potężne strumienie kapitału z Francji, Belgii, Anglii i innych krajów zachodnich. Niektóre dane ówczesne świadczą, iż korzystając z pośrednictwa określonych kół na Zachodzie w zakłady „Skoda" kapitał swój ukradkiem włożyli niemieccy magnaci zbrojeniowi. Bronią wyprodukowaną w zakładach czechosłowackich zachodnie siły imperialistyczne uzbrajały armie państw wschodnioeuropejskich i przygotowywały je w ten sposób do wspólnego uderzenia na Wschód. Dotyczyło to zwłaszcza państw małej ententy. Poza tym broń czechosłowacką masowo eksportowano do krajów Bliskiego i Środkowego oraz Dalekiego Wschodu, włącznie z Egiptem, Indiami, a nawet Japonią...

Co to wszystko oznaczało? W każdym wypadku — tragedię jako polityczną konsekwencję tych faktów. I dokonała się ona, jak wiadomo, w Monachium we wrześniu 1938 roku. Zachodnie siły imperialistyczne („poplecznicy" burżuazyjnej Czechosłowacji) podpisali haniebny układ, który zgubił republikę. Składając ofiarę z wolności Czechosłowacji, państwa imperialistyczne sądziły, że nasycą nią apetyt Hitlera na nowe terytoria. A z podpisaniem wkrótce potem dwóch nowych oddzielnych porozumień (angielsko-niemieckiego i francusko-niemieckiego) Daladier i Chamberlain uzyskali w swym przekonaniu pewność, że nareszcie osiągnęli od dawna zamierzony cel — włączenie hitlerowskich Niemiec do spisku i skierowanie ich siły zbrojnej przeciwko ZSRR...

Czy była to naiwność polityczna, czy monstrualna polityczna zbrodnia? Koła imperialistyczne w Anglii, Francji i USA z cynicznym spokojem przyglądały się rozszarpywaniu repu-

bliki czechosłowackiej, tak jak z haniebnym spokojem przeszły też do porządku dziennego nad aneksją Austrii.

Lecz jeśli postępek państw zachodnich ocenimy jako zbrodnię polityczną, jak należałoby zakwalifikować postępowanie samych polityków czechosłowackich? Któryż rozsądny, dalekowzroczny i uczciwy przywódca państwowy potrafiłby spokojnie obserwować niszczenie swego własnego kraju, nie czyniąc absolutnie nic w obronie jego niezależności, jego terytorium, jego honoru? Postępek ówczesnych przywódców czechosłowackich równa się zdradzie narodowej. Zwolennicy prozachodniego kursu lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie odrzucili propozycję ZSRR, aby wspólnie przeciwstawić się agresorowi. Dla egoistycznych interesów klasowych przywódcy czechosłowacy poświęcili interesy narodu...

Te straszne i smutne wypadki, które na długie lata okryły żałobą ziemię bratnich narodów czeskiego i słowackiego i przyczyniły im niezliczonych i niewypowiedzianie krwawych cierpień, przeszły już do historii.

Ale z historii należy czerpać naukę. Polityczna niezależność i całość terytorialna republiki czechosłowackiej może być zachowana tylko przy współpracy, niezachwianym sojuszu i braterskiej przyjaźni z ZSRR — jedynej na świecie potęgi, której zawsze droga była wolność, niezawisłość i pokój narodów.

Przypominam te powszechnie znane fakty historyczne nie przypadkiem — dalszy ciąg moich pamiętników zawiera stronice mające bezpośredni związek z burżuazyjną Czechosłowacją. Pojechaliśmy do tego kraju z zadaniem nadzwyczajnym, które zlecił nam ośrodek.

Lenin, twórca i wódz państwa radzieckiego, po zwycięstwie Rewolucji Październikowej i pokonaniu interwentów, licząc się z realną sytuacją polityczną i wrogim otoczeniem, zwrócił się do przywódców wojskowych w kraju z wyraźną wskazówką. Mówił, że głupotą lub nawet przestępstwem wobec państwa jest ze strony armii lekceważenie starań, prowadzących do poznania wszystkich rodzajów broni, wszystkich środków i metod walki, jakie stosuje lub może stosować nieprzyjaciel.

Ta myśl Lenina stanowiła zawsze podstawę radzieckiej koncepcji wojskowej. Określała ona także część strategicznych zadań wywiadu wojskowego, którego jedynym i najwyższym celem była obrona radzieckiej ojczyzny i utrzymanie pokoju.

Na początku lat trzydziestych wywiad radziecki w Europie Zachodniej (w Anglii i Francji) uzyskał informację, że na zamówienie i za zezwoleniem potęg zachodnich niektóre fabryki czechosłowackie produkują seryjnie nowe typy broni. Broń owa — pistolety automatyczne, karabiny maszynowe, lekkie działa przeciwczołgowe, przenośne radiostacje polowe itd. — była nie tylko konstruowana przez potężne zachodnioeuropejskie zakłady zbrojeniowe (na przykład Creusota i Schneidera — we Francji czy Armstronga — w Anglii), ale i finansowały one jej produkcję. Według informacji naszego wywiadu broń charakteryzującą się podobnym rozwiązaniem technicznym i zwiększoną efektywnością produkowały już zakłady wojskowe szeregu państw imperialistycznych. Odstąpienie tajnej dokumentacji technicznej ówczesnej Czechosłowacji niedwuznacznie świadczyło o zaufaniu, jakim cieszyli się u potęg imperialistycznych burżuazyjni politycy i soldateska tego kraju.

Jak Czytelnik sam rozumie, informacja, jaką uzyskaliśmy, dopełniała wiedzy na temat włączenia Czechosłowacji do agresywnego bloku zachodniego i jej coraz aktywniejszej roli w uzbrajaniu tego bloku. Ten fakt zobowiązywał przywódców radzieckich, by zgodnie ze wskazaniami Lenina podjęli odpowiednie kroki. Zadania naszej grupy w związku z nową sytuacją polegały na tym, by zapoznać się z nową bronią przeciwnika.

Eksperci wojskowi wiedzą dostatecznie dobrze, iż zapoznanie się z bronią, którą dysponuje przeciwnik, jest koniecznością i ma pierwszorzędne znaczenie; bez rozwiązania tego problemu nie można stworzyć niezawodnej obrony ani zapewnić warunków do kontruderzenia.

Nawet najdoskonalsza broń ofensywna traci swą efektywność, jeśli zostanie na czas wykryta. Przy tym każda broń ma też swą broń przeciwstawną. Rzecz w tym, by zdążyć ją przygotować w celu zneutralizowania przewagi przeciwnika.

Z tych względów należało szybko wykonać zadanie, które otrzymała właśnie nasza grupa. Mieliśmy zdobyć szczegółowe dane o broni, jaką szereg dużych zakładów wojskowych produkował dla celów przyszłej agresji. Kontrola produkcji i strzeżenie jej tajemnicy należały do angielskiej centrali wywiadowczej Intelligence Service i francuskiego wywiadu wojskowego. Do tajnych oddziałów fabrycznych mieli dostęp tylko pracujący tam specjaliści i personel inżynieryjno-techniczny. Jakakolwiek osoba postronna, nawet przedstawiciel oficjalnych władz państwowych, nie miała tam prawa wstępu. Świadczy to dodatkowo, że strona czeska spełniała tu faktycznie rolę podrzędną, wyłącznie wykonawczą, a inspiratorem i panem był ktoś inny. Nasza działalność skierowana była przeciwko tym „innym", którzy opracowywali „wielką strategię" spisku, którzy obecnie wykorzystywali fabryki Czechosłowacji i jej specjalistów, by przyspieszać formowanie swego zbrojnego zaplecza, a jutro — wbrew pięknym słówkom i szczodrym obietnicom — z bezwstydem Piłata Ponckiego uczynić z tego kraju ofiarę...

Natychmiast po otrzymaniu nowego zadania udałem się do Pragi. Należało zorientować się we wszystkich możliwościach przeniknięcia do kompetentnych kół i fabryk, gdzie w tajemnicy produkowano broń na nową wojnę światową.

„Złota Praga" — tak z zachwytem nazywają Czesi swoją stolicę; i nie bez podstaw. Zamek Hradczany, wspaniale zachowana średniowieczna dzielnica, malowniczy plac Wacława, urocza Wełtawa, cicho tocząca swe niebieskawe wody wśród przybrzeżnych dzielnic, pod pięknymi, pokrytymi patyną wieków kamiennymi mostami, cudowne parki i ogrody, śliczne okolice pełne pól, lasów, starych zamków i malowniczych wiosek — wszystko to, połączone w niepowtarzalną całość milionowego miasta, rzeczywiście porywa cudzoziemca.

Kochałem Pragę i ja. Nieraz już przedtem przyjeżdżałem tu — czy to w drodze do Związku Radzieckiego, czy na tajne spotkania. Partia komunistyczna w Czechosłowacji była bojo-

wa, aktywna i energiczna, istniał tu silny ruch postępowy, naród zaś był spokojny, utalentowany, pracowity i w przeciwieństwie do przywódców państwowych nie godził się z brudną rolą, jaką wyznaczyli oni Czechosłowacji w przyszłej antykomunistycznej krucjacie na Wschód. Jednakże naród ten, zakochany w swej ziemi, cieszący się zdobytą niedawno niezależnością, nie dostrzegał, że państwo wolno a niezauważenie stacza się po równi pochyłej w przepaść...

Praga żyła swoim normalnym życiem, przywódcy wygłaszali budujące przemówienia, a Tomasz Masaryk wiódł akademickie spory — z marksizmem i utrzymywał, że jedyną drogą dla nowo utworzonej republiki czechosłowackiej jest droga jednoczenia narodowego, tuszowania sprzeczności klasowych, harmonijnej demokracji.

Europa znała już takie idee. Były to wytarte reformistyczne slogany „przebudowy i udoskonalenia społeczeństwa burżuazyjnego", podsuwane przez prawicę socjaldemokratyczną, która ułatwiała w ten sposób stabilizację kapitalizmu. Masaryk, stary profesor filozofii i socjologii, uznany bojownik o samodzielne istnienie kraju w latach niewoli austro-węgierskiej, pierwszy, a następnie wciąż wybierany prezydent nowo powstałej republiki czechosłowackiej, wskutek swej mylnej orientacji politycznej przyczynił krajowi poważnych kłopotów. Energiczny i konsekwentny jako bojownik o niezależność narodową, po 1918 roku, gdy stała się ona już faktem, okazał się niezdolny do ustrzeżenia jej, nie potrafił odróżnić prawdziwych przyjaciół od zamaskowanych wrogów republiki...

Praga żyła swym normalnym życiem i zdawało się, że naród, który cieszył się względnym dobrobytem w warunkach skomplikowanej koniunktury powojennej, nie dostrzega lub nie chce dostrzegać zgubnej otchłani. Jednakże jego najaktywniejsza, najbardziej świadoma część widziała ją. I naród, zrzeszony w szeregach swojej partii komunistycznej, a później w szeregach frontu ludowego, miał w przyszłości wyrazić swą wolę w sposób jasny i kategoryczny.

W Pradze — podobnie jak i w Wiedniu — istniała silna organizacja studentów bułgarskich. Właściwie było ich trzy:

pierwsza — nacjonalistyczna, pod nazwą „Wieczornica Bułgarska" — popierana była przez poselstwo carskiej Bułgarii, druga — studencka, grupująca członków Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego — była tolerowana przez oficjalne władze państwowe, trzecia — mniej liczna niż poprzednia, lecz silniejsza i bardziej bojowa — była to nasza organizacja.

Kiedy przybyłem do Pragi z zadaniem specjalnym, bułgarska organizacja studencka, poprzednio — w latach dwudziestych — nazywająca się „Narstud" (narodno studenczestwo), nosiła imię Wasila Lewskiego, które przybrała po roku 1928. Zdołała ona — podobnie jak organizacja wiedeńska — włączyć w swe szeregi mnóstwo młodzieży. I w tym wypadku obecność Georgi Dymitrowa miała pomyślny wpływ na życie organizacji; swego rodzaju ekskluzywność starego stowarzyszenia ustąpiła miejsca bardziej nowoczesnym, aktywniejszym formom obcowania z najszerszymi kołami młodzieży i uczciwych ludzi (z lewicowymi ludowcami włącznie), którzy akceptowali główne nasze zasady. Tym sposobem również tu, w Czechosłowacji, dymitrowska linia frontu ludowego, która później miała stać się generalną linią naszej partii i całej Międzynarodówki Komunistycznej, zyskała cenne zwycięstwo.

Oprócz dużej grupy postępowych studentów w Czechosłowacji przebywała też znaczna liczba bułgarskich emigrantów politycznych, którzy znaleźli tu schronienie po ciosach, jakie im zadano w roku dwudziestym trzecim i dwudziestym piątym. Niektórzy z nich przybyli z Wiednia po uzyskaniu dyplomów na tamtejszych uczelniach, inni zostali usunięci przez władze austriackie za udział w powstaniu lipcowym w 1927 roku. Do bułgarskich kół postępowych w Czechosłowacji zaliczyć trzeba także setki emigrantów gospodarczych, którzy trudnili się ogrodnictwem w okolicach Pragi i innych większych miast.

Wśród aktywnych działaczy postępowej grupy bułgarskiej w Czechosłowacji znajdowali się w tym czasie inż. Stefan Todorow-Kmeta (była już o nim mowa powyżej, gdy opisywałem działalność postępowych studentów bułgarskich w Wiedniu), Stefan Bojuklijew (z którym wspólnie przerzucaliśmy

w roku dwudziestym piątym bułgarskich emigrantów politycznych z Jugosławii i który wówczas ledwie się wyratował z belgradzkiej twierdzy-więzienia Gławniacza), inż. Dimitr Abadżijew, inż. Marin Kałburow, inż. Stojan Karadżow (który kierował postępową organizacją studencką w Brnie), architekt Iwan St. Damianow, inż. Petko N. Petkow, inż. Totju Iwanow, inż. Marin Karaiwanow, dr Konstantin Miczew (którego wymieniałem już wśród aktywistów wiedeńskiej organizacji studenckiej i partyjnej), Marin Genczew, inż. Minczo Rajczew, dr Nenczo Nikołajew i wielu innych. Wskutek swej aktywnej działalności politycznej wielu z tych ludzi oraz inni, nie wymienieni z nazwiska, spotkali się z surowymi represjami ze strony policji Masaryka. W 1934 roku w kazamatach tajnej policji czeskiej zginął — straszliwie storturowany — wybitny bojownik-internacjonalista, inż. Stefan Todorow-Kmeta.

Najliczniej reprezentowana w Wiedniu w latach trzydziestych bułgarska emigracja polityczna, skupiła się obecnie w Czechosłowacji, w głównych miastach kraju — Pradze, Bratysławie, Brnie, Ostrawie, Pilznie.

Wzmocnienie naszej emigracji politycznej i postępowej studenterii w Czechosłowacji nie było zjawiskiem przypadkowym; wiązało się ono z odważną walką, jaką patrioci czechosłowaccy z własną bojową partią komunistyczną na czele prowadzili przeciwko przekształcaniu swego kraju w satelitę państw imperialistycznych i w ślepe narzędzie ich agresywnych zamierzeń.

Chciałbym tu dodać — ponieważ nie będę już wracał do tego tematu — że postępowa studenteria bułgarska i cała nasza postępowa emigracja polityczna w Czechosłowacji do końca pozostały wierne tradycjom rewolucyjnym. Nie tylko poparły one wysiłki miejscowej partii komunistycznej, zmierzające w drugiej połowie lat trzydziestych do utworzenia i rozszerzenia frontu ludowego, lecz również później, gdy Czechosłowację okupowali już hitlerowscy najeźdźcy, włączyły się masowo do walki z faszyzmem. Na kartach współczesnej historii Czechosłowacji znaleźć można wyrazy gorącej wdzięcz-

ności dla dziesiątków bułgarskich antyfaszystów, którzy ramię w ramię z bojownikami czeskimi i słowackimi, z bronią w ręku walczyli z hitleryzmem, należeli do oddziałów partyzanckich i oddawali życie w sławnym powstaniu słowackim... Dzieje tych walk są fragmentem dziejów bułgarsko-czechosłowackiego braterstwa broni, które powstało i hartowało się w najcięższych dla obu narodów latach.

Wracając do naszego zadania, wymagało ono zorientowania się w faktycznej i potencjalnej sile produkcyjnej największych zakładów wojskowych, w rodzaju ich produkcji, schematach technologicznych, zasobach finansowych i kontaktach z bankami oraz w pochodzeniu obcych inwestycji, a także w rynkach zbytu (to jest w tym, dla jakich krajów przeznaczona jest broń). Rozumie się, że sfera działalności wywiadowczej obejmowała też samą broń, a szczególnie nowe jej rodzaje, już produkowane, jak również te, które były jeszcze na etapie techniczno-doświadczalnym, a także różne rodzaje urządzeń wojskowych, wysyłanych z największych fabryk czechosłowackich do krajów Europy Zachodniej. Szczególnie interesowali nas, naturalnie, ludzie. Wielu z nich mogło nam pomóc w zdobyciu informacji.

Przez szereg lat działało w Czechosłowacji sporo naszych współpracowników. Wykonywali oni zadania w pojedynkę lub po dwóch (zależnie od potrzeby), nie znając się osobiście — kontakty i organizacja pracy znajdowały się w moich rękach. Formy działalności były najróżniejsze. Jedną z nich stanowiła praca naszego fikcyjnego biura eksportowego i o tej właśnie opowiem.

Łącząc swe zainteresowanie produkcją zbrojeniową z czysto kupieckimi korzyściami, biuro z łatwością mogło nawiązać kontakt z kantorami handlowymi zakładów zbrojeniowych, a stopniowo także z samymi konstruktorami, których nazwiska i sama praca były utrzymywane w tajemnicy.

Biuro zostało utworzone w Pradze i oficjalnie zarejestrowane, a jedyny jego „właściciel" — X-1, studiujący inży-

nierię, architekturę i ekonomię, miał szerokie zainteresowania kulturalne i właściwą orientację polityczną. Dzięki dużej wyobraźni i przedsiębiorczości X-1 rozwinął wkrótce energiczną i wielostronną działalność. Oczywiście, z góry jak najstaranniej obmyśliliśmy charakter i teren handlowej działalności biura. Powinno się ono było zainteresować obfitym asortymentem towarów, proponowanych rynkowi czechosłowackiemu, a potem — stopniowo i niepostrzeżenie — zapuszczać sondy w kierunku, który interesował nas faktycznie.

Nasze biuro handlowo-eksportowe zdołało w szybkim czasie zakasować szereg pracujących siłą inercji starych biur eksportowych w Pradze. Toteż wielu sofijskich producentów i sporo tamtejszych przedsiębiorstw eksportowych szybko zauważyło przedsiębiorczość, kupiecki rozmach oraz subtelny węch X-1 i wykazało wyraźne zainteresowanie naszym biurem (dla nich ważne były operatywność i zysk, a kim jest i skąd się wziął świeżo wykluty pośrednik handlowy, nie obchodziło ich wcale). A więc zjawiły się w naszym biurze próbki olejku różanego sofijskiej firmy „Nikoła Neczew", która zaproponowała nam, byśmy objęli generalne jej przedstawicielstwo w Czechosłowacji; producent i sprzedawca dywanów Z. Filipow przysłał całą serię kilimów (cziprowskich, kotleńskich i innych) z prośbą, by je pokazać na praskim rynku; Zrzeszenie Kupców Bułgarskich zaproponowało nam prowadzenie swojej korespondencji z Czechosłowacją...

Sfera naszego działania nie ograniczała się do Bułgarii. W jakiś miesiąc — dwa później za pośrednictwem praskiej akcyjnej firmy „Poledna" biuro nasze skontaktowało się z francuską firmą „Duras" (z Nicei) w celu dostawy bułgarskiego olejku różanego. Podpisano umowę na dostarczanie bułgarskich olejków eterycznych praskiej fabryce perfumeryjnej „Prochazka", a wkrótce potem i fabryce perfumeryjnej „Pilnaczek" w Hradec-Kralove. Następnie biuro nawiązało kontakty handlowe z zarządem monopolu tytoniowego w Pradze, z wiedeńską giełdą produktów rolnych, z „Lionel-Strongfort" — przedsiębiorstwem artykułów sportowych w Berlinie — i z innymi placówkami. Wkrótce potem dwie duże

firmy japońskie zaproponowały nam pośrednictwo w dostawie do Bułgarii japońskiej wiskozy, chińskiego preparatu żeń-szeń, japońskich jedwabiów, wyrobów z laki i kości słoniowej oraz innych towarów.

Biuro rozwijało nie tylko aktywność handlową, lecz zdołało też nawiązać kontakty w środowisku kompetentnych osób, związanych z produkcją broni w zakładach „Skoda", „Vitkovic-Werke", „Zbrojovka", „Ceskomoravska Kolben-Danek" i innych, jak również z przedstawicielami handlowymi tych zakładów w szeregu krajów Europy Wschodniej. Owe kompetentne osoby znały nową dokumentację techniczną, nadchodzącą w najgłębszej tajemnicy z Zachodu, dlatego też zainteresowaliśmy się nimi. Niezastąpioną pomoc okazał nam X-2, nasz współpracownik, który w owym czasie przebywał w Bułgarii jako przedstawiciel handlowy pewnych czechosłowackich zakładów zbrojeniowych. Dzięki niemu zdobyliśmy nie tylko dokumentację techniczną, lecz również gotowe fabryczne wzory wielu nowych rodzajów broni, które Czechosłowacja miała wysyłać dla armii bułgarskiej i innych armii monarcho-faszystowskich. Jednym z nich był lekki karabin maszynowy marki „Bren", produkowany na angielskiej licencji przez zakłady w Brnie. X-2 z samozaparciem i z powodzeniem spełniał swój internacjonalistyczny obowiązek aż do chwili klęski hitlerowskich Niemiec. W połowie lat trzydziestych obaj z nim dwukrotnie byliśmy przyjęci przez komisarza obrony — marszałka Klimenta Jefremowicza Woroszyłowa, który przekazał nam słowa pochwały i wdzięczności za dobrze wykonane zadania. W tym celu specjalnie wezwałem X-2 przez nasz kanał do Moskwy.

Przeszło trzy lata ciągnęła się nasza tajna działalność w burżuazyjnej Czechosłowacji. Biuro handlowe, maskujące tylko część roboty, pracowało pełną parą i obroty jego szybko wzrastały (gdyby X-1 był rzeczywiście kupcem, mógłby się dorobić majątku!). W realizacji zadań uczestniczył jeszcze cały szereg współpracowników. Niezwykle cennym naszym pomocnikiem

był etatowy wywiadowca, Bułgar — Christo Genczew (którego Czytelnik poznał już na wcześniejszych stronicach książki). Odsiedziawszy w Bułgarii wyrok po wsypie z bronią, Genczew ponownie włączył się do ryzykownej pracy na cichym froncie.

Czechosłowacja okazała się odpowiednim terenem nie tylko dla plasowania przeróżnych modnych czy spożywczych artykułów. Ludzie pracy w tym kraju mimo śmiertelnego ryzyka posłuszni byli swemu wewnętrznemu nakazowi spełnienia internacjonalistycznego obowiązku. Właśnie ta ich gotowość umożliwiła wykonanie zadań. Patrioci czechosłowaccy pomagali nam ze świadomością, że pomagają sobie samym, swej ojczyźnie, której groziła zagłada. Inżynierowie konstruktorzy, technicy zbrojeniowi i specjaliści opracowujący nowe typy broni pozostawali pod czujnym okiem tajnej policji czeskiej, Intelligence Service i francuskiego wywiadu wojskowego. Wszystko było wykonywane pod tą kontrolą, poczynając od przyjęcia dokumentacji technicznej, przywożonej z Zachodu przez tajnych kurierów, poprzez opracowanie fabrycznej technologii, kończąc na seryjnej produkcji broni... Uświadomieni politycznie ludzie pracy w Czechosłowacji jasno zdawali sobie sprawę, co to wszystko znaczy. Rozumieli, że ich ojczyzna została wciągnięta w tryby gigantycznej imperialistycznej maszyny wojennej. Pojmowali, iż własnymi rękami produkują narzędzia śmierci przeciw innym miłującym pokój narodom, a nawet przeciw własnemu...

Patrioci czechosłowaccy zdołali dostarczyć nam pełną dokumentację techniczną kilku rodzajów nowej broni. Później całymi tygodniami przemycali przez ucho igielne czujnej kontroli policyjnej część po części, aż udało im się wynieść po jednym gotowym modelu seryjnym. Ryzykując głową, owi godni szacunku synowie narodów czeskiego i słowackiego dokonali dla swej ojczyzny i pokoju prawdziwie bohaterskiego czynu. Spośród tych ludzi wspomnę tylko dwóch, którzy w powojennej socjalistycznej Czechosłowacji żyli otoczeni zasłużonym szacunkiem. Są to N-17 i Josif Bejdo-Bayer. Pierwszy z nich był majstrem oddziałowym w jednym z tajnych

zakładów zbrojeniowych, drugi — wysoko wykwalifikowanym ślusarzem, któremu powierzano wykonanie skomplikowanych detali technicznych w owej fabryce broni automatycznej...

Gdy cała nasza praca, „czysto" zrobiona, była już na ukończeniu, tajna policja i eksperci z Intelligence Service poddali nagle szczegółowym badaniom każdego pracownika z osobna, cały personel fabryki, gdzie pracowali N-17 i Bayer. Sygnał nadszedł z Londynu; stamtąd sobie znanymi drogami Intelligence Service dowiedziała się o naszych odkryciach dotyczących broni. Zaraz też śpiesznie przystąpiła do załatwienia porachunków z naszą tajną organizacją.

Ale się spóźniła. Nasze grupy, uprzedzone o zbliżającym się niebezpieczeństwie, niezwłocznie zakończyły robotę i zatarły za sobą wszelkie ślady. Odwrót ten odbywał się bez paniki. Najpierw przerzuciliśmy do ZSRR dwóch czechosłowackich patriotów, N-17 i Bayera, wraz z ich rodzinami. Następnie zatroszczyliśmy się o to, by uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie wszystkich pozostałych współpracowników i stworzyć im przekonywające alibi w wypadku ewentualnego aresztowania. A wreszcie — zlikwidowaliśmy biuro handlowe w stolicy Czechosłowacji. To ryzykowne zajęcie wykonał Y, którego wysłałem do Pragi.

Wszystko, co było konieczne, zostało wykonane w maksymalnie krótkim czasie. Biuro pospiesznie opróżniło wynajmowany w jednej z centralnych dzielnic obszerny lokal i zabrawszy całą dokumentację w ciągu paru zaledwie godzin po prostu zniknęło z Pragi, gdzie w kołach handlowych udało mu się zdobyć godną pozazdroszczenia pozycję. X-1, nie poniósłszy szwanku, opuścił kraj.

Zginął tylko jeden człowiek — Jan Dostalek.

Czyn jego zasługuje na wysokie uznanie. Jan Dostalek dał przekonywający wyraz swego patriotyzmu i internacjonalizmu. Przypłacił to życiem.

Dla Dostalka, głęboko uczciwego człowieka, jednego z wielu naszych miejscowych współpracowników, słowa: „obowiązek wobec ojczyzny" — nie były pustym dźwiękiem.

Zrozumiał to nagle, przyszło to na niego jak objawienie...

Do owej chwili — podobnie jak tysiące innych obywateli czechosłowackich — Dostalek nie zdawał sobie sprawy z politycznego losu własnego kraju. Był konstruktorem radiowym i utalentowanym wynalazcą. On to zaprojektował niewielki przenośny aparat nadawczo-odbiorczy odznaczający się dużym zasięgiem i zaletami technicznymi, znacznie przewyższającymi dotychczasowe urządzenia tego rodzaju. Aparat ów mógł służyć do nawiązywania łączności w warunkach polowych, a także we wszelkich pojazdach pancernych, samolotach itp.

Wynalazek, entuzjastycznie przyjęty przez ekspertów wojskowych, natychmiast został objęty tajemnicą państwową, a Dostalek, zarzucony pieniędzmi, mógł w doskonałych warunkach pracować nad przystosowaniem projektu do seryjnej produkcji; władze wojskowe śpieszyły się bardzo z jej wprowadzeniem.

Dostalek pracował dzień i noc w przeświadczeniu, że wynalazek będzie służył obronie jego własnej ojczyzny. Wkrótce gotów był wykonany w nowoczesnym laboratorium fabrycznym aparat, stanowiący w porównaniu z prototypem, skonstruowanym w skromnym domowym warsztacie technicznym, udoskonalony model.

I prawdopodobnie wszystko potoczyłoby się normalnie dalej, gdyby Dostalka nie odwiedzili w tym czasie wysoko postawieni goście. Byli to członkowie francuskiej misji wojskowej w Czechosłowacji w towarzystwie oficerów czechosłowackiego sztabu i tajnej policji. Francuzi z wyszukaną uprzejmością złożyli Dostalkowi gratulacje, po czym oficerowie sztabu zaczęli namawiać go, by zademonstrował „francuskim przyjaciołom" zalety techniczne swego wynalazku. Okazało się, że wśród francuskich gości byli specjaliści w dziedzinie radiowej. Spotkanie zakończyło się wystawną kolacją w najdroższej restauracji.

Wynalazca, żyjący dotychczas tylko w świecie problemów technicznych, oszołomiony wszystkim, zrozumiał tego wieczoru nagle, że był ślepy i naiwny. Pojął, że „francuscy przyjaciele" orientują się we wszelkich wojskowych, technicznych, strategicznych i politycznych tajemnicach jego ojczyzny. Za-

uważył, że oficerowie sztabu i policji zachowują się czołobitnie wobec francuskich „gości". Stwierdził wreszcie, że jego wynalazek w najbliższej przyszłości będzie produkowany również we francuskich fabrykach, a więc w konsekwencji będzie służył nie obronie jego ojczyzny, lecz ofensywnym planom państw zachodnich...

Owa wystawna kolacja w praskiej restauracji stała się w życiu Jana Dostalka momentem przełomowym. Od uświadomienia sobie zdrady narodowej przywódców państwowych do decyzji współdziałania ze słuszną sprawą był tylko krok. I Dostalek uczynił go bez wahania.

Najpierw dostarczył nam dokumentację techniczną swego wynalazku, a nieco później wyniósł przy pomocy N-17 z fabrycznego laboratorium technicznego kilka kompletnych aparatów. Niektóre z nich zostały od razu użyte, a resztę zakonserwowano. Ta reszta spełniła swą rolę w czasie okupacji hitlerowskiej.

Dostalek zdawał sobie sprawę, że jeśli zostanie zdemaskowany, utraci wszsytko — i szczodre honoraria otrzymywane za swoje konstrukcje, i perspektywy wspaniałej kariery, i imię uczciwego obywatela republiki (okryto by go publicznie hańbą), a może nawet życie. Od nas nie otrzymywał w zamian nic, jeśli sprawę traktować w kategoriach dóbr materialnych. Wiedział jednak, że spełnia obowiązek patriotyczny i internacjonalistyczny. Ta świadomość mu wystarczała...

Rzecz wyszła na jaw, choć nie z winy Dostalka. Jeden z aparatów, który skompletował dla nas, wpadł w ręce tajnej policji, gdy pewien nasz pracownik techniczny próbował przekroczyć granicę.

Dostalka aresztowano. Do niczego się nie przyznał. Do śledztwa jednak wtrącili się eksperci z francuskiej policji wojskowej. Wynalazcę poddano nieludzkim średniowiecznym torturom. Zniósł je po bohatersku. Sąd wydał na niego surowy wyrok, lecz mógł skazać tylko jego; w aktach sądowych i w akcie oskarżenia nie było ani jednego nazwiska, ani jednego adresu miejsca konspiracyjnych spotkań... Jan Dostalek dożyłby dnia dzisiejszego, gdyby policja — rozwścieczona jego

niezłomnym milczeniem — nie zamordowała go okrutnie w więzieniu.

Taka była policja Czechosłowacji Benesza i Masaryka; podczas gdy stary profesor-prezydent wygłaszał swe akademickie sentencje o „pokoju klasowym i harmonijnej demokracji", jego policja zapamiętale ćwiczyła się w swym fachu oprawców, by zdusić wszelką próbę oporu klasowego...

Jan Dostalek zginął, by przetrwało braterstwo narodów, bez którego nie do pomyślenia była wolność jego ojczyzny.

5. Gość z ośrodka i strażak Z-9

Dom pogrążony był w mroku jesiennego deszczowego wieczoru, gdy zatrzymaliśmy się przed furtką, której automatyczny zamek otworzyłem cicho. Dziesięć kroków po ogrodowej ścieżce wysypanej piaskiem — i oto jesteśmy przed eleganckim bocznym wejściem do piętrowego budynku. I tu spokojnie, bez zbędnego pośpiechu otworzyłem drzwi, tak jak uczyniłby to właściciel czy lokator tego drogiego, reprezentacyjnego domu.

Weszliśmy do mieszkania na pierwszym piętrze. Przed zapaleniem światła zaciągnąłem gęste aksamitne story. Mój towarzysz idący za mną w milczeniu, bez pytań czy jakichś uwag, całkowicie pozostawiał mi rolę przewodnika. Gdy rozbłysnął kryształowy żyrandol, oblewając łagodnym światłem obszerny hall, zwróciłem się do gościa ze słowami:

— Proszę, Pawle Iwanowiczu. Czujcie się jak u siebie w domu...

Bo był to Paweł Iwanowicz Berzin.

Spotkaliśmy się tego dnia w jednej z wiedeńskich kawiarni punktualnie o godzinie podanej drogą radiową. Nie wiedziałem, kogo mam oczekiwać, i Czytelnik z łatwością pojmie moją niecierpliwość. Przeżyłem już kiedyś chwilę podobnego podniecenia przy spotkaniu z Griszą Salninem. Teraz, choć

o tym nie wiedziałem, miałem ujrzeć samego Pawła Iwanowicza... W kawiarni siedzieliśmy krótko: Berzin z łatwością odkrył moje podniecenie i po sposobie mówienia, i po gestach, mimo iż uważałem się za doświadczonego wywiadowcę. Toteż sam wezwał kelnera, by uregulować rachunek. Opuściwszy lokal, wmieszaliśmy się w wieczorny tłum przelewający się po bulwarze. Tam mogłem dać upust swemu podnieceniu. Lecz jeszcze bezpieczniej, rozumie się, było tu. Ten dom, o którym nie wspomniałem z góry ani słowem Berzinowi, był chyba w Wiedniu najdyskretniejszym miejscem do swobodnej rozmowy i ewentualnego noclegu.

Zostawiwszy płaszcz i mokry parasol w przedpokoju, Berzin bacznie przyjrzał się wnętrzu. Było ono rzeczywiście ładnie, a nawet luksusowo urządzone — dywany, wyścielane meble, stare mahoniowe szafy, stylowe sztukaterie na ścianach, pastelowy jedwab tapety, kryształowy blask żyrandoli, perłowy połysk chińskiej porcelany za szkłem serwantki, oryginalne olejne obrazy i promieniujące z grzejników ciepło...

— Proszę, towarzyszu, naprawdę możecie się czuć jak u siebie w domu.

Berzin popatrzył na mnie, wyraźnie zadowolony z przeprowadzonej lustracji. W jego ogromnych szaroniebieskich oczach igrał serdeczny, przyjazny uśmiech, ale i wyzierało z nich pytanie: „Gdzie się właściwie znajdujemy?"

— Czy doktor tu ma gabinet przyjęć, czy też pracuje w klinice? — zagadnął, nim powiedziałem choć słowo o właścicielu mieszkania. Skąd mógł wiedzieć, że to lekarz? Natychmiast się jednak zorientowałem — z pewnością, gdy ja otwierałem drzwi, mimo dżdżystej szarówki zauważył tabliczkę przy wejściu.

— Słusznie się domyślacie, Pawle Iwanowiczu, to doktor. Mój rodak. Wspaniały towarzysz i cudowny człowiek. Wierną naszą towarzyszką jest również jego żona, Austriaczka. A co się tyczy doktora, nie przyjmuje tutaj, tylko mieszka... A właściwie — dorzuciłem — mieszkał tu do niedawna. Na moją prośbę, nie mówiąc nikomu ani słowa, opuścił mieszkanie

i wynajął inne. Oficjalnie dom nadal jest jego własnością, ale faktycznymi mieszkańcami jesteśmy my...

— To znaczy?

— Urządzamy tu wyłącznie spotkania wymagające zachowania najściślejszej tajemnicy. Właściciele zaliczają się do średniej burżuazji wiedeńskiej. Poza tym lokal znajduje się w VI bezirku. Jest to dzielnica bogatych. Tu policja nie przychodzi, a jeśli jej się to zdarzy, to stąpa na paluszkach... Ochrona jest podwójna — bo to i lekarz z nazwiskiem i pozycją, i zarazem właściciel małej, ale dochodowej fabryczki. Proszę spojrzeć tutaj, Pawle Iwanowiczu!

Odsunąłem zasłonę okna wychodzącego na wewnętrzne podwórze domu i światło z pokoju, wydostawszy się na zewnątrz, zabłysło w strugach jesiennego deszczu i oblało paki z wyprodukowanymi przez fabrykę maszynami.

— Facet jest zaangażowany?

— Nikt inny z rodziny oprócz doktora i jego żony. Uznałem, że dwie osoby w zupełności wystarczą. Pozostali zajmują się tylko interesami, polityką nie...

Zasłoniłem znów okno, a Berzin, odszedłszy od niego, zapalił papierosa i usiadł. Miał na sobie ciepły wełniany garnitur, porządne, nie przepuszczające wilgoci buty firmy „Bata", nieodzowną w Wiedniu białą koszulę z krochmalonym kołnierzykiem i granatowy umiejętnie zawiązany krawat. Robił wrażenie Skandynawa, może Szweda, może Norwega czy Fina (któż tu, w Wiedniu, pamiętał wówczas o istnieniu małego marionetkowego państewka, jakim była Łotwa?). Zawód? Tego trudno się było domyślić, ale silne szerokie barki żołnierza wyraźnie rysowały się pod elegancko skrojoną marynarką, a piękną głowę o męskich rysach trzymał zawsze prosto. Wydaje mi się, że każde bystre oko odkryłoby w Berzinie żołnierza — tak wyraźnie wyczuwało się w jego postawie energię, wolę i gotowość do czynu. Nikt oprócz najbliższych współpracowników nie wiedział, że ten nieugięty bojownik i niezmordowany dowódca cierpi na chroniczne migreny, powodowane przez tkwiącą w czaszce kozacką kulę,

i że każda zmiana pogody wywołuje bóle w jego zabliźnionych ranach...

— Jeszcze jedno pytanie. Czy wykorzystujesz doktora przy wykonywaniu zadań?

— Nie. Sądzę, że tarcza, jaką stanowi dzięki swemu brakowi zaangażowania, jest na razie więcej dla nas warta. Ale oczywiście zdecydowałby się na wszystko, gdyby się do niego zwrócić. Przemyśleliśmy to z Griszą i poprosiliśmy doktora, by wstąpił do loży masońskiej. W przyszłości może nam się to przydać...

— Istotnie — zgodził się Berzin. — Wciąganie każdego współpracownika we wszystkie lub w wiele operacji to ogromna naiwność... Słyszałem o pomyśle zrobienia go masonem... A czy ciekawi go cel, w jakim wykorzystujesz jego mieszkanie?

— Absolutnie nie. Znamy się jeszcze z Bułgarii, a także z pierwszego mojego tutaj pobytu w 1925 roku. Od razu poprosiłem go, by nie zadawał żadnych pytań. Muszę też dodać, że doktor oddał na nasze usługi nie tylko swoje mieszkanie, ale i kieszeń...

— Nie rozumiem. Czyżby zaszła konieczność korzystania z jego pieniędzy? — Berzin był zdziwiony.

— Nie dla nas. Doktor stale oddaje z własnej kasy sumy dla bułgarskiej stołówki studenckiej, wspiera materialnie emigrantów politycznych, którym się źle powodzi, płaci regularne składki dla MOPR-u...

— I jeszcze ostatnie pytanie, Wanko, choć uznasz je za zbyteczne... Czy jest członkiem partii komunistycznej?

— Dotychczas nigdy nie przekroczyłem tego kategorycznego zakazu, Pawle Iwanowiczu! Doktor jest bezpartyjny, ale postępowy. Stuprocentowo nasz, duszą i sercem, mimo że w jego warunkach materialnych powino być przeciwnie...

Rysy twarzy Berzina złagodniały, był wyraźnie zadowolony z mojej odpowiedzi. Jego kategoryczne polecenie, byśmy nie wciągali do naszej pracy wywiadowczej członków partii komunistycznych, obowiązywało nas przedtem, obowiązywało teraz i miało obowiązywać w przyszłości. Berzin pozostawiał

każdemu ze swych wywiadowców swobodę wyboru środków działania, odpowiednich do warunków, lecz swoboda nie dotyczyła tego jedynego zakazu...

We wspaniale wyposażonej kuchni przygotowałem szybko kolację na dwie osoby — spiżarnia była odpowiednio zaopatrzona na wypadek, gdyby ktoś nie miał ochoty iść do restauracji. Było tu wszystko to, czego mogli sobie życzyć dwaj niewymagający mężczyźni — żołnierze — aby zaspokoić głód. Były ponadto świeże owoce — jabłka, bursztynowożółte gruszki i winogrona. Pochodziły z towarów, które nasza importowa firma „X" regularnie dostarczała na rynek wiedeński. Gdy postawiłem owoce na stole przygotowanym do kolacji, Berzin aż wykrzyknął.

— Bułgarskie, Pawle Iwanowiczu! Jesteście przecież w gościnie u Bułgarów! — rzekłem na to.

Berzin nie wytrzymał i skosztował kuszących, wonnych, nabrzmiałych miodową słodyczą winogron. Następnie zaofiarował się, że umyje owoce, a robił to troskliwie, uważnie, jakby trzymał w rękach kruchy skarb. Z jakichś nie znanych mi przyczyn bułgarskie owoce dziwnie go rozczuliły. Potem zaczął opowiadać o Moskwie, o Griszy i innych towarzyszach z ośrodka, o swej żonie Lizie i synu Andrzeju, wówczas uczniu klas wstępnych, który był zadziwiająco podobny do ojca. Umilkł po jakimś czasie, jakby coś sobie przypomniał, po czym spojrzał w moją stronę:

— Nie pytałeś jeszcze o Galinę, Wanko! Ale, jak widzę, nie jest ci nieodzownie potrzebna. Sam też wspaniale sobie radzisz z gospodarskimi obowiązkami.

— Cóż robić, Pawle Iwanowiczu! — rozłożyłem ręce. — Już dwie pięciolatki stażu małżeńskiego mamy za sobą, a ledwie rok czy dwa byliśmy razem...

— Dla niektórych osób to szczęście — roześmiał się Berzin. — W ten sposób nie znudzicie się sobie, będziecie żyć jak nowożeńcy...

Nie spytałem o Galinę, ale Berzin nieprzypadkowo sam zaczął rozmowę na jej temat. I gdy się pośmialiśmy, ciągnął dalej:

— Powinieneś mi dziś postawić kielicha, Wanko. Za dwa lub trzy tygodnie otrzymasz nową szyfrantkę i radiotelegrafistkę...

Nie mogłem powstrzymać się od okrzyku.

— Dzięki za radosną nowinę, Pawle Iwanowiczu! — zawołałem i dodałem: — Czy to znaczy, że Natasza Zwonariowa wyjedzie?

Natasza Zwonariowa, sekretarka Berzina, niedawno została przysłana do nas jako radiotelegrafistka i szyfrantka i jeszcze nie zdołała „zaaklimatyzować" się w Wiedniu.

— Tak, teraz potrzebna jest gdzie indziej — wyjaśnił krótko Berzin, a potem rzekł: — Zastanów się, gdzie ulokujesz swoją nową pomocnicę. Może tutaj, w mieszkaniu doktora?

— Chyba nie, Pawle Iwanowiczu... Według mnie ten dom powinien służyć do takich celów jak dotąd... A co się tyczy mieszkania dla Galiny, to pomoże nam żona doktora. Ma ona cały pułk krewnych, znajomych i przyjaciół w eleganckich dzielnicach Wiednia. Z pewnością znajdziemy coś wygodnego i stosownego...

Byłem tego pewny, bo żona doktora już od dawna wykazywała ogromną gorliwość w wykonywaniu szeregu zadań, które jej powierzałem. Znajdowała tymczasowe lokale na tajne spotkania, zapewniła parę stałych adresów swoich przyjaciółek i kuzynek, dokąd przychodziła dla mnie poufna korespondencja z krajów wschodnioeuropejskich, kilkakrotnie jeździła jako kurier do Bułgarii była też w Plewen, gdzie zdołała skontaktować się w pewnej tajnej sprawie z moją siostrą Miką), dostarczała informacji o politycznych plotkach i starciach w wiedeńskich sferach, do których miała wstęp. Robiła to wszystko z godnym zazdrości opanowaniem, spokojem, energią, konsekwencją, nie wyrzekłszy ani razu słów: „dosyć", „nie mogę", „boję się". Wśród wielu naszych współpracowników ta wspaniała córa narodu austriackiego była jedną z najbardziej zdumiewających. Wydaje mi się, że nie muszę wyjaśniać, iż ani ona (ani też jej mąż, doktor) nie oczekiwali od nas zapłaty, a co więcej, jeździła ona do Bułgarii i innych krajów bałkańskich jako nasz kurier (niekiedy rów-

nież po to, by przywieźć do Wiednia tajne telegramy-sprawozdania faszystowskich attaché wojskowych) całkowicie na swój koszt i (jak już mówiłem) częstokroć przeznaczała jakieś sumy na fundusz MOPR-u oraz stołówki studenckiej...

Berzin przyjechał do Wiednia oczywiście nie po to, by sprawić mi przyjemność nowiną o przybyciu Galiny. Szef naszego ośrodka odbywał swą kolejną podróż po Europie, by osobiście skontrolować tok tajnej pracy w różnych krajach, by z bliska zapoznać się z ulegającą szybkim zmianom sytuacją polityczną i wojskową, krytycznie i wszechstronnie zanalizować na miejscu wykonane zadania, osobiście pogratulować tym, którzy na to zasłużyli, i zlecić nową robotę. Nie wystarczało mu to, że otrzymywał regularne informacje z różnych punktów kuli ziemskiej. Chciał „powąchać" wszystkiego osobiście na miejscu, gdzie „wrzało". Dzięki swej ogromnej wiedzy, bogatej kulturze i bezbłędnej intuicji oraz dzięki świetnie działającemu aparatowi wywiadowczemu, a także inteligentnie dobranemu i wszechstronnie przygotowanemu personelowi — Berzin był jednym z najlepiej poinformowanych ludzi w Związku Radzieckim. Pozwoliło mu to wcześnie dostrzec w dążeniu Hitlera do władzy groźbę dla całej ludzkości. Był przekonany, że za politycznym zerem, jakim jest Hitler, stoją wszechpotężne koncerny Niemiec, USA i Anglii i że one to w istocie stanowią główne niebezpieczeństwo dla pokoju. Berzin ze zdumiewającą przenikliwością zdołał przewidzieć, jak potoczy się ich podstępna gra i na czas dokładnie poinformować rząd radziecki, jaki jest charakter i cel imperialistycznych zamysłów. Pełnomocnik Lenina i Dzierżyńskiego, wspaniały bolszewik, płomienny internacjonalista i obrońca pokoju, Paweł Iwanowicz Berzin przekształcił Czwarty Wydział przy Generalnym Sztabie Armii Czerwonej w opancerzoną tarczę rewolucji. To on powiedział:

— Przede wszystkim jest nam potrzebny pokój. A pokój wywalczą nie tylko dyplomaci i żołnierze, lecz i wywiadowcy.

— Serdeczne podziękowania za telegramy, Wanko! — rzekł Berzin, gdy po kolacji zapaliliśmy papierosy i przy cichej muzyce płynącej z radia zaczęliśmy „prawdziwą" rozmowę. — Robotę wykonaliście bez zarzutu. Twoja grupa nie ponosi winy za wsypę w Bukareszcie... Teraz kończ to zadanie — ciągnął. — Ale nie spodziewaj się, że pójdzie ci łatwo. Trzeba wzmóc robotę w Czechosłowacji (Intelligence Service nie wpadła jeszcze wówczas na ślady naszej działalności). Dotychczas wszystko szło dobrze. Spróbujcie rozszerzyć zasięg i kontakty z ludźmi zorientowanymi w technice. Dla nas sprawą decydującą jest to, by w porę dowiedzieć się, jaką bronią zaatakuje nas wróg...

Następnie zlecił jeszcze, by wysłać do Bułgarii pracownika naszego wywiadu.

— Pawle Iwanowiczu, powiedzieliście: „wysłać". Czy znaczy to, że mamy również znaleźć odpowiedniego człowieka? — spytałem.

— Tylko wysłać. Wysłać i zakonspirować.

Abym mógł zaproponować sposób załatwienia sprawy, powinienem wiedzieć coś więcej o tej osobie, toteż Berzin, nie czekając na pytania, kontynuował:

— To kobieta. Niemka. Ma dwadzieścia osiem lat. Przedstawi ci się jako Gertruda B. Zna rosyjski, francuski, uczyła się też trochę bułgarskiego. Nie ma określonego zawodu, lecz może zajmować się korespondencją w obcych językach w jakiejś firmie eksportowej lub pracować jako urzędniczka bankowa czy tłumaczka...

— Jak wygląda, Pawle Iwanowiczu?

Berzin uśmiechnął się.

— Pytasz jak swat... Twoim zadaniem jest nie wyswatanie jej za jakiegoś twojego rodaka, a coś o wiele bardziej skomplikowanego, mój drogi. Ale skoro pytasz, opiszę ci ją. Jest zgrabna, sympatyczna, ma żywe usposobienie...

I na koniec jakby dla wyczerpania tematu dorzucił:

— Można na niej polegać, choć jeszcze bardzo młoda. Skończyła roczną szkołę, ale nie ma szczególnego doświadczenia praktycznego. Jednakże to urodzony wywiadowca. Richard

Sorge (Berzin wymienił jego fikcyjne nazwisko, pod którym był znany w ośrodku) wystawia jej wspaniałe świadectwo.

Zanim przeszliśmy do innych spraw, Berzin polecił mi jeszcze, bym zwrócił się do ośrodka o wyznaczenie miejsca konspiracyjnego spotkania z naszym nowym wywiadowcą. Spotkanie powinno dojść do skutku w ciągu dwóch tygodni; rzecz była pilna.

Na koniec Berzin sprawił mi radosną niespodziankę:

— Specjalne pozdrowienia od „Hadżiego", Wanko.

— „Hadżiego"? — Czy chodzi o Umara Dżiorowicza Mamsurowa?

— Właśnie — skinął głową Berzin. — Jeszcze nie był w tych stronach, a przyda mu się to dla nabrania wprawy. Zamierzam włączyć go do twojej grupy, Wanko. Czy masz coś przeciwko?

— Nie tylko nic, lecz ogromnie się cieszę, Pawle Iwanowiczu! Umar jest młody, zaczął później ode mnie i wielu innych, ale z pewnością wszystkich nas wyprzedzi. Wspaniały towarzysz i żołnierz!

Znałem Umara Dżiorowicza Mamsurowa z rocznej szkoły specjalnej, którą ukończyłem po powrocie z Chin. Był prawie osiem lat młodszy ode mnie, zyskał już jednak rewolucyjną zaprawę w walce przeciwko białogwardyjskim i anarchistycznym bandom na Kaukazie. Umar, Osetyniec, został „odkryty" przez Michaiła Iwanowicza Kalinina. W 1922 roku podczas jednej ze swych ryzykownych wypraw w te wciąż wrzące od konfliktów strony Kalinin omal nie stał się ofiarą bandytów, którzy napadli na pewną wieś i dokonali rzezi spokojnych mieszkańców. Wśród czerwonoarmistów bohatersko broniących władzy radzieckiej był wówczas Umar. Wracając do Moskwy po spełnieniu zadania partyjnego, Kalinin zabrał z sobą tego wówczas młodego, bo zaledwie dwudziestoletniego, bolszewika, który został raniony w walce, i zarekomendował go Berzinowi... Był to początek drogi znakomitego wywiadowcy radzieckiego, który z szeregowego żołnierza miał się stać generałem-pułkownikiem. W chwili, gdy piszę swe wspomnienia, „Hadżi" już nie żyje. Śmierć zabrała go wczesną wiosną 1968 roku.

Był zastępcą naczelnika naszego ośrodka. Nagrodzony wysokimi odznaczeniami wojskowymi, nosił tytuł Bohatera Związku Radzieckiego...

Wówczas w Wiedniu, gdy Berzin postanowił włączyć go do naszej grupy, Umar miał tylko jeden romb na pagonach (najniższy stopień oficerski, odpowiadający obecnej randze porucznika; dwa romby — obecny major, trzy — podpułkownik, a cztery — pułkownik). Jednakże ów niższy oficer wywiadu wojskowego posiadał wszystkie dane, by zostać doskonałym wywiadowcą. Berzin tak jak i w wypadku wielu innych ludzi ocenił go bezbłędnie i dał mu szerokie pole do popisu.

— Wyjeżdżam jutro rano, Wanko — rzekł na zakończenie Berzin. — Jadę dalej na Zachód, mimo iż dżdżysta jesień nie jest najstosowniejszą porą na podróże turystyczne.

— Czy wolno mi będzie wyposażyć was w specjalne akcesoria na tę porę roku, Pawle Iwanowiczu?

Berzin podniósł głowę z niemym pytaniem w oczach.

— Chciałbym wam ofiarować jakieś upominki na drogę...

— Ha, chcesz mi załadować torbę podróżną bułgarskimi winogronami i gruszkami? — roześmiał się Berzin.

— Winogrona i gruszki swoją drogą, Pawle Iwanowiczu. Ale myślę o czymś innym...

I otworzywszy automatyczny zamek jednej z cennych mahoniowych szaf, wyjąłem z niej kilka pozornie najzwyklejszych przedmiotów: parasol, elegancką walizkę, wytworną skórzaną torbę podróżną, męski portfel z wysokogatunkowego cielęcego boksu, neseser z kompletem męskich przyborów toaletowych, szczotkę do ubrania i inne drobiazgi.

Berzin patrzył na mnie w milczeniu, dopóki celebrowałem czynność wykładania przedmiotów. Był wyraźnie zaintrygowany.

— Własnej produkcji, Pawle Iwanowiczu — wyjaśniłem. — Jak dotąd służyły nam bez zarzutu...

Berzin w milczeniu brał kolejno do ręki i uważnie oglądał ułożone przed nim rzeczy. Nie potrzebował uzupełniających wyjaśnień, by się zorientować, o co chodzi. Z pewnością i Czy-

telnik już się domyśla. Były to przedmioty-schowki na różne tajne dokumenty, które tak często musieliśmy przenosić.

Oczywiście nie ja wynalazłem ten sposób — wywiad stosował go od dawna do ukrywania dokumentów, pieniędzy czy poufnej korespondencji. Ba, nawet intryga prawie każdej powieści kryminalnej skupia się zwykle wokół takich akcesoriów, jak walizki i nesesery z podwójnym dnem, buty z pustymi obcasami, przykręcanymi na śrubę, jak fałszywe podszewki kapeluszy czy specjalnie uszyte klapy ubrań. Toteż w Wiedniu przyszło mi do głowy tylko ulepszenie znanego sposobu; szybko udało się nam je przeprowadzić przy pomocy grupy współpracowników austriackich. Muszę podkreślić, że wiedeńscy majstrzy — dwaj specjaliści od eleganckich wyrobów skórzanych i jeden niezwykle zręczny stolarz — wykonali swą pracę z prawdziwym talentem.

— Na pierwszy rzut oka świetne! — skonstatował Berzin, po czym spróbował znanych z praktyki sposobów odnalezienia schowków — i nie udało mu się. Wtedy zaczął wyliczać przypuszczalne sekrety zamknięcia. W większości wypadków odgadł je, ale przy parasolu i szczotce bezradnie wzruszył ramionami.

Wyjaśniłem, a następnie szczegółowo zademonstrowałem działanie zamków. By dostać się do dokumentów schowanych w portfelu i walizkach, policja mogła użyć tylko jednego sposobu — popruć wszystkie szwy skóry i jedwabnej podszewki, która miała skomplikowany krój. Aby zaś znaleźć schowek w parasolu, wykonanym z bardzo delikatnego, ale twardego jak żelazo, wietnamskiego bambusu, trzeba by go po prostu połamać, kolanko po kolanku, od rączki aż do samego czubka.

Takie rzeczy policja oczywiście robiła, ale tylko wówczas, gdy z góry wiedziała, z kim ma do czynienia. Wtedy jednak nawet najlepsze sposoby ukrycia na nic się już nie zdały. Całe szczęście, dotychczas nic podobnego nie przydarzyło się naszym kurierom. Już od półtora roku każdy członek naszej grupy dysponował kompletem takich przedmiotów, które od czasu do czasu wymieniał na nowe. Niektóre z owych walizek

brała ze sobą w podróż do Bułgarii lub innych państw bałkańskich również i żona doktora. Zawiozła nawet niektórym naszym tamtejszym współpracownikom podobne upominki z Wiednia.

— Jaką wydajność mają teraz twoje fabryki, Wanko? — zapytał Berzin rzeczowo jak chcący złożyć zamówienie człowiek interesu, ale w kącikach jego ust drgał uśmiech.

— W pracowni wyrobów skórzanych jest dwóch majstrów i kilku pomocników. W drugiej jeden majster i zarazem właściciel oraz dwóch czeladników...

— Czy w ciągu miesiąca lub dwóch da się wykonać dużą ilość kompletów?

Potrząsnąłem głową.

— Pawle Iwanowiczu, to przecież małe warsztaty ze sklepikami oferującymi tylko własne wyroby rzemieślnicze. Muszą wykonywać również zwykłe zamówienia swych stałych klientów... A co się tyczy strony finansowej — dorzuciłem — to obydwa są opłacane przez nasze biuro importowe w Wiedniu...

Zresztą handlowa firma importowa „X—Y", której obroty wciąż wzrastały, tylko w początkowej fazie subsydiowała warsztaty, aby zakupiły nowoczesne maszyny, no i dostarczyła im z Węgier, Włoch, Bułgarii oraz Polski wysokogatunkowych surowców; bambus na parasole zamówiliśmy przez francuską firmę eksportową z Indochin. Stolarz, rzemieślnik i kupiec zostali mi poleceni przez bliskich znajomych Angeła Wyłczewa, a kaletnicy byli braćmi żony Z-8 (Austriaczki). Wszyscy trzej nie należeli do partii, lecz byli uczciwymi ludźmi i podczas wyborów municypalnych i parlamentarnych głosowali na partię socjaldemokratyczną. Nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, co za człowiek kryje się za Z-8; owo bezzwrotne subsydium otrzymali nagle jak dar losu. Uczyniło ono z ich skromnych jeszcze wczoraj pracowni małe przedsiębiorstwa zdolne wytrzymać konkurencję (kaletnicy zatrudnili wkrótce kilku nowych robotników, a stolarz — dwóch czeladników); dostarczaliśmy im wysokogatunkowych materiałów po cenach eksportowych, kupowaliśmy wszystkie odpowiednio wykonane

przedmioty — czegóż więcej mogli pragnąć! Rozumie się, że owe „odpowiednio wykonane" przedmioty sporządzali sami majstrowie wieczorami, gdy inni opuszczali już warsztat.

Berzin wyjechał z gruntownie zmienionym „wyposażeniem". Do walizki zapakował „prezenty" — kilka całkowicie różniących się od siebie kompletów. Tuż przed pożegnaniem powiedział mi, że udaje się do Niemiec.

— Dzieją się tam niepokojące, bardzo niepokojące rzeczy — pokręcił głową. — Nikt już teraz nie wie, kto będzie w końcu górą. Siły rewolucyjne są podzielone, socjaldemokraci odmawiają wszelkiej współpracy z partią komunistyczną, a to w praktyce zapewnia zielone światło monachijskiemu zamachowcowi...

Miał na myśli Adolfa Hitlera, który w 1923 roku dokonał w Monachium nieudanej próby przewrotu, został aresztowany, sądzony i skazany, lecz wkrótce potem ułaskawiony, by mógł ponownie pchnąć do działania narodowych socjalistów...

„Czy druga próba nie skończy się przypadkiem pomyślnie dla niego?" — zadawał sobie pytanie Berzin, z niezwykłą dalekowzrocznością przeczuwając, że tym razem Niemcy rzeczywiście zostaną opanowane przez politycznego przestępcę, którego żadne ludzkie wartości i żadne normy etyczne nie mogły wstrzymać od zdobycia władzy we własnym kraju, a następnie od próby zapanowania nad światem. Berzin, kierując się swym słusznym przeczuciem, rozpoczął już zakonspirowywanie Richarda Sorge i innych ludzi w samym ruchu nazistowskim. Przyszłość wykazała, że nie pomylił się...

Gertrudę B. udało nam się wyjątkowo dobrze zakonspirować w Bułgarii.

Akurat w tym czasie przebywał w Wiedniu mój rodak, Z-9, który miał tu ukończyć kilkumiesięczną austriacką szkołę straży pożarnej, sławną na całą Europę. Z-9, syn proletariackiej rodziny, nigdy dotąd oczywiście nie marzył nawet o Wie-

dniu. Szczęście uśmiechnęło się do niego owego dnia, gdy moja siostra Mika (z którą regularnie utrzymywałem tajną łączność i która współpracowała z wywiadem) nieoczekiwanie zaproponowała mu wyjazd do wspomnianej szkoły.

Muszę tu wyjaśnić, że Mika nie zajmowała się z dobroczynności losem uzdolnionych strażaków i że w tym wypadku działała na moje polecenie. Wybór nasz padł na Z-9 po tym, gdy wszystkie nasze starania, by nawiązać kontakt ze znanym w owym czasie naczelnikiem sofijskiej straży pożarnej, byłym rosyjskim oficerem kawalerii białogwardyjskiej Zacharczukiem, który cieszył się wyjątkowym poparciem bułgarskiego dworu carskiego, spaliły na panewce. Zacharczuk, przybyły z baronem Wranglem, wkrótce zasłynął w Bułgarii dzięki swym bezsprzecznym talentom organizacyjnym i ogromnej odwadze osobistej. Starsi mieszkańcy Sofii pamiętają anegdotę krążącą w tamtych czasach na temat jego „cennej" głowy. Dowcip ów polegał na podwójnym znaczeniu słowa: „cenna", bo Zacharczuk, będąc istotnie ceniony jako dobry strażak, miał powstały w kości czaszki w wyniku nieszczęśliwego wypadku podczas szarży kawalerii jeszcze w carskiej Rosji ubytek „załatany" cenną platynową blaszką.

Oblegaliśmy Zacharczuka zewsząd, do akcji włączyliśmy nawet jego dawnych przyjaciół i kolegów, mieszkających w Bułgarii byłych białogwardzistów, z którymi nadal utrzymywał stosunki. Nadaremnie. Mimo niewątpliwych uzdolnień strażackich miał rzeczywiście „twardą" głowę. Odrzucił wszelkie propozycje współpracy i pozostał do ostatniego tchnienia zakamieniałym wrogiem własnej ojczyzny. Dokładnie w Dniu Zwycięstwa (9 września 1944 roku) po raz drugi przedziurawił sobie czaszkę, tym razem własnoręcznie — kulą, pojąwszy z fatalnym opóźnieniem błąd, który zadecydował o jego losie...

Skoro okazało się, że Zacharczuk nie wchodzi w rachubę, trzeba było poszukać odpowiedniego do współpracy człowieka, nim jeszcze zrobi „wielką karierę". Powinien on być młody, zdolny i jednocześnie uczciwy, a także bezpartyjny. Wybór nasz padł na Z-9. Młody i pełen ambicji, doskonale orientował się w możliwościach awansu po uzyskaniu dyplomu ukończe-

nia wiedeńskiej szkoły straży pożarnej. Naszą propozycję przyjął, nie wierząc swemu szczęściu. Gdy Angeł Wyłczew, mój pomocnik techniczny, powitał na wiedeńskim dworcu gości z Plewen, Z-9 wciąż jeszcze się lękał, że to jest tylko piękny sen, z którego za chwilę się obudzi. Do tej pory wszystko zostało mu ofiarowane jak hojny upominek: i nieoczekiwana propozycja Miki (nie żądała od niego w zamian żadnych obietnic), i pieniądze, które mu dała, by sprawił sobie przyzwoite, „jak do Europy" ubranie, i drogi bilet na „Orient-Ekspress", i — co najważniejsze — sam dokument, na podstawie którego miał w wiedeńskiej szkole pobierać opłaconą z góry naukę...

Mój młody rodak przybył do Wiednia na dwa lub trzy miesiące przed przyjazdem Berzina. Szkoła, o której mowa, posiadała znanych wykładowców wszystkich specjalności związanych z pożarnictwem, wspaniale urządzony internat dla uczniów z zagranicy oraz bogatą bazę materiałową. Zarówno straż pożarna w Wiedniu, jak i szkoła strażacka stosowały w swej praktyce nie tylko klasyczny toporek i strumień wody, lecz także nowoczesne środki techniczne i chemiczne. Z-9 uczył się wytrwale, jakby chciał w ten sposób odwdzięczyć się za nieoczekiwany dar losu. Widywaliśmy się dość często; przedstawił mnie swym przełożonym jako kuzyna z Jugosławii. Zaprzyjaźniłem się nawet z niektórymi wykładowcami, co ułatwiła mi żona doktora, której bliski krewny — wówczas jeden z wyższych oficerów służby przeciwpożarowej w Wiedniu — załatwił przyjęcie Z-9 do szkoły.

Czytelnik z pewnością zapyta, dlaczego właściwie takim zainteresowaniem darzyliśmy służbę przeciwpożarową. Będę zwięzły w wyjaśnieniach. W owym czasie niemal wszędzie w całej Europie ekipy straży pożarnej posiadały nadzwyczajny status polegający na braku kontroli policyjnej i na swobodzie wstępu w każde prawie miejsce rejonu, za który odpowiadały, nie wyłączając przemysłowych obiektów wojskowych i im podobnych. To chyba wystarczy, by zrozumieć, jakie korzyści wynikały dla nas z wprowadzenia tam zaufanego człowieka. Zresztą w wypadku konfliktu wojennego (jaki wywiad radziecki przewidywał w najbliższej przyszłości) wartość takiego

człowieka wzrosłaby stokrotnie, ponieważ mógłby on wykonywać cały szereg specjalnych poleceń.

Dodam tu wreszcie, że wiedeńska szkoła regularnie dokonywała z innymi placówkami tego typu oraz ze służbą przeciwpożarową w Berlinie, Hamburgu, Monachium, Pradze i innych miastach wymiany swoich uczniów w celu wyspecjalizowania ich i zdobycia przez nich doświadczenia. Stwarzało to dodatkową możliwość przeniknięcia do niektórych gałęzi produkcji wojskowej oraz zakładów zbrojeniowych w pobliżu tych miast, a więc rozszerzania strefy naszej działalności wywiadowczej.

Gdy Berzin zlecił umieszczenie Gertrudy B. w Bułgarii, Z-9 kończył szkołę w Wiedniu. Czekały go jeszcze wyjazdy na specjalizację do Berlina, Hamburga, Pragi i innych miast. Był już wciągnięty do tajnej działalności. Wywiad uprzednio przeprowadzony na jego temat w Bułgarii w pełni potwierdził dotychczasowe informacje. Z-9 okazał się człowiekiem sympatycznym, o szczerym charakterze, wysokiej moralności i uczciwości, bezpartyjnym, lecz gotowym z oddaniem służyć ideom komunistycznym.

Na razie nic od niego nie wymagaliśmy oprócz tego, by mnie (jak już mówiłem) przedstawił w szkole jako swego krewnego. Nawiązanie towarzyskich stosunków z jego wykładowcami miało mi pomóc w innych ubocznych moich zadaniach. Jedno z nich wymagało, bym jako „swój" udał się wraz z grupą strażaków do Berlina, Hamburga i Monachium. Wyjazd mój zbiegł się z terminem spotkania z Gertrudą B. Ośrodek podał dzień, godzinę i miejsce oraz znaki rozpoznawcze.

Najpierw grupa strażaków była na specjalizacji w Pradze. Tam Z-9 nie mógł zdobyć interesujących informacji, ale też nie oczekiwałem tego, bo w Czechosłowacji grupa nasza dobrze wykonywała swoją robotę. Po piętnastu dniach intensywnych zajęć strażacy wyjechali do Berlina.

Berlińska służba przeciwpożarowa była wyposażona w najnowocześniejsze środki techniczne, w wiele szybkich pojazdów, specjalnie przygotowanych do walki z wszelkiego rodzaju

pożarami. Posiadała ona ogromny i wyspecjalizowany personel techniczny (mimo to owa nowoczesna straż pożarna później, gdy przyszło gasić prowokacyjny pożar Reichstagu, okazała się „bezsilna").

W ramach programu specjalizacji Z-9 zwiedził cały szereg nastawionych na produkcję pokojową fabryk, które jednakże w krótkim czasie mogły się przestawić na produkcję wojenną. Były to zakłady Siemensa i Halskego, produkujące sygnalizacyjne instalacje pożarowe i policyjne lub inne tego typu, fabryka DGA, skąd pochodziła przeciwpożarowa aparatura ratowniczo-ochronna, czy fabryka „Minimax", wyrabiająca nowoczesne gaśnice. Obok infomacji o interesujących nas półwojskowych formach produkcji Z-9 uzyskał pochlebne świadectwo berlińskiej komendy straży ogniowej, dokumentujące „wielką pilność" przy rozszerzaniu wiedzy i doświadczenia we wszystkich dziedzinach służby"...

Z Berlina Z-9 pojechał z grupą uczniow do Hamburga, gdzie zapoznał się dokładnie z gaszeniem pożarów na nabrzeżach oraz z wszystkimi nowoczesnymi akcesoriami przeciwpożarowymi (maskami, filtrami i odzieżą antyogniową, strażackimi skafandrami wodnymi itd). Większość zajęć poświęconych zastosowaniu tych przedmiotów hamburska komenda straży ogniowej prowadziła w samych zakładach produkcyjnych, a ćwiczenia ze strażackimi skafandrami wodnymi — w porcie tego milionowego miasta. I tu Z-9 uzyskał dokument potwierdzający „szczególną pilność w przyswajaniu wiedzy fachowej". Chłopak rzeczywiście się starał; wymagający pruscy przełożeni nie dawali dobrego świadectwa na piękne oczy. Zaproponowali mu nawet, by został kierownikiem grupy. Rozumie się, że Z-9 odmówił, bo prawdziwą nominację już otrzymał. Zachowywał się pod każdym względem bez zarzutu i naprawdę zaczynał mi się podobać. W miarę upływu czasu pozbył się swego onieśmielenia, zaczął nabierać manier „prawdziwego Europejczyka", ale pozostał niezwykle skromny i ani razu nie zaskoczył mnie jakimś przejawem niedbalstwa, nieostrożności czy braku rozsądku. Wszystko więc rozwijało się zgodnie z oczekiwaniami.

Ostatnim miastem, które grupa Z-9 miała odwiedzić według ustalonego jeszcze w Wiedniu programu specjalizacji, była Lubeka, ośrodek przemysłowy nad Bałtykiem. W tamtejszej fabryce „Dregerwerk" młodzi strażacy mieli się zapoznać z różnymi typami masek przeciwgazowych, jakie zakład intensywnie produkował (dziwna rzecz, żyliśmy podobno w czasach pokojowych). Specjaliści w fabryce nie tylko zademonstrowali urządzenia i sposób zastosowania nowoczesnych masek, lecz przeprowadzili też ze strażakami ćwiczenia w warunkach „bojowych". W maskach na twarzach musieli wchodzić oni do hermetycznie zamkniętych pomieszczeń wypełnionych gazami trującymi wszelkich rodzajów. Wyjaśniano im, że są to gazy wydzielające się najczęściej podczas pożarów w fabrykach chemicznych, jak również gazy, które, być może, zostaną użyte w ewentualnej wojnie...

Wszystko to było dziwne — i nowe konstrukcje masek przeciwgazowych, i awaryjne skafandry, i przeróżne mechaniczne oraz chemiczne środki wzniecające i gaszące pożary. Podobno miały stanowić „ochronę przed kataklizmami w czasach pokojowych". Dlaczego jednak produkujące je fabryki otoczone były tajemnicą i dlaczego pracowały pod kontrolą tajnej policji? Dlaczego podnoszono nieprawdopodobnie szybko ich wydajność? Maski przeciwgazowe z samej tylko fabryki „Dregerwerk" mogły zaspokoić potrzeby straży pożarnych wszystkich miast świata! A rzecz się miała podobnie z wszystkimi innymi ich produktami mającymi niby to znaleźć zastosowanie w czasach pokojowych. Jeszcze w tym samym dziesięcioleciu hitlerowscy najeźdźcy użyli ich w wojnie przeciwko spokojnym miastom, spokojnym krajom i miłującym pokój narodom, w wojnie przeciwko ludzkości...

Gertruda B. miała mnie oczekiwać w pewnej piwiarni w małym nadmorskim miasteczku Travemünde, leżącym niedaleko Lubeki. Miałem mieć na sobie określonego kroju płaszcz, trzymać w specjalny sposób parasol i palić fajkę z wybranym z góry aromatycznym gatunkiem tytoniu. Fajkę

miałem zapalić o dokładnie oznaczonej godzinie, po czym powinienem złamać zapałkę na dwie części i wrzucić do popielniczki. (Podobnych i innych sposobów rozpoznania się można było wymyślić tysiące; tu nic nie krępowało wyobraźni). Gertruda miała być w płaszczu dokładnie określonego koloru, uczesana w określony sposób, z rękawiczkami, których kolor również był ustalony; o oznaczonym co do minuty czasie miała wejść do piwiarni i już od wejścia zdejmować rękawiczki. Przechodząc obok mnie powinna była upuścić „przypadkiem" lewą rękawiczkę. Ja zaś miałem ją podnieść i podać jej, wypowiadając słowa z góry umówione.

Wszystko zaczęło się według planu.

Wieczorem wyznaczonego dnia usiadłem przy jednym ze środkowych stołów blisko wejścia wiodącego w głąb lokalu do nisz. W piwiarni nie było szatni, więc płaszcz ociekający wodą z jesiennego deszczu zawiesiłem na stojącym obok mnie wieszaku. Tam też zaczepiłem parasol, zamknięty w specjalny sposób. Kelner przyjął zamówienie i zniknął. Wyciągnąłem fajkę i kapciuch z aromatycznym greckim tytoniem, ale nie spieszyłem się z zapaleniem; minuta spotkania jeszcze nie nadeszła...

Kobieta nazwana przez Berzina Gertrudą B. zjawiła się punktualnie. Modny jasnoniebieski płaszcz przyjemnie harmonizował ze złocistymi włosami upiętymi z tyłu w piękny duży kok. Weszła nie oglądając się i już od progu zaczęła zdejmować granatowe skórkowe rękawiczki. Zachowywała się spokojnie i naturalnie, a nim jeszcze kelner zbliżył się do niej, by wskazać jakiś stół, skierowała się w moją stronę, jakby mnie jednak nie zauważając.

Dotąd wszystko odbywało się zgodnie z umową. Tak samo według planu upuściła „niechcący" lewą rękawiczkę i przeszła, a ja (jak wymaga zwykła grzeczność) wstałem, podniosłem zgubę i podałem młodej damie, zwracając się do niej w umówiony sposób. Wszystko szło dobrze i miałem prawo przypuszczać, że za chwilę spotkanie dojdzie do skutku. Teraz, doszedłszy do rzędu nisz, kobieta powinna skręcić, wy-

brać stół przy szerokim oknie i siąść tam z twarzą zwróconą w stronę drzwi.

I właśnie wówczas zaskoczyło nas nieoczekiwane wydarzenie.

Dziewczyna już właśnie skręcała w stronę wolnych stolików przy oknie, gdy z którejś niszy rozległ się męski głos:

— Halo, Gertrudo, nie zauważyła mnie pani? Czy pozwoli pani dotrzymać sobie towarzystwa i zechce wypić coś ze mną?

Kobieta zatrzymała się w miejscu jak skamieniała. Nie widziałem jej twarzy, lecz przypuszczałem, że się zmieszała. Stała tak wahając się sekundę, może dwie... Następnie, gdy mężczyzna raźno wstał i uprzejmie wziął ją pod rękę, by zaprowadzić do stołu ukrytego w głębi niszy, ruszyła naprzód, z widocznym wysiłkiem przesuwając ciężkie jak ołów nogi i usiadła obok swego znajomego...

Co to wszystko znaczy? Przecież miała usiąść sama przy jednym z wolnych stolików obok okna! Ale istotnie, cóż mogła zrobić w podobnych okolicznościach? Nienaturalnie by wyglądało, gdyby odmówiła głośnemu zaproszeniu kogoś najwyraźniej bliskiego — przyjaciela, krewnego, starego znajomego — i usiadła w lokalu sama...

Spotkanie nasze w razie nieoczekiwanej zmiany okoliczności lub innych przypadkowych przeszkód było zabezpieczone (jak zwykle w takiej praktyce) dodatkową umową na następne spotkanie kontrolne. Ale czy to, co się stało, stało się przypadkiem?

Zapaliłem fajkę i aromatyczny dym przyjemnie połaskotał mi nozdrza, mózg jednak pracował gorączkowo. Jeśli mężczyzna ów to policjant (siedział tyłem do mnie, podczas gdy ona zwrócona była twarzą do sali i kilkakrotnie kierowała w moją stronę uporczywe spojrzenie), to prawdopodobnie nie jest tu sam...

Popijając piwo, uważnie zlustrowałem lokal. Nie zauważyłem jednak nic osobliwego. Kilka grupek mężczyzn siedziało w milczeniu nad piwem, najwyraźniej nie mieli jeszcze w czubie, na dworze słychać było cichy szmer deszczu, a od morza napływała gęsta, wilgotna mgła...

Wywiadowcy znają wiele sposobów zachowania się w podejrzanej sytuacji, toteż obmyśliłem już, co będę robił, gdy nagle owa para z niszy, wypiwszy na chybcika dwa małe koniaki, wstała od stołu. Mężczyzna szarmancko podał damie płaszcz i sam zaczął się ubierać. Wtedy odwrócił się do mnie przodem i nie przerywając wesołej rozmowy z towarzyszką, na moment zatrzymał na mnie wzrok, przy czym nieznacznie skinął głową.

Była to całkowita niespodzianka. Oto z dymiącym w ustach papierosem i z błyskiem rozbawienia w oczach wolno wciągał na siebie płaszcz jeden z głównych pomocników Pawła Iwanowicza Berzina, wywiadowca wojskowy Oskar, wówczas rezydent naszego ośrodka w Niemczech.

Oboje ruszyli przejściem między stolikami w moją stronę, a Oskar głośno i wesoło mówił coś do Gertrudy. Nim wyszli na deszcz, Oskar przed drzwiami piwiarni otworzył parasol. Parasol był „nasz"! Poznałbym go wśród setek innych, ponieważ dałem go Berzinowi, kiedy wyruszał do Niemiec.

Ostatecznie więc spotkanie się udało. Dokładnie w pół godziny później w najładniejszej restauracji Travemünde w zacisznej separatce jedliśmy w trójkę kolację. Umowa wprawdzie przewidywała, że będę ją jeść we dwójkę z Gertrudą, ale obecność Oskara nie była powodem do niepokoju, wręcz odwrotnie. Rozumie się, nie wiedziałem wówczas, że Oskar odpowiada za całość roboty w Niemczech, ale znałem go wystarczająco dobrze, by być spokojnym o wszystko.

— Gertruda denerwowała się przez cały czas, że spotkanie przepadło — śmiał się Oskar. — Nie chciała w żadnym wypadku odstępować od umówionej reżyserii...

— Przecież zawsze sami podkreślaliście taką konieczność — broniła się Gertruda. — Sami mówiliście: „Zapamiętaj dokładnie umowę i dokładnie spełniaj jej warunki, ani na milimetr nie odstępując od nich"!

— Prawda — zgodził się Oskar, poważniejąc. — I w przyszłości rób tak rzeczywiście. Tej zasady nigdy nie należy ła-

mać. W naszej robocie człowiek myli się tylko raz... Ale trzeba też pamiętać, że chociaż umawiamy się z góry co do znaków rozpoznawczych i haseł, to jednak nie posiadamy absolutnej władzy nad biegiem wydarzeń... To, co przydarzyło się nieoczekiwanie dzisiaj ze mną, jutro może trafić się z jakimś innym — znajomym czy krewnym. Co należy uczynić w takim wypadku? Czyż można przejść obok niego i zasiąść samotnie przy wolnym stoliku tylko dlatego, by nie odstąpić od umowy?

— Ależ ja w tym sennym miasteczku nie mam znajomych — protestowała nieśmiało Gertruda. — Nigdy tu przedtem nie byłam i nikogo nie znam!

— Mimo to zawsze istnieje choćby nikłe prawdopodobieństwo, że tego właśnie wieczoru w tej właśnie piwiarni zupełnie przypadkowo znajdzie się po raz pierwszy w życiu jakiś twój przyjaciel czy znajomy.

Oskar półgłosem wtajemniczał swą młodą adeptkę w trudną sztukę wywiadowcy. Ostrożność była dla nas prawem obowiązującym, ale w tym wypadku nie istniało niebezpieczeństwo podsłuchania przez kogoś. Kilka przebywających w restauracji par szukając odosobnienia usadowiło się z dala jedna od drugiej.

— Chciałbym, Gertrudo, byś zapamiętała jeszcze jedną rzecz — zakończył Oskar. — My nigdy, absolutnie nigdy nie poddajemy się ślepemu przypadkowi, ale zawsze musimy się z nim liczyć. Po to wyznacza się właśnie kontrolne miejsca konspiracyjnych spotkań... Gdy idzie się na podobne spotkanie, wszystkie zmysły, włącznie z szóstym — intuicją — muszą być wyostrzone i wszystkie muszą działać bez zarzutu. Każde tajne spotkanie jest nowym sprawdzianem dla każdego z nas. Chodzi w nim o naszą wytrzymałość nerwową, rozwagę, spokój, zimną krew... Wybacz mi, że chciałem poddać cię jeszcze jednemu małemu egzaminowi, nim zaczniesz...

Oskar, który znakomicie przyswoił sobie taktykę i strategię szkoły Berzina, sam, jak to zwykle bywa w wypadku wywiadowcy jego kalibru, dodał do niej jeszcze coś niecoś od siebie. „Stworzył" on, by tak rzec, „własnoręcznie" wywiadowcę Gertrudę B., polecaną, jak dowiedziałem się od Berzina, przez

Richarda Sorge. Nie dziw więc, że jeszcze raz chciał sprawdzić jej reakcję na nieoczekiwane sytuacje. Potem powiedział mi, że wszystkie szczegóły spotkania sam omówił z ośrodkiem, ale zataił przed Gertrudą swój zamiar udania się za nią do Travemünde.

— Aha, muszę przecież dokonać prezentacji młodej damy — zwrócił się Oskar do mnie. — Dwudziestoośmioletnia piękność ze zdrowymi nerwami i zahartowanym przez sporty organizmem. Pochodzi z solidnej rodziny burżuazyjnej, trochę podupadłej w latach światowego kryzysu, ale z perspektywami na przyszłość...,

Gertruda B. rzeczywiście była bardzo miłą i pociągającą młodą kobietą, choć bynajmniej nie pięknością, jak żartobliwie określił ją Oskar. Platynowe włosy spięte w ogromny kok okalały jasną inteligentną twarz. Miała niebieskie spokojne oczy, świetną figurę sportsmenki (tu Oskar nie żartował) i delikatne przeguby rąk.

— Jutro w Lubece ma się odbyć wiec oddziałów szturmowych — powiedział cicho Oskar, gdy z ulicy doleciały dźwięki jakiegoś marsza. — Miejscowi naziści robią próbę przed uroczystością...

— Czyżby i tutaj? — zdumiałem się. — W Berlinie byłem już na kilku capstrzykach z pochodniami. Słyszałem nawet przemówienie Hitlera w jednej z sal monachijskich. Zdarzyło mi się też widzieć szturm na sklep żydowski w Hamburgu... Ale w Lubece?

— I tutaj, i we wszystkich zakątkach Niemiec — pokiwał głową Oskar. — To mętna fala, której niebezpieczeństwa wciąż jeszcze nie spostrzegają socjaldemokraci i przywódcy związkowi. Ale fala ta narasta, i to katastrofalnie, tak że wkrótce zaleje wszystko... Byłem na zebraniach faszystowskich, wiecach, capstrzykach, zgromadzeniach oddziałów szturmowych... Hasła Hitlera, Goebbelsa, Goeringa działają na tę zgraję jak hipnoza... Przeraża mnie to... A jeszcze bardziej przeraża ich potajemny sojusz z politycznymi ugrupowaniami katolików, potentatów finansowych, bankierów i przemysłowców. Ta nazistowska hałastra, przesycona nacjonalistycznym jadem i na-

stawiona odwetowo, poszczuta przeciwko komunistom i wszystkim orientacjom lewicowym, zgubi Niemcy... Jest to więcej niż pewne! Nieuniknione!

Gertruda B. w milczeniu przysłuchiwała się naszej rozmowie, tłumionej dźwiękami muzyki wykonywanej przez niewielką orkiestrę. Tylko kilka par kręciło się po ogromnym parkiecie. Miasteczko miało charakter uzdrowiskowy i owa pierwszorzędna restauracja pustoszała w mgliste jesienne dni. Zatrzymywali się tu tylko przypadkowi dziennikarze (jakim był teraz Oskar), handlowcy z zagranicy (jak na przykład ja), przeróżni politykierzy, którzy przejeżdżali tędy, udając się do wielkich ośrodków kraju, gdzie dojrzewała najstraszniejsza, mająca spustoszyć Niemcy i Europę, klęska żywiołowa — brunatna dżuma...

Zmieniliśmy temat rozmowy. Zwróciłem się do Gertrudy:

— Proszę wybaczyć mi ciekawość. Pani nie jest zamężna, prawda?

— Nie jestem — uśmiechnęła się młoda kobieta. — Tu, w Niemczech, nie mogłam znaleźć męża. Mam nadzieję, że na południu szczęście uśmiechnie się do mnie... Nie sądzi pan?

Gertruda była sympatyczna, skromna i taktowna. Miała żywy i bystry umysł, potrafiła umiejętnie kierować rozmową i posiadała poczucie humoru. Spokojna i opanowana, zachowywała się tak, jakby rzeczywiście znajdowała się w towarzystwie dwóch adoratorów, którzy na wyścigi starają się jej przypodobać...

Żart żartem, ale muszę przyznać, że gdy Gertruda wspomniała ze śmiechem o ewentualnym „szczęściu na południu", to jest w Bułgarii, miałem już w głowie pewien plan.

— Czemu aż na południu, Gertrudo? Południe czasami przybywa przecież na północ?

Młoda kobieta roześmiana podniosła na mnie jasne oczy, zrozumiawszy aluzję. I zaraz odrzekła:

— Południowe wiatry nie wieją w tym sezonie, mój panie. W tym roku nie mam już żadnych szans...

— A jednak, a jednak...

Po tych słowach nie przestała się uśmiechać, ale w jej oczach błysnęło zdziwienie.

Niczego jednak nie wyjaśniałem i zmieniliśmy temat rozmowy. Przed uczynieniem Gertrudzie pewnej propozycji postanowiłem pogadać z Oskarem. Jeden wieczór spędzony wspólnie to za mało, by poznać nawet podstawowe rysy charakteru człowieka. Najlepiej mógłby ocenić plusy i minusy mego pomysłu dobrze znający Gertrudę Sorge, ale był on daleko, należało zatem rzecz rozważyć z Oskarem.

A sam pomysł? Otóż przyszło mi do głowy, że Gertruda B. przy wyjeździe do Bułgarii miałaby najlepsze alibi, gdyby przybyła tam i zamieszkała jako — żona Bułgara. A ściślej: jako żona młodego i sympatycznego, z perspektywą kariery w służbie przeciwpożarowej, przy tym wciągniętego do naszej tajnej pracy mego rodaka, Z-9.

Obowiązek, szczególnie obowiązek żołnierski, jest sprawą najważniejszą — wszystko musi przed nim ustąpić. W wielu wypadkach — być może w większości wypadków — żołnierz spełnia swój obowiązek wobec ojczyzny, wobec klasy, wobec rewolucji, tłumiąc w sobie naturalny pociąg do osobistego szczęścia. Lecz jakże jest pięknie, gdy obie te strony życia żołnierza można ze sobą pogodzić!

A tak właśnie się stało w wypadku Gertrudy B. i młodego strażaka.

Oskar uznał mój plan za rozsądny, ale najpierw chciał, bym mu dokładnie scharakteryzował Z-9, chciał go też poznać osobiście i prawdopodobnie porównać z ewentualną małżonką.

Od razu następnego dnia zaaranżowaliśmy spotkanie, nie wtajemniczając w nasze zamiary Z-9. Być może, Gertruda domyślała się ukrytych przyczyn tak nieoczekiwanego zapoznania jej z bułgarskim strażakiem, ale nie zdradziła się ani słowem. Spotkaliśmy się w Lubece, gdzie Z-9 nadal uczestniczył w eksperymentach z maskami gazowymi. Skromny i wciąż jeszcze nieśmiały chłopak czuł się nie na żarty zmieszany towarzystwem młodej eleganckiej dziewczyny, która sama (bez

żadnej zachęty z naszej strony) zainteresowała się jego osobą, zaczęła rozmawiać o jego zawodzie, wypytywać o rodzinne miasto...

Następne spotkania miały miejsce w Berlinie. Oskar „pobłogosławił", że się tak wyrażę, przyszłemu związkowi małżeńskiemu tych dwojga. Uznał, że oboje wykazują tak wiele wspólnych cech, że mimo pewnych różnic w charakterach mogą stanowić dobraną parę. Młodość ich pozwalała także przypuszczać, że w przyszłości łatwiej się zżyją. Skoro już „swaci" zrobili swoje, pozostawała tylko jedna sprawa — decydująca: żeby oboje spodobali się sobie wzajemnie. I Oskar, i ja wykluczaliśmy wszelką interwencję z naszej strony. Zresztą nikt nie ma prawa kierować uczuciem. Gdyby „swaty" nie trafiły na podatny grunt, miałem niezwłocznie poszukać innego sposobu wysłania Gertrudy B. tam, gdzie mi polecono.

Małżeństwo Z-9 i Gertruda B. wyjechało do Bułgarii niemal natychmiast po ukończeniu przez młodego strażaka szkoły w Wiedniu. Oboje byli szczęśliwi: Gertruda dostała za męża młodego i przystojnego chłopaka z widokami na karierę zawodową, a Z-9 miał ładną, a przy tym zamożną żonę i dyplom ukończenia znanej szkoły. Mój wuj, duchowny Solarow, wydał im akt ślubu kościelnego (coś, co robił już przedtem i miał robić w przyszłości na naszą prośbę). Muszę tu dodać, że ich małżeństwo okazało się zgodne i szczęśliwe. Z początku zamieszkali w mieście N., moja siostra Mika troskliwie zajęła się nimi, służąc Gertrudzie B. specjalną pomocą. Oczywiście Z-9 nie orientował się w tajnych zadaniach wykonywanych przez żonę.

By zakończyć historię tego małżeństwa, dodam, że Gertrudzie udało się „zapuścić korzenie" w Bułgarii, gdzie pracowała z powodzeniem całych osiem lat, aż do wybuchu drugiej wojny, światowej. Co się tyczy Z-9, to nie zdołał zostać pomocnikiem Zacharczuka (zatwardziały kontrrewolucjonista był nadzwyczaj podejrzliwy wobec każdego nowego człowieka, zwłaszcza gdy ten miał „wątpliwe", to znaczy proletariackie pochodze-

nie), lecz przez cały czas aż do dnia zwycięstwa wykonywał pożyteczną robotę. Po wyzwoleniu, gdy Zacharczuk popełnił samobójstwo, Z-9 objął w pełni zasłużone związane z jego zawodem odpowiedzialne stanowisko w Sofii.

6. Pożar Reichstagu

Ogromny gmach Reichstagu, stanowiący nie tyle zabytek architektoniczny Berlina, co symbol bezsilnego przestarzałego systemu politycznego, w nocy 27 lutego 1933 roku miał paść ofiarą monstrualnej prowokacji. Prowokacja ta — przygotowany przez hitlerowców pożar — miała kołom reakcyjnym dać pretekst do wściekłego ataku na Komunistyczną Partię Niemiec i wszystkie postępowe siły w tym kraju. Nie był to atak polityczny przeprowadzony drogą legalnej propagandy i innymi tradycyjnymi środkami parlamentarnej demokracji, ale krwawa napaść wyniszczająca wszystko, co postępowe, najdzikszymi i barbarzyńskimi sposobami, jakich nie znała dotąd historia ludzkości...

Prowokacyjny pożar Reichstagu, o którym zresztą napisano już dostatecznie wiele, nie był niespodzianką dla postępowych sił ówczesnych Niemiec. Cała partia komunistyczna i zdrowo myśląca część Niemców, cała postępowa społeczność europejska już od lat widziała zbierające się w politycznym chaosie tego państwa czarne, gradowe chmury.

Spośród partii burżuazyjnych najbardziej masowe były katolicka i narodowa, lecz niedaleka przyszłość miała pokazać, że liczba głosów wyborców nie zawsze odpowiada realnej sile politycznej.

Partia socjaldemokratyczna wywierała określony wpływ na szerokie rzesze ludności, szczególnie na drobnych właścicieli, urzędników i zamożniejszy proletariat. Ale miało się okazać, że i ta partia dysponuje względną siłą; tylko rok—dwa dzieliły nas od chwili, gdy ostre komplikacje polityczne w Niemczech miały zepchnąć socjaldemokratów z zajmowanego przez nich

miejsca, tak że znaleźli się poza nawiasem życia społecznego kraju.

Coraz wyraźniej stawały naprzeciw siebie tylko dwie realne siły. Były to — partia komunistyczna i naziści.

Historia Komunistycznej Partii Niemiec kierowanej w owym czasie przez znakomitego syna niemieckiej klasy robotniczej, Ernsta Thaelmanna, była stosunkowo krótka, lecz partia ta — dynamiczna i rokująca nadzieje — stanowiła jedyną siłę zdolną rozwiązać trudne problemy nurtujące kraj. KPN była naturalną następczynią rewolucyjnych tradycji Związku Komunistów, utworzonego jeszcze przez Marksa i Engelsa. Ale była też kontynuatorką myśli zdrowego rewolucyjnego rdzenia partii socjaldemokratycznej, którym do rewolucji listopadowej w 1918 roku kierowali płomienni rewolucjoniści i internacjonaliści — Karol Liebknecht, Franz Mehring, Róża Luksemburg, Klara Zetkin, Leo Jogiches, Wilhelm Pieck i inni. Po długich latach mamienia szerokich mas narodu niemieckiego obietnicami „reform", „poprawy", i „udoskonalenia" burżuazyjnego społeczeństwa, po straszliwej katastrofie wojennej i politycznej w grudniu 1918 roku przedstawiciele Związku Spartakusa założyli w Berlinie fundamenty Komunistycznej Partii Niemiec. Wstąpili do niej niezwłocznie wszyscy rzetelni działacze rewolucyjni oraz ci członkowie partii socjaldemokratycznej, którzy w świetle osiągnięć Rewolucji Październikowej zrozumieli, jaka jest właściwa droga gruntownej odnowy społeczeństwa niemieckiego. KPN zrodziła się w żarze płomieni rewolucji z przełomu lat 1918—1919, gdy całe Niemcy wstrząsane były potężnym ruchem robotników, chłopów, żołnierzy i pracującej inteligencji, zmierzającym do utworzenia prawdziwie demokratycznych Niemiec rządzonych przez rady robotnicze, chłopskie i żołnierskie, które zaczęły wszędzie powstawać. W szczytowym momencie rewolucyjnego wrzenia śmiertelnie przestraszona reakcja dokonała najstraszliwszej zbrodni. W pierwszej połowie stycznia 1919 roku przeprowadziła rzeź członków Związku Spartakusa w Berlinie i w całym kraju, a 15 stycznia bestialsko zamordowała powszechnie uzna-

nych, światłych przywódców rewolucyjnych narodu niemieckiego — Karola Liebknechta i Różę Luksemburg...

Atak przeciwko własnemu narodowi reakcja mogła zrealizować tylko z pomocą zwycięskich państw ententy. Wczoraj jeszcze skłócone, rozdzielone sprzecznościami ekonomicznymi, pragnieniem zemsty i zasiekami frontowymi — dziś uprzywilejowane reakcyjne warstwy w Niemczech i państwach ententy poczuły się nagle zagrożone przez wspólnego nieprzyjaciela — zbuntowany naród niemiecki, który za przykładem bolszewików w Rosji zwrócił oręż przeciwko swym prawdziwym wrogom. Wspólne zagrożenie skłoniło reakcję do tego, by zapomniała o nie obeschłych jeszcze strumieniach wytoczonej w wojnie krwi. Marszałek Foch, głównodowodzący armii francuskiej i wszystkich wojsk ententy, zmienił nieoczekiwanie kurs i nie tylko złagodził swą nienawiść wobec niemieckiego przeciwnika, ale też dokonał zmiany kierunku natarcia. Szacowny strateg sił burżuazyjnych stwierdził, że jeśli zniszczy całkowicie wojskową machinę kajzerowskich Niemiec, władza dostanie się w ręce innego, jeszcze straszniejszego wroga — niemieckiej klasy robotniczej. Nie! Zwycięstwo jednej rewolucji socjalistycznej — w Rosji — wystarczająco wstrząsnęło wsteczną Europą, aby uczyniła wszystko w celu przerwania „reakcji łańcuchowej" ruchów społecznowyzwoleńczych rozpoczętych za przykładem bolszewików.

Toteż pierwsza próba ujęcia władzy przez niemiecką klasę robotniczą zakończyła się tragicznie. Lecz całego narodu nie można wygubić, a miał on już swoją odważną, rewolucyjną partię, która poprowadziła go do walki z wrogiem klasowym, do walki o prawdziwie wolne i demokratyczne Niemcy.

Na początku lat trzydziestych Komunistyczna Partia Niemiec była już ukształtowana jako energiczna, śmiała i zdecydowana awangarda klasy robotniczej i każda następna kampania wyborcza stawała się odbiciem jej wzrastających wpływów. Szczególny sukces odniosła w listopadowych wyborach 1932 roku, kiedy zdobyła milion nowych głosów, przy czym były to głosy wyborców, którzy do niedawna stawiali na narodowych socjalistów. Gdzie leżała przyczyna? Czyżby narodowosocjali-

styczna zaraza zaczynała wygasać, czyżby z tej choroby otrząsały się już miliony przedstawicieli lumpenproletariatu, drobnej burżuazji, rzemieślników, bezrobotnych żołnierzy i niższych oficerów?

Historia zaświadcza, że istotnie w końcu 1932 roku ruch narodowosocjalistyczny w Niemczech stał w obliczu krachu politycznego (w listopadzie naziści utracili przeszło dwa miliony głosów). Jednakże krach nie nastąpił, bo nazistom podali rękę bogaci przemysłowcy, bankierzy i finansiści, spadkobiercy zdewaluowanej w czasie wojny kajzerowskiej polityki ekspansji, odwetowcy i militaryści. Wszyscy oni musieli podjąć zasadniczą decyzję — z kim? Czy z partią katolicką oraz niemieckimi narodowcami, których popularność słabła wobec wzmacniania się lewicowej opozycji, czy z nazistami? Trzecią możliwość stanowili wprawdzie komuniści, ale wielki kapitał, militaryści i oligarchia finansowa były gotowe pójść na wszystko, działać nawet wbrew interesom kraju, byle nie oddać rządów czerwonym.

Oto prawda o dojściu Hitlera do władzy. W innym wypadku „prorocza" biblia nazistów „Mein Kampf" zostałaby oceniona jako grafomańskie brednie. Za Hitlerem kryły się koncerny — rzeczywiści władcy Niemiec, za nimi zaś zachodnie siły imperialistyczne ze swymi antyradzieckimi zamysłami strategicznymi.

Hitler zastosował szalony nacisk polityczny i 30 stycznia Hindenburg ofiarował mu fotel kanclerski w koalicyjnym gabinecie nazistów i niemieckich narodowców.

W owych strasznych i złowróżbnych dla Niemiec dniach przebywałem w Berlinie, gdzie miałem spotkać się z Georgi Dymitrowem. Umówiony zostałem z nim za pośrednictwem dwóch postępowych Bułgarów ze Starej Zagory, Iwana i Todora Welewa, którzy w tamtych latach oddawali nieocenione usługi naszej emigracji politycznej. Mieliśmy oczywiście również szereg innych możliwości realizowania konspiracyjnych spotkań w Berlinie, ale ta była bardzo wygodna: Iwan i Todor

jako krawcy posiadali modną pracownię, odwiedzaną przez liczną klientelę. Łatwo zrozumieć, dlaczego zakład obu tych patriotów i internacjonalistów służył do końca jako punkt łączności i baza tak naszych, jak i innych emigrantów politycznych. A Berlin w owym czasie stanowił dla naszej partii bardzo ważny ośrodek. Tu bowiem był punkt techniczny Biura Zagranicznego KC, przez który realizowano kontakty z Bułgarią oraz partiami innych krajów, tu była też siedziba zachodnioeuropejskiego biura Kominternu. Przez Berlin najczęściej przejeżdżało wielu naszych działaczy udających się ze zleceniem partyjnym do Związku Radzieckiego oraz wracały stamtąd delegacje. Berlin stanowił nie tylko skrzyżowanie dróg, ale i miejsce, gdzie ludzie owi mogli się spotkać z Georgi Dymitrowem, porozumieć się z nim, zapoznać z jego oceną spraw oraz analizami i prognozami dotyczącymi dalszego rozwoju wypadków, a także zapytać o radę...

Spotkaliśmy się w pewnej restauracji na Potsdamerstrasse, gdzie już raz widzieliśmy się przedtem. Dymitrow wprawdzie nie lubił zmieniać restauracji, ale konieczność konspirowania się zmuszała go do rezygnacji z własnych upodobań. Miał na sobie ciepłe zimowe ubranie odpowiadające ówczesnej berlińskiej modzie, miał też dużą skórzaną torbę podróżną, jakich zwykle używali agenci handlowi. Schudł i zmizerniał, jakby na twarzy jego odbijała się niepokojąca sytuacja polityczna Niemiec. Nie żartował, jadł bez apetytu, myśli jego bez przerwy krążyły wokół wydarzeń w tym kraju. Mózg Dymitrowa jak sejsmograf rejestrował zbliżający się straszny, katastrofalny wstrząs, który od podstaw zmienić miał sytuację polityczną w Europie i skazać ją na nieuchronną wojnę. Szczególnie zaniepokoiły go nadzwyczajne wydania berlińskich gazet popołudniowych, których tytuły krzyczały: „Przyszłość Niemiec związana jest z Hitlerem!", „Hitler odrodzi Niemcy!", „Od dziś dla Niemiec zaczyna się nowa epoka!", „Heil Hitler!" Podobnymi słowami zachłystywało się radio.

Powstanie koalicyjnego gabinetu narodowców i nazistów, z Hitlerem jako kanclerzem, stało się faktem. Wprawiało to nazistowską zgraję w stan radosnego delirium. Hitlerowcy wie-

dzieli, że już wkrótce, bardzo szybko, jutro lub pojutrze, „mesjasz Adolf" sam weźmie władzę w ręce. Nikt i nic nie mogło temu przeszkodzić. Brunatna dżuma kroczyła już triumfalnie przez Niemcy.

Jedliśmy kolację. Rozmowa szła bardzo opornie. Dymitrow pytał o towarzyszy z emigracji politycznej w Austrii, Czechosłowacji, Niemczech i Francji, których spotykałem ostatnio, interesował się Georgi Karadżowem-Rilskim, wówczas jednym z przywódców naszej emigracji politycznej w Niemczech, który nagle się rozchorował, pytał o Galinę (wiedział, że przyjechała do Wiednia), zagadywał, jak ja się czuję. Dowiadywał się o wszystkich, lecz jakby bał się zapytać o Ljubę. W ostatnich dniach „zajrzałem" do Moskwy i oczywiście byłem w szpitalu. Lekarze nikomu już nie pozwalali na kontaktowanie się z nią...

— A jak ona się czuje, Wanko? — Dymitrow patrzył na mnie z żarliwym wyczekiwaniem w oczach. Widziałem, jak okrutnie cierpi, spodziewając się strasznej prawdy.

Nie zaskoczyła go moja odpowiedź. Wiedział o wszystkim. Pytanie jego wypłynęło z irracjonalnej nadziei na cud, na regres choroby, na to, że najbliższa istota będzie jednak żyła... Myśl o śmierci Ljuby zabiła coś w jego wnętrzu. Wraz z nią odchodziła w przeszłość cała epoka jego życia, epoka wzlotów i walki.

Ljuba umarła w parę miesięcy później, w maju, wtedy gdy Dymitrow siedział w lochach Moabitu.

Wyszliśmy na bulwar. Nie poznawaliśmy Berlina. Jakieś chorobliwe podniecenie ogarnęło w czasie ostatnich dni całe to miasto. Ulegli mu nawet ludzie, którzy nie mieli żadnych podstaw, by oczekiwać od „führera" pomyślnej zmiany losu. Widok Unter den Linden przekraczał wszelkie wyobrażenie. Hitler, bożyszcze nazistowskiej zgrai, odbierał wraz z Goeringiem i Goebbelsem z rezydencji Kancelarii Rzeszy wielotysięczną defiladę swoich zwariowanych zwolenników, którzy powiewając sztandarami z czarnymi swastykami maszerowali bulwarem; trzymali płonące pochodnie w rękach, a w oczach mieli szaleństwo istot gotowych podpalić świat...

— Chodźmy, Wanko — rzekł Dymitrow, gdy delirium tłumu osiągnęło szczyt grożący, zda się, eksplozją całego miasta. — Lawina rusza. Lawina już rusza...

Oczy w jego bladej, ściągniętej twarzy patrzyły jakby nie na tłumy defilujące przed „swoim führerem", ale w niedaleką już przyszłość, gdy te same hordy, zbrojne w stal, rozleją się po całym świecie, siejąc w imię „nowego tysiącletniego ładu" pożogę, mord i zniszczenie... A jednak twarz Dymitrowa nie była twarzą ani wizjonera, ani też człowieka sparaliżowanego przerażeniem. Rysy jego wyrażały wolę bojownika, który jasno widząc monstrualną realność rzeczywistości gotów jest mimo śmiertelnego ryzyka wystąpić śmiało przeciwko zarazie.

Słyszałem o kapitanach, którzy nie opuszczają tonącego okrętu i zawsze podziwiałem ich spokój w obliczu śmierci oraz odwagę pozwalającą ważyć się nawet na rzecz niemożliwą, by uratować statek. I teraz właśnie Dymitrow wydał mi się jednym z nich... Tu chodziło o okręt rewolucji...

Pożar Reichstagu wybuchł 27 lutego 1933 roku dokładnie o godzinie dwudziestej, minut dwadzieścia pięć. Wszystko było troskliwie z góry wyreżyserowane (tym już zajął się osobiście Goering), zarówno przed, jak i po pożarze. W tym strasznym dniu przebywałem w Wiedniu, lecz i tu dobiegł wrzask o mającym jakoby ogarnąć całe Niemcy i pogrążyć je „we krwi i czerwonym terrorze" „buncie komunistycznym", do którego rzekomo sygnał miało dać podpalenie Reichstagu. Ten wrzask rozhuśtał polityczną atmosferę w Europie, a choć dziś historia — bezlitosna wobec wszelkiego przestępstwa politycznego — obnażyła prawdę o prowokacji i ukazała jej cel, wówczas niewiele ludzi prawidłowo widziało obraz wydarzeń. Dostrzegali go komuniści niemieccy z Ernstem Thaelmannem na czele, a przede wszystkim Georgi Dymitrow, kierujący zachodnioeuropejskim biurem Kominternu. Czynił on nadludzkie wysiłki, by wznieść zaporę ochronną przeciwko lawinie. Zaporą tą mógł być tylko zjednoczony ludowy front wszystkich postę-

powych sił narodu, wszystkich prawdziwych patriotów, antyfaszystów z przekonania, wszystkich uczciwych umysłów i serc...

Aresztowanie Dymitrowa nastąpiło w dniu 7 marca. Wiedział on, że szturmowe oddziały nazistów, liczni agenci tajnej policji, przeróżni współpracownicy i zwolennicy partii hitlerowskiej rozpoczęli już swój krwawy atak na postępowe siły w Niemczech, zwrócony również przeciwko przebywającym tam emigrantom politycznym i innym działaczom rewolucyjnym. Spodziewał się, że cios może dosięgnąć i jego. Nie opuścił jednak swej rewolucyjnej placówki, nie poszukał ratunku w ucieczce.

Policja faszystowska aresztowała go wraz z Błagojem Popowem (ówczesnym zastępcą Georgi Łambrewa, który kierował technicznym punktem łączności BPK w Berlinie) i Wasilem Tanewem (członkiem KC BPK, który jechał z Moskwy tranzytem do Bułgarii, a w Berlinie zatrzymał się na parę dni dla załatwienia kilku spraw) w berlińskiej restauracji. Przy czym rolę zdrajcy odegrał kelner Helmer, okrywając swoje nazwisko niesławą.

Inna restauracja berlińska była sceną podobnego wydarzenia. Jakiś rok wcześniej policja aresztowała tam Georgi Łambrewa.

Na zlecenie Georgi Dymitrowa sprawą uwolnienia aresztowanego działacza zajął się głównie Minczo Marinow, jeden z bliskich współpracowników Biura Zagranicznego. Pomagałem w tym również ja. Postępowi adwokaci niemieccy i inni lewicowi działacze posiadający wpływy wśród niefaszystowskich partii burżuazyjnych okazali nam cenną pomoc i po kilku miesiącach Georgi Łambrew został wypuszczony na wolność, po czym niezwłocznie udał się do Moskwy.

Wyruszyłem znów do Moskwy w połowie września 1933 roku, dokładnie po trzy i półrocznym okresie pracy w środko-

wej i wschodniej Europie. Większa część naszej grupy pozostała na swych stanowiskach bojowych pod kierownictwem nowego rezydenta. Funkcjonowało też nadal w Wiedniu nasze biuro handlowo-importowe, które działało (z położeniem przez pewien czas nacisku na Sofię) bez żadnych potknięć aż do zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami. Nie tylko spełniało ono nadal swe tajne zadania, lecz również przeznaczało duże sumy z osiąganych zysków na pomoc dla komunistów i emigrantów politycznych, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. W pierwszych dniach po zwycięstwie, gdy praca automatycznie została zakończona, X i Y — „właściciele" biura — złożyli w ośrodku znaczną sumę pieniędzy stanowiących uczciwie zarobiony zysk. Jakież mogło być lepsze świadectwo nienagannej działalności: X i Y okazali się zawołanymi handlowcami i jeszcze lepszymi patriotami oraz internacjonalistami.

Po drodze do Moskwy miałem wstąpić do Berlina dla załatwienia pewnych spraw. Galina, moja żona, przekazawszy nowemu pracownikowi swe funkcje radiotelegrafisty i szyfranta, została wysłana do Związku Radzieckiego już w maju. Wyruszyła wprost do Moskwy, omijając ogarnięte faszystowskim szałem Niemcy.

Berlin, w którym wypadło mi zatrzymać się na pewien czas, zmieniał się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Równie szybko zdawali się zmieniać mieszkańcy Niemiec, na oczach których dokonywała się straszliwa rzeź, „noc św. Bartłomieja" wszystkich sił rewolucyjnych. Już w tych dniach miał się rozpocząć proces lipski i naziści przygotowywali ludność do tej komedii politycznej, w której narodowy socjalizm miał dowieść swej „wyższości" ideowej nad Komunistyczną Partią Niemiec, Kominternem i światowym ruchem rewolucyjnym...

Czytelnikowi wiadomo, jak rozpoczął się i jak zakończył ów proces. Rzeczywiście przekształcił się on w gigantyczny pojedynek. Ale porażkę poniósł kto inny. Georgi Dymitrow, wielki syn naszego narodu, wybitny działacz Kominternu, nie tylko zdołał wspaniale obronić siebie, lecz także zdemaskował do końca oszczerstwa pod adresem Kominternu i światowego

ruchu rewolucyjnego, zadając ze zdumiewającą siłą pierwszy moralno-polityczny cios faszyzmowi. Z ławy oskarżonych, którą przekształcił w trybunę rewolucyjną, wyrzekł on prorocze słowa: „Koło historii toczy się... i będzie się toczyć, aż do ostatecznego zwycięstwa komunizmu". I wezwał wszystkich uczciwych ludzi do utworzenia zjednoczonego frontu przeciwko hitlerowskiej dżumie, która podżega do wyniszczającej wojny przeciwko ludzkości.

7. Na pomoc Republice Hiszpańskiej

W sobotę 18 lipca 1936 roku punktualnie o godzinie pierwszej po południu pewna nielegalna radiostacja nadała słowa: „Nad Hiszpanią niebo jest bezchmurne".

Nie był to komunikat służby meteorologicznej. Było to hasło zbrojnego zamachu przeciwko republice. Generał Franco, gubernator wojskowy hiszpańskiego Maroka, wzniecił przeciwko legalnym władzom bunt, za którym według powziętych z góry planów miały niezwłocznie nastąpić bunty we wszystkich formacjach wojskowych Hiszpanii.

Toteż oprócz jednostki wojskowej Franco bunt wznieciło jeszcze kilka jednostek wojskowych w metropolii, lecz tu został on szybko stłumiony dzięki kontrposunięciom rządu. Zaskoczenie, na które głównie stawiała reakcja, nie przyniosło oczekiwanych sukcesów i rebelia zaczęła się chylić ku upadkowi. Opanowawszy sytuację w metropolii, republika podjęła kroki, by przerzucić wierne sobie oddziały wojskowe do hiszpańskiego Maroka.

Wówczas jednak okazało się, że Franco nie był tylko awanturnikiem łaknącym zdobytej siłą władzy. W rzeczywistości osobę jego podstawił światowy imperializm, a rebelia wynikała ze stosowanej przez imperialistów strategii. Głównymi podżegaczami byli odwetowcy niemieccy oraz faszyści włoscy i portugalscy. Już w pierwszych dniach przewrotu zbuntowany generał otrzymał znaczne posiłki wojskowe. Hitlerowskie Niem-

cy wysłały niezwłocznie czołgi, całe eskadry samolotów bojowych typu „Junkers" i doświadczonych lotników, Benito Mussolini zaś — okręty wojenne, regularne oddziały wojskowe oraz artylerię. Franco przeprowadził desant powietrzny i morski na Hiszpanię, wysadził wojska koło Gibraltaru, Sewilli i Toledo, a flota włoska zajęła balearską wyspę Majorkę. W północnych prowincjach kraju do buntu przyłączył się generał Mola.

W ten sposób w ciągu kilku dni przewrót — przygotowany i podsycany przez państwa imperialistyczne — przekształcił się w krwawą wojnę domową przeciwko legalnemu rządowi Republiki Hiszpańskiej.

Wiadomo, jak w dalszym ciągu potoczyły się wydarzenia. Początkowa pomoc wojskowa Niemiec, Włoch i Portugalii, udzielona potajemnie, wkrótce zmieniła się w jawną interwencję wojskową. Franco, który rozpoczął marsz na Madryt, nie liczył zbytnio na dziesięć tysięcy własnych żołnierzy. Jego podstawową siłę uderzeniową stanowiło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy niemieckich, sto sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy włoskich, piętnaście tysięcy żołnierzy regularnej armii portugalskiej oraz kilka tysięcy najemników z Legii Cudzoziemskiej. Wojska te wyposażone były w najnowocześniejsze wówczas czołgi, samoloty, samochody pancerne, artylerię i broń automatyczną.

Buntownikom opór stawiła trzystutysięczna armia republikańska. Lecz była ona rozrzucona po całym kraju, przy tym przeżywała trudny okres (anarchiści — silni w Hiszpanii — odmawiali podporządkowania się oficerom) i nie była w stanie działać skutecznie. Poza tym armia republikańska ustępowała rebeliantom i interwentom pod względem jakości uzbrojenia. W latach poprzedzających bunt państwa europejskie (Francja, Belgia, Anglia), które skądinąd utrzymywały z rządem hiszpańskim normalne stosunki dyplomatyczne, z ogromnymi oporami zawierały z nim umowy handlowe dotyczące dostaw broni, a Niemcy i Włochy wręcz odrzucały podobne propozycje. Wówczas wydawało się to dziwne. Przecież sprzedaż broni przynosiła największej zysków, przecież wszystkie kraje ostro

konkurowały ze sobą, by sprzedać jej jak najwięcej! Przecież produkcja zbrojeniowa zawsze stanowiła najbardziej dochodową część budżetów państwowych! Teraz — wobec rebelii — wszystko stało się nagle tragicznie jasne...

Republika mogła otrzymać tylko tyle broni, ile zamówiła w Związku Radzieckim, mimo iż kraj ten sam odczuwał jej gwałtowną potrzebę dla ochrony własnych granic. Ale gdy wybuchła rebelia, większość transportów tej broni została zatopiona przez niemieckie łodzie podwodne.

I tak w miesiącach: wrześniu i październiku 1936 roku Republika Hiszpańska stanęła w obliczu tragicznej próby. Postępujący naprzód buntownicy wraz z interwentami włoskimi, niemieckimi i portugalskimi skierowali główną siłę swego uderzenia na Madryt. Nad republiką zawisła groźba klęski. Niemieckie junkersy bezkarnie obrzucały bombami spokojne domy w stolicy.

— 7 listopada, w rocznicę bolszewickiej rewolucji, odbiorę defiladę moich bohaterskich oddziałów wojskowych na ulicach Madrytu! — powiedział Franco.

I trzeba przyznać, że obiektywna analiza sytuacji wojennej zdawała się potwierdzać owe zuchwałe słowa.

Czy świat miał pozostać obojętny wobec hiszpańskiej tragedii, pozwolić, by istotnie 7 listopada rebelianci i faszystowscy interwenci defilowali przez Madryt?

Rząd republiki niezwłocznie złożył w Lidze Narodów skargę w związku z agresją i zwrócił się z wezwaniem o pomoc do wszystkich pokojowo nastawionych rządów. Liga Narodów rozpoczęła obrady, które reakcyjne delegacje hamowały zakulisowymi intrygami i proceduralnymi komplikacjami. Jednocześnie utrzymujące z Hiszpanią normalne stosunki dyplomatyczne mocarstwa europejskie, które w pierwszym rzędzie miały obowiązek podania jej pomocnej ręki, ogłosiły... neutralność. Osławiony komitet nieinterwencji, z lordem Plymouth na czele, przymykał oczy na jawną interwencję Niemiec, Włoch i Portugalii, dokonując jedynie kontroli dostaw broni dla republiki. Stworzenie tego nieszczęsnego komitetu było

niezręcznym maskowaniem cichego uczestnictwa kół imperialistycznych Anglii, Francji i USA w marszu na republikę.

Miały one swoje powody nieingerowania. Udzielając Hitlerowi i Mussoliniemu milczącego, lecz jakże wymownego pozwolenia na interwencję w Hiszpanii, żywiły nadzieję, iż pozyskają włosko-niemiecki blok do uderzenia na ZSRR.

Zresztą ustępstwa ich zaczęły się jeszcze przed buntem Franco. 7 marca 1936 roku Hitler wydał swym armiom rozkaz wtargnięcia do zdemilitaryzowanej po pierwszej wojnie światowej strefy Nadrenii i niezwłocznie włączył ją do gorączkowego zbrojenia Niemiec mimo zakazu obowiązującego na mocy układu w Locarno.

Czy owo przekroczenie układów miało być ostatnim? Totalitarna polityka narodowosocjalistycznych Niemiec głosiła światu otwarcie, że ostatecznym ich celem jest włączenie do III Rzeszy wszystkich terenów zamieszkałych przez Niemców, choćby nawet byli tam mniejszością narodową (hasło „nowego tysiącletniego ładu" świata miało powstać nieco później), co w praktyce oznaczało nie tylko okupację Nadrenii, lecz również „przyłączenie" Austrii, Sudetów, znacznego terytorium Szwajcarii, Danii, Południowego Tyrolu, Gdańska i korytarza gdańskiego oraz ziem Holandii! Jak wielki miał się okazać apetyt tej bestii, która już wypełzała ze swej jamy? I czy owe wielkoduszne ustępstwa wobec niej nie były tylko środkiem uśmierzającym?

Zachodnie siły imperialistyczne szły nie tylko na ustępstwa wobec Hitlera, ale i wobec faszystowskich Włoch, które 3 października 1935 roku, depcząc wszelkie obustronne porozumienia o pomocy i poparciu, zdradziecko napadły Abisynię (Etiopię). Mussolini, który wtargnął ze stutysięczną armią do Abisynii, z niesłychaną obłudą nazywając „napastnikiem" cesarza Haile Selassie, rychło oświadczył cynicznie korespondentom agencji zachodnich:

— Spójrzcie na Anglię, Portugalię, Belgię, Holandię! Mają one swoje kwitnące kolonie. Bez wątpienia i Włochy powinny posiadać coś takiego...

Wiosną 1936 roku stało się jasne, że Anglia i Francja nie będą sobie „brudzić rąk" z powodu Abisynii. Wtedy Mussolini wysadził na afrykański brzeg nowe armie, dowodzone przez Badoglio. Doskonale uzbrojone, dysponujące czołgami i gazami trującymi, włoskie wojska szybko pokonały opór Abisyńczyków...

Te oto właśnie wydarzenia poprzedziły hiszpańską wojnę domową. Stanowiły one wymowny dowód agresywnych zamierzeń dwóch największych państw faszystowskich w Europie, były też odbiciem nastrojów w „przeciwnym" obozie — obozie mocarstw, których przedstawiciele nadal wygłaszali w Lidze Narodów w Genewie gładkie przemówienia o pokoju, porządku i bezpieczeństwie...

Wydarzenia te były decydujące i w innym sensie. Gdy Mussolini wtargnął do Abisynii, hitlerowskie Niemcy nie zaaprobowały sankcji przeciwko Włochom. W odpowiedzi na ten gest Mussolini, rozdrażniony owymi sankcjami (mimo że były całkiem nieszkodliwe), puścił w niepamięć własne zobowiązania, wynikające z układu w Locarno. Do niedawna poróżnieni wskutek sprzecznych interesów w Austrii, na Węgrzech, w Słowenii i Tyrolu, Hitler i Mussolini nagle zbliżyli się do siebie. Złączyła ich nie tylko zdumiewająca zbieżność ideologii i koncepcji państwowych, lecz również konkretna koniunktura polityczna w Europie. Ich wspólna jawna interwencja przeciwko republikańskiej Hiszpanii była pierwszym owocem porozumienia, które przekształciło się w osławioną oś Berlin—Rzym.

Sądzę, że Czytelnika zainteresują uwagi o wydarzeniach w drugiej połowie lat trzydziestych w Europie, ponieważ wiążąc się w łańcuch przyczyn i skutków stanowiły kolejne stopnie wiodące do koszmaru drugiej wojny światowej.

Jednym z owych stopni była wojna domowa w Hiszpanii. Przymknąwszy oczy na poprzedzającą ją „małą" agresywną wojnę Mussoliniego, mocarstwa zachodnie również i teraz zachowały pożałowania godną postawę obserwatorów. W Europie jedynym krajem, który osądził „ekspedycję abisyńską", a także jawnie potępił faszystowską rebelię i niezwłocznie opo-

wiedział się po stronie zaatakowanej przez interwentów Republiki Hiszpańskiej, był Związek Radziecki.

— Sprawa Republiki Hiszpańskiej jest sprawą całej postępowej ludzkości — oświadczył oficjalnie rząd radziecki. — ZSRR poprze demokratyczną Republikę Hiszpańską za pomocą wszystkich sił i środków.

Była to kwestia solidarności międzynarodowej i prawa do samoobrony napadniętego narodu, była to kwestia moralności w stosunkach między krajami, był to wreszcie prawdziwie szlachetny gest, bezinteresowna przyjazna pomoc...

Ewentualne zwycięstwo rebeliantów groziło wzmocnieniem potęgi agresywnych sił w Europie. Franco, któremu państwa faszystowskie dopomogły bronią i wojskiem, z pewnością odpłaciłby się im bazami na swoim terytorium, paktami wojskowymi, a prawdopodobnie i odpowiednimi kontyngentami „mięsa armatniego", a to wszystko mogło spowodować zachwianie i tak nie ustabilizowanej równowagi sił — preludium do wielkiej powszechnej wojny, którą militaryści, z wysuwającym się na czoło faszyzmem niemieckim i włoskim, przygotowywali w szalonym tempie...

Wyruszyliśmy z Galiną z Moskwy na początku listopada 1936 roku, gdy cała prasa światowa komentowała burzliwy rozwój wydarzeń na Półwyspie Pirenejskim, a gazety reakcyjne ze złośliwą radością prorokowały: „Republika — w obliczu klęski". „Madryt — u stóp Franco". „Tylko godziny dzielą nas od całkowitego załamania się czerwonego reżimu".

Trzeba zresztą powiedzieć, że zagrożony klęską rząd republikański nie był aż tak „czerwony". Nim nastąpiła rebelia, miał on szczery zamiar dokonania zmian w stosunkach społecznych i perspektywę na to, lecz wszystko pozostało w sferze dobrych chęci. Jeśli nawet republice udało się pomyślnie załatwić jakąś jedną sprawę, w innych doznawała szeregu niepowodzeń. Front ludowy bowiem wciąż jeszcze nie zdołał przekształcić się w monolit polityczny, zdolny do energicznego rozwiązywania aktualnych problemów Hiszpanii. Nam pozosta-

wała nadzieja, że republika trwa mimo niepowodzeń, że próbuje postępować naprzód trudną drogą odnowy politycznej i że, być może, w skromnych ramach istniejącego ustroju zrealizuje niektóre od dawna oczekiwane przez naród reformy: da ziemię tym, którzy na niej pracują, wyrwie społeczną zadrę dziedzicznego szlachectwa osłabiającego kraj, rozbije kastę wojskowych, ograniczy wszechmocny dotąd kościół, założy wędzidło wielkiemu kapitałowi, zapewni pracę i chleb milionom z trudem wegetujących ludzi, z których część, utraciwszy nadzieję na zarobek w ojczyźnie, co roku szerokim strumieniem opuszczała ją na zawsze, by szukać środków do życia na cudzej ziemi.

I wówczas wybuchła rebelia.

Moskwa—Berlin—Bruksela—Paryż — oto trasa naszej podróży. Obydwoje z Galiną, która i teraz miała być moją szyfrantką i radiotelegrafistką, mieliśmy założyć swoją siedzibę w cieniu Łuku Triumfalnego, choć Francja nas nie interesowała. We Francji jednak mieliśmy utworzyć siatkę współpracowników i rozciągnąć ją na pięć sąsiednich krajów: Niemcy, Portugalię, Belgię, Włochy i piąty — Hiszpanię, ale Hiszpanię z „tamtej strony", okupowaną przez hordy wojskowe Franco. W jakim celu? Mówiąc krótko, po to, by informować nasz ośrodek o ruchach posiłków wojskowych, które Hitler i Mussolini wysyłali Franco, by współdziałać w akcji przeszkadzania interwencji. Mieliśmy stanowić jeden z licznych oddziałów armii bojowników, którzy w owych czasach z samozaparciem wspierali sprawiedliwe dzieło hiszpańskiej rewolucji.

Zadanie było trudne. Tym razem jednak wyruszyłem z większą pewnością siebie. Zdobyłem już spore doświadczenie, ukończyłem też wyższe studia. Natychmiast po powrocie z Wiednia wstąpiłem do Akademii Wojskowej im. Frunzego, gdzie z początku studiowałem na wydziale ogólnowojskowym, a następnie na specjalnym. „Wywiadowca wojskowy musi sztukę wojenną opanować w stopniu doskonałym" — słusz-

ność powyższej maksymy Berzina sprawdziła się po stokroć w praktyce wywiadowczej.

Studia ukończyłem w lipcu 1936 roku i właśnie gdy moi zwierzchnicy mieli zamiar przydzielić mi nowe zadania, wybuchła wojna domowa w Hiszpanii.

Najpierw udał się tam Paweł Iwanowicz Berzin, a wraz z nim — Grisza Salnin. Berzin wyjechał jako główny doradca wojskowy rządu republikańskiego, Salnin — jako doradca do spraw kontrwywiadu. Zabrali ze sobą szereg znakomitych pracowników zarządu. Wyruszył też Umar Mamsurow-Hadżi, który nosił już drugi romb na pagonach (to jest uzyskał rangę majora). Jesienią tego roku miał wstąpić do Akademii Wojskowej im. Frunzego, lecz nie poszczęściło mu się — trąbka zagrała do boju.

Ów oddział wywiadowców stanowił tylko część grupy radzieckich ekspertów i doradców, którzy odpowiedzieli na apel rządu republikańskiego i okazali nieocenioną pomoc w szkoleniu i reorganizacji armii republikańskiej. Wielu z nich miało paść na polach walk w Hiszpanii, inni powrócili do kraju jako inwalidzi, lecz wszyscy bez wyjątku spełnili swój internacjonalistyczny obowiązek i zasłużyli na gorącą wdzięczność narodu hiszpańskiego.

Jednym z bohaterów radzieckiej grupy miał zostać „Hadżi".

— Wanko, prawda, że jest w twojej ojczyźnie miasto Ksanthi? — spytał mnie na krótko przed wyjazdem „Hadżi". — Ściślej mówiąc, w Macedonii, prawda?

— Istotnie — odparłem, zdumiony jego dziwnym pytaniem. — Jest takie miasto, tyle że nie w Macedonii, a w Zachodniej Tracji na południowym podgórzu Rodopów. I już nie jest to nasze miasto. Od osiemnastego roku mimo klauzul układu w Neuilly znajduje się w granicach Grecji... Ale dlaczego cię to interesuje?

„Hadżi" robił wrażenie trochę zawiedzionego.

— Szkoda, myślałem, że leży w Macedonii...

I po małej chwili, uśmiechając się pobłażliwie do własnych słów, ciągnął:

— Wybrałem sobie nazwę tego miasta na pseudonim w Hiszpanii. Ksanthi... Podoba mi się, brzmi dźwięcznie... Lecz co ważniejsze, sądziłem, że jest to miasto w Macedonii... Słyszałem od twoich rodaków o macedońskich bojownikach o wolność, o macedońskim powstaniu antytureckim w 1903 roku, o bohaterstwie powstańców, o Jane Sandanskim, o Todorze Panicy... Ksanthi... Szkoda...

Roześmiałem się z całego serca. „Hadżi" miał około trzydziestu lat, lecz w naturze jego obok cech dojrzałego już bojownika tkwiły cechy zapalonego, gwałtownego młodzieńca, dla którego nie ma i nie może być przeszkód na drodze do wytkniętego celu; w Hiszpanii miał wspaniale zdać egzamin z odwagi.

— Umar — przygarnąłem go po bratersku ramieniem — nie żałuj... Dobrze wybrałeś swój przyszły pseudonim. Ksanthi leży w Tracji, ale Bułgarzy z Tracji w niczym nie ustępują Bułgarom z Macedonii. Na krótko przed powstaniem antytureckim w 1903 roku, o którym słyszałeś, wybuchło też powstanie preobrażeńskie. Było to powstanie ujarzmionych Traków. I oni umieli umierać za swobodę...

Czy słowa moje zabrzmiały przekonywająco, czy inna była przyczyna, dość że Umar Mamsurow-Hadżi walczył jak prawdziwy bohater i na złotych stronicach dziejów hiszpańskich walk figuruje pod imieniem Ksanthi...

Nigdzie nie zatrzymywaliśmy się w drodze do Paryża. Ponieważ nasze dokumenty opiewały, że jesteśmy obywatelami czechosłowackimi i przejechaliśmy tranzytem przez ZSRR, nie mogliśmy wystawiać się na zbędne ryzyko; nie chcieliśmy też tracić czasu. Tym samym pociągiem, lecz nie razem z nami, jechał grecki towarzysz Z-4, etatowy pracownik naszego ośrodka. Jako znakomity radiotechnik miał on poruczoną techniczną stronę zadania.

Rozkład jazdy przewidywał, że po trzech dniach staniemy w Paryżu, ale na dworcu berlińskim pociąg został przetrzymany prawie przez całą dobę. Co się stało z koleją niemiecką, sławną ze swej nienagannej punktualności i sprawności technicznej? Przyczyny dowiedzieliśmy się później. Linie kolejowe prowadzące z Berlina do zachodnich granic kraju były zablokowane przez nadzwyczajne transporty broni i „ochotników" dla generała Franco.

Za Berlinem pociąg biegł już bez przeszkód na zachód do Brukseli, przecinając Nadrenię. Hitlerowcy wiedzieli, co robią, dokonując militaryzacji tego okręgu. Był on bogaty (tu leżało Essen, Zagłębie Ruhry — węglowo-stalowe serce starego i nowego Wehrmachtu), w unieruchomionych do niedawna fabrykach Kruppa teraz pełną parą szła produkcja broni na nową wojnę. Stąd wkrótce na zachód, północ i południe miały popłynąć żelazne strumienie faszystowskiej agresji. Na dworcach kolejowych powiewały ogromne sztandary hitlerowskie ze złamanym krzyżem. Konduktorzy wszędzie odmawiali demonstracyjnie porozumiewania się w innych niż niemiecki językach. Na ścianach wszystkich budynków rzucała się w oczy nieprzeliczona masa plakatów z podobizną Hitlera i wojowniczymi hasłami z jego przemówień. Przez megafony grzmiały nazistowskie marsze. Wszystko to było wprost nie do zniesienia...

Nasi współtowarzysze podróży rozglądali się wokoło z przestrachem, jakby jechali przez zadżumioną ziemię. Dopiero gdy pociąg minął granicę, wszyscy odetchnęli swobodniej. Ale niepokój pozostał. Tam, na północy Niemiec, narastało niebezpieczeństwo — to było oczywiste dla każdego — na północy warczała bestia, której nie zdołają poskromić żadne pobożne życzenia ani ostrzeżenia dyplomatyczne...

7 listopada pociąg nasz zatrzymał się na paryskim Dworcu Północnym. Na każdej stacji francuskiej kupowaliśmy gazety i czytaliśmy je pełni niepokoju, co dzieje się w Hiszpanii. Franco groził, że właśnie dziś odbędzie defiladę w Madrycie. W jakim stadium znajdują się więc walki o hiszpańską stolicę? Czy Paryż nie powita nas okropną nowiną? Jeśli upadnie

Madryt, wszystko jest stracone — to więcej niż jasne, republika nie przetrwa ani dnia dłużej! Co dzieje się w Madrycie?

Wiadomości w porannych dziennikach paryskich uspokoiły chwilowo nasze obawy. Madryt nie upadł. Madryt walczył. Wróg dotarł do samych przedmieść republikańskiej stolicy, lecz nie posuwał się dalej. To stłumiło niepokój, ale go nie usunęło: jak długo utrzyma się bezbronne, spokojne miasto, atakowane dywizjami czołgów i eskadrami bombowców Franco?...

Francja 1936 roku była Francją frontu ludowego. Jej rząd, z socjalistycznym przywódcą Leonem Blumem na czele, próbował zrealizować swój program społeczno-polityczny. Jak wiadomo, front ludowy powstał w tym kraju w lipcu 1934 roku, kiedy to francuscy socjaliści po długotrwałych dyskusjach wewnątrzpartyjnych przyjęli wreszcie pod naciskiem mas zaproponowaną przez partię komunistyczną (którą kierowali Maurice Thorez i Marcel Cachen) platformę wspólnej walki przeciwko faszyzmowi i wojnie. Przyłączyli się do nich niezwłocznie również radykalni socjaliści z Eduardem Herriotem i Daladierem. Było to znaczne zwycięstwo postępowych sił we Francji i całej Europie, pierwszy wielki krok w działalności frontu ludowego Komunistycznej Międzynarodówki. Maurice Thorez, przywódca komunistów francuskich, głosił, że niebezpieczeństwo hitlerowskiej agresji może być zażegnane tylko wspólnym wysiłkiem wszystkich prawdziwych patriotów, wszystkich zdrowych sił narodu. Program, co do którego dwie najsilniejsze partie lewicowe osiągnęły porozumienie, przewidywał nacjonalizację przemysłu zbrojeniowego, zlikwidowanie organizacji faszystowskich, zasadniczą reorganizację i upaństwowienie potężnego Banque de France, umocnienie granicy francusko-niemieckiej, wprowadzenie czterdziestogodzinnego tygodnia roboczego itd.

Mniej więcej w dwa lata po utworzeniu frontu ludowego, a tylko w miesiąc po przewrocie reńskim Hitlera, Francja — poważnie zaniepokojona — powierzyła ster rządów demokratom. W wyborach przeprowadzonych w kwietniu i maju 1936 roku lista frontu ludowego dzięki żywej działalności komuni-

stów uzyskała druzgocącą większość. W skład rządu weszli socjaliści i radykałowie. Zabrakło tam komunistów, ale KPF poparła nowy gabinet zgodnie z programem frontu ludowego.

Reformy realizowane przez ów rząd stanowiły niewątpliwy sukces postępowych sił we Francji i w perspektywie mogły przynieść realne zdobycze szerokim masom pracującym. Czy jednak gabinet Bluma wytrzyma szalony nacisk połączonych sił reakcyjnych w kraju? Czy socjaliści i radykałowie nie zawahają się przy przejściu od słów do czynów, czy jak zwykle nie nastąpi wśród nich rozłam?

Oligarchia finansowo-przemysłowa, skupiając w swych rękach główne gałęzie gospodarki kraju, miała możność obalenia rządu, a tym samym utrącenia wywalczonych zdobyczy socjalnych i projektowanych reform gospodarczych.

Zresztą nie była to tylko sprawa polityki wewnętrznej, sprawa zniweczenia sukcesów partii komunistycznej, która czyniła ogromne wysiłki, by umocnić pozycje frontu ludowego. Problem ten miał również aspekt zewnętrzny: kapitał monopolistyczny kraju, potężne koncerny i banki ze swymi nienasyconymi apetytami imperialistycznymi narzuciły gabinetowi Bluma takie stanowisko wobec wydarzeń w Hiszpanii, które w praktyce oznaczało poparcie dla faszystowskich buntowników oraz interwentów włoskich, niemieckich i portugalskich. Komitet nieinterwencji był zwykłym umyciem rąk, smutnym i okrutnym oszustwem podyktowanym fałszywym przekonaniem, że pożar w spichrzu sąsiada nie grozi twemu domowi; faszyzm nie wydawał się straszny, dopóki nie zastukał wprost do drzwi...

Zajmując stanowisko nieinterwencji, rząd francuski odmówił armii republikańskiej dostaw od dawna zamówionej i zapłaconej broni. Zabronił również przewożenia przez swe terytorium jakichkolwiek transportów broni dla Hiszpanii. Zamknął południowe granice dla wszelkich posiłków i żołnierzy, nawet ochotników, którzy spieszyli już z pomocą republice. Realizacja tych zarządzeń została powierzona francuskiej policji, zarówno jawnej, jak i tajnej, która z zaciekłością przystąpiła do wykonywania swych zadań...

Takie stanowisko gabinetu Bluma uczyniło pierwszy ogromny wyłom we froncie ludowym. Komunistyczna Partia Francji otwarcie opowiedziała się po stronie sił republikańskich w Hiszpanii, potępiła faszystowską rebelię i oskarżyła jako oczywistych agresorów trzy wiadome państwa faszystowskie. Jednocześnie zaprotestowała przeciw haniebnemu i żałosnemu stanowisku nieinterwencji, ogłoszonemu przez Leona Bluma.

8. Korespondencja z Mussolinim

Gdy we dwóch z Ibriszimowem szliśmy do dzielnicy leżącej na wschód od Lasku Bulońskiego, z pociemniałego nieba płynęły na Paryż strugi jesiennego deszczu. Wzięliśmy taksówkę, ale po przejechaniu paru ulic Ibriszimow postanowił wysiąść i iść dalej pieszo.

— Nie należę do ludzi, którzy boją się własnego cienia — wyjaśnił, gdy otwierałem parasol — ale doktor żyje sobie najlegalniej na świecie i nawet cieszy się szacunkiem władz... Po co kusić licho, sprowadzać mu na kark policję?

Nie oponowałem. Miał rację. Wiedział, choć ogólnikowo, że chodzi tu o sprawy poufne, i — stary konspirator — sam liczył się z ewentualnym ryzykiem dzisiejszego spotkania.

Zapoznał mnie z nim Metodi Szatorow, pełnomocnik BPK w Paryżu, kierujący tu przerzucaniem Bułgarów do brygad międzynarodowych w Hiszpanii.

— To jeden z weteranów — przedstawił mi go. — Współtowarzysz Panicy i Czernopejewa. Pracował w Wiedniu z Poptomowem. I na niego Michajłow nasyłał morderców... Wierny człowiek!

„Skoro Metodi Szatorow takie świadectwo wystawił Ibriszimowowi, skoro walczył on razem z Todorem Panicą, a później pracował z kierownikiem WMRO (zjednoczonej), Władimirem Poptomowem, to jest on rzeczywiście pewnym człowiekiem" — myślałem sobie, ukradkiem obserwując go w blasku witryn sklepowych. Musiał to być jeden z owych wier-

nych sprawie ludzi, owych weteranów rewolucji, których nic nie mogło złamać, gdziekolwiek by ich rzuciły losy. Miał ponad sześćdziesiątkę, ale był zdumiewająco ruchliwy. Z jego wychudłej, kościstej twarzy patrzyły bystre, tryskające energią oczy. Najwyraźniej źle mu się powodziło, poznać to było można po ubraniu. Jak większość bułgarskich emigrantów politycznych, których setki rozproszyły się w owych latach po Europie, przymierał głodem, lecz trwał na stanowisku bojowym mimo prześladowań policji, codziennej troski o dach nad głową i dokumenty, mimo stałego niebezpieczeństwa, że „znudzi się" wreszcie władzom i którejś nocy po kilkudniowym areszcie zostanie deportowany...

Ibriszimow dobrze znał doktora, wiedział, gdzie mieszka, i na prośbę Szatorowa natychmiast zgodził się zaprowadzić mnie tam. Szliśmy więc w strumieniach jesiennego deszczu, a Ibriszimow nie ustawał w wyrzekaniu:

— Rozumiesz, bracie, Metodi mnie nie chce, ot co! Co ja się go nie naprosiłem — znamy się z nim przecież tyle lat — i w imię matki go zaklinałem, i w imię rewolucji... „Stary już jesteś — mówi mi wciąż w kółko. — Hiszpania to nie dom starców..."

Zatrzymał się gwałtownie i zwrócił do mnie mokrą od deszczu, napiętą twarz. Oczy jego płonęły:

— Słuchaj, zrób mi przysługę jak bratu — rzekł, ściskając mnie za ramię. — Widzę, że się przyjaźnicie z Metkiem. Poproś go ty! Powiedz parę słów, wstaw się za mną. Inaczej szlag mnie trafi, rozumiesz!

Rozumiałem go, rozumiałem i nagle serdecznie pokochałem. Znałem i innych weteranów sprawy, którzy byli gotowi wstać nawet z łoża śmierci na sygnał do ataku. Ibriszimow był jednym z nich. Jakżeż dobrze pojmowałem tego bliskiego sercu, wynędzniałego od niedojadania, miotanego przez burze weterana, którego do Madrytu wzywała walka, lecz który nie mógł już się tam udać, by uwieńczyć działalność swego całego życia! Niestety, od dawna, od bardzo dawna przekroczył odpowiedni wiek. Nie podołałby żołnierskim trudom. Szatorow rzeczywiście musiał odrzucić jego prośbę.

— Mógłbyś być moim ojcem — powiedziałem, podczas gdy on nie spuszczał ze mnie płonącego wzroku. — Ojciec mój umarł przed trzema laty. Był mniej więcej w twoim wieku. Nie mam prawa pouczać cię, co to jest obowiązek, sam wiesz najlepiej... Chcę ci tylko przypomnieć, że nadeszły takie czasy, gdy front jest nie tylko w Madrycie. Front jest wszędzie. Front jest i tutaj. Możesz być użyteczny równie dobrze tu jak i w Hiszpanii...

Ibriszimow patrzył wciąż na mnie swymi mądrymi oczyma, lecz uścisk ręki na moim ramieniu zelżał. Po chwili odwróciwszy wzrok, rzekł:

— I Meto ciągle mi to mówi... Ja wszystko rozumiem. A jednak któregoś dnia serce mi pęknie. Kiedyś Panica powiedział: „Prawdziwy żołnierz jest tam, gdzie najgoręcej"... Tam jesteśmy teraz potrzebni, my, doświadczeni żołnierze. Czy ty rozumiesz? Rewolucja ginie!...

Ibriszimow długo milczał, gdy pojął, że jestem tego samego zdania co Szatorow. Stary żołnierz umiał w milczeniu wykonywać rozkazy, lecz ile cierpienia go to kosztowało teraz, ileż bólu!

Wówczas, w tej właśnie chwili, postanowiłem włączyć go do naszej grupy. Nie powiedziałem mu o tym, chciałem raz jeszcze sprawdzić wszystko, co się z nim wiązało. Ale miałem wewnętrzne przekonanie, że Ibriszimow posiada wszystkie dane, by wykonywać specjalne polecenia, które nie tylko przywrócą go naszym szeregom, lecz zaspokoją jego pragnienie żołnierskiego czynu.

Muszę tu wspomnieć, że gdy wyruszałem, ośrodek pozostawił mi wolną rękę w doborze ludzi dla uzupełnienia grupy, pomijając oczywiście Galinę i specjalistę do konserwacji technicznej, Z-4, którzy — by tak rzec — otrzymali już nominację. Pozostałych współpracowników — a potrzebni mi byli ludzie i w Niemczech, i we Włoszech, i w Portugalii, i we frankistowskiej Hiszpanii — musiałem wyszukać sobie na miejscu. W Portugalii i Niemczech miałem umówione miejsca spotkań z naszymi współpracownikami, którzy już działali i z którymi chciałem uzgodnić dalszy plan.

Tak jak nadzwyczajne były wydarzenia, z których wynikły komplikacje polityczne, tak i nasza grupa była też nadzwyczajna — i wszystko, co wiązało się z jej utworzeniem, musiało zostać wykonane w ciągu zaledwie tygodni, a nawet dni. Zmiana okoliczności wiążąca się z otwartą wojną, jaką faszyzm europejski już wzniecił, zmuszała nas obecnie do szukania współpracowników we wszelkich politycznych prądach, partiach i ugrupowaniach, które podzielały naszą nienawiść do faszyzmu i były gotowe walczyć.

Dom doktora Tomowa okazał się solidnym niewysokim budynkiem z mansardą. Wznosił się on w jednej z eleganckich dzielnic Paryża w przestronnym, zarosłym zielenią ogrodzie. Ponieważ stał w odległości około dziesięciu metrów od wysokiego parkanu, tonął w mroku dżdżystej nocy.

„A może nie ma tam nikogo?" — pomyślałem, lecz Ibriszimow pewnym ruchem wsunął rękę przez sztachety, nacisnął jakiś zamek i otworzył furtkę.

— Doktor jest — powiedział. — Ale front domu znajduje się z przeciwnej strony.

Obeszliśmy budynek i z drugiej strony rzeczywiście ujrzeliśmy w oknach światło. Oto nie rzucające się w oczy drzwi wejściowe z solidnego dębu, dzwonek i judasz.

Doktor Tomow został mi polecony przez Wasila Kołarowa.

— Koniecznie musisz go odnaleźć — powiedział, gdy odwiedziłem go w przeddzień wyjazdu. — To mój dobry przyjaciel z lat studenckich w Genewie. Rodem z Omurtagu. Człowiek, za którego zawsze mogę ręczyć, nie wiedząc nawet, gdzie i w jakiej sytuacji się znajduje. Bezgranicznie uczciwy... Niech cię nie zniechęca fakt, że nie jest członkiem partii. Musiał kiedyś wykonać pewne specjalne zadania w Stambule, a potem, Bóg wie jak, znalazł się w Paryżu.

Rozumie się, że podobna charakterystyka czyniła zbędnymi dodatkowe sondaże. Do tego, gdy tylko spytałem o doktora, Metodi Szatorow, a teraz również Ibriszimow, wyrazili się

o nim jak najpozytywniej; doktor Tomow cieszył się ich całkowitym zaufaniem

Jak dotąd wszystko szło dobrze, mogłem być zadowolony. Lecz szczególnie ucieszyło mnie stwierdzenie Szatorowa, że dotychczas nie było konieczności korzystania ze szczególnych usług doktora. Szatorow zamierzał poprosić go o nie przy specjalnej okazji, toteż wiedząc, że jest nasz, „całkiem nasz" — jak podkreślał, chciał, by i pozostali bułgarscy emigranci polityczni nie kompromitowali go wobec władz niepotrzebnie. Poprosiłem Szatorowa, by postępował tak nadal wobec doktora Tomowa, ale napomknąłem, że być może i dla niego wybiła godzina czynu. Szatorow nie próbował oponować, jako doświadczony rewolucjonista miał szybki refleks i zrozumiał, że nie skieruję doktora, który był w wieku Ibriszimowa, do Hiszpanii, zresztą w innym wypadku sam by już to dawno zrobił.

Doktor Tomow istotnie okazał się człowiekiem wzbudzającym zaufanie już przy podaniu ręki i pierwszych powitalnych słowach. Być może, przyczyniały się do tego jego solidny wygląd, wyprostowana sylwetka, posiwiała głowa, spokój, inteligencja i życiowa mądrość bijąca z oczu...

— Przywożę najserdeczniejsze pozdrowienia od towarzysza Kołarowa! Gdy wyruszałem tu, specjalnie mnie zobowiązał, bym was odszukał, gdziekolwiek jesteście!

— Mój Boże, aż stamtąd jedziecie! I pozdrowienia od Kołarowa!

Doktor rozjaśnił się cały w uśmiechu, jego początkowa uprzejma powściągliwość zmieniła się w najserdeczniejszą, nie ukrywaną radość. Z pewnością domyślał się, że skoro przychodzę do niego w towarzystwie Ibriszimowa, to jestem swój; ale do Paryża w owych niespokojnych miesiącach płynęły strumienie bułgarskich ochotników do brygad międzynarodowych, doktor więc zapewne przypuszczał, że jestem jednym z nich. A oto nagle — Moskwa, Wasil Kołarow...

— Pozwólcie — zakrzątnął się — gościa stamtąd nie można przyjąć byle jak... — i mimo sprzeciwów z mej strony zaczął ustawiać na stole przeróżne smakołyki. — Skoro przybywacie

stamtąd, nie puszczę was, młody przyjacielu, ot tak po prostu... Ten wieczór spędzimy razem, bardzo, bardzo proszę...

Ma się rozumieć, zostałem. Spodziewałem się gościnnego przyjęcia — szedłem przecież do swego rodaka. Lecz tyle ciepła i serdeczności o tysiące kilometrów od ojczyzny doprawdy wzruszało...

Ibriszimow nie dopuścił, by doktor sam przygotowywał zaimprowizowaną kolację i zaczął mu pomagać. Najwyraźniej nie czynił tego po raz pierwszy, gdyż czuł się tu jak u siebie.

Doktor tymczasem zdjął czarną marynarkę, w której go zastaliśmy, i na białą popelinową koszulę nałożył fartuch.

— Proszę nic nie mieć nam za złe ani nie śmiać się z nas, młody przyjacielu — mówił z łagodną, dobroduszną autoironią, krojąc w cienkie plasterki szynkę, wędzoną rybę i jarzyny. — My obaj jesteśmy jak kukułki bez gniazda i przyzwyczailiśmy się wszystko robić sami. Ma to swoje dobre strony, prawda, Ibriszimku? Łatwiej i bezpieczniej jest odpowiadać wyłącznie za siebie.

Był to oczywiście dowcip; egoiści, którzy chcieli „odpowiadać wyłącznie za siebie", trzymali się z daleka od wszelkiej polityki, a jeszcze dalej od działalności rewolucyjnej. Doktor, żartując bez przerwy, nakrył stół tak ładnie, że mogłaby mu pozazdrościć nawet doświadczona gospodyni. Nie zabrakło i butelki czerwonego burgunda, którą przyniósł z piwnicy.

— A więc witaj, młody przyjacielu — rzekł. I podniósłszy kieliszki stuknęliśmy się nimi w trójkę za pomyślność i zwycięstwo rewolucji.

Ibriszimow pożegnał się zaraz po kolacji pod pretekstem pilnego zajęcia. Doktor go nie zatrzymywał, zrozumiał, że tak trzeba, a ja i tak miałem się spotkać z Ibriszimowem następnego dnia...

Przez parę godzin rozmawialiśmy z doktorem Tomowem, który swoją gotowość do podjęcia w każdej chwili brzemienia rewolucyjnych zadań krył pod wyglądem burżuazyjnego inteligenta, wrosłego w swoje mieszczańskie, obce walkom politycznym środowisko i zainteresowanego jedynie w utrzymaniu stałego poziomu tygodniowych dochodów. Wrażenie to potęgo-

wały jego maniery oraz fakt, że mieszkał w osobnej, choć wynajętej, ale wygodnej willi.

Wasil Kołarow wspomniał mi, że Tomow zrezygnował z praktyki lekarskiej. Teraz zrozumiałem — dlaczego. By zdobyć klientelę i autorytet dobrego lekarza w swej dzielnicy, rejonie czy mieście, trzeba być człowiekiem zasiedziałym. Odnosiło się to tym bardziej do cudzoziemców, których z zasady przyjmuje się we Francji z rezerwą i muszą upłynąć nieraz dziesiątki lat, by zrośli się z miejscowym środowiskiem. Tomow znalazł inne rozwiązanie: zajął się na niewielką skalę handlem. Sprzedawał bułgarski jogurt. Ściślej mówiąc, produkował go, a sprzedażą zajmował się pewien młody Włoch będący na emigracji zarobkowej. Roznosił on słoiki z jogurtem po restauracjach i cukierniach Paryża. O tym wszystkim wiedziałem, zanim odwiedziłem doktora. Konieczność prowadzenia życia drobnego kupca nie czyniła doktora nieszczęśliwym, ponieważ prawdziwe jego powołanie polegało na czymś innym.

— W gruncie rzeczy, przyjacielu, z punktu widzenia interesów społeczeństwa produkcja naszego odżywczego jogurtu jest równie szlachetnym dziełem jak i leczenie — żartował.

— To prawda — zgodziłem się. — Należy tylko żałować, że napój ten dociera do tak niewielu klientów...

— Racja, przyjacielu, lecz ja nie mam żadnych ambicji w kierunku podnoszenia swego dochodu. Nie mam też warunków ku temu...

— Czy mógłbym obejrzeć pracownię, doktorze?

Tomow sprowadził mnie po schodach na parter, gdzie kisił się jogurt. W wielkim narożnym pokoju ustawione było z dziesięć aluminiowych naczyń na świeże mleko, a drewniane półki, na których stały setki słoików z kwaszącym się mlekiem, pokrywały od podłogi do sufitu ściany z wyjątkiem jednej — z dużym piecem. Choć fajerki jego sczerniałe były od dymu, to wymieciono go porządnie i najwyraźniej nie używano, w kącie bowiem stał piecyk węglowy, który zapewniał właściwą temperaturę powietrza. Pokój był bardzo wysoki. Oceniłem na oko wysokość całego domu. Wynik — około dziesięciu metrów — zadowolił mnie.

Zainteresowałem się jeszcze jednym:

— Nie widzę łóżka tego Włocha, doktorze. Czy może sypia on w którymś z innych pokojów?

Tomow potrząsnął głową.

— Mieszka gdzie indziej. W sąsiedniej dzielnicy. Tak jest wygodniej dla nas obu. On jest zbyt młody, by żył sam jak kukułka, ja zbyt stary, bym odczuwał potrzebę wesołego towarzystwa.

Wynik oględzin okazał się więcej niż zadowalający. Dom doktora Tomowa wspaniale nadawał się do naszych celów.

Czytelnik z pewnością już się domyślił, dlaczego zapoznałem go z bułgarskim emigrantem politycznym, doktorem Tomowem. Grupa nasza, która miała utrzymywać stałą łączność z ośrodkiem, musiała postarać się o jakieś bezpieczne miejsce, gdzie by mogła zmontować radiostację. Dom doktora Tomowa zapewniał konieczne do tego warunki.

Pozostawały jeszcze pewne dość istotne szczegóły.

— Wspomniał pan, że jedną z przyczyn skromnego poziomu produkcji jogurtu są jej warunki — rzekłem, patrząc na doktora, gdy znów usiedliśmy przy stole. — Czy zechciałby mnie pan przyjąć na wspólnika?

Doktor Tomow z uśmiechem rozłożył ręce.

— Z największą radością. Właściwie od dawna czekałem na swego anioła opiekuńczego...

Nietrudno było się zorientować, czego brak skromnej firmie, by zyskała na znaczeniu w oczach mieszkańców dzielnicy. Mianowicie niewielkiego przyrostu kapitału obrotowego, zwiększenia zakupu świeżego mleka, około dziesięciu nowych aluminiowych baniek, kilku tysięcy nowych słoików porcelanowych — szklane należało wyrzucić — i oczywiście furgonetki. Dotychczas gotowy jogurt roznosił ów młody Włoch, który niezmordowanie krążył od rana do wieczora po Paryżu z dwiema pełnymi torbami w rękach. Obecnie, gdy produkcja wielokrotnie miała wzrosnąć, nie dałby rady; zresztą taki pieszy roznosiciel nie wpływał dobrze na prestiż firmy.

— Czy nie należałoby, doktorze, zatrudnić jeszcze jednego

pomocnika, żeby na zmianę z panem doglądał procesu fermentacji?

Doktor potrząsnął głową.

— Jedna osoba więcej, to znaczy jedno więcej niebezpieczeństwo, mój przyjacielu. Proszę zdać się na razie na mnie. A w przyszłości, jeśli lata dadzą znać o sobie...

— Dziękuję, doktorze. Istotnie praca nasza wymaga unikania wszelkiego ryzyka.

Pozostała sprawa ostatnia — podniesienia prestiżu firmy w oczach policji; „apolityczny" doktor Tomow musiał postarać się o to, by gwałtownie wzrosły jego akcje, jako „prawomyślnego" obywatela.

Miałem w związku z tym następujący pomysł: Wasil Kołarow, opisując mi swego przyjaciela z lat młodzieńczych, wspomniał:

— Tam, w Genewie, obaj oni z Mussolinim stanowili parę nierozłącznych przyjaciół. Razem mieszkali, razem się stołowali i razem chodzili na randki z dziewczętami... Ale niech cię to nie niepokoi. Mussolini był wówczas socjalistą i to zbliżało go do ludzi typu Tomowa...

Zapamiętałem to sobie i często myślałem później, że okoliczność taka właściwie nie pogarsza sytuacji, a przeciwnie — może ułatwić naszą przyszłą robotę, oczywiście pod warunkiem, że stara przyjaźń z Mussolinim odrodzi się jakoś z popiołów zapomnienia...

— Przepraszam, doktorze — rzuciłem. — Czy lubi pan wracać wspomnieniami do lat młodzieńczych?

— Coraz częściej — uśmiechnął się Tomow. — Ludziom takim jak ja, którym kończy się już termin weksla wystawionego na życie, przyjemniej jest spoglądać wstecz niż naprzód. Przyszłość nie może już przynieść nic szczególnego samotnemu starcowi...

— Pamięta pan lata studiów w Genewie, ówczesnych swoich przyjaciół, a zwłaszcza jednego z nich, który wysoko zaszedł?

Doktor uśmiechnął się:

— O, ma pan na myśli Wasila Kołarowa! Był on wspaniałym studentem, wspaniałym towarzyszem, wspaniałym czło-

wiekiem! Już wtedy wszystko wskazywało, że daleko, bardzo daleko, zajdzie w życiu!

I doktor, wpadłszy nagle w wir wspomnień, zaczął opowiadać wesołe zdarzenia przeżyte wspólnie z Kołarowem. W opowiadaniu tym czuło się zrodzoną w młodości gorącą przyjaźń, którą utrwaliły dojrzałe lata; wiedziałem od Kołarowa, że ilekroć przyjeżdżał do Paryża w sprawach Kominternu, nigdy nie przepuszczał okazji, by odwiedzić Tomowa...

— A czy pamięta pan innego swego przyjaciela, który stał się znany na świecie, Benito Mussoliniego?

Doktor spojrzał na mnie zaskoczony, potem westchnął z ubolewaniem.

— Gwiazda Benito błyszczy wysoko, ale zgaśnie, nie pozostawiając po sobie dobrej sławy... — i po chwili, ogarnięty znów wspomnieniami, podjął: — A wie pan, był to zapalony socjalista! Nie tak po prostu czerwony, jak określali nas burżuazyjni przeciwnicy, ale „krwawo czerwony"... Pragnął, by rewolucja wybuchła natychmiast i wszędzie. Uważał, że musimy nie tylko odsunąć burżuazję od władzy, lecz wyniszczyć ją no... fizycznie. Dziwna była ta jego pasja ideologiczna... Nieraz ogarniał mnie po prostu lęk, bo wpadał jakby w delirium. Tym, którzy nie zgadzali się z jego poglądem, Benito wymyślał od najgorszych i wydawało mi się, że mógłby ich rozszarpać zębami jak zwierzę... Nawet nie próbowałem perswazji... Studiując medycynę, wiedziałem już, że to nie zwyczajny przypadek manii wielkości, ale jakaś szczególna nieuleczalna choroba psychiczna, która w końcu go zgubi...

— No, na razie gwiazda jego świeci pełnią blasku...

— To nic. Człowiek typu Benito nie jest w stanie rządzić pomyślnie, tego jestem pewny. Choroba psychiczna zgubi go, a wraz z nim zgubi też jego piękny kraj, któremu tak bardzo potrzebne są rozumne, demokratyczne rządy.

— A może on się zmienił? Może dziś nie jest taki, jakim pamięta go pan, doktorze, sprzed trzydziestu pięciu lat?

Doktor Tomow spojrzał na mnie.

— Trzydziestu pięciu? Po co sięgać aż tak daleko? Spotkałem go całkiem niedawno... Nie, mój przyjacielu. Młode, nie-

cierpliwe zwierzę, które widziałem w nim kiedyś, przekształciło się w straszliwego, bezlitosnego drapieżcę. I teraz jest równie krańcowy jak niegdyś, tyle że w odwrotnym kierunku. Ze skrajnie lewicowego stał się skrajnie prawicowy. Zaszedł w tej swojej prawicowości tam, gdzie nie ma już ideologii, gdzie politykę zastępuje jawny, brutalny gwałt, gdzie moralność staje się fikcją, gdzie etyka ludzka jest przedmiotem kpin, gdzie wszelkiemu przejawowi człowieczeństwa, wszelkiej myśli o sprawiedliwości grozi śmiertelne niebezpieczeństwo...

Słuchałem zdziwiony. To znaczy, że ta przyjaźń nie jest tylko wspomnieniem z dawnych lat, to znaczy, że doktor podtrzymuje w jakiejś formie kontakt z Mussolinim?

— Przepraszam, doktorze, powiedział pan, że widzieliście się niedawno z duce?

— W przeddzień wyprawy na Abisynię. Wracałem ze Stambułu. Wskutek awarii statek mój zatrzymał się na parę dni w Neapolu i przyszło mi do głowy, by pojechać do Rzymu. A tam znów przyszło mi na myśl, by go zobaczyć... Proszę, niech pan spojrzy...

Doktor wstał i z dużej szafy ściennej wyjął album pełen listów i fotografii. Na kopertach widniały włoskie stemple pocztowe.

— To jest park otaczający jego prywatną willę „Torlonia" w Rzymie — wyjaśnił, wskazując duże zdjęcie. Na pierwszym planie widniały dwie postacie — Tomow i Mussolini.

Potem doktor pokazał mi jeszcze inne zdjęcia zrobione w towarzystwie duce — w samochodzie w okolicach Rzymu, na łódce, w kabinie samolotu; na tym ostatnim i Mussolini, i Tomow ubrani byli w skórzane kombinezony lotnicze.

— Lecieliśmy nad Rzymem, nad Apeninami, nad morzem — opowiadał doktor. — Obejrzeliśmy z góry Adriatyk, dotarliśmy aż do Lombardii. Benito sam siedział za sterem i był z tego dumny. Mówił: „Ten kraj stanowi moją trampolinę. Włocha uczynię znów Rzymianinem, a Włochy — starożytnym Rzymem". Gdy przed maszyną zajaśniała biel szczytów alpejskich, Benito warknął: „Nic nie przeszkodzi memu pochodo-

wi — ani ten masyw, ani morze na południu. Jeśli Włochy nie odzyskają swojej starożytnej chwały, niech giną!"

Na jednym ze zdjęć Mussolini stał z doktorem na korcie tenisowym. Duce był w szortach odsłaniających krótkie, grube nogi i w koszulce sportowej, która podkreślała nieproporcjonalne w stosunku do jego wzrostu barki. Brzydka, budząca wstręt postać, mająca w sobie coś z potwora. Szczególnie przygnębiające wrażenie sprawiała masywna, wyłysiała, nienormalnie ogromna głowa z grubo ciosanymi, władczymi, surowymi rysami twarzy i silną kwadratową szczęką. I tutaj Mussolini przyjaźnie trzymał doktora pod rękę. Na tym zdjęciu dyktator wyglądał właśnie tak, jak na szeroko w tym czasie rozpowszechnianych podobiznach. Na odwrocie fotografii był jakiś tekst i własnoręczny podpis duce. Poprosiłem doktora, by przetłumaczył mi ową dedykację. „Memu niezapomnianemu przyjacielowi z niezapomnianych lat młodości w niezapomnianej Szwajcarii".

— Doktorze, to zdjęcie trzeba powiększyć i oprawić w ramki.

Tomow spojrzał na mnie ze zdumieniem. Myślał, że żartuję.

— Naprawdę, doktorze! W dodatku zwróci się pan z tym do fotografa w swojej dzielnicy. Najlepiej będzie, jeśli on wykona reprodukcję. I poprosi go pan o radę przy wyborze odpowiedniej ramki...

Tomow jeszcze miał opory, ale milczał; jego doświadczenie życiowe i długoletnia działalność polityczna sprawiły, że łatwo pojął, o co mi chodzi. Fotograf na pewno zorientuje się, że niski, łysy mężczyzna obok Tomowa to szeroko wówczas znany Mussolini, na pewno przeczyta przyjacielską dedykację na odwrocie zdjęcia i oczywiście podzieli się swoim odkryciem z miejscowym światkiem, a więc i z dzielnicowym policjantem. Nowina ta z pewnością podniesie w oczach policji prestiż doktora...

— Wie pan, młody przyjacielu — westchnął wreszcie Tomow — uczynię wszystko, co trzeba, ale tak bym nie chciał rozdmuchiwać swojej znajomości z Benito. Czy to rzeczywiście konieczne?

Rozumiałem go. Posunięcie to, jednając mu zaufanie policji, jednocześnie spowoduje nieufność sąsiadów, którzy od lat stanowili jego najbliższe otoczenie. Myśl o tym sprawiała mu przykrość.

— Bardzo pana proszę o to, doktorze! To naprawdę konieczne!

Tomow nie protestował więcej.

— I jeszcze jedna prośba tego rodzaju, doktorze. Trzeba, by podjął pan znów korespondencję z Mussolinim. Proszę, niech mi pan przetłumaczy jego ostatnie listy.

Listy te były pisane mniej więcej rok temu, własnoręcznie, na białoniebieskim papierze ryżowym i przysłane w luksusowych kopertach ze stemplem osobistej kancelarii duce. W tekście nic szczególnego. Zwykłe przyjacielskie pozdrowienia i życzenia oraz zaproszenia do Włoch. Ostatni zawierał jednak pewne dość szczególne zdanie: „Nie straciłem nadziei, że zastąpisz swą pełną wahania odmowę wyrażeniem zgody. Kiedykolwiek zdecydujesz się, zostaniesz serdecznie przyjęty..."

— To jakaś aluzja, doktorze?

Tomow wyjaśnił, w czym rzecz. Podczas ostatniego spotkania Mussolini nalegał, by doktor został u niego we Włoszech. „Sam zdecydujesz — mówił. — Jeśli nie odpowiada ci rola osobistego lekarza duce, obejmiesz jakąś klinikę czy szpital. Lub jeśli wolisz, zrobię cię wyższym urzędnikiem w resorcie zdrowia..."

— Naturalnie odmówiłem — opowiadał doktor. — Nie mogłem wprost oddychać powietrzem w jego kraju, dusiłem się. Pozostawił do mojej dyspozycji luksusowy apartament w swej prywatnej willi-pałacu, kamerdynerów, samochód, zapraszał mnie na oficjalne przyjęcia. Ja zaś marzyłem, by czym prędzej opuścić Włochy. Może gdybym był młodszy, dałbym się uwieść blaskowi pieniędzy, zaszczytów, perspektywie świetnej kariery. Ale w moim wieku człowiek rzadko kiedy ma złudzenia co do prawdziwej wartości rzeczy...

— Spodziewam się, że nie rozstaliście się jako wrogowie, doktorze?

— On, być może, wyczuł prawdziwą przyczynę mojej odmowy, ale nie dał niczym poznać, że jego stosunek do mnie uległ jakiejś zmianie. I ciągle tak samo otrzymuję od niego listy z życzeniami...

— Odpowiedział pan na ostatni?

— Na poprzednie odpowiadałem, choć z opóźnieniem. Na ostatni — nie. I nawet nie mam zamiaru. Gdybym do niego napisał, musiałbym wreszcie dać upust swej nienawiści do jego ideologii, zwymyślać go za ekspedycję abisyńską, przekląć za interwencję w Hiszpanii...

Jeszcze nim upłynął listopad, nasza radiostacja wysłała w eter pierwsze sygnały. Jak się Czytelnik zapewne domyśla, zmontowaliśmy ją w domu doktora Tomowa. Technik Z-4 zdołał kupić odpowiednie lampy radiowe i części w różnych paryskich sklepach radiotechnicznych i w krótkim czasie udało mu się uruchomić stację. Aparaturę ukryliśmy w świetnie się do tego nadającym piecu. Antenę wyprowadziliśmy przez przewód kominowy. Wysokość od pieca do komina wystarczyła w zupełności. Na dachu nasz technik przeciągnął antenę kierunkową. Przewód pionowy długości około dziesięciu metrów połączyliśmy z anteną kierunkową za pomocą mocnych bambusowych prętów, wstawionych jeden w drugi. Taka konstrukcja ułatwiała szybkie rozpięcie anteny pionowej i połączenie jej z kierunkową. Po każdym seansie nadajnik i bambusową część anteny chowaliśmy.

Całe to niewielkie, ale użyteczne urządzenie, ukryte w starym piecu, zamaskowane zostało dodatkowo nowymi regałami, na których doktor ustawiał słoiki z jogurtem. Część półek była ruchoma; za pomocą małego zamka otwierała się i zamykała jak drzwi. (Regał wraz z tajnym wejściem zrobiłem oczywiście ja; nie było tu nikogo, komu by można powierzyć to delikatne zadanie).

Nikt oprócz doktora nie wiedział o radiostacji. Włoch sumiennie wywiązywał się ze swych obowiązków (teraz już za pomocą furgonetki, którą sam prowadził), a po pracy znikał,

by zjawić się następnego ranka. Wieczorem, zwykle koło dziewiątej, trzy razy w tygodniu w określone dni przychodziły dwie osoby, by „pomagać doktorowi przy kwaszeniu jogurtu". Byli to mężczyzna i kobieta. Mężczyzna — Z-4 — sprawdzał stację i podłączał antenę, a kobietą, mogącą uchodzić za jego żonę, była Galina — „Anna". Zaszyfrowawszy odpowiednie kolejne doniesienia dla ośrodka, zasiadała do aparatu, by przekazać informacje.

Galina nie mieszkała ze mną; wynajęliśmy jej wygodne lokum w jednej z eleganckich dzielnic Paryża. Obecność swoją w tym mieście zalegalizowała w bardzo wygodny sposób: rozpoczęła naukę w jednym z paryskich instytutów kosmetyki. W tym centrum światowej próżności istniały najprzeróżniejsze szkoły, instytuty i kursy, doskonalące wiedzę o upiększaniu kobiecej powierzchowności. Wybraliśmy oczywiście najbardziej znany, stosowny dla „starej panny z Czechosłowacji", której rodzice nie musieli liczyć się z groszem. Nauka w owym instytucie trwała kilka miesięcy, zajęcia prowadziło troskliwie dobrane ciało pedagogiczne, a absolwenci zakładu cieszyli się wyjątkową reputacją w najmodniejszych damskich salonach Paryża. W ciągu dnia Galina uczęszczała na teoretyczne i praktyczne zajęcia w swoim „Institut de beauté", a wieczorem zasiadała nad podręcznikami i nad... moimi informacjami, by je zaszyfrować, co było konieczne przed nadaniem ich w eter...

Widywaliśmy się z Galiną w różnych umówionych miejscach w Paryżu, a niekiedy również w domu doktora Tomowa. Przychodziłem tu od czasu do czasu w sprawach „czysto handlowych". Zameldowawszy się jako handlowiec, zamieszkałem w hotelu, ale często musiałem wyjeżdżać do różnych zakątków Francji, a jeszcze częściej do portowych miast Niemiec, Włoch i Portugalii, gdzie w owym czasie gorączkowo ładowano i wysyłano „w nieznanym kierunku", to znaczy do Hiszpanii, wielkie transporty broni oraz żołnierzy...

Radiostacja w domu doktora Tomowa pracowała aż do ostatniego dnia naszego pobytu w Paryżu, to jest do ostatnich chwil istnienia Republiki Hiszpańskiej. Nic złego nie przytrafiło się nam. Interes doktora szedł znacznie lepiej niż daw-

niej. Tomow stracił stopniowo (tak jak przewidywał) sympatię wielu swoich starych przyjaciół Francuzów, zyskał za to szczególny szacunek policji. Prefekt tego rejonu kilkakrotnie proponował mu wzmocnienie ochrony przedsiębiorstwa („Małego, to prawda, ale mam nadzieję, monsieur, posiadającego szanse rozwoju. A w Paryżu namnożyło się przeróżnych bandytów..."). Doktor dziękował gorąco za okazywaną uprzejmość, przesyłał prefektowi butelkę starego bordeaux, ale nie chciał przyjąć ochrony („Bandyci dopiero wówczas zainteresują się moją skromną osobą, monsieur, jeśli zauważą, że zaczynam się bać o siebie..."). Szacunek policji doktor zyskał nie tylko dzięki owej fotografii (znacznie powiększonej, oprawionej w ozdobną ramkę i powieszonej na widocznym miejscu w hallu). Akcje jego gwałtownie poszły w górę, gdy zaczął regularnie otrzymywać pocztą oficjalny włoski organ faszystowski „Popolo d'Italia", a głównie po wymianie kilku — w ciągu jednego tylko półrocza — listów z Benito Mussolinim.

Korespondencja od duce przychodziła z wyraźnie odbitym stemplem jego osobistej kancelarii, wciąż w takich samych, opatrzonych włoskim godłem państwowym i trójkolorowym pasem w jednym rogu, luksusowych kopertach o niezwykle wydłużonym kształcie, tak że ślepy by je zauważył w stercie innych listów ze wszystkich krańców kuli ziemskiej. Spodziewaliśmy się oczywiście, że policja kontrolująca korespondencję cudzoziemców i wielu podejrzewanych Francuzów ulegnie chętce przeczytania słów „samego" Benito — taka okazja nie zdarza się co dzień...

Odpowiedzi doktora Tomowa były dziełem zbiorowym. Układaliśmy je wspólnie i adresowaliśmy do „Palazzo Venezia", oficjalnej rezydencji Mussoliniego w Rzymie. Doktor szybko zaczął grawitować od „delikatnej powściągliwości" do „jawnego i płomiennego" poparcia faszystowskich reform we Włoszech. „Wyrażał" aprobatę konkretnych poczynań władzy totalitarnej, „gratulował" Mussoliniemu przy okazji zwycięstwa jego oddziałów w „czerwonej Hiszpanii", „życzył powodzenia" na drodze do przyszłej świetności...

Gdy kończyliśmy taką kolejną enuncjację, doktor z zażenowaniem kiwał głową i wzdychał; te listy były dla niego prawdziwym udręczeniem.

— Zrywam się w nocy zlany potem — utyskiwał. — Prześladują mnie koszmary... Śni mi się, że towarzysze skazują mnie na rozstrzelanie, krzycząc w twarz: „Zdrajca! Faszystowski sprzedawczyk!"

Śmiałem się, ale w tych dowcipach obok autoironii było wiele niefałszowanej prawdy. Zgoda doktora na ten kamuflaż wynikła z bezgranicznego oddania naszej sprawie. Teraz jak rodowity Francuz dodawał sobie otuchy żartami.

— Wybacz, młody przyjacielu, ale wszystko to nie uchodzi w moim wieku. Pojmuje pan, nigdy dotąd nie zlecano mi podobnych zadań... — A potem dorzucał: — Zresztą wygląda na to, że powinienem mimo wszystko dziękować losowi, ponieważ nikt nie zażądał jeszcze ode mnie, bym udał się do Rzymu jako osobisty lekarz Mussoliniego...

— Obiecuję panu, doktorze — uspokajałem go — że dopóki jestem tutaj, nikt nie postąpi z panem aż tak okrutnie...

Doktor Tomow, ten wspaniały bułgarski internacjonalista, do ostatniego dnia swego pobytu w Paryżu wspierał dzieło rewolucji. Po klęsce faszystowskich Niemiec powrócił do ojczyzny i zamieszkał tu otoczony zasłużonym szacunkiem i powszechnym uznaniem. Zmarł w swoim rodzinnym mieście — Omurtag.

9. Wiosna w Portugalii i spotkanie z Griszą Salninem w Madrycie

Był koniec marca 1937 roku, gdy wyruszyłem kabotażowym statkiem „Atlantic" z Saint-Nazaire do Lizbony. Statek płynął z wysuniętych najdalej na północ rejonów Normandii, od Caen i Boulogne, lecz podróżni nie składali się z samych tylko Francuzów. W tym okresie, gdy zmęczona wilgotną zimą pół-

nocna Europa tęskniła za słońcem, najniecierpliwsi (i najzamożniejsi) śpieszyli w ciepłe strony ku wybrzeżom wiecznie zielonej Portugalii. Ilość turystów zaczynała zwykle rosnąć w postępie geometrycznym, ale tym razem podróżnych na statku nie było znów tak wielu.

Jean, który płynął ze mną, spoglądał na mnie porozumiewawczo, gdy spacerując po pokładzie przechodziliśmy obok jakiejś grupy turystów. Byli to cudzoziemcy. Lecz jacy? Łatwo to się wyjaśniło. Niemcy. Milkli nagle, gdy ich mijaliśmy. Zwykli turyści nie zwracają uwagi na nieznajomych towarzyszy podróży, zajęci są sobą i krajobrazem, dla którego właśnie wybrali się w podróż.

Potwierdzała się informacja z ośrodka, mówiąca, że w stronę Pirenejów wyruszyły na pomoc Franco setki niemieckich specjalistów do spraw wojskowych. Jechali oni osobno, a nie ze zorganizowanymi przez faszystów i całkowicie uzbrojonymi jeszcze w Niemczech oddziałami „ochotników". Zlecone mi zadanie polegało między innymi właśnie na tym, by sprawdzić na miejscu wiarogodność wiadomości, jakie otrzymał ośrodek.

Specjaliści niemieccy płynęli do Hiszpanii incognito, i to nie na niemieckich statkach. Udawali się oni pociągiem do któregoś z północnych portów francuskich i stamtąd płynęli do „neutralnej" Portugalii. Podróżowali tylko z walizkami, resztę ich „bagażu" wiozły niemieckie statki handlowe, które często kursowały między wybrzeżem Niemiec a Lizboną, a niektóre z nich — i Gibraltarem...

Co to miało znaczyć? Czyżby to była próba maskowania? Ale co tu maskować? Światowa opinia publiczna dokładnie wiedziała o wojskowej interwencji Niemiec, Włoch oraz Portugalii i ostro ją potępiała. A może chodziło o manewr taktyczny?

Tak mniemał ośrodek. Sądzono tam, że hitlerowcy ukrywają zasięg i charakter swej pomocy wojskowej dla Franco, obawiając się naszego wywiadu...

— Jean, założyłbym się, że żaden z nich — tu wskazałem głową niemieckich „turystów" — nie zauważa nawet, którędy płynie nasz statek. Odnoszę wrażenie, że patrzą, ale nie widzą...

— Odnoszę identyczne wrażenie, monsieur — odrzekł Jean. — Patrzą, ale nie widzą. I słuchają, ale nie słyszą... Nie znają drogi statku, lecz założę się, że znają dokładnie swoją dalszą marszrutę na trasie Lizbona—Toledo, że szczegółowo zapoznali się z topografią Nawarry, Kastylii, Andaluzji...

— A może zagadać do nich, co, Jean? Mam ochotę zobaczyć, czy ci przebrani oficerowie potrafią zachować się wśród cywilów. Ciekawe, czy znają inne pozdrowienie oprócz „Heil Hitler".

— Szkoda fatygi, monsieur — pokręcił głową Jean. — Walczyłem z nimi pod Wogezami i Verdun, dotąd noszę w ciele odłamek granatu Kruppa. Każde spotkanie z niemieckim oficerem sprawia mi ból. Naprawdę, monsieur, to nie ma sensu...

Jean, z którym płynąłem do Lizbony, był patriotą francuskim, zwolennikiem frontu ludowego. Został niedawno przyłączony do naszej grupy i na razie nie miał innych zadań poza tym, by mi towarzyszyć w nieustannych podróżach po Francji i do państw ościennych. Jeździł ze mną jako tłumacz (mimo intensywnej nauki francuskiego wciąż jeszcze niezbyt wprawnie posługiwałem się tym językiem), pomocnik i kurier. W razie potrzeby wysyłałem go do Paryża z odpowiednio zaszyfrowanym listem do Galiny. Jean, parę lat starszy ode mnie, miał liczną rodzinę, która zamieszkiwała pewną suterenę na przedmieściach Paryża. Był metalowcem o mocnych, jakby odlanych z żelaza ramionach, uścisk jego rąk miał siłę stali. Równie twardy, jakby wykuty w metalu, był też duch tego człowieka, z którym już kilkakrotnie podróżowałem po kraju. Był on jednym z tych Francuzów, którzy później własną krwią zapisali najbardziej bohaterskie stronice historii francuskiego ruchu oporu.

Teraz Jean jechał ze mną jako „agent handlowy". Agentem handlowym „byłem" zresztą i ja. W portfelu miałem nie tylko odpowiedni paszport, lecz i dokumenty, z których wynikało, iż firma „Aleksander i Maks Bautscher i S-ka" udziela mi pełnomocnictwa na prowadzenie rozmów i zawieranie umów handlowych w jej imieniu.

W odróżnieniu od innych wypadków, tym razem firma Saszy i Maksa była prawdziwa i rzeczywiście miała handlowy charakter. Sasza i Maks (jeden był Bułgarem, drugi Żydem rumuńskim) od dawna współpracowali ze sobą i nim na siedzibę swej firmy wybrali Paryż, prowadzili już interesy w Sofii, Bukareszcie oraz Wiedniu. Nie należeli do żadnej partii, byli jednak głęboko uczciwymi ludźmi i antyfaszystami. To nam wystarczało, by zwrócić się do nich o pomoc i skorzystać z możliwości, jakie firma ich, z dziesięcioletnim już stażem w Paryżu, otwierała dla naszej działalności. Zresztą przedsiębiorstwo to nie tylko miało długoletni staż w stolicy Francji, lecz także niezły kapitał, znaczny obrót roczny, a przede wszystkim filie w paru centralnych prowincjach kraju. Co więcej Sasza i Maks utrzymywali kontakty z firmami handlowymi w szeregu krajów Europy, z których niektóre pozostawały w zasięgu naszej roboty.

I oto teraz obaj z Jeanem jako „agenci handlowi" Saszy i Maksa jechaliśmy najpierw do Portugalii, a potem do południowej Francji i Włoch — przez Gibraltar. Oficjalnym celem naszej podróży było zawarcie umów na dostawy pomarańcz, cytryn, mandarynek i oliwek. Hiszpania, główny eksporter owoców cytrusowych do Francji, po zamachu Franco gwałtownie zmniejszyła dostawy i w ten sposób ogołociła francuski rynek. Na początku 1937 roku jej miejsce zajęła Portugalia. Pozbywszy się hiszpańskiej konkurencji, chętnie widziała u siebie agentów handlowych z Francji.

Ale ja byłem nim tylko pozornie (w dodatku Sasza i Maks wcale nie liczyli na to, że zawrę tam korzystne umowy. Jeśliby rzeczywiście udało mi się coś załatwić, potraktowaliby to jako czysty zysk). Prawdziwe moje zadanie polegało nie tylko na sprawdzeniu — zgodnie z poleceniem ośrodka — wiarogodności doniesień o podróżach incognito hitlerowskich ekspertów, ale także — co ważniejsze — na ustaleniu na miejscu, czy gestapo zdołało wykryć i zlikwidować naszą nielegalną grupę antyfaszystowską, która w listopadzie 1936 roku zatopiła w porcie lizbońskim wielki statek niemiecki „Cap-An-

konia". Miałem również zrobić wszystko, co możliwe, by wskrzesić działalność tej grupy albo utworzyć na jej miejscu nową.

Zatopienie „Cap-Ankonii" stanowiło swego czasu sensację, którą światowe agencje prasowe komentowały w najróżniejszy sposób. Jedne — przede wszystkim reakcyjne — tłumaczyły „nieszczęście" przypadkową eksplozją turbin okrętowych. Inne — reprezentujące koła umiarkowane — dopuszczały, iż mogły tu działać elementy rewolucyjne. I były bliższe prawdy. Rozumie się, że korespondenci faszystowscy w Lizbonie wiedzieli, że zatopienie statku jest dziełem antyfaszystów, lecz milczeli w trosce o prestiż hitlerowskiej floty. Przypuszczenie, że wśród załogi jakiegoś nazistowskiego statku mogą się kryć czerwoni, było zbyt monstrualne dla gestapo.

A cała prawda wyglądała tak:

W końcu listopada „Cap-Ankonia" zarzuciła kotwicę pod Lizboną. Była to jednostka handlowa, lecz faktycznie pozostawała pod rozkazami marynarki wojennej. Ładownie statku zawierały ciężarówki wojskowe, ciągniki gąsienicowe, pancerne samochody, bomby lotnicze, pociski, amunicję oraz broń automatyczną. Według danych, którymi dysponował nasz wywiad, „Cap-Ankonia" przewoziła uzbrojenie i amunicję dla całej dywizji.

Mimo iż statek wpłynął do portugalskiego portu, ładunek jego nie był przeznaczony dla armii tego kraju. Sprzęt i amunicja miały zostać najkrótszą drogą wysłane z Lizbony przez granicę na trasie Badajoz—Toledo, dokąd dotarła wówczas armia frankistowskiego generała Queipo de Llano. Franco żądał pomocy od hitlerowskich Niemiec, by kontynuować natarcie w kierunku Madrytu, i otrzymał ją niezwłocznie.

Jednakże rankiem, gdy statek był już gotów do wyładunku, a gestapo wspomagane przez portugalską policję przedsięwzięło już wszelkie środki ostrożności, „Cap-Ankonią" wstrząsnął potężny wybuch. Rozdarty na dwie części statek utonął, a wraz z nim poszła na dno broń...

Gestapo, które opiekowało się tym transportem, rządząc się w Portugalii jak na własnym terenie, zamknęło port i rozpoczęło śledztwo. Do Lizbony przybyli niezwłocznie specjalni wysłannicy Himmlera i Abwehry (niemieckiego wywiadu wojskowego), nawet Hitler interesował się osobiście sprawą i groził oficerom śledczym z gestapo obozem koncentracyjnym w Dachau, jeśli nie wykryją natychmiast przyczyn katastrofy, o której od razu zrobiło się głośno na całym świecie.

Gestapo zresztą szybko wpadło na ślad, lecz rozgłaszanie tego nie leżało w jego interesie. Oto ze statku zniknęło pięciu ludzi. Nie byli to marynarze, tylko członkowie około pięćdziesięcioosobowej ekipy szoferów i mechaników samochodowych, którzy mieli odprowadzić sprzęt wojskowy na miejsce.

Trzymając się tego śladu, gestapo wykryło, że cała piątka miała powiązania z kołami lewicowymi w Niemczech i że jeden z nich, Hans Richter, to syn działacza Komunistycznej Partii Niemiec — Petera Richtera, który rok temu zginął w obozie w Dachau... Wnioski zostały wyciągnięte, trzeba było tylko odnaleźć „przestępców".

Lizbona, otoczona kordonem policji i tajniaków Salazara, została dokładnie przetrząśnięta. Ponieważ wszystkie drogi do miasta zablokowano natychmiast po eksplozji na statku, gestapo przypuszczało, że sprawcom nie uda się wymknąć.

I tak by się może stało, gdyby w Lizbonie nie istniał antyfaszystowski front ludowy. Działała tu nasza grupa wywiadowcza, kierowana przez portugalskiego patriotę i internacjonalistę Manuela Oliveiro, głównego właściciela i dyrektora firmy handlowej „Manuel Oliveiro i S-ka". Przy pomocy oddanych sprawie patriotów portugalskich Oliveiro zdołał ukryć w magazynach firmy pięciu niemieckich antyfaszystów. Współdziałając przy zatopieniu statku, Oliveiro z góry przedsięwziął nieodzowne kroki w celu uratowania ludzi.

Jaki był dalszy los owych pięciu bohaterów?

Otrzymawszy dokładne wskazówki z ośrodka, Oliveiro przygotował śmiały plan wywiezienia ich z Portugalii — za kierownicami kolumny włoskich ciężarówek wojskowych marki „Fiat". Około dziesięciu takich maszyn Oliveiro sprowadził

spiesznie (przy pomocy naszego ośrodka) z Włoch dla tejże samej armii frankistowskiego generała de Llano. Zgodnie ze wskazówkami ośrodka zbiegowie mieli je doprowadzić w okolice Toledo, tam zaś nasza inna już grupa zatroszczy się o resztę...

Plan został zrealizowany bezbłędnie.

Oliveiro telegraficznie poinformował swego osobistego znajomego, generała Queipo de Llano, o ciężarówkach sprowadzonych z Włoch. Frankistowski dowódca był zachwycony (z „Cap-Ankonią" poszło na dno około stu samochodów, nie licząc reszty wyposażenia), fiaty owe stanowiły dla niego obecnie istny skarb. Zapłacił przekazem telegraficznym za dostawę i natychmiast wysłał do Lizbony swego adiutanta i konwój składający się z gestapowców.

Za kolumną ciężkich fiatów jechało luksusowe auto osobowe marki „Fiat-Sedan" — osobisty prezent od Oliveiro dla generała...

W ten sposób pod opieką specjalnego wysłannika de Llano oraz gestapowskiej eskorty kolumna bez przeszkód minęła granicę i znalazła się na terytorium hiszpańskim; za kierownicami pięciu fiatów siedzieli ludzie z grupy Hansa Richtera, a limuzynę prowadził sam Oliveiro.

W rejonie Toledo, odległego wówczas tylko o jakieś trzydzieści kilometrów od frontu, kolumna wpadła niespodziewanie na oddział wojskowy. Za jednym z zakrętów drogi ukazały się lufy dział dwóch niemieckich czołgów i pojazd pancerny. Gestapowcy odetchnęli z ulgą („Swoi, a przecież mogła to być wraża pułapka, mein Gott!"). Jednakże niemieccy czołgiści i ich surowy oficer zachowywali się bardzo dziwnie. Rozbroili oficera frankistowskiego i gestapowców z konwoju. Co to ma znaczyć? Potem czołgiści zniszczyli fiaty, pozostawiając tylko dwa. Wpakowano na nie wziętych do niewoli gestapowców i szoferzy-antyfaszyści ruszyli wraz z czołgami najkrótszą drogą do linii frontu.

Oba czołgi i samochód pancerny stanowiły trofea, zdobyte przez armię republikańską w walkach pod Toledo, a „niemieccy" żołnierze razem ze swym oficerem byli to nasi repu-

blikanie z grupy działającej na tyłach wojsk Franco. Wykonali oni pomyślnie końcową część operacji opracowanej przez ośrodek w celu uratowania pięciu niemieckich antyfaszystów.

Czytelnik z pewnością spyta: „A co się stało później z Oliveiro?"

Potraktowano go jak jeńca. Wraz z oficerem frankistowskim i gestapowcami przerzucono do Madrytu, a potem do Paryża. Oliveiro wyraził życzenie powrotu do Lizbony, gdyż bezbłędnie przeprowadzona operacja nie groziła żadnym ryzykiem w jego przyszłej działalności. Jednakże ośrodek w takich wypadkach był nieubłagany; Oliveiro musiał pozostawać w warunkach całkowitego bezpieczeństwa, dopóki nie zostanie stwierdzone, czy rzeczywiście jego „firma handlowa" w Lizbonie pozostaje poza wszelkim podejrzeniem.

Sprawdzenie tego zlecono mnie. Miałem zbadać na miejscu, czy gestapo lub policja Salazara wykryły antyfaszystowską działalność eksportowo-importowej firmy „Manuel Oliveiro i S-ka".

W Lizbonie przebywaliśmy tylko trzy dni. Tyle nam wystarczyło. Najpierw nawiązaliśmy kontakt z kilkoma zwykłymi firmami handlowymi, które oferowały obfite dostawy świeżych owoców cytrusowych po bardzo korzystnych cenach. Pierwsza depesza do naszej centrali handlowej głosiła: „Przybyliśmy. Warunki dostawy sprzyjające. Pertraktujemy". Depesza nosiła adres: „«Aleksander i Maks Bautscher i S-ka», Paryż", ale właściciele firmy mieli niezwłocznie przekazać ją Galinie, bo w rzeczywistości telegram zawierał zaszyfrowaną informację, którą Galina nowym szyfrem miała przekazać do ośrodka. Brzmiała ona: „Przybyliśmy pomyślnie. Wstępna ocena sytuacji dobra. Kontynuujemy pracę".

Muszę tu dodać, że do Saszy i Maksa przychodziły „handlowe" depesze wszystkich naszych grup, które działały już na Gibraltarze, w Neapolu, Genui, Kilonii, Hamburgu i innych miastach. Za pomocą tych telegramów, a niekiedy i ekspresowych listów moi współpracownicy informowali mnie szyfrem o kolejnych transportach broni, sprzętu wojennego i żołnierzy, kierowanych do frankistowskiej Hiszpanii lub przybyłych do

Gibraltaru w celu wysłania na front. Owe depesze Sasza i Maks doręczali mnie, a następnie Galina przekazywała odpowiednim szyfrem niezbędne dane do ośrodka. Gdy mnie nie było w Paryżu, Maks i Sasza przekazywali nadesłane telegramy i listy od razu Galinie. Tak działo się do końca naszego pobytu w stolicy Francji.

Drugiego dnia pobytu w Lizbonie zawarliśmy już umowę, na mocy której statek handlowy miał zawieźć z Lizbony do Francji kilka dziesiątek ton oliwek i pomarańczy. Lecz nasze zainteresowania nie kończyły się na oliwkach i pomarańczach. Interesowaliśmy się również innymi gatunkami owoców cytrusowych, nowalijkami, a pytaliśmy też o krewetki, homary, wędzone ryby — towary, które stanowiły do jesieni ubiegłego roku główny przedmiot handlu eksportowej firmy „Manuel Oliveiro i S-ka". Kupcy, jak zwykle gadatliwi i dobrze poinformowani o wszystkim, reagowali zgodnie z naszymi oczekiwaniami:

— O, krewetki i homary! Odkąd Manuelowi przydarzyło się nieszczęście, nikt jeszcze nie wziął się za handel tym towarem!

— Nieszczęście? — dziwiliśmy się. — O jakim nieszczęściu mówicie, panowie? Właśnie zamierzaliśmy udać się do jego kantoru! Manuel ma nie załatwione rachunki z naszą firmą w Paryżu...

Kupcy, zatroskani, kiwali głowami.

— O rachunki możecie się nie martwić, Manuel ma wysokie konto w banku, nigdy jeszcze nie zawiódł swoich kontrahentów... Oby tylko był żyw i cały! To nie wiecie? Gdy odprowadzał kolumnę ciężarówek sprzedanych generałowi Queipo de Llano, wzięli go do niewoli czerwoni partyzanci... I jego, i osobistego adiutanta generała, i około dziesięciu konwojentów... Okropność, okropność...

— I nie ma od niego żadnej wiadomości?

— Ależ proszę panów! Jakąż wiadomość można przesłać z Madrytu?! Oby nie dostali się w ręce anarchistów, bo wtedy wiadomość mogłaby nadejść tylko z raju... Oby mieli choć tyle szczęścia...

Jak dotąd wszystko szło dobrze, nawet świetnie. Skoro kupcy nic nie zwęszyli, to znaczy, że i policja nie ma żadnych podejrzeń co do rzeczywistej roli Oliveira.

Mimo wszystko musieliśmy wykonać swe zadanie do końca, toteż jeszcze tego samego dnia zjawiliśmy się w dyrekcji lizbońskiej policji.

— Wasza ekscelencjo! — zwróciliśmy się do jej głównego zwierzchnika, przedłożywszy swe paszporty wystawione w Paryżu. — Prosimy o radę. Firma „Manuel Oliveiro i S-ka" ma długi wobec naszej firmy we Francji. Dowiedzieliśmy się od kolegów w Lizbonie, że właścicielowi przydarzyło się nieszczęście... Co mamy robić w celu odzyskania należności?

Strojny w akselbanty i ordery oficer policji Salazara siedział wyniosły i nadęty na wysokim jak tron krześle za swoim mahoniowym biurkiem. Wysłuchał wszystkiego cierpliwie, wlepiając w nas zimne, badawcze spojrzenie. Gdy zrozumiał, że chodzi o najbanalniejszy interes handlowy, od razu zmiękł, a nawet zaprosił nas do małego pokoju przyjęć i poczęstował whisky.

— Firma wasza nic nie straci, jeśli postąpi rozsądnie — powiedział jak najzwyklejszy szantażysta, czyniąc aluzję do procentu mającego mu przypaść w udziale za oddaną usługę.

— Wasza ekscelencjo, firma nasza będzie zadowolona, jeśli odzyska choćby połowę należności... — tu wymieniliśmy sumę.

Policjant podniósł z uśmiechem kieliszek, obliczywszy już, ile dostanie.

— Jesteśmy szczęśliwi, wasza ekscelencjo, z powodu tak szybkiego załatwienia sprawy... Firma nasza w zasadzie nie interesuje się, z kim prowadzi handel. A jednak przykro nam, że Oliveiro zaginął tak głupio... To był uczciwy partner w interesach...

Policjant, już przychylnie usposobiony, ze współczuciem pokiwał głową.

— Dobrze go znałem. Przyzwoity człowiek... Oby się uratował... A więc — zakończył wracając do rzeczowego tonu — wprawdzie go nie ma, ale firma istnieje... Czekam tutaj jutro na panów i pełnomocników Oliveiro... Było mi bardzo miło...

Gdy następnego dnia policjant otrzymał swój plik banknotów, a pełnomocnicy Oliveiro — klucz do jego kantoru, wszystko już było jasne. Druga depesza do Paryża głosiła: „Wysyłamy statek z towarem. Rynek tu wspaniały. Sprzyjające perspektywy".

Galina niezwłocznie przekaże ośrodkowi naszą pomyślną informację, że Manuel Oliveiro nie został zdemaskowany. O resztę miał się zatroszczyć sam ośrodek.

Z Lizbony na południe w stronę Kadyksu i Gibraltaru wyruszyliśmy już nie „Atlantikiem", który odpłynął z powrotem na północ do Normandii. Jechaliśmy, aby sprawdzić na Gibraltarze, a następnie w kilku portach włoskich, jak idzie praca wysłanych już tam naszych wywiadowczych grup.

Na Gibraltarze działały trzy osoby, w tym jeden Bułgar. Wysłaliśmy je tam na początku roku, gdy niemieckie i włoskie statki zaczęły całkiem jawnie, pod własną banderą, wyładowywać broń, wojsko, amunicję i lekarstwa przysłane dla Franco. Po wypadku z „Cap-Ankonią" gestapo miało już mniejsze zaufanie do sprawności portugalskiej policji, mimo iż Portugalia była sojusznikiem Niemiec w interwencji przeciwko Hiszpanii. Stwierdziło, że Lizbona jest starym i dobrze „rozpracowanym" terenem Intelligence Service, a także, iż wywiad radziecki mimo swej dopiero od niedawna prowadzonej tam działalności (od rozpoczęcia się dyktatury Salazara) pracuje skutecznie. Hitlerowcy oczywiście nadal wykorzystywali Portugalię jako punkt przeładunku wyposażenia wojskowego dla Franco, lecz ilość transportów zmniejszyła się na rzecz Gibraltaru. U stóp tego złomu skalnego przekształconego przez Anglików w twierdzę okręty niemieckie czuły się bezpieczne. (Okoliczność nieco dziwna, jeśli się weźmie pod uwagę, że właśnie w tym czasie komitet do spraw nieinterwencji lorda Plymoutha z zapałem spełniał swą misję; ów komitet przedziwnym sposobem „nie dostrzegał" faszystowskich jednostek zarzucających kotwicę u brzegów Gibraltaru, „nie widział" strumienia obcej broni, płynącego dla rebeliantów).

We Włoszech zatrzymaliśmy się nieco dłużej, gdyż tu grupy nasze działały w kilku portach śródziemnomorskich (na przykład: Genua, Neapol), a między innymi w Messynie i na Sycylii. Do grup tych należeli głównie Włosi — dokerzy, kierowcy, mechanicy dźwigów portowych, kolejarze; mimo podjęcia wszelkich środków w celu otoczenia absolutną tajemnicą przesyłek do Hiszpanii również i tutaj faszystom nie udało się ukryć prawdy przed klasą robotniczą swego kraju. W każdej z grup byli też nasi ludzie, którzy utrzymywali ze mną stały kontakt.

Takie same grupy działały również w portach niemieckich — Kilonii, Hamburgu, Wilhelmshaven i innych miastach. Mimo oczywistego ryzyka zagłady, mimo koszmaru działającej już gestapowskiej inkwizycji i obozów koncentracyjnych — niemieccy antyfaszyści z samozaparciem pracowali dla sprawy rewolucji. Hitlerowcy mylili się, sądząc, że udało im się propagandą nazistowską zatruć cały naród.

Czytelnika interesuje z pewnością, czym właściwie zajmowały się owe grupy w miastach portowych Niemiec, Włoch, Portugalii i na Gibraltarze. O jednej stronie ich działalności, mianowicie o dostarczaniu regularnych informacji dotyczących pomocy wojskowej dla Franco, już wspomniałem. Inne ich zadania wykonywane przy bezpośrednim współudziale miejscowych antyfaszystów polegały na sabotowaniu wszelkimi sposobami owej pomocy wojskowej dla rebeliantów. Jednym z nich było wysadzanie w powietrze transportów, jak świadczy o tym przykład grupy Oliveiro w Lizbonie. Podobnych sabotaży dokonano również i na innych statkach. Były to jednostki niemieckie i włoskie, płynące niekiedy pod obcą banderą. By uniknąć zdemaskowania naszych grup w samych portach, „nieszczęśliwe wypadki" organizowaliśmy na pełnym morzu, stosując bomby zegarowe. Ludziom naszym udało się też wysadzić w powietrze kilka pociągów z bronią. Zdołali oni również podpalić kilka magazynów portowych, gdzie faszyści gromadzili broń przed załadunkiem. (To była wojna. Rozpętali ją z wściekłym okrucieństwem faszyści, my odpowiadaliś-

my na ich akcje. Padały ofiary. Na wojnie — jak to na wojnie...).

O niektórych sabotażach, głośnych na świecie, gazety musiały informować. Jednakże o większości z nich głucho było w prasie wszystkich trzech totalitarnych państw faszystowskich, albowiem fakty te świadczyły, iż na całym kontynencie istnieje antyfaszystowski ruch oporu.

Z Griszą Salninem spotkaliśmy się w Madrycie. Rebeliantom i interwentom nie udało się wprowadzić w czyn złowrogiej pogróżki. 7 listopada 1937 roku Madryt wprawdzie rozbrzmiał echem kroków defilujących oddziałów wojskowych, lecz były to oddziały republiki, które po uroczystości natychmiast udawały się na linię frontu, ciągnącą się już na przedmieściach stolicy między bundynkami uniwersytetu.

Obecnie buntownicy byli już odparci i walki toczyły się na północy (przeciwko armii generała Moli) i na południu (przeciwko rebeliantom Franco oraz interwentom włoskim, niemieckim i portugalskim, toczącym boje na linii Ciudad Real—Almeria, od granicy portugalskiej aż do Morza Śródziemnego, a przede wszystkim w rejonie położonym między morzem a masywem górskim Sierra Morena, którędy przebiegała ważna droga strategiczna Malaga—Almeria).

Czytelnik wie, iż w obronie Madrytu przed wściekłymi atakami Franco w okresie od października do grudnia 1936 roku oraz we wszystkich najważniejszych starciach z faszystami brały udział brygady międzynarodowe. Nie piszę o nich, gdyż weterani bułgarscy z tych brygad opisali już sukcesy owych oddziałów ochotniczych, złożonych z antyfaszystów, którzy przybyli ze wszystkich krańców świata. (Według oficjalnych danych opublikowanych przez Komunistyczną Partię Hiszpanii ogólna liczba członków brygad międzynarodowych sięgała trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy pięćdziesięciu siedmiu narodowości. Dane te nie obejmują radzieckich ekspertów wojskowych, instruktorów i innych specjalistów, których ilość przekraczała dwa tysiące sześćset osób. W brygadach walczy-

ło też czterystu pięćdziesięciu komunistów i antyfaszystów bułgarskich, z których część poległa na hiszpańskiej ziemi). Zorganizowanie tej armii ochotników do sprawiedliwej walki o wolność narodu hiszpańskiego, jak i potężna kampania światowa w obronie republiki — były dziełem Kominternu kierowanego w tym czasie przez swego generalnego sekretarza — Georgi Dymitrowa.

A więc spotkaliśmy się z Griszą Salninem w Madrycie wiosną 1937 roku. Obaj z Jeanem mieliśmy już za sobą podróż z zachodu na wschód przez cały Półwysep Pirenejski. Odwiedziwszy Włochy, wróciliśmy do Marsylii, ale z niej wyruszyliśmy nie na północ — do Paryża, a na południe. Wówczas niepotrzebne były specjalne paszporty zagraniczne czy wizy takiego lub innego kraju. Jedyną rzeczą, której wymagano, był dowód osobisty i bilet... (Dotyczyło to oczywiście tylko zwykłych podróżnych, pozostałym robiono trudności w ramach nieinterwencji).

Grisza nie był zaskoczony, ponieważ spotkanie zostało umówione uprzednio przez ośrodek. Mieszkał w jednym z hoteli madryckich, gdzie przebywali wszyscy radzieccy eksperci wojskowi. Spotkaliśmy się jednak gdzie indziej; podróżowałem po Hiszpanii w roli kupca i nie wolno mi było spotykać się z nikim innym oprócz wyznaczonego przez ośrodek towarzysza, czyli Griszy. A w Hiszpanii walczyło wówczas w brygadach międzynarodowych wielu znajomych z Bułgarii: byli wśród nich i zwykli żołnierze, i różnej rangi doradcy, i lekarze, i starzy towarzysze broni z kraju. Byli to Karlo Łukanow i Wasil W. Dodew z Plewen, Żeczo Giumiuszew, Ferdynand Kozowski, pilot Zachari Zachariew, który uczestniczył w obronie Madrytu, obaj synowie Wasila Kołarowa — Peter i Nikoła, Anton Iwanow, Cwiatko Radojnow, Dimo Diczew, dr Konstantin Miczew, Anton Nediałkow. Ale nie mogłem udać się do Albacete — ośrodka brygad międzynarodowych -- nikt z moich przyjaciół nie powinien był wiedzieć o charaterze wykonywanych przeze mnie zadań.

W hiszpańskim mundurze wyższego oficera Grisza wyglądał mizernie i staro. Gorące słońce hiszpańskie opaliło mu policz-

ki, a jasne włosy, całkiem teraz wypłowiałe, zaczęły się przerzedzać. Pod oczami widniały czarnosine podkowy, piętno wyczerpania. Tylko oczy zachowały dawny, żywy blask, promieniowało z nich ciepło starej przyjaźni, utrwalonej wspólną walką.

— Opowiadaj, Wanko — poprosił, gdy siedliśmy przy butelce madery w zacisznym kątku skromnej madryckiej restauracji. — Jesteśmy tutaj niecały rok, a przygniata mnie straszliwy ciężar, czuję się, jakbym dźwigał na barkach Himalaje...

Westchnął. Żal mi się zrobiło Griszy. Ten człowiek, który miał za sobą trudne do opisania życie, który porywał się z powodzeniem na niewykonalne zadania, przywiódł mi teraz na myśl orła ze złamanymi skrzydłami.

— Roku jeszcze nie ma, odkąd jestem tutaj, a jakbym przeżył w tym kraju tysiąc lat... Hiszpania ginie, Wanko, pojmujesz to?!

Oto co go załamało: trwoga o Hiszpanię.

— Grisza, czy naprawdę tak sądzisz? — spytałem cicho. — Przecież republika wciąż walczy.

Grisza długo milczał, sącząc powoli ciemnozłote wino. Patrzył niewidzącymi oczyma na cichą, rozsłonecznioną ulicę. Czuł potrzebę wywnętrzenia się przed kimś bliskim i akurat zjawiłem się ja.

— Ci Hiszpanie to wspaniały naród, Wanko — rzekł. — Poznawszy, nie można ich nie pokochać... I umieją walczyć. Gdybyś widział, jak kobiety, starcy, nawet dzieci bronili Madrytu! Albo jak cierpliwie znoszą niedostatek, cierpienia, ból... Ale anarchia zgubi ten naród. To nieuniknione... Partia komunistyczna i inne świadome siły dokonują nieprawdopodobnych wysiłków, by wprowadzić porządek, organizację, dyscyplinę... Nadaremnie: w jednym miejscu załatają, w dziesięciu się drze... Piąta kolumna jak pętla zaciska się wokół szyi republiki, a anarchiści wiszą u jej nóg stupudowym ciężarem. I ciągną ją w przepaść... A jeśli dołożyć i interwencję...

Rozmowę przerwał nam jakiś nieznajomy, który z szacunkiem zbliżył się do naszego stołu.

— Przepraszam, jesteście Rosjaninem, prawda? — pytanie

to zadał zabawną hiszpańsko-rosyjską gwarą. Był już starszy wiekiem i najwyraźniej życie go nie oszczędzało.

Grisza szybko zlustrował wzrokiem nie tylko jego, ale i ten kąt sali, z którego wyszedł nieznajomy. Siedziało tam przy ogromnym stole około dziesięciu mężczyzn, również niemłodych już, skromnie odzianych i niedożywionych jak ten pierwszy. Wpatrywali się w nas. Widać uznał w nich przyjaciół, bo skinął głową:

— Tak! Mój towarzysz nie, ale ja jestem Rosjaninem.

— Chciałbym wypić z wami, towarzyszu — rzekł Hiszpan. — Koledzy proponują wznieść toast za Związek Radziecki, za jego ekspertów, samoloty, broniące nieba Madrytu, za radzieckie karabiny. Salud, camarada!

— Salud! Salud! — zawołali chórem tamci, wstając i wznosząc kieliszki z gęstą malagą. Wstaliśmy i my z Griszą.

— Za pomyślność Republiki Hiszpańskiej, za jej naród! — zawołał w odpowiedzi Grisza. — Za dzielnych obrońców Madrytu! Salud!

— Salud! Salud!

Wypiliśmy resztę madery i wyszliśmy żegnani rotfrontowym pozdrowieniem przez wszystkich gości w restauracji. Jakże serdeczna i spontaniczna była ta manifestacja przyjaznych uczuć! Ale nie mogliśmy tam już prowadzić dalej rzeczowej rozmowy, udaliśmy się do innego lokalu w centrum Madrytu. Okna jego zionęły pustką po szybach wybitych wskutek zrzuconej gdzieś blisko bomby.

— Widzisz, Wanko — rzekł Grisza, ożywiwszy się nieco. — Naród ten od razu poznaje swoich przyjaciół i jawnie, głośno wyraża swą wdzięczność... W ten sam sposób odnoszą się również do ludzi z brygad międzynarodowych. Nazywają ich Rosjanami nie dlatego, że mylą ich narodowość. Dla nich to synonim braci, przyjaciół, towarzyszy... Nie opuściliśmy rąk — ciągnął — mimo że nie żywimy już złudzeń co do zwycięstwa. Tak też myśli nasz „Stary". Wszyscy pracujemy bez wytchnienia. Szkolimy, organizujemy, prowadzimy wykłady i zajęcia praktyczne, opracowujemy plany strategiczne, przygotowujemy schematy obrony, a gdy trzeba — chwytamy za broń.

Nie, nie złożymy broni, dopóki nie wyczerpiemy wszystkich środków samoobrony... Chodzi tu o pozycję, której nie można, której nie powinniśmy zostawić wrogowi bez walki...

Wiedziałem o tym już przedtem, a teraz dostrzegałem w zmęczonej twarzy Griszy determinację bohatera, który rozumiejąc, że nie ma widoków na zwycięstwo, do końca jednak nie opuści swej placówki. Grisza Salnin tak jak i Berzin, jak tylu innych radzieckich towarzyszy był wykuty z najtwardszej, najszlachetniejszej stali...

Zadanie, które przywiodło mnie do Madrytu i w związku z którym spotkałem się z Griszą, dotyczyło działań partyzanckich na zapleczu Franco. Działania te rozpoczęły się już w pierwszych miesiącach wojny domowej, gdy Franco atakował stolicę. Przednie kolumny jego dywizji podążały szybko naprzód, lecz ich flanki znalazły się w zasięgu morderczego ostrzału... Patrioci pozostawieni celowo na tyłach lub po prostu wyprzedzeni przez zmotoryzowane oddziały Franco zmusili faszystów do zwolnienia tempa ataku, do cofnięcia się w celu „oczyszczania" każdej piędzi zdobytej ziemi. Lecz jakże oczyścić ziemię z jej narodu?...

Spontanicznie powstały ruch oporu zmienił się z biegiem czasu w zorganizowaną akcję, która ogarnęła niemal wszystkie górskie rejony okupowanej przez Franco części kraju. Większością partyzanckich oddziałów dowodzili ludzie bez przygotowania wojskowego, a niemal wszyscy byli źle uzbrojeni i nie mieli materiałów wybuchowych potrzebnych w bojowych akcjach sabotażowych. Dlatego właśnie republika w wyniku nalegań Berzina i Salnina zaczęła udzielać szerokiej i systematycznej pomocy partyzantom, przysyłając im broń, amunicję oraz instruktorów wojskowych i politycznych. Zdolność bojowa partyzantki szybko się podnosiła, oddziały jej stały się prawdziwym postrachem frankistów...

— Wiesz, Wanko, w akcji tej uczestniczy również „Hadżi".

Odważny z natury Grisza całym sercem uwielbiał dzielnych ludzi i gdy wspomniał o Hadżim, oczy mu rozbłysły.

— Dowodzi już około dwóch miesięcy grupą partyzancką. Nie odejdzie stamtąd, zanim nie przygotuje zastępcy wybranego spośród oddziału. Często przekracza linię frontu, by wysadzać mosty, pociągi, umocnienia... Wprawdzie ma za zadanie tylko kierować akcjami, ale gdy chodzi o szczególnie ważne, wyrusza sam...

Grisza długo i z ożywieniem opowiadał o sukcesach Umara Dżiorowicza Mamsurowa-Hadżi, który (jak już mówiłem o tym uprzednio) walczył w Hiszpanii pod pseudonimem „Ksanthi".

— Słyszałeś z pewnością o Durrutim, jednym z przywódców hiszpańskich anarchistów — mówił dalej Grisza. — Do szaleństwa odważny, uczciwy, na swój sposób oddany rewolucji człowiek. Ponieważ większość jego ludzi nie miała przygotowania bojowego, zwrócił się do nas o przysłanie eksperta do spraw wojskowych, ale chciał go sam wypróbować. Pierwsi nie przypadli mu do gustu. Wówczas wysłaliśmy mu „Hadżiego". Durruti wprost się w nim zakochał. Podczas któregoś kontrataku sam musiał mitygować Umara, przywoływać go do rozsądku... Czy rozumiesz, Wanko? Durruti wzywa do zachowania rozsądku! — i Grisza roześmiał się serdecznie. Przykłady odwagi zawsze rozpraszały jego ponure myśli.

— A ostatnio chodzi za „Hadżim" pewien Amerykanin — ciągnął Grisza, porwany własnym opowiadaniem. — Hemingway, Ernest Hemingway, dziennikarz i pisarz, korespondent amerykańskich i angielskich gazet, przyjaciel Kolcowa i Erenburga. To właśnie Kolcow poznał go z „Hadżim", bo Hemingway prosił o ułatwienie spotkania z jakimś członkiem grup sabotażowych... Teraz Hemingway nie odstępuje „Hadżiego", a ten nawet słuchać o nim nie chce po pierwszym spotkaniu. „Strasznie pije — powiedział do Kolcowa. — Nie mam przekonania do takich ludzi".

„Hadżi", całkowity abstynent, nie tylko niepijący, ale i niepalący, istotnie stanął przed dylematem, bo Kolcow, którego szanował, ciągle nalegał na niego, by okazał wyrozumiałość i koniecznie opowiedział Hemingwayowi choćby o niektórych swoich przeżyciach.

— A ten Amerykanin skądinąd jest ogromnie sympaty-

czny — ciągnął Grisza. — Wielki taki, barczysty, zarośnięty, istny niedźwiedź z wiecznie dymiącą fajką w zębach... To prawda — popija. Pytałem Kolcowa, kiedy wobec tego znajduje czas na pisanie swoich korespondencji. Ale Erenburg i Kolcow słowa nie dają na niego powiedzieć. „To co, że popija! — upiera się Kolcow. — Ale jest nasz! Rozumiecie to? Uczciwy i szczery przyjaciel republiki! Regularnie czytam jego korespondencje — najlepsze i najobiektywniejsze w prasie zachodniej! A jak się to wszystko tutaj skończy, może i coś większego napisze..."

Ernest Hemingway, którego los zetknął z „Hadżim-Ksanthim" na frontach hiszpańskiej wojny domowej, napisał — jak wiadomo — wkrótce po upadku republiki powieść „Komu bije dzwon", jeden z najlepszych, najmocniejszych i najbardziej obiektywnych utworów literackich o dramacie Hiszpanii. Czytelnik zna z pewnością tę powieść, bo stała się bestsellerem na skalę światową i utwierdziła literacką sławę Hemingwaya, streszczę ją jednak dla przypomnienia.

Amerykanin, żołnierz brygad międzynarodowych Robert Jordan, zostaje skierowany na tyły wojsk Franco z zadaniem wysadzenia mostu, co ma ułatwić planowany atak wojsk republikańskich. W akcji pomaga mu mały oddział partyzancki z gór Guadarramy. Operacja zostaje przygotowana w ciągu trzech dni. W oddziale Jordan poznaje młodą Hiszpankę, Marię, i budzi się między nimi czyste uczucie miłości. Pod koniec trzeciego dnia frankiści dowiadują się o planowanym ataku sił republikańskich i podejmują kroki kontrofensywne. Mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa zadanie zostaje wykonane i akurat przed rozpoczęciem ataku most wylatuje w powietrze. Jednakże w chwili, gdy oddział partyzancki rusza w stronę gór, przeciwnik rani ciężko Amerykanina. Z przestrzelonym biodrem, z karabinem maszynowym w rękach, Robert Jordan za cenę swego życia osłania odwrót oddziału...

Prototypem głównego bohatera tej powieści jest „Hadżi-Ksanthi". Jak on sam mówił nam później w Moskwie, He-

mingway notował szczegóły jego opowiadań o akcjach sabotażowych na tyłach wroga. Stąd też pewnie wzięła się uderzająca dokładność opisu czynności sapera, które Robert Jordan wykonuje dla wysadzenia mostu.

Rozumie się, że jak zwykle w utworach litereckich wiele konfliktów, działające osoby i okoliczności zostały zmienione czy też wprost wymyślone przez autora w oparciu o rzeczywistość. Są też w powieści rzeczy, z którymi trudno się zgodzić, szczególnie jeśli chodzi o charakterystykę ruchu partyzanckiego, atmosferę w Madrycie czy portrety niektórych przywódców. Lecz mimo wszystkich niedostatków — „Komu bije dzwon" jest wstrząsającym obrazem bohaterstwa ludzi walczących w brygadach międzynarodowych...

Zadanie, które Grisza Salnin, a potem również Berzin mi zlecili, było związane z działalnością grup bojowych i oddziałów partyzanckich na tyłach wroga. Akcję sabotażowo-dywersyjną utrudniał brak odpowiednich ładunków wybuchowych. Partyzanci ponosili wiele ofiar w ludziach, dlatego że wybuchy trzeba było wywoływać klasycznym sposobem — przez podpalenie lontu, a to wymagało obecności sapera do końca akcji. (Robert Jordan w powieści Hemingwaya ginie z tego właśnie powodu). Zwrócono się do nas o dostarczenie wybuchowych mechanizmów zegarowych, które działałyby z opóźnieniem, tak by saper miał czas wycofać się z niebezpiecznej strefy...

10. Pożegnanie z Paryżem

Bitwa o republikę wkraczała w ostatnią fazę i jak realistycznie przewidywali Grisza Salnin i Berzin — chyliła się ku klęsce. Ale klęska nie oznaczała odwrotu. Przeciwnie. Dla wszystkich prawdziwych antyfaszystów był to bodziec do nowych wysiłków w celu powstrzymania faszystowskiego natarcia.

Przede wszystkim zwiększyliśmy kilkakrotnie liczbę ludzi działających konspiracyjnie we Włoszech, w Niemczech i Portugalii. Nielegalne grupy utworzyliśmy również w szeregu miast hiszpańskich, okupowanych przez falangistów. Powiększył się też skład grupy we Francji, która koordynowała działalność całej organizacji. Włączyłem do pracy bułgarskiego emigranta politycznego Z-6, poleconego mi przez Metodi Szatorowa. Jego uprzednia działalność rewolucyjna stanowiła gwarancję, iż z powodzeniem wykona każde tajne zlecenie. W dodatku Z-6 przebywający już od paru lat we Francji i dobrze władający francuskim posiadał szereg innych zalet ułatwiających pracę każdemu wywiadowcy. Miał szybki refleks, subtelny, lotny umysł, był młody i przystojny oraz obdarzony niewątpliwym talentem aktorskim (w Bułgarii występował nawet czasem w robotniczych przedstawieniach amatorskich) — mógł zagrać każdą „rolę", jakiej wymagała sytuacja.

Na moją prośbę Metodi Szatorow polecił mi jeszcze jednego człowieka, Z-7, kolegę Ibriszimowa, powstańca jak on, aktywnego działacza WMRO (zjednoczonej), żołnierza Todora Panicy i współpracownika Poptomowa. Podobnie jak Ibriszimow z powodu wieku nie mógł walczyć w Hiszpanii, lecz był w stanie wykonywać zadania konspiracyjne.

— Twardy człowiek — przedstawił go Szatorow. — Wierny, rozumny, rozsądny... I jego, i Ibriszimowa dawno bym już wysłał do Hiszpanii, gdyby mieli chociaż o dziesięć lat mniej... Bierz go, ale pamiętaj, że tak jak w wypadku Ibriszimowa, trafiasz nie na trzcinę, a na skałę...

Oczywiście „wziąłem go" i Z-7 nie zawiódł oczekiwań ani Szatorowa, ani moich. Stał się jednym z mocnych ogniw naszego organizacyjnego łańcucha.

Do grupy naszej przyłączył się też Peter Grigorow, stary weteran partii, oficer z czasów wojny światowej i bojownik o pokój, uczestnik akcji uzbrajania naszej partii, powstaniec z września 1923 roku, działacz z lat przygotowań do nowego powstania, a po kwietniu 1925 roku — wygnany z ojczyzny emigrant polityczny.

Ukończywszy prawo w Szwajcarii, Peter Grigorow został adwokatem, ale profesja owa, która tylu innym otwierała drogę do spokojnego i dostatniego życia, dla niego była tylko dodatkową bronią w służbie idei. Wszędzie w Europie, dokąd wiodło go wezwanie rewolucji, pomagał swą wiedzą prawniczą. Peter Grigorow był jednym z tych adwokatów, którzy zgłosili się do obrony Dymitrowa, Tanewa i Popowa, lecz nie zostali dopuszczeni do procesu. Przed pożarem Reichstagu Peter Grigorow, którego znałem osobiście z Wiednia, Pragi i Berlina, cieszył się wysoką oceną i całkowitym zaufaniem Georgi Dymitrowa.

I oto teraz ten wypróbowany rewolucjonista i nieustępliwy antyfaszysta przyłączył się do naszej grupy. Czytelnik z łatwością zrozumie, jaki ogromny pożytek przynosił taki człowiek, wykształcony, obyty, wyrobiony ideologicznie, doskonale znający sytuację polityczną w całej Europie. Był „nie skompromitowany" wobec władz i mógł swobodnie poruszać się ze swym prawdziwym paszportem, znał też parę języków europejskich, a w dodatku utrzymywał bliski kontakt z szerokimi kołami antyfaszystów w szeregu państw środkowej i zachodniej Europy, co w owych czasach miało wyjątkowe znaczenie. Sasza i Maks Bautscher, którzy oddawali naszej grupie nieocenione usługi, zostali poleceni właśnie przez niego. I nie tylko oni...

Odnaleźliśmy Petera Grigorowa w Genewie. Do Szwajcarii, tej stosunkowo spokojnej wyspy wśród wzburzonego morza konfliktów politycznych, przybył on w poszukiwaniu pracy. Ale nie siedział z założonymi rękami. Jako doskonały dziennikarz współpracował z szeregiem postępowych gazet Europy, nie wyłączając prasy radzieckiej. Tu, w jednej ze skromnych dzielnic Genewy, Peter Grigorow mieszkał ze swoją żoną, Francuzką. Przyjazd jego do neutralnej Szwajcarii nie oznaczał oczywiście rezygnacji z działalności rewolucyjnej. W każdej chwili gotów był podjąć się wszelkich zadań i wyruszyć tam, gdzie wezwie go obowiązek. Gdy z Z-6 odnaleźliśmy go w skromnym mieszkaniu, Peter Grigorow jakby czekał tylko na nas, by spakować walizkę i udać się do Paryża.

W ciągu roku, który upłynął od chwili naszego wyjazdu z Francji, grupa nasza osiągnęła wiele. Zwiększyliśmy ilość radiostacji. Ta, którą umieściliśmy w domu doktora Tomowa, pracowała bez zarzutu, ale okazała się niewystarczająca. Pod koniec 1937 roku nadajników było już trzy, dwa nowe pracowały w innych dzielnicach Paryża. I te zmontowaliśmy, by tak rzec, na miejscu z części radiowych i lamp kupionych w paryskich sklepach. Teraz jednak radiostacjami tymi zajmował się nowy współpracownik, którego wyszukaliśmy dzięki pomocy Petera Grigorowa. Był to bułgarski emigrant polityczny, Z-11 z Welingradu, wygnany z kraju po dramatycznych wydarzeniach w latach 1923—1925. Znaleźliśmy go na południu Francji, w Tuluzie, gdzie wiódł skromną egzystencję. Ukończył inżynierię elektromaszynową, ale wyspecjalizował się w radiotechnice. Mimo iż był dobrym specjalistą, urodzonym, jak się to mówi, do swego zawodu, pracę otrzymał z trudem w tym niewielkim mieście. Zastaliśmy go w małej pracowni, gdzie przy pomocy jednego tylko ucznia sporządzał nowe aparaty radiowe i sprzedawał je miejscowej klienteli. Mieszkał obok pracowni.

— Bracie drogi — zawołał Peter Grigorow, gdy otworzywszy drzwi dojrzeliśmy w półmroku pomieszczenia rodaka z małą elektryczną spawarką w ręce. — A więc jednak spotkaliśmy się! — i skoczył, by go uściskać.

Blady i wychudzony od niedojadania, Z-11 w mgnieniu oka przeobraził się, jakby nowy duch w niego wstąpił. Odpowiedział na uścisk Grigorowa, a potem serdecznie przywitał się ze mną i pospiesznie zamykając okiennice oraz drzwi pracowni poprosił, byśmy siedli.

— Boże, jakże się stęskniłem za swoimi! — mało nie płakał z radości. — Niby żyję wśród ludzi, a czuję się sam jak Robinson...

Z chwilą naszego przybycia samotność jego skończyła się, i to ostatecznie. Nie przyjechaliśmy bowiem tylko w odwiedziny. Zaproponowaliśmy Z-11, by porzucił swój warsztat w Tuluzie i udał się na północ do Paryża, gdzie pomożemy mu w otwarciu przyzwoitego zakładu radiotechnicznego. Z-11 wie-

dział, kim jesteśmy oraz co reprezentujemy, i przyjął propozycję rzeczowo. Właśnie jak antyfaszysta.

Tymczasem różne okoliczności spowodowały zmianę w naszych planach i Z-11 nie musiał przenosić się do Paryża. I w Tuluzie można było wykonywać potrzebną robotę. Wezwaliśmy go po dyrektywy, a gdy znów wrócił na południe, przywiózł ze sobą części do silnych nadajników krótkofalowych i... jednego współpracownika. Był to towarzysz z Grecji, Z-4, który swego czasu dbał o sprawność techniczną pierwszego naszego nadajnika. U Z-11 miał nie tylko zalegalizować swój pobyt we Francji; wraz z właścicielem pracowni wykonali oni w krótkim czasie dwie nowe krótkofalówki. Poza tym w udoskonalonych warunkach technicznych warsztatu obaj przeprowadzili dokładny remont pierwszej radiostacji, zwiększając znacznie jej siłę. Wkrótce potem otworzyliśmy w Paryżu dość nowoczesny zakład radiotechniczny, potrzebny nam głównie jako miejsce konspiracyjnych spotkań, i zarejestrowaliśmy go na nazwisko Z-11.

Czytelnik z pewnością zapyta, dlaczego potrzebowaliśmy aż trzech radiostacji.

Jedną z przyczyn już wymieniłem: Rozszerzyliśmy zasięg działalności i jedna radiostacja nie była w stanie przekazać do ośrodka wszystkich napływających informacji. Poza tym wówczas wszelkie przejawy solidarności z walczącą Hiszpanią wywoływały coraz większe rozdrażnienie policji francuskiej. Na ulicach Paryża zauważyliśmy krążące szczególnie nocą samochody z urządzeniami radiolokacyjnymi. Gdyby nadawanie informacji trwało dłużej niż dziesięć—piętnaście minut, bezwzględnie byśmy wpadli.

Ale nie tylko to sprawiało trudność. W okolicach Paryża działały silne stacje zagłuszające, które często uniemożliwiały nawiązanie kontaktu z ośrodkiem.

Te właśnie przyczyny skłoniły nas do zwiększenia ilości nadajników, wzmocnienia ich siły i rozrzucenia w różnych rejonach miasta. Druga i trzecia radiostacja pracowały w domach francuskich robotników-antyfaszystów, którzy kosztem własnej wygody odstąpili nam izby. Nie wiedzieli, do czego potrzebu-

jemy tych pomieszczeń, ale nie interesowali się tym. Wystarczała im świadomość, że w ten sposób pomagają sprawie Republiki Hiszpańskiej. W domach tych nie pozostawialiśmy żadnych śladów swej bytności. Po kolejnym seansie aparaty zmontowane w niewielkich eleganckich walizkach odnosiliśmy do willi doktora Tomowa.

Do obsługi nowych nadajników ośrodek przysłał dwóch pracowników. Jeden z nich był Jugosłowianinem, drugi — Czechem. Oni jednak wystukiwali tylko informacje, szyfr opracowywała Galina.

Na początku 1938 roku grupa nasza musiała zrezygnować ze współpracy z Z-4. Wskutek nalegań Griszy Salnina trzeba go było wysłać niezwłocznie do Hiszpanii, gdzie zaczął pomagać w niezwykle ryzykownej działalności grup dywersyjnych, tych właśnie, które przenikały na tyły frankistów i wysadzały mosty, pociągi oraz umocnienia. Nowa praca Z-4 była związana z produkcją bomb zegarowych — owych małych aparacików, które okazały się niezastąpionym środkiem uderzeniowym oddziałów partyzanckich i uratowały dziesiątki i setki żołnierzy, płacących przedtem życiem za każdą niemal akcję dywersyjną na wrogim zapleczu...

Wiosną 1938 roku grupa nasza otrzymała pilne zadanie: należało niezwłocznie sprawdzić wiarogodność pewnego sygnału, jaki dotarł do ośrodka, a mianowicie dowiedzieć się, czy do interwencji przeciwko Republice Hiszpańskiej rzeczywiście włącza się Polska sanacyjna i Belgia. Rząd radziecki potrzebował dokładnych informacji o prawdziwym stanie rzeczy.

Tu muszę oczywiście wyjaśnić, że ani Belgia, ani Polska nie mogły wówczas udzielać jawnej pomocy Franco, mimo iż nienawidziły republiki i gotowe były — gdyby nie groźba skandalu międzynarodowego — w każdej chwili wysłać rebeliantom broń, wojsko czy żywność. Pomoc taką jednak rządy owych krajów mogły okazać tylko w tajemnicy przed swymi narodami. My zaś mieliśmy sprawdzić na miejscu, czy właśnie tego nie czynią.

Do Polski udał się natychmiast Z-6. Miał on nawiązać kontakt z naszymi współpracownikami w Łodzi, Gdańsku, Krakowie i Warszawie oraz wstąpić na któryś z tamtejszych uniwersytetów. Wysłałem go całkowicie przekonany, że uda mu się wykonać zadanie; miał już za sobą wiele podobnych zleceń i we Francji oraz w sąsiadujących z nią krajach wykazał się znakomitymi zdolnościami. W Polsce Z-6 miał dodatkowo zorientować się w nastrojach kół rządzących, choć nie ukrywały one swej przynależności politycznej, ideologicznej i strategicznej do zachodniego bloku imperialistycznego, głównie zaś swej grawitacji w stronę burżuazyjnej Francji; ówczesna Polska, bazując na przeszłości, wiązała z Francją swą teraźniejszość i przyszłość. Podobnie jak w wypadku Czechosłowacji błędna orientacja polityczna i nacjonalizm miały wtrącić i ten naród w otchłań najstraszliwszej w jego historii katastrofy... Przyszło to w niespełna dwa lata później. Na razie — na początku 1938 roku — Francja i Anglia sypały szczodrze obietnicami poparcia wojskowego i sanacyjna Polska gwałtownie staczała się w przepaść...

Po paru miesiącach Z-6 wrócił zdrowy i cały. Zadanie zostało wykonane. Sygnał okazał się bezpodstawny. Broń, amunicja i żywność, zgromadzone w określonym miejscu „w specjalnym celu", nie były przeznaczone dla Franco. Ośrodek został poinformowany o tym.

Do Belgii, skąd nadszedł podobny sygnał, wyruszyliśmy we trójkę; Galina, Peter Grigorow i ja. Udawaliśmy grupkę przyjaciół, którzy wybrali się na wycieczkę turystyczną. Zatrzymaliśmy się na parę dni w jednym z uzdrowisk nad morzem. Wróciliśmy „wypoczęci" do Paryża i jeszcze tego samego wieczoru Galina nadała do ośrodka wiadomość: „Nic niepokojącego. W portach belgijskich nie ładuje się broni". Stwierdziliśmy to nie tylko naocznie. Zapewniła nas też o tym nielegalna grupa, działająca wówczas w tym kraju.

Tymczasem praca pozostałych ogniw grupy szła pełną parą. Walka trwała na ziemi i na morzu; prowadzono ją też w eterze, który drgał od krzyżujących się informacji. Wojna w eterze zawsze zwiastuje „inną" wojnę, tę, którą jutro miała od-

notować w swoich annałach beznamiętna historia, tę, która miała zgubić dziesiątki milionów ludzi, zagrozić zniszczeniem cywilizacji...

Republika Hiszpańska walczyła mężnie, rozpaczliwie, lecz interwencja państw faszystowskich, popieranych przez politykę nieinterwencji, zrobiła swoje. Latem 1938 roku po okresie zmiennego powodzenia obu stron, kiedy to oddziały republikańskie i brygady międzynarodowe dokonywały prawdziwych cudów bohaterstwa, falangiści Franco podjęli generalny atak na front aragoński i zdołali dotrzeć do Morza Śródziemnego. Był to początek końca.

W lipcu 1938 roku rząd republiki ogłosił oficjalnie, że aprobuje decyzję powołanej przez Ligę Narodów komisji o ewakuacji brygad międzynarodowych tylko w takim wypadku, jeśli Franco zgodzi się na wycofanie oddziałów włoskich i niemieckich. Ma się rozumieć, Franco natychmiast wyraził zgodę. Jakąż bowiem wartość miały dla tego podłego zdrajcy przysięgi i obietnice, skoro sprzeniewierzył się już swemu najświętszemu obowiązkowi wobec ojczyzny!

Rząd republikański, dotrzymując słowa, przyjął komisję Ligi Narodów i wydał rozkaz, aby brygady międzynarodowe złożyły broń i przygotowały się do ewakuacji.

Pod koniec 1938 roku, gdy brygady te miały wyruszyć ku granicy francusko-hiszpańskiej (komisja Ligi Narodów sprawnie spełniła swą faryzeuszowską misję), w Walencji odbyła się wzruszająca uroczystość. Tu bowiem naród Hiszpanii pożegnał tysiące ochotników walczących o wolność tego kraju. W imieniu frontu ludowego przemówiła La Passionaria:

— I Jarama, i Guadalajara, i Brunete, i Belchite, i Levante, i Ebro opiewają w nieśmiertelnych strofach chwałę, poświęcenie, wysiłek, dyscyplinę członków brygad międzynarodowych. Komuniści, socjaliści, anarchiści, republikanie, ludzie z różnych narodów, wyznający różne ideologie, różne wiary, lecz wszyscy głęboko miłujący wolność i sprawiedliwość, ofiarowali nam swe poparcie. Złożyli w ofierze wszystko: jedni — swoją mło-

dość, inni — wiek dojrzały, jedni — swoją wiedzę, inni — doświadczenie, a wszyscy krew i życie, nadzieje i marzenia. I nie żądali nic oprócz miejsca w szeregach walki, pragnęli jedynie chwały, nie wahali się umrzeć za nas.

Sztandary Hiszpanii, pochylcie się przed tymi bohaterami! Pokłońcie się nieprzeliczonym męczennikom!

Pod koniec stycznia 1939 roku na granicy hiszpańsko-francuskiej na oblodzonych wyżynach Pirenejów zgromadziły się setki tysięcy uchodźców i dziesiątki tysięcy ochotników. Rozbrajani przez żandarmów Guarda Mobil członkowie brygad międzynarodowych przechodzili na francuskie terytorium w szyku marszowym, a tam czekało już na nich kilka urządzonych naprędce i pilnie strzeżonych obozów izolacyjnych. Uchodźcy cywilni również zostali wzięci pod kontrolę i obserwację, opowiedzieli się przecież za czerwoną Hiszpanią, walczyli o nią, wszystkiego się można było po nich spodziewać...

Gabinet Bluma upadł, zastąpił go Daladier, a po nim miał przyjść Laval, lecz reakcja, wielka francuska burżuazja, pozostawała wciąż ta sama...

Czytelnik spyta z pewnością, czy wycofały się z drugiej części Hiszpanii ugrupowania wojskowe Hitlera i Mussoliniego, jak obiecywał Franco. Otóż interwenci o wiele szybciej zgłosili się na apel rebeliantów niż teraz do ewakuacji. Poczekali, aż kraj opuszczą brygady międzynarodowe, by nagle, przerwawszy swój odwrót, wściekłym atakiem wesprzeć nacierające hordy Franco. Upadek republiki był w tych warunkach przesądzony i stał się kwestią najbliższej przyszłości...

Zresztą nikt nie zajmował się teraz republiką, została ona rzucona na ofiarę faszyzmowi i mimo że wciąż jeszcze żyła, walczyła, traktowano ją jakby przeszła do historii. Bo któraż z wielkich potęg miała czas myśleć o niej, gdy niebezpieczeństwo stukało do własnych drzwi... Stało się to oczywiste już we wrześniu 1938 roku, gdy w Monachium Hitler uderzył pięścią w „okrągły stół rokowań". Oddawszy agresorom Republikę Hiszpańską, wielkie mocarstwa oddały też Czechosłowację i Austrię, a po nich Polskę... Potwór wypełzał ze swej jamy i świat zamarł w przerażeniu.

Z chwilą upadku republiki dalszy nasz pobyt w Paryżu nie miał sensu. Na początku 1939 roku oboje z Galiną przygotowaliśmy się do wyjazdu. Peter Grigorow wyruszył z ważnymi zleceniami do Stanów Zjednoczonych, ale grupa jako całość pozostała. Głęboko zakonspirowani, nasi współpracownicy przebywali nadal we Francji, Włoszech, Niemczech, Portugalii i Hiszpanii. Włączeni do nowej organizacji operacyjnej, w latach wojny mężnie walczyli o zlikwidowanie „nowego tysiącletniego ładu", a wielu z nich znalazło śmierć w hitlerowskich obozach koncentracyjnych lub pod ścianą straceń. Dziś imiona tych bohaterów otacza zasłużony szacunek.

Wojna domowa w Hiszpanii skończyła się. Zaczęła się wojna światowa, do której tragedia hiszpańska stanowiła tylko uwerturę. Nadchodziły okrutne lata, podczas których wczorajsze niańki faszyzmu miały się stać pierwszymi ofiarami własnej politycznej obłudy. Podobnie jak w bajce o złym duchu zamkniętym we flaszce — z naiwnością polityczną graniczącą ze zbrodnią wielkie mocarstwa zachodnie wyciągnęły korek, by wypuścić demona, lecz potem — inaczej niż w bajce — gdy urósł i nabrał mocy żywiołu, stały się wobec niego żałośnie bezsilne i słabe... Inny kraj, wielkie socjalistyczne państwo rad, który z dalekowzrocznością uprzedzał o zbliżającym się niebezpieczeństwie, miał wziąć na swoje barki brzemię uratowania ludzkości.

Część VI

Druga wojna światowa

1. Wybuch wojny ojczyźnianej

Gdy 22 czerwca 1941 roku wybuchła wojna ojczyźniana, przebywałem w Moskwie. Byłem wykładowcą na wydziale taktyki i historii wojen Akademii Wojskowej im. Frunzego. Poza mną jeszcze dwaj inni Bułgarzy, Cwiatko Radojnow i Iwan Kinow-Czernow, wykładali tu różne dyscypliny. (W latach trzydziestych na tej uczelni pracowali Georgi Damianow-Bełow i Asen Grekow, przyszli twórcy ludowej armii bułgarskiej, a w tym samym okresie również i na leningradzkiej Akademii Wojskowo-Politycznej profesorem był bułgarski rewolucjonista, emigrant polityczny z okręgu widyńskiego, Krum Byczwarow).

22 czerwca była niedziela, lecz tego dnia zrezygnowaliśmy z wycieczki za miasto, gdzie zwykle spędzaliśmy dni wolne od zajęć. Męczyły mnie silne bóle głowy, których nie mogłem się pozbyć przy pomocy zwykłych środków. Były one spowodowane wytężoną pracą. Wojskowa Akademia im. Frunzego jako szkoła przygotowująca wyższych dowódców Armii Czerwonej nabrała ostatnio wyjątkowego znaczenia dla kraju. Wykruszyła się już stara kadra wojskowa, należało więc wyszkolić nowych oficerów, zdolnych dowodzić wojskiem zarówno w czasie pokoju, jak wojny. Czas naglił, Europa już płonęła i tylko miesiące, tygodnie, dni dzieliły nas od chwili, gdy wróg miał stanąć u naszych drzwi. Wojna nie powinna była zaskoczyć bohaterskiej, utworzonej przez Lenina i okrytej zasłużoną chwałą Armii Czerwonej — nie przygotowanej do oporu, niezdolnej bronić radzieckiej ojczyzny i zdobyczy rewolucji. Wszyscy pracownicy naukowi akademii, z jej zwierzchnikiem B. M. Sza-

posznikowem na czele, dokładali wszelkich starań, pracowali w dwójnasób, by wykształcić jak największą ilość dowódców. Wszyscy rozumieliśmy, że od przygotowania absolwentów zależeć jutro będzie wiele, bardzo wiele...

Toteż moje bóle głowy pod koniec tygodnia stawały się już nie do zniesienia i musiałem odkładać chwilowo przygotowanie wykładów, by wziąć do ręki — hebel.

Może Czytelnik uśmiecha się w tym momencie, ale to prawda. Kochałem stolarkę i pociągała mnie ona (naprawdę piękną sztuką jest umiejętność tchnięcia życia w kawałek drewna, nadania mu pożądanego kształtu, przekształcenia go w źródło estetycznej przyjemności lub po prostu rzecz, która uczyni twój dom wygodnym, przytulnym, pięknym). Zawód wykonywany w młodości pozostał moją namiętnością i moim wytchnieniem. Przepasany brezentowym fartuchem, nad swoim warsztatem stolarskim potrafiłem zapomnieć o wszystkim. Mocą jakiegoś nie wyjaśnionego sekretu praca owa niosła spokój, odpoczynek, a nawet — rozkosz duchową...

Stolarką zajmowałem się zawsze w chwilach zmęczenia po naszym powrocie z Wiednia, a potem i z Paryża. Warsztat stolarski przywiozłem sobie z Wiednia. Może się ktoś będzie śmiał z tego; Wiedeń mógł przecież zaoferować całe góry artykułów zbytku, jak mogłem więc wpaść na pomysł kupienia tam akurat warsztatu! Przywiozłem go w częściach (majstrzy wiedeńscy wykonali go tak, że był i przydatny, i ładny) wraz z narzędziami stolarskimi, jakie mogły mi się okazać potrzebne. Galina, która nigdy nie utrudniała naszego pożycia kaprysami czy brakiem zrozumienia, i tym razem przychylnie odniosła się do mojego nabytku. Mieliśmy tylko jedną trudność — gdzie postawić warsztat? I znów Galina przyszła mi z pomocą.

— Tu, Wanko — powiedziała, wskazując środek pomieszczenia. — Nakryjemy go ładną lnianą serwetą i będzie nam służył zamiast stołu.

Warsztat znakomicie spełniał tę rolę. Ileż to razy zasiadały wokół niego rodziny naszych przyjaciół — Antona Iwanowa, Georgi Damianowa, Berzina i Griszy Salnina, Michaiła Antonowa (adiutanta i doradcy Klimenta Woroszyłowa), Karlo Łu-

kanowa, Ferdynanda Kozowskiego, Żeczo Giumiuszewa i tylu innych. Przychodzili też niekiedy Cwetana i Wasil Kołarow, poza tym często zaglądał Mładen Stojanow, jedyny w naszym kółku kawaler.

Kiedyś, pamiętam, gdy przy tym zaimprowizowanym stole zasiedliśmy razem z rodzinami Berzina, Griszy Salnina i Nataszy Zwonariowej, coś się wylało na obrus. Galina oczywiście zaraz się zakrzątnęła, by go zmienić, i wówczas oczom wszystkich ukazał się warsztat stolarski.

— A cóż to takiego? — zdumiały się kobiety i zaczęły oglądać niezwykły stół. Najbardziej jednak zdumiony był Berzin. Popatrzył na mocny, o wspaniałej konstrukcji warsztat i delikatnie pogładził go dłonią. Potem spojrzał na mnie swymi wszystko rozumiejącymi oczyma.

— Stolarkę mam już we krwi, Pawle Iwanowiczu — rzekłem lakonicznie, czując lekkie zmieszanie wskutek głośnej reakcji kobiet.

Berzin uśmiechnął się serdecznie, ponownie pogładził dłonią białą powierzchnię warsztatu i powiedział:

— Świetnie, Wanko, że też na to wpadłeś! Doskonale cię rozumiem. I ja wypoczywam w podobny sposób. Nic nie może zastąpić mi godzin spędzonych przy tokarce...

Natasza Zwonariowa opowiedziała mi później, że Berzin po ciężkim, wyczerpującym dniu pracy miał zwyczaj chodzić do warsztatu samochodowego znajdującego się w suterenie budynku naszego ośrodka i tam puszczać w ruch tokarkę — kiedyś był przecież metalowcem. W drelichowym kombinezonie pracował godzinę lub dwie, a potem spocony z wysiłku, lecz szczęśliwy i wypoczęty psychicznie, wracał znów do swego gabinetu, by obmyślać i rozwiązywać poważne, nie kończące się, nużące problemy walk na cichym froncie.

Po powrocie z Paryża umieściłem warsztat przy klatce schodowej, gdzie udało mi się odgrodzić niewielkie pomieszczenie. Nie było ono dostatecznie przestronne i niezbyt przyjemne, ale całkowicie zaspokajało moje wymagania. Po prostu odczuwałem potrzebę posiadania osobnego kąta, w którym mógłbym opasać się fartuchem, chwycić za hebel, oddychać aro-

matem struganego drewna i wyczuwać palcami jego wypolerowaną, delikatną powierzchnię...

Tamtą niedzielę — 22 czerwca 1941 roku — spędzałem właśnie w zaimprowizowanej pracowni stolarskiej. Wstałem bardzo wcześnie, bo ból głowy nie dał mi spać. Zszedłem więc na dół, by odpocząć.

Pochłonięty pracą, wyczułem w pewnej chwili za sobą czyjąś obecność. Odwróciłem się. Za mną stała Galina, ale zmieniona nie do poznania. Patrzyła na mnie wielkimi przerażonymi oczyma, wargi miała zaciśnięte, a twarz białą jak płótno. Pojąłem, że zaszło coś złego, coś bardzo złego.

— Galu, co się stało?

Jakby mnie nie słyszała. Długo milczała, zanim, przezwyciężając skurcz gardła, wyrzekła nieswoim głosem:

— Wojna... Wybuchła wojna... Właśnie nadali komunikat przez radio... Niemcy wtargnęli na całej linii od Bałtyku do Morza Czarnego...

Przytuliłem ją. Tyle niespokojnych lat przeżyliśmy razem, tyle trudnych zadań zdołaliśmy razem wykonać, a ona zawsze była moim najlepszym towarzyszem, doradcą, pomocnikiem — i w Chinach, i w Wiedniu, i w Paryżu. Nigdy jednak nie widziałem jej tak zmienionej, rozstrojonej, wstrząśniętej.

— A więc zaczęło się... Zaczęło... Nie martw się, Galu! Nie bój się... Tyle lat walczyliśmy. Znowu będziemy walczyć. Rosji nikt nie zdołał pokonać. Wrogowie jej znajdowali tu tylko swój grób!

Wojna od razu zmieniła rytm codziennej pracy, zmieniła jej sens i cel. Wstrząsnęła całym krajem, jak długi i szeroki. Zbliżały się surowe dni. Naród radziecki, zgrupowany wokół swej partii, musiał teraz okazać swą nieugiętość, wytrzymałość, potęgę...

Mobilizacja rozpoczęła się natychmiast. Przygotowywano się zresztą do niej już od paru miesięcy, lecz nie została ogłoszona aż do chwili agresji. Przywódcy radzieccy nie spodziewali się aż takiego bezmiaru wiarołomstwa hitlerowców. Przecież Hit-

ler i Goering zapewniali, że mają pokojowe zamierzenia wobec ZSRR!

Mobilizacja — no tak, w porządku. Lecz jeśli mała Bułgaria potrzebuje na to dni, to przy gigantycznych przestrzeniach Związku Radzieckiego trzeba tygodni, miesięcy... Tych tygodni i miesięcy, podczas których hitlerowcy, zgromadziwszy na zachodnich granicach ogromne hordy, wtargnęli jak Hunowie na radziecką ziemię i zaczęli mordować, palić i niszczyć spokojne miasta i wsie Ukrainy i Białorusi...

— Dzieło nasze jest sprawiedliwe, zwyciężymy — stwierdził w krótkim apelu radiowym Wiaczesław Mołotow 22 czerwca, w dniu agresji.

Następnie przypomniał niektóre karty z historii Rosji, niesławny koniec pochodu Napoleona i wezwał naród radziecki, by stawił niezłomny opór najeźdźcy...

Mobilizacja zaczęła się w dniu agresji, ale rząd radziecki nie czekał przedtem bezczynnie. Nie tylko dokładał starań, by obwarować się przed agresorem prewencyjnymi sojuszami (ZSRR nalegał przecież, by zawrzeć pakty zaczepno-odporne z Francją, Anglią, Czechosłowacją, Polską, Jugosławią, Rumunią, Bułgarią, Turcją), lecz już pod koniec 1940 i na początku 1941 roku nakazał rozpoczęcie demontażu i ewakuacji w głąb kraju niektórych wielkich zakładów przemysłowych. W całej europejskiej części ZSRR wprowadzono zakaz budowy nowych fabryk, przemysł miał być skoncentrowany na Uralu i za Uralem, na Syberii Zachodniej, tam gdzie ewentualny agresor nie mógłby przeniknąć ani lądem, ani powietrzem...

Rząd radziecki starał się też o umocnienie zachodnich granic kraju. My, wojskowi, wiedzieliśmy, że już jesienią i zimą 1940 roku kilka silnych armii stacjonujących dotychczas za Uralem i w północnych rejonach kraju przerzucono do czterech przygranicznych okręgów wojskowych — nadbałtyckiego, zachodniego, kijowskiego i odeskiego, to znaczy na terytoria, które później przyjęły na siebie główny ciężar hitlerowskiego ataku.

Jednocześnie wydano zarządzenie mające kardynalne znaczenie dla reorganizacji i dalszego rozwoju lotnictwa wojskowego ZSRR. Od chwili ukazania się tego zarządzenia, czyli od

lutego 1941 roku, wszystkie przemysłowe zakłady wojskowe rozpoczęły produkcję nowych typów szybkich i zwrotnych samolotów bojowych. To samo dotyczyło czołgów i artylerii.

Jednocześnie z przerzuceniem wojsk lądowych rząd uczynił, co trzeba, by flotom: północnej, bałtyckiej i czarnomorskiej zapewnić bazy w bezpieczniejszych, położonych dalej od ewentualnej linii frontu portach...

Wszystko to było słuszne. Jednakże, jak czas pokazał, ogromna skądinąd praca przygotowawcza do odparcia przyszłego najeźdźcy nie była dostateczna ani co do skali, ani jakości. A poza tym była spóźniona.

Dodatkowo sytuację utrudniły takie okoliczności, jak przestarzała broń i odsunięcie wielu najzdolniejszych, znanych i doświadczonych dowódców wojskowych od Sztabu Generalnego i innych węzłowych ogniw sił zbrojnych. Stracono także wiele czasu; cały wysiłek dałby niepomiernie lepsze wyniki, gdyby kroki zapobiegawcze zostały podjęte wcześniej.

Ale nawet w wypadku przeprowadzenia przygotowań na czas trudno byłoby zatrzymać na linii granicy pierwszy atak hitlerowskiego najeźdźcy. Z chwilą rozpoczęcia się wojny sytuacja wymagała zastosowania taktyki nie Suworowa („Najlepszą obroną jest atak"), lecz znanej z pochodu Napoleona taktyki Kutuzowa (planowe wycofywanie się, rozciąganie frontu w głąb i wszerz, rozpraszanie sił przeciwnika i osłabianie go wszelkimi rodzajami walki, włącznie z podjęciem wojny partyzanckiej). Tę taktykę narzucała chwilowa wojskowo-techniczna przewaga najeźdźcy; gdy przemysł radziecki zdoła wyprodukować dostateczną ilość nowoczesnej broni, nowoczesnych czołgów i samolotów, „generał Suworow zastąpi generała Kutuzowa". Tak mówili wojskowi, tak się też stało.

W pierwszej połowie 1941 roku my, wyżsi oficerowie Armii Czerwonej, z ogromnym zdumieniem komentowaliśmy też pewne inne posunięcie. Spostrzegliśmy, że duża część najzdolniejszych dowódców wraz z najlepszymi pułkami Armii Czerwonej kierowana jest do rejonów położonych za Uralem i na Zachodniej Syberii...

— Dziwne — mówiliśmy, nie mogąc znaleźć wytłumaczenia takiego postępowania dowództwa. — Skoro zbliża się wojna (a wszyscy byliśmy o tym głęboko przekonani), wybrane jednostki wojskowe i najzdolniejsi dowódcy potrzebni są tu, w europejskiej części Związku Radzieckiego, wzdłuż granic, by powstrzymać, odrzucić i zniszczyć napastnika...

Ten strategiczny zamysł oceniliśmy należycie dopiero w grudniu 1941 roku, gdy syberyjskie dywizje i inne posiłki wojskowe, pospiesznie przerzucone na front moskiewski, nie tylko powstrzymały szturm hitlerowców na radziecką stolicę, lecz go również odparły z ogromnymi stratami przeciwnika, który odepchnięty został setki kilometrów do tyłu. Wypoczęte, wspaniale uzbrojone, całkowicie przygotowane do działań w surowych warunkach rosyjskiej zimy, dowodzone przez najzdolniejszych oficerów, jednostki te zadały najeźdźcy straszliwy, ogłuszający cios, rozpraszając mit o niezwyciężonej sile armii Hitlera.

Ponadto, żeby zrozumieć owo przeciągnięcie, trzeba przeprowadzić analizę sytuacji ogólnej, bez której byłaby niezrozumiała ani radziecka polityka, ani radziecka strategia wojenna w owych latach. Pozwalam sobie wypowiedzieć się na ten temat jako były oficer Armii Czerwonej i żołnierz broniący Moskwy. (Nie będę mówił oczywiście o błędach noszących charakter subiektywny, gdyż to jest sprawa radzieckiej historii wojskowej).

Hitlerowskie Niemcy podjęły atak przeciwko Związkowi Radzieckiemu, gdy już podbiły całą niemal Europę. Innymi słowy, pod ich rozkazami dla ich uzbrojenia, zaopatrzenia w amunicję i we wszystko, co konieczne do prowadzenia totalnej wojny, pracował przemysł całej Europy. Ściślej mówiąc, cały odrestaurowany i gwałtownie rozwijający się przemysł Nadrenii i Zagłębia Ruhry oraz Saary, przemysł zbrojeniowy całej Francji, z rozbudowanymi potężnymi zakładami w Lotaryngii włącznie, cały ciężki przemysł metalurgiczny, maszynowy i zbrojeniowy Śląska i Pomorza, cały rozwinięty potężnie po pierwszej wojnie światowej przemysł zbrojeniowy i maszynowy Czechosłowacji, a także wszystkie zakłady zbro-

jeniowe Węgier, Hiszpanii, Belgii, Holandii, Norwegii, Austrii i Rumunii. Trzeba dodać, że w ręce hitlerowców wpadła cała broń rozbitej armii francuskiej, pokonanej armii polskiej, a przede wszystkim broń Czechosłowacji. (A w tym czasie armia czechosłowacka była nie tylko duża i wspaniale wyszkolona, lecz znana też ze swego nowoczesnego uzbrojenia. Z samych tylko arsenałów Czechosłowacji hitlerowcy zagrabili kilkaset tysięcy supernowoczesnych karabinów maszynowych, dział szybkostrzelnych i kilkaset tysięcy motocykli, z których część posłużyła Rommlowi w Afryce).

Do ataku przeciwko ZSRR oprócz potężnych sił powietrznych i floty wojennej Hitler rzucił sto siedemdziesiąt ciężkozbrojnych dywizji (to jest przeszło cztery miliony żołnierzy) wojsk lądowych. Żadna armia na świecie nie mogłaby wytrzymać pierwszego uderzenia podobnie straszliwej siły.

Należy wziąć pod uwagę również i to, że hitlerowskie Niemcy dysponowały nie tylko arsenałem zbrojeniowym Europy, ale i jej rezerwami ludzkimi (w skład hord najeźdźcy wchodziły też jednostki rumuńskie, węgierskie, włoskie, hiszpańskie i fińskie), rezerwami jej przemysłu lekkiego, produkcji rolnej, jej lotniskami, komunikacją, portami...

Związek Radziecki był sam (osławiony drugi front sojusznicy zachodni utworzyli o wiele później, gdy wynik wojny został już przesądzony dzięki męstwu radzieckiego żołnierza).

To prawda, że pod względem terytorialnym Związek Radziecki kilkakrotnie przewyższał podbitą i włączoną przez Niemcy do wojny Europę. Lecz broń? Żyjemy w połowie dwudziestego wieku, kiedy to wielkie masy ludzkie ubrane w mundury nie decydują o rezultacie wojny. Żołnierzy tych, powołanych pod sztandary, trzeba nie tylko nakarmić, ubrać i obuć; muszą też otrzymać odpowiednią broń, dostateczną ilość amunicji, czołgi, artylerię, nowoczesne samoloty...

Związek Radziecki nie mógł jeszcze dać swej armii odpowiedniej nowoczesnej broni. Przeciwko uzbrojonym po zęby, zmotoryzowanym dywizjom hitlerowskim występowały często oddziały wojskowe, które niemal wcale nie posiadały broni automatycznej, miały przestarzałą artylerię i brakowało im

amunicji, ponadto rozporządzały nie dostosowanymi do współczesnych warunków czołgami, z których większość została bez motorów, w rezultacie czego mogły służyć tylko jako nieruchome gniazda artyleryjskie. Podobnie było z samolotami, samochodami pancernymi, karabinami... Produkcja nowoczesnej broni w pierwszych miesiącach wojny wciąż nie wystarczała dla potrzeb wojska. Związek Radziecki bowiem, przejąwszy w spuściźnie od carskiej Rosji zacofaną gospodarkę, dopiero od niedawna rozwijał nowoczesny przemysł metalurgiczny i maszynowy. Od pierwszej pięciolatki, podczas której wzniesiono fundamenty wielkiego przemysłu ciężkiego, upłynęło zaledwie dziesięć lat. Kraj Rad odczuwał palącą potrzebę żelaza i stali, a pragnąc żyć w pokoju i budować, odlewał ze swych metali nie karabiny czy działa, lecz głównie pługi i kombajny zbożowe oraz traktory dla kołchozów, walcował stal budowlaną, produkował turbiny dla swych elektrowni i przewody w celu zelektryfikowania wsi. Jego narody, które nie żywiły wobec nikogo złych zamiarów, siły swe oddały pokojowej pracy. Na dostateczną ilość broni wciąż jeszcze nie starczało żelaza i stali...

Dlatego musiały upłynąć miesiące, zanim przemysł radziecki przestawił się na tory produkcji wojennej. Do dzieła obrony ojczyzny włączyły się najlepsze umysły i talenty techniczne. I w 1942 roku armia radziecka mogła przeciwstawić nowocześnie uzbrojonemu hitlerowskiemu najeźdźcy dostateczną ilość doskonalszych czołgów (okryte chwałą bojową TW i T-34 były prawdziwym postrachem wroga), skuteczniejszą artylerię (sławne miotacze rakiet, katiusze, które budziły niemal zabobonne przerażenie w szeregach najeźdźcy), szybsze i zwrotniejsze samoloty, dostateczną ilość amunicji...

Istniał, oczywiście, jeszcze jeden ważny czynnik, który miał się przyczynić do zwycięstwa — moralno-polityczna jedność radzieckich narodów skupionych wokół swej bohaterskiej WKP(b) i nieugięty duch żołnierza radzieckiego. Żołnierz ten mógł być pobity w jednej czy wielu walkach, mógł być okrążany i ścigany, lecz nie mógł być zwyciężony. Urodzony i wychowany dla pokojowej socjalistycznej pracy człowiek ra-

dziecki zdolny jest przekształcić się — na wezwanie partii i ojczyzny — w żelazną tarczę i miecz... (Zresztą, można się o tym dowiedzieć nawet ze wspomnień byłych hitlerowskich dowódców wojskowych. Z przekonania ich, że są niezwyciężonymi żołnierzami, nie zostało ani śladu po klęsce).

Nazajutrz po napaści hitlerowskiej Georgi Dymitrow wezwał do Kominternu trzech ludzi — wszyscy byli pułkownikami Armii Radzieckiej — Christo Bojewa, Cwiatko Radojnowa i mnie. Stawiło się nas dwóch — Bojew i ja. Radojnow znajdował się gdzieś na zachodniej granicy ZSRR i lada chwila miał wrócić. Czytelnik spotkał się już na stronicach tej książki z nazwiskiem Christo Bojewa. Był to ten sam dzielny dowódca powstańczy z września 1918 roku, który po bitwie pod Dobro Pole poprowadził zbuntowany batalion frontowy w kierunku Władai, by rozprawić się z prawdziwymi winowajcami klęski. Wyemigrowawszy — do czego został zmuszony — pracował w Kominternie, a następnie w wywiadzie wojskowym. Całe dwadzieścia lat upłynęły Bojewowi na wykonywaniu ryzykownych i odpowiedzialnych zadań, spełnianiu trudnego obowiązku rewolucyjnego, który wiódł go w najróżniejsze zakątki kuli ziemskiej — i do Chin, i na Bliski Wschód, i do Europy, i do Afryki. Bojew ukończył akademię czołgistów i do swych licznych umiejętności wywiadowcy wojskowego dorzucił jeszcze wiedzę inżyniera.

Cwiatko Radojnow, ten wybitny bułgarski rewolucjonista, którego życie owiane było legendą, już wówczas miał za sobą bogatą działalność rewolucyjną. Zorganizowawszy wraz z Todorem Grudowem sławne powstanie w Karabunar i poprowadziwszy powstańców karabunarskich na Burgas, Radojnow wyemigrował później do Związku Radzieckiego i po ukończeniu Akademii im. Frunzego długie lata służył w szeregach Armii Czerwonej. W 1936 roku, gdy wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, Radojnow udał się tam wraz z grupą radzieckich ekspertów wojskowych jako doradca jednego z korpusów armii republikańskiej. Po powrocie podobnie jak i ja został wykła-

dowcą w Akademii im. Frunzego. Uczył taktyki współczesnej wojny.

I Radojnow, i Bojew byli moimi bliskimi towarzyszami walk; łączyła mnie z nimi nie tylko tęsknota za ojczyzną, ale też długoletni trud w obronie sprawy rewolucji.

W gabinecie Georgi Dymitrowa zastaliśmy jego najbliższych współpracowników i pomocników — Wasila Kołarowa, Stanke Dymitrowa i Georgi Damianowa (Anton Iwanow został wysłany jeszcze na początku 1940 roku drogą morską do kraju, by pomóc w pracy KC BPK).

Dymitrow był blady, wychudły, ale trzymał się prosto. Wyczuwałem jego napięcie nerwowe.

— Wiecie, w jakim celu wezwaliśmy was, towarzysze — zaczął. — Nie na uciechę. I nie w dobrą godzinę... Związkowi Radzieckiemu grozi zniszczenie... Zniszczenie grozi rewolucji, jej jedynej ojczyźnie, jej jedynemu obrońcy...

Dymitrow przedstawił w głównych zarysach powagę sytuacji, po czym zakomunikował:

— Komintern przechodzi w stan pogotowia bojowego. Wszyscy nasi emigranci polityczni w Związku Radzieckim niezwłocznie muszą się włączyć do obrony przed najeźdźcą...

Komitet Wykonawczy Kominternu otrzymał zgodę od KC WKP(b) i rządu radzieckiego na swoją propozycję, by w powstającej właśnie brygadzie do zadań specjalnych sformować specjalny pułk międzynarodowy. W pułku tym Dymitrow zamierzał zgrupować wszystkich emigrantów politycznych — Hiszpanów, Francuzów, Anglików, Niemców, Czechów i Słowaków, Austriaków, Bułgarów, Rumunów, Greków, Polaków, Włochów i przedstawicieli innych narodowości. Brygada, która jak można się było spodziewać, liczyłaby kilka tysięcy ludzi, miała powstać w Moskwie i wziąć udział w obronie stolicy. Nam trzem (Bojewowi, Radojnowowi i mnie) Komintern polecił utworzenie pułku międzynarodowego i obiecał swoją pomoc — a Georgi Dymitrow swe osobiste poparcie — przy jego formowaniu. Jednocześnie mieliśmy utrzymywać ścisły kontakt z organami Czwartego Wydziału Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, jak też z organami Ministerstwa Spraw

Wewnętrznych. Obydwie te instytucje w myśl odpowiednich poleceń rządu miały nam pomóc zgrupować emigrantów politycznych w Moskwie i wyposażyć pułk. To pierwsze było dużo trudniejszym zadaniem niż to ostatnie, bowiem tylko część emigrantów mieszkała w stolicy, a ogromna ich większość była rozrzucona po całym kraju, linie komunikacyjne zaś były zatłoczone przez masy ludzkie objęte mobilizacją oraz przez transporty wojskowe.

Dymitrow zwrócił się do nas, byśmy jeszcze przed utworzeniem brygady postawili w stan pogotowia bojowego bułgarskich emigrantów politycznych znajdujących się w Moskwie lub jej najbliższych okolicach. Część z nich miała w brygadzie bronić Moskwy, reszta zaś udać się na tyły Niemców.

— Rozumiecie, co mam na myśli, towarzysze — powiedział. — Mam na myśli Bułgarię...

Drgnęliśmy z Bojewem jak rażeni prądem. Czyżby nadszedł wreszcie czas, o którym każdy bułgarski emigrant polityczny marzył już od chwili, gdy stanął na obcej ziemi, czas powrotu do ojczyzny i walki tam, wśród swoich, o sprawę rewolucji?...

— Biuro Zagraniczne naszej partii zadecydowało — ciągnął Georgi Dymitrow — by wysłać kilkudziesięcioosobową grupę emigrantów politycznych na pomoc partii. Wiecie, że od 1923 roku działa ona w podziemiu. Tysiące ludzi z jej szeregów zostały wybite w czasie powstania i w kwietniu 1925 roku. Tysiące innych wtrącono później do więzienia, rozstrzelano, powieszono. Kilkuset walczyło w Hiszpanii i niemało z nich zostawiło kości na tej ziemi. Część bojowników z brygad międzynarodowych zdołała wrócić do Związku Radzieckiego albo do Bułgarii, lecz większość z nich przebywa we francuskich obozach... Partia nie ma obecnie wyrobionych kadr. Jak więc poprowadzić ma naród do zbrojnej walki?

Grupa przerzucona przez linię frontu do Bułgarii, która teraz stanowiła faktycznie hitlerowskie zaplecze, miała tam pomóc Komitetowi Centralnemu w organizowaniu antyfaszystowskiego ruchu oporu.

— Co się tyczy jej składu — rzekł Dymitrow — uzgodnicie to z Georgi Damianowem. Trzeba dobrać troskliwie każdego

człowieka. Bułgarii potrzebni są teraz nie zwykli, umiejący strzelać żołnierze, a dowódcy i organizatorzy, którzy będą potrafili poprowadzić do walki partyzanckie oddziały... Musicie rzecz załatwić nie w ciągu dni, a godzin — zakończył. — Naszym podstawowym obowiązkiem jest teraz uczynić wszystko, by pomóc narodowi radzieckiemu.

Georgi Damianow, który był obecny na spotkaniu i z którym mieliśmy wspólnie zrobić, co trzeba, by powstała owa grupa, był wówczas jednym z bardziej znanych działaczy Kominternu i od lat zajmował się jego kadrami. Stary bojownik, dowódca sławnego Batalionu Łopuszańskiego, otoczony zasłużoną chwałą od chwili zdobycia w czasie postania wrześniowego miasta Ferdynand (Michajłowgrad) i stacji Bojczinowcy, był jednym z najbardziej znanych bułgarskich emigrantów politycznych i jednym z najgorętszych zwolenników kursu wrześniowego. Po wycofaniu naszej emigracji z Jugosławii Georgi Damianow został wysłany do Związku Radzieckiego, gdzie ukończył (jeszcze pod koniec lat dwudziestych) Akademię Wojskową im. Frunzego. Później przez dwa lata był wykładowcą w tej akademii. W jego osobie Georgi Dymitrow znalazł wiernego i wszechstronnie przygotowanego współpracownika, dlatego wkrótce wciągnął go do prac Kominternu, zlecając szereg odpowiedzialnych zadań. W latach 1935—1937 Damianow wraz ze Stanke Dymitrowem został wysłany nielegalnie do kraju, by przeforsować nowy, dymitrowowski kurs w naszej partii. Po powrocie został członkiem Biura Zagranicznego. Cała bułgarska emigracja polityczna lubiła go i otaczała szacunkiem, a Damianow znał wszystkich bez wyjątku naszych ludzi i rzeczywiście wiedział najlepiej, kto i w czym może być przydatny w działalności na zapleczu.

Niezwłocznie zajęliśmy się organizowaniem grupy. Nim jeszcze upłynął czerwiec, uzgodniliśmy, kto powinien wejść w jej skład. Byli tam różni ludzie — eksperci wojskowi, inżynierowie, ekonomiści, działacze partyjni, dziennikarze, profesorowie. Większość z nich posiadała bogate doświadczenie rewolucyjne, byli to uczestnicy powstania wrześniowego, członkowie brygad międzynarodowych — kwiat bułgarskiej emi-

gracji politycznej, „żelazny fundusz" naszej partii, jak słusznie określił ich w swoim czasie Wasil Kołarow.

Lista zawierała nazwiska około stu osób. (Cała bułgarska emigracja polityczna liczyła wówczas w Związku Radzieckim około pięciuset osób rozrzuconych w najróżniejszych częściach kraju).

Do każdego nazwiska dołączyliśmy krótką charakterystykę. Do pracy tej przyłączył się też Cwiatko Radojnow, który wrócił znad granicy, gdzie jak sam powiadał: „powąchał prochu". Przygotowaną w ten sposób listę przedstawiliśmy w Biurze Zagranicznym naszej partii. I została zaakceptowana.

W końcu czerwca i na początku lipca zaczęliśmy wzywać wytypowanych. Przyjmowałem ich wraz z dwoma towarzyszami radzieckimi, posiadającymi specjalne pełnomocnictwa.

Tak jak oczekiwaliśmy, zjawili się wszyscy przebywający w Moskwie lub w bliskich jej okolicach. Co więcej, zjawili się też ludzie, których z takich czy innych względów nie umieściliśmy na liście. Każdy Bułgar uważał za swój najwyższy obowiązek, za nakaz honoru, ruszyć w najgorętszy ogień walki. Ci, którzy nie zostali wezwani, ponieważ nie posiadali doświadczenia w pracy na zapleczu wroga, dowiedziawszy się jakimś sposobem, że nasze grupy szykują się do przejścia na „tamtą stronę", przychodzili do nas wielokrotnie i nalegali, prosili, zaklinali, by ich przyjąć, by i oni mogli stanąć w pierwszym szeregu walczących o ziemię ojczystą. Wzruszający był zapał, z jakim wypowiadali swą prośbę. A przecież działalność na tyłach wroga groziła śmiercią...

2. Grupy „podwodne" i „spadochroniarze"

Grupa, którą nasi historycy nazwali „podwodną", oraz druga, którą określono mianem „spadochroniarzy", stanowiła z początku całość i nikt w Biurze Zagranicznym nie zamierzał dzielić jej według sposobu, w jaki ludzie ci mieli dotrzeć do rodzinnej ziemi, ponieważ nikt jeszcze nawet nie myślał, jak

właściwie ta setka bojowników przekroczy linię frontu. O to miały zatroszczyć się władze radzieckie.

Gdy wyruszyliśmy do Sewastopola, a było to między 15 a 18 lipca 1941 roku, grupa nasza liczyła nieco więcej niż trzydzieści osób. Oprócz nas, trzech dowódców, zostali do niej włączeni następujący towarzysze: Sybi Dymitrow i Awram Stojanow, doświadczeni funkcjonariusze partyjni BPK i znani działacze emigracji politycznej, Iwan. P. Izatowski, Wasil Jotow Cankow, Wasil W. Dodew, Georgi Pawłow-Gonju, Dimitr Ilijew, Trifon Georgijew, Simeon F. Sławow („Kapitan Rak"), dr Iwan Marinow, Todor Gyrłanow, Kirił Widinski, Angeł Nikow, Kosta Łagadinow, Anton Bekariow, N-17 i Josif Bejdo-Bayer — towarzysze czechosłowaccy, Mirko Stankow, Iwan Szterew, Dełczo Napłatanow, Boris St. Tomczew, Georgi Ł. Antonow, Stefan M. Paszew, Georgi Gyrbaczew, Todor Fotakiew, Janko Komitow, Atanas D. Misketow, Iwan Krekmanow, Gustaw Włachow, Christo Marinow, Stefan Wasiliew, Ilija Denew, Penczo Stoiłow.

Grupa nasza miała być czym prędzej przerzucona do Bułgarii. Dalsze, złożone z ludzi, których nazwiska umieściliśmy na liście, miały podążyć za nami możliwie jak najszybciej. Obowiązek zebrania ich i wysłania na tyły wziął na siebie Georgi Damianow, któremu pomagali już Ferdynand Kozowski, Karlo Łukanow, Żeczo Giumiuszew, Stojan Pałauzow, Jordan Kiskinow i inni. Około trzydziestu towarzyszom udało się, jak wiadomo, dostać do Bułgarii drogą powietrzną; podzieleni na pięć grup, zostali oni nazwani „spadochroniarzami".

Naszą zaś grupę nazwano „podwodną".

Początkowo proponowano nam wprawdzie samolot. Był to najłatwiejszy i najszybszy sposób przerzucenia do Bułgarii — kilka godzin lotu nad linią frontu lub nad morzem od strony południa, skok ze spadochronem w określonym punkcie — i sprawa załatwiona. W przeciągu jednej nocy grupa bojowa mogła znaleźć się na miejscu przeznaczenia.

Napisane na papierze wszystko wygląda i łatwo, i szybko. Ale tylko dla człowieka nie znającego konkretnych warunków lotu oraz lądowania na tyłach. Skok ze spadochronem w kra-

ju tak małym jak Bułgaria, pokrytym do tego gęstą siecią policji i faszystowskiego wojska, wcale nie rokował powodzenia. Wszyscy trzej (Cwiatko Radojnow, Christo Bojew i ja) byliśmy tego samego zdania i niestety obawy nasze okazały się tragicznie słuszne. Większość „spadochroniarzy", przerzuconych we wrześniu i październiku 1941 roku samolotami radzieckimi na nasze terytorium, wpadła w ręce wroga i zginęła męczeńską śmiercią...

Idea udania się do kraju drogą morską przyszła do głowy Bojewowi i mnie. Czytelnik wie już, że przed laty pływaliśmy tą drogą wiele razy i znaliśmy wszystkie plusy i minusy podobnego przedsięwzięcia. Nasze rejsy po Morzu Czarnym miały oczywiście miejsce w bardzo odległym już czasie, a i warunki przedstawiały się teraz inaczej: była wojna i bułgarskiego brzegu strzegły obecnie faszystowskie oddziały niemieckie. Warna, Bałczik i Burgas stały się bazami wojskowymi niemieckiej floty wojennej i roiły się od hitlerowców, którzy zatrzymywali się tu w drodze na front wschodni, a na Morzu Czarnym pływało coraz więcej jednostek niemieckich, włoskich, rumuńskich i bułgarskich, które wspierały operacje armii lądowej i wywierały nacisk na Odessę. Tak, sytuacji latem 1941 roku nie można było porównywać z sytuacją z lat 1921—1924. A jednak...

Jednak postanowiliśmy, a zdanie nasze od razu podzielił Cwiatko Radojnow, że grupa nasza musi dotrzeć do wyznaczonego celu drogą morską. Zdecydowaliśmy się popłynąć jakąkolwiek bądź jednostką — kutrem (jeśli się nam poszczęści), dużą łodzią motorową, barką, nawet żaglówką. Obydwaj z Bojewem byliśmy przekonani, że uda nam się mimo zagrażającego niebezpieczeństwa dotrzeć z całą grupą do stałego lądu. Tak myśleliśmy i nikt z nas nie marzył nawet o łodzi podwodnej, bo w tym właśnie czasie flota radziecka z ogromnym wysiłkiem broniła granicy morskiej na południu i każda pływająca jednostka, nie mówiąc już o łodzi podwodnej, była tam na wagę złota.

Projekt swój przedstawiliśmy władzom radzieckim w Sewastopolu. Towarzysze radzieccy przyjęli nas serdecznie w tej

ogromnej bazie wojskowej i ulokowali w pewnej odosobnionej willi (nazywała się „Delta"), oddalonej od miasta o jakieś dziesięć kilometrów. W Sewastopolu, dokąd przed laty często przyjeżdżałem z różnymi zadaniami i gdzie później niejednokrotnie gościłem u kolegów lub dokąd po prostu przyjeżdżałem na urlop, spotkałem teraz w wywiadzie morskim wielu starych znajomych i towarzyszy broni, dowódców jednostek bojowych czy zwierzchników zarządu wybrzeża. Towarzysze radzieccy z pełnym zrozumieniem wysłuchali naszych argumentów, przemawiających za „desantem" morskim. Lecz gdy skonkretyzowaliśmy swą prośbę i zwróciliśmy się o jakąś „lekką i chwilowo niepotrzebną jednostkę pływającą", odmownie pokręcili głowami.

— Wykluczone! Przecież macie przekroczyć linię frontu! Nawet w czasach pokojowych nie podjęlibyśmy się przerzucenia was na tamtą stronę łodzią motorową, a cóż dopiero teraz! Mowy nie ma!

Wróciliśmy do „Delty" nie na żarty zaniepokojeni. Choć nie daliśmy poznać po sobie, iż sprawa się komplikuje, tym bardziej że problem wciąż jeszcze pozostawał otwarty, denerwowaliśmy się: „Odmówili nam motorówki, nawet słowa nie dali powiedzieć o żaglówce, więc co dalej?..."

Podczas gdy tak we trzech głowiliśmy się nad zasadniczym problemem przerzutu, grupa — wygodnie ulokowana — rozpoczęła intensywne przygotowania. Zaczęły się one z częścią ludzi właściwie już w Moskwie. Tam, na strzelnicy NKWD, wielu z nich uczyło się posługiwać różnymi rodzajami broni, a potem, obozując w pobliżu miasta, słuchali wykładów i odbywali zajęcia z dziedziny dywersji, radiotelegrafii i skoków spadochronowych. Informowaliśmy ich też o sytuacji politycznej w kraju. Wszystko to kontynuowaliśmy tu, w Sewastopolu. Dotychczasowe zajęcia uzupełniliśmy lekcjami wiosłowania (mimo wszystko nie traciliśmy nadziei, że udamy się do Bułgarii drogą morską), pływania, posługiwania się nadmuchiwanymi łodziami desantowymi itd.

Zajęcia z dziedziny dywersji prowadził inż. Wasil W. Dodew. Świetny elektrotechnik, do niedawna główny inżynier ogrom-

nych moskiewskich zakładów elektrotechnicznych „Dynamo", mój współpracownik w tajnej działalności w Wiedniu w latach 1924—1930, Wasil Dodew i teraz bez wahania zgłosił się na pierwsze wezwanie. To ja nalegałem, by go włączyć do naszej grupy. Poza nim włączono do grupy jeszcze kilku towarzyszy, których znałem osobiście i z którymi w niedawnej przeszłości wykonywałem tajne zadania. Byli to Wasil Cakow Jotow, Janko Komitow, dr Iwan Marinow i Iwan Krekmanow. Wspomnieć też muszę o obu Czechach — N-17 i Josifie Bejdo-Bayerze. Czytelnik spotkał się już w tej książce z ich nazwiskami. Byli to owi dwaj wspaniali czechosłowaccy patrioci i internacjonaliści, którzy w 1932 roku okazali cenną pomoc naszemu wywiadowi, a później, gdy Intelligence Service ruszyła ich śladem, przerzuceni zostali przez granicę. W Związku Radzieckim spotkali się z braterskim przyjęciem i zaraz otrzymali pracę w swoim zawodzie. Byli wysoko cenionymi specjalistami w dziedzinie radiotechniki i radiotelegrafii. Gdy zwróciłem się do nich, by przyłączyli się do naszej grupy, obydwaj zgodzili się bez chwili wahania. Nie robiło im różnicy, czy będą walczyć w Bułgarii, czy gdzie indziej. Rozumieli, że antyfaszystowski front jest wszędzie wspólny, że wszędzie jest jeden i ten sam wróg i że każdy internacjonalista ma jednakowy obowiązek. Teraz obaj czescy towarzysze szkolili członków grupy w radiotelegrafii, sami przygotowując się do wykonywania po przerzuceniu na tyły funkcji radiotelegrafistów.

Zajęcia z zakresu dywersji prowadziłem i ja, gdy miałem wolny czas. Poza tym my, trzej dowódcy, regularnie zapoznawaliśmy członków grupy z charakterem przyszłych zadań, ze specyficzną robotą na tyłach wroga, z taktyką walki partyzanckiej i z podstawowymi zasadami postępowania konspiratora. Christo Bojew i Cwiatko Radojnow wygłosili kilka wykładów o aktualnych stosunkach politycznych na świecie, o ruchu frontów i konkretnej sytuacji w Bułgarii. Staraliśmy się o to, by ludzie, którzy jutro znajdą się w warunkach pełnej konspiracji, zawsze mogli znaleźć najlepsze wyjście z każdego niebezpieczeństwa, by umieli strzec się wroga i unikać niepotrzebnych starć, by uważnie i cierpliwie badali sytuację,

nim przystąpią do działania, by przestrzegali zasad dyscypliny rewolucyjnej, odkrywali słabe strony wroga i atakowali go wówczas, gdy się tego nie spodziewa.

Muszę tu dodać, że mimo iż poświęcaliśmy wiele uwagi wstępnemu przygotowaniu ludzi, nie kładliśmy na nie szczególnego nacisku. Czytelnik z łatwością to sobie wyłumaczy. Niemal wszyscy członkowie grupy byli starymi rewolucjonistami i doświadczonymi konspiratorami z większym lub mniejszym stażem w nielegalnej robocie. Nieraz patrzyli śmierci w oczy, walczyli w oddziałach partyzanckich lub na frontach hiszpańskich i latami całymi wykonywali przeróżne tajne i inne zadania. Dlatego też można powiedzieć, że przygotowanie tych ludzi rozpoczęło się w owym odległym dniu ich życia, gdy po raz pierwszy stawili się na zew rewolucji. Z takimi żołnierzami łatwo było podjąć wszelką robotę, ruszyć w każdą drogę, nawet iść na śmierć...

Początek sierpnia zastał nas na gorączkowych przygotowaniach do odpłynięcia. Właśnie do odpłynięcia. Towarzysze radzieccy, którzy z serdecznym zrozumieniem odnosili się do każdej naszej troski, i teraz nie zwlekali z braterskim gestem. W odpowiedzi na naszą prośbę zapewnili nam nie jakąś zwykłą jednostkę pływającą, lecz łódź podwodną. Czytelnik łatwo może sobie wyobrazić naszą radość, gdy poinformowano nas o tej decyzji. Radość i wdzięczność! Nawet w tym decydującym okresie radzieckie siły zbrojne znalazły możliwość przyjścia nam z pomocą, zapewniając najlepszy, najpewniejszy i najbezpieczniejszy w owej chwili środek transportu.

My, dowódcy, uznaliśmy za właściwe, by poinformować grupę, w jaki sposób znajdziemy się w ojczyźnie, dopiero przed samym odjazdem. Ludzie wiedzieli tylko, że udamy się drogą morską. Nic więcej. I rozumieli, że nie powinni się tym interesować. Kontynuowaliśmy lekcje wiosłowania, pływania i obsługi łodzi desantowych. Potrzebne do tego środki zapewniły nam władze radzieckie, a morze było o pięćdziesiąt metrów od willi.

Przygotowania do drogi obejmowały też starania o ubranie, obuwie, uzbrojenie, dokumenty osobiste. Wszystko to zostało przyszykowane na czas. Odzież i obuwie wykonano na miarę i dla każdego inne. Zamówienie zrealizowaliśmy w Simferopolu. Tam też zrobiono potrzebną ilość różnych plecaków, miały one pomieścić zapasowe cywilne ubranie, bieliznę na zmianę, żywność na kilka dni, amunicję itd. Pomyśleliśmy też nad sposobem zatarcia śladów z chwilą zejścia na ojczysty brzeg. Wiedząc, że wcześniej czy później wróg wykryje naszą obecność i spróbuje tropić nas przy pomocy psów, zapakowaliśmy paczuszki mielonej papryki i pieprzu, którymi każdy z nas po zejściu na ląd miał zasypać ślady za sobą.

Postaraliśmy się również o fikcyjne dowody osobiste. Zarówno przy ich wykonaniu, jak i we wszytkich przygotowaniach, towarzysze z Sewastopola okazali nam nieocenioną pomoc.

Na koniec trzeba było podzielić ludzi według różnych okręgów i rejonów, do których mieli udać się po przybyciu do kraju. Stosowaliśmy zasadę, by każdy szedł tam, skąd pochodzi, ponieważ każdemu łatwiej jest zakonspirować się wśród krewnych, przyjaciół i towarzyszy oraz skontaktować się przez nich z partią w celu zorganizowania partyzantki. Nam, trzem dowódcom, Georgi Dymitrow polecił udać się do Sofii, nawiązać kontakt z Komitetem Centralnym BPK i pozostać do jego dyspozycji. Komitet miał wyznaczyć nam konkretne zadania w rozpoczynającej się walce.

W końcu lipca grupa została podzielona na trzy dziesięcioosobowe zespoły. Każdy z trzech dowódców włączał do swego ludzi, których znał osobiście lub którzy pochodzili z jego stron. Do mojego zespołu zostali przydzieleni: Wasil W. Dodew, Wasil Cakow, Georgi Pawłow-Gonju, dr Iwan Marinow, Kosta Łagadinow, Kirył Widinski, towarzysz z Czechosłowacji N-17, Gustaw Włachow i Janko Komitow. Mieliśmy odpłynąć pierwsi. Następnie wyruszyć miał zespół Christo Bojewa, a wreszcie — Cwiatko Radojnowa. Pod koniec pobytu w Sewastopolu zespoły prowadziły już zajęcia oddzielnie, każdy pod okiem

swego dowódcy, gdyż ułatwiało to i przyspieszało przygotowania do odjazdu.

Gdy nadszedł sierpień, w każdej chwili spodziewaliśmy się sygnału, że czas nadszedł. Co wieczór któryś z trzech dowódców jechał do Sewastopola samochodem zostawionym do naszej dyspozycji, by dopracować z władzami radzieckimi plany działalności swej grupy. Każdy miał przy tym nadzieję, że łódź podwodna gotowa jest już do rejsu.

4 sierpnia pod wieczór, na trzy dni przed odpłynięciem pierwszej łodzi, w pokoju dowódców w „Delcie" przeciągle zadzwonił telefon. Właśnie prowadziłem ze swoją grupą ćwiczenia dywersyjne, ale musiałem je przerwać. Cwiatko Radojnow, który przyjął telefon, przysłał po mnie jednego z towarzyszy.

— Wanko, do ciebie z Moskwy — powiedział, gdy przybiegłem do pokoju, i wręczył mi słuchawkę. — Nie mogłem zrozumieć dokładnie, kto...

Telefon rzeczywiście był z Moskwy ze sztabu brygady do zadań specjalnych. Otrzymałem polecenie natychmiastowego powrotu wraz z czterema ludźmi, znającymi język turecki. Ani słowa wyjaśnienia. Ale rozkaz nie podlega dyskusji...

Gdy w słuchawce zaczęło trzeszczeć i piszczeć, zrozumiałem, że połączenie zostało przerwane. Odłożyłem ją na widełki i ogarnęła mnie gorycz. Mój Boże, już trzeci raz przytrafia mi się to samo! Za pierwszym — Wasil Kołarow zawrócił mnie z warneńskiego brzegu, rozłączając z Wasilem Karawasilewem. Miast walczyć z towarzyszami w powstaniu wrześniowym musiałem wykonywać inne zadania. Za drugim — zamiast walczyć w Hiszpanii z Bułgarami z brygad międzynarodowych musiałem pozostać na „cichym froncie". I teraz znowu... W dodatku prawie w przeddzień wyjazdu!... Widziałem już w jednej z zatok Sewastopola naszą łódź podwodną, wchodziłem do środka, poznałem jej dowódcę, przyszłego bohatera — towarzysza Diewiatko, rozmawiałem z nim o szczegółach przerzutu. Tak zżyłem się już z myślą o Bułgarii, że ciążył mi teraz każdy dzień, każda godzina dzieląca nas od chwili

odjazdu. Czułem, jak zaczynają mnie zawodzić silne skądinąd nerwy, przyłapywałem się na roztargnieniu — wszystkie moje niepokoje i radości, wszystkie tęsknoty biegły na zachód poza błękitny horyzont morza ku ojczystemu brzegowi...

Zebraliśmy się we trzech w pokoju dowódców, by omówić powstały nagle problem. Wyznaczyliśmy ludzi, których miałem wziąć ze sobą do Moskwy (byli to Janko Komitow, Todor Fotakiew, Georgi Pawłow-Gonju i Atanas Misketow). Zmieniliśmy skład osobowy grup, tak aby było ich dwie. Pierwszą miał poprowadzić Cwiatko Radojnow, ponieważ Christo Bojew akurat był chory.

Do Moskwy wyruszyłem jeszcze tej samej nocy. Na pożegnanie serdecznie uściskaliśmy się z Radojnowem i Bojewem. Byłem przygaszony i smutny. Rozumiałem, że skoro sztab brygady wydaje rozkaz, z pewnością ma do tego wystarczająco ważkie powody. A mimo wszystko, mimo wszystko... Wiedziałem też, że moje nowe zadanie to nie urlop w Jałcie lub Soczi... Ale tak bardzo pragnąłem pozostać w Sewastopolu z towarzyszami, by wyruszyć właśnie z nimi do walki...

Napisano już wiele o sukcesie grupy zwanej „podwodną", toteż tylko krótko opowiem, jak potoczyły się losy jej członków. Pierwsza czternastoosobowa tura odpłynęła ku ojczystym brzegom 7 sierpnia. Byli to: Sybi Dymitrow, Iwan P. Izatowski, Wasil Cakow, Trifon Georgijew, Simeon F. Sławow („Kapitan Rak"), dr Iwan Marinow, Kirył Widinski, Kosta Łagadinow, Dimitr Ilijew, Todor Gyrłanow, Josif Bejdo-Bayer, Angeł Nikow, Anton Bekiarow oraz dowódca — Cwiatko Radojnow. Druga wyruszyła 28 sierpnia. Jej dziewięciu członków to: Awram Stojanow, Iwan Szterew, Dełczo Napłatanow, Boris St. Tomczew, Georgi Ł. Antonow, Stefan M. Paszew, Wasil.W. Dodew, Georgi Gyrbaczew i dowódca — Mirko Stankow z okręgu ichtimanskiego, urodzony we wsi Wasilica, dawny żołnierz z oddziału Kiskinowa, później emigrant polityczny w ZSRR, a następnie bojownik w brygadach międzynarodowych (Christo Bojew z powodu choroby musiał zostać).

Wysiadłszy pomyślnie na bułgarskim brzegu, dwudziestu trzech rewolucjonistów dołożyło wszelkich starań, by dotrzeć

do wyznaczonych rejonów i skontaktować się z miejscowymi organizacjami partyjnymi. Wielu z nich zdołało dopiąć celu, innym przeszkodziła faszystowska policja.

Cwiatko Radojnow przybył do Sofii, nawiązał kontakt z Komitetem Centralnym BPK i stanął na czele Centralnej Komisji Wojskowej. Od listopada 1941 roku do kwietnia 1942 roku, to znaczy do czasu, gdy policji udało się (na skutek prowokacji) wpaść na ślad nielegalnych funkcjonariuszy i aresztować ich, Cwiatko Radojnow wykonał ogromną robotę organizacyjną mającą na celu utworzenie jednolitego wojskowo-politycznego kierownictwa, które by dowodziło rozpoczynającą się właśnie w kraju ogólnonarodową walką przeciwko faszyzmowi. Zginął 26 czerwca 1942 roku w podziemiach Szkoły Oficerów Rezerwy wraz z osiemnastu bohaterami, członkami grup „podwodnych" i „spadochroniarzy".

Co się tyczy „spadochroniarzy" (na ich temat niewiele jest informacji w naszych pracach historycznych i pamiętnikarskich), udawali się oni do Bułgarii w okresie od połowy września do pierwszej połowy października 1941 roku grupami. Wiozące ich samoloty startowały zwykle z Simferopola (stolicy Krymu), przelatywały nad Morzem Czarnym i miały zrzucać skoczków na z góry wyznaczone tereny. Grup „spadochroniarzy" było ogółem pięć. W pierwszej, którą dowodził Atanas Damianow ze wsi Dyłboki w okręgu starozagorskim, znajdowali się: Kirył Stojanow, Miliu Minczew, Dimo Astadżow i radiotelegrafista z Armii Czerwonej, Władimir Czernow. W drugiej obok dowódcy, Grudi F. Grudewa ze wsi Bozduganowo w okręgu starozagorskim, byli: Stojan G. Ganczew, Stamo K. Stamow, Penko P. Martinow i radziecki radiotelegrafista, Borys Fadiejew. W trzeciej przerzucono na tyły Bożina P. Czulewa, Awgusta D. Popowa, Stoju Iw. Czoczewa („Czoczoołu"), Łyczezara Awramowa, Wełko D. Jankowa, Iwana P. Drianowskiego oraz dowódcę, Stojana Pałauzowa ze wsi Swetlen w okręgu targowiskim. Czwartą grupą dowodził Prodan Tabakow ze wsi Osmanowo w okręgu panagjurskim, a w skład jej wchodzili: Witko W. Iwanow, Metaksa Guginski, Georgi Iw. Kratunczew i radiotelegrafista z Armii Czerwonej,

Dmitrij Tiepliakow. Członkami piątej byli: Iwan Iw. Jordanow, Christo Kaskandżijew, Dimo Tr. Terzijski, Georgi P. Baszikarow, Wasil K. Tanew, Paweł Georgijew i radiotelegrafista z Armii Czerwonej, Nikołaj Romanow, a dowódcą Jordan Kiskinow ze wsi Lisiczewo w okręgu panagjurskim.

Trudności lotu, brak dobrej orientacji, niemiecka obrona przeciwlotnicza oraz nieznajomość terenu sprawiały, że skoczków nie udało się zrzucać w wyznaczonych rejonach. Wielu spośród nich zostało schwytanych, zaledwie postawili nogę na ojczystej ziemi, i po krótkiej rozprawie sądowej skazanych na rozstrzelanie. Ci zginęli wraz z Cwiatko Radojnowem. Pozostali, którzy ocaleli, znaleźli się w antyfaszystowskim ruchu oporu i przyczynili się do ostatecznego zwycięstwa nad niemieckimi okupantami.

Trzeba dodać, że planowano wysłać do kraju o wiele więcej takich grup, a liczba skoczków przekroczyłaby wtedy chyba setkę. Gdy pierwsze pięć grup przeżywało swą męczeńską odyseję, reszta pod kierownictwem Ferdynanda Kozowskiego, Karlo Łukanowa, Żeczo Giumiuszewa i innych intensywnie trenowała pod Simferopolem i na lotniskach na wschód od Moskwy.

Wtedy właśnie Georgi Dymitrow, dowiedziawszy się o tragicznym losie większości „spadochroniarzy" po ich wylądowaniu, wydał zarządzenie, by na jakiś czas przerwać wysyłkę naszych emigrantów politycznych do Bułgarii, bo drogi był mu każdy człowiek ze starej gwardii. Biuro Zagraniczne postanowiło pozostałych działaczy wysłać na pomoc naszej partii innymi drogami lub też zlecić im zadania związane z obroną Moskwy.

3. Moskwa nieujarzmiona

Wróciłem do Moskwy na początku października 1941 roku po blisko dwumiesięcznej nieobecności w Związku Radzieckim. W jednym z krajów ościennych — Turcji — miałem wy-

konać wraz z grupą pięciu ludzi (był wśród nich również mój stary towarzysz broni z Chin — Leonid Etingon) bardzo skomplikowane i ryzykowne zadanie. Wiązało się ono z uporczywym dążeniem hitlerowców i ich przedstawiciela dyplomatycznego, starego imperialistycznego wilka, von Pappena, by przyłączyć południowego sąsiada ZSRR do faszystowskiego bloku wojskowego. W lipcu i sierpniu 1941 roku Turcja, zastraszona przez wojska Hitlera, które dotarły już na sam próg Dardaneli, bliska była rezygnacji ze swej neutralności. Z chwilą wciągnięcia Turcji do osi Hitler zamierzał uderzyć na Związek Radziecki z południa, od strony Azji i Kaukazu, i tamtędy dobrać się do nafty Baku i węgla Donbasu...

ZSRR dołożył wszelkich starań, by zapobiec temu niebezpieczeństwu, zagrażającemu zresztą w jeszcze większej mierze samej Turcji, której terytorium w wypadku realizacji hitlerowskiego planu przekształciłoby się w arenę niszczycielskich walk. Turcja oparła się totalnemu szantażowi Hitlera i Pappena. Niebezpieczeństwo grożące z tej strony granicom Kraju Rad zostało zażegnane.

Ale walki z niebywałą siłą wrzały wzdłuż całej gigantycznej linii frontu, od dalekiej północy do Odessy i Krymu. Gdy przybyłem do Moskwy, stolica była w stanie pogotowia bojowego. Pięciomilionowe miasto, serce socjalistycznego kraju, żyło jak w gorączce; wszystkie moskiewskie fabryki i zakłady przemysłowe, przestawiwszy się na produkcję wojenną, pracowały dzień i noc dla frontu. Przy maszynach i warsztatach, przy piecach hutniczych i młotach parowych stanęły kobiety. One też zasiadły za kierownicami wielkich ciężarówek i w dyspozycyjnych budkach dźwigów. Wszyscy mężczyźni objęci obowiązkiem służby wojskowej zostali wysłani na front. W owych okrutnych czasach kobiety radzieckie okazały takie bohaterstwo, że żadne słowa nie są w stanie oddać tego, czego dokonały.

Obok gorączkowej pracy zakładów przemysłowych dzień i noc trwały roboty przy umacnianiu stolicy. Wykonywały je ręce kobiet, starców, a nawet dzieci. Nikt nie mówił o tym, ale

każdego człowieka drążyła straszna myśl: „Niemcy zmierzają ku Moskwie, Niemcy uczynią wszystko, by ją zdobyć!"

Było to jasne wobec kierunków hitlerowskiego natarcia. Mimo iż Niemcy uderzyli jednocześnie wzdłuż całej linii frontu od Bałtyku do delty Dunaju, skoncentrowali główne swe siły na odcinku Brześć—Mińsk oraz Smoleńsk—Moskwa. Co się tyczy Leningradu, położonego na zachodniej morskiej granicy ZSRR, faszyści spodziewali się, że padnie on już w pierwszych dniach wojny. Sądzili też, że wiele innych granicznych osiedli i ośrodków miejskich nie będzie zbyt długo stawiać oporu. Lecz wydarzenia potoczyły się inaczej. Narody radzieckie mimo ogromnej przewagi technicznej przeciwnika potrafiły obronić swoją wielką ojczyznę. Leningrad nie poddał się ani w pierwszych dniach agresji, ani później, gdy rozwścieczony w najwyższym stopniu Hitler chciał zetrzeć miasto z powierzchni ziemi, ani pod koniec wojny, gdy wszystkie nadzieje faszystów legły pod stosami trupów.

Brześć upadł, lecz najeźdźcę drogo kosztowało to zwycięstwo... Ale agresor posuwał się naprzód, mimo ogromnych strat parł dalej we wściekłym szturmie na wschód.

Zmierzał ku Moskwie.

Moskwa stanowiła główny cel planu „Barbarossa", który głosił, że opanowanie tego miasta oznacza decydujący sukces tak z politycznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia. Hitler uważał, iż z chwilą upadku Moskwy kapitulacja Związku Radzieckiego nastąpi automatycznie. Wszystko postawił na tę kartę.

— Żołnierze, przed wami Moskwa! — wołał w swym przemówieniu do armii walczących na froncie wschodnim. — W ciągu dwóch lat poddały się wam wszystkie stolice kontynentu, przemaszerowaliście ulicami najpiękniejszych miast. Została Moskwa. Zmuście ją, by się poddała, pokażcie jej siłę waszego oręża, przejdźcie jej placami. Moskwa — to koniec wojny! Moskwa — to wytchnienie! Naprzód!

Do szturmu na Moskwę Hitler rzucił ogromną potęgę. W stronę stolicy ZSRR skierowano w 1941 roku zgrupowanie „Środek", dowodzone przez feldmarszałka Bocka. Ogółem

w ofensywie na Moskwę strategowie hitlerowscy zgromadzili siedemdziesiąt siedem dywizji, w tym dwadzieścia dwie czołgowe, a wszystkie pozostałe w wysokim stopniu zmechanizowane. Była to kolosalna siła wojskowa, równająca się niemal połowie potencjału uderzeniowego, rzuconego na wschodni front. Na główną oś Mińsk—Smoleńsk—Moskwa rzucono ogromną ilość samolotów, artylerii i pojazdów pancernych...

Hitler obiecywał, że przyjmie defiladę swoich „zwycięskich, okrytych laurami największego triumfu Reichu" dywizji dokładnie w dniu 7 listopada w Moskwie na Placu Czerwonym pod murami Kremla. I przysiągł w imię Opatrzności, która dotąd „zawsze mu sprzyjała", że osiągnie ten cel.

Na początku października najeźdźcy wtargnęli już głęboko w radzieckie terytorium i zbliżali się do Moskwy, jakby nic ich nie mogło powstrzymać. Pod żelaznym butem okupanta znalazła się cała Białoruś, wszystkie republiki nadbałtyckie, zachodnie okręgi Rosji, znaczna część Ukrainy. Upadł też Smoleńsk, zawsze uważany za wrota Moskwy. Po straszliwych krwawych walkach dostały się w ręce wroga i Wiaźma, i Witebsk, i Możajsk, i Małojarosławiec. Potworna hitlerowska machina wojenna dotarła pod Moskwę. 20 października ogłoszono w stolicy stan oblężenia. Miasto przekształciło się w pole walki. Czy miało przestać bić wielkie serce Związku Radzieckiego?

Natychmiast po przybyciu do Moskwy stawiłem się w sztabie brygady, a następnie udałem się do Georgi Dymitrowa. Komintern nie został jeszcze ewakuowany, lecz wyjazd się zbliżał; archiwa, dokumenty i papiery były już popakowane i pierwsze partie ludzi zostały wysłane do Ufy i Kujbyszewa, aby poczynić przygotowania na przyjęcie pozostałych pracowników. Ale Dymitrow znajdował się jeszcze w Moskwie. W Moskwie byli też jego najbliżsi współpracownicy z Biura Zagranicznego — Wasil Kołarow, Stanke Dymitrow oraz Georgi Damianow, którego zastałem w gabinecie Dymitrowa, gdy tam wszedłem. Przywitaliśmy się serdecznie, ale bez uśmie-

chu; wojna spętała myśli i uczucia, wyryła piętno trwogi na każdej twarzy, w każdym sercu.

— Witaj, Wanko — rzekł Dymitrow. — Przybywasz na czas... Właśnie debatowaliśmy na temat międzynarodowego pułku w brygadzie... Czekaliśmy na twój powrót, by skierować cię tam jako komisarza. Decyzję tę podjęliśmy wraz z towarzyszami ze sztabu brygady. Czy nie masz nic przeciwko temu?

Czytelnik wie już, że chodzi o brygadę do zadań specjalnych, która zaczęła się formować w chwili, gdy powstawały bułgarskie grupy „spadochroniarzy" i „podwodne" (wchodziły one w jej skład). Pułk międzynarodowy był (jak dotąd) jednym z dwóch pułków brygady. Komintern zgromadził tam całą znajdującą się w ZSRR kadrę emigracji politycznej. Statut brygady (pełna jej nazwa brzmiała: Samodzielna Zmotoryzowana Brygada Strzelecka do Zadań Specjalnych) znany mi był już od pierwszych dni jej istnienia.

Rozmowa toczyła się dalej.

— Z pewnością wiesz już, Wanko, o twoich towarzyszach z łodzi podwodnych — rzekł Dymitrow. — Niektórzy z nich dostali się, niestety, w ręce policji...

O aresztowaniu paru spośród naszych ludzi, którzy odpłynęli owymi łodziami, dowiedziałem się z gazet jeszcze w Turcji. Dzienniki tureckie, przedrukowując informacje niemieckiej agencji prasowej, roztrąbiły szeroko ową wiadomość. Ale nazwisk nie podawały.

— A Cwiatko Radojnow? A Bojew? — spytałem.

— Bojew nie wyjechał i wykonuje teraz w Kujbyszewie inne zadania... A Cwiatko odpłynął. Zuch... Nie mamy o nim wiadomości. Może go nie złapali... Iwan Izatowski, Bayer i Trifon Georgijew zostali aresztowani, o tym już wiemy na pewno. Ale Cwiatko?...

Smutne przeczucie ścisnęło mi serce.

— Czy nikogo nie zabili?...

— Policja nie ogłosiła żadnych takich wiadomości. Gdyby były ofiary, pewnie by się tym pochwaliła, bo poinformowała o zlikwidowaniu naszych ludzi z grupy Grudi Filipowa... Sa-

molot zrzucił ich przez pomyłkę nie w okręgu starozagorskim, a pod Dobriczem... Walczyli do ostatniego naboju. Pięciu przeciwko pięciuset...

Zapadło milczenie. Myśleliśmy o poległych.

Dymitrow wyglądał źle. Włosy na skroniach bardzo mu posiwiały, twarz zbladła, a na wysokim czole uwypukliły się błękitne żyłki. Cała siła, która biła z jego twarzy, skupiła się teraz w oczach i ustach. Komintern pod przewodem Dymitrowa miał wykonać obecnie poważne zadania, decydujące o losach ludzkości. Cały proletariat światowy, wszystkie partie komunistyczne, wszystkie narody na zapleczu hitlerowskich ciemiężców trzeba było powołać do walki. Od zwycięstwa nad faszyzmem zależał nie tylko triumf rewolucji, ale i byt całego świata.

Pułk międzynarodowy w brygadzie do zadań specjalnych liczył początkowo niespełna tysiąc ludzi. Prawie jedna trzecia jego składu — około trzystu żołnierzy — byli to polityczni emigranci hiszpańscy, wygnani z kraju po upadku republiki. Reszta to Czesi, Słowacy, Polacy, Węgrzy, Jugosłowianie, Rumuni, Grecy, Bułgarzy, Włosi, Niemcy, sześciu Wietnamczyków, Francuzi, Finowie, było też paru komunistów angielskich, których wojna zaskoczyła w Moskwie, gdzie przebywali w związku ze swą działalnością partyjną, oraz Austriacy — liczni, bo stanowiący drugą co do wielkości grupę po Hiszpanach. Byli to w większości schutzbundowcy, którzy wyemigrowali do ZSRR po powstaniu lipcowym w 1927 roku i po drugim powstaniu wiedeńskim w 1934 roku.

Skład pułku się zmieniał. Przywódcy różnych partii komunistycznych, którzy w tym czasie przebywali w Moskwie (Wilhelm Pieck, Maurice Thorez, Palmiro Togliatti, Jose Diaz i Dolores Ibarruri, Koplenig, Klement Gottwald, Harry Pollit, Matyas Rakosi i inni), robili, co mogli, by wyszukać rozrzuconych po całym Związku Radzieckim współziomków i ściągnąć ich do stolicy.

W brygadzie do zadań specjalnych znajdowało się ponad stu Bułgarów. Jak już mówiłem, byli to nie tylko ludzie z grup „podwodnych" i „spadochronowych", gdyż w pobliżu Moskwy i na Krymie (nim dostał się on pod okupację najeźdźcy) szkoliło się jeszcze około sześćdziesięciu bułgarskich emigrantów politycznych, którzy w każdej chwili byli gotowi wyruszyć do walki na tyłach wroga. Poza tym do międzynarodowego pułku przyjęto piętnastu innych emigrantów i działaczy politycznych, jak również młodszą generację — synów i córki weteranów partyjnych — która wyrosła i wykształciła się w Związku Radzieckim. Byli to Georgi Pawłow-Gonju, Petko Kacarow, Gustaw Włachow, Penczo Stoiłow, Ilija Denew rodem ze wsi Dyłboki w okręgu starozagorskim, Iwan Krekmanow, dr Wiara T. Pawłowa (córka starego funkcjonariusza i teoretyka partyjnego, Todora Pawłowa), Wichra Atanasowa, Anna Dymitrowa (córka weterana partyjnego, Stefana Dymitrowa), synowie Georgi Michajłowa — Ognian i Kremen, córka Georgicy Karastojanowej — Lilia, syn dra Iwana Paszowa — Żorż, córka Georgi Damianowa — Roza — i inni.

W skład drugiego pułku brygady do zadań specjalnych weszli moskiewscy funkcjonariusze partyjni i komsomolscy, etatowi pracownicy wywiadu i kontrwywiadu oraz członkowie moskiewskiego klubu sportowego „Dynamo". Jak widać, owa jednostka bojowa dysponowała kadrami o wysokim poziomie politycznym, zahartowanymi i wszechstronnie przygotowanymi do szczególnych zadań, wyznaczonych im przez Komintern i władze radzieckie.

Jakie były te zadania?

Z początku brygada uczestniczyła w obronie Moskwy. Później zmiany na froncie podyktowały konieczność rozszerzenia jej i przekształcenia w jedną z jednostek przygotowujących i wysyłających na tyły wroga grupy wywiadowcze i bojowo-dywersyjne. Koordynowała, wspomagała i organizowała silny ruch partyzancki powstały na okupowanych terytoriach.

Ale w październiku i listopadzie 1941 roku przed brygadą stało tylko jedno jedyne zadanie — obrona Moskwy.

Brygada do zadań specjalnych została sformowana i uzbrojona w maksymalnie krótkim czasie. Dowódcą mianowano pułkownika N. F. Orłowa z wojsk ochrony pogranicza (był to stary bolszewik, uczestnik walk rewolucyjnych), komisarzem — podpułkownika F. I. Siedłowskiego. Dowódcą pułku międzynarodowego został W. W. Gridniew, a komisarzem — ja. Większość oficerów brygady znałem albo z Wojskowej Akademii im. Frunzego, albo z pracy wywiadowczej. Szczególnie cenną pomoc okazali brygadzie generałowie Sudopłatow i Leonid Etingon.

Rozlokowane w Moskwie pułki brygady do zadań specjalnych niezwłocznie zaczęły intensywne, trwające dniem i nocą przygotowania.

Listopad 1941 roku przyniósł z sobą straszną groźbę ataku najeźdźców. Moskwa przeżywała koszmarne dni. Niemcy napierali ogromnym tysiąckilometrowym łukiem od południowego zachodu na północny wschód w kierunku Tuły, Małojarosławca, Możajska i Wołokołamska. Trasa ta wiodła do stolicy. Armia radziecka ustępowała, lecz każdą piędź ziemi oddawała po ciężkich walkach, które przyczyniły wrogowi wiele strat w ludziach i sprzęcie. Lecz mimo wszystko hitlerowcy parli naprzód. W stronę Moskwy płynęły nie kończące się rzeki uciekających przed koszmarem frontu i okupacją niemiecką — kobiet, starców, dzieci... Lawiny ludzkie zatarasowały szosy, przeciążyły linie kolejowe, utrudniły regularne zaopatrzenie frontu.

Sytuację komplikowały naloty. Stukasy, junkersy, focke-wulfy, messerschmidty dniem i nocą krążyły w rejonie Moskwy i cały front rozbrzmiewał terkotem ich karabinów maszynowych oraz głuchymi eksplozjami bomb. Obiektem ataku faszystów stawały się nie tylko bazy wojskowe, fabryki, linie kolejowe, mosty i szosy. Z jakimś szczególnym sadyzmem piloci hitlerowscy ostrzeliwali z broni pokładowej uciekające

kobiety i dzieci. Samoloty niemieckie leciały nad tymi „obiektami" dopóty, dopóki nie wystrzelały ostatniego naboju z taśmy...

Ale maszyny przeciwnika latały też nad Moskwą. Stolica wciąż jeszcze nie miała skutecznej obrony przeciwlotniczej i wiele dzielnic, głównie przedmieścia, zostało poważnie zniszczone. Na szczęście ofiar było niewiele. Ludność znajdowała bezpieczne schronienie głęboko pod ziemią, w schronach na stacjach metra, które były nieosiągalne nawet dla bomb najcięższego kalibru. Wieczorem widziało się często, jak całe rodziny — kobiety, starcy i dzieci — udają się z tobołkami zawierającymi najkonieczniejsze przedmioty i żywność w kierunku zbawczej kolei podziemnej.

Zresztą w tym okresie metro dało schronienie również i większości sztabów jednostek wojskowych i niektórym nie ewakuowanym resortom centralnym, które wykonywały zadania związane z obroną Moskwy. Jedna z jego stacji, mianowicie im. S. M. Kirowa, stała się miejscem pracy również i Sztabu Generalnego Armii Czerwonej; tam urządzono gabinet Stalina. Sztab Generalny przeniósł się tam po zburzeniu w czasie nalotu części swego budynku na ulicy Kirowa, a także przyległej doń przybudówki, gdzie mieścił się gabinet Stalina.

Ale nikt nie widział głównodowodzącego, by schodził do schronu. Moi koledzy z jego otoczenia mówili, że pracuje on nadal i przyjmuje raporty na Kremlu. Zbędne jest chyba podkreślanie, jakie znaczenie miała jego obecność w Moskwie dla samopoczucia ludności.

Jak wiadomo, hitlerowcy rozpoczęli generalny atak na Moskwę już w dniu 30 września — i dla radzieckich sił zbrojnych oraz dla miasta cały październik był miesiącem poważnej próby. Za cenę ogromnych strat wróg zdołał przedrzeć się przez linie broniące stolicy i gdzieniegdzie front znalazł się pod samą Moskwą. Odległość dwudziestu czy trzydziestu kilo-

metrów, jaka dzieliła miasto od historycznych wzgórz Borodino i od Krasnej Polany, dla moskwian w ogóle nie była odległością, a niemieccy fizylierzy i poszczególne jednostki wojskowe tam właśnie dotarły. Hitler oświadczył, że przez lornetkę widział już wieże Kremla. I określał dzień, nawet godzinę, w której Moskwa się podda...

Lecz Moskwa się nie poddała.

Miasto walczyło już nie na życie, a na śmierć. Słowa: „Rosja jest wielka, ale nie ma się już gdzie cofnąć — za nami jest Moskwa" — nie wynikały z poczucia porażki. Były to słowa zahartowanych żołnierzy rewolucji.

Odcinek frontu, który zajmowała brygada do zadań specjalnych, miał szerokość około kilometra i głębokość około trzydziestu kilometrów. W kilkusetkilometrowym łuku frontu moskiewskiego (od Tuły na południu do Kalinina na północy) był to tylko mały fragment. Jednakże obejmował on część samej Moskwy. Przednia jego linia biegła za podmoskiewskimi wsiami Chimki i Baboszkino, a tyły opierały się o mury Kremla. W naszej strefie znajdował się Teatr Wielki, Dom Rad, Sala Kolumnowa oraz wszystkie gmachy państwowe i publiczne położone w kierunku zachodnim wzdłuż szosy leningradzkiej. Zgodnie z przyjętą taktyką sztab każdej jednostki wojskowej był zlokalizowany tam, gdzie mieściły się jego oddziały; sztab brygady do zadań specjalnych zajął jedno z pomieszczeń Sali Kolumnowej.

Przez cały październik brygada dokonywała niesłychanego wysiłku, aby przygotować powierzony jej odcinek frontu. Umocniony wieloma liniami obronnymi, miał się przekształcić w teren nie do zdobycia. W pracy tej przyszła brygadzie z pomocą część sławnych moskiewskich oddziałów ochotniczych, składających się z kobiet, dziewcząt i chłopców, emerytów nie objętych już poborem, starych weteranów partyjnych i aktywistów Komsomołu. Pracowaliśmy wraz z nimi doba za dobą, nie tracąc ani dnia, ani godziny, ani minuty... Towarzyszyło nam dudnienie zbliżającego się frontu, nocą zaś ogromna prze-

rażająca łuna oblewała niebo na zachodzie. Nie przerywaliśmy roboty w czasie nalotów. Pracowaliśmy wśród huku bomb i pod ostrzałem pikujących myśliwców. Drążyliśmy głębokie okopy, zakładaliśmy pola minowe, wznosiliśmy zapory przeciwczołgowe, budowaliśmy bunkry i gniazda strzeleckie, przeciągaliśmy połączenia telefoniczne, a poza tym, dopuszczając możliwość, że wróg wedrze się do samej Moskwy, przygotowywaliśmy do obrony niemal każdy budynek w naszej strefie aż do Sadowoje Kolco; o każdy dom, izbę i korytarz byliśmy gotowi walczyć do ostatniej kropli krwi. Ustawialiśmy też na ulicach barykady.

Tak samo wyglądały przygotowania do obrony w każdej dzielnicy Moskwy, od centrum w kierunku południowym, południowo-zachodnim, zachodnim i północno-zachodnim, skąd agresor atakował z piekielną siłą. W ciągu dni i godzin Moskwa, na którą zwrócone były oczy wszystkich narodów radzieckich, przekształciła się w ogromną, groźną cytadelę. I cytadela ta, gotowa bronić się do ostatka, nie wywiesiłaby białej flagi, choćby wróg miał ją obrócić w perzynę.

Równocześnie z umacnianiem powierzonego nam odcinka frontu gorączkowo szkoliliśmy żołnierzy przeznaczonych do wykonywania specjalnych zadań, bo musieliśmy walczyć nie tylko jak zwykła jednostka wojskowa w obliczu zbliżającego się najeźdźcy, lecz równocześnie mieliśmy organizować dywersję na tyłach wroga. Do zadań naszych należało więc przemykanie się przez linie przeciwnika w większych lub mniejszych grupach bojowych, by zadawać nagłe ciosy jego sztabom i węzłom łącznościowym, wysadzać mosty i pociągi z wojskiem oraz sprzętem, podpalać magazyny z żywnością i amunicją, minować drogi i budynki, gdzie wróg mógłby ewentualnie umieścić punkty dowodzenia, wreszcie prowadzić wywiad...

Zadania specjalne, które zlecił brygadzie Komintern i KC WKP(b), równały się faktycznie wojnie partyzanckiej.

4. Defilada na Placu Czerwonym

Wiele wydarzeń i konfliktów, wojen i potyczek było w moim życiu, lecz defilada wojskowa w dniu 7 listopada 1941 roku pod murami Kremla przewyższała wszystko swą wyjątkowością.

Czytelnik z pewnością o niej słyszał. Pozornie niczym się nie różniła od defilady w rocznicę rewolucji z lat poprzednich. A jednak wrażenia, jakie wywarła na ludności i wojsku, nie da się z niczym porównać. I wydaje mi się, że odegrała ona istotną rolę w umocnieniu woli odparcia najeźdźcy. W defiladzie tej uczestniczyła też nasza brygada.

Uroczysta akademia z okazji rocznicy rewolucji odbyła się jak zwykle 6 listopada wieczorem. Tym razem jednak nie jak dotąd w sali Teatru Wielkiego, a w hali podziemnej stacji im. Majakowskiego. W ogromnej, rozjarzonej światłami sali zgromadziło się tysiące ludzi, by uczcić kolejną rocznicę rewolucji.

— Czy jutro odbędzie się defilada? — zapytywaliśmy się wzajemnie my, wojskowi.

Powszechnie panowało przekonanie, że nie. Byliśmy także skłonni tak sądzić. Wielkie zgromadzenie żołnierzy ze sprzętem wojskowym oraz cywilnych manifestantów w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów od frontu stanowiło ogromne ryzyko — lotnictwo hitlerowskie mogło dotrzeć nad Kreml w ciągu paru minut i zmienić świąteczną manifestację w defiladę śmierci.

Jednakże wcześnie rano 7 listopada otrzymaliśmy ściśle tajny rozkaz, wydany przez dowodzącego moskiewskim okręgiem wojskowym P. A. Artemjewa, by wybrać po kilka kompanii najlepiej przygotowanych liniowych żołnierzy i dowódców, którzy wezmą udział w defiladzie na Placu Czerwonym. Kompanie te miały w pełnym rynsztunku bojowym zjawić się w dokładnie oznaczonym miejscu i czasie, by włączyć się w szeregi defilujących bez chwili zwłoki — i tak samo po-

wrócić na swe pozycje bojowe. Poza tym kilku oficerów ze sztabu brygady zaproszono na trybuny honorowe. Zdawało się nam, że śnimy...

Tymczasem ścisnął potężny mróz, śnieg skrzypiał pod butami, a oddech zamieniał się w gęste obłoczki pary. Niebo wisiało nisko nad miastem i wkrótce dużymi płatami zaczął padać śnieg.

W całkowitej tajemnicy wycofaliśmy z pozycji bojowych trzy kompanie w pełnym rynsztunku. Ze swymi dowódcami na czele odmaszerowały one na wskazane punkty. Jednocześnie paru spośród nas, starszych dowódców sztabu brygady, udało się na trybuny na Placu Czerwonym. Wykonaliśmy wszystko wedle rozkazu, ale nadal zapytywaliśmy się nawzajem, czy nic nie przeszkodzi defiladzie. Z niepokojem obracaliśmy wzrok na zachód, nasłuchiwaliśmy warkotu wrogich samolotów. Mogły w każdej chwili nadlecieć...

Defilada odbyła się. O wczesnej godzinie, o której tradycyjnie zaczynała się uroczystość, dokładnie co do minuty na trybunie Mauzoleum Lenina zjawili się przywódcy partii i państwa z głównodowodzącym na czele. I tak samo jak zawsze, zgodnie z wieloletnią tradycją, przywódca państwa radzieckiego wygłosił powitalne przemówienie. Głos jego brzmiał spokojnie i pewnie, a słowa przenikały jak prąd elektryczny.

Przemówienie głównodowodzącego radio transmitowało z Placu Czerwonego do wszystkich miast, rejonów i republik ZSRR, słowa jego powtarzały megafony na ulicach stolicy, a odbiorniki — we wszystkich sztabach ogromnego frontu i we wszystkich jednostkach mających akurat chwilę wypoczynku po walce. Słuchał go cały naród.

Potem zaczęła się defilada sił zbrojnych.

W odróżnieniu od lat poprzednich nie rozpoczęły jej eskadry lecących nad placem samolotów; dziś wraz z balonami zaporowymi i bateriami zenitówek strzegły one nieba Moskwy, by ani jeden wrogi lotnik nie mógł zmącić tej niezwykłej ceremonii.

I była jeszcze jedna różnica. Dotychczas oddziały ruszały defiladowym krokiem na wschód, w kierunku cerkwi Wasyla

Błażennego. Teraz odwrotnie: kolumny szły od wschodu, mijały z obu stron majestatyczną świątynię, łączyły się, przechodziły przed mauzoleum i oddalały się tam, skąd dolatywało dudnienie frontu.

Obserwowałem twarze defilujących opiętych w szare szynele. Były kamienne. Były to twarze żołnierzy gotowych własnym ciałem powstrzymać żelazny napór najeźdźcy. Ludzie ci odczuwali w tej chwili tylko jedną miłość — do ojczyzny. I mieli tylko jedno dążenie — do zwycięstwa...

Przemaszerowały również nasze kompanie. W białych ochronnych kombinezonach i białych kożuchach, z bronią na jednym ramieniu i nartami na drugim, żołnierze brygady przeszli przed trybunami w równym szyku. Zuchy! Wielu z nich ostatni już raz stąpało po granitowym bruku placu! Wielu z nich miało zostawić swe kości na przedpolach Moskwy, spełniwszy godnie swój obowiązek...

W pewnej chwili przez plac jakby przemknął wicher.

— Idą, idą, idą...

Nadchodziły sławne dywizje syberyjskie.

Od energicznego kroku ubranych w ciepłe kożuchy, świetnie uzbrojonych, świeżych posiłków z armii rozlokowanych na Syberii i Dalekim Wschodzie drżał cały Plac Czerwony. Patrzyliśmy na nich — przyznać się muszę — ze łzami w oczach. Przybywali w samą porę. Właśnie tutaj byli potrzebni, właśnie w tej godzinie pojawienie się ich na froncie dodawało ofiarnym obrońcom otuchy. Była to pomoc utwierdzająca wiarę w zwycięstwo. Sławne dywizje syberyjskie!

Przerzucenie dywizji syberyjskich z rejonów nadmorskich, Zabajkala i Kraju Chabarowskiego w październiku i listopadzie 1941 roku, mające decydujące znaczenie dla wyniku bitwy o Moskwę, związane było z sukcesem odniesionym przez radzieckiego wywiadowcę wojskowego Richarda Sorge. Zakonspirowany w owym okresie w Tokio w ambasadzie hitlerowskich Niemiec Richard Sorge we właściwym czasie zdobył i jeszcze w lipcu 1941 roku przekazał do ośrodka wiadomość, że Japonia nie zamierza przystąpić do wojny ze Związkiem Radzieckim, dopóki nie nastąpią sprzyjające warunki, rząd jej

bowiem dobrze pamięta porażkę odniesioną przy jeziorze Chasan i pod Chałchin-goł i nie ma ochoty po raz drugi kłaść ręki do ognia. Uwaga i zainteresowanie Japonii skierowane były ku Azji południowo-wschodniej i amerykańskim oraz angielskim koloniom na Pacyfiku. Armia kuangtungska przeznaczona była do działań w Chinach; Japonia prowadziła intensywne przygotowania do wojny na Oceanie Spokojnym. Ostatnia depesza Sorgego, nadana 25 września 1941 roku, głosiła: „Po upływie września radziecki Daleki Wschód można uważać za wolny od niebezpieczeństwa napaści ze strony Japonii".

I oto teraz dywizje syberyjskie przechodziły ulicami Moskwy, defilując przed przywódcami kraju, i od razu udawały się na front. Szczękały gąsienice potężnych czołgów, dudniły ogromne koła dział, grzmiały motory ciągników i ciężarówek, a błękitnawe lufy automatów błyszczały świątecznie i napełniały serca otuchą...

Bitwa o Moskwę, rozpoczęta 30 września, przybrała zwycięski obrót — jak wiadomo — na początku grudnia. 5 i 6 grudnia główne siły frontu moskiewskiego, wytrzymawszy straszliwy nacisk hitlerowców, przeszły do kontrofensywy. W ciągu dwóch miesięcy najeźdźca, oszołomiony niesłychanym bohaterstwem i wytrzymałością radzieckich żołnierzy, w panice wycofał się kilkaset kilometrów na zachód, usławszy zaśnieżone pola rosyjskie trupami, wrakami czołgów, samochodów pancernych, dział, samolotów...

Blitzkrieg hitlerowskiego Wehrmachtu po raz pierwszy załamał się pod murami Moskwy. Zginęło tu około pół miliona doborowych żołnierzy najeźdźcy. Tu upadł mit o niezwyciężoności niemieckiego oręża — i to było największe zwycięstwo.

Zdezorientowany i rozwścieczony klęską pod Moskwą Hitler, niedawno pyszniący się przed światem, iż przyjmie defiladę swych zwycięskich wojsk na Placu Czerwonym, teraz wyładowywał dziki gniew na swoich dowódcach. Po klęsce tej zwolnił lub zdegradował trzydziestu pięciu generałów. Wśród ukaranych znaleźli się: dowodzący grupą armii „Środek", feld-

marszałek Bock, dowodzący 2 i 4 armią czołgową oraz 9 armią polową — Guderian, Hoepner i Strauss. Zdjęty został ze stanowiska również sam głównodowodzący wojsk lądowych Wehrmachtu, generał-feldmarszałek von Brauchitsch.

Jednakże porażka poniesiona została raczej nie z winy tych generałów. Pod Moskwą starły się dwie strategie, dwie polityki. I w starciu tym radziecka strategia wojskowa oraz pokojowa polityka ZSRR zadały ciężką, lecz zasłużoną klęskę strategii Blitzkriegu, polityce agresji.

Rozgromienie faszystowskich najeźdźców pod Moskwą to decydujący zwrot nie tylko w wojnie ojczyźnianej, lecz i w przebiegu drugiej wojny światowej...

Zwycięskie zakończenie bitwy o Moskwę dla nas, żołnierzy brygady do zadań specjalnych, było początkiem działań wywiadowczych, dywersyjno-sabotażowych i partyzanckich na tyłach wroga.

Zresztą zaczęliśmy już atakować tyły najeźdźcy w czasie walki o Moskwę. Podczas gdy część brygady broniła powierzonego jej odcinka frontu, część przeprowadzała śmiertelnie niebezpieczne wypady za front. Zadanie to zostało powierzone przede wszystkim naszym sportowcom.

Muszę im poświęcić wiele serdecznych słów, ich sukcesy bowiem szeroko rozsławiły brygadę do zadań specjalnych.

W jej szeregach znajdowało się kilka tysięcy sportowców. Byli to wychowankowie klubu „Dynamo" oraz studenci i wykładowcy Centralnego Instytutu Kultury Fizycznej w Moskwie. Sportowcy z „Dynamo" (kolarze, lekkoatleci, bokserzy, łyżwiarze, piłkarze, ciężarowcy, motocykliści, pływacy, skoczkowie spadochronowi, piloci-amatorzy, radiotelegrafiści, strzelcy wyborowi, wioślarze i przede wszystkim — narciarze) byli to powołani do wojska młodzi ludzie, którzy zdaniem Sztabu Generalnego mogli być najskuteczniej wykorzystani przy nas. Studenci i wykładowcy z CIKF zgłosili się do brygady na ochotnika w odpowiedzi na apel partii i Komsomołu, wzywający do obrony Moskwy. Wśród członków „Dynamo" i studen-

tów-ochotników znajdowali się znani mistrzowie sportu, rekordziści, ulubieńcy radzieckiej młodzieży. Byli wśród nich na przykład bracia Serafim i Georgij Znamienscy, Lew Temurian, L. Kudakowskij, M. Pieszczeriakow, O. Smirnow, B. Bielajew, Nikoła Szatow, Lubow Kunakowa, Nikołaj Karolew, Aleksiej Dyłgouszek, Wiktor Zajpold, Georgij Iwanow, Ilia Dawidow, Borys Gałuszkin, Jewgienij Iwanow, Borys Graczew, Paweł Markin, Walentina Gonczarenko i wielu innych.

Skupiwszy w sobie najlepsze wartości człowieka radzieckiego, nieustraszeni, pełni poświęcenia, wspaniale zahartowani fizycznie, bezgranicznie oddani swej ojczyźnie i rewolucji, ci młodzi ludzie wykazali w czasie najzacieklejszych walk o Moskwę bezprzykładne bohaterstwo, świetne przygotowanie wojskowe, ogromną wytrzymałość. Ileż razy ich grupy bojowe, ubrane na biało, znikały w mroku nocy, sunąc na nartach, by dokonywać swych wielokilometrowych rajdów na tyły wroga, by prowadzić wywiad, niszczyć sprzęt bojowy przeciwnika, siać panikę w jego szeregach, wysadzać mosty, zaminowywać szosy i linie kolejowe... Niosły te zuchy ze sobą automat, plecak z amunicją i ładunkami wybuchowymi oraz trochę żywności. Milcząc wyruszali w piekielnym huku ognia artyleryjskiego i bomb lotniczych, wśród świstu kul... I wracali po dniu lub dwóch. Ale nie wszyscy. Niebezpieczne zadania kosztowały życie większość z nich. Śmierć szalała jednak dookoła; nie mogła już przestraszyć nikogo. Myśl o klęsce była od niej straszniejsza. I następnej nocy ci, co ocaleli, wraz z nowymi wyruszali ponownie na tyły wroga, znów tak samo cicho sunęli na nartach w mrokach nocy, niosąc automaty, ładunki wybuchowe i własne męstwo. Owo sławne męstwo narodu, które przyniosło zwycięstwo.

Wielu zginęło.

Polegli bracia Serafim i Georgij Znamienscy, Borys Gałuszkin, Lew Temurian, B. Bielajew i dziesiątki innych wspaniałych radzieckich sportowców-patriotów, wychowanków Centralnego Instytutu Kultury Fizycznej i jego wykładowców. Teraz w Związku Radzieckim co roku organizuje się zawody

lekkoatletyczne o memoriał braci Znamienskich, do tradycji przeszły też biegi na przełaj o memoriał Borysa Gałuszkina...

Pod murami Kremla, gdzie spoczywają szczątki Nieznanego Żołnierza poległego w czasie obrony Moskwy, na płycie nagrobkowej przy zniczu wyryte są słowa: „Imię twoje jest nieznane. Czyn twój — nieśmiertelny". Głoszą one również chwałę żołnierzy z brygady do zadań specjalnych.

Słowa te zostały wyryte także ku czci żołnierzy z pułku międzynarodowego.

Trudno bez wzruszenia pisać i mówić o odwadze i czynach emigrantów politycznych różnych narodowości, którzy w owych latach własną piersią zasłaniali mury Moskwy. Wiedzieli oni, że klęska Związku Radzieckiego równać się będzie klęsce rewolucji, rozumieli, że przyszłość świata zależy od zwycięstwa nad faszyzmem. I walczyli z poświęceniem. Wielu z nich poległo. Zginął syn Dolores Ibarruri, który wstąpił do brygady na ochotnika i w stuosobowej grupie wysłany został na pomoc Stalingradowi. Zginęli inni bliscy mi towarzysze, internacjonaliści, którzy rozsławili swe imię w ruchach rewolucyjnych. Komuniści hiszpańscy, niegdyś obrońcy Madrytu, teraz walczyli za Moskwę, jakby była ich stolicą, jakby osłaniali Hiszpanię... Prawdziwie bohatersko bili się austriaccy schutzbundowcy, zresztą wszyscy — Niemcy, Jugosłowianie, Czesi, Słowacy, Bułgarzy, Węgrzy, Grecy, Francuzi, Wietnamczycy, Rumuni, Włosi, antyfaszyści i komuniści angielscy — walczyli z odwagą. Tu, pod Moskwą, znów własną krwią cementowali internacjonalistyczną solidarność.

W czasie bitwy o Moskwę do międzynarodowego pułku przybywali często Dolores Ibarruri, Wilhelm Pieck, Johann Koplenig — generalny sekretarz Komunistycznej Partii Austrii i członek Komitetu Wykonawczego Kominternu, Matyas Rakosi i inni, którzy żywo interesowali się swymi współziomkami, wygłaszali pogadanki i informacje polityczne, podtrzymując bojowy nastrój. Ja przynajmniej raz w tygodniu szedłem ze sprawozdaniem do Kominternu, do Georgi Dymitrowa; dbał on o pułk międzynarodowy i poświęcał mu wiele uwagi i troski.

Brygada nasza cieszyła się ogromnym szacunkiem ludzi radzieckich. Często gościli u nas i rozmawiali z nami lub czytali swe utwory Ilia Erenburg, Fadiejew, Katajew, Simonow i inni pisarze.

Gdy minął styczeń 1942 roku, brygada do zadań specjalnych zaczęła na tyły najeźdźcy, odpartego już o setki kilometrów na zachód, wysyłać swe grupy bojowe i partyzanckie: dowódców, instruktorów od radiotelegrafii i dywersji, lekarzy, łączników, komisarzy politycznych, techników zbrojeniowych... Na okupowanych terytoriach rozgorzała wielka wojna partyzancka. Wezwanie rządu radzieckiego: „Podpalmy ziemię pod nogami okupanta" postawiło w stan pogotowia bojowego ogromną liczbę patriotów.

Grupy partyzanckie tworzyli żołnierze, których nieprzyjaciel otoczył gdzieś w czasie walki, odcinając im drogę do szeregów, robotnicy i kołchoźnicy, kobiety i starcy, dziewczęta i chłopcy, którzy nie mogli spokojnie patrzeć na to, jak wróg depcze żelaznym butem ziemię radziecką. Na początku 1942 roku armia partyzancka objęła swą aktywną działalnością wszystkie bez wyjątku okupowane rejony kraju — Białoruś, Ukrainę, republiki nadbałtyckie, Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republikę Radziecką do Smoleńska, cały Półwysep Krymski i Mołdawię. Toczyła się walka na śmierć i życie.

Dopiero teraz, po pierwszym kontruderzeniu pod Moskwą i po wszczęciu wojny partyzanckiej, najeźdźca pojął, jak straszliwa, potężna i niezwyciężona jest siła narodów ZSRR... A wroga czekały jeszcze dalsze doświadczenia, miała nastąpić bitwa pod Stalingradem, katastrofalna klęska hitlerowców pod Kurskiem, po której przeciwnik nie miał już innego wyjścia, jak tylko ustępować, dopóki nie zostanie ostatecznie rozgromiony...

Na nowym etapie wojny brygada wszelkimi sposobami pomagała zbierać rozrzucone i pozbawione łączności z dowództwem grupy ruchu oporu i zbroić je oraz organizować jednolite kierownictwo partyzanckiej armii. Oczywiście, cztery pułki bry-

gady (ich liczba wzrosła w czasie bitwy o Moskwę) nie były w stanie dokonać tego same. Armia partyzancka liczyła setki tysięcy żołnierzy i kilka tysięcy oddziałów, wliczając w to nielegalne grupy bojowe działające w okupowanych miastach, wsiach i innych ośrodkach. Dlatego do skoordynowania ruchu partyzanckiego zaangażowano z rozkazu Sztabu Generalnego również i inne jednostki specjalne. I w wyniku całej tej ogromnej pracy armia partyzancka w znacznym stopniu przekształciła się w jeden organizm, zdolny wykonywać akcje bojowe oraz taktyczne i strategiczne zadania zlecane przez Sztab Generalny, a więc utrudniać łączność na tyłach wroga, niszczyć jego żywą siłę i sprzęt bojowy, obserwować ruchy i koncentrację jego jednostek i na czas informować o tym naczelne dowództwo, wysadzać linie kolejowe, zaminowywać mosty i drogi, podpalać magazyny żywności i amunicji... Zgrupowania partyzanckie przyczyniły się w znacznym stopniu do osłabienia i klęski faszystowskiego najeźdźcy.

Po zwycięstwie pod Moskwą sportowcy, mechanicy, technicy, strzelcy, lekarze, radiotelegrafiści i wszyscy pozostali żołnierze brygady regularnie przedostawali się poza front. W stolicy zostawali tylko dowódcy sztabowi (i to nie wszyscy), łącznicy, którzy mieli podtrzymywać stały kontakt z setkami oddziałów partyzanckich na tyłach wroga, mechanicy, lotnicy i zaopatrzeniowcy. Sztab dążył do tego, by zawsze wiedzieć, gdzie znajduje się każdy oddział partyzancki, jakie jest jego uzbrojenie i skład osobowy. Akcje partyzanckie uzgadnialiśmy z naczelnym dowództwem, a prawie zawsze były one skoordynowane z całokształtem działań ofensywnych na froncie. Niemal wszystkie oddziały dysponowały radiostacjami i miały swoich radiotelegrafistów, wysłanych przez nas. Mieliśmy kody i szyfry, dzięki którym utrzymywaliśmy stały kontakt radiowy. Przez radio oddziały partyzanckie sygnalizowały o grupowaniu się niemieckich jednostek w określonym miejscu, o świeżo przybyłych transportach wojskowych, prosiły o konieczną broń, amunicję, lekarstwa oraz odbierały rozkazy nowych zadań bojowych. Broń i amunicję wysyłaliśmy samo-

lotami i zrzucaliśmy na spadochronach. Na spadochronach skakali też ludzie — nasi technicy zbrojeniowi, instruktorzy wojskowi, lekarze, korespondenci wojenni i inni. Gdy warunki były sprzyjające, samoloty lądowały wprost na ziemi partyzanckiej, by zostawić ludzi czy ładunek, a zabrać na pokład rannych wymagających leczenia szpitalnego lub też odwieźć z powrotem do bazy brygady tych, którzy wykonali już na tyłach wroga kolejne zadanie. Na tyły wroga wysyłaliśmy również kilkudziesięcioosobowe grupy żołnierzy, będące zalążkami przyszłych silnych formacji partyzanckich. Jedna z takich grup, dowodzona przez majora M. S. Prudnikowa, została zrzucona w lasach Białorusi i przekształciła się w świetny oddział partyzancki, który znakomicie wykonał szereg ważnych zadań bojowych. Za bezprzykładną odwagę wielu żołnierzy z tego oddziału wraz z dowódcą M. S. Prudnikowem otrzymało tytuł Bohatera Związku Radzieckiego oraz inne wysokie odznaczenia.

Na tyły wroga udawali się nie tylko żołnierze, ale i wyżsi oficerowie brygady. Udał się tam nawet na pewien czas sam dowódca — pułkownik M. F. Orłow. Zastępowałem go pod jego nieobecność (po 1942 roku byłem już dowódcą pułku międzynarodowego).

Również i ja przerzucany byłem na tamtą stronę. Musiałem na miejscu sprawdzać wykonanie powierzonych zadań, pomagać formującym się dopiero oddziałom partyzanckim, wysadzać pewne szczególnie ważne obiekty przeciwnika itd. Kilkakrotnie skakałem ze spadochronem na małe polany leśne, gdzie mnie już oczekiwano. Kiedyś samolot, którym przelatywałem nad linią frontu, wylądował na terytorium partyzanckim, by zabrać do Moskwy ciężko rannych.

Działalność partyzancką na tyłach wroga wspierali też żołnierze z międzynarodowego pułku. Stopniowo zresztą zaczęli oni wykonywać szczególne zadania. Wszechstronnie przygoto-

wane i świetnie uzbrojone grupy złożone z przedstawicieli jakiejś narodowości wysyłaliśmy samolotami na terytorium ich kraju, okupowanego przez hitlerowców. W ten sposób przerzuciliśmy naszych ludzi do Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier, Austrii, Jugosławii, nawet do Niemiec. Tam, we własnej ojczyźnie, grupy te miały wesprzeć partyzancką i dywersyjną działalność antyfaszystów. Jak już mówiłem, pierwsze z takim zadaniem wyruszyły bułgarskie grupy „podwodne" i „spadochronowe". W grudniu 1941 roku i styczniu 1942 roku zrzuciliśmy na spadochronach parę grup Polaków. Potem odlecieli Jugosłowianie, Czesi, Słowacy, Austriacy, Rumuni i Węgrzy... Nie wszyscy zdołali dotrzeć do rodzinnej ziemi; niektóre z wiozących ich samolotów zostały strącone przez wrogie myśliwce lub artylerię przeciwlotniczą przeciwnika. A i spośród tych, którzy wylądowali, zginęło później wielu w starciu z hitlerowcami. Lecz sporo ocalało, doczekało zwycięstwa, do którego przyczynili się swym męstwem.

Nim zakończę notatki o brygadzie, czuję się w obowiązku wspomnieć też o bułgarskich internacjonalistach (poza tymi, którzy udali się do ojczyzny łodziami podwodnymi i samolotami), będących jej członkami. A więc przede wszystkim opowiedzieć muszę o komsomołce Lilii Karastojanowej, która została wysłana samolotem na tyły wroga jako korespondent wojenny dziennika „Komsomolska Prawda". Córka pary bohaterów walk BPK — Aleksandra i Georgicy Karastojanowów — Lilia odważnie spełniła swój żołnierski obowiązek. Zginęła podczas niebezpiecznej akcji dywersyjnej. Muszę też wspomnieć o bohaterskim Asenie Draganowie, który wstąpił do brygady na ochotnika i poległ, dokonując partyzanckiego zwiadu daleko na hitlerowskich tyłach. Opowiem i o ochotniku Żorżu Paszowie. Jego brat, Karl, zginął przed czterema laty w Hiszpanii. Żorż zaś poległ w walkach o Smoleńsk. Muszę też wspomnieć Kremena i Ogniana, synów starego działacza partyjnego Georgi Michajłowa; w październiku podczas naj-

żaciętszych bojów o Moskwę zostali oni ranni i do końca życia pozostali już inwalidami. Trzeba też powiedzieć o bohaterstwie dr Wiary Dawidowej (Pawłowej), córki weterana partyjnego Todora Pawłowa; wielokrotnie wysyłana samolotem na tyły przeciwnika, z narażeniem życia w ciężkich warunkach polowych przeprowadzała setki operacji, ratując od śmierci partyzantów ciężko ranionych w nierównej walce z najeźdźcą. Wspomnę wreszcie córkę starego działacza partyjnego z Ruse, Aleksandra Atanasowa, Wichrę, która przez cały czas walk pod Moskwą i w okresie kontrofensywy była w zależności od potrzeby sanitariuszką, żołnierzem lub zwiadowcą.

Do uczestników walk brygady należy również zaliczyć członków grupy wspaniałego bułgarskiego rewolucjonisty Żeczo Giumiuszewa, mego starego — jeszcze z początku lat dwudziestych — towarzysza broni, byłego kuriera Kominternu, śmiałego wywiadowcę wojskowego na Dalekim Wschodzie, utalentowanego inżyniera elektryka, członka hiszpańskich brygad międzynarodowych, jednego z przywódców grup „spadochronowych", które jesienią 1941 roku Georgi Dymitrow zatrzymał przed startem, dowiedziawszy się o tragicznym losie tych, co odlecieli wcześniej.

Na początku marca 1944 roku grupa Giumiuszewa, składająca się z pięciu komunistów bułgarskich i dwóch Jugosłowian, została skierowana na terytorium partyzanckie w Jugosławii, skąd miała udać się do Bułgarii. Jednakże nad Karpatami samolot dostał się w burzę śnieżną, pilot stracił orientację i na skutek oblodzenia maszyny — kontrolę nad sterami. W następstwie rozbił się o nieznany szczyt górski. Gdy wieść o tym dotarła do nas z radzieckiego punktu radiotelegraficznego, który do ostatka utrzymywał łączność z samolotem, byliśmy wstrząśnięci...

Wszyscy internacjonaliści bułgarscy mężnie walczyli też w brygadzie, godnie reprezentując nasz naród i naszą bohaterską partię komunistyczną. I prawie wszyscy zostali dekorowani przez rząd radziecki wysokimi odznaczeniami.

5. Samolotem do partyzantów jugosłowiańskich

Luty 1944 roku. Druga wojna światowa zbliża się ku końcowi. Wiadomo już, że będzie to zwycięstwo nad faszyzmem. O ile po bitwie o Moskwę przeciwnik wciąż jeszcze żywił jakieś nadzieje i liczył na wyrównanie strat, o tyle po bitwie o Stalingrad, a szczególnie po klęsce poniesionej na Łuku Kurskim nie miał już żadnych szans. W końcu lutego 1944 roku siły zbrojne Związku Radzieckiego odniosły nowe świetne zwycięstwo — po okrutnym trzyletnim oblężeniu odparto hitlerowców spod Leningradu i na całym froncie od Bałtyku do Odessy Armia Radziecka przeszła do natarcia. Ognisty pas frontu znów przesuwał się z miażdżącą siłą, lecz teraz w odwrotnym kierunku, a końcowym celem, wypisanym na lufach dział i pancerzach czołgów, był Berlin! Aż do Berlina należało ścigać i tam zniszczyć faszystowskiego najeźdźcę, tam, skąd wyruszył, by podbijać ludy i narzucać światu „nowy ład".

I już nic, nawet Opatrzność nie mogła mu pomóc. Ludzkość czuła budzącą się wiosnę zwycięstwa.

Początek 1944 roku przyniósł też specyficzne zmiany w sytuacji politycznej Bułgarii. Monarcho-faszystowskie władze wpadły w panikę, gdy hitlerowcy ponieśli klęskę na froncie wschodnim. Panika ta narastała również wskutek zmian, które nastąpiły na południu Europy — Półwysep Apeniński nagle jak dojrzała gruszka odpadł od osławionej osi Rzym—Berlin. Gdy wylądowały tam wojska alianckie — Włochy skapitulowały.

Z nadejściem 1944 roku wojna zastukała, nie, załomotała pięściami również do wrót monarcho-faszystowskiej Bułgarii; stała się nagle okrutnie realna. Alianci rozpoczęli naloty na Sofię i inne większe miasta. Pod ruinami domów ginęły dziesiątki tysięcy sofijczyków, którzy zaufali „niemieckiemu parasolowi obronnemu" nad Sofią, podczas gdy stolicę ochraniało tylko kilkadziesiąt bułgarskich messerschmidtów i cztery baterie przeciwlotnicze, bezsilne wobec wielkiej powietrznej armady superfortec eskortowanych przez setki szybkich myśliwców...

Naród płacił krwią za sprzedajność i przestępczą głupotę swoich przywódców.

Władze burżuazyjne, balansując na skraju przepaści, gorączkowo chwytały się różnych kombinacji politycznych. Zmiana kursu oznaczała w istocie próbę przeskoczenia z tonącego już okrętu hitlerowskich Niemiec na zbawczy okręt angielskiego i amerykańskiego imperializmu. Starą zdradę podstawowych interesów narodu burżuazja bułgarska chciała zastąpić nową... 1 czerwca utworzono gabinet Iwana Bagrjanowa, starego dworaka, będącego zawsze narzędziem sił reakcyjnych byłego działacza prawicy Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego. Burżuazja obarczyła go prowadzeniem skomplikowanej podwójnej gry z hitlerowskimi Niemcami i z aliantami jednocześnie. W taki to sposób połowicznie zdradzała ona swego do niedawna „wiecznego" sojusznika, Hitlera, w najmniejszym nawet stopniu nie zdradzając własnych interesów klasowych...

Biuro Zagraniczne partii wraz z Georgi Dymitrowem śledziło pilnie każdą zmianę w polityce zagranicznej kraju, każdą nową tendencję monarcho-faszystowskich kół rządzących, które rozpaczliwie szukały wyjścia ze ślepego zaułka. Jeszcze w marcu i kwietniu, gdy w parlamencie zaczęły się debaty nad powołaniem nowego gabinetu, Dymitrow przewidywał, że burżuazja bezwzględnie zmieni swą orientację polityczną, ale tylko pozornie, i obawiał się, że nowi politycy swą dwulicowością i demagogią mogą obałamucić niektóre warstwy społeczeństwa.

Niepokój Georgi Dymitrowa był uzasadniony. Istniało nawet niebezpieczeństwo, że dwulicowości i demagogii politycznej ulegną niektórzy działacze partii pozostający w kraju. Porwawszy naród do powszechnej bezkompromisowej walki przeciwko monarcho-faszystowskiej tyranii, na początku 1944 roku BPK odczuwała dotkliwy brak kadr kierowniczych. Lata zaciętej walki wyrwały z jej szeregów wielu wspaniałych przywódców. W lipcu 1942 roku w podziemiach Szkoły Oficerów Rezerwy rozstrzelani zostali: Anton Iwanow — pełnomocnik Biura Zagranicznego, Cwiatko Radojnow — przewodniczący

komisji wojskowej KC oraz jego najbliżsi współpracownicy: Nikoła Wapcarow, Atanas Romanow i Anton Popow. Również latem 1942 roku powieszono w Płowdiwie grupę działaczy rewolucyjnych, w której był członek KC, Peter Czengełow. Jednocześnie władze zdołały schwytać i wtrącić do więzienia sekretarza partii, Trajczo Kostowa, i szereg innych wybitnych przywódców partyjnych. Latem 1943 roku zginął w nierównej walce z policją Emil Markow, zastępca Cwiatko Radojnowa w komisji wojskowej. W grudniu 1943 roku został zabity w zasadzce członek KC, Nikoła Parapunow. W lutym 1944 roku padł przeszyty kulą policjanta wybitny przywódca partyjny i weteran ruchu rewolucyjnego, Christo Michajłow. Aresztowania i egzekucje w gruncie rzeczy ominęły tylko nielicznych członków KC, ale na tych ciążyły już jeden lub dwa wyroki śmierci, toteż musieli działać pod groźbą szalonego ryzyka, w głębokiej konspiracji... Dymitrow uważał, że przed Komitetem Centralnym BPK w kraju czas stawia wciąż nowe, coraz bardziej złożone, coraz cięższe i bardzo odpowiedzialne zadania, dlatego musi on otrzymać pomoc w postaci doświadczonych i przygotowanych kadr kierowniczych. Toteż jeszcze w grudniu 1943 roku Biuro Zagraniczne podjęło decyzję, by wysłać do Bułgarii Stanke Dymitrowa-Marka. Miał on wejść do KC i ewentualnie stanąć na czele antyfaszystowskiego ruchu oporu, zbliżał się bowiem czas, w którym aktualne stawało się ogólnonarodowe powstanie zbrojne.

Wybór nie był przypadkowy. „Marek" zaliczał się do wybitniejszych działaczy BPK. Już od lat dwudziestych, odkąd wszedł w skład kierownictwa partii, aż do powstania wrześniowego, gdy został sekretarzem KC BPK, i później, kiedy zdecydowanie bronił właściwego kursu wrześniowego przeciwko atakom z lewej i prawej strony, Stanke Dymitrow-Marek wyróżniał się jako jeden z najbardziej utalentowanych i wybitnych komunistów nie tylko w naszej partii, lecz i w Kominternie. Już przed ośmiu laty wykonał świetnie trudne zadanie podobne do tego, jakie Biuro Zagraniczne zlecało mu obecnie; wysłany nielegalnie wraz z Georgi Damianowem do Bułgarii, czuwał w latach 1935—1937 nad tym, by praca par-

tyjna poszła po nowej, dymitrowowskiej linii. Założył wówczas fundamenty pod front ludowy w kraju. W czasie wojny Stanke Dymitrow energicznie prowadził akcję politycznego uświadamiania ludzi pracy, tak by podjęli walkę przeciwko faszyzmowi. Był on jednym z najczynniejszych współpracowników radia „Christo Botew", a od października 1941 roku do lutego 1944 roku kierował radiem „Głos Ludowy", pracującym na tych samych falach co faszystowskie radiostacje Sofia i Skopje.

W marcu 1944 roku zostałem śpiesznie wezwany przez Georgi Dymitrowa do jego domku pod Moskwą. „Marek" zakończył właśnie pracę w „Głosie Ludowym". Oprócz niego u Dymitrowa zastałem jeszcze Wasila Kołarowa i Georgi Damianowa. Spóźniłem się. Przyszedłem, gdy kończyli już naradę.

— Musiałem poczekać na samolot z naszymi ludźmi wracającymi z tyłów — rzekłem, aby się usprawiedliwić.

Rzeczywiście tego wieczoru przyleciał nieoczekiwanie ze Słowacji samolot, który poprzedniej nocy odwoził do partyzantów grupę bojowników, broń i lekarstwa, a zabierał stamtąd parę osób, w tym jednego z dowódców naszej brygady. W drodze powrotnej, gdzieś nad Kiszyniewem, został poważnie uszkodzony przez zenitówki.

— Pewnie się już nawojowałeś, Wanko? — powitał mnie z uśmiechem Dymitrow, gdy serdecznie uścisnąłem ręce wszystkim obecnym.

— Do Berlina jeszcze daleko — odparłem. — Mam jeszcze cierpliwości na rok lub dwa, póki nie dotrzemy do Unter den Linden. Marzę o tym, żeby znów pospacerować koło Reichstagu, zobaczyć Moabit...

Dymitrow się roześmiał:

— Muszę przyznać, że i ja czasami mam na to ochotę... Dotąd jeszcze proces śni mi się czasem po nocach. I wydaje mi się, że ulży mi naprawdę dopiero wtedy, kiedy zobaczę Moabit zrównany z ziemią, a nad Reichstagiem sztandary z sierpem

i młotem... Ale ty będziesz musiał przekazać pułk komu innemu — dodał. — Pojedziesz z „Markiem".

Nowe zadanie zlecone mi przez Biuro Zagraniczne polegało na tym, bym wraz z grupą paru osób towarzyszył do kraju Stanke Dymitrowowi i bym mu służył pomocą jako specjalista do spraw wojskowych. Następnie Georgi Dymitrow omówił niezwykle odpowiedzialne zadanie, jakie spadało na „Marka".

Mieliśmy odlecieć samolotem i na spadochronach wylądować na partyzanckiej ziemi w Czarnogórze, a stamtąd jak najprędzej przedostać się do Bułgarii. Przez cały czas należało utrzymywać kontakt radiowy z Georgi Dymitrowem.

„Marek", przywódca naszej grupy, wyglądał nieszczególnie. Był wycieńczony, oczy miał podkrążone, twarz pokrytą siecią zmarszczek, włosy już mu prawie zupełnie posiwiały. A przecież nie był tak bardzo stary — w lutym 1944 roku skończył pięćdziesiąt lat. Jednakże najpierw wyczerpująca działalność w konspiracji, potem trudne lata na emigracji, wreszcie trwająca niemal całą dobę praca przez wszystkie lata wojny w „Głosie Ludowym" — zrobiły swoje. Przy tym „Marek" już od młodości miał słabe zdrowie.

Lecz mylić się będzie Czytelnik, który pomyśli, że w osobie Stanke Dymitrowa w lutym 1944 roku widziałem po prostu posiwiałego, osłabłego, bezsilnego weterana. Mimo iż wyglądał na wyczerpanego, był jednym z owych bojowników o żelaznym charakterze, których żadna dolegliwość fizyczna ani żadna przeszkoda nie zdołają powstrzymać od wykonania obowiązku. Później dowiedziałem się, że na krótko przed naszym spotkaniem Georgi Dymitrow niemal siłą wysłał „Marka" na miesięczny wypoczynek, zanim wyruszy do Bułgarii. „Marek" podporządkował się, wyjechał, lecz już pod koniec drugiego tygodnia wrócił.

— Odpocząłem sobie — oświadczył. — Gotów jestem do odlotu.

Przed grupą Stanke Dymitrowa Biuro Zagraniczne wysłało do Bułgarii szereg starych i doświadczonych działaczy rewo-

lucyjnych, jak Szteriu Atanasow, Błagoj Iwanow, Iwan Pejczew, Paweł Cyrwułanow. Wspomniałem już również o grupie, która z Żeczo Giumiuszewem zginęła tragicznie nad Karpatami.

W skład grupy „Marka" oprócz mnie wchodzili: Dimitr Gilin (emigrant polityczny, major Armii Radzieckiej i uczestnik obrony Moskwy), Petko Kacarow (również emigrant, żołnierz międzynarodowego pułku), Ilija Denew i Iwan Ciwinski (nasi emigranci polityczni, również żołnierze pułku międzynarodowego), Radił Iwanow-Sasza (emigrant polityczny, jeden z doskonałych radiotelegrafistów-instruktorów w Kominternie), Liuben Żekow (syn starego działacza partyjnego, Żeko Dymitrowa, wychowany i wykształcony w ZSRR, również jeden z najbardziej doświadczonych radiotelegrafistów-instruktorów w Kominternie), Elena Kasabowa (córka warneńskiego przywódcy partyjnego Błagoja Kasabowa, wychowana w Związku Radzieckim, także świetna radiotelegrafistka Kominternu).

Biuro Zagraniczne uprzednio uważnie rozpatrywało kandydaturę każdego członka grupy „Marka". Brano pod uwagę czynny udział w ruchu rewolucyjnym oraz wartości bojowe i polityczne. Pięciu starszych — Gilin, Petko Kacarow, Ilija Denew, Ciwinski i Radił Iwanow — było rewolucjonistami, którzy niejednokrotnie dali dowody oddania idei i poświęcenia. Dwoje młodszych — Żekow i Kasabowa — mimo iż nie posiadało doświadczenia tamtych, było wiernymi ideałom ojcowskim komunistami, gotowymi podjąć się nawet najbardziej ryzykownego zadania. Szczególnie wzruszająca w swej żarliwości była komsomołka Elena, dziewczyna zaledwie osiemnastoletnia, która przyjęła mianowanie jej na radiotelegrafistkę grupy jak zaszczyt.

Już wtedy, w domu Dymitrowa, podczas pierwszej rozmowy, dotyczącej lotu na tereny partyzanckie, wymieniliśmy opinie na temat sposobów lądowania. Georgi Dymitrow za najpewniejsze uważał lądowanie samolotu na wyznaczonym miejscu. Drugi sposób — był to skok na spadochronie i początkowo na to właśnie się zdecydowaliśmy. Debatowaliśmy

też nad tym, czy grupa ma wyruszyć w całości, czy też pierwszą jej część poprowadzę ja, aby przygotować, co należy, na przylot „Marka" z resztą. Ostateczną decyzję postanowiliśmy podjąć przed samym odlotem po skonsultowaniu się z Biurem Zagranicznym.

Ludzie „Marka" odlecieli z Moskwy do Kalinowki w dwóch grupach; pierwszy udał się tam „Marek" z radiotelegrafistami Liubenem i Eleną, a potem Gilin, Kacarow, Ciwinski, Denew, Radił i ja.

Zgodnie z postanowieniem podjętym jeszcze w Biurze Zagranicznym, przed odlotem do Czarnogóry „Marek" podzielił grupę na dwie części. Pierwsza, której dowódcą byłem ja, składała się z Dimitra Gilina, Petko Kacarowa, Radiła Iwanowa-Saszy, Iliji Denewa i Iwana Ciwinskiego. Mieliśmy być przerzuceni na terytorium partyzanckie dwoma samolotami, gdyż maszyny mogły zabrać na pokład oprócz załogi tylko trzech pasażerów.

25 czerwca 1944 roku dwusilnikowy samolot hucząc oderwał się od trawy lotniska w Kalinowce. W dole pod nami znikły w wieczornym zmierzchu hangary i mała ukraińska wioska. Pozostali tam ci, co nas odprowadzali — Stanke Dymitrow, Petko Kacarow, Iwan Ciwinski, Ilija Denew, Liuben Żekow i Elena Kasabowa.

— Do zobaczenia na wolnej ziemi partyzanckiej! — powiedzieliśmy sobie przy pożegnaniu, uściskaliśmy się i ucałowaliśmy.

— Do zobaczenia — powtórzyłem. — Tym razem, żadnego wracania. Będziemy skakać za wszelką cenę, nawet jeśli przyjdzie skoczyć prosto na głowy fryców! — dodałem.

Lecieliśmy w stronę Jugosławii już po raz drugi. Tydzień temu ten sam samolot wyruszył na terytorium partyzanckie położone na południe od Belgradu (koordynanty zostały uzgodnione drogą radiową, gdyż towarzysze radzieccy z lotniska utrzymywali łączność z jugosłowiańskimi partyzantami). Polecieliśmy, lecz nie dolecieliśmy. Samolot wzbił się na wyso-

kość czterech tysięcy metrów, przebył Karpaty, przeleciał nad Dunajem i pod skrzydłami jego zamajaczył Belgrad. Następnie wzięliśmy kurs na południe. Maszyna zaczęła obniżać lot przy wyłączonych silnikach, by nie ściągnąć uwagi zenitówek. Gdy byliśmy już na wysokości ośmiuset metrów, zaczęliśmy krążyć nad terenem, szukając sygnałów świetlnych. Spostrzegliśmy je z łatwością. Wyznaczały kształt zapieczętowanej koperty: cztery ogniska w rogach prostokąta i jedno w samym środku.

— Towarzysze, szykujcie się — uprzedził nas radziecki major, dowódca samolotu. — Jesteśmy na miejscu.

Dotknęliśmy spadochronów i pasów automatów. Sekundy dzieliły nas od skoku. I wówczas wydarzyła się rzecz nieoczekiwana. Major, który z napięciem patrzył przez iluminatory, nagle zaczął nerwowo porozumiewać się z pilotami, którzy mieli większe pole widzenia.

— Towarzyszu pułkowniku — zwrócił się potem do mnie. — Proszę spojrzeć w lewo — i wskazał ręką.

Z lewej strony pod samolotem zobaczyłem wyraźnie „zapieczętowaną kopertę" ułożoną z ognisk.

— Tak! — potwierdziłem. — To na pewno tu. Bez wątpienia!

Ale major znów wskazał ręką:

— Proszę teraz spojrzeć prosto!

Rzeczywiście, w dole, wprost przed samolotem płonęły ognie drugiej „zapieczętowanej koperty"...

— Jak myślicie, towarzyszu pułkowniku, które sygnały są nasze? Gdzie mamy was zrzucić? — major był zaniepokojony. Wahał się...

Patrzyłem na niego. Znaliśmy się z lotniska w Kalinowce. Był młodym, najwyżej trzydziestoletnim człowiekiem, ale choć odnosił się do mnie z wyraźnym respektem jako do starszego rangą (mimo iż bez dystynkcji, na stanowcze żądanie Stanke Dymitrowa leciałem w mundurze oficerskim, a Radił i Gilin byli w ubraniach półwojskowych), on był dowódcą samolotu i on ponosił odpowiedzialność za pomyślne wylądowanie grupy. Nie miałem prawa ingerować...

— Proszę podjąć decyzję, towarzyszu majorze — odrze-

kłem. — Teraz nie jestem pułkownikiem, tylko szeregowcem. Wykonamy wasze rozkazy.

Major pokręcił głową. Wzrok jego wyrażał napięcie. Poradził się pilota i radiotelegrafisty, który podtrzymywał łączność z bazą.

— Wracamy — rzekł wreszcie zdecydowanie. — Jedna z tych „zapieczętowanych kopert" w dole to pułapka. Z pewnością pułapka... Wracamy!

Pułapka? Co major miał na myśli?

Później, gdy już zawróciliśmy, pilot wyjaśnił mi, w czym rzecz. Hitlerowcy wysyłali nocą swoje samoloty, które krążyły ze zgaszonymi silnikami wysoko nad terytorium partyzanckim, by znaleźć miejsca, gdzie partyzanci oczekują „gości". Jeśli lotnicy faszystowscy wypatrzyli partyzanckie ogniska zapalone w kształcie zapieczętowanej koperty, litery „L" lub ścieżki, przekazywali drogą radiową wiadomość i szybko urządzano pułapkę, zapalając na terenie swych baz takie same sygnały ogniowe. Major wyjaśnił, że kilka naszych samolotów przepadło w wyniku owego podstępu nieprzyjaciela, a spadochroniarze zostali wystrzelani...

Nabraliśmy wysokości, znów oblecieliśmy Belgrad, potem przebyliśmy Karpaty i wkrótce po północy samolot wylądował na lotnisku pod Kalinowką...

Historia ta wydarzyła się przed tygodniem. A teraz, gdy Stanke i reszta towarzyszy ściskali nas na pożegnanie, my, członkowie pierwszej grupy, byliśmy zdecydowani skoczyć za wszelką cenę, cokolwiek miałoby się wydarzyć. Czas płynął. Dymitrow ciągle dopytywał się z Moskwy: „Kiedy wyruszacie?" Po pierwszym niepowodzeniu na jego prośbę towarzysze radzieccy zwrócili się do partyzantów po nowe koordynanty. Dymitrow specjalnie nalegał, by wysłano nas dalej na zachód od Belgradu, w masyw czarnogórski, który w tym czasie był już wolną partyzancką ziemią.

Samolot głośno huczy motorami. Siedzimy w milczeniu; piekielny hałas uniemożliwia rozmowę. Jesteśmy przygotowani

do skoku i gotowe są spadochrony, na których zrzucimy sprzęt. Mamy ich sześć, a w zasobniku uczepionym do każdego — broń automatyczną, z dużą ilością amunicji, żywność i radiostację z dwoma ręcznymi motorami elektrycznymi oraz akumulatorem.

Poza tym każdy z nas ma broń przy sobie — jeden pistolet i jeden szmajzer z amunicją. Obaj z Radiłem Iwanowem zabieramy też po jednej przenośnej radiostacji. Razem jest ich więc trzy. To ja nalegałem na to, by ich było tyle; grupy, które odleciały przed nami do Jugosławii, nie zdołały nawiązać stałej łączności radiowej z Georgi Dymitrowem mimo wyraźnego polecenia z jego strony. Nie udało się to ani Szteriu Atanasowowi, ani Błagojowi Iwanowowi. Jak dowiedzieliśmy się później, nadajniki uległy rozbiciu podczas zrzutu. Tego właśnie chcieliśmy uniknąć. Gdyby radiostacja zrzucona na spadochronie uległa zniszczeniu, pozostawały nam do łączności z Dymitrowem jeszcze dwa nadajniki.

Tu muszę wyjaśnić, że miały one nową, udoskonaloną konstrukcję: zapewniały łączność radiową na dużych odległościach, a przy tym zajmowały niewiele miejsca i można je było nosić — rozebrane na części — na przykład w kieszeniach płaszcza czy włożonego na mundur kombinezonu.

Radił (radiotelegrafista) miał z sobą odpowiedni klucz do szyfru, a ja wziąłem do jednej z wewnętrznych kieszeni małą książeczkę — statut klubu „Dynamo". Według umówionych fragmentów tekstu mieliśmy zaszyfrowywać radiogramy, które Radił będzie wysyłać Dymitrowowi i rozszyfrowywać te, które odbierzemy z Moskwy. Uczyłem się kiedyś szyfrowania, lecz dotychczas nie było mi ono potrzebne w pracy wywiadowczej — prawie wszędzie pracę szyfrantki i radiotelegrafistki pełniła przy mnie Galina lub ktoś inny. Teraz po raz pierwszy sam miałem się wziąć do tego. Nim wyruszyliśmy ze Stanke Dymitrowem do Kalinowki, przeszedłem pod kierownictwem Eleny Dymitrowej mały kurs szyfrowania. Elena, wówczas radiotelegrafistka i szyfrantka Georgi Dymitrowa, wspaniale władała tą sztuką. Nie tylko wprowadziła mnie w krótkim czasie w jej tajemnice, lecz wybrała również odpo-

wiednie fragmenty ze statutu sportowego. Posiadała oczywiście taką samą broszurkę, gdyż Elena właśnie miała przyjmować z Jugosławii nasze radiogramy oraz przekazywać kolejne polecenia Georgi Dymitrowa do chwili przybycia „Marka", a potem utrzymywać regularną łączność radiową między naszą grupą i Biurem Zagranicznym.

Tym razem sygnały świetlne miały kształt ścieżki, cztery z jednej strony i cztery równolegle z drugiej. Na tę „ścieżkę" samolot miał zrzucić ludzi i spadochrony z ładunkiem.

Na wszelki wypadek oblecieliśmy teren w promieniu wielu kilometrów od sygnałów. Dowódca samolotu przekonał się, że w dole wszystko jest w porządku. Mogliśmy skakać.

Pierwszy wyskoczył Radił Iwanow, który leciał w trzecim segmencie przy komorze bombowej. Niewysoki, niezbyt rozrośnięty w ramionach i dość lekki, z łatwością przedostał się przez wąski luk bombowca i zniknął w otchłani. Samolot zatoczył koło, przyszła kolej na nas. Major otworzył drzwiczki przedniej kabiny. Gilin wysunął nogi i — nic. Co się stało?

— Zahaczył się o drzwi barami — uśmiechnął się major.

Istotnie, Dimitr nie mógł bez pomocy przepchać swego szerokiego torsu przez wąski otwór. Major pomógł mu obrócić się i przecisnąć jedno ramię i Gilin zniknął nam z oczu.

Gdy samolot zatoczył nowe koło, skoczyłem ja. I mnie potrzebna była pomoc majora. Nie chodziło tylko o ramiona; z latami (a zbliżałem się do pięćdziesiątki) przyszła też otyłość, która wyraźnie nie sprzyjała podobnym wyczynom.

— Szczęśliwej drogi, towarzyszu pułkowniku — uścisnął mi dłoń major, potem pomachałem na pożegnanie pilotowi i radiotelegrafiście i runąłem w dół.

Terytorium partyzanckie, na którym w czerwcu 1944 roku wylądowaliśmy w trójkę z Radiłem Iwanowem i Dimitrem Gilinem, była to duża równa polana w paśmie Czarnogóry. Nad nią wznosiły się zaśnieżone szczyty Cyrni Kuk, z drugiej strony zionęły przepaście. Jugosłowiańscy towarzysze wybrali odpowiednie miejsce na przyjęcie spadochroniarzy, lecz nieodpowiednia okazała się pogoda, na którą przecież nie mieli

wpływu; wiatr zniósł parę spadochronów z ładunkiem daleko za „ścieżkę". Zdmuchnął też Radiła w niewielką na szczęście przepaść. Gilin wylądował miękko na gałęziach grabu. Pomyślnie wylądowałem i ja, uderzywszy się tylko lekko w kolano.

Radiła znaleźliśmy z łatwością — partyzanci jugosłowiańscy znali tu każdą piędź ziemi. Był cały i zdrowy, tylko trochę się poobcierał przy uderzeniu o ziemię (upadł na kamienie). Jednakże część spadochronów z ładunkiem, zniesiona przez wiatr, rozbiła się o otaczające skały i gdy je znaleźliśmy, drogocenny ciężar, choć w dobrze wywatowanych brezentowych workach, rozleciał się na drobne kawałki. Przepadło kilkadziesiąt automatów z nabojami, straciliśmy również dużą radiostację z akumulatorem i jeden z dwóch ręcznych motorów elektrycznych. Była to szkoda, rozumie się, lecz nie tak znów ogromna. Zapasowe nadajniki u mnie i Radiła pozostały nietknięte i dzięki ręcznemu motorowi elektrycznemu, który Radił naprawił z ogromnym trudem, mogliśmy się uważać za wyposażonych. Teraz oczywiście Radił musiał się pogłowić, by uzyskać łączność za pomocą słabych przenośnych radiostacji. Z ich pomocą diablo trudno przyszło nawiązać kontakt na odległość tysięcy kilometrów i aby tego dokonać, trzeba było umiejętności oraz wytrwałości...

Wolne terytorium partyzanckie, na którym wylądowaliśmy, okazało się rejonem działania partyzanckiej dywizji bośniackiej. Partyzanci, wysłani na nasze przyjęcie na „ścieżkę", odprowadzili nas do sztabu. Droga trwała parę dni. Przez cały czas otoczeni byliśmy serdeczną opieką. Jugosłowianie widzieli w nas ludzi radzieckich, przybyłych z Wielkiej Ziemi. Symbolizowaliśmy dla nich zbliżające się zwycięstwo. Ten dzielny naród, który powstał do walki z faszystowskim okupantem, rozumiał, że wywalczenie wolności byłoby niemożliwe bez nadciągającej ze wschodu zwycięskiej żelaznej lawiny. Wyswobadzając całą Europę, Armia Czerwona miała też obdarować wolnością naród jugosłowiański, który w walce dowiódł, że w pełni na nią zasłużył.

W sztabie dywizji czekała nas przyjemna niespodzienka.

Dowódca — generał Peko Danczewicz — okazał się moim starym towarzyszem broni. Znaliśmy się z Paryża, gdzie przebywał w latach wojny hiszpańskiej, by „kanałami" wiodącymi na południe organizować przeprawę Jugosłowian, udających się do brygad międzynarodowych. Widzieliśmy się też w przeddzień wybuchu wojny, gdy Peko Danczewicz wyjechał do kraju, aby wziąć udział w umacnianiu szeregów Komunistycznej Partii Jugosławii; Komintern polecił grupie przywódców jugosłowiańskich, by przygotowali naród do walki z faszyzmem. Peko był jednym z nich...

Koniec czerwca, lipiec i sierpień 1944 roku upłynęły nam w wytężonym marszu przez jugosłowiańskie terytorium. Szliśmy z Czarnogóry na wschód ku granicom swej ojczyzny. Już na początku przyłączyło się do nas jeszcze dwóch ludzi z naszej grupy: Petko Kacarow i Ilija Denew. I oni wylądowali na polanie pod Cyrni Kuk. Iwan Ciwinski, który miał lecieć z nimi, w ostatniej chwili zachorował i Stanke nalegał, by udał się na leczenie. Ze Stanke Dymitrowem zostali tylko Liuben Żekow i Elena Kasabowa. Na miejsce Ciwinskiego Biuro Zagraniczne włączyło do grupy starego emigranta politycznego, działacza partyjnego z okręgu Kjustendił, Wasila Donczewa.

Wkrótce potem, jeszcze na terytorium Czarnogóry, spotkaliśmy Szteriu Atanasowa i Bojana Michniewa. Od momentu wylądowania w kwietniu 1944 roku Szteriu i Błagoj Iwanow aż do chwili spotkania, to jest do końca czerwca, przebywali w sztabie głównym jugosłowiańskich partyzantów jako przedstawiciele naszej partii i brali udział w szeregu ciężkich walk. (Błagoj Iwanow udał się następnie w kierunku Bułgarii). Wszyscy ucieszyliśmy się ze spotkania, bo oni jak dotąd nie zdołali nawiązać łączności z Dymitrowem, i teraz Szteriu był prawdziwie szczęśliwy, ponieważ mógł to zrobić za naszym pośrednictwem.

Od pierwszego dnia pobytu w Jugosławii mieliśmy regularną łączność radiową z Georgi Dymitrowem i Stanke Dymitrowem. Z Georgi Dymitrowem, jak umówiliśmy się z Eleną Dy-

mitrową, kontakt nawiązywaliśmy trzy razy dziennie — o jedenastej przed południem, o siódmej wieczorem i o pierwszej po północy czasu moskiewskiego. Gdy zbliżała się wyznaczona godzina, Radił włączał nadajnik, rozciągał antenę na pobliskim drzewie i zaczynał wystukiwać sygnały Morse'a. Jeśli znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie była elektryczność, Radił podłączał aparat do sieci. Jeśli jednak byliśmy w górach, daleko od wszelkich osiedli, zachodziła konieczność zasilania nadajnika energią z ręcznego motoru elektrycznego. Doniesienia, które Radił nadawał do Moskwy, zaszyfrowywaliśmy sposobem uzgodnionym z Eleną Dymitrową. Szyfrowanie i rozszyfrowywanie poleceń otrzymywanych od Dymitrowa wykonywaliśmy w trójkę — Radił, Gilin i ja. Regularną łączność radiową utrzymywaliśmy też oczywiście ze Stanke Dymitrowem. W ciągu trzech miesięcy spędzonych na terytorium Jugosławii do chwili znalezienia się na ziemi bułgarskiej wymieniliśmy z Georgi Dymitrowem (przez Elenę) i ze Stanke Dymitrowem (przez Żekowa i Kasabową) ponad sto radiogramów. Dymitrow i „Marek" interesowali się wszystkim: jak przebiega nasz marsz, jakie mamy potrzeby, jak wyglądają nasze spotkania z partyzantami jugosłowiańskimi, jaki jest ich stosunek do nas? Pytali również o ich potrzeby i robili wszystko, co możliwe, żeby udzielić im pomocy w postaci broni, amunicji i lekarstw.

Georgi Dymitrow interesował się też, czy istnieją warunki do wylądowania samolotu.

Informacje na ten temat przekazywaliśmy kilkakrotnie; w pobliżu miejsca, gdzie skakaliśmy na spadochronach, mógł wylądować samolot. Odpowiedź brzmiała: „Podążajcie do kraju. Szukajcie miejsca bardziej na wschód".

Z wysokiej i równej polany w górach Szumadii, położonej na południe od Belgradu, zatelegrafowaliśmy ponownie: „Wygodne miejsce. Może lądować każdy samolot..." I tym razem odpowiedź z Moskwy brzmiała: „Podążajcie dalej na wschód. W tej chwili «Marek» nie może odlecieć. Szukajcie miejsca i podtrzymujcie kontakt!"...

Dobro Pole jest małą górską wioską leżącą u wschodniego podnóża Jastrebacu w Serbii w pobliżu granicy z Bułgarią. W tym czasie, kiedy tam dotarliśmy, to jest w połowie sierpnia 1944 roku, znajdowało się ono w środku niewielkiego obszaru wolnej ziemi partyzanckiej, obejmującego oprócz Dobro Pole również wsie: Cyrna Trawa, Kałna, Dolno i Gorno Gare i inne. Teren był oswobodzony od faszystowskich jednostek niemieckich i po wspólnych walkach partyzantów serbskich i bułgarskich oczyszczony od nediczewców i ludzi Draży Michajłowa.

Do wsi Dobro Pole grupa nasza musiała przebyć trudnym marszem ponad pięćset kilometrów przez wzniesienia Czarnogóry i pasma Komowi, Cyrna, Kocznicy, przejść obok albańskiej Czarnogóry, dalej przez Szumadię, sforsować silnie strzeżoną przez Niemców rzekę Ibyr, by wreszcie znaleźć się w Serbii. Przez cały niemal czas marszu szliśmy razem z partyzantami z dywizji Peko Danczewicza i uczestniczyliśmy w wielu zaciętych walkach. Zadaniem korpusu Danczewicza było w tym czasie przerzucenie się z Czarnogóry, gdzie wylądowaliśmy, na terytorium Serbii, by wziąć udział w zbliżających się operacjach armii radzieckiej mających na celu wyzwolenie kraju.

Partyzanci jugosłowiańscy, którzy uważali nas za radzieckich wojskowych (nie mówiliśmy, jaka jest nasza narodowość ani cel naszej misji), już na początku marszu dali nam wierzchowce. Coś wspaniałego! Na silnych górskich koniach jeździli sztabowi oficerowie partyzantów i ich kurierzy; wierzchowce, jedyny szybki i wygodny „środek lokomocji" tu, w górach, były w szczególnie wysokiej cenie.

Grupa Bułgarów, podążająca z korpusem Danczewicza, z początku składała się z naszej piątki, która wylądowała u podnóża szczytu Cyrni Kuk. Ale na wolnej ziemi partyzanckiej w Serbii zebrało się jeszcze ze stu bułgarskich partyzantów i działaczy partyjnych. Był wśród nich Dimo Diczew, którego Komitet Centralny wysłał do Serbii do sztabu głównego partyzantów z dwóch powodów — by przyjął grupę Stanke Dymitrowa oraz by zorganizował i uzbroił Sofijską Dywizję Par-

tyzancką. Był tu także utworzony w czerwcu na terytorium Jugosławii bułgarski partyzancki batalion żołnierski, dowodzony przez Bojana Michniewa. Batalion składał się z wojskowych bułgarskich, antyfaszystów, zbiegłych z różnych oddziałów korpusu okupacyjnego, by walczyć z hitlerowcami. Batalion, który stopniowo wzrósł do dwustu żołnierzy, uczestniczył w szeregu ciężkich walk partyzanckich. Dowódcą politycznym tego batalionu był Szteriu Atanasow. Był to trzeci duży bułgarski oddział partyzancki, złożony z dawnych wojskowych, którzy w tym czasie walczyli ramię w ramię z partyzantami jugosłowiańskimi przeciwko wspólnemu wrogowi. Dwa pozostałe zgrupowania partyzanckie — to brygada „Georgi Dymitrow", dowodzona przez kapitana At. Rusewa i Kiriła Ignatowa, oraz batalion „Christo Botew", dowodzony przez porucznika Diczo Petrowa.

Dimo Diczewa spotkaliśmy na terytorium partyzanckim przy Kurszumlijskich Baniach, gdzie znajdował się w tym czasie sztab główny partyzantów serbskich. Tu nawiązaliśmy kontakt z szeregiem odpowiedzialnych działaczy serbskiego i jugosłowiańskiego ruchu narodowowyzwoleńczego, jak Kocza Popowicz, przedstawiciel sztabu głównego serbskich partyzanów, sekretarz partii komunistycznej — Neszkowicz-Michajłow, członek Biura Politycznego KC Komunistycznej Partii Jugosławii — Cona Babowicz i inni. W Kurszumlijskich Baniach rozstaliśmy się z dywizją Peko Danczewicza i podążaliśmy ku granicy bułgarskiej pod ochroną towarzyszącej nam serbskiej kompanii partyzanckiej.

W sztabie głównym partyzantów serbskich spotkaliśmy także grupę oficerów radzieckiej misji wojskowej, wysłanej tu na pomoc partyzantom. Gdy dowiedzieli się o niepowodzeniu ze sprzętem zrzuconym na spadochronach, jakie spotkało nas pod Cyrni Kuk, ofiarowali nam mały dieslowski silnik elektryczny wraz z zapasem paliwa, który od tej chwili zastąpił ręczny motor i do końca dostarczał energii naszemu nadajnikowi radiowemu.

Nim dotarliśmy do Cyrna Trawa, dowiedzieliśmy się od towarzyszy serbskich, którzy nas przyjęli i pomogli nawiązywać

łączność z operującymi dalej oddziałami, że przeszli tędy Bojan Byłgaranow, członek KC i jego pełnomocnik w sztabie partyzantów macedońskich, oraz Błagoj Iwanow.

Spotkanie naszej grupy z Dimo Diczewem miało istotne znaczenie dla dalszej realizacji tak jego, jak i naszych zadań. Po skontaktowaniu się podjęliśmy decyzję, by nawiązać łączność z KC BPK i Sztabem Głównym Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Powstańczej (bułgarski skrót — NOWA), następnie powiadomić sztab dwunastej powstańczej strefy operacyjnej, że należy wysłać oddziały partyzanckie do rejonu Dobro Pole — Cyrna Trawa, by wzięły stamtąd broń i amunicję. Postanowiliśmy też wysłać kurierów do brygady „Georgi Dymitrow", pomagającej w tym czasie partyzantom macedońskim, ze wskazówką, by w związku ze zbliżającym się powstaniem skierowała się ku starym granicom Bułgarii.

W drugiej połowie sierpnia Georgi Dymitrow przekazał nam program o historycznym znaczeniu. Miał on charakter instrukcji i był skierowany do KC naszej partii. Dymitrow zlecał nam: „Przekażcie szybko wszelkimi możliwymi środkami do KC BPK, co następuje:

1. Zjednoczyć wszystkie demokratyczne i postępowe siły narodu, wszystkie prawdziwie antyfaszystowskie grupy wokół komitetu Frontu Ojczyźnianego jako przedstawiciela narodu bułgarskiego i organizatora walki ludu przeciwko niemieckim rozbójnikom i ich bułgarskiej agenturze faszystowskiej.

2. Przedsięwziąć kroki zmierzające do niezwłocznego rozbrojenia niemieckich jednostek wojskowych, gestapowców itd., w celu bezwzględnego ich unieszkodliwienia, a także zdecydowanie zlikwidować wszelki opór i wrogą działalność wobec Frontu Ojczyźnianego i Armii Czerwonej.

3. Wezwać naród, żołnierzy i oficerów do walki przeciwko Niemcom i ich agenturze i ze wszystkich sił popierać wysiłki zmierzające do utworzenia rządu Frontu Ojczyźnianego.

4. Zmobilizować wszystkie siły w celu sparaliżowania wszelkich prób prowadzenia działań wojennych przeciwko Armii Czerwonej ze strony Niemców i ich agentów faszystowskich w naszym kraju.

5. Przedsięwziąć szybko kroki w celu zapewnienia otwartego wystąpienia komitetu Frontu Ojczyźnianego, jego partii i grup, oraz zapewnienia wolności prasy i uwolnienia uwięzionych patriotów.

6. Naród bułgarski i jego siły zbrojne muszą zdecydowanie przejść na stronę Armii Czerwonej, wyzwolicielki Bułgarii spod niemieckiego jarzma, i wraz z nią oczyścić ziemię bułgarską od niemieckich rozbójników i ich podłych pomocników".

Depesza kończyła się słowami: „Potwierdźcie odbiór i przekażcie do KC. Poinformujcie szybko, co się dzieje! Dymitrow".

Natychmiast po rozszyfrowaniu radiogramu specjalny kurier wyruszył nielegalnie do Bułgarii, by przekazać Komitetowi Centralnemu nowe wskazania Georgi Dymitrowa w chwili, gdy zbliżał się dla Bułgarii decydujący moment polityczny.

Następnie udaliśmy się do rejonu Cyrna Trawa, gdzie spodziewaliśmy się zastać już wezwane przez Dimo Diczewa oddziały partyzanckie.

W drugiej połowie sierpnia w pobliżu Cyrna Trawa zgromadziło się około tysiąca antyfaszystów bułgarskich — od członków KC i jego pełnomocników do szeregowych bojowników partyzantki. Zastaliśmy tu trynski oddział partyzancki, który stoczył niedawno krwawą walkę z żandarmerią i ledwo zdołał się przedostać do Serbii na wolną ziemię. Był tu też oddział radomirski i breznicki z Denczo Znepolskim na czele, znaczna część partyzanckiego oddziału Kjustendiłskiego, jak i żołnierze-antyfaszyści, którzy zbiegli z garnizonu w Niszu, by przyłączyć się do ruchu oporu. Wkrótce po nas przybyła do Kałnej grupa partyzantów dowodzona przez Zdrawko Georgijewa i Borisa Taszewa, których Sztab Główny NOWA wysłał do Macedonii z zadaniem poprowadzenia w kierunku starych granic brygady „Georgi Dymitrow".

Z rozmów z niektórymi partyzantami zorientowaliśmy się, że wielu z nich oczekiwało, iż tu, na wolnej ziemi partyzanckiej, gdzie przebywała angielska misja wojskowa, będą mogli dostać broń. Mieli nadzieję, że tę broń zrzucą — zgodnie z obietnicami misji — angielskie samoloty...

Broń rzeczywiście nadeszła, lecz ofiarował ją kto inny — Kraj Rad.

Nim zwróciliśmy się do ZSRR, skierowaliśmy prośbę do misji angielskiej. Zresztą miało to raczej charakter żądania. Oświadczyliśmy oficerom angielskim, którzy od tygodni już łudzili nas obietnicami, że dłużej nie zamierzamy czekać (ciągle coś stawało im na przeszkodzie: „burza nad Włochami", „złe warunki atmosferyczne nad Morzem Śródziemnym", „słaba widoczność", „przerwa w łączności radiowej" itp. Zamiast broni samoloty ich zrzucały tylko lekarstwa i odzież). Wobec naszego kategorycznego tonu, Anglicy wreszcie puścili farbę:

— Po co wam broń? W najbliższych dniach rząd bułgarski skapituluje i po prostu w tym stanie rzeczy nie będziecie mieli z kim walczyć. Walka partyzancka staje się zbyteczna!...

Innymi słowy: „Nie oczekujcie od nas broni; zamiast tego odeślijcie zgromadzonych tu partyzantów — niechaj w ciszy i spokoju rozejdą się do domów; pozostawcie los Bułgarii jej obecnym przywódcom, którzy prowadzą już w Kairze rozmowy na temat rozejmu z państwami zachodnimi".

Chociaż oburzył nas cynizm angielskich oficerów, uświadomiliśmy sobie, że niczego innego nie należało od nich oczekiwać. Churchill już wcześniej oświadczył, że komunizm w każdym wypadku zawsze i niezmiennie był i pozostanie głównym wrogiem brytyjskiego imperium. Dowiedzieliśmy się również o Churchillowskim „bałkańskim wariancie" drugiego frontu, zmierzającym do okupacji Bałkanów i Bułgarii...

Ułożyliśmy z Dimo Diczewem i Szteriu Atanasowem tekst radiogramu do Georgi Dymitrowa, a Radił, nasz niezmordowany radiotelegrafista, nadał go jeszcze tej samej nocy.

„Znajdujemy się pod wsią Dobro Pole, przy samej granicy bułgarsko-jugosłowiańskiej — donosiliśmy. — Połączyliśmy się z oddziałem trynskim, radomirskim i breznickim. Bardzo potrzebujemy broni i amunicji. Towarzysze jugosłowiańscy nie mogą jej nam ofiarować, gdyż sami potrzebują broni — trwa obecnie mobilizacja powszechna... Sojusznicy angielscy odmawiają dostarczenia nam broni i amunicji. Najważniejszą rzeczą

są teraz dla nas i dla towarzyszy jugosłowiańskich — broń i amunicja. Nastrój w szeregach naszych — dobry".

Radiogram podpisaliśmy we trzech: Dimo Diczew, Szteriu Atanasow i ja.

I już następnego rana Radił odebrał odpowiedź:

„Przygotujcie się na przybycie samolotów... Poczynając od jutrzejszego wieczoru, przez trzy kolejne noce będą wam zrzucać broń i amunicję... Koordynanty te same, które przekazaliście. Dymitrow".

Sierpniowa noc — cicha i gwiaździsta — dawno już otuliła pobliskie szczyty Jastrebacu, gdy na dany przez nas znak partyzanci zapalili sygnały świetlne. Było ich pięć, w prostej linii, w odległości kilkudziesięciu metrów jeden od drugiego — tak umówiliśmy się przez radio po uzgodnieniu miejsca. Płomienie wystrzeliły w górę, a my odeszliśmy na skraj polany. Noc była pogodna, widoczność wspaniała. Na szczęście, mimo przewidywań sceptyków nie przeszkodził nam ani deszcz, ani niski pułap chmur, ani mgła.

Ściskałem w dłoni pistolet sygnałowy i czekałem, leżąc obok Dimo Diczewa i Szteriu. Rozmawialiśmy, ale cicho, by usłyszeć w porę szum silników. Dimo Diczew opowiadał o bitwie pod Batulią, o ataku pierwszej sofijskiej brygady partyzanckiej, o poniesionych stratach. Opowiadał o trudnym marszu 2 brygady partyzanckiej, prowadzonej w tym czasie przez Bojana Byłgaranowa, o ludziach poległych w ciężkich walkach z policją. Niemal we wszystkich wypadkach ofiary były wynikiem słabego uzbrojenia.

— Żandarmi mają karabiny maszynowe, szmajzery, wspierają ich samoloty, ruchome jednostki zmotoryzowane — mówił Dimo Diczew. — A nasi są uzbrojeni najwyżej w kabeki, rzadko w karabiny maszynowe, zdobyte na wrogu...

Istotnie, powstanie, w związku z którym miał przybyć wkrótce Stanke Dymitrow, ogólnonarodowy szturm, o którym pisał w swych instrukcjach dla KC Georgi Dymitrow — był niemożliwy do zrealizowania bez dostatecznej ilości broni

i amunicji... Dlatego tak ogromne podniecenie ogarnęło wszystkich tej nocy, pierwszej spośród trzech, w ciągu których miały przylatywać radzieckie samoloty...

— Chyba nadlatują — podniósł się Szteriu, a za nim i my z Dimo Diczewem. — Słyszeliście warkot?

— Lecą, lecą, lecą! — nadbiegali zewsząd ku nam partyzanci i wskazywali na północno-wschodni kraniec nieba, skąd dolatywał szum silników.

Tak, huczały motory samolotów.

Po paru minutach warkot ustąpił miejsca dudnieniu. Poznawałem już po dźwięku — były to douglasy; z tego typu samolotów radzieckie władze wojskowe zrzucały na początku wojny nasze grupy w Bułgarii i Jugosławii.

Gdy maszyny zbliżały się do miejsca, gdzie płonęły ogniska, wystrzeliłem z pistoletu trzy kolejne rakiety. Czerwone.

Zielone, które miałem w plecaku, były przeznaczone na przyjęcie „Marka"; tak umówiliśmy się jeszcze w Kalinowce, gdzie towarzysze radzieccy zaopatrzyli mnie w pistolet sygnałowy.

Samoloty wykonały ogromne koło nad pobliską okolicą i znowu przyleciały nad polanę. Było ich kilkadziesiąt, a każdy z nich mógł unieść pokaźny ładunek. Z wysokości około ośmiuset metrów zaczęły spływać spadochrony. Przy bezwietrznej pogodzie powoli opadały tam, gdzie na nie czekaliśmy. Było ich chyba przeszło sto.

Trudno opisać podniecenie, radość i odświętny nastrój, jaki po zjawieniu się radzieckich samolotów ogarnął partyzantów i miejscową ludność, która przybyła, by pomóc przy wyszukiwaniu spadochronów, gdyby wiatr przypadkiem zniósł je gdzieś dalej. Wszyscy zaczęli zbierać drogocenny ładunek i gromadzić go w jednym końcu polany. Były to ogromne brezentowe worki, grubo wypikowane, by wytrzymały uderzenie o ziemię. Zawierały automaty, karabiny maszynowe, granaty, amunicję — to, na co czekaliśmy, to, czego palącą potrzebę odczuwały teraz tysiące bojowników ludowych — bułgarskich partyzantów, z których część zgromadziła się pod Cyrną Trawą...

W ciągu dwóch następnych nocy ponowiono zrzuty.

Ogółem około stu samolotów radzieckich zrzuciło kilkaset spadochronów z ładunkiem broni i amunicji, która wystarczała na uzbrojenie całej dywizji partyzanckiej.

Broń niezwłocznie rozdzieliliśmy między bułgarskich partyzantów, którzy się tu zgromadzili. Część przeznaczyliśmy dla oddziałów, które przysłały swoich przedstawicieli. Każdy z nich wziął na ramię po kilka automatów, setki nabojów, granaty (ile mógł udźwignąć), po czym ruszyli natychmiast z powrotem w głąb kraju, gdzie czekali na nich już z niecierpliwością towarzysze. Pozostałą broń (mniej więcej połowę otrzymanej) przekazaliśmy Jugosłowianom, by uzbroili świeżo zmobilizowanych partyzantów, którzy zeszli tu z gór z gołymi rękami.

Część tego wspaniałego podarunku od radzieckich braci otrzymała również miejscowa ludność; byli to wszystko ubodzy ludzie i postanowiliśmy z Dimo Diczewem i Szteriu Atanasowem, że ofiarujemy im spadochrony wykonane z mocnego jedwabiu, którym można by przyodziać mieszkańców kilku wiosek...

Broń już mieliśmy. Pozostawało tylko czekać na przylot „Marka". Kolejna depesza Dymitrowa brzmiała: „Przyślijcie koordynanty dla lądowania samolotu. Przyleci nim «Marek» z grupą towarzyszy".

Koordynanty, wysłane w parę godzin później, były te same co dla zrzutu broni. Grupa „Marka" mogła lądować na tej samej wysokogórskiej polanie bez jednego kamienia, porosłej niską, równą trawą. Oczyściliśmy ją z resztek ognisk i butwiejących pni i znów nazbieraliśmy suchych gałęzi na ognie sygnałowe. Teraz mieliśmy je zapalić w kształcie ścieżki — po cztery w dwóch równoległych liniach.

Pod wieczór 26 sierpnia Radił Iwanow przyjął depeszę, w której Georgi Dymitrow zawiadamiał nas, byśmy czekali na „Marka". Domyślaliśmy się, że chodzi o jedną z najbliższych nocy.

Nareszcie! Nareszcie miał zjawić się Stanke Dymitrow, z myślą o którym przebyliśmy w trudnym marszu niemal całą Jugosławię. Sytuacja dojrzewała. Jeśli był on nieodzowny naszemu Komitetowi Centralnemu kilka miesięcy temu, gdy

wiosną organizował się ruch oporu, o ileż bardziej jego obecność konieczna była teraz, gdy zbliżał się historyczny moment — zwycięskie powstanie wrześniowe!

Nadeszła noc 27 sierpnia. Trwaliśmy w pogotowiu.

Znów nabiłem pistolet sygnałowy. Teraz miał on posłużyć temu, do czego od początku został przeznaczony. Na przywitanie „Marka" miałem wystrzelić trzy czerwone i dwie zielone rakiety.

Nie zapalaliśmy jeszcze ognisk. Najpierw Radił włączył nadajnik; przed przystąpieniem do konkretnych przygotowań na przyjęcie samolotu mieliśmy jeszcze raz skontaktować się o umówionej porze z Dymitrowem. Oto rozlega się stukot sygnałów Morse'a i Radił w skupieniu i napięciu odnotowuje cyfrowe grupy naszego szyfru. Niewiele ich było. Odbiór trwał może tylko minutę lub dwie. Ale więcej nie oczekiwaliśmy. To wystarczało na przesłanie spodziewanego przez nas zawiadomienia.

Gorączkowo zaczęliśmy rozszyfrowywać tekst.

Na podstawie małej broszurki ze statutem sportowym, która dotąd tak dobrze nam służyła, odtworzyliśmy tego wieczoru wstrząsające słowa, wprost nie mieszczące nam się w głowie: „W wyniku katastrofy lotniczej klasa robotnicza i Bułgarska Partia Robotnicza (komunistów) straciły w osobie Stanke Dymitrowa-Marka wybitnego przywódcę naszej partii, wiernego do śmierci syna swego narodu i ruchu robotniczego..." Radiogram kończył się zdaniem, które brzmiało jak jęk: „Nie czekajcie na «Marka». Dymitrow".

Na milczącej górskiej polanie zapanowało tragiczne przygnębienie. Jeden z najwybitniejszych przywódców partyjnych, człowiek bezcenny w zbliżającym się ogólnonarodowym szturmie, poległ daleko od ojczystej ziemi...

Potem, po zwycięstwie, my, członkowie pierwszej części grupy, dowiedzieliśmy się o szczegółach katastrofy starego douglasa, którym „Marek" wyleciał z Moskwy do Kalinowki, skąd miał wyruszyć do Bułgarii wraz z resztą naszych towarzyszy z grupy i starymi działaczami partyjnymi — Wasilem Dymitrowem, Michaiłem Georgijewem, Atanasem Ałtyparma-

kowem, Georgim Głuchczewem i Gawriłem Atanasowem. Dowiedzieliśmy się również, że „Marek" wraz z dwójką radiotelegrafistów, Liubenem Żekowem i Eleną Kasabową, oraz Wasilem Donczewem, który się do nich przyłączył, kilkakrotnie w ciągu lipca i sierpnia próbował dotrzeć do partyzanckich terytoriów. Jak zaświadczali Żekow, Kasabowa i Donczew, samolot ich kilka razy trafiał na pułapki. Doświadczeni piloci radzieccy w porę je dostrzegali i udawało się im umknąć. Aż nadszedł ów fatalny dzień...

Gdy z mającymi lecieć z „Markiem" towarzyszami spotkaliśmy się po zwycięstwie, nie było wśród nich Ciwinskiego. „Marek" zatrzymał go przy sobie w Moskwie, a następnie razem z nim wyruszył do Kalinowki. Pod Brianskiem poległ również Ciwinski.

6. Misja u Tołbuchina

8 września 1 sofijska dywizja partyzancka przekroczyła granicę bułgarsko-jugosłowiańską i pod wieczór zbliżyła się do Trynsko Pole.

Dywizja liczyła około tysiąca partyzantów. W jej skład wchodziły oddziały: trynski, radomirski, breznicki i bosilegradski, żołnierski batalion partyzancki i wszyscy zbiegli z korpusu nasi żołnierze antyfaszyści oraz ludzie świeżo objęci mobilizacją, którzy po wielodniowym marszu znaleźli się na wolnej ziemi partyzanckiej.

Jeszcze w Kałnej postanowiliśmy, by dowódcą dywizji mianować Sławczo Trynskiego, a komisarzem politycznym — przedstawiciela Sztabu Głównego NOWA, Zdrawko Georgijewa. Ponieważ chwilowo Sławczo Trynski, który został ranny, był nieobecny w rejonie Kałnej, tymczasowym dowódcą mianowano Dimo Diczewa. (Nominacji na dowódcę dywizji udzielono Sławczo Trynskiemu w myśl zalecenia Georgi Dymitrowa, by na czele dużej formacji partyzanckiej, którą czekają poważne zadania, stanął popularny w masach ludowych dowódca partyzancki. Zgodnie z rozkazem wydanym specjalnie w tym

celu dywizja składała się z trzech brygad: 1 brygady z dowódcą Denczo Znepolskim i komisarzem politycznym, członkiem naszej grupy, Dimitrem Gilinem, 2 brygady — z dowódcą Ewtimem Rangełowem i komisarzem politycznym, członkiem naszej grupy, Iliją Denewem, 3 brygady — z dowódcą Bojanem Michniewem i komisarzem politycznym, członkiem naszej grupy, Petko Kacarowem. Szteriu Atanasow i ja byliśmy członkami sztabu dywizji).

Dywizja była wspaniale uzbrojona: znaczna część ludzi posiadała po jednym lub nawet dwa radzieckie automaty, lekkie karabiny maszynowe, dostateczną ilość amunicji i granatów. Ta silna jednostka partyzancka, utworzona na polecenie KC partii i Sztabu Głównego NOWA, w trakcie swego marszu z Kałnej miała unieszkodliwić najpierw silny batalion żandarmerii, stacjonujący na szczycie Tumba, a następnie niezwłocznie udać się do Trynu i Sofii, by wziąć udział w zaplanowanym ogólnonarodowym powstaniu zbrojnym. Licząc na siłę 1 dywizji partyzanckiej, jak też na ofensywne działania partyzanckiej brygady „Czawdar", okrążającej nieprzyjaciela od wschodu i południowego wschodu, oraz na oddział ichtimanski i szopski (w pierwszym zaś rzędzie na sofijską organizację partyjną i bojową), KC partii spokojnie i pewnie opracował plan operacyjny i wyznaczył już nawet dzień wybuchu powstania. Działania powstańcze narodu i armii partyzanckiej dzięki wysiłkom partii miały zostać wsparte, jak wiadomo, przez stacjonujące w stolicy i jej okolicach niewielkie oddziały wojskowe dowodzone przez oficerów pozyskanych dla sprawy Frontu Ojczyźnianego.

Wieczorem 7 września batalion żandarmerii został unieszkodliwiony. Dzięki pomocy jego zdrowo myślących żołnierzy poddał się sam, a większość jego członków z radością przyłączyła się do naszych szeregów. Oficerowie, którzy splamili się krwią rodaków, otrzymali to, na co zasłużyli. Na szczycie Tumba odbył się wiec partyzantów zbratanych z jednostką wojskową. Przemawialiśmy we trzech: Dimo Diczew, Zdrawko Georgijew i ja.

Rankiem następnego dnia, 8 września, znaleźliśmy się nad

doliną Trynsko Pole, gdzie leżała mała wioska Miłosławcy. Wieś powitała nas z macierzyńską serdecznością. Dowiedzieliśmy się tu, że na dzień—dwa przed naszym przybyciem cała administracja z Trynu i okolicznych osad, przeróżni policjanci i wojskowi przepadli bez śladu. Szczury uciekały z tonącego okrętu...

Zatrzymaliśmy się we wsi i następnego dnia zwołaliśmy wiec. Plac z trudem mieścił partyzantów z dywizji i ludność przybyłą z pobliskich osiedli, która święciła już wyzwolenie. Na wiecu w Miłosławcach sztab postanowił oficjalnie ogłosić istnienie 1 sofijskiej dywizji partyzanckiej, utworzonej jeszcze pod Kałną, po czym dowódca jej miał objąć swą funkcję. Toteż nawiązaliśmy łączność ze Sławczo Trynskim i spowodowaliśmy jego przybycie do Miłosławic.

Wszystko odbyło się, jak zamierzaliśmy. Sławczo Trynski powitał swoją dywizję, a potem ludność poniosła go na rękach na uroczystość we wsi. Przebywał tam ze dwie godziny i znów odjechał (nie był jeszcze całkiem wyleczony).

Wkrótce dywizja w szyku marszowym ruszyła za nim do Trynu. Na jej czele jechaliśmy konno z Dimo Diczewem, Szteriu Atanasowem i Zdrawko Georgijewem. Droga z Miłosławiec do Trynu była to droga triumfu; otaczała nas ludność przepełniona nadzieją szczęśliwego jutra i łaknąca słów o nim.

W Trynie wszystko odbyło się tak samo, ludność szalała z radości nie mogąc nacieszyć się wolnością i widokiem partyzantów, których witała jak legendarnych bohaterów. Nas też przepełniała radość. Odwróciła się karta historii. Za nami już była trudna przeszłość, cierpienia, krew i niesprawiedliwość. Po raz pierwszy w swych wielowiekowych dziejach lud stawał się panem własnego losu...

A dywizja? Zgodnie z rozkazami Sztabu Głównego NOWA, miała wyruszyć w kierunku swego przeznaczenia bojowego — do Sofii.

Jednakże wypadki, toczące się z błyskawiczną szybkością, powodowały zmianę warunków, zmianę zadań. KC partii i Sztab Główny NOWA, realnie oceniając powstałą sytuację, ogłosiły — jak wiadomo — powstanie zbrojne już w nocy

z 8 na 9 września 1944 roku. Dlatego też 1 sofijska dywizja partyzancka nie wzięła udziału w walce przeciwko faszystowskiej władzy w samej Sofii; okazało się, że siły powstańcze w stolicy są w stanie same wziąć rządy w swe ręce. Dywizja otrzymała więc zadanie ustanowienia władzy Frontu Ojczyźnianego w całej zachodniej Bułgarii, oczyszczenia tego rejonu z wszelkich wrogich grup i jednostek, które będą próbowały szukać ratunku w górach lub przejdą do swoich wczorajszych sojuszników — hitlerowców, jak również powstrzymania ewentualnej napaści silnych hitlerowskich oddziałów wojskowych, wycofujących się z Grecji i Tracji Egejskiej, które przebijały sobie drogę na północny zachód w kierunku Skopje—Nisz—Belgrad, aby połączyć się z ustępującym na wszystkich frontach Wehrmachtem.

Pierwszy dzień wolności świętowaliśmy w wyzwolonym już uprzednio Trynie. A następnego dnia rano Dimo Diczew, Szteriu Atanasow, Radił Iwanow i ja pojechaliśmy autem do Sofii, aby nawiązać kontakt z Komitetem Centralnym...

Sofia przez pierwsze dni po zwycięstwie żyła jakby w oszołomieniu. Od rana do wieczora po ulicach i placach przelewały się tłumy ludzi, którzy dawali wyraz swej radości. W pobliżu pałacu carskiego, na wielkiej drewnianej estradzie wzniesionej naprędce między gmachem Banku Narodowego i starym, spalonym w czasie bombardowań budynkiem „Union Club" od rana do wieczora występowały chóry i recytatorzy, grały orkiestry wojskowe i zawodowe, przemawiali różni mówcy. Stanęły chwilowo fabryki i zakłady przemysłowe, zmienił się zwykły rytm życia miasta. Naród pojmował, że nastąpił decydujący moment w jego historii, że przed Bułgarią otwierają się perspektywy budownictwa socjalistycznego. Nareszcie przyszła wolność, wolność, za którą przelały krew tysiące ludzi, dla której tysiące innych sczezły w więzieniach i obozach koncentracyjnych lub żyły całymi latami na wygnaniu. I tak jak przed siedemdziesięciu laty — wolność nadeszła z północy, przyniosła ją Armia Radziecka...

Komitet Centralny partii w pierwszych dniach po 9 września mieścił się w przystosowanym naprędce do tego celu budynku przy ul. Wróblej 10 (obecnie ul. Janko Zabunowa). Nasza grupa zjawiła się tam jeszcze pokryta pyłem partyzanckich dróg i spotkała się z braterskim przyjęciem ze strony działaczy partyjnych, wśród których byli: Anton Jugow, Coła Dragojczewa, Georgi Czankow, Dobri Terpeszew, Radenko Widinski, Dimitr Ganew, dr Kirił Dramalijew oraz Todor Pawłow. Z niecierpliwością oczekiwano Trajczo Kostowa, uwolnionego 8 września z płowdiwskiego więzienia, gdzie odsiadywał dożywocie; miał on zostać sekretarzem Komitetu Centralnego.

Pierwsza zwróciła się do mnie Coła Dragojczewa; z pewnością rzucił jej się w oczy mój mundur oficera Armii Czerwonej, ale natychmiast mnie poznała. Widywaliśmy się w Moskwie, dokąd przyjechała na zlecenie Komitetu Centralnego pod koniec 1940 roku, by przedstawić Georgi Dymitrowowi i Biuru Zagranicznemu sprawę wysłania do kraju odpowiednich kadr partyjnych. Jej podróż do Związku Radzieckiego związana też była z chorobą syna, Czawdara. W Moskwie mieszkał on u Stelli i Nataszy Błagojewych, które kochały go jak własne dziecko.

— Jak Czawdar? Co z moim synem? — spytała mnie z niecierpliwością, gdy się już serdecznie przywitaliśmy. — Od czterech lat nie mam żadnego listu, żadnej wiadomości z Moskwy!

I ja niewiele wiedziałem; upłynęły już cztery miesiące od chwili mego wyjazdu z ZSRR. Lecz czyż mogłem pozostać obojętny wobec jej niepokoju? Znałem ją jako bojowniczkę, która całe życie poświęciła rewolucji, a przez wszystkie lata walki z faszyzmem, pełniąc odpowiedzialną funkcję partyjną, dźwigała na swych barkach dwukrotny wyrok śmierci.

— Nie martw się o niego! — odpowiedziałem żywo. — Zdrowie mu dopisuje, wyrósł. Już kończy naukę. A żebyś wiedziała, jak gra na pianinie! I mądry jest, pojętny, wspaniały charakter!...

Oczy Coły Dragojczewej rozbłysły radością; serdecznie uścisnęła mi rękę, a potem odszedłszy na bok rozpłakała się ze szczęścia. Pomyślałem wtedy, że miłości macierzyńskiej nie

osłabią ani trudy walki, ani męki w więzieniach i obozach koncentracyjnych, ani cierpienia ciężkiego, trwającego cztery lata życia w konspiracji. A niektórzy myślą, że kobieta-bojowniczka to istota pozbawiona tkliwości...

Wtedy odciągnął mnie na bok Todor Pawłow, z którym poznałem się w Moskwie; cieszył się on zasłużoną popularnością jako gorący ideolog i doskonały propagandysta partyjny. Bardziej powściągliwy od Coły Dragojczewej, półgłosem zapytał o swoją córkę, Wiarę. Może wiem coś o niej, może...

— Nie, proszę nie myśleć nic złego — przerwałem mu, ponieważ odgadłem, że nie dokończył pytania przypuszczając, iż zginęła. — Wiara żyje! Jest zdrowa! Walczyliśmy ramię w ramię przez parę lat! Była w brygadzie do zadań specjalnych, potem poszła do partyzantki... Możecie być dumni ze swej córki — jak prawdziwa komunistka wywiązywała się ze swych obowiązków lekarza i na froncie pod Moskwą, i na tyłach wroga, wśród partyzantów...

Któryż ojciec pozostanie obojętny wobec dobrych nowin o swym dziecku! Tyle ludzi zginęło w ciągu tych surowych lat, a oto jedno z milionów istnień, kość z kości i krew z krwi twojej, ocalało...

Rewolucja zwyciężyła, lecz problemy, które w tych wrześniowych dniach 1944 roku partia musiała rozwiązać, były skomplikowane, trudne, różnorodne. Każdy spośród starych działaczy uczestniczących w dziesięcioletniej walce antyfaszystowskiej otrzymał zadanie bojowe, od wykonania którego zależał dalszy rozwój rewolucji i ustabilizowanie się władzy Frontu Ojczyźnianego. Ja zostałem członkiem Komitetu Centralnego i zlecono mi kierowanie wydziałem wojskowym. Praca była ogromna i trudna. Armię, którą przejęła w spadku władza ludowa, wezwano, by broniła przeobrażonej Bułgarii nie tyle przed jej wrogami wewnętrznymi, lecz przede wszystkim przed niebezpieczeństwem realnie już zagrażającym z zachodu. Wycofujące się z Grecji hitlerowskie wojska okupacyjne — po rozbrojeniu naszej 5 armii i wybiciu stawiających

opór żołnierzy i oficerów — dotarły czołgami do naszej granicy zachodniej tuż pod Kjustendiłem i Giujeszewem. A stamtąd do Sofii jest tylko sto kilometrów... Armię starej Bułgarii należało od podstaw zreorganizować, oczyścić z faszystowskich oficerów, dać jej nową, wybraną spośród brygad partyzanckich kadrę dowódców i wzmocnić ją komunistami oraz ochotnikami spośród młodzieży robotniczej, jak też całymi jednostkami partyzanckimi.

Ale to nie wszystko. Odrodzona armia powinna niezwłocznie przystąpić do wojny przeciwko hitlerowskim Niemcom, by zmyć z Bułgarii hańbiące piętno polityki monarcho-faszystowskich rządów. W wojnie przeciwko wczorajszemu „sojusznikowi" armia Frontu Ojczyźnianego miała walczyć ramię w ramię z naszymi wyzwolicielami — żołnierzami Armii Czerwonej aż do ostatecznego zwycięstwa nad faszyzmem.

Na krótko tylko wpadłem do rodzinnego miasta Plewen, gdzie wziąłem udział w pierwszym po wyzwoleniu wiecu i zobaczyłem się z ocalałymi towarzyszami broni, bliskimi i znajomymi, bo Komitet Centralny partii zlecił mi, abym razem z członkiem Biura Politycznego Dimitrem Ganewem udał się do sztabu III Frontu Ukraińskiego w celu nawiązania kontaktu z marszałkiem F. I. Tołbuchinem. Kontakt między dowodzącym tym frontem a KC był niezbędny dla omówienia najpilniejszych posunięć naszej partii zmierzających do ustabilizowania władzy Frontu Ojczyźnianego. Jednocześnie należało załatwić niektóre sprawy, związane z zakwaterowaniem znajdujących się już na naszej ziemi oddziałów III Frontu Ukraińskiego, które wszędzie ludność witała z ogromnym entuzjazmem.

Zadanie zlecono nam 15 września późnym wieczorem po kolejnym posiedzeniu Komitetu Centralnego. W owych dniach KC i wszystkie instancje partyjne czuwały i pracowały przez całą dobę, gdyż wróg nie tylko nie został ostatecznie pokonany, lecz dysponował jeszcze znacznymi siłami, których bierny opór wzmagała obecność alianckiej misji sojuszniczej w Bułgarii.

Dlatego wszyscy komuniści i działacze Frontu Ojczyźnianego, cały proletariat i wszystkie zdrowe siły narodu, świętując zwycięstwo, nie wypuszczały z rąk broni.

W Komitecie Centralnym więc jak i wszędzie nie liczono godzin pracy; nie było zresztą godzin przyjęć, nie było wydziałów. I choć poszczególni towarzysze zajmowali się przydzieloną odpowiednio do ich specjalności pracą, gdy zachodziła konieczność — a zachodziła niemal co dzień — każdy robił to, co najważniejsze. Trzeba przy tym podkreślić, że każdy członek Biura Politycznego i KC musiał po kilka razy dziennie przemawiać na różnych wiecach, uroczystościach, zamkniętych i otwartych zebraniach partyjnych, gdyż naród łaknął słów tych, którzy jeszcze wczoraj mogli się wypowiadać jedynie w nielegalnej prasie, nielegalnych biuletynach i odezwach. Ludzie, otoczeni dzięki swej walce z faszyzmem legendą, omawiali teraz z trybun program Frontu Ojczyźnianego, wzywali naród do jedności dla utrwalenia zwycięstwa.

Rano 16 września obydwaj z Dimitrem Ganewem wyruszyliśmy do Dobricza (obecnie miasto Tołbuchin) samolotem, pociąg bowiem wiózłby nas do owego odległego dobrudżańskiego miasta dwanaście godzin, a nie mogliśmy sobie pozwolić na taką stratę czasu. O samolot dla nas postarał się generał Biriuzow, przybyły do Sofii jako przedstawiciel marszałka Tołbuchina wraz z wojskami radzieckimi, które w przeddzień naszego odlotu entuzjastycznie powitali mieszkańcy stolicy.

Choć Dimitra Ganewa poznałem przed kilku dniami, czuliśmy się z sobą jak starzy przyjaciele. Słyszałem o nim już w latach 1930—1932 w Wiedniu w okresie zjazdów dobrudżańskiej organizacji rewolucyjnej, której KC Ganew był członkiem. Mimo iż o parę lat młodszy ode mnie, był wycieńczony. Zresztą i pozostali członkowie Biura Politycznego oraz Komitetu Centralnego nie znajdowali się w kwitnącym stanie zdrowia. Wszyscy oni wyszli niedawno z więzień lub żyjąc w konspiracji pod stałą groźbą śmierci od lat nie dojadali i nie dosypiali. Zresztą prowadząc walkę, która niezmiennie krok po kroku przybliża zwycięstwo, nikt nie myśli o zdrowiu czy wypoczynku. Ganew nie tylko prowadził życie nielegalnego dzia-

łacza, ale jako jeden z najwybitniejszych rumuńskich funkcjonariuszy partyjnych odsiedział wieloletni wyrok w więzieniu Doftana pod Bukaresztem. Miało ono straszliwą sławę, umierały w nim setki bojowników. I Dimitrowi Ganewowi zrujnowało zdrowie. A gdy został zwolniony (na mocy porozumienia w Craiovej z września 1940 roku), nie miał czasu na leczenie. Niespokojne lata, które nadeszły, wciągnęły go znów w główny nurt walki.

Nie był więc zdrowy. Zwycięstwo, za które wczoraj trzeba było płacić krwią, dziś wymagało wysiłków — nieustannych, nadludzkich, do kresu wytrzymałości. Dimitr Ganew pracował na równi z innymi...

Do Dobricza lecieliśmy około półtorej godziny. Obydwaj posiadaliśmy specjalne pełnomocnictwa Komitetu Centralnego. Dimitr Ganew, przewodniczący delegacji, miał nawiązać oficjalny kontakt z marszałkiem Tołbuchinem, poinformować go o sytuacji w Bułgarii i omówić podstawowe zagadnienia współpracy między władzą Frontu Ojczyźnianego a radzieckimi wojskami wyzwoleńczymi. Ja zaś miałem reprezentować KC w sztabie III Frontu Ukraińskiego podczas opracowywania i konkretnego rozwiązania niektórych problemów wojskowych. Dlatego KC postanowił, że Dimitr Ganew niezwłocznie powróci, ja zaś zostanę w sztabie Tołbuchina tak długo, jak to będzie konieczne.

Dowódca III Frontu Ukraińskiego, znakomity strateg wojskowy, Fiodor Iwanowicz Tołbuchin, przyjął nas wieczorem 16 września, to znaczy w dniu naszego przylotu. Trudno mu było znaleźć dla nas czas, na wszystkich odcinkach środkowego i północnego frontu bowiem walki trwały z ogromną siłą i Tołbuchin bezustannie naradzał się ze swoim sztabem, analizował stan wojska, kierował kolejnymi atakami na przeciwnika, który teraz — odparty prawie do własnego terytorium — bronił się rozpaczliwie. Toteż po wylądowaniu w Dobriczu powiedziano nam, że marszałek na razie jest zajęty, ale przyjmie nas natychmiast, skoro tylko będzie mógł. Dimitr Ganew postanowił

więc tymczasem odwiedzić swoich bliskich. Dopiero teraz dowiedziałem się, że tu, w tym dobrudżańskim mieście, mieszka jego rodzina, której dawno nie widział...

Żona i jego mała córeczka, która wyrosła bez ojcowskiej pieszczoty, powitały go jak zmartwychwstałego. Trudno wprost opisać wybuch uczuć, którego stałem się świadkiem. Oto nareszcie drogi, kochany człowiek powrócił stamtąd, skąd niewielu wracało, i szczęście rozbłysłe w oczach nie miało granic...

Około dziesiątej wieczorem nadjechał szybko małą uliczką Dobricza samochód wojskowy i zatrzymał się przed domem Ganewów. Marszałek Tołbuchin nas wzywał. Najpierw pojechałem ja, by załatwić pewne sprawy wstępne, dotyczące spotkania, o którym ambasada radziecka w Sofii poinformowała już sztab Tołbuchina.

Marszałek F. I. Tołbuchin przyjął mnie w swym gabinecie sam, w terkocie bez przerwy dzwoniących telefonów. Stanąłem na baczność i zameldowałem po wojskowemu, w jakiej sprawie, skąd i z kim przybywam. Mówiłem oczywiście po rosyjsku.

Marszałek patrzył na mnie zdziwiony. Oczywiście, był on dokładnie uprzedzony, jacy ludzie i po co przylecieli z Sofii, lecz z pewnością zapomniano dodać, że jeden z członków bułgarskiej delegacji jest radzieckim pułkownikiem.

— Witajcie! Bardzo mi miło — rzekł przyglądając mi się bacznie. — Wybaczcie, że nie mogłem was od razu przyjąć... Powiedzcie mi coś o sobie. Zauważyliście chyba, że jestem nieco zaskoczony...

Ale w rezultacie nie musiałem o sobie nic mówić, bo w tym momencie otworzyły się drzwi, ktoś wszedł do gabinetu i usłyszałem za sobą głos:

— Kogo widzę? Wanko? Czy to ty?

Odwróciłem się. Za mną stał człowiek w mundurze radzieckiego generała; przybył do dowódcy frontu niewątpliwie w związku z jakąś pilną sprawą. Ależ tak! To mój stary towarzysz broni, Rogow, pracownik naszego ośrodka, w latach 1939—1940 słuchacz Wojskowej Akademii im. Frunzego. Tu, w sztabie Tołbuchina, kierował on (jak się później dowiedziałem) wywiadem wojskowym.

Uściskaliśmy się uradowani z nieoczekiwanego spotkania.

Marszałek obserwował tę scenę z rosnącym zdumieniem. Podczas gdy Rogow zasypywał mnie nieuniknionymi w takich wypadkach pytaniami, Tołbuchin zadzwonił i zamówił posiłek dla trzech osób — takie miłe wydarzenie nie mogło się obejść bez poczęstunku.

Kiedy usiedliśmy wokół stołu, Rogow opowiedział Fiodorowi Iwanowiczowi trochę o naszej wspólnej pracy w ośrodku, o moim udziale w obronie Moskwy w brygadzie do zadań specjalnych, wspomniał o zrzuceniu na spadochronie na tyłach najeźdźcy i o mojej działalności przy organizowaniu oddziałów partyzanckich.

Rogow mówił lakonicznie — tylko to, co było niezbędne. W pewnej chwili, gdy już wytworzyła się bardzo serdeczna atmosfera, Tołbuchin zorientował się, że grupa moja, która przybyła niedawno z Jugosławii, jeszcze przed paru dniami utrzymywała regularną łączność radiową z Georgi Dymitrowem.

— Rozmawiałem dziś rano z Georgi Michajłowiczem — powiedział. — Z nim, rzec można, codziennie mamy sobie coś do powiedzenia. Może chcielibyście, bym was z nim skontaktował?

Z ogromną radością wyraziłem wdzięczność; nie tylko chciałem, ale prosiłem o to. Miałem mu zakomunikować o pewnych faktach, którymi Dymitrow żywo się interesował.

Tołbuchin wstał wolno (był tęgi, chorobliwie blady, przestrzegał diety i ledwie dotykał wargami kieliszka) i podniósł słuchawkę telefonu. Za pomocą bezpośredniego kabla wojskowego łączącego jego sztab z dowództwem naczelnym w Moskwie w minutę później będę mógł rozmawiać z Dymitrowem. Ale jest już późno, mija północ, czy znajduje się jeszcze w swoim gabinecie?

Dymitrow pracował. Tołbuchin wymienił z nim serdeczne pozdrowienia, a potem powiedział, że jest u niego jeden z wysłanników Komitetu Centralnego, i wymienił moje nazwisko.

— Georgi Michajłowicz pragnie z wami rozmawiać, Iwanie

Cołowiczu — rzekł po chwili z uśmiechem i podał mi słuchawkę.

Przywitałem Georgi Dymitrowa, wyjaśniłem krótko i rzeczowo, co zostało wykonane od momentu naszego ostatniego kontaktu radiowego (a było to w przeddzień odlotu do Dobricza), i opowiedziałem o misji, którą miała spełnić nasza delegacja.

Z początku Dymitrow słuchał i zadawał pytania: praca Komitetu Centralnego, Frontu Ojczyźnianego, stabilizowanie się władzy ludowej — były dla niego problemami decydującymi; od właściwego kierunku pierwszych kroków zależało w ogromnym stopniu przyszłe powodzenie rewolucji socjalistycznej. Otrzymawszy wyczerpujące informacje o wszystkim, co go interesowało, zlecił mi, bym po wypełnieniu misji u Tołbuchina wrócił niezwłocznie do Sofii i wykonał szereg konkretnych zadań; Dimitr Ganew miał zaś polecieć do Moskwy. Po czym Dymitrow poprosił, bym oddał słuchawkę Tołbuchinowi, do którego zwrócił się o zapewnienie Ganewowi radzieckiego samolotu.

Rozmowy z dowódcą III Frontu Ukraińskiego, marszałkiem Tołbuchinem, z jego doradcą do spraw politycznych, Anochinem, i szefem wywiadu, Rogowem, zaczęły się następnego dnia rano. Dimitr Ganew zapoznał ich szczegółowo z charakterem przemian społeczno-politycznych w naszym kraju, przedstawił rolę Frontu Ojczyźnianego, opisał wydarzenia dni poprzedzających bezpośrednio 9 września, streścił przebieg działań powstańczych w Sofii i całym kraju, podsumował wyniki zwycięstwa sił antyfaszystowskich, wskazał na podstawowe zadania programowe Frontu Ojczyźnianego i jego stanowczy zamiar, by wszystkie siły narodu niezwłocznie wzięły udział w wojnie przeciwko hitlerowskim Niemcom (co w praktyce rozpoczęło się już w dniu 9 września) i walczyły aż do ich ostatecznej klęski.

Dimitr Ganew mówił z zapałem, płomiennie, przekonywająco, a ja tłumaczyłem to dokładnie na rosyjski. Na marszałku

i jego pomocnikach słowa Ganewa wywarły głębokie wrażenie. Wiedzieli oni oczywiście o historycznych wydarzeniach w Bułgarii, o zwycięskim powstaniu, zorganizowanym i kierowanym przez BPK, lecz teraz, gdy Dimitr Ganew przedstawił wszystko szczegółowo, uzyskali wyrazistszy obraz przemian.

Na koniec Ganew poinformował marszałka o wiszącym nad naszą zachodnią granicą niebezpieczeństwie napaści niemieckich wojsk okupacyjnych, wycofujących się z Grecji. Zająwszy wszystkie strategiczne punkty, wzgórza i drogi na terytorium jugosłowiańskim w rejonie Giujeszewo—Nisz—Biała Pałanka—Kuła, hitlerowcy szykowali się do zadania błyskawicznego ciosu rewolucyjnej Sofii, co by mogło zagrozić wojskom III Frontu Ukraińskiego na północ od Dunaju. W imieniu KC partii i rządu Frontu Ojczyźnianego Dimitr Ganew prosił Tołbuchina o ewentualne przyśpieszenie ruchów wojsk przez nasze terytorium w kierunku Kuła—Nisz—Belgrad. Pierwsze odrodzone jednostki armii bułgarskiej, wzmocnione oddziałami partyzantów, prowadziły już zacięte walki, lecz siły były nierówne i bez niezwłocznej pomocy Armii Czerwonej z trudem moglibyśmy wytrzymać nacisk wroga.

Dimitr Ganew natychmiast uzyskał zapewnienie, że nie w najbliższych dniach, lecz już za parę godzin w stronę Kuły, Widynia i Niszu skierowane będą na pomoc bułgarskim jednostkom zmotoryzowane oddziały artyleryjskie i katiusze. Zadanie to Tołbuchin zlecił swemu zastępcy, Biriuzowowi; wywiad radziecki uprzedził już o istniejącym niebezpieczeństwie.

Na zakończenie rozmów F. I. Tołbuchin wzniósł toast:

— Za pełny sukces socjalistycznej rewolucji w bratniej Bułgarii!

A Dimitr Ganew odrzekł:

— Za sławną i niezwyciężoną Armią Czerwoną, która wyzwoliła Bułgarię i uchroniła ludzkość od jarzma faszyzmu! Za naszą braterską przyjaźń!

Serdecznie pożegnaliśmy się z marszałkiem Tołbuchinem i członkami jego sztabu, po czym Dimitr Ganew niezwłocznie odleciał do Moskwy, by osobiście złożyć sprawozdanie Georgi Dymitrowowi i naczelnemu dowództwu Armii Czerwonej o sy-

tuacji w naszym kraju. Ja zaś innym samolotem wróciłem do Sofii. Kontakt z dowódcą III Frontu Ukraińskiego został nawiązany. W Sofii czekały na nas nie cierpiące zwłoki zadania, związane z sukcesem rewolucji.

Obecnie, gdy kończę swe wspomnienia, upływa ćwierć wieku od naszej rewolucji socjalistycznej. Dwadzieścia pięć lat kroczyliśmy właściwą drogą, wytyczoną przez Georgi Dymitrowa, prowadzeni przez partię komunistów. Tę partię, która wykazała i w epoce krwawych walk, i w epoce pokojowego budownictwa, że zdolna jest poprowadzić naród ku wolności, szczęściu, pomyślności.

Przed oczyma naszymi ojczyzna wyrasta taka, o jakiej marzyliśmy w latach cierpień, jaką chcieli ją widzieć ci, co polegli. Nowe pokolenia czeka inne zadanie: trzeba uczynić ją jeszcze silniejszą, bogatszą, szczęśliwszą. I niechaj pomną, że jak wczoraj tak i dziś, i zawsze w przyszłości pomyślne losy Bułgarii związane są z losami bratniego narodu radzieckiego, z losami rewolucji socjalistycznej. To nie tylko lekcja historii — to testament poległych!

Spis rzeczy

Słowo wstępne 7

Część I

W rodzinnym mieście Plewen 9

1. Miasto chwały bojowej Rosjan i bułgarsko-radzieckiej przyjaźni 11
2. Na południowy front z 9 dywizją pleweńską . . . 24
3. Socjaliści pleweńscy — żołnierzami pokoju 42
4. Uzbrajanie pleweńskiej organizacji partyjnej . . . 65
5. Pomoc dla radzieckiej Rosji 89
6. Nie wykonane zadanie 104
7. Podziemna drukarnia 112
8. Aresztowanie, więzienie, ucieczka 118

Część II

W Kraju Rad 137

1. Droga przez Morze Czarne 139
2. Berzin, twórca wywiadu radzieckiego 147

3. Pleweńskie powstanie czerwcowe — triumf i dramat 163
4. Broń przez morze 179
5. Cudzoziemiec we własnej ojczyźnie 199
6. Drogi ratunku 207

Część III

W Chinach z misją Blüchera 223

1. Internacjonalistyczne zadania bojowe 225
2. Kilka słów o chińskiej rewolucji i jej wodzu Sun Jat-senie 234
3. Kolej transsyberyjska 247
4. Pierwsza wojna domowa w Chinach 262
5. Zdrada Czang Kaj-szeka 287
6. Kupcy w Szanghaju i Pekinie 296

Część IV

Obrona radzieckich granic na Dalekim Wschodzie . 321

1. Konflikt na Wschodniochińskiej Linii Kolejowej . . 323
2. Znów u Blüchera z zadaniami specjalnymi 326

Część V

Żołnierze cichego frontu 339

1. Spotkanie z Richardem Sorge i zadania w Europie . 341
2. Spotkanie z Georgi Dymitrowem 354
3. Błąd taktyczny bez fatalnych następstw 374
4. Intelligence Service się spóźnia 392
5. Gość z ośrodka i strażak Z-9 408
6. Pożar Reichstagu 434
7. Na pomoc Republice Hiszpańskiej 443

8. Korespondencja z Mussolinim 455
9. Wiosna w Portugalii i spotkanie z Griszą Salninem w Madrycie 471
10. Pożegnanie z Paryżem 490

Część VI

Druga wojna światowa 501

1. Wybuch wojny ojczyźnianej 503
2. Grupy „podwodne" i „spadochroniarze" 516
3. Moskwa nieujarzmiona 526
4. Defilada na Placu Czerwonym 537
5. Samolotem do partyzantów jugosłowiańskich . . . 549
6. Misja u Tołbuchina 572

Redaktor techniczny: E. Przedpełska
Korektor: H. Maryańska

„Książka i Wiedza", Warszawa, listopad 1972 r.
Wyd. I. Nakład 9740+260 egz.
Obj. ark. wyd. 30,9. Obj. ark. druk. 37
Papier druk. sat. kl. V, 70 g, 86×122 cm.
Oddano do składania 30.III.1972 r.
Podpisano do druku 6.IX.1972 r.
Druk ukończono w listopadzie 1972 r.
Łódzka Drukarnia Dziełowa,
Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.
Zam. nr 893/A/72. D-12. Cena zł. 45.—

Osiem tysięcy czterysta czwarta publikacja „KiW"

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

Biblioteka
WAP
63621/2
Naukowa

Generał Iwan Winarow, rewolucjonista bułgarski, emigrant polityczny i w latach międzywojennych pracownik radzieckiego wywiadu wojskowego, we wspomnieniach swoich opowiada o działalności w Chinach, Wiedniu, Pradze, Paryżu, Madrycie i Lizbonie. Bohaterami jego pamiętnika są słynni wywiadowcy, Paweł Berzin i Krystian Salnin, czołowi działacze Kominternu, Georgi Dymitrow i Wasil Kołarow, oraz znany generał radziecki Wasilij Blücher.

W pracy swej Winarow stykał się z różnymi wybitnymi postaciami, z publicystami i pisarzami, jak Ernest Hemingway, z asami wywiadu, jak Richard Sorge; wszystkich tych ludzi odnajdujemy w epizodach jego wspomnień. Autor ponadto ukazuje mechanizm ówczesnej pracy radzieckiego wywiadu wojskowego oraz demaskuje metody Intelligence Service i innych zachodnich ośrodków wywiadowczych.